



KB

KACPER BERGER
BIZNESMEN, MILIONER,
PLAYBOY, ĆPUN, MORDERCA...

SPRZEDAWCA

KRZYSZTOF DOMARADZKI

CZARNA OWCA

SPRZEDAWCA

KRZYSZTOF DOMARADZKI

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[***](#)

[Motto](#)

[Spis treści](#)

[PROLOG](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

Redakcja: Mirosław Grabowski
Korekta: Słowne Babki, Adam Osiński
Projekt okładki: Kav Studio Pola Rusiłowicz
Zdjęcia na okładce: ©Korionov / Shutterstock, Chain 3d /elements.envato
Redaktor prowadzący: Katarzyna Słupska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-681-6

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Żeby było jasne.

Opowieść, która rozgrywa się na stronach tej książki, jest całkowicie zmyślona. Kacper Berger nie istnieje. To wytwór mojej wyobraźni. Zlepek kilku, kilkunastu, a pewnie nawet kilkudziesięciu osób, które miałem okazję poznać albo o których słyszałem. Tak to z bohaterami literackimi bywa – niezależnie od tego, jak bardzo byśmy chcieli ulepić ich zupełnie od zera, zawsze są odzwierciedleniem jakiegoś fragmentu rzeczywistości.

Ale otoczenie Bergera w dużej mierze tworzą prawdziwi ludzie – tyle że wystrojeni w szaty fikcyjnych postaci. To literackie odbicia przedsiębiorców i menedżerów, których miałem okazję poznać jako dziennikarz „Forbesa”. Bohaterów listy najbogatszych, motorów napędowych naszej gospodarki, gwiazd biznesu. A przy tym bardzo zagadkowych ludzi, którzy często żyją w oderwaniu od rzeczywistości. Aroganckich. Chorobliwie ambitnych. Bezwzględnych.

Tego typu ludzi trafnie scharakteryzował ekspert od zarządzania i technologii z New York University Stern School of Business, profesor J.P. Eggers, z którym korespondowałem w 2016 roku. Stwierdził, że niejednemu spośród największych przedsiębiorców bez chwili wahania gotów byłbyś powierzyć prowadzenie biznesu, w który zainwestowałeś, ale niekoniecznie chciałbyś spędzać z nim czas.

W tej powieści w zakamuflowany sposób pojawia się około czterdziestu polskich liderów biznesu. W grubą warstwę fikcji wplotłem historie, których byłem świadkiem, i anegdoty, jakie usłyszałem. Część z nich wydaje się niewiarygodna. Inne są praktycznie nie do potwierdzenia, ale pochodzą z wystarczająco rzetelnych źródeł, aby nadać im literackie życie. Czasem historiami jakiejś osoby obdzielałem kilka postaci, wyłącznie ze względów fabularnych – nikt by nie uwierzył, że tyle osobliwości może być skumulowanych w jednym człowieku.

Oczywiście to tylko pewien wycinek świata polskich przedsiębiorców. Jako dziennikarz ekonomiczny regularnie spotykam biznesmenów, którzy przeczą panującym stereotypom. Empatycznych. Skromnych. Pokornych. Troszczących się nie tylko o zyski, ale również o dobrostan pracowników, środowisko czy lokalną społeczność. Wykuwających PKB w sposób powszechnie akceptowalny.

Ale w każdym środowisku trafiają się czarne owce. Czasem jest ich tylko kilka.

A czasem wystarczająco dużo, aby wytworzyć odrębną subkulturę w obrębie grupy.

Nie było moim zamiarem wyszydzić reprezentantów dużego polskiego biznesu – kimże ja jestem, żeby z nich drwić! Napisałem tę książkę z kilku powodów. Po pierwsze, żeby wykorzystać literacko historie, na które się natknąłem, pracując w największym magazynie biznesowym w kraju. Po drugie, chciałem spróbować wyjaśnić, co tak naprawdę kryje się pod uśmiechami, jakie przywdziewają niektórzy czołowi menedżerowie i właściciele wielkich fortun. A po trzecie, dla równowagi. Na co dzień piszę o sukcesach polskich przedsiębiorców – spektakularnych inwestycjach, nowych biznesach, ekspansji zagranicznej. W tej książce mogłem pokazać drugą stronę medalu. Tę, z którą żaden z Was, drodzy Czytelnicy, prawdopodobnie nigdy nie będzie miał styczności.

Na Wasze szczęście.

Udanej lektury.

*Podobno jeden na pięciu liderów biznesu jest psychopatą.
Moim zdaniem to mocno niedoszacowany wynik.*

KACPER BERGER,
TRENER SPRZEDAŻY

PROLOG

Słyszeliście kiedyś o Jimie Jonesie?

Zadałem pytanie i rozejrzałem się po sali. Napotkałem kilkanaście par wpatrzonych we mnie oczu. Mniej lub bardziej zaspanych. Mniej lub bardziej zainteresowanych tym, co mam do powiedzenia. Należących do menedżerów średniego szczebla. Najgorszego audytorium z możliwych. Tworzonego głównie przez żałośnie starzejących się pajaców w źle skrojonych garniturach, upośledzonych wiarą w to, że coś znaczą. Idiotycznie przekonanych, że siedząc w sercu korporacyjnego kurwidołka, zamknięci w dusznej klitce z zagrzybioną klimatyzacją, są panami świata.

– Jim Jones był niczym niewyróżniającym się chłopakiem z Indianapolis. Wychowanym w typowej amerykańskiej rodzinie w czasach Wielkiego Kryzysu i drugiej wojny światowej. Kiedy jego ojciec chłnął na umór z kolegami z Ku Klux Klanu, Jim zaczytywał się w pracach Marksa, Lenina, Hitlera i Gandhiego. A przede wszystkim w *Roku 1984*, który w bardzo specyficzny sposób interpretował. To właśnie książka Orwella, w połączeniu z dziwną fascynacją Bogiem, śmiercią i apokalipsą, w największym stopniu przyczyniła się do powstania Świątyni Ludu Kościoła Pełnej Ewangelii. Prawdziwego opus magnum Jima.

Spójrzcie na nich. Każdy z tych gogusiów zapłacił kilka patyków, żeby się nauczyć wciskania kitu. Nawijania makaronu na uszy. Lania wody. Zawijania gówna w papierek. Mogli ten czas poświęcić na naukę czegoś pożytecznego. Poznać podstawy programowania. Zrobić kurs z grafiki komputerowej. Albo chociaż douczyć się polskiego, aby ich maile dało się czytać bez translatora. Ale nie. Woleli się dowiedzieć, jak się zwiększa przychody ze sprzedaży. Jak się produkuje hajs. Jak się robi mamonę na frajerach. Każdy z tych żalosnych kmiotów dałby sobie odebrać połowę IQ, byleby nauczyć się sterować ludźmi jeszcze głępszymi od siebie.

– Prosty facet, który nie miał wykształcenia psychologicznego, który nie odróżniał perswazji od manipulacji, który zaczynał jako obwoźny sprzedawca małą, który nie miał do dyspozycji wielkiego kapitału ani portali społecznościowych, zbudował

wspólnotę liczącą trzydzieści tysięcy wyznawców. Stosując banalne sztuczki, takie jak pokazy czytania w myślach albo cudownych uzdrowień, uformował grupę złożoną z białych i czarnych, kobiet i mężczyzn, ubogich i bogatych, którzy porzucili swoje dotychczasowe życie, aby razem z nim zbudować komunę. Zdobył moc pozwalającą wywierać wpływ na media i polityków. Zdołał nawet zbudować własną osadę na terenie Gujany Francuskiej. I to wszystko zrobił facet, który wyglądał jak mało apetyczna podróbka Elvisa.

Roześmiali się. To ważne, bo śmiech jest głównym stymulantem mojego przekazu. Rozśmieszonym baranom łatwiej się wtłacza do łba te bzdety. Humor jest jak lubrykant. Bez niego też by weszło, ale po co narażać się na otarcia.

– Wiecie, dlaczego o nim mówię? Bo Jim to najlepszy sprzedawca, o jakim słyszałem. Opchnął swoim wyznawcom wizję cywilizacyjnego upadku. Przekonał ich do idei świata wyzwolonego od konsumpcjonizmu i podziałów społecznych. Opowiedział im bajeczkę o cudownej krainie, gdzie ludzie będą szczęśliwi. Sprzedał produkt, który nie istniał. Którego nawet nie było w zasięgu. Jim za pomocą słów zamordował ich racjonalizm. A potem zamordował swoich wyznawców, nakłaniając prawie tysiąc osób do zbiorowego samobójstwa.

W tym momencie moi uczniowie z reguły rozdziawiają japy. Kojarzą mi się wtedy z wiernymi na mszy. Z głupiutkimi owieczkami, które pozwalają, aby obcy, wystrojony w kolorową kieckę facet pakował im hostię do ust. Tymi brudnymi, parszywymi łapskami, które nie wiadomo czego wcześniej dotykały. Brzydziłbym się zrobić komuś coś takiego, a co dopiero pozwolić, żeby ktoś zrobił to mnie! To jest jak nieodwracalne oddanie inicjatywy. Formalna rezygnacja z godności. Bezwarunkowy akt głupoty. A za głupotę trzeba płacić.

– Żaden z was nie będzie tak dobry jak Jim. Nie łudźcie się. Ale zróbcie z niego benchmark, do którego nikomu nie będziecie się przyznawać. Wzorując się na niezłych sprzedawcach, możecie osiągnąć przyzwoite wyniki. Inspirując się Joem Girardem, Samem Waltonem czy Davidem Ogilvym, pewnie moglibyśmy dojść do poziomu szefa sprzedaży dużej międzynarodowej firmy. Ale dopiero naśladowując Jima, jesteście w stanie osiągnąć mistrzostwo. Poziom, na którym będziecie sprzedawać absolutnie wszystko.

Nazywam się Kacper Berger. Tym się zajmuję. Sprzedaję i uczę sprzedawać. Każdego tygodnia prowadzę kilka takich wykładów, szkoleń, lekcji – nazwijcie to, jak chcecie.

Chyba można powiedzieć, że jestem nauczycielem. Tyle że pracującym dla firm. Dla wielkich korporacji, które potrzebują mnie jak tlenu. Jak matka kontaktu z dzieckiem. Jak emeryt leków. Jak pryszczaty nastolatek sprawnej prawej ręki.

Oczywiście to tylko część mnie. Ważna, ale nie najważniejsza.

Zdecydowaną większość życia zawodowego spędzam w Warszawie, co wbrew pozorom nie jest takie skomplikowane. Każda firma ma jakiś oddział w stolicy albo uważa, że od czasu do czasu warto tu wysłać pracowników, nawet jeśli ten znany trener sprzedaży wydaje się przemądrzałym impertynentem, któremu po prostu nie chce się ruszyć dupy. To bardzo ułatwia życie. I nie, nie mam problemu z tym, że ponad dziewięćdziesiąt procent czasu pracy spędzam w okolicy Domaniewskiej, ronda Daszyńskiego, Dworca Centralnego albo Okęcia. Naprawdę mogłem trafić gorzej.

Logistyka jest ważna, dlatego najczęściej podróżuję taksówkami albo Uberem. Unikam przemieszczania się w godzinach szczytu. Pochlastałbym się, gdybym był jednym z tych chujów tkwiących w korkach, o których Adaś Miauczyński słuchał w radiu. Właściwie uważam, że trzeba być kompletnym kretynem, aby podróżować po Warszawie w okolicach dziewiątej i siedemnastej. Oczywiście ktoś taki jak ja – w pełni samodzielnie zarządzający swoim życiem zawodowym – może sobie pozwolić na komfort nieużytkowania miasta w tych godzinach. Ci, którzy nie mogą, powinni za wszelką cenę to zmienić. Uznać za priorytet. Za niezbędną warunek utrzymania równowagi psychicznej.

Mam dwa mieszkania: w Śródmieściu i pod Konstancinem. Po takich spotkaniach jak to – z głupawymi menedżerami średniego szczebla – z reguły wyjeżdżam za miasto. Muszę odreagować. Odetchnąć. Nabrać dystansu. A przy okazji sobie przypomnieć, dlaczego to wszystko robię.

Dojazd z centrum do Konstancina w godzinach przedwieczornych zajmuje około czterdziestu minut. Czasem wysiadam jakiś kilometr przed domem, żeby się przespacerować i poprawić krążenie. Mijam posiadłości, które pobudowali ludzie kilkanaście i kilkadziesiąt razy bogatsi ode mnie. W końcu widzę swoją. Skromną. Niedokończoną. Brakuje kostki na podjeździe, roślin w ogrodzie, kolorów na elewacji. Pewnie gdybym wiódł inny tryb życia, już dawno bym się tym zajął. W końcu trzeba dbać o pozory. Nigdy nie wiesz, kiedy uratują ci dupę.

Teraz powinienem opowiedzieć wam o wnętrzu domu. O nowiutkich, wyglądających na nieużywane meblach. O designerskich gadżetach. O dziewięciu

pokojach rozmieszczonych na dwóch piętrach. O czystości, o którą troszczyć się samodzielnie podczas kompulsywnych napadów sprzątanania. O zajebistej elektronice. O inteligentnej lodówce, w której zawsze, ale to zawsze znajduje się zapas whisky. Tylko kogo to obchodzi? Przecież nie interesuje was to, co piję i gdzie sram. Interesuje was to, co można znaleźć na poziomie minus jeden.

W moim królestwie.

To tam – w piwnicy – znajduje się druga część Kacpra Bergera. Ta ważniejsza. Najbardziej charakterystyczna. Najlepiej mnie wyróżniająca. Doskonale piękna.

To prawda, jestem przede wszystkim sprzedawcą marzeń. Ale czy fakt, że jednym je sprzedaję, ma oznaczać, że nie mogę zabierać ich innym? Marzeń o pięknym życiu, przystojnym mężu, mądrych dzieciach. Marzeń o dobrej pracy, byciu docenianym, lubianym i szanowanym. Marzeń o tym, że jakoś to będzie.

Oczywiście, że mogę.

Pewnie myślicie, że jestem potworem. Gadem obciążonym ludzką skórą. Pieprzonym faszystą, tyranem i sodomitą. Ale prawda jest taka, że jestem jednym z was. Zwyczajnym facetem w przededniu kryzysu wieku średniego. Wychowanym w tym samym miejscu i według tych samych wzorców. Ulepionym dokładnie z tej samej gliny. Może tylko oczekującym od życia nieco więcej. I rozumiejącym, że wszystko, co nas otacza, jest tylko fasadą, pod którą ukrywa się nasze prawdziwe „ja”. Spragnione ekstensywnego życia. Nieskrępowanego konwenansami. Nieograniczonego prawem. Budowanego w zgodzie z własnymi pragnieniami, a nie formatowanego według czyjegoś widzimisię.

Na początku będziecie mi zazdrościć. Może mnie nawet znienawidzicie. Ale z czasem zrozumiecie, o co w tym chodzi. Przyznacie mi rację. Zapragniecie stać się kimś takim jak ja. Pieprzonym Kacprem Bergerem. Młodym bogiem. Królem życia. Sprzedawcą.

To tylko kwestia czasu.

1

Urodziłem się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w Warszawie. Pochodzę z inteligentnej rodziny. Moja matka była nauczycielką, a ojciec...

Komu by się chciało tego słuchać? Wam? Mnie z pewnością nie.

Nie będę zanudzał was opowieściami o dzieciństwie, dorastaniu, polucjach i tym podobnych. Gdybyście byli prawdziwymi psychologami, a nie tylko domorosłymi wyznawcami Freuda, moglibyście z tego coś wyciągnąć. Ale bez odpowiednich narzędzi, wiedzy i nastawienia możecie tylko wyrządzić sobie krzywdę.

Dlatego opowiem, jak wygląda mój dzień.

Z przyczyn oczywistych nigdy nie nocuję w domu pod Warszawą. Zawsze wracam do Śródmieścia. Zawsze. Mam przytulny apartament na rogu Wspólnej i Emilii Plater – z oknami na skrzyżowanie, przy którym co wieczór sterczą dziwki. Traktuję go jak sypialnię. Spędzam w nim najwyżej osiem godzin dziennie. Często mniej, jeżeli moje prywatne obowiązki przeciągają się do godzin późnowieczornych albo nocnych.

Wstaję o czwartej trzydzięci. Zawsze. Nauczyłem się spać krótko i efektywnie. Poza tym uważam, że świat dzieli się na ludzi, którzy wstają wcześnie, oraz tych, których należy eksterminować. Dla obopólnego dobra. W ten sposób można by zredukować ruch uliczny i smog, ograniczyć rozbuchaną konsumpcję, zmniejszyć obłożenie samolotów i hoteli, skrócić kolejki do lekarza albo odciążyć serwery. Same plusy.

Wkładam bezprzewodowe słuchawki, odpalam na Spotify składankę z oldschoolowym rockiem i ćwiczę do piątej piętnaście. Nic wyszukanego: pompki, brzuszki, przysiady, rozciąganie. Byleby wyglądać i czuć się godnie. To ważne w moim zawodzie. Poza tym kiedyś byłem pryszczatym grubasem, którego ładne dziewczyny wytykały palcami. Ale nie będę rozwodzić się nad dzieciństwem.

Biorę prysznic, podczas którego dokładnie myję włosy. Mam długie pióra. Nie jak rockman z lat siedemdziesiątych, raczej w stylu australijskiego surfera: do ramion, najwyżej do łopatek. Uważam, że pasują do szerokiej żuchwy, którą przeważnie porasta dwu- lub trzydniowy zarost. Długie włosy to naoczny i nieusuwalny dowód

odwagi i świadomości własnego wyglądu – albo zwyczajnej głupoty, jeżeli wygląda się w nich jak klaun. Trzeba mieć jaja ze stali lub nierówno pod kopułą, aby pracując na styku biznesu, finansów i psychologii, paradować w surferskim uczesaniu. A ja nie uważam, żebym był świrem.

Suszę głowę, a następnie wsmarowuję kremy, które pomagają fałszować pesel: do ciała, przeciw zmarszczkom, pod oczy. Delikatnie pudruję twarz, aby przykryć drobne niedoskonałości. Muszę być ostrożny. Jeśli przesadzę z pudrem, będę wyglądał jak transwestyta. Nałożę za mało, to przy pierwszej stresowej sytuacji obleję się rumieńcem niczym pedofil w sklepie z zabawkami.

Kwadrans przed szóstą zaczynam się ubierać. W moim skromnym apartamencie tylko jedna rzecz robi wrażenie – garderoba. Nie znajdziecie u mnie gajerów od Armaniego, Hugo Bossa czy Gucciego. Strojenie się w ciuchy znanych projektantów jest najbardziej dobitnym świadectwem bezguścia i pozerskiej przynależności do elity. Najlepsi i najmądrzejsi ubierają się u własnych krawców. U prawdziwych wirtuozów miarki i maszyny do szycia. Kilka lat temu znalazłem gościa, który szyje gajery dla ponad trzydziestu bywalców listy najbogatszych. Jest jak chirurg plastyczny. Jak architekt spersonalizowanych powłok. Jak pierdolony Mozart. Mając klientów wycenianych przynajmniej na pół miliarda złotych, mógłby zrzucić mnie na drzewo. Ale dałem mu to, czego nie dostaje od innych – możliwość nieskrępowanego eksperymentowania. A do tego ciało, na którym każda rzecz wygląda dobrze. Na tyle dobrze, że uszyte na nie stroje może wrzucić do portfolio.

Tak więc wystrojony w gajer w gęstą grafitową kratę, w którym wyglądam tak, jakbym nosił na sobie marmur, o szóstej wychodzę z mieszkania. Pod domem mam kawiarnię, w której obsługują mnie chwilę przed otwarciem. Chwytam podwójne espresso, bez cukru i bez mleka, i wsiadam do taksówki, która czeka na mnie od dziesięciu minut. Jadę do pracy.

O szóstej dwadzieścia wysiadam pod Warsaw Spire, dwustudwudziestometrową wieżę, która stała się nowym biurowym symbolem Warszawy. Wjeżdżam na trzydzieste szóste piętro. Wchodzę do biura firmy Cloud. To polski oddział brytyjskiego producenta oprogramowań, młodszego i uboższego brata gigantów pokroju Microsoftu, Google czy IBM. Jestem w nim wiceprezesem do spraw sprzedaży. Pomagam tworzyć strategię sprzedażową, nadzoruję pracę dyrektorów oddziałów handlowych i od czasu do czasu prowadzę szkolenia – w końcu w tym jestem najlepszy. Dostaję za to osiemdziesiąt pięć tysięcy złotych miesięcznie. To

daje ponad bańkę rocznie. Korporacje zabijają się o sprzedawców. Gotowe są płacić im krocie. A najlepszym pozwalają pracować na takich warunkach, jakie oni tylko sobie wymyślą.

Z reguły jestem pierwszą osobą w biurze. Kolejna pojawia się niecałe pół godziny później, a zarząd schodzi się dopiero przed dziesiątą. Leniwe skurwysyny. Właściwie w niczym mi to nie przeszkadza. Właściwie mnie to cieszy. Wyobraźcie to sobie. Pedantycznie czyste biurko z dwudziestosiedmiocalowym ekranem nowiutkiego iMaca. Widok na biznesową część Warszawy z trzydziestego szóstego piętra nowoczesnego wieżowca. W tle ciche, monotonne, praktycznie niezauważalne buczenie klimatyzatora. Idealne warunki, aby zacząć zarabiać pieniądze.

Wiecie już, że jestem trenerem sprzedaży i wiceprezesem korporacji. Jeszcze nie wiecie, że jestem także graczem. Albo inwestorem – nazwijcie to, jak chcecie. W każdym razie uwielbiam spekulować. Zabawiać się akcjami polskich i amerykańskich spółek. Szukać trendów, przecen, korekt. Śledzić, co się dzieje na NASDAQ i jak to się przekłada na Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie. Ale przede wszystkim uwielbiam wychwytywać z tych wszystkich komunikatów giełdowych, analiz i komentarzy to, co jest naprawdę istotne. Emocje. To z nich można się najwięcej dowiedzieć.

Jak już się połapiecie w tych dziwnych nazwach i opcjach inwestycyjnych, to ten świat staje się dziecinnie prosty. Giełda nie polega na podglądaniu wykresów i wgrzaniu się w raporty kwartalne, ale sprowadza się do obserwowania życia najbardziej wpływowych tego świata. Zupełnie jak w jakimś reality show. W obiegu znajdują się bowiem nie walory spółek, tylko akcje właścicieli. To ich nerwy, nadzieje i sentymenty są przedmiotem spekulacji. To z nich trzeba umieć wyciągać wnioski. Gra na giełdzie przypomina wirtualny handel najbogatszymi ludźmi na Ziemi.

Zabawa w inwestora i gromadzenie informacji na temat świata zajmują mi zwykle około trzech godzin, w trakcie których zjadam proste śniadanie i wypijam dwie następne kawy. Kiedy zaczyna się właściwy biurowy dzień i te wszystkie leniwe ćwoki dopiero ściągają śpiochy z oczu, ja jestem ostry jak brzytwa. Przygotowany, rozbudzony, doedukowany. Każdego z tych pajaców wyprzedzam o kilka długości. Mam pełny przegląd sytuacji, podczas gdy oni niefrasobliwie łykają nieuporządkowane strzępy wiedzy. Dlatego gdy dochodzi do konfrontacji, zgniatam ich błyskotliwością i erudycją.

A teraz wyobraźcie sobie, że zdarza się to codziennie. Każdego poranka. W każdej

rozmowie. Przyjemnie jest być tak cholernie dobrze zorganizowanym.

Pewnie się zastanawiacie, dlaczego ten mądrała to wszystko opowiada. Czy z tej jednostajnej symfonii przechwałek wypłynie w końcu jakiś morał. A więc słuchajcie uważnie, drogie dzieci, bo nie będę się powtarzać.

Otóż każdy popełnia błędy. Nawet ktoś taki jak ja.

A wtedy robi się nieprzyjemnie.

* * *

Mój błąd miał jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Stroił się w ciuchy znalezione na promocjach w galeriach handlowych. Nosił fryzurę podobną do mojej, choć ze zdecydowanie mniej korzystnym efektem. Starał się nie zatruwać otoczenia negatywizmem, ale rzadko mu się to udawało.

Mój błąd był kobietą.

Mój błąd nazywał się Maria Falk. Komisarz Maria Falk.

Jeśli chciała, potrafiła być piękną kobietą. Książkowo piękną. Miała symetryczną twarz, idealną cerę, duże oczy. Była szczupła i wysportowana. Tylko co z tego, skoro, po pierwsze, kompletnie nie zależało jej na tym, żeby faceci ślinili się na jej widok, a po drugie – nie miała w sobie za grosz seksapilu. Żadnej charakterystycznej cechy. Żadnego punktu zaczepienia, który by ją wyróżniał. Może z wyjątkiem zadziwiająco małych cycków i zadziwiająco płaskiego tyłka, lecz te działały wyłącznie na jej niekorzyść. Przypominała przez to modelkę po mastektomii.

Kiedy ja zarabiałem pieniądze, Maria siedziała naprzeciwko swojego całkowitego przeciwieństwa: dwudziestoparoletniej laski, która wyglądała tak, jakby zerwała się z rury w nocnym klubie. Duży, wywalony na zewnątrz cyc, powiększone kwasem hialuronowym usta, farbowane blond loki. I jeszcze, kurwa, to imię: Mariola. Wprost stworzone dla dupy gangstera, na którego Maria zagięła parol.

– Co by pani zrobiła na moim miejscu? – zapytała Mariola, pociągając nosem.

– Na razie nic. – Maria miała głos adekwatny do wyglądu: zdecydowany i rzeczowy. Zimny. – Pani mąż dopiero trafił do aresztu. Jeszcze nie wiadomo, co się z nim stanie.

– Jak to nie wiadomo?

– Wszystko zależy od jakości dowodów i skuteczności prokuratora.

– Przecież on zabił człowieka.

– Zlecił zabójstwo. Do skazania jeszcze daleka droga. Nie chcę pani robić nadziei,

bo już nieraz widziałam przypadki, w których tacy ludzie wychodzili na wolność.

– To co ja mam, kurwa, zrobić?

Dobre pytanie. Nawet ktoś tak rozgarnięty jak Maria nie znał odpowiedzi. Ta upierdliwa policjantka miała jedną paskudną cechę. Była empatyczna. Chorobliwie angażowała się w problemy swoich klientów i naprawdę próbowała je rozwiązać. Konstrukcja psychiczna nie pozwalała jej odpuścić. Zapomnieć o tych beużytecznych larwach. Nawet jeśli wymagało to od niej użerania się z tępą sikszą, która myślała, że jej księżę na białym koniu, rypiący na boku dziesiątki takich jak ona, zarobił na jej efektowny apartament na Powiślu i luksusową betę, pracując w komisie samochodowym kumpla z podstawówki.

– Jak dużo pani wie o interesach męża? – spytała Maria.

– Niewiele. Nic mi nie mówił, a ja nie chciałam być wścibska.

– Nie pytam, żeby wkleić pani współdział. Chcę tylko ocenić zagrożenie.

Blondyna długo rozmyślała nad słowami Marii. W końcu bezradnie wzruszyła ramionami.

– Podejrzywałam, że nie wszystko, co robi, jest legalne. Czasem przynosił do domu sporo pieniędzy w gotówce. Bywał podenerwowany. Słyszałam kilka rozmów, w których komuś groził. Ale nie miałam pojęcia, co robi ani z kim.

Maria uważnie się jej przyglądała. Wierzyła, że dziewczyna mówi prawdę. Wierzyła w jej bezdenną głupotę.

– Różnie układa się los takich kobiet – powiedziała. – Czasem dostają ochronę od kumpli swojego faceta i mogą dalej wieść dostatnie życie, jeżeli zagwarantują, że będą wiernie czekać na powrót ukochanego. Czasem trafiają pod skrzydła któregoś z jego kolegów. A czasem muszą wymyślić siebie na nowo. Znaleźć jakieś zajęcie. Pójść do pracy. – Spojrzała na kubek z misiem, z którego siksa popijała herbatkę owocową. – Pani w ogóle kiedyś pracowała?

Dziewczyna pokiwała głową.

– Byłam kelnerką w lokalu na Nowym Świecie. To tam poznałam Marcina.

– Pomyślałabym o powrocie do tego zajęcia. Wydaje mi się, że ma pani... predyspozycje. Jakieś oszczędności?

– Marcin co miesiąc przelewał mi pieniądze na życie. Zostało mi kilka tysięcy złotych.

– To radzę je wypłacić, zanim ktoś się nimi zainteresuje, i wynająć jakąś kawalerkę. Najlepiej z dala od tego miejsca. Może nawet w innym mieście. To dobry

moment, żeby się usamodzielnic. Zapomniec o ostatnich paru latach i spróbować jeszcze raz wejść w dorosłość. Rozumie pani, o czym mówię?

Ponownie pokiwała głową. Ale zupełnie bez przekonania.

Kiedy Maria opuściła to urocze gniazdko urządzone za hajs z haraczy, prostytutce i cholera wie czego jeszcze, siarczyście zakłęła. Miała trzydzieści osiem lat. Niemal połowę życia spędziła w policji. Myślała, że widziała już wszystko – matki topiące noworodki, ojców gwałcących synów, nastoletnich nerdów mordujących starych, którzy nie pozwolili im grać na komputerze. Mimo to wciąż się dziwiła, że ludzie mogą być aż tak głupi. Aż tak naiwni. Aż tak krótkowzroczni. Jakby przeczyli teorii ewolucji.

Przyjechała do tej tępej dzidy powodowana irracjonalną chęcią pomocy bliźniemu, ale po cichu liczyła na to, że coś z niej wyciągnie. Że dowie się czegoś na temat interesów Marcinka, który pewnego pięknego czerwcowego dnia poczuł się poważnym gangusem i zlecił zabójstwo faceta, który mu bruździł. Że zdobędzie jakieś merkantylne uzasadnienie dla poświęcenia Marioli dwóch godzin. Ale jedyne, co uzyskała, to namiary na dobrego fryzjera na Pradze.

Zjechała windą na parter i wyszła przed blok. Zatrzymała się. Obmacała kieszenie. Kilka lat temu rzuciła palenie, ale w takich momentach zawsze miała ochotę zająrać. Było to jak odruch Pawłowa. Tik, którego nie potrafiła się wyzbyć. Była o krok od wydębienia papierosa od jednego z przechodniów, gdy poczuła wibrowanie telefonu. Spojrzała na wyświetlacz. Wiesław Papszon, szef Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Jej szef.

– Za piętnaście minut będę na komendzie – powiedziała na powitanie.

– To dobrze – odparł zachrypniętym głosem Papszon. – Musisz kogoś poznać.

– Kogo?

– Nowego partnera.

– Kiepsko sobie radzę z pracą zespołową.

– Najwyższy czas to zmienić. Kroi się nowa sprawa i chcę, żebyś się tym zajęła.

Razem z tym gościem.

– Z kim? I co to za sprawa?

– Przestań, kurwa, zadawać tyle pytań. Przyjedziesz, to się dowiesz.

Maria pożądliwym wzrokiem odprowadziła dziewczynę z papierosem i ruszyła do samochodu.

W każdym korpo zarząd wygląda mniej więcej tak samo. Jest prezes, którego wszyscy nienawidzą. Jest wiceprezes, który włązi w dupę prezesowi, po cichu licząc na to, że kiedyś go wygryzie. I jest kilku wiceprezesów, których nikt w firmie nie zna i bez których spółka spokojnie mogłaby istnieć.

Na szczęście nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii.

Dzięki temu, że prowadzę szkolenia, udzielam się w mediach, a przez pewien czas realizowałem całkiem popularny kanał na YouTube, ludzie mnie kojarzą. Wiedzą, że dołączyłem do firmy pół roku temu, wnosząc do niej kaganek oświaty sprzedażowej i gigantyczne ego. Wiedzą, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. Wiedzą, że zgarniam kupę szmalu, na który ich zdaniem nie zasługuję. Na ich miejscu też bym tak myślał.

Kiedy już odwaliłem inwestycyjną prywatę, poszedłem na spotkanie z prezesem. Nazywam go Skodą. Bo jest jak Škoda (tak, ten producent samochodów). To niewyróżniający się niczym szczególnym czterdziestoparoletni Brytol. Gdyby nie równo przystrzyżona broda i wystylizowana grzywka, wyglądałby jak luj spod stadionu. Nie ubiera się jak szef regionalnego oddziału jednej z największych korporacji świata – w ciągu pół roku widziałem go w zaledwie czterech nędznych garniturach, pewnie kupionych na wyprzedazy w jakiejś sieciówce. Nie imponuje błyskotliwością, wiedzą ani charyzmą. Jest zupełnie nijaki. Jak Škoda.

W dodatku to pierdolony neokolonialista. Mniejsza o to, że w ciągu pięciu lat, odkąd został wytransferowany z londyńskiej centrali Clouda na wschodnioeuropejskie wygwizdowo, nie nauczył się mówić po polsku. Prawdziwym problemem jest to, że próbuje to robić. Rozmawia ze swoimi podwładnymi łamaną polszczyzną, bo najwyraźniej uważa, że zatrudnieni przez niego Polacy są zacofani. Że wystarczy władać ułamkiem języka tych dzikusów, aby się z nimi w pełni porozumieć. Jaśnie, kurwa, pan. Miłościwie nam panujący przybysz z za morza.

Na szczęście ze mną rozmawia po angielsku. Jedynie wita się po polsku.

– Czeszc! – zatrzeszczał, kiedy wszedłem do jego gabinetu.

Odpowiedziałem Skodzie zdawkowym uśmiechem, podałem mu grabę i usiadłem na skórzanej kanapie, na której podejmuje gości. Omiotłem wzrokiem jego biurko, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. Niedopita kawa mogła sugerować, że albo nie dał rady włączyć w siebie czwartej tego dnia filiżanki, albo nie zdążył dopić pierwszej. Obstawiam to drugie.

– Przygotowałem dla ciebie raport – oznajmiłem, kładąc kilkanaście spiętych

zszywaczem kartek na niskim szklanym stoliku. – To sprzedażowe podsumowanie pierwszego półrocza.

– Great! – ucieszył się Skoda. – Jakie są główne wnioski?

– Tylko jeden. Jest dobrze. A nawet bardzo dobrze.

Takie spotkania nazywa się ewaluacjami. Inaczej mówiąc: oceną roboty. Kogoś takiego jak Skoda interesują jedynie wyniki sprzedaży. Zagląda do excelowego arkusza i stwierdza, o ile wzrosła lub zmalała względem ostatniego kwartału czy roku. Dopiero potem się zastanawia – albo i nie – co o tym zdecydowało. Natomiast kogoś takiego jak ja sprzedaż głównie obchodzi. Liczy się tylko retencja wśród regionalnych szefów sprzedaży, czyli zdolność do zatrzymywania pracowników. Jeżeli retencja jest wysoka, to znaczy, że ludzie wierzą w Kacpra Bergera. Wpatrują się w niego jak w obrazek. Traktują jak sprzedażowego guru.

Pewnie są ważniejsze wskaźniki efektywności mojej pracy, ale ten jest niewątpliwie kluczowy dla mojego ego.

– W pierwszym półroczu sprzedaż wzrosła o jedenaście procent rok do roku. Szczególnie cieszy dodatni wynik w segmencie enterprise, który przez kilka poprzednich kwartałów malał. Poza tym udało mi się rozruszać kategorie produktowe, które do tej pory były dla naszych handlowców czarną magią. I to redukując łączny koszt funkcjonowania całej struktury sprzedażowej o pięć procent.

Żeby była jasność: nie mam pojęcia, czy to, co mówię, jest prawdą. Nie przygotowałem tego raportu (na tym stanowisku każdy ma jakiegoś przydupasa). Nawet go nie przeczytałem, a jedynie przekartkowałem, żeby pi razy drzwi wiedzieć, co tam jest. Wyłapałem kilka liczb, którymi teraz rzucam z pamięci. I wiecie co? To w zupełności wystarczy. Skoda nigdy nie zajrzy do tego raportu.

– Zajebiszcie! – stwierdził, ponownie kalecząc polski. – Choć muszę ci powiedzieć, że w ogóle nie jestem zaskoczony. Pokładałem w tobie spore nadzieje, bo wiedziałem, że dasz radę.

To fakt, wiedział. W przeciwnym wypadku nie zgodziłby się na moje warunki. Bańka rocznie. Zarabiam sporo więcej od jego giermka i niewiele mniej od samego Skody. A jeśli doliczyć wszystkie bonusy, być może nawet go przerastam.

– Dobrze ci tutaj? – zapytał.

– Nie narzekam.

– Tylko tyle? Nie narzekam?

– Nie chcę popadać w hurraoptymizm. Pół roku to niewiele czasu. Po pół roku

rzeczy lubią się zacząć pieprzyć.

Mówię to, co Skoda chce usłyszeć. Że żaden ze mnie zadowolony z siebie fafarafa. Że nie zamierzam kozaczyć, tylko ciężko pracować. Że wiąże z tą firmą wielkie nadzieje. Wszystko oczywiście jest nieprawdą.

– To fakt. – Skoda pogłodził się po równo przyszywanej brodzie. – Twoje przyście było sporym wydarzeniem w Cloudzie. Wjechałeś do firmy jak bohater komiksu Marvela.

Zaśmiał się, a ja razem z nim.

– Jestem sprzedawcą – powiedziałem. – Lubię efektowne wejścia.

– I dobrze. Cieszę się, że się odnalazłeś. I absolutnie nie mam problemu z tym, w jaki sposób pracujesz. Ale... – zawahał się – dla niektórych twój ekspansywny styl może być nieco onieśmielający.

A więc o to chodzi. Przydupas Skody boi się, że go wygryzę. Dlatego poszedł do swojej pańci na skargę. W efekcie Skoda też zaczął trząść portkami. Bo skoro i tak zarabiam tyle co prezes, to dlaczego nie miałbym formalnie nim zostać?

– Co sugerujesz? – zapytałem.

Skoda rozłożył ręce. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie przychodziło mu to łatwo.

– Przydałoby się trochę powściągliwości – wykrztusił w końcu. – Przynajmniej na spotkaniach zarządu.

– Jak mam to rozumieć?

– Nawet jeśli jesteś bardziej utalentowany od pozostałych, mógłbyś tego tak ostentacyjnie nie okazywać. Wystarczy, że będziesz przychodził na czas. Mógłbyś także nie kłaść nóg na stole podczas spotkań. I trochę częściej zabierać głos, zamiast gapić się w telefon. Nie zrozum mnie źle. – Pochylił się do przodu. – Nie mam nic przeciwko tobie ani twojemu sposobowi bycia. Ale jako prezes zarządu muszę dbać o to, aby moi najbliżsi współpracownicy dobrze ze sobą żyli. Żeby się nie antagonizowali. To arcyważne zarówno dla mnie, jak i dla naszych właścicieli.

No tak, Skoda sam by nie wpadł na taką gadkę. Tydzień temu był na spotkaniu w Londynie. Ktoś z centrali musiał zauważyć, że jest miękką fają, która pozwala sobie włożyć na głowę. Być może usłyszał zawołaną groźbę, że jeśli nie stanie się prawdziwym przywódcą tej regionalnej pipidówki, to kimś go zastąpią. Na przykład kimś takim jak ja.

– Rozumiem – powiedziałem. – Postaram się nad tym popracować.

Postaram się. W wolnym tłumaczeniu: spierdalaj. Najlepiej w podskokach.

Pożegnałem się i wyszedłem z biura. Wróciłem do siebie. Zamknąłem drzwi, żeby zrobić Skodzie na złość – od tygodni trąbi w firmowych newsletterach, że każdy członek zarządu jest otwarty dla innych pracowników, czego symbolem mają być otwarte drzwi do gabinetów. Czysty idiotyzm. Spojrzałem na zegarek. Jedenasta. Jeszcze dwie godziny i stąd spieprzam. Muszę się zwinąć, zanim miasto utonie w korkach. Kiedy jestem rozsierdzony, trudniej przychodzi mi przestawianie trybów. Czyli stawanie się tym drugim Kacprem.

Tym, którego zdecydowanie bardziej lubię.

* * *

Zapalenie dziąseł. Paradontoza. Próchnica. Suchy zębodół. Nowotwór. Albo po prostu chujowa higiena.

Maria Falk wielokrotnie się zastanawiała, dlaczego Wiesławowi Papszonowi tak cuchnie z ust. Skąd wzięła się ta cholerna halitoza, którą terroryzuje podwładnych. Czasem patrząc na jego gębę – sfatygowaną, przebarwioną i zdradzającą oznaki fatalnego prowadzenia – dochodziła do wniosku, że dziadyga po prostu nie myje zębów. A czasem myślała, że stopniowo i flegmatycznie rozpada się na jej oczach, a cuchnący oddech jest tylko jednym z etapów rozkładu.

Tak czy inaczej, odruchowo się odsunęła, kiedy Papszon zbliżył się do biurka i położył na nim zdjęcie.

– Nazywa się Renata Jaroszewicz – powiedział naczelnik. – Ma dwadzieścia dwa lata. Pochodzi z Łowicza. Studiuje etnologię i antropologię kulturową na Uniwersytecie Warszawskim. W porę się połapała, że nie będzie z tego roboty, dlatego od ponad roku pracuje jako specjalistka do spraw HR w Dangillu. Matka Renaty nie mogła się z nią skontaktować, więc w końcu zgłosiła zaginięcie. Dzisiaj udało się ustalić, że ostatni raz widziano ją pięć dni temu.

Maria nabrała powietrza w płuca i pochyliła się nad biurkiem. Dziewczyna ze zdjęcia miała burzę blond włosów, szeroki uśmiech i cycki wylewające się z bluzki. Była jej doskonałym przeciwieństwem.

– Ma faceta? – spytała.

– Miała. Rozstali się miesiąc temu. Gość ma alibi: od dwóch tygodni przebywa na Helu. Podobno pływa na desce z nową dziewczyną, więc chyba nie przejął się rozstaniem.

– Wrogowie?

– Raczej nie. Była ciężko pracującą dziewczyną, która przyjechała do stolicy, żeby coś osiągnąć. Koleżanki wypowiadają się o niej wyłącznie pozytywnie. Lubi imprezować, ale podobno robi to z głową.

– Gdzie ona mieszka?

– Na Ochocie. Jej współlokatorki twierdzą, że nie wspominała o wakacyjnym wyjeździe. Poza tym nie zabrała z domu żadnych ciuchów ani kosmetyków.

– Czyli według ciebie została uprowadzona?

– Chuj wie. Ale twój nowy partner tak twierdzi.

– A gdzie on jest?

Kiedy wypowiedziała te słowa, rozległo się pukanie do drzwi. Chwilę później w biurze naczelnika pojawił się mniej więcej czterdziestoletni brunet z ogorzałą twarzą i niechlujną grzywką.

– Poznaj starszego aspiranta Olega Gusiewa – powiedział Papszon. – To prawdopodobnie jedyny człowiek w tym kraju, który zrezygnował z piętnastu tysięcy złotych pensji, aby pracować w policji.

– Oleg. – Brunet przywitał się z Marią, ściskając jej dłoń. – Nigdy tyle nie zarabiałem.

– Kiedyś pracował jako informatyk, ale w pewnym momencie znudziło mu się klepanie kodu – wyjaśnił Papszon. – Dołączył do policji jako analityk. Z czasem zmienił specjalizację. Od kilku lat pracuje w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym.

– A konkretnie od siedmiu. – Oleg uśmiechnął się do Marii. – Siedmiu miesięcy.

– To mózgowiec – kontynuował Papszon, opowiadając o Olegu tak, jakby nie było go w pomieszczeniu. – Lubi cyferki i jest spostrzegawczy. Zauważył coś niepokojącego, co ma związek z tą dziewczyną. – Naczelnik wskazał palcem zdjęcie.

Oleg usiadł na skrzypiącym krześle. Uśmiechnął się do Marii, ale jej surowe spojrzenie szybko starło mu uśmiech z gęby.

– To nie pierwszy taki przypadek – wyjaśnił. – Od kilku lat w Warszawie znikają młode kobiety.

– Co to znaczy, że znikają? – spytała Maria.

– Przepadają jak kamień w wodę. Schemat zawsze jest taki sam. Zaginionymi są dwudziestoparoletnie blondynki, które przyjechały tu na studia. Żyjące w zupełnie normalny sposób: uczące się, pracujące, imprezujące. W pewnym momencie znikają bez śladu. Nikt nie wie kiedy, gdzie ani dlaczego.

– Ile takich przypadków znalazłeś?

– Trzy na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Renata Jaroszewicz jest czwarta.

Maria zerknęła na Papszona.

– Dlaczego o tym nie słyszałam?

– Prawdopodobnie przez psychologię – wyjaśnił naczelnik. – Nie ma żadnych dowodów, że te dziewczyny zaginęły w Warszawie. Nie były tu zameldowane i często jeździły w rodzinne strony. Nikt nie potrafił jednoznacznie wskazać, gdzie urywają się ślady, a przez to nie było chętnych, aby zająć się tematem. A prawda jest taka, że dopóki nie ma trupa, trudno takiej sprawie nadać odpowiedni bieg.

– Rodziny tych dziewczyn apelowały o pomoc, ale nie przebiły się ani w policji, ani w mediach – wyjaśnił Oleg. – Każda z tych kobiet znajduje się w bazie osób zaginionych. W każdej sprawie toczą się postępowania poszukiwawcze. Wszyscy rodzice próbują także działać na własną rękę. Ale do tej pory nikt nie skojarzył, że te sprawy mogą być ze sobą powiązane.

– Co podejrzewasz? – zapytała Maria.

– Handel ludźmi. Albo serię zabójstw.

– Albo dziwny zbieg okoliczności – włączył się Papszon. – Sprawa na razie jest dość mglista, więc nie będziemy stawiać całej komendy na nogi. Zaczniemy od dwuosobowego międzywydziałowego zespołu, który sprawdzi, o co w tym chodzi. –

Spojrzał na zegarek. – Zostawcie wszystko, czym się do tej pory zajmowaliście. Startujecie od zaraz.

Maria hipnotycznie wpatrywała się w mocno speszzonego Olega. Potem ponownie spojrzała na zdjęcie. Renata. Lat dwadzieścia dwa. Mądra, pracowita i imprezująca. Ładna i niestroniąca od mężczyzn. Mogło ją spotkać wszystko. A na pewno wszystko, co złe.

W głowie Marii zaczęło świtać, że najbliższe miesiące mogą być znacznie mniej przyjemne, niż to sobie wyobrażała. Choć wcale nie miała wygórowanych oczekiwań.

Kiedyś życie było bardziej skomplikowane. Żeby skołować dragi, musiałem obdzwonić kilka osób, używając całej masy dziwnych sformułowań, takich jak pancz (od panczenlamy) czy prynt (chuj wie skąd), zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Kiedy w końcu znalazłem gościa, który był w stanie mi pomóc, musiałem zorganizować transport, żeby pojechać z nim po temat. Czasem zabierało to pół dnia: najpierw diler spóźniał się o godzinę, potem jego dostawca o dwie, a jeszcze obu trzeba było gdzieś wozić. Pół dnia, żeby spalić w pięciu dwa gibony, strzelić po piwku i wrócić do domu, a tam, będąc na wpół upalonym i na wpół śpiącym, obejrzeć jakiś film z torrentów.

Teraz – może za sprawą hajsu, a może po prostu czasy się zmieniły – wszystko stało się proste. Dilerzy chodzą jak w zegarku. Zawsze przygotowani i wyposażeni. Niektórzy łyknęli jakieś podstawy sprzedażowe, a przynajmniej naoglądali się coachingowych występów na YouTube. Większość realizuje dowozy. Gdybym chciał, to podrzucaliby mi towar do łóżka. W zębach, bez spodni i klaszcząc jak foka.

Chwilę po trzynastej usiadłem na jednej z ławek na Polu Mokotowskim. Gapiłem się na młode matki w legginsach, które w to piękne lipcowe popołudnie połączyły wyprowadzanie bachorów z jakąś jogą, fitnesssem czy chuj wie czym. Dotarłem tam kwadrans przed czasem, ale nie musiałem długo czekać. Diler – nazywam go Makiem, bo wygląda jak Ewan McGregor w *Trainspotting*: krótko ostrzyżony ryży łeb, tępe ryło – również się sprężył. Może nawet za bardzo. Przyłazł na spotkanie wystrojony w przykrótką zieloną marynarkę. Ostatnio pojawił się w dresie, więc poprosiłem, aby następnym razem ubrał się mniej przypałowio. Ale czegoś takiego się nie spodziewałem.

– Niezła, co? – powiedział, jakby słyszał moje myśli. – Zajebałem bratu.

Przybiliśmy piątki, udając starych kumpli, a potem przez kilka sekund musiałem patrzeć, jak Mak się przede mną puszy. On naprawdę myślał, że w tym czymś wygląda dobrze. Chryste Nazareński!

– Co masz? – zapytałem, żeby nie przeciągać tego żenującego spektaklu.

– Wszystko i jeszcze trochę.

Usiadł obok mnie. Położył torbę na kolanach. Wyciągnął teczkę na dokumenty. W środku znajdował się gruby plik spiętych ze sobą kartek. Do niektórych przymocowane były tytki z tabletkami albo białym proszkiem. To był mój pomysł. Chciałem, żebyśmy wyglądali na dwóch korposzczurów, którzy wyrwali się na moment z roboty, aby omówić jakiś bzdurny projekt – na przykład pomysł na wspólny biznes. Plan był dobry. Ale nie uwzględniłem tego, że Mak wystroi się w czyjeś ciuchy ze studniówki.

– Na każdej kartce masz opis substancji, która jest do niej przypięta, więc byłoby dobrze, gdybyś ich nie pomieszał. Zresztą sam zobacz. – Przekazał mi teczkę. – Najpierw jest aperitif: dziesięć gramów bardzo przyzwoitego weedu. Testowałem go parę godzin temu i wciąż jestem nieźle potupany. Pod nim znajdziesz danie główne: dziesięć gramów kokainy i piętnaście pigułek MDMA. A na spodzie masz tabletki z klonazepamem i tetrazepamem, na zwiotczenie mięśni i pogodę ducha. Lepiej nie łączyć ich z pozostałymi dragami.

– Co ty nie powiesz!

– Nieźle się nakombinowałem, żeby to zdobyć. Z paleniem, koksem i pigułkami nie było problemu, ale żeby ogarnąć te rozluźniacze, musiałem pogadać ze znajomym lekarzem. Po co ci to wszystko?

– Po coś. Nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz.

– Tylko żebyś potem nie narzekał, że dostałeś jakiś szajs.

– Nie będę narzekał. To nie dla mnie.

– Masz kumpla, który lubi psychotropy?

– Powiedzmy.

– To przekaż mu, żeby uważał. Przy tym łatwo można się posrać. Dosłownie.

– Uwierz, że też bym tego nie chciał.

Mak zapalił papierosa. Wydmuchując dym, wyciągnął przed siebie rękę i wskazał palcem jedną z matek.

– Nieźła *milf* – powiedział. – Ostatnio wyhaczyłem podobną na Odlotach. Dam ci namiar, jeśli chcesz.

Lubiłem Maka, ponieważ był najbardziej ogarniętym dilerem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Mimo to notorycznie mnie wkurwiał. Na przykład teraz. Tym kretyńskim mierzeniem ludzi swoją miarą. Myśleniem, że mógłbym mieć ochotę wyruchać pannę, którą sam wcześniej obrócił. Przez większość czasu

rozumiał, że jest tylko nędznym padawanem, którego życiową rolą jest nieinwazyjne umiłanie czasu ludziom takim jak ja. Ale niekiedy zdarzały mu się takie niewypały.

– Ile za to chcesz? – zapytałem, zmieniając temat.

– Normalnie krzyknąłbym za taki zestaw cztery tysie. Od ciebie wezmę trzy i pół.

Narkotyki, a w szczególności kokaina, to wysokomarżowy biznes. Wytworzenie ich kosztuje grosze, znacznie mniej niż wyprodukowanie kosmetyków czy leków. Koszty transportu, wprowadzenia towaru na rynek i dystrybucji są spore, ale nie trzeba ponosić opłat związanych z obsługą prawną i rejestracją produktów. Łapówek nie liczę, ponieważ w tradycyjnym biznesie też są potrzebne – choć zwykle nazywa się je lobbuingiem. A do tego permanentna wolność podatkowa. Kiedy płacę takim chłystkom po kilka kafli, zawsze myślę o tych, którzy znajdują się nad nimi w łańcuchu pokarmowym. O ich szefach. Oraz szefach ich szefów. O tych wszystkich baronach, którzy z ukrycia zawiadują tym gigantycznym rynkiem. Zastanawiam się wtedy, czy się nie przebranzowić. Jednak świadomość, że musiałbym się użerać z całą chmarą gamoni z narkośrodowiska, skutecznie mnie zniechęca.

– Wiesz, że jeszcze nigdy nie powiedziałem ci nic miłego? – zapytałem, wręczając Makowi swoją teczkę. Teczka za teczkę. Lifestyle za lifestyle.

– Płacisz mi. To w zupełności wystarczy.

– Chciałbym, abyś wiedział, że szanuję cię za to, co robisz. Za to, że wybrałaś inną drogę niż twoi rówieśnicy. Mógłbyś tak jak większość pójść na studia, trafić do korporacji i zarabiać śmieszne pieniądze, robiąc mało istotne rzeczy. Ale miałeś wystarczająco duże jaja, żeby wybrać zajęcie, które pozwala ci w miarę godziwie żyć.

– Wstałem. Spojrzałem z góry na Maka, który dyskretnie przeliczał pieniądze. – To, co robisz, jest na swój sposób rebelianckie. Gdyby nie światoburcy, nadal byśmy się napierdalali maczugami po głowach. A tak możemy się spotykać w pięknym zielonym kompleksie w centrum miasta, gapić na wysportowane dupy, które cykają sobie fotki iPhone'ami, i właczać do organizmu baśniowe elementy.

Mak gapił się na mnie, jakbym nagle zaczął nawijać w suahili.

– Dałeś mi o kafla za dużo – powiedział.

– Kup sobie coś ładnego. Najlepiej marynarkę.

Chciał jakoś odpowiedzieć. Odburknąć. Splunąć jakąś złośliwością. Ale że ekonomicznie go zniewoliłem, posłał mi tylko sztuczny uśmiech, obracając w swoim małym mózdzku moją jadowitość w żart.

Ruszyłem w stronę ulicy Batorego. Po drodze wyjąłem telefon i zamówiłem

transport do domu. Korciło mnie, żeby zostać tam jeszcze chwilę. Żeby się ponapawać pogodą. Żeby wrzucić na luz i poczuć się przez moment jak nierób, który całymi dniami szlaja się po parku. Ale nie miałem na to czasu.

Nie żyję po to, aby odpoczywać.

Żyję, aby działać.

* * *

Wspominałem, że Maria ma obsesję na punkcie kontroli? I to jeszcze jaką! Stara się trzymać w ryzach – czy raczej pod butem – wszystkich i wszystko, co tylko się da. Od zawsze. A przynajmniej odkąd stała się w pełni świadomą kobietą. Rozumiejącą, że nie ma walorów estetycznych, którymi mogłaby modelować rzeczywistość, przez co musi to robić za pomocą intelektu, stanowczości i niewyparzonej gęby.

Jej obsesja kontroli często objawia się w nieracjonalnych momentach. Na przykład teraz, kiedy się uparła, że to ona będzie prowadzić, zamiast usiąść wygodnie w fotelu pasażera i zapoznać się z notatkami Olega. Nie zamierzała oddać lejców nieznanemu. Nie mogła pozwolić, aby jakiś średnio rozgarnięty koleś decydował o jej życiu, zapieprzając ze Śródmieścia na Ochotę. Ale przede wszystkim nie chciała, aby Oleg uznał, że w tym nowo utworzonym duecie ma coś do gadania.

– Opowiedz mi o tych dziewczynach – powiedziała, kiedy utknęli na światłach przy stacji metra Ratusz Arsenał.

Oleg zerknął w jej stronę, a następnie otworzył folder, który trzymał na kolanach.

– Jako pierwsza zniknęła Julia Warecka – odparł, zerkając do notatek. – Dwadzieścia jeden lat. Pochodzi z Rybnika. Przyjechała do Warszawy na studia: automatyka i robotyka na Politechnice Warszawskiej. Była jedną z czterech dziewczyn na roku. Ostatni raz widziano ją dwudziestego ósmego września dwa tysiące siedemnastego roku w Pijalni Wódki i Piwa na Foksal. W trakcie wakacji dorabiała tam jako kelnerka. Dzień wcześniej po raz ostatni poszła do pracy.

Spojrzał na Marię, która przez cały czas intensywnie wpatrywała się w wyrastającą przed nimi drogę. Najwyraźniej jednak wyczuła jego zainteresowanie, ponieważ wolno pokiwała głową.

– Marta Borkiewicz – kontynuował Oleg. – Dziewiętnastolatka ze Stalowej Woli. Zbliżała się do końca pierwszego roku studiów na Wydziale Lekarskim Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Ślad po niej zaginął trzydziestego kwietnia dwa tysiące osiemnastego. Jej znajomi z roku wyjechali na majówkę do

Zakopanego, ale ona wolała zostać w Warszawie. Miała się uczyć. Wiadomo, że nie do końca było to prawdą, ponieważ dzień przed zaginięciem widziano ją w klubie Baobab na Poznańskiej. – Pokręcił głową. – Nie wiem, skąd oni biorą te nazwy.

– Mów dalej – ponagliła go Maria, nie odrywając wzroku od drogi.

– Dwa miesiące później bez śladu przepadła Justyna Czech, dwudziestopięcioletka z Białegostoku. Nie była szczególnie pilną studentką: powtarzała trzeci rok filologii angielskiej na UW. Wcześniej próbowała sił w iberystyce, ale odpuściła po trzech semestrach. Wakacje spędzała w mieście, dając dzieciakom korki z angielskiego. Ostatni raz widziano ją czternastego lipca w Starbucksie przy metrze Politechnika. Wyskoczyła na kawę z koleżanką. – Oleg zamknął teczkę. – Potem przez rok nic się nie działo, aż usłyszeliśmy o zaginięciu Renaty Jaroszewicz.

Maria przez kilka sekund milczała, porządkując informacje. Potem zerknęła na Olega. Typowym dla siebie zimnym, władcym, suchym spojrzeniem.

– Według Papszona nie ma dowodów na to, że zagięły w Warszawie. A śledczy nie potrafili jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu urywają się ślady.

– Bo to prawda. Każda z dziewczyn po raz ostatni była widziana w Warszawie. Ale z danych lokalizacyjnych i logowań telefonów do stacji bazowych wynika, że w momencie zaginięcia znajdowały się poza miastem.

– Gdzie konkretnie?

– W okolicach Żabek, Legionowa, Pruszkowa i Piaseczna. Każda gdzie indziej.

– Czy od momentu, w którym po raz ostatni widziano te dziewczyny, powtarzały się jakieś miejsca albo stacje BTS? Zauważyłeś jakąś prawidłowość?

– Pytasz, czy porywacz mógł mieć stałą marszrutę?

Maria skinęła głową.

– Niestety nie. Trudno wskazać, gdzie znikaly, ale pewne jest to, że były wywożone z miasta różnymi drogami. Nic z tego dla nas nie wynika.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała Maria, gdy zatrzymali się przed rondem Daszyńskiego. – Jeśli twoja teoria jest prawdziwa i stoi za tym jeden człowiek, to wiemy, że starannie zaplanował porwania. Tak żeby w żaden sposób nie dało się go namierzyć i zlokalizować. Wiemy też, gdzie nie warto szukać tych dziewczyn.

Pewnie zdążyliście wyłapać różnice w funkcjonowaniu mózgow obojga policjantów. Oleg to typowy umysł ścisły. Analityk. Gość, który potrafi kopać w danych i wyciągać z nich wnioski. Ma niezłą pamięć i jest do bólu logiczny. Dzięki temu zauważył, że od jakiegoś czasu znikają młode cyncate blondyny, które

przyjechały do Warszawy na studia. Z kolei Maria ma instynkt śledczy i potrafi wyciągać wnioski z danych, których nie widać. Dlatego szybko zrozumiała, że nie powinni się koncentrować na ostatniej lokalizacji telefonów tych gąsek, ponieważ jest to rodzaj kamuflażu. Tak znaczący rozstrzał sugeruje, że porywacz próbował zrobić policjantów w trąbę.

I prawie mu się to udało.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwała się Maria.

– Pewnie.

– Pochodzisz z Ukrainy, prawda?

Oleg kiwnął głową.

– Ze Lwowa. Mieszkałem tam przez kilka lat. Potem razem z rodzicami wyjechałem do Polski.

– Dlaczego?

– Chcesz wersję oficjalną czy nieoficjalną?

– Prawdziwą.

Oleg skrzywił się, jakby ktoś próbował wepchnąć mu sztycę rowerową w dupę. Zawsze przybiera taką minę, kiedy musi powiedzieć coś, na co nie ma ochoty.

– Mój ojciec był przedsiębiorcą. Właściwie próbował nim być, bo w Związku Radzieckim nie istniała prawdziwa przedsiębiorczość. W czasie odrodzenia narodowego starał się rozkręcić kilka interesów. I pewnie by mu się udało, gdyby nie nadmierne zainteresowanie paru działaczy z Komunistycznej Partii Ukrainy. Wiedząc, że mogą sobie pozwolić na wiele, ograbiali go niemal z całego zysku. A kiedy spróbował się postawić, nasłali na niego zbirów. Spuścili mu taki wpierdol, że do końca życia się nie pozbierał. Na szczęście miał dość rozwagi, żeby zgarnąć żonę oraz dzieciaki i uciec z kraju, zanim stanie się coś strasznego.

Maria odwróciła się do Olega. Uśmiechnęła się. Uśmiechem pełnym cierpienia i współczucia. Jednego i drugiego w dawkach zdecydowanie przekraczających normę. Zadziwiająco, jak kobieta, która często nie jest w stanie wykrzesać z siebie elementarnych emocji, w jednej sekundzie potrafi się zamienić w Matkę Teresę z Kalkuty.

– To prawda, co mówił Papszon? O tobie i informatyce?

– Zawsze lubiłem matkę i fizykę. A kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych po raz pierwszy zobaczyłem komputer, z miejsca się zakochałem. Dostałem się na informatykę na Politechnice Warszawskiej. Nauczyłem się programować. Chciałem

pójść w ślady ojca i zostać przedsiębiorcą. Ale położyłem dwie firmy, jeszcze zanim zapanowała moda na start-upy. W końcu przełknąłem dumę i zdecydowałem się robić dla korpo.

– Chyba nie wyszedłeś na tym źle.

– Nie. To znaczy... – zawahał się – nie wyszedłem źle pod względem finansowym. Ale sama robota była nudna jak psia dupa. Poza tym nie wiem, czy się orientujesz, jak się traktuje informatyków w wielkich firmach, które nie wytwarzają oprogramowania czy elektroniki.

– Nie mam pojęcia.

– Jak podludzi. Małpki od pisania kodu albo reperowania komputerów. Być może wynika to z zawiści, w końcu zarabiamy więcej od większości pracowników. A może z przeświadczenia, że jesteśmy bandą zacofanych trolli, którzy słuchają Behemotha, śmieją się z nerdowskich żartów i nie zmieniają skarpetek.

– A nie jesteście nerdami?

– Niektórzy są. Ale nie ja.

– A więc poszedłeś do policji, żeby odreagować?

Oleg wzruszył ramionami.

– Chyba można tak powiedzieć.

Maria ponownie na niego zerknęła i posłała mu kolejny uśmiech. Znowu współczujący. Znowu przekraczający wszelkie normy.

– To naprawdę chujowo wybrałeś.

* * *

Renulka też miała wybór.

Gdyby pogodziła się z losem, pozwoliłbym jej w pełni korzystać z trzystu metrów kwadratowych moich podwarszawskich włości. Mogłaby wchodzić do kuchni, łazienki i salonu, używać siłowni, oglądać seriale na osiemdziesięciocalowej plazmie. Dałbym jej dostęp do każdego pomieszczenia, z moją sypialnią, z której nigdy nie korzystałem, włącznie. Ba, wręczyłbym jej klucze i pozwolił wychodzić na patio. Mogłaby wynieść leżaki przed dom, sączyć drinki z parasolką i łykać promienie intensywnego lipcowego słońca. *Mi casa es su casa*.

Ale ona wolała urządzić dramę. Jak w horrorze klasy B. Zamiast seriali, opalania i drinków wybrała klaustrofobiczny pokój w piwnicy, sranie do wiadra i chłęptanie wody z wielkiej plastikowej michy. Jak pies. Jak suka.

A wystarczyło przystać na moje warunki.

Spojrzałem przez wizjer. Zwykle widzę przez niego uroczo splekaną, skamlącą, prosząco-błagającą kobietę. Najczęściej blondynkę z okrągłymi niebieskimi oczami i sporymi cyckami – lubię laski w typie wiejskich dziewczyn. Błagającą, żebym jej nie bił. Nie gwałcił. Nie zabijał. Pozwalam im wyśpiewać kilka dekalogowych marzeń, pokwilić, porozpaczać, ponieważ lubię kontemplować ich histerię. Napawać się wyższością. Chłonać tę jakże typową dla naszego społeczeństwa sytuację: przewagi męczyzny nad kobietą, bogatego nad biedną, mądrego nad głupią.

Ale Renulka nie histeryzowała, tylko spokojnie leżała na materacu. Była zatopiona we śnie. A przynajmniej w półśnie.

Otworzyłem na oścież metalowe drzwi. Zanim Renulka się w pełni rozbudziła, przeciągnąłem szlauch z korytarza. Zanim się zorientowała w sytuacji, odkręciłem zamocowany przed wejściem kran. Zanim zaprotestowała, trysnąłem jej w twarz lodowatą wodą.

Dopiero teraz zaczęła histeryzować. Zrobiłem z niej rozhisteryzowaną miss mokrego podkoszulka.

Kiedy skończyłem, odłożyłem szlauch i wszedłem do nowego domu Renulki. Zbliżyłem się do niej. Ostrożnie, ponieważ nigdy nie wiadomo, na jaki pomysł wpadnie ktoś, kto wybrał odstręczającą norę zamiast drinków z parasolką. Ale ona nie była nastawiona wojowniczo. Zziębnięta i roztrzęsiona, z sutkami sterczącymi pod cienką koszulką, stała w kącie i obejmowała mokre ciało. Wyciągnąłem przed siebie rękę.

– Połknij to – powiedziałem.

Z przerażeniem spojrzała na garść tabletek, które ledwo zmieściłem w dłoni. Potem z przerażeniem zerknęła na mnie.

– To dla twojego dobra. Wiem, co robię. Jestem lekarzem.

Nie mam pojęcia, czy mi uwierzyła. Pewnie nie. Ale strach zwyciężył z wiarą.

– Co to jest? – spytała, niepewnie sięgając po pigułki.

– Klonazepam i tetrazepam. Na rozluźnienie i uspokojenie.

Sam się zdziwiłem, że powiedziałem prawdę. Zapomniałem tylko wspomnieć, że dzięki mojemu panaceum stanie się bezwolną szmatą, z którą będę mógł robić, co mi się tylko zamarzy. No i nie dodałem, że będzie po tym miała przyjemną narkotyczną jazdę. A przynajmniej jazdę.

– Popij – powiedziałem, wskazując miskę z wodą.

Przez parę sekund ważyła tabletki w dłoni. Patrzyła to na nie, to na mnie. Miałem wrażenie, że za chwilę rzuci mi je w twarz. Ale w końcu wykonała moje polecenie. Przykucnęła obok miski, niezdarnie nabrała wody w drżącą dłoń i zaczęła łykać pigułki. Jedną po drugiej. Kiedy skończyła, podniosła się i wróciła do kąta. Niczym przecweloną więzień przywarła dupą do ściany.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytała, szczękając zębami.

Uśmiechnąłem się.

– Już ci mówiłem.

To prawda, mówiłem. Każdej mówię. To taka niewinna gierka, podczas której staram się pobudzać zwoje mózgowie tych dziewczyn. Sprawdzać, czy ich receptory właściwie odbierają bodźce. I w jakim stopniu wykształcił się ich instynkt samozachowawczy.

Znajduję moment, kiedy są w tłumie. To młode, zdrowe, imprezujące panny, więc z reguły nie ma z tym problemu. Podchodzę do nich od tyłu i wyszeptuję im do ucha swój plan; tak żeby tylko one mogły go usłyszeć. Odwracają się i ze zdziwieniem stwierdzają, że stoi za nimi dobrze wyglądający facet w drogich ciuchach, całkowicie trzeźwy, posyłający im uprzejme i niewinne spojrzenie. Są zbyt skonsternowane, żeby racjonalnie zareagować. Zwykle już na samym początku okazuje się, że ich instynkt samozachowawczy jest ułudą.

W przypadku Renulki też tak było. Imprezowała nad Wisłą na jednej z barek. Kiedy już miała nieźle w czubie, dołączyła do tańczącego tłumu. Momentalnie oblepili ją faceci, zachwyceni widokiem jej podskakujących cycków. Ślinili się do niej. Posyłali uwodzicielskie – w ich mniemaniu – uśmiechy, jakby liczyli na to, że w odpowiedzi uklękną i każdemu zrobi loda. Renulka czuła się adorowana i szczęśliwa. Jak księżniczka. Jak królowa balu. Była zbyt podekscytowana całą sytuacją, żeby zapowiedź śmierci padającą z ust przystojnego faceta potraktować jako coś więcej niż dziwaczny wytwór wyobraźni.

Zanurkowałem do kieszeni. Wyjąłem mydło. Rzuciłem je na materac.

– Umyj się – rozkazałem. – Później przyniosę ci kosmetyki oraz ciuchy.

Gapiała się na mnie jak na świra. Dziwne.

– Wykorzystaj do tego wodę z miski. Chyba że wolisz, abym pomógł ci szlauchem.

Pokręciła głową, jakby chciała ją sobie wyrwać.

– Mam się umyć? – spytała. – Teraz?

– Tak.

– Przy tobie?

Kochana, jeśli to stanowi dla ciebie problem, to daleko nie zajedziemy.

– Muszę mieć pewność, że zrobisz to dokładnie.

Nie nazwałbym siebie ekspertem w tym, czym się zajmuję. Zresztą to na tyle niszowe hobby, że nie mam pewności, czy w ogóle można tu mówić o specjalizacji. Ale coś tam wiem. Coś tam widziałem. Poczyniłem pewne obserwacje i udało mi się wyciągnąć kilka wniosków. Między innymi taki, że nigdy nie wiadomo, kiedy pacjentka się rozpadnie.

Weźmy Renulkę. Zupełnie nieźle zniosła moje wejście ze szlauchem – dygot ciała był rezultatem zziębnięcia, a nie rozpacz. Jakoś sobie poradziła z poleceniem połknięcia garści dziwnych pigulek. Względnie przyzwoicie zniosła też to, że musi się umyć. Ale wiadomość, że w tym czasie będę się jej przyglądał, kompletnie ją rozmontowała. Pannę, która chwilę wcześniej zonglowała cyckami przed stadem nieznanym facetów.

Zadziwiająca, że dopiero teraz pojęła, co ją czeka. Dopiero po paru dniach, w trakcie których musiała się żywić idiotyczną nadzieją, że nie spotka jej nic złego, zwizualizowała sobie najbliższą przyszłość. Następne kilka godzin. Być może kolejne parę dni. Cały czas, jaki jej został, zanim zainicjuję wielki finał.

Patrzyłem na jej niespodziewaną histerię. Napawałem się nią. Delektowałem się każdym pęknięciem w jej psychice.

Owszem, zdarzało mi się mieć wyrzuty sumienia. Zastanawiać się, czy aby na pewno mogę sobie pozwolić na tak ekstrawaganckie hobby. Ale przecież życie ma się tylko jedno. W dodatku krótkie. Byłbym skończonym frajerem, gdybym nie próbował go w pełni wykorzystać.

– Świetnie – powiedziałem, kiedy Renulka pozbyła się ciuchów i zaczęła namyślać ciało. – Kiedy skończysz, dam ci ręcznik.

– A potem?

Musiała być niewiarygodnie naiwna.

– Potem będziemy się namiętnie rżnąć.

Tym razem nie eksplodowała szlochom, tylko dalej wolno i starannie wodziła mydłem po skórze. To znak, że chemia zaczęła działać.

Doskonale. Właśnie o to chodziło. Przecież nie chciałem, żeby cierpiała. Chciałem, żeby była moja.

Od teraz już na zawsze.

* * *

– Nie wydarzyło się ostatnio nic dziwnego? Nie kręcił się koło niej żaden człowiek? Nie wspominała o jakichś przykrych sytuacjach?

Maria bombardowała pytaniami współlokatorki Renulki, a te kręciły łbami, jakby uskuteczniały jakiś dziwaczny taniec synchroniczny. Nie powinno to nikogo dziwić, ponieważ były bliźniaczkami. Dwoma przebrzydłymi raszplami. Potwierdzającymi teorię, że niezłe dupy lubią się otaczać pasztetami, aby wzmacniać poczucie własnej wartości. Z kolei raszple chętnie kręcą się koło ślicznotek, by psim swędem znaleźć się w orbicie zainteresowania przystojnych albo chociaż kasiastych typów. A przy odrobinie szczęścia, sprytu, alkoholu, narkotyków albo desperacji przerobić któregoś z nich na męża.

– Jakiś czas temu rozstała się z chłopakiem – odpowiedziała bardziej rozmowna z bliźniaczek. – Było dosyć ostro. Trzaskanie drzwiami, flugi, groźby.

– Z obu stron?

– Głównie ze strony Renaty. Przemek to spokojny chłopak. Wyważony. I w ogóle całkiem spoko, tyle że po pijaku robi się z niego straszny donżuan.

– Jak się Renata zachowywała po rozstaniu?

– Zwyczajnie. Przez parę dni miała doła, ale potem doszła do siebie. Zaczęła się spotykać z ludźmi. Szybko wróciła do żywych.

– Imprezowała?

– Kilka razy wyszła na miasto. Nic szczególnego.

Marii momentalnie zaświeciła się lampka ostrzegawcza. Kilka imprez w ciągu dwóch tygodni od rozstania z niewiernym facetem. Kilka okazji, żeby się na nim odgryźć. Kilka szans na poznanie faceta, który uprowadza kobiety i wywozi je z Warszawy.

– Gdzie się bawiła?

– Zaczynała nad Wisłą, a potem lądowała w klubach na Poznańskiej lub Parkingowej. Renata woli domówki, ale latem wszyscy stawiają na plener i clubbing.

– Sporo w tym czasie piła?

– Może trochę więcej niż zazwyczaj. Ale nie aż tyle, żeby wracać do mieszkania na czworakach.

– Narkotyki?

Rozmowna bliźniaczka uciekła przed wzrokiem Marii, jej milcząca siostra również. Gapiąc się na swoje kolana, wyglądały jak zakonnice przyłapano na

namiętym nożycowaniu.

– Chcemy się dowiedzieć, co się stało z Renatą – powiedziała łagodnie Maria. – Nic więcej.

Trochę to trwało, zanim raszple pojęły, że mogą być z policjantami szczerze.

– Wspominała, że paliła skręta nad Wisłą – powiedziała wygadana bliźniaczka. – Zdarza jej się to od czasu do czasu. Ale nigdy się nie upała. Zwykle bierze bucha albo dwa. Dla towarzystwa.

Maria zerknęła na Olega, który wszystko skrzętnie notował. Umówili się, że to ona będzie mózgiem przedsięwzięcia, a on jej milczącym i wiernym giermkim. Jak Sherlock Holmes i doktor Watson.

– Czy według was mogła się wplątać w coś nielegalnego? W coś, co by ją zmusiło do ucieczki z kraju? Albo do ukrycia się?

Bliźniaczki synchronicznie pokręciły głowami. Nie dopuszczały do siebie myśli, że ich współlokatorka mogła wpaść w tarapaty. Ograniczało je kretyńskie przekonanie, że ładne dziewczyny nie spotyka nic złego. Że wiodą sielankowe życie. Że otacza je wianuszek przystojnych chłopców z dobrych domów. Że nawet jeśli w sprawach sercowych czasem im coś nie wyjdzie, to mają na sobie tarczę chroniącą je przed mętami, nadgorliwymi adoratorami, gwałcicielami czy zabójcami. Żyły w banieczce, którą napompowały swoim poczuciem niższości i wstydu.

– Chcielibyśmy zobaczyć jej pokój.

Siostry zaprowadziły policjantów w głąb mieszkania. Renata od dwóch lat wynajmowała w nim pokój, płacąc za to tysiąc dwieście złotych, czyli mniej więcej jedną trzecią swojego miesięcznego wynagrodzenia. Było to wąskie pomieszczenie z oknem wychodzącym na Grójecką. Latem wybrzmiewało wszystkimi dźwiękami stolicy: warkotem silników, szumem tramwajów, stukotem obcasów i gwarnymi rozmowami. Przypominało trochę kwaterę krasnoludka: płytka szafa, krótkie łóżko, stoliczek na komputer, półeczka z książkami. A na niej pierdyliard pozycji dobranych według jakiegoś dziwaczego klucza: od Blanki Lipińskiej po Umberta Eco.

– Zwyczajny studencki pokój – odezwał się Oleg. – Przez kilka lat wynajmowałem podobny. Może trochę większy.

– Coś się tu zmieniło ostatnio? – spytała Maria, odwracając się do bliźniaczek.

– Wasi koledzy tutaj byli – odparła bardziej rozmowna. – Grzebali w szufladach, ale niczego nie zabrali.

– A wcześniej? Przed zniknięciem Renaty?

– Nie wiem. Chyba nie.

Maria objęła izdebkę wzrokiem. Chciała wyrobić sobie pierwsze wrażenie, które potem, pod wpływem najróżniejszych przesłanek, będzie weryfikować. Ale o takim pokoju – względnie czystym, względnie skromnym, względnie normalnym – trudno było cokolwiek powiedzieć. To samo dotyczyło jego lokatorki: zwykłej dziewczyny z sąsiedztwa, która po prostu mogła się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Jeżeli rzeczywiście spotkało ją coś złego, będzie to cholernie trudna sprawa, pomyślała Maria.

A ja starannie zadbałem o to, żeby miała rację.

* * *

Wieczorem wróciłem do mieszkania na rogu Wspólnej i Emilii Plater.

Zdarza się wam być tak rozemocjonowanym i podnieconym, że nie jesteście w stanie rozmawiać? Prowadzić auta? Czytać? Logicznie myśleć? Po popołudniowej sesji z Renulką właśnie tak się czułem. Oszczędzę wam szczegółów. Zdradzę tylko, że jest kolosalna różnica między rżnięciem się po dobroci, w drodze konsensusu albo za pieniądze, a rżnięciem po swojemu. Z pełną kontrolą. Z nieskrępowaną możliwością realizowania wszystkich zachcianek.

Teoretycznie powinienem zrobić po powrocie milion rzeczy. Odpisać na maile, sprawdzić giełdę w Stanach, zadzwonić do paru osób, aby potwierdzić albo odwołać spotkania. W drodze do domu mój telefon wibrował jak pojebany, przez co pewnie wyglądałem, jakbym wsadził sobie wibrator w dupę. Ale nie czułem żadnych wibracji. Żadnych drgań. Dźwięków. Zewnętrznych impulsów. Nie czułem niczego. Tylko błogą, płynącą z wnętrza nieświadomość. Nieskazitelny relaks. Ostateczną satysfakcję z życia. Jakbym przedawkował endorfiny.

Ale wszystko się kiedyś kończy.

Doprowadziłem się do porządku i skontaktowałem z Chemikiem. Mieliśmy sprawę do omówienia. Raczej pilną.

Jak już wiecie, znam się na sprzedaży, finansach, rynkach kapitałowych i robieniu ludziom wody z mózgu. Ale nie jestem omnipotentny. Z chemią już w podstawówce miałem problemy. Cała moja wiedza na temat dragów pochodzi z forów dla ćpunów. A na nich nie udzielają się profesorowie chemii, tylko niedouczzone tłuki, które za wszelką cenę chcą się jak najmocniej nawalić. To, że ktoś coś tam napisze, jeszcze nie

oznacza, że to coś jest prawdą.

Tego popołudnia przekonałem się, że ćpuny z internetu nie mają pojęcia o dawkowaniu. I że głupota jest prąźródłem wszystkich problemów. Zawsze.

Dobrze to zapamiętajcie.

3

Staram się być niezależny. Nie wiązać zbyt mocno z jedną firmą. Nie sprzedawać siebie na wyłączność. Ale jeśli wyczuwam szansę na łatwy hajs, zdarza mi się wejść głębiej w jakieś środowisko.

Tak było w przypadku Clouda. Już na etapie rekrutacji wyczułem, że nieprzesadnie się angażując, będę w stanie zarobić tu bardzo sensowne pieniądze. Kiedy poznałem strukturę firmy, zrozumiałem, że mogę robić jeszcze mniej, niż sądziłem, za co przy odrobinie szczęścia dostanę więcej, niż przypuszczałem. A po paru miesiącach doszedłem do wniosku, że wystarczy stworzyć pozory zaangażowania, aby się ustawić jak członek rodziny królewskiej. Nawet nie po to, by zamydlić Skodzie oczy, ale żeby zachwiać jego wyobrażeniem na mój temat.

Podam wam przykład.

Wczoraj Skoda zaprosił mnie do siebie w taki sposób i o takiej porze, aby wszyscy się dowiedzieli, że zostałem wezwany na dywanik. Dlatego naszą miłą i w gruncie rzeczy nieszkodliwą pogawędkę inni mogli odebrać jako akt opierdalania. Pacyfikację krnąbrnego menedżera, który wygląda lepiej, ubiera się efektowniej i wysławia mądrzej od pozostałych członków zarządu, przez co sądzi, że jest od nich lepszy. A skoro nasze spotkanie zostało w ten nieformalny sposób upublicznione, to znaczy, że Skoda rzeczywiście zamierzał wygzekwować ode mnie zmianę postawy. Wierzył, że mu się to uda. Uważał, że ma na mnie jakieś przełożenie. W końcu, bądź co bądź, jest moim szefem.

No więc z jednej strony musiałem pokazać Skodzie, że wzięłem sobie jego słowa do serca, a z drugiej udowodnić reszcie zarządu, że każdy w tej firmie może mi naskoczyć. Z prezesem włącznie. Na pierwszy rzut oka wydaje się to niewykonalne, prawda?

Wykombinowanie, jak to zrobić, zajęło mi mniej więcej dwie minuty.

Na cotygodniowy zarząd przyszedłem kilka minut przed czasem. Rozsiadłem się w tylnej części sali konferencyjnej, położyłem nogi na krawędzi podłużnego stołu, który zastawiały dzbany z wodą oraz przekąski, i ciumkając krówkę, zacząłem

oglądać śmieszne filmiki w telefonie. Oczywiście bez słuchawek, aby wszyscy poczuli, że mam głęboko w dupie to spotkanie, ich i całą firmę. To był komunikat dla członków zarządu, którzy kolejno wchodzili do sali, posyłając mi śliskie uśmiechy, pod którymi kryło się kiepsko ukryte zażenowanie. Ale nie dla Skody.

Wiedziałem, że on się spóźni. Rano mądrzył się o IT w panelu dyskusyjnym na jakiejś gównianej konferencji. Dyskusja przeciągnęła się raptem o dziesięć minut. Niewiele. Zbyt mało, aby temu angielskiemu ignorantowi przyszło do łba, że czas przejazdu przez zatłoczone centrum może się w efekcie wydłużyć nawet o kwadrans. Że w najlepszym wypadku taka obsuwa zaowocuje co najmniej parominutowym spóźnieniem na spotkanie zarządu. Że warto byłoby poinformować o tym swoich współpracowników.

Skąd o tym wiedziałem? Kojarzycie ptaszki Varysa z *Gry o tron*? Dorobiłem się takich samych. To ludzie, którzy jednym (w tym przypadku mnie) gwarantują zawodową nietykalność, a innym (na przykład giermkowi Skody) kupę w gaciach. Niezła moc jak na kilku przeciętnie opłacanych facetów, których rolą jest snucie się po mieście, zaglądanie na konferencje, obstawianie biurowych parkingów czy rozmawianie z portierami.

Przydupas Skody – chudy czterdziestolatek w szczycie kryzysu wieku średniego (dopiero co kupił mustanga z sześćdziesiątego ósmego roku i posunął szefową marketingu na imprezie firmowej), z idiotycznie przylizanymi włosami i w okularach w grubych oprawkach – zerkał to na mnie, to na zegarek. Liczył na to, że prezes przyłapie mnie na gorącym uczynku. Że świadectwo mojej arogancji będzie niepodważalne. Ale ja po paru minutach ściągnąłem nogi z blatu, odłożyłem telefon i wyjąłem z torby folder z mnóstwem ważnych dokumentów, do których nigdy potem nie zajrzałem. Kiedy w końcu Skoda dotarł na spotkanie, ujrzał pokornego, przygotowanego, w pełni skoncentrowanego menedżera, który nie może się doczekać, co jego szef ma do powiedzenia.

Prostacka ułuda i podchody rodem z przedszkola. Tak, na tym właśnie polega poważny biznes. Podobno kiedyś był zarezerwowany dla elit, błyskotliwych umysłów i pracowitych wykształciuchów. Dziś jest placem boju chłopaków w krótkich spodenkach, którzy stosują takie same sztuczki, jakie wykorzystywali w piaskownicy. Poważnie. Kiedy byłem mały, wychodziłem na podwórko jako pierwszy i zakopywałem w piachu jednodolarowy banknot wyjęty z szuflady ojca. Potem cudownie go odnajdywałem na oczach kolegów. Co jakiś czas powtarzałem ten trik,

wprawiając wszystkich w zdumienie. I zarazem nieprawdopodobnie rosnąc w ich oczach.

Myślicie, że coś się zmieniło?

Skoda przeprosił za spóźnienie i od razu przeszedł do rzeczy. Mamy świetne wyniki, bla, bla, bla, centrala jest zadowolona, bla, bla, bla, musimy iść za ciosem, bla, bla, bla. Cały ten bullshit podlał kilkoma komplementami dla swoich dupolizów. Ale największy zostawił dla mnie.

– Rosnąca w dwucyfrowym tempie sprzedaż sprawiła, że nasi przyjaciele z Londynu trochę się rozochocili i zrewidowali w górę nasze cele. Wygląda na to, że każdy z nas będzie musiał wydłużyć sobie dobę do trzydziestu sześciu godzin i okazać się mistrzem domowej dyplomacji. W razie zażaleń odsyłajcie żony do Kacpra, bo to w dużej mierze jego wina.

Wymuszony, idiotyczny śmiech poniósł się po sali. A ja idiotycznie się ukloniłem, żeby jeszcze wzmocnić momentum.

– Ale co ważniejsze, nasi właściciele w końcu dali się przekonać, że organicznie możemy rosnąć tylko do czasu – kontynuował Skoda. – Dostaliśmy zielone światło na przejęcie. A właściwie polecenie, żeby zacząć konsolidować nasz region.

– Za co? – zdziwił się jeden z wiceprezesów, a zarazem dyrektor finansowy. Najbardziej rozsądny facet w tym niepoważnym gronie. – Przecież dopiero od roku przynosimy zyski.

– Dookapitalizują nas, a w razie potrzeby pomogą w pozyskaniu kredytu na inwestycję – odparł prezes. – Dostaliśmy listę firm, nad którymi warto się pochylić.

– Kto ją przygotował? – spytał przydupas Skody. – Goście z Londynu?

– A skąd! Zlecieli to koleśiom z Baina albo BCG.

– Czyli możemy wyrzucić ją do kosza.

Znów rozszedł się śmiech po sali. Pusty, pozbawiony radości, fasonowy. Śmiech dla śmiechu.

– W każdym razie czekają nas bardzo pracowite miesiące – stwierdził Skoda. – Takie przejęcie jest ogromną szansą, której nie możemy zmarnować.

Po paru standardowych podsumowaniach, kilku zapowiedziach i sporej porcji menedżerskiego bełkotu zaczęliśmy w końcu rozmawiać o prawdziwych pierdołach: jedni chwalili się dokonaniem dzieciaków na zagranicznych uczelniach, inni, w tym ja, rozmawiali o ubraniach, samochodach i imprezach. A potem wszyscy gadaliśmy o dupach. Już wydymany lub czekający na wydymanie. Pozwalających się dymać

albo zachowujących się tak, jakby miały zakaz dymania. Dymających się niczym gwiazdy porno i tak jak cnotki niewydymki, które po latach posuchy w końcu odważyły się popuścić szparę.

Kiedy pracujesz w firmie nieustannie trąbiącej o równouprawnieniu, prowadzenie takich rozmów w wyłącznie męskim zarządzie jest podwójnie zabawne.

Po spotkaniu Skoda poprosił mnie na bok.

– Dziękuję – powiedział. – Nie sądziłem, że tak łatwo ci to przyjdzie.

– Nie należy kwestionować zmian, które są dobre dla wszystkich.

Pokiwał głową.

– Cieszę się, że tak myślisz. Naprawdę. Zwłaszcza że mam dla ciebie specjalne zadanie. – Uśmiechnął się, jakby coś wpadło mu do oka. – Chciałbym, żebyś razem ze mną pokierował całym procesem inwestycyjnym. Nawet kosztem szkoleń i bieżących wyników sprzedażowych. Chłopcy z Londynu mają chwilowego fioła na punkcie naszego regionu i strasznie się na to napalili.

Szybko zważyłem w głowie jego propozycję.

– Co będę z tego miał? – spytałem.

– To zależy od ciebie. Nasi właściciele wiedzą, jak motywować najlepszych menedżerów. Mają taką zasadę, że na końcu procesu akwizycji robią własny, niezależny due diligence przejmowanej spółki. Jeżeli wartość przedsiębiorstwa jest większa, niż wskazywałaby na to kwota transakcji, dzielą się różnicą z autorami dealu. W tym przypadku z tobą i ze mną. Nie informują o tym publicznie i sprytnie ukrywają tę kasę w bilansie, ale chodzą słuchy, że takie bonusy czasem wynoszą nawet małe kilkadziesiąt procent zhandlowanej kwoty.

Kolejne szybkie ważenie. Gdybyśmy urwali z takiej transakcji ze sto baniek, zarobiłbym od kilku do kilkunastu milionów. Bez względu na warunki podziału kasy ze Skodą.

– Nie jestem kupcem, tylko sprzedawcą – powiedziałem.

– Potraktuj to jako sprzedaż środków, które jesteśmy gotowi przeznaczyć na akwizycję. Zastanów się nad tym. Jutro wrócimy do tematu.

Skoda przyjacielsko poklepał mnie po ramieniu i wyszedł z sali.

Właściwie nie miałem się nad czym zastanawiać. Podjąłem decyzję w momencie, w którym wspomniał o premii. Podkreśliłem swoją funkcję wyłącznie po to, żeby zająć lepszą pozycję w negocjacjach. I żeby wyczuć, czy Skoda jest zdesperowany, aby zrobić to ze mną.

Był. Bardziej, niż przypuszczałem.

Kierując się w stronę swojego gabinetu, wyjąłem telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Jakiś człowiek nieustannie do mnie wydzwaniał. W ciągu ostatniego kwadransa dziesięciokrotnie próbował się ze mną skontaktować, ale miałem wyciszony telefon. Kiedy spoglądałem na wyświetlacz, zrobił to po raz jedenasty. Jebany nadgorliwiec.

– Halo?

– Z tej strony Kamil Późniak. Jestem asystentem Jacka Solskiego. Pan Solski chciałby się z panem spotkać.

Moje serce zaczęło bić szybciej. Jacek Solski. Pierwsza dziesiątka listy najbogatszych. Jeden z najsprawniejszych polskich przedsiębiorców. Chodząca legenda.

– W sprawie? – dopytałem.

– O tym pan Solski wolałby powiedzieć osobiście.

– Jasne. Proszę o zaproponowanie terminu. Postaram się zrobić miejsce w kalendarzu.

– Nie zrozumieliśmy się. Pan Solski chciałby się spotkać teraz. Wysłał po pana samochód.

Wszedłem do gabinetu i zbliżyłem się do okna. Spojrzałem w dół. Pod biurowcem zawsze roi się od samochodów. Tym razem również. Ale tylko jeden z nich mógł przysłać Solski.

– Już idę – odparłem.

I ruszyłem do windy.

* * *

Świat ludzi pracy dzieli się na dwie kategorie. Na tych, którzy lubią i potrafią pracować w biurze, mogących godzinami ślęczeć przy komputerze, ze słuchawkami przyklejonymi do uszu, skutecznie odcinających się od zewnętrznego rozgardiaszu, bekających kawą i glutenowymi bombami od pana kanapki. A także na tych, którzy tego nienawidzą.

Stosując to rozróżnienie, można przyjąć, że Maria i Oleg stanowili doskonałe przeciwieństwa. On był typowym biurowym dłubaczem, który mógłby przesiedzieć połowę życia w odciętej od świata klitce, z nikim nie rozmawiając i zajmując się wyłącznie swoimi sprawami. Ona dostałaby pierdolca, gdyby ktoś zmusił ją do

codziennego ślęczenia nad klawiaturą. Na papierze tworzyli duet idealny: różnorodny, uzupełniający się pod względem kompetencji, zarazem analityczny i z dobrym nosem. Każdy psycholog czy HR-owiec by się z tym zgodził.

Ale w praktyce wyglądało to trochę inaczej.

Wiesław Papszon nie chciał, aby śledztwo Marii i Olega rzucało się w oczy. Dogadał się z szefem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego na wypożyczenie Olega, a potem zorganizował mu stanowisko pracy obok Marii. Dosłownie. Kazał dostawić prosty stolik do jej biurka i zainstalować na nim komputer stacjonarny. Po cichu załatwił wszystkie formalności, aby Oleg mógł w pełni korzystać z zasobów Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. A żeby ludzie nie zaczęli się przesadnie interesować tajemniczym Ukraińcem, wymyślił historyjkę o policyjnym gryzypiórku, który pomaga Marii w domknięciu jakichś starych spraw. Inaczej mówiąc: liczył na to, że z ich śledztwa gównie wyniknie i wszyscy szybko zapomną o temacie.

Grubo się jednak przeliczył.

– Chyba znalazłem coś ciekawego – odezwał się Oleg. – Spójrz na to.

Maria podniosła głowę znad sterty dokumentów i popatrzyła na siedzącego naprzeciwko faceta. Przyglądała mu się przez chwilę, ponieważ rzadko widywała ludzi tak podekscytowanych wpatrywaniem się w ekran komputera. W końcu poderwała się zza biurka. Jej zdziwienie jeszcze się wzmogło, gdy spojrzała Olegowi przez ramię i ujrzała arkusz kalkulacyjny, który przypominał sprawozdanie z wykonania budżetu.

– To lista aktywności naszych dziewczyn z dni poprzedzających zaginięcia – wyjaśnił Oleg.

Policjantka przeleciała wzrokiem spis.

– Co powinnam zobaczyć? – spytała.

– Uprawiały sport, spotykały się ze znajomymi, łączyły po kawiarniach, imprezowały. Nic specjalnego. Nic, czego by młodzi ludzie nie robili. Może dlatego śledczy mieli problem z ustaleniem, kiedy tak naprawdę zagięły. A to wydaje się oczywiste.

Oleg przejechał kursorem po ekranie. Wyróżnił żółtym kolorem kilka informacji.

– Po imprezach – powiedziała Maria.

– Znikały w okolicach weekendu. Wiemy, że żadna z nich nie pracowała w sobotę ani niedzielę, więc mogły sobie pozwolić na pójście w miasto. Nie przesadzały

z alkoholem, ale nie były abstynentkami. Od czasu do czasu zdarzało im się zaszaleć.
– Oleg odsunął się od komputera. – Gdybym to ja chciał uprowadzić te dziewczyny, spróbowałbym je wyłowić z naćpanego i pijanego tłumu.

Maria pokiwała głową.

– Pigułka gwałtu. To najprostsze rozwiązanie.

– I najskuteczniejsze – przyznał Oleg. – Dziewczyna w kilkanaście minut po wypiciu drinka traci kontakt z rzeczywistością. Wyprowadzając ją z klubu, porywacz może udawać zatroskanego kolegę albo faceta. Wsadza dziewczynę do samochodu i znika. Nikogo to nie dziwi.

– A jeśli coś pójdzie nie tak, laska nic nie będzie pamiętać.

– Zbrodnia doskonała.

– Prawie.

Maria wróciła na swoją stronę biurka. Ściągnęła kurtkę z oparcia krzesła.

– Wydrukuj listę lokali, które odwiedzały te dziewczyny. I rusz dupę. Trzeba trochę pojeździć po mieście.

* * *

Trzecie, drugie, drugie, czwarte, szóste. To miejsca, jakie w ostatnich latach Jacek Solski zajmował na liście najbogatszych. Zbudował bank, firmę ubezpieczeniową, fundusz inwestycyjny, a nawet spółkę produkującą wózki sklepowe. Stawia galerie handlowe, biurowce i osiedla dla bogaczy. Jest przedsiębiorcą pełną gębą. Potrafi zarabiać na wszystkim. Bez względu na branżę czy sytuację makroekonomiczną. W dodatku robi to, nieustannie prowadząc wojnę: z konkurentami biznesowymi, Komisją Nadzoru Finansowego, frankowiczami czy politykami partii rządzącej. I to bez względu na to, którzy kretyni akurat są u władzy.

Fakt, że przysłał po mnie czarnego bentleya continental, mógł świadczyć o dwóch rzeczach: albo czymś podpadłem i zamierzał mnie spektakularnie zniszczyć, albo miał do mnie ważną sprawę. Kierowca nie zdradził żadnych szczegółów, więc mogłem się jedynie domyślać, że jedziemy do siedziby Proud Banku na Inflanckiej. To centrum dowodzenia jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju.

Solski, podobnie jak wielu przedsiębiorców z jego pokolenia, zaczął od stworzenia firmy polonijnej, która zajmowała się sprzedażą artykułów chemicznych. Po zmianie ustrojowej zabrał się do sprowadzania do Polski znanych marek konsumenckich, do dziś widywanych w większości galerii handlowych. Stworzył też firmę produkcyjną,

którą po paru latach sprzedał jednej z zagranicznych korporacji. Za zarobione pieniądze zaczął budować różne instytucje finansowe. Wprowadził wiele nieznanymi wcześniej nad Wisłą produktów. Jedni uważają go za wizjonera, biznesowego rewolucjonistę, guru. Dla innych jest tylko chciwym cwaniakiem, który potrafi wykorzystywać naiwność klientów, miałość rywali i szerokie koneksje.

Kierowca zatrzymał się tuż przed wejściem do banku – w miejscu, w którym oczywiście nie wolno się zatrzymywać, chyba że prowadzi się samochód właściciela budynku. Wstukał na telefonie jakąś wiadomość i odwrócił się w moją stronę.

– Prezes wie, że pan dojechał.

Pochyliłem się, poprawiłem we wstecznym lusterku fryzurę i wysiadłem. Pokonałem kilka niewysokich schodków i wszedłem do kilkunastopiętrowego biurowca, który bardziej niż placówkę banku przypominał wejście do obrzydliwie bogatej korporacji. Takiej z konsjerżem, przezroczystymi bramkami z mnóstwem czujników i uśmiechniętymi recepcjonistkami, które wyglądały tak, jakby się urwały z wybiegu dla modelek. Albo z konkursu Miss Polonia. Albo z burdelu.

Miodzio.

Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać po Solskim. Ale z całą pewnością nie spodziewałem się tego, że będzie na mnie czekał w swoim luksusowym holu. Dobijał do sześćdziesiątki, ale wyglądał najwyżej na czterdzieści kilka lat. Był mniej więcej mojego wzrostu. Szczupły, wyprostowany, z nieznacznie uniesioną brodą. Miał prążkowany granatowy garnitur, najprawdopodobniej uszyty przez krawca, o którym nigdy nie słyszałem. Z powodu lekko zakrzywionego nosa, wąsko osadzonych, czujnych oczu i wysokiego czoła wyglądał jak ptak drapieżny, permanentnie skupiony na poszukiwaniu łatwej do upolowania zwierzyny.

– Podoba się panu mój miejski samochód? – spytał na powitanie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Byłem tylko pasażerem.

Uśmiechnął się. Uśmiechem człowieka nienawykłego do okazywania radości.

– Wolałem, żeby pan przemyślał nasze spotkanie, zamiast delektować się jazdą. – Wyciągnął rękę. – Jacek.

– Kacper.

Miał silną, nieco chropowatą dłoń. Pewnie od przerzucania żelastwa na siłowni. Bo nie przypuszczam, żeby musiał przestawiać meble.

– Zapraszam – powiedział, ruszając w kierunku windy.

Szedłem za Solskim, kiedy lekko spanikowani pracownicy banku otwierali przed nami kolejne bramki. Gapiłem się to na jego garnitur, to na ciągnące się do sufitu nogi trzech mijających nas recepcjonistek. Właśnie wróciły ze sklepu. Radośnie gaworzyły, dopóki nie zobaczyły szefa, który zmierzył je zimnym spojrzeniem i przystanął. A dziewczyny wraz z nim, ustawiając się jak do rozstrzelania.

– Ty, ty i ty. – Solski celował palcem w kolejne recepcjonistki, jakby chciał im poprzebijać serca. – Wypierdalać. Ale już! Za pięć minut ma was tu nie być.

Minął recepcjonistki i wszedł do windy. Jakby nigdy nic. Jakby cierpiał na zespół Tourette’a, a ostatnie kilka sekund było tylko brutalną emanacją jego choroby.

Kiedy do niego dołączyłem, zaczął przeglądać kalendarz w iPhonie.

– Nie lubi pan... nie lubisz, gdy wychodzą z budynku w godzinach pracy? – zapytałem.

Solski na chwilę uniósł na mnie wzrok.

– Nie o to chodzi – powiedział, ponownie skupiając się na telefonie. – Widziałeś, co miały w dłoniach?

– Zakupy.

– A w czym je niosły?

– W reklamówkach.

– W torbach z Żabki. A gdzie my jesteśmy?

– W banku.

Pokręcił opuszczoną głową.

– Nie w pierwszym lepszym banku. Nasi klienci to ludzie ze szczytu łańcucha pokarmowego. Przedsiębiorcy, menedżerowie i celebryci. Pięć procent najlepiej zarabiających Polaków, którzy prowadzą u nas grube rachunki i biorą milionowe kredyty na budowę apartamentów w Wilanowie albo domów na Mazurach. Te wszystkie czujniki, hostessy i świecidełka nie są dla mnie, tylko dla nich. Mają się tu czuć wyjątkowo. Jak pasażerowie lotu na Marsa. A żeby tak było, jakieś tępe siksy nie mogą tu paradować z siatkami ze spożywczego.

Choć całe zajście wyglądało jak scenka z podręcznika wzorowego mobbera, Solskiemu trudno było odmówić racji.

– To było konieczne? – zapytałem.

– Zdecydowanie.

– I te dziewczyny już nie wrócą do pracy?

– Nie. Znają reguły. Nigdy nie daję drugiej szansy.

Jak wygląda gabinet jednego z najbogatszych ludzi w Polsce? Ano z pewnością nie tak, jak to sobie wyobrażacie.

Owszem, jest mnóstwo bogaczy, którzy trzymają w biurach obrazy Marka Rothko (bo uważają się za mecenasów sztuki), czaszki botswańskich wojowników i starochińskie wazy (bo uważają się za podróżników lub pasjonatów historii) albo złotą porcelanę i marmurowe posągi (bo są relikdami szczęśliwie minionej epoki). To próżni szpanerzy, którzy weszli do biznesu dla pieniędzy, sławy i blichtru.

Tacy jak Jacek Solski – niemający w gabinetach nic nadzwyczajnego, za to utrzymujący w nich nienaganną czystość – stanowią rzadkość. Oni nie walczą o pieniądze, lecz o coś znacznie istotniejszego. O władzę. O rząd dusz. O to, by znaczyć więcej niż ich koledzy w branży. By znaczyć więcej od polityków. By robić dokładnie to, na co mają ochotę.

Tacy jak Solski mają w dupie podróże do Dżibuti, drogie alkohole czy starożytne wazy.

Tacy jak Solski od razu przechodzą do rzeczy.

– Chcę, żebyś dla mnie pracował.

Wypowiedział te słowa, zanim zdążyłem się dobrze rozsiaść.

– Dziękuję. Bardzo mi to schlebia.

– Jak wygląda twój zakaz konkurencji?

– Jeżeli nie planujesz budowy informatycznego imperium, możemy zacząć nawet od jutra.

Solski dłubał w telefonie, odkąd wsiedliśmy do windy. Dopiero teraz odłożył go na biurko i całkowicie skupił się na mnie.

– Masz dar – oznajmił. – Ludzie wierzą w to, co mówisz. Bez względu na to, czy zachęcasz ich do pójścia na siłownię, kupna oprogramowania czy do skoku z mostu.

Uśmiechnąłem się.

– Tego ostatniego jeszcze nie próbowałem.

– Ale wiesz, czym by się to skończyło?

– Wiem.

– To dobrze. Trzeba znać swoją wartość.

Do gabinetu weszła asystentka, przyniosła tacę z napojami. Postawiła ją na stole, po czym bezdźwięcznie się ulotniła. Solski pociągnął łyk espresso, nie spuszczać ze mnie wzroku. W jego laserowym spojrzeniu ciekawość mieszała się z intensywnością i wnikliwością. I zadziwiająco przypominała nienawiść. Tę, którą przed walką zieją

do siebie bokserzy mający przez kolejne pół godziny okładać się po mordach. Byle celniej. Byle mocniej. Byle boleśniej. Byleby wygrać.

Słyszałem sporo anegdot na temat Solskiego. Najbardziej zapadły mi w pamięć historie opowiadane przez jego pierwszą żonę, była modelką i gwiazdę telewizji (ludzie formatu Solskiego często spotykają się wyłącznie z takimi laskami – jeszcze do tego wrócimy). No więc ta dziunia – przyjmijmy, że ma na imię Kasia – wyznała w jednym z kolorowych pisemek, że Solski sypiał najwyżej trzy godziny dziennie. Kiedy ona wstawała o piątej, aby się przygotować do opowiadania w telewizji śniadaniowej o diecie wegańskiej albo jakimś innym gównie, on już był na nogach. Wystrojony w garnitur, po śniadaniu, naładowany endorfinami po porannej rundzie na bieżni.

Poza tym Solski nigdy nie rozmawiał z nią o pracy. Wracał do domu i na pytanie: „Jak ci minął dzień?” odpowiadał: „Dzień jak co dzień”. Dopiero z mediów się dowiadywała, że jej mąż właśnie stracił lub zyskał dwieście milionów złotych. Podobno dlatego się rozstali. Kasia nie była w stanie choćby szczątkowo go poznać. Przez kilka lat żyła z facetem, o którym praktycznie nic nie wiedziała.

– Nie wyjaśniłeś, co miałbym robić – zauważyłem.

– To dla ciebie takie ważne? Wiedzieć, co przyniesie jutro?

– Znam strukturę twojego holdingu. Wiem, kim są dyrektorzy sprzedaży w poszczególnych firmach. Nieźle sobie radzą, zważywszy na okoliczności, w jakich przyszło im działać.

– Tak uważasz?

– „Nieźle” nie znaczy „świetnie”.

Kiedy Solski posłał mi kolejny bezkształtny uśmiech, zacząłem odgrzebywać w pamięci wszystkie niesprzyjające okoliczności, jakie uderzyły w jego biznesy: podatek bankowy, zakaz handlu w niedzielę, kłopoty z frankowiczami, aferę GetBacku, awanturę z Komisją Nadzoru Finansowego, słabość GPW. Większość biznesmenów po takiej serii kryzysów już dawno zniknęłaby z rynku. Tymczasem majątek Solskiego skurczył się ledwie o trzydzieści procent.

– Nie zamierzam wymieniać szefów sprzedaży – powiedział. – Potrzebuję kogoś, kogo do tej pory nie miałem u swojego boku.

– Czyli?

– Prawej ręki. Kogoś, kto pomoże mi zarządzać holdingiem, nie piastując w nim oficjalnie żadnej poważnej funkcji. Wszechmocnego ducha, który będzie doglądał

moich interesów.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Imperium Solskiego funkcjonowało w bardzo klarowny sposób. To on, jako szef rady nadzorczej Solski Holding, sprawował realną władzę nad spółkami, które zbudował. Pod nim był prezes holdingu, który bardziej pełnił funkcję rzecznika prasowego niż prawdziwego lidera biznesu, oraz szefowie poszczególnych spółek. Solski motywował swoich najważniejszych ludzi siedmiocyfrowymi rocznymi pensjami, w znacznej mierze uzależnionymi od wyników, oraz niewielkimi pakietami udziałów w poszczególnych biznesach, co przy skali jego działalności oznaczało wirtualne miliony. Zbudował armię robotów – wykształconych na najlepszych polskich, brytyjskich i amerykańskich uczelniach, mających doświadczenie z banków inwestycyjnych w londyńskim City, zapierdalających siedem dni w tygodniu po szesnaście godzin na dobę – która sprawnie zarządzała jego imperium. Nawet w czasie plagi kryzysów.

Dziwne, że zapragnął, aby kontrolę nad tym wszystkim przejął trzydziestosześcioletni sprzedawca. Bardzo dziwne.

– Dlaczego akurat ja? – zapytałem. – Na rynku jest wielu bardziej doświadczonych menedżerów. Ludzi, którzy prowadzili wielkie rodzinne biznesy, którzy pomagali Kulczykowi czy Solorzowi. Dlaczego chcesz sięgnąć po faceta, który choćby z racji wieku będzie musiał wykonać ogromną pracę, aby zdobyć autorytet wśród twoich ludzi?

– Uważasz, że nie podołasz wyzwaniu?

– Tego nie powiedziałem.

– Wystarczy, że o tym pomyślałeś. Ale to dobrze. Nie szukam oszołoma, który wierzy, że wszystko w życiu przychodzi łatwo. Potrzebuję kogoś podobnego do mnie. Kogoś, kto prowadzi biznes, żeby móc realizować to, na czym najbardziej mu zależy.

– To znaczy?

– Domyśl się.

Znów ten niepokojący uśmiech. Czy on wie coś, o czym nie powinien wiedzieć?

Nagle poczułem palącą potrzebę, żeby ponownie odezwać się do Chemika. Żeby dokończyć to, co zacząłem. Żeby posprzątać swoją kuwetę.

– Ze mną będziesz miał nieograniczone możliwości – powiedział Solski. – Zapewnię ci ochronę i praktycznie nieskończenie wysokie środki.

W tym momencie przestałem być pewny, o czym rozmawiamy. Przełknąłem głośno ślinę i wciągnąłem na twarz głupkowaty uśmiech.

– Twój szef pewnie już wie o naszej rozmowie. Powiedz mu, że rozważasz moją ofertę. W przeciwnym wypadku ci nie uwierzy. I zapewnij go, że pomożesz mu z tym przejęciem.

Skąd on to wie?

– Sam jestem ciekaw, co z tego wyjdzie – kontynuował. – Potraktuj to jako zadanie rekrutacyjne.

Kiedy wyszedłem z jego biura, kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałem, dlaczego wybrał akurat mnie. Nie wiedziałem, dlaczego odstawił tę szopkę z Bentleyem pod Warsaw Spire. Nie wiedziałem, jak mógł się dowiedzieć o tym przejęciu i co go łączy ze Skodą. Nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim sądzić i czy powinienem się go obawiać.

Wiedziałem jedno: że muszę skontaktować się z Chemikiem.

* * *

Europeizację Warszawy najdobitniej widać w nocnych klubach. Dawniej wejść do lokali strzegli łyси faceci w czarnych koszulkach opinających nienaturalnie spuchnięte bicepsy; często tak naspidowani, że strach było koło nich przejść, żeby nie załapać się na niekontrolowaną erupcję agresji. Teraz zastąpili ich łyси faceci w garniturach. Znający podstawy angielskiego. Względnie kulturalni. Względnie uprzejmi. I względnie wyluzowani, co zawdzięczali głównie temu, że byli względnie mniej naćpani. A na pewno inaczej.

Maria i Oleg przyglądali się takiemu elegantowi, który zdrapywał pęcherze z nasterydowanego łapska, popijając napój białkowy i cierpliwie czekając na wieczorną szychtę. Chwilę wcześniej powiedział policjantom, aby usiedli w łóży, a on zadzwoni po menedżera. Klub nazywał się Promenada (czyli tak jak wszystkie tego typu lokale) i mieścił się na Poznańskiej (czyli tam gdzie wszystkie lokale o podobnych nazwach). Składał się z kilku poziomów połączonych ze sobą wąskimi schodami, trzech sal tanecznych i kilkunastu łóż – zakątków, które z reguły zajmują chłopcy bawiący się na kawalerskim, dziewczyny świętujące paniński albo chłopcy i dziewczyny niemający lepszego pomysłu na przepuszczenie pieniędzy w weekend.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwał się Oleg.

– Śmiało.

Maria siedziała przy barierkach, spoglądając z góry na kwadratowego ochroniarza i kwadratową salę taneczną, wyobrażając sobie, jak wypełnia ją pijana młodzież. Nie

mogła dostrzec zakłopotania na twarzy Olega, próbującego wykrztusić pytanie, które od dawna chodziło mu po głowie.

– Jesteś lesbijką?

Odwróciła się w jego stronę.

– Sam na to wpadłeś czy ktoś ci powiedział?

– Wydedukowałem to.

– Z czego?

– No wiesz. Z twojego sposobu bycia. Z tego, że pracujesz w policji. Poza tym nosisz się dość... męsko.

Zaśmiała się.

– Nie jestem.

– Serio?

– Mam męża. Od dwudziestu lat. Nazywa się Piotr Łatwy. To dlatego nie przyjąłem jego nazwiska.

– Nie nosisz obrączki.

– Ostrożność zawodowa.

Oleg wyjątkowo wolno procesował te informacje. Musiał być mocno przekonany do swojej teorii.

– Macie dzieci? – zapytał. I żeby usprawiedliwić wścibstwo, dodał: – Ja mam dwoje. Igora i Darię. Trzynaście i jedenaście lat. Straszne urwisy.

– Nie mamy – powiedziała Maria. – Próbowaliśmy. Ale okazało się, że nie możemy mieć dzieci. Słyszałeś o zespole policystycznych jajników? PCOS?

Oleg pokręcił głową.

– To rodzaj zaburzeń hormonalnych. Kobiety mają problemy z miesiączkowaniem, przybierają na wadze i obsypuje je trądzik. A przede wszystkim często nie są w stanie zajść w ciążę. Po długotrwałej terapii udało mi się wygrać z PCOS, ale nie zdołałam pozbyć się wszystkich kłopotów. W tym tego najważniejszego.

– Przykro mi.

– Rozważaliśmy adopcję, ale w końcu uznaliśmy, że jest nam dobrze tak, jak jest.

Przyglądając się Marii, Oleg zrozumiał, że nie powiedziała mu całej prawdy. I wcale nie miał jej tego za złe.

– Rzadko zdarzają nam się klienci o tej porze.

Ich rozważania przerwał rozweselony, mniej więcej trzydziestopięcioletni facet, który błyskawicznie wdrapywał się po schodach.

Menedżerowie klubów także się zmienili. Dawniej wyglądali tak, jakby się wyrwali z wiejskiej potupał albo z *Kac Vegas*. Razili pstrokacizną, złotymi bransoletkami i żelazem, który litrami wylewali na łeb. Teraz niewiele się różnią od pracowników banków czy firm doradczych. Białe koszule, mokasyny, niezłe, a przynajmniej niezłe wyglądające zegarki. Pozwalają sobie tylko na ciut większą ekstrawagancję: kolorowe buty i rozpięty górny guzik koszuli. I na ciut więcej żelaza.

– Pewnie rzadko zdarzają się też tacy klienci – rzuciła Maria, witając się z menedżerem. – Komisarz Maria Falk, a to starszy aspirant Oleg Gusiew.

– Ksawery Grochowski. Wcale nie tak rzadko. – Facet posłał policjantom szeroki uśmiech, klasnął w dłonie i przysiadł się do nich w łóży. – W czym mogę pomóc?

– Szukamy tej dziewczyny. – Maria położyła zdjęcie na szklanym stoliku. – Nazywa się Renata Jaroszewicz. Wiemy, że często bywała w pańskim klubie.

Ksawery popatrzył na zdjęcie. Potrząsnął głową.

– Mamy tu takich na pęczki. Każdego dnia przychodzi inny pakiet. Przyjeżdżają spod Warszawy, ze wsi, z innych miast. To popularny lokal.

– Czyli nie kojarzy pan tej dziewczyny?

– Możliwe, że ją widziałem, ale absolutnie nie zapadła mi w pamięć. Zapamiętuję tylko ładniejsze od niej. Albo skąpiej ubrane.

Spojrzał na Olega, licząc na jego aprobatę, ale jej nie znalazł. Seksizm najwyraźniej nie był ulubionym hobby Ukraińca.

– Przypuszczamy, że była tu kilka dni temu – powiedziała Maria. – W piątek albo sobotę. Zauważyliśmy, że ma pan tu niezły monitoring. Możemy obejrzeć nagrania z weekendu?

– Pewnie. Z reguły trzymamy je do dwóch tygodni. To kulturalny klub, ale niektórym zdarza się przesadzić z alkoholem, a wtedy musimy skrócić im zabawę. Potem mają pretensje, grożą sądami i domagają się dowodów, a wtedy chętnie im pokazujemy, jak się zbydlęcili. Może to ich czegoś nauczy. A może nie. – Wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, poproszę szefa ochrony, żeby zebrał dla was nagrania.

– Będziemy zobowiązani.

Ksawery postukał palcem w zdjęcie.

– Co jej się stało?

– Od kilku dni nie ma z nią kontaktu. Próbuje ją odnaleźć.

– Co podejrzewacie? Że ktoś ją przydybał w Promenadzie, a potem porwał?

– To jedna z hipotez, które sprawdzamy.

– W takim razie możecie ją wykluczyć. Uczuliłem moich chłopców – skinął brodą na mięśniaka na dole – żeby zwracali szczególną uwagę na typów wyprowadzających stąd nawalone panny. Nie zgłosili żadnego incydentu, więc zakładam, że do niczego takiego nie doszło.

– Może coś przeoczyli.

– Może. Sami to ocenicie.

– Jeśli Renata lubiła przychodzić do Promenady, to jakie jeszcze lokale mogła odwiedzać?

– Pyta pani o naszą konkurencję?

Maria skinęła głową.

– W zasadzie jest nią cała Poznańska. Nie jesteśmy ani najdroższym, ani najtańszym klubem w okolicy. Gramy dość urozmaiconą muzykę, więc przyciągamy różnych klientów. Trudno wskazać jedno miejsce, które mogłaby wybrać zamiast Promenady. Zresztą i tak latem naszym głównym rywalem jest Wisła.

– Wisła?

– Bulwary, barki, lokale przy plażach, miejscówki obok mostów. Ludzie robią tam bifory, a potem wbijają na Poznańską. Upijają się w plenerze, żeby nie musieć wydawać kasy u nas. Często są już tak zabetonowani, że nawet tu nie docierają. Na waszym miejscu zacząłbym poszukiwania właśnie tam. Od tygodnia mamy koło trzydziestu stopni, więc nad rzekę wałą tłumy. Poza tym... – zawahał się. – Zresztą nieważne. Nie powinienem tego mówić.

– Skoro już pan zaczął, to proszę dokończyć.

Ksawery popatrzył na policjantów, a potem uciekł wzrokiem w głąb lokalu.

– Jeśli wasz porywacz ma trochę oleju w głowie, to na pewno nie próbowałby uprowadzić tej panny z klubu. Ochroniarze, monitoring, ruchliwa ulica – to wszystko sprawia, że ludzie mogą się tutaj czuć całkiem bezpiecznie. Ale Wisła to inna bajka. Tam ludzie zapominają, że są w centrum wielkiego miasta. Tam najczęściej puszczają im hamulce.

* * *

Poznałem Chemika na spotkaniu z założycielami firmy, w którą chciałem zainwestować jako anioł biznesu. Nazywała się BioLabs czy jakoś tak. Nie miała laboratorium, pracowników ani pieniędzy, ale zamierzała wynaleźć i sprzedać całą masę rewolucyjnych suplementów diety: na zespół drętwiejących rąk, swędzenie

krocza i tym podobne urojone problemy.

Chemik był mózgowcem w dwuosobowym zespole założycielskim. Gościem od wynalazków. Wiedział, jak wytwarzać cały ten chłam. Jego cwany partner miał sprzedawać towar komu tylko się da: aptekom, hurtowniom leków, przychodniom, drogeriom, a nawet szpitalom.

Pomysł może i niezły, ale od początku bardziej niż tą firmą interesowałem się Chemikiem. To kompletny nerd. Długie przetłuszczone włosy, czarna koszulka, bojówki w kolorze khaki, glany. Sądzę, że ma przynajmniej kilka identycznych kompletów, ponieważ w żadnym innym stroju go nie widziałem.

Jest małomówny. W trakcie półtoragodzinnego spotkania odezwał się trzy razy. Literalnie trzy. I każda z jego wypowiedzi przykuła moją uwagę. Raz wspomniał o filmach gore, raz o eutanazji, a raz o Josefie Mengele.

Nie pytajcie, jak te tematy wypłynęły podczas rozmowy o inwestycji. Przebieg takich spotkań bywa bardzo niecodzienny.

Z tego farmaceutycznego start-upu oczywiście nic nie wyszło. Któregoś dnia zadzwonił do mnie cwaniak – z jakiegoś powodu był święcie przekonany, że zainwestuję w ten projekt – i oznajmił, że Chemik go wystawił. Że jednak nie chce robić suplementów na ból dupy. Postanowiłem wykorzystać okazję. Powiedziałem cwaniaczkowi, że przekonam Chemika do zmiany decyzji. Musi mi tylko o nim opowiedzieć. I dać jego numer.

W ten sposób zostaliśmy z Chemikiem partnerami. Tak, to chyba najtrafniejsze określenie.

Skontaktowałem się z nim po spotkaniu z Solskim. Umówiliśmy się, że zgramę go po pracy. Sprzed Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Bo Chemik, choć wydaje się to nieprawdopodobne, jest doktorem i pracuje ze studentami. Sprzedaje im wiedzę na temat patofizjologii, neurofizjologii, patomorfologii i paru innych dziedzin, których nazwy nic mi nie mówią.

Pojechałem na Wspólną i wsiałem do jednego z moich meroli. Miałem do wyboru AMG oraz E w wersji kombi. Wybrałem tego drugiego – nie potrzebowałem limuzyny, tylko samochód, który będzie duży, niezawodny i nierzucający się w oczy. Kwadrans później zaparkowałem na Trojdena, jakieś pięćdziesiąt metrów od wjazdu na parking przy uniwerku. Ledwo zdążyłem wyłączyć silnik, gdy zobaczyłem w lusterku Chemika. Człapał w stronę auta, lekko przygarbiony i ze skwaszoną miną. Przypominał trolla, który po latach spędzonych w jaskini po raz pierwszy zetknął się

ze słońcem. Miał na sobie czarną koszulkę, bojówki i glany. Jakżeby inaczej!

– Cieszę się, że cię widzę – stwierdziłem na powitanie, żeby sprawić mu przyjemność. Chociaż szczerze wątpię, żeby takie wstawki robiły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Opowiedz o niej. – Chemik wyjął paczkę papierosów i zapalił.

Musicie wiedzieć, że to niereformowalny gość. Pomaga mi, ale robi to na swoich warunkach. Każe mi się wozić i dopasowywać do jego terminów. Ma gdzieś zakaz palenia w furze. Nie interesuje go, czego od niego oczekuję – sam definiuje moje oczekiwania. A na dodatek zawsze muszę się z nim zgadzać.

Ciężko się współpracuje z ludźmi, dla których kasa ma drugorzędne znaczenie, ponieważ nie da się nimi sterować. Ale mimo to i tak mam wrażenie, że Chemika zesłała mi opatrność. Jest jak bombonierka, w której cukierki nigdy się nie kończą, choć nie zawsze smakują tak, jak byśmy to sobie zamarzyli.

– Studiowała na Uniwersytecie Warszawskim i pracowała w korporacji jako specjalistka do spraw HR. Pochodzi z Łowicza. Trzy dni temu została uznana za zaginioną. Nazywa się...

– Nie chcę tego wiedzieć – przerwał mi Chemik. – Kiedy zniknęła?

– W miniony piątek.

– Ktoś was widział?

– Mnóstwo osób. A właściwie mnóstwo pijanych i naćpanych młodych ludzi, którzy pewnie nie zwrócili uwagi na laskę slaniającą się u boku nieźle wyglądającego faceta.

– Czy policja może powiązać ją z pozostałymi?

– Nie. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Maria i Oleg zagięli na mnie parol.

– Wymiary?

– Sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, niespełna sześćdziesiąt kilogramów wagi. Podobna do poprzedniczek.

Albo mi się zdawało, albo Chemik lekko się uśmiechnął. Z reguły był zimny jak lód i sztywny jak kutas na imprezach u Hugh Hefnera, ale czasem zdradzał oznaki człowieczeństwa. To były te mikromomenty, w których nabierałem pewności, że się rozumiemy. Że zawarliśmy niewerbalne porozumienie ponad podziałami.

– Wspominałeś, że przedawkowała.

– Tak przypuszczam. To jedyne logiczne wytłumaczenie tego, co się stało.

Chemik przez kilka sekund wpatrywał się w przednią szybę. Potem zamknął oczy.

Wziął głęboki wdech, jakby medytował.

– Będzie cię to kosztować trzydzieści tysięcy złotych – oznajmił.

Tym razem ja westchnąłem. Za to, co miał zrobić, były to śmieszne pieniądze. Ale nie chciałem, żeby o tym wiedział.

– Okej – powiedziałem, wypuszczając powietrze.

– Zawieź mnie do niej.

Poczułem niewypowiedzianą ulgę. Wprawdzie Chemik jeszcze nigdy mi nie odmówił, ale ze względu na jego nieludzki sposób bycia zawsze się obawiam, że kiedyś to zrobi. W końcu facet szybko się nudzi.

Uruchomiłem silnik i włączyłem się do ruchu. Ruszyliśmy w stronę Mordoru, z którego planowaliśmy przedostać się do Konstancina.

Pewnie jesteście ciekawi, co ktoś taki jak ja robi z kimś takim jak Chemik. Dlaczego we wczesne czwartkowe popołudnie wiozę go do domu, w którym leży martwa kobieta. Co ten przedziwny ludek może wskórać, skoro wszyscy doskonale wiemy, że na ożywianiu trupów znała się jedynie Mary Shelley. I to tylko w swoich gotyckich powieściach.

Otóż Chemik jest najdoskonalszym zabezpieczeniem mojego hobby.

Znacie takie powiedzenie: „Nie ma ciała, nie ma zbrodni”?

Facet nazywa się Santiago Meza López. Wygląda jak typowy Meksykaniec: ciemne włosy, krępy, z wąsem. Nazywano go El Pozolero. Czyli robiący zupeł. Czyli po prostu kucharz.

Nie był jednak zwyczajnym garkotłukiem. Santiago przez wiele lat pracował dla Teodora Garcii Simentala, jednego z najbardziej prominentnych gangsterów kartelu Tijuana. Zajmował się tak zwanym ługowaniem. Wystrojony w gumowe rękawice i maskę przeciwgazową, rozpuszczał wodorotlenek sodu w beczce wody. Podgrzewał roztwór do temperatury wrzenia. Następnie zalewał nim doły wykopane na opuszczonej działce w okolicach Tijuany, aby rozpuścić zalegające w nich trupy. Któregoś razu meksykańscy śledczy wydobyli z takiej dziury ponad szesnaście tysięcy litrów materiału genetycznego i około dwustu kilogramów ludzkich kości.

Metoda El Pozolero nie była doskonała. Ciała czasem rozpuszczały się całą dobę. W dodatku nie pozbywał się ich w całości, a jedynie uniemożliwiał identyfikację zwłok. Za każdym razem ten biedny człowiek musiał pozbawiać ofiary zębów i zakopywać je na jakimś odludziu.

Przypuszczam, że Chemik miał na to inny sposób. Bardziej efektywny. Ale wolałem o nim nie wiedzieć.

– Poradzisz sobie? – zapytałem.

Chemik stał na korytarzu mojej przestronnej piwnicy i przez otwarte drzwi patrzył na leżące w kącie pomieszczenia zwłoki. Wolno pokiwał głową.

– Czego potrzebujesz?

– Folia stretch.

– Tylko tyle?

– Wszystko mam na miejscu.

– Jesteś pewien? Bo jeżeli miałoby ci czegoś zabraknąć...

Uciszył mnie samym spojrzeniem. Był pewien.

Ceniłem go za szczerłość i zdecydowanie, ale najbardziej imponowała mi jego niezawodność. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby odmówił. Żeby marudził. Żeby nie

dowiózł obiecane go wyniku. Był wysokiej klasy specjalistą, który kupił moją wizję współpracy wraz ze wszystkimi jej przyległościami.

Przyniosłem kilka rolek folii i zaczęliśmy owijać zwłoki, żeby nie zostawić śladów w samochodzie.

– Mogę cię o coś zapytać?

Popatrzył na mnie wymownie. Nie lubił rozmawiać w trakcie pracy. Nie lubił się rozpraszać. Ale nawet taki odludek jak on musiał czuć pewien dyskomfort po paru minutach foliowania zwłok w absolutnej ciszy. Dlatego po długim namyśle kiwnął głową.

– Oglądałeś kiedyś *Pulp Fiction*? – spytałem.

– Dawno temu.

– Jest tam bardzo charakterystyczna postać. Pan Wolf. Gra go Harvey Keitel. Kojarzysz?

– Człowiek, który rozwiązuje problemy.

– Zgadza się. A pamiętasz, jak się pan Wolf zachowywał? Jaki miał sposób bycia?

Chemik potrząsnął głową.

– Był autorytarny i dosadny. Mówił szybko, myślał szybko i działał szybko. Rozstawiał ludzi po kątach. I to nie pierwszych lepszych chłystków, tylko Julesa i Vincenta, dwóch wstrętnych skurwysynów, którzy chwilę wcześniej niechcący rozwalili komuś łeb. W ciągu paru minut pan Wolf dawał uniwersalną lekcję przywództwa i działania w sytuacjach kryzysowych. Często o nim wspominam na swoich szkoleniach.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Trochę go przypominasz. Ty też rozwiązujesz problemy. Jestem ciekaw, czy tak jak pan Wolf masz wyrobioną markę. Czy ludzie z miasta wiedzą, że warto się z tobą skontaktować, kiedy mają tego typu problem. – Wskazałem brodą ciało. – Jestem ciekaw, czy masz wielu klientów takich jak ja. I czy lubisz swoją robotę.

Chemik na moment przestał owijać zwłoki. Zapatrzył się w podłogę.

– Lubię – odparł oschle.

Również przerwałem pracę. Popatrzyłem na niego.

– Napijesz się czegoś? Może kawy? Pan Wolf pił słodką z dużą ilością śmietanki.

Chciałem go rozluźnić. Rozbawić. Sprawić, żeby się uśmiechnął, a przynajmniej ściągnął z gęby tę posągową minę. Ale Chemik ani myślał spełnić moich zachcianek.

– Nie piję kawy – burknął. – I nie jestem jak pan Wolf.

I tyle. Nic więcej już nie powiedział. Nie mówił, nie wzdychał, nie wydawał żadnych odgłosów. Pracował jak pieprzona maszyna do owijania zwłok.

Chemik nie miał charyzmy pana Wolfa. Nie działał na masową skalę jak El Pozolero. Ale był dokładnie takim człowiekiem, jakiego w podobnych chwilach potrzebowałem. Był moim Aniołem Stróżem.

Do tej pory trzykrotnie korzystałem z jego usług. Za pierwszym razem pozwolił mi jedynie przetransportować zwłoki na drugi koniec miasta – ma niewielką działkę w przemysłowej części Włoch, schowaną przed cywilizacją za torami kolejowymi, centrami handlowymi i wielkimi magazynami. Zaparkowałem na tyłach niewielkiego baraku, otworzyłem bagażnik, a on zajął się resztą. Za drugim razem wyglądało to podobnie. Ale przy kolejnej okazji powiedział, abym pomógł mu przenieść ciało do jednego z dwóch budynków. Gdy tylko to zrobiłem, wyprowadził mnie za drzwi i odprawił do domu.

Przy czwartej okazji sam pozwoliłem sobie na więcej. Czułem, że możemy nieco zacieśnić znajomość, skoro organizujemy akcję za dnia, pozorując wywożenie mebli. Dlatego gdy wnieśliśmy ciało do środka, momentalnie klapnąłem na krzesło, udając, że muszę odsapnąć. Chemik zmierzył mnie surowym spojrzeniem, ale nie odezwał się słowem.

– Nie potrzebujesz pomocy? – zapytałem.

– Pracuję w pojedynkę.

– Mam na myśli przygotowanie ciała. Rozpakowanie, ułożenie na stole, takie tam.

– Pracuję w pojedynkę – powtórzył.

Słyszając jego podenerwowany ton, na wszelki wypadek uniosłem dłonie w obronnym geście. Cholera wie, jak ktoś taki może zareagować. A nuż jego zwoje splączą się na tyle niefortunnie, że zamiast mi pomóc, obedrze mnie ze skóry i wywiesi przed domem. Albo nafaszeruje mnie jakimś świństwem, aby sprawdzić możliwości ludzkiego organizmu. Albo... zresztą nieważne. Po prostu lepiej go nie wkurwiać.

Chemik wyszedł na zewnątrz i po chwili zniknął w sąsiednim budynku. Wykorzystałem ten moment, aby rozejrzeć się po izbie. Kwadratowe pomieszczenie, cuchnące jak męska szatnia, miało zakratowane okno. Przy nim stały biurko z laptopem, kosz na śmieci wypełniony opakowaniami po czipsach, batonach i chińskich zupkach, a także krzesło, na którym siedziałem. Do przeciwległej ściany przylegała solidnie zużyta kanapa. Był jeszcze niewielki stolik, na którym zmieściły

się mikrofalówka oraz czajnik. I to tyle. Żadnych gadżetów, pamiątek, dupereli. Chemik nie potrzebuje wiele do szczęścia.

Domyślam się, co robi ze zwłokami. Jestem niemal pewien, że wkłada je do wanny (albo dołu), zalewa jakimś osobliwym roztworem (albo kwasem) i czeka, aż się rozpuszczą. Następnie pozbywa się resztek. Mam nadzieję, że robi tylko tyle. Że w jego wykonaniu pozbywanie się zwłok sprowadza się wyłącznie do usuwania skutków zbrodni. Że wszystko odbywa się zgodnie z instrukcją, którą każdy w wyobraźni przypisuje do tej usługi. Ale mając na uwadze, że Chemik spędza ze zwłokami sporo czasu w samotności, że niechętnie opowiada o swoim fachu, że bierze za to śmiesznie mało kasy, że jest zgniłym trollem, który nie ma i raczej nie poszukuje dziewczyny, obawiam się, że może być inaczej.

Wiecie, co mam na myśli.

Po mniej więcej minucie wrócił ze skrzynką na narzędzia. Wyjął kieszonkowy nóż, wysunął ostrze i zaczął rozcinać folię. Kiedy się z nią uporał, rozprostował zwłoki, układając je na podłodze tak, jakby się relaksowały po sesji jogi.

– Chcesz się pożegnać? – zapytał, a widząc moje zdziwione spojrzenie, dodał: – Niektórzy tak robią.

Pożegnać? Żegnałem się z nią długo, czule i namiętnie, zanim stała się zimnym workiem kości.

– Pewnie – odparłem z radością, jakby mnie ktoś częstował żelkami.

– To zrób to teraz. A potem zostaw pieniądze pod drzwiami i spierdalaj.

Spojrzałem na Chemika, kiwnąłem głową, a następnie stanąłem nad zwłokami. Patrząc na sine ciało Renaty, z którego niechcący utoczyłem życie, czułem się niezręcznie. Znacie ten rodzaj niezręczności z pogrzebów albo wizyt na cmentarzach. Kiedy stajecie nad czyimś grobem, wiedząc, że powinniście odnotować to zdarzenie w jakiś uduchowiony sposób. Przeprowadzając endogeniczny monolog, mistyczną konwersację ze zmarłym albo chociaż klekąc na szybko jakiś bon mot, który będzie pasował do sytuacji. Ale zamiast tego nie możecie przestać ziewać, zastanawiacie się, co zrobicie na obiad, w co się ubierzecie do roboty albo czy na pewno dobrze podtarliście dupę w cmentarnym toi toiu. Uduchowanie na poziomie ameby.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach przestałem się gapić na trupa i zastosowałem się do polecenia Chemika: wróciłem do samochodu, zostawiłem pod drzwiami worek z pieniędzmi i spierdoliłem z tego zadupia.

Powiedzieć, że nad Wisłą do niedawna był chuj, dupa i kamieni kupa, to jak nie powiedzieć nic. Niegdyś duma stolicy, otoczona plażami i szkołami pływackimi, uwielbiana przez żeglarzy i kajakarzy, pełna statków kursujących między Gdańskiem a Warszawą, po upadku komuny z jakiegoś powodu zamieniła się w martwą rzekę. Ale na szczęście ktoś w końcu pojął, że drzemie w niej wielki potencjał i że warto jej przywrócić blask. Na szczęście warszawiakom starczyło rozumu, żeby postawić w jej sąsiedztwie Stadion Narodowy i Centrum Nauki Kopernik, żeby wyremontować Port Czerniakowski, żeby wskrzesić plaże, bulwary, barki i kluby. Na szczęście oprócz fanów sportów wodnych nad Wisłę tłumnie wypełzła także najebana młodzież.

Na szczęście dla mnie. I na nieszczęście dla Marii i Olega.

– Nie ma szans, żebyśmy tu coś znaleźli – zawyrokował Ukrainiec.

Policjantka spojrzała na niego, jakby chciała go za coś opieprzyć. Choćby za brak wiary. Ale zamiast tego smętnie pokiwała głową.

– Co proponujesz? – zapytała.

Oleg wzruszył ramionami. Przeszli ponadtrzykilometrowy odcinek dzielący Centrum Nauki Kopernik i Port Czerniakowski, zahaczając po drodze o wszystkie napotkane lokale. Wypytywali o Renatę właścicieli nadwiślańskich przybytków, barmanów i ludzi z obsługi. Nie dowiedzieli się niczego. Absolutnie niczego. Jedynie potwierdzili to, czego byli pewni. Że każdego tygodnia przewijają się tam dziesiątki blondwłosych dwudziestoparolatek. Z reguły atrakcyjnych. Z reguły solidnie nawalonych. Z reguły w towarzystwie facetów.

– Możemy przejść na drugą stronę rzeki i pokonać podobną trasę, wypytując wszystkich napotkanych po drodze ludzi o Renatę – powiedział Oleg.

– Albo?

– Albo możemy uznać, że to szukanie igły w stogu siana, i dać sobie spokój. – Podniósł się z betonowych schodów i odkleił mokrą koszulę od ciała. – Nawet jeśli tu była, to się tego nie dowiemy. A przynajmniej nie w ten sposób.

Maria pokręciła głową.

– Cały dzień psu w dupę.

Oleg zerknął na zegarek, a potem na sznur samochodów sunących w górze mostem Łazienkowskim.

– Jest siedemnasta. Ludzie wychodzą z roboty. Proponuję wziąć z nich przykład. Jeśli chcesz, możemy jeszcze coś przekąsić. Znam fajny lokal w Porcie Czerniakowskim. Podają tam niezłe burgery. Moglibyśmy się rozłożyć na leżakach

i popatrzeć, jak ludzie śmigają na wake'u. Dobrze nam to zrobi.

Maria spojrzała na Olega. Nie była pewna, czy wie, czym jest wake. Ani czy w ogóle ma ochotę cokolwiek jeść. Nienawidziła lata. Upał odbierał jej apetyt, energię i chęć do życia. Przepalał jej system. A przez ostatnie trzy godziny łazili po nagranych betonowych schodach, rampach i formacjach.

– Chodźmy po samochód – powiedziała. – Przeniesiemy się na drugą stronę Wisły i pogadamy ze wszystkimi napotkanymi tam ludźmi. – Spojrzała na Olega, który przez chwilę wyglądał tak, jakby się wahał, kogo powinien zamordować: siebie czy ją. – Masz coś lepszego do roboty?

Miał. Zjeść burgera. Poleżeć na kanapie. Pobawić się z dziećmi. Pokodować. Zwalić konia. Wszystko było lepsze od tego, co zaproponowała.

– To nie jest robota dla dwojga – stwierdził, kręcąc głową.

– Na tym etapie nawet nie wiemy, czy w ogóle jest sens w tym grzebać. Byłoby miło, gdyby się okazało, że Renata przeszła załamanie po rozstaniu i na parę dni odcięła się od świata. Ale brzmi to mało prawdopodobnie. Dlatego musimy się sprężyć i jak najszybciej znaleźć dowód na to, że została uprowadzona. Wtedy Papszon przydzieli do tej sprawy całą armię.

– I raczej nikt z nas nie stanie na jej czele.

– Raczej nie. Ale o tym musiałeś wiedzieć, zanim wyskoczyłeś ze swoimi wynurzeniami. – Spiorunowała Olega wzrokiem. – Chodźmy po samochód. Nie chcę łązić wzdłuż tej jebanej rzeki do wieczora.

To był pierwszy z wielu zgrzytów w ich krótkiej zawodowej relacji.

* * *

– Co tak śmierdzi?

Karolina poruszyła nozdrzami niczym pies myśliwski. Rozejrzała się na boki. Podeszła nawet do okna, podejrzewając, że smród może pochodzić z zewnątrz, rozpylany z kamienic na Mokotowskiej albo ogródków i arkad na placu Zbawiciela.

– Nie przeszkadza ci to? – spytała.

– Nic nie czuję – stwierdziłem.

– Taki chemiczny zapach. Jak w szpitalu.

– Mam katar. Naprawdę nic nie czuję.

Karolina w końcu machnęła ręką. Uniosła kieliszek białego wina.

– Nieważne. Gratuluję oferty. Twoje zdrowie.

– Nasze – odparłem z uśmiechem i delikatnie stuknęliśmy się kieliszkami.

Karolina była moją dziewczyną. Tak, dziewczyną. Prawdziwą, nie żadnym wytworem wyobraźni. Ciemnowłosą pięknoscią o dużych piwnych oczach i świdrującym spojrzeniu. Efektowną, godną i bardzo reprezentacyjną. Czyli zupełnie nie w moim typie.

Choć może to i lepiej.

Poznaliśmy się mniej więcej dwa lata temu. Sądziłem, że chce wydebić ode mnie kasę. Rozkręcała start-up kosmetyczny i wiedziała, że od czasu do czasu inwestuje w raczkujące firmy. Przypuszczałem, że przez półtorej godziny będzie mi nawijać makaron na uszy, uśmiechać się zalotnie i rzucać powłóczyste spojrzenia. Że poszczuje trochę cystem i wyciągnie ode mnie sto tysięcy złotych. Ale Karolina nie chciała moich pieniędzy. Chciała mnie.

Do dziś nie wiem, czy powinienem się z tego cieszyć, ponieważ jej start-up okazał się hitem. Karolina pozyskała na jego rozwój około dziesięciu milionów złotych. W ciągu paru miesięcy pojawiła się we wszystkich gazetach i serwisach biznesowych. Wystąpiła na większości liczących się konferencji technologicznych w Europie Środkowo-Wschodniej. Zdobyła kilka branżowych nagród. A przede wszystkim jej firma zaczęła osiągać sensowne przychody i zbliżać się do progu rentowności. Gdybym wtedy dał Karolinie te sto tysięcy – choć nawet o to nie poprosiła – moje udziały byłyby już warte około miliona złotych.

– Przyjmiesz ją? – zapytała, bawiąc się kieliszkiem.

– Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, czy mogę ją traktować poważnie. Poza tym żeby w ogóle być w grze, muszę załatwić przejęcie dla Clouda. Solski powiedział, że to moje zadanie rekrutacyjne.

– To akurat nie powinno być trudne.

– Różnie z tym może być.

– Firmy chmurowe zakładają mózgowcy z polibudy, a nie uparci Janusze Biznesu. Jakoś się dogadacie.

Potrząsnąłem głową.

– Bez względu na to, po którą spółkę sięgniemy, będzie to firma rodzinna. A z nimi zawsze są problemy. Takie deale często generują bardzo niezdrowe emocje.

Karolina kwaśno się uśmiechnęła. Pewnie przypomniała sobie, jak jej ojciec musiał sprzedać wielohektarowe gospodarstwo, ponieważ żadne z jego czworga dzieci nie miało ochoty go prowadzić. Najbardziej liczył na Karolinę, która od dziecka była

przedsiębiorcza. I chyba jako jedyna z rodzeństwa nie nienawidziła starego. Ale ona zakochała się w nowych technologiach i kosmetykach. Nie zamierzała babrać się w gnoju. Nie zamierzała wracać na kujawską wieś. Nie zamierzała wieść życia, które ktoś dla niej zaprojektował.

Zuch dziewczyna.

– Jaki on jest? – zapytała.

– Solski? – Zastanowiłem się przez chwilę. – Zasadniczy. Konkretny. Bystry.

Wzbudza respekt.

– Mógłbyś pracować pod kimś takim?

– Nie wiem. Do tej pory pracowałem wyłącznie pod idiotami. To oczywiście ma pewne minusy, ale jest stosunkowo proste.

– Powiedział, co konkretnie miałbyś robić?

– Chce, żebym został jego prawą ręką. Zakładam, że potrzebuje kogoś, kto będzie kwestionował jego pomysły.

– Albo wręcz przeciwnie. Może potrzebuje bystrego gościa, który będzie subtelnie lizał go po jajach, a potem zgrabnie sprzedawał innym jego wizje.

Lubiłem spotykać się z Karoliną. Była jedną z niewielu osób, z którymi dobrze mi się rozmawiało. Właściwie o wszystkim. Ale głównie o biznesie. Nie miała doświadczenia tych wszystkich gogusiów z McKinseya, Baina czy BCG. Nie potrafiła szyć ładnych prezentacji i stawiać tabel w Excelu. Nie mówiła językiem dzieciaków wykształconych na London School of Economics czy University College London – choć kilku takich ściągnęła do swojego zespołu. Ale znała się na ludziach. Miała intuicję, która jest niezbędna do względnie bezpiecznego pływania w odmętach biznesu. I dlatego nie bałem się konsultować z nią decyzji.

A poza tym dobrze jest mieć kogoś takiego u boku. Pamiętajcie, jak mówiłem, że ludzie ze szczytu najchętniej spotykają się z celebrytkami, znanymi dziennikarkami albo kontrowersyjnymi dziedziczkami fortun? Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy osiągniesz sukces, chcesz się zadawać z ludźmi, którzy są na tym samym poziomie co ty. Z biznesmenami, politykami lub sportowcami, których powodzenie zawodowe wywindowało na irracjonalnie wysoki poziom pewności siebie. Z ludźmi napędzającymi się wiarą, że są w stanie podbić świat. A po drugie, tego typu kobiety są świadectwem statusu. I to najważniejszym z możliwych. Są jak porsche, ferrari i lambo skumulowane w jednej gigantycznej maszynie. Jak rolex i patek philippe na jednym nadgarstku. Jak przedłużenie fiuta.

Dlatego trzeba się z nimi spotykać w takich miejscach jak to: w zlokalizowanej w sercu Warszawy restauracji, której francuski szef stara się o gwiazdkę Michelin. Z ultranowoczesnym industrialnym wnętrzem, zaprojektowanym przez jakiegoś designerskiego fadarafę. Z wymuskanyimi kelnerami, którzy z murzyńską służalczą nadskakują klientom.

– Co tak śmierdzi? – spytała ponownie Karolina.

– Może to z zewnątrz? – zasugerowałem, wskazując brodą drzwi wejściowe.

Oczywiście doskonale wiedziałem, co to za zapach. Środki dezynfekcyjne. Po spotkaniu z Chemikiem starannie wymyłem swoje podwarszawskie mieszkanie. Wyszorowałem całą piwnicę. Każdy najdrobniejszy kąt. Każdy mebel, obok którego niosłem Renatę i którego przypadkiem mogła dotknąć. A na koniec unurzałem w chemii swoje ciuchy. Wszystkie, w których Renata mnie widziała. Uznałem, że będzie to lepsze rozwiązanie, niż gdybym miał je spalić na jakimś odludziu.

– Co robisz jutro? – zapytała.

– Spotykam się ze znajomymi.

– Z tymi debilami?

Uśmiechnąłem się.

– Znam tych debili od dwudziestu lat. Potrzebuję ich.

– W jakim celu? Do łechtania ego? Do zabawy w dobroczyńcę?

– Słyszałaś o czymś takim jak koleżeństwo? Albo przyjaźń?

– Przecież to nie są twoi przyjaciele. Gównu cię obchodzi, co u nich słychać. Chcesz tylko, żeby mieli świadomość, jak wspaniale sobie radzisz.

– Do tego wystarczy trochę pogugłować.

– Poświęcasz im piątkowe wieczory, a dla mnie masz tylko to. – Zerknęła z pogardą na maszerującego po sali kelnera. – Dwie kolacje w miesiącu w jakichś szpanerskich restauracjach. Ja też umiem się bawić. Potrafię być dobrym kompanem na imprezie.

– Nie wątpię.

– Nie myśl, że chodzi mi o ciebie. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Żyjemy w społeczeństwie, w którym nadal występują ogromne dysproporcje płciowe. Faceci tacy jak ty mogą łązić po klubach, wrywać panienki, polewać je szampanem i gzić się z nimi w pokojach hotelowych. Nikogo to nie rusza. Nikt nie widzi w tym niczego skandalicznego. Ale gdybym ja choć raz zrobiła coś takiego, zostałabym wyklęta. Zmieszana z błotem. Zwyzywana od kurew. Taki incydent prawdopodobnie

zniszczyłby mnie i moją firmę. Dlatego jeśli mam ochotę poimprezować, powinnam to robić z tobą. Przynajmniej dopóki będziemy uchodzić za parę.

Westchnąłem. Spodziewałem się, że prędzej czy później do tego dojdzie. Młode kobiety – Karolina dopiero zbliżała się do trzydziestki – mają to do siebie, że szybko się nudzą zastanym układem. A nasz był na tyle niestabilny, że byle pierdnięcie mogło go zburzyć.

– Nie rób tego – powiedziałem. – Nie zachowuj się tak. Nie pasuje do ciebie ten pełen pretensji ton. Ani uskarżanie się na swój los. Dobrze wiedziałas, na co się piszesz.

– Nie wiedziałam. Nikt nie wiedział. Ty też nie. Nie miałeś pojęcia, jak ta relacja się rozwinie. Ale z jakiegoś powodu uznałeś, że najlepiej będzie uwalić ją w zarodku.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie chcę się z tobą kłócić. A na pewno nie tutaj i nie dzisiaj. Zjedzmy przegrzebki, dopijmy wino i wyjdźmy stąd uśmiechnięci od ucha do ucha. Jak dwoje kochających się ludzi. Okej?

Karolina opróżniła kieliszek i głośno odstawiła go na stół. Przełknęła wino, jakby połykała gówno.

– Co tu tak, kurwa, śmierdzi? – warknęła. – Zaraz się porzygam.

Uśmiechnąłem się. Czasem dobrze jest mieć katar. A najlepiej katar społeczny.

Z pewnością kojarzycie hasło „sprzedaj mi ten długopis”. Mogliście o nim czytać, mogliście słyszeć, ale najpewniej widzieliście, jak w *Wilku z Wall Street* wypowiada je Leonardo DiCaprio, który kilkanaście minut wcześniej czołgał się do białego ferrari po przedawkowaniu metakwalonu. Według niektórych sprzedawców jest to świetne ćwiczenie rekrutacyjne, pozwalające sprawdzić umiejętności potencjalnego handlowca. Dla innych to bzdurna próba, która o niczym nie świadczy. A dla mnie? Uważam, że to wdzięczna zabaweczka, i chętnie urozmaicam nią swoje występy.

– Jestem producentem bram garażowych – powiedziałem, kładąc laptopa na kolanach faceta w pinglach. – Sprzedaj mi to oprogramowanie.

Odsunąłem się na kilka metrów. Przeszedłem się wzdłuż tablicy magnetycznej. Wyjrzałem przez rolety na parking. Wszystko po to, aby dać gościowi kilka sekund na przeczytanie opisu softu. I kilka następnych, żeby wyobraził sobie, jak się produkuje bramy garażowe. W końcu ponownie się zbliżyłem. Z rękoma splecionymi na piersi oparłem się o kant biurka.

– To czołowy system ERP na rynku – zaczął okularnik, zerkając to na mnie, to na ekran. Znacznie dłużej i intensywniej na ekran. – Pomaga przedsiębiorstwom zarządzać wyrobami, podzespołami czy półfabrykatami. Dzięki niemu uprości pan procesy produkcyjne i łatwiej będzie mógł kontrolować jakość pracy maszyn. Poza tym...

Facet dalej się produkował, ale ja już słyszałem tylko bla, bla, bla. Ten system bla, bla, bla... Umożliwia integrację z bla, bla, bla... Świetnie współpracuje z bla, bla, bla... Bełkot. Bezmyślnie skserowany z bezmyślnego opisu, nabazgranego dla producenta przez jakiegoś bezmyślnego tłuca z działu sprzedaży, marketingu albo chuj wie skąd.

Kiedy facet się nieudolnie produkował, wyjąłem wibrujący telefon. Dostałem wiadomość.

Skończyłem.

Została wysłana z jakiegoś dziwnego numeru, ale wiedziałem, że pochodzi od Chemika. Była w jego stylu: tak lapidarna, jak to tylko możliwe. Cała operacja zajęła mu około czternastu godzin. Byłem cholernie ciekawy, jak pozbywa się zwłok, ale przede wszystkim w jaki sposób udaje mu się utrzymać swoją profesję w tajemnicy. Przecież nawet na tym jego zadupiu kręcą się jacyś ludzie: kierowcy ciężarówek, budowlańcy, pracownicy zakładów produkcyjnych. Ktoś powinien widzieć, że co jakiś czas przywozi do swojej nory duże zafoliowane przedmioty, które już nigdy jej nie opuszczają. Ktoś powinien zauważyć dym unoszący się nad jego barakiem – zupełnie jak w *Breaking Bad*. Ktoś powinien wreszcie zainteresować się tym nerdem. I niewykluczone, że prędzej czy później ktoś to zrobi. Dlatego dobrze by było, gdybym wymyślił dla niego jakąś alternatywę, ale na razie nie zamierzałem wybrzydzać. Znalezienie Chemika traktowałem jak niekończącą się Gwiazdkę.

– Dzięki temu narzędziu może pan...

– Stop! – przerwałem okularnikowi i zerknąłem na zegarek. – Dwie minuty. Tyle czasu straciłeś na mówienie o rzeczach, które kompletnie mnie nie interesują. Ale przyjmijmy, że jeszcze się nie wściekłem i nie wyrzuciłem cię za drzwi. Kontynuuj.

Facet przez kilka sekund bezmyślnie się na mnie gapił, po czym ponownie otworzył gębę.

– To zupełnie unikatowy soft, który umożliwi panu analizę potrzeb materiałowych, zarządzanie zleceniami czy...

Bla, bla, bla. Nie załapał. I pewnie już nie załapie.

Kiedyś miałem więcej radochy ze szkolenia takich ciołków. Czułem się jak trener trzecioligowej drużyny, próbujący wydobyć z tłumu nieudaczników choćby jednego, który potrafi prosto kopnąć piłkę. Jak czarodziej zmieniający brzydkie kaczątka w książniczki. Ale od pewnego czasu nie sprawiało mi to żadnej frajdy. To dlatego zacząłem szukać okazji inwestycyjnych. Dlatego umówiłem się na spotkanie ze Skodą, zbajerowałem go i na świetnych warunkach wkręciłem się do zarządu Clouda. Dlatego chciałem poprowadzić to przejęcie, które mogło mi przynieść kilka baniek premii. I wreszcie dlatego bardzo chciałem pracować u boku Solskiego. Nawet jeśli miałbym być tylko jego giermkim.

– Wystarczy. – Podszedłem do faceta i odebrałem mu komputer. – Spotkanie dobiegło końca. Możesz wyjść.

Okularnik potrzebował paru sekund, żeby przyjąć ten komunikat. Kiedy wreszcie dotarło do niego, że przegrał, wysłałem mu kolejny.

– Proszę wyjść. – Wskazałem palcem drzwi. – Teraz. Zabierasz czas pozostałym uczestnikom szkolenia.

– Co zrobiłem nie tak? – zapytał.

– Wszystko. Szczegóły usłyszysz od kolegów. A teraz chciałbym, żebyś wyszedł.

Ludzie zawsze myślą, że żartuję. Że po paru sekundach krępującej ciszy wszystko odkręcę. Ale nawet jeśli delikwent radzi sobie zupełnie przyzwoicie jak na skalę swojej mierności, nie mogę tego powiedzieć. Zepsułbym cały show.

– Czekamy.

Okularnik w końcu pojął, że to nie jest dowcip. Sięgnął po opartą o krzesło teczkę i pospiesznie, ponaglany współczująco-drwiącymi spojrzeniami kolegów, opuścił salę. Wtedy wróciłem na podwyższenie i odłożyłem laptopa na biurko.

– Klienta nie interesuje wasz produkt – powiedziałem. – Gównu go obchodzą jego parametry, funkcjonalności czy technologie, na których został zbudowany. Interesuje go wyłącznie to, ile dzięki temu śmiesznemu człowieczkowi w garniturku, który próbuje mu coś ożenić, jest w stanie zarobić. Dlatego musicie mu czym prędzej uświadomić, jakie ma potrzeby. Musi zrozumieć w mig, że dzięki waszemu produktowi zdoła przyspieszyć proces produkcyjny albo zapobiec kradzieżom w firmie. Że dzięki temu będzie mógł monitorować pracę swoich leniwych pracowników. Że pozwoli mu to zmniejszyć zatrudnienie o dwadzieścia procent. I pod żadnym pozorem nie wolno wam używać tych wszystkich durnych określeń, które znajdują się na opisach produktów. W dziewięćdziesięciu kilku procentach nie będziecie rozmawiać z profesorami, tylko z ludźmi, którzy ledwo oderwali się od cepa.

Roześmiali się. Już dawno przestało mnie dziwić, że nieopierzeni sprzedawcy natrzęsają się z samych siebie, nie mając o tym bladego pojęcia.

– Wasz kolega nic nie wie o sprzedaży i nie zna się na ludziach. A do tego okazał się strasznym ignorantem. Nie zabroniłem mu rozmawiać z klientem, a mimo to nawet nie zapytał, jak duża jest moja firma. Ile osób zatrudniam. Co to za bramy. Jak wygląda proces technologiczny. Czy mam już jakieś oprogramowania wspierające produkcję. Zamiast poprowadzić sprzedaż, zafundował nam marnej jakości prelekcję.

Schyliłem się do komputera i odpaliłem stronę kolejnego dostawcy oprogramowania. Zerknąłem na jego listę klientów. Skupiłem się na nazwie, która

przykuła mój wzrok. Przeczytałem jednozdaniowy opis firmy, wróciłem do strony z charakterystyką produktu i odwróciłem się do audytorium.

– Kto następny? – zapytałem.

To ważny moment. Osoba, która zgłasza się pierwsza, zwykle jest dupkiem o przerośniętym ego i marnych umiejętnościach, pragnącym za wszelką cenę udowodnić, że ma dłuższego, niż się wszystkim wydaje. Choć zdarzają się wyjątki.

Takie jak ona. Blondynka w czerwonej kiece i wysokich szpilkach. Z ponadstandardowo głębokim dekoltem, który eksponował konkretne cyce. Uśmiechnięta, ale nieepatująca sztuczną pewnością siebie.

Wprost idealna.

Kiedy do niej podszedłem, opuściła rękę, a ja z największą przyjemnością położyłem jej laptop na kolanach.

– Jestem szefem zaopatrzenia w firmie, która wytwarza maszyny dla górnictwa. Sprzedaj mi to oprogramowanie.

* * *

Nikt tak naprawdę nie wie, gdzie to się zaczęło, ale wszyscy twierdzą, że w Google. Piłkarzyki, stoły do ping-ponga albo bilardu, hamaki, konsole do gier, zjeżdżalnie, place zabaw, pokoje drzemek. A do tego fikuśne krzesła, darmowe żarcie i zabawne nazwy sal. Od dłuższego czasu firmy prześcigają się w wymyślaniu udogodnień biurowych, dzięki którym rekrutują dwudziestoparoletnich naiwniaków. I są w tym coraz lepsze.

Korzystając z dobrodziejstw kuchni jednej z takich nowoczesnych korporacji, Oleg i Maria czekali na szefową Renaty. I zarazem szefową HR w polskim oddziale firmy Dangill, jednego z największych amerykańskich koncernów spożywczych, który produkuje faszerowane chemią ciastka, pomaga wywalać dziesiątki milionów ton plastiku do mórz i wyzyskuje kraje Azji Południowo-Wschodniej. Klasyka. Policjanci mieli za sobą mrukiwy poranek. Rozmawiali tyle, ile musieli, żeby ustalić plan działania. Nic ponadto. Oleg nie potrafił się jednak kłócić, dlatego podszedł do Marii, która gimnastykowała się z ekspresem. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, pomógł jej zamocować kolbę, a ona podziękowała mu oszczędnym uśmiechem.

– Czternaście kilometrów – oznajmił Oleg.

– Co? – spytała Maria, przebijając się przez powarkujący ekspres.

– Czternaście kilometrów. Tyle wczoraj przeszliśmy. Osiem po lewej stronie Wisły

i sześć po prawej. Przynajmniej tak twierdzi moja apka. Mam zakwasy jak po joggingu.

Maria wyjęła kubek z maszyny. Pociągnęła kilka nerwowych łyków, podrażniając podniebienie.

– Mój ojciec mawia, że dopóki coś cię boli, to znaczy, że żyjesz – powiedział Oleg.

Czekał na jakąś reakcję Marii. Jakąkolwiek. Ale ta niczym go nie uraczyła. Nie wiedząc, jak ją podejść, w końcu wykrztusił to, co zamierzał powiedzieć, kiedy po raz pierwszy tego dnia zobaczył Marię.

– Sorry za wczoraj.

Maria wzięła parę następnych mikrołyków, robiąc sobie parę następnych mikroran.

– To ja przepraszam – odparła po chwili. – Za to, że się wściekłam. I potraktowałam cię z buta.

– Zdarza się.

Policjantka potrząsnęła głową.

– Nawet gdybym miała dobry powód, nie powinnam tak się zachować.

Wyciągnęła do Olega dłoń. Poczowała ulgę, kiedy przyjął przeprosiny i odpowiedział jej uśmiechem. Cieszyła się, że na tym się skończyło. Że nie próbowali się wgryźć, co tak naprawdę stało za jej wczorajszym wybuchem. Bo gdyby to zrobili, mogłoby się okazać, że Marii wcale nie zirytowało lenistwo Olega. Wściekła się, ponieważ miał do czego wracać. Spokojny dom, żona, dzieci. Dzieci, kurwa. Nie potrafiła przeboleć tego, że nie może założyć rodziny. Niepłodność rzutowała na jakość jej pracy. Bardziej, niż była gotowa przyznać.

Po paru minutach przyszła do nich szefowa Renaty. Przedstawiła się jako Zofia Chodkowska. Żeby uchodzić za profesjonalną i ponętą menedżerkę, wystroiła się w szarą garsonkę i wysokie szpilki. Jednak przez rzucającą się w oczy nadwagę oraz fakt, że miała metr pięćdziesiąt w kapeluszu, wyglądała komicznie. Jak napakowany pingwin. Zaprowadziła policjantów do niewielkiej sali konferencyjnej, oznajmiła, że ma dla nich jedynie kilka minut, ponieważ czeka ją „call z centrali”, i od razu przeszła do konkretów.

– Renata pracuje u nas od lutego. A właściwie pracowała. Nie wyobrażam sobie, żeby po tym niespodziewanym zniknięciu wróciła do firmy.

– Podejrzewamy, że mogła zostać uprowadzona – stwierdziła Maria, mając nadzieję, że skruszy ten karakanowaty mur z Excela, deadline’ów i kejpiajów. Ale Chodkowska wyglądała na niewzruszoną. – Jak się odnajdywała w firmie?

– Całkiem nieźle. Szybko się wdrożyła. Po dwóch miesiącach stała się jednym z moich najlepszych pracowników. Dlatego tak bardzo się wkurzyłam, kiedy zniknęła.

– Na czym polegała jej praca?

– Na początku nie robiła niczego skomplikowanego. Przygotowywała umowy i rozliczała czas pracy. Obsługiwała proste procesy kadrowe. Całkiem nieźle sobie radziła, więc zaczęłam ją wdrażać w trudniejsze zadania, ze współprowadzeniem projektów rekrutacyjnych włącznie. W tym tygodniu miałam przenieść Renatę do zespołu zajmującego się tworzeniem systemów motywacyjnych.

– Miała kontakt z ludźmi spoza firmy?

– Minimalny. Była bierną uczestniczką kilku rekrutacji.

– A w firmie? Dobrze się dogadywała z kolegami?

– Raczej z koleżankami. Koledzy ją drażnili.

– Jak to?

Chodkowska westchnęła, po czym zerknęła na telefon. Kejpiaje wzywały.

– W HR-ach pracują głównie kobiety. Z reguły młode. Przeważnie dość ładne. Przypuszczam, że to główny powód, dla którego faceci całymi grupami przychodzą do naszego działu. Myślą, że wystarczy zarabiać dziesięć koła miesięcznie i zapuścić brodę, żeby być najbardziej pożądanym towarem w mieście. A co gorsza, wiele dziewczyn pozwala im w to wierzyć. Lubią być adorowane.

– Renata była jedną z nich?

– Nie. – Chodkowska ponownie zerknęła na wyświetlacz. – Renata bardzo stanowczo dawała do zrozumienia, że nie jest zainteresowana absztyfikantami. A przez to ci byli jeszcze bardziej nachalni. Traktowali ją jak trudny do zdobycia cel.

Policjanci popatrzyli po sobie.

– Będziemy musieli porozmawiać z ludźmi z pani firmy – powiedziała Maria.

Chodkowska kiwnęła głową i wstała od stołu. Nawet jeśli nie podobała jej się ta zapowiedź, była zachwycona tym, że rozmowa dobiegła końca.

– Poproszę asystentkę, aby zorganizowała dla państwa jakąś salkę i pomogła wszystko skoordynować – powiedziała. – Mam tylko jedną prośbę.

– Tak?

– Nie męczcie ich zbyt długo. Przez okres urlopowy mamy poważne braki kadrowe. Każda dziewczyna musi pracować za dwie. I każdy kwadrans przerwy sporo nas kosztuje.

Odprawdzając wzrokiem ten zdehumanizowany rachunek zysków i strat, Maria

zebrała do kupy wszystkie fakty dotyczące Renaty. Zdolna studentka, która odnalazła się w korporacji. Atrakcyjna i ciesząca się zainteresowaniem kolegów. Nieustannie podrywana przez upierdliwców. Sporo imprezująca. Straumatyzowana niedawnym rozstaniem z facetem. Krótko mówiąc: wymarzona ofiara drapieżcy schylającego się po nisko wiszące owoce.

Oczywiście ja bym siebie tak nie określił. Ale dla uproszczenia przyjmijmy, że Maria miała rację.

* * *

Właśnie rozpamiętywałem miłe chwile spędzone z Renulką, kiedy do mojego gabinetu zapukał Skoda. Wyglądał na niezdrowo podekscytowanego.

– Zajęty? – spytał i zanim zdążyłem się odezwać, dodał: – Wpadnij do mnie na chwilę.

Leniwie podniosłem się z fotela. Zawiesiłem wzrok na oknie, aby przypomnieć sobie i jemu, że choć teoretycznie nie jestem pierwszy w kolejności dziobania, to mam najlepszy widok z okna w całej firmie. Dopiero potem ruszyłem za Skodą.

– Zdecydowałeś się? – zapytał zaraz po tym, gdy weszliśmy do jego gabinetu.

– Tak – odpowiedziałem, siadając na skórzanej kanapie. – Wchodzę w to. Kupmy sobie firmę.

Skoda prawie odleciał ze szczęścia. Przez moment bałem się, że mnie uściska. Albo ucałuje. Albo... nieważne. W dalszym ciągu był niezdrowo podjarany, a ja nie potrafiłem wyczuć, o co mu właściwie chodzi.

– W takim razie została nam do ustalenia jeszcze jedna rzecz. – Skoda rozsiadł się po drugiej stronie szklanego stołu i poprawił mankiety koszuli. – Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy powiększyli nasz zespół akwizycyjny?

Tego się obawiałem. Choć owinąłem sobie Skodę wokół palca, czułem, że nie darzy mnie stuprocentowym zaufaniem. Liczyłem się z tym, że będzie chciał wpuścić do zespołu jeszcze jedną osobę. Tylko dlaczego tak się z tym czaił?

– Pewnie, że nie – odparłem. – Im więcej, tym weselej.

I tym mniej kasy dla każdego z nas, pomyślałem.

– Wspaniale.

Skoda wyjął telefon. Zadzwoił. Poprosił rozmówcę, aby do nas dołączył. Przez następne kilka sekund głupkowato się do mnie szczyrzył, jakby planował mnie zgwałcić na śpiocha. A ja, czując, jak narasta we mnie frustracja, wsłuchiwałem się

w szuranie butów na korytarzu. Nie podobał mi się ten odgłos. I nie podobało mi się to, ile kroków naliczyłem, nim rozległo się kurtuazyjne pukanie w otwarte drzwi.

– Na szczęście nie muszę was sobie przedstawiać.

Z wymuszonym uśmiechem gapiłem się na Przydupasa. W ciągu minuty byłbym w stanie wymienić z pięćdziesiąt osób, które lepiej nadawały się do tej roli.

Przydupas przytargał ze sobą nie tylko źle skrojony garnitur, ale również folder, który wypchał dokumentami. Przysiadł się do mnie i położył go na stole.

– Krystian zrobił analizę spółek, które firmy doradcze zarekomendowały nam do przejęcia – wyjaśnił Skoda. – Stworzył bardziej skonkretyzowaną i urealnioną listę potencjalnych akwizycji.

– Tak naprawdę w grę wchodzi tylko trzy firmy – stwierdził Przydupas, otwierając swój zadbane folderek, w którym trzymał starannie prowadzoną dokumentację. –

Future Soft, NetServices oraz Maktronics. Pozostałe spółki są za małe, nie dają nam efektu synergii albo nie mieszczą się w budżecie.

Rozdał nam po zestawie spiętych zszywaczem kartek, na których zgromadził szczegółowe dane na temat każdej z wymienionych firm: charakterystykę ich produktów, wyniki finansowe z ostatnich pięciu lat, strukturę akcjonariatu, sylwetki udziałowców. Było jasne, że nie przeczytamy tego w ciągu paru sekund, więc chodziło mu wyłącznie o to, żeby się popisać. Jak tylko usłyszał o przejęciu, musiał kazać swoim ludziom rzucić wszystko w cholerę i zebrać te pieprzone dane, aby zaimponować prezesowi na tyle, by ten przygarnął go do zespołu.

– Znakomita robota – powiedział Skoda. – Co o tym sądzisz?

Spojrzał na mnie, kiedy udawałem, że wczytuję się w analizę Przydupasa. W rzeczywistości myślałem wyłącznie o tym, jak upupić tego nadgorliwego gnojka.

– Ciekawe. – Rzuciłem Przydupasowi przelotne spojrzenie. – Kłopot w tym, że w dwa dni nie da się znaleźć firmy, którą chce się przejąć za kilkaset milionów złotych.

Przydupas uśmiechnął się pod nosem, ale jego oczy płonęły nienawiścią. Do mnie. Do tego, co sobą reprezentuję. Do fajnego świata, którego jestem częścią, a do którego on nigdy się nie dostanie.

– Przecież właśnie to zrobiłem – stwierdził, wskazując palcem papiery. – Z najwyższą starannością przeanalizowałem te firmy. Dobrze to przemyślałem.

– Zapomniałeś o najważniejszej składowej całego procesu: relacjach międzyludzkich.

Przydupas pokręcił głową. Zagiąłem go, ale mimo to twardo obstawał przy swoim.

– Nie znajdziesz lepszych celów akwizycyjnych – powiedział.

– Znajdę.

– Wątpię.

– Chcesz się założyć?

Miałem wyciągnąć rękę – albo by przyjąć zakład, albo żeby zmasakrować Przydupasowi gębę – ale wtedy Skoda klasnął w dłonie. Zaśmiał się sztucznie, próbując rozładować napięcie.

– Panowie, mój błąd – powiedział. – Źle to rozegrałem. Powinienem najpierw ustalić, że obaj w to wchodzić, a potem dać wam czas na poszukiwania. Przełożmy tę rozmowę na poniedziałek, okej?

Dobry menedżer w tym momencie powinien się zorientować, że nic z tego nie będzie. Że ludzie, którzy mieli tworzyć jego wymarzoną watahę, nie są w stanie ze sobą współpracować. Że to ostatni moment, w którym może się wycofać, nim rozpocznie się wewnątrzfirmowa wojenka. Ale Skoda nie był dobrym menedżerem. Zamiast nas powstrzymać, przyniósł ekierki do mierzenia fiutów.

– Tak zrobimy – powiedziałem i zerwałem się z kanapy. – Dajcie znać, o której wam pasuje. Wpiszę spotkanie do grafiku.

Pożegnałem się i wyszedłem na korytarz. Zmierzając do swojego gabinetu, myślałem o tym, jak zniszczyć tego chuderlawego skurwysyna. Miałem zamiar zetrzeć go w pył. Jeszcze nie wiedziałem jak ani kiedy, ale byłem pewien, że mi się to uda. Zawsze się udawało.

Machina ruszyła. I ani mi się śniło, żeby ją zatrzymać.

Kwadrans później siedziałem w taksówce, kierując się w stronę Mordoru. Kazałem taryfiarzowi zamknąć mordę i wyłączyć disco polo, po czym wyjąłem iPhone'a. Napisałem wiadomość. Potem następną. I jeszcze jedną. A gdy wstukiwałem czwartą, przysłała wiadomość zwrotna. Dokładnie taka, jaką chciałem przeczytać.

Po mniej więcej półgodzinie jazdy wysiadłem pod jednym z biurowców na Domaniewskiej. Wstukałem kolejnego esemesa i schowałem się w kawiarni wbudowanej w niezbyt urodziwy szklany budynek, typowy owoc wieloletnich mokrych snów deweloperów i zachodnich korpo. Zamówiłem podwójne espresso. Rozsiadłem się w wygodnym fotelu przy oknie. Wbiłem wzrok w gromadkę Chińczyków, którzy radośnie gaworząc, podążali w stronę swojej ziemi obiecanej. Czyli do przeciwległego biurowca.

Mój gość zjawił się po jakichś pięciu minutach. Zamówił kanapkę z szynką i serem oraz świeżo wyciskany sok pomarańczowy. Następnie podszedł do mojego stolika i odłożył żarcie na blat. Przywitaliśmy się serdecznym miśkiem.

– Jak zwykle – powiedział Adam, uwalniając się z uścisku.

– Co jak zwykle?

– W gorącej wodzie kąpany. Nie mogłeś poczekać do poniedziałku?

– Pomyśl o tym jak o sracze. Zwlekałbyś cały weekend?

– Skorzystałbym z najbliższego kibla.

– I to właśnie zrobiłem. Bez urazy.

Adam machnął ręką. Nawet jeśli nie miał ochoty się ze mną widywać, zadbałem o to, żeby nasze spotkania były dla niego bardzo opłacalne. Dzięki temu mógł wiele znieść. Od niewyszukanych żartów po niewyszukane propozycje.

– Nie pogniewasz się, jeżeli będę jadł? – zapytał. – Nie miałem nic w ustach od rana.

– Trudno w to uwierzyć – rzuciłem, żeby rozbroić napięcie, które niewątpliwie musiał poczuć po otrzymaniu trzech dziwnych wiadomości zakończonych wykrzyknikami. No i żeby dokuczyć swojemu ulubionemu gejowi. – Musisz coś dla mnie zrobić.

Schyliłem się do opartej o fotel teczki. Wyjąłem zestaw kartek, który dostałem od Przydupasa.

– Co to jest? – zapytał z pełną gębą Adam.

– Lista potencjalnych akwizycji Clouda. Centrala dała nam zielone światło na przejęcie. A w zasadzie prikaz. Mamy wzmocnić naszą pozycję w regionie, a to jedyny sposób, żeby to zrobić szybko.

– Jaki macie budżet?

– Teoretycznie miliard złotych.

– Nieźle. A praktycznie?

– Praktycznie nie może to być żadna z tych firm. – Przesunąłem papiery w jego stronę.

W tym miejscu powinienem wspomnieć, że ten facet z kiepską fryzurą, wystrojony w najnudniejszy sztruksowy garnitur, jaki jesteście w stanie sobie wyobrazić, i biorący zdecydowanie zbyt duże kęsy, to czystej krwi geniusz. Gdyby żył w Stanach, pewnie zostałby prawą ręką Warrena Buffetta albo Carla Icahna. Ale że urodził się w Polsce, był tylko szefem domu maklerskiego jednego z największych

banków w regionie. Co jak na trzydziestotrzylatka i tak jest niezłym osiągnięciem.

Kiedy wyobrażacie sobie analityka giełdowego, pewnie staje wam przed oczami rozgorączkowany facet w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, z telefonem przyklejonym do ucha, stosem gazet ekonomicznych na biurku i dziesiątkami wykresów na trzech dwudziestocalowych monitorach. Prawie wszystko się zgadza. Z tą różnicą, że Adam nie czytał prasy, do nikogo nie wydzwaniał i był oazą spokoju. I z jakiegoś powodu nigdy nie podwijał rękawów.

Poznaliśmy się w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Kiedy kończyłem studia, Adam dopiero zaczynał. Ale od początku było o nim głośno. Wieść o jego talencie szybko się rozeszła i już po paru miesiącach nauki zaczęły o niego walczyć czołowe instytucje finansowe: od PKO BP po McKinseya. Już jako dziewiętnastolatek był specem od analizy technicznej. A do tego miał w małym palcu polski rynek IT, zupełnie jakby starzy zamiast puszczać mu bajki, faszerowali go raportami kwartalnymi Asseco i Comarchu. Doskonale znał firmy, ich produkty, udziały rynkowe, właścicieli. Wiedział absurdalnie dużo. A w kolejnych latach tylko pogłębiał wiedzę, co owocowało kolejnymi trafnymi rekomendacjami giełdowymi i nagrodami – w tym dla najlepszego analityka roku.

Aż żał patrzeć, że człowiek o takim potencjale intelektualnym zajął się takim nudziarstwem. Gdyby znalazł sobie przebojowego współnika, mógłby podbić świat. Oczywiście proponowałem mu kiedyś wspólny biznes – nie wiedząc nawet, czym on miałyby być. Ale Adam kategorycznie odmówił. Woli całymi dniami kiblować przy biurku, słuchać oratoriów Bacha i dłużyć w raportach.

Jak na tak bystrego gościa jest zadziwiająco pierdołą życiową.

– Wygląda to całkiem sensownie – stwierdził. – W czym problem?

– Muszę przekonać prezesa, że przejęcie każdej z tych spółek byłoby dużym błędem – wyjaśniłem. – I znaleźć lepszych kandydatów.

– Dlaczego?

– Nieważne. Po prostu muszę to zrobić. A nikt nie zna polskiego rynku IT tak dobrze jak ty.

Adam napił się soku, a następnie wytarł serwetką usta. Uśmiechnął się. Lubi, jak lechcę jego ego. Zresztą kto nie lubi.

– Mogę wskazać kilka niezłych spółek – powiedział. – Ale wszystkie są warte więcej, niż wynosi wasz budżet.

– Świetnie. Takich właśnie szukam.

- Na pewno wiesz, na co się porywasz? To bardzo poważne biznesy.
- Tym lepiej.
- Założone przez doświadczonych przedsiębiorców, którzy nienawidzą korporacji.

I którzy wiedzą, że można je wydoić.

- Nie będą negocjować z korporacją, tylko ze mną.

Adam odstawił sok, parokrotnie cmoknął i przejechał językiem po zębach.

- Czego konkretnie potrzebujesz?
- Wykazu firm, które warto przejść. Wraz z solidnym uzasadnieniem.
- Na kiedy?
- Na teraz. W poniedziałek muszę przedstawić swoje rekomendacje.

Adam potrząsnął głową.

– Takie rzeczy zajmują tygodnie. Nie potrzebujesz analityka, tylko narwanego bankiera inwestycyjnego.

- Nie znam żadnego, któremu mógłbym zaufać.

Aby nie musieć się mierzyć z moim świdrującym spojrzeniem, Adam ponownie zerknął na listę od Przydupasa.

– Czasem przeraża mnie twoja ambicja – stwierdził. – Boję się, że kiedyś cię przerośnie. Albo sprawi, że zrobisz coś głupiego.

Już za późno, pomyślałem.

- Czekam na maila w niedzielę wieczorem – powiedziałem, wstając od stołu.
- A jeśli nie zdążę?
- Zdasz.

Adam za bardzo bał się konsekwencji, żeby zawieść moje oczekiwania.

* * *

– Co to ma być? – zapytała Maria, celując w butelkę Olega. – Nie zaprasza się ludzi na piwo, kiedy samemu nie zamierza się pić.

Ukrainiec zastygł z napojem w ustach. Nadał policzki, jakby nie był pewien, co zrobić z łykiem bezalkoholowego piwa. Kiedy go w końcu przełknął, poczuł się tak, jakby wrzucił granat w gardło.

- Nie wiedziałem, że to dla ciebie problem – odparł.
- Może nie problem, ale na pewno byłoby mi raźniej, gdybyś sięgnął po coś z procentami. Co z ciebie za policjant? Co z ciebie za Ukrainiec?
- Gdybyśmy umówili się na wódkę, to co innego. – Posłał Marii uśmiech znad

kufla. – Obiecałem żonie, że pojedę na zakupy.

– Nie możesz tego zrobić jutro? Przecież sklepy będą otwarte.

– Mogę, ale wolę spędzić poranek z Ludką. To w zasadzie jedyny moment w tygodniu, kiedy mamy trochę czasu dla siebie. Nie musimy iść do pracy, dzieci śpią do południa i nikt nie zawraca nam dupy. To oznacza, że możemy... wiesz...

– Wiem. – Maria pociągnęła duży łyk. Było wiele tematów, o których nie miała ochoty rozmawiać, ale życie seksualne jej nowego partnera było niemal na szczycie listy.

– Jeśli chcesz, odwiozę cię do domu twoim autem, a potem wrócę do siebie taksą – zaproponował Oleg.

Maria przez kilka sekund ważyła w myślach jego ofertę. Gdyby się zgodziła, mogłaby chlapnąć kilka piw, zeżreć kebab i przez parę chwil niczym się nie martwić. Ale wówczas nie miałyby żadnej motywacji, aby wstać wcześniej rano, wskoczyć w dresy i przebiec się do centrum po auto, łapiąc po drodze trzeźwość i wyzwalając nieco endorfin. Trudny wybór.

– Dzięki – powiedziała. – Jakoś sobie poradzę.

– Może mąż po ciebie przyjedzie?

– Wyszedł gdzieś z kumplami. Pewnie wróci później ode mnie.

To był moment, w którym Olegowi mogło przyjść do głowy, że z małżeństwem Marii nie wszystko jest w porządku. Że jeszcze ani razu nie widział, żeby rozmawiała z mężem. Ale był zbyt zaaferowany wtopą z bezalkoholowym piwem, które chciał czym prędzej sprzątnąć sprzed nosa.

– Co teraz? – zapytał.

– Masz na myśli śledztwo czy wieczór?

– Śledztwo. Myślisz, że Renata została uprowadzona?

– To bez znaczenia, co myślę. Ważne jest to, co wynika z dowodów. A te na razie niewiele nam mówią.

– Nie znaleźliśmy nic, co by sugerowało, że może się gdzieś ukrywać.

– Ani że ktoś ją porwał.

– Z wyjątkiem trzech dziewczyn, które spotkało to samo.

– O ile masz rację.

Dla kogoś takiego jak ja takie momenty są niezwykle cenne. Oto doświadczona policjantka kwestionuje odkrycie młodszego kolegi, mimo że intuicja jej podpowiada, że facet ma rację. Maria nie postępuje tak dlatego, że uważa go za głąba, nerda czy

banderowca. Nie przez nieufność czy zazdrość. Nie z uwagi na fakt, że ledwo zna tego gościa. Robi to, ponieważ nie ma stuprocentowej pewności, że to prawda. Być może w wielu przypadkach taka postawa miałaby sens. Ale w konfrontacji z urodzonym hazardzistą jej zdrowy rozsądek przepoczwarzał się w irracjonalność i głupotę.

– Załóżmy na chwilę, że mam rację – odezwał się Oleg. – Co według ciebie stało się z tymi dziewczynami?

Maria wyjrzała przez okno na kremowe kamienice na Foksał, których fasady przesłaniały obszerne parasole z nazwami koncernowych browarów: Żywca, Tyskiego i Heinekena. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że każda z tych dziewczyn jeszcze niedawno siedziała w którymś ze śródmiejskich ogródków piwnych, sączyła jakiś lekki alkohol i pytlowała z koleżankami. A kilka stolików dalej przy nietkniętym piwie siedział facet w średnim wieku, z potężnymi zakolami i jeszcze większym brzuchem. Bezceremonialnie wgapiał się w dziewczyny, próbując wychwycić kontekst ich rozmów. Dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Poznać ich plany i wkomponować je w swoje własne. A kiedy ten etap miał już za sobą, zaczął zamysły wdrażać w życie. Konsekwentnie i metodycznie. Dbając o każdy detal. Upewniając się na każdym etapie, że nikt i nic nie zniweczy jego zamiarów. Niczym robot zaprogramowany na bezwzględną destrukcję.

Oczywiście całkowicie błędnie wyobrażała sobie wygląd sprawcy. Ale co do mechanizmów działania miała rację.

– Zostały porwane przez tego samego człowieka – odpowiedziała. – Przez psychola, który wywozi te dziewczyny na jakieś odludzie. Wykorzystuje je seksualnie, bije, torturuje psychicznie. A kiedy już mu się znudzą, morduje i w sprytny sposób pozbywa się zwłok. Potem, jakby nigdy nic, wraca do społeczeństwa, ponownie stając się jednym z nas.

Oleg potrząsnął głową.

– Chyba wołałem nie wiedzieć, co o tym sądzisz.

– Mogłeś nie pytać.

Przez kilka chwil gapili się to na klientów, to na swoje wysychające kufle. Milczeli, jakby bali się odezwać. Jakby obojgu z jakiegoś powodu było wstyd.

Kojarzycie ten rodzaj relacji. Dwoje ludzi w zasadzie darzy się sympatią, lubi ze sobą przebywać i nie miałyby nic przeciwko zacieśnieniu więzi. Ale kiedy siadają twarzą w twarz, nie potrafią ze sobą rozmawiać. Ich mikroświaty nie mogą się

zetknąć, jak gdyby orbitowały wokół dwóch różnych planet. Dlatego po paru niezbyt udanych próbach zainicjowania rozmowy wolą pomilczeć, udając, że tak właśnie miało być. A potem zaczynają nerwowo zerkać na telefon, modląc się do swoich bogów, aby to niezręczne spotkanie jak najszybciej dobiegło końca. Najdziwniejsze jest jednak to, że po jakimś czasie oboje doświadczają dziwnego sprzężenia, które każe im się ponownie spotkać. W ten sposób rodzą się partnerstwa policyjne. Tak powstają małżeństwa. Jedni ludzie skazują się na drugich, nakręcając sadomasochistyczną spiralę życia.

– Chcesz jeszcze jedno? – zapytał Oleg, który jako pierwszy opróżnił kufel.

– Poproszę.

– Jakie?

– Obojętnie. Byle z procentami.

Ukrainiec podszedł do baru i przyjrzał się wielometrowemu ciągowi kranów, które wypływały najróżniejsze rodzaje piw rzemieślniczych. Westchnął. Zrozumiał, że z Marią nic nie będzie proste. Nawet wybór cholernego piwa.

* * *

Nie lubię sportu. Poza porannymi ćwiczeniami staram się nie mieć z nim nic wspólnego. Ale żebyście dobrze zrozumieli, dlaczego właśnie pochylam się nad kuchennym blatem i wciągam z niego długą na osiem centymetrów kreskę koksu, posłużę się sportowym przykładem.

Otóż w piłce nożnej, jako że nie jest to szczególnie skomplikowana dyscyplina, można wyróżnić dwie zasadnicze strategie. Drużyny mogą uprawiać futbol „na zero z tyłu” albo „na tak”. Jeśli się gra „na zero z tyłu”, da się wymęczyć remis, wyszarpać zwycięstwo albo przegrać, nie doznając upokorzenia. Jedno jest pewne: nie będzie to porywające widowisko. Ale kiedy zagrasz „na tak”, przez boisko przetoczy się burza z piorunami, a kibice zesrają się ze szczęścia. Nawet jeśli zamiast wygrać cztery do dwóch, przegrasz trzy do pięciu, nikt nie będzie miał ci tego za złe, ponieważ setnie się wybawi przy twoim meczu.

Z imprezowaniem jest identycznie. Możesz bawić się na czysto albo ze wsparciem narkotyków. Możesz umilać sobie sączenie piwka ziewaniem albo rozkurwiać parkiet jak John Travolta. Możesz przepierdzić piątek, gwarantując sobie lekką i leniwą sobotę, albo odbyć melanz stulecia, który okupisz wielogodzinnym depresyjnym zjazdem. Możesz ruchać brzydką żoną albo posuwać królową balu. Możesz czytać

gazetę albo pokazywać faka prosto z jej okładki.

Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego wolę grać „na tak”.

– O kurwa! – warknął Mareczek, ostro pociągając nosem.

Oczywiście zdarzają się też wyjątki. I to wyłącznie in minus.

Mareczek był jednym z nich. To jeden z moich najstarszych kumpli. Wychowaliśmy się na tym samym osiedlu, chodziliśmy do tej samej szkoły, a do pewnego momentu podkochiwaliśmy się w tych samych laskach. Potem zacząłem pędzić po drabinie życia, na którą on nadal ślamazarnie się wdrapywał. Mareczek pracuje w dużej firmie ubezpieczeniowej jako menedżer do spraw czegoś tam. Dostaje dziesięć kawałków na rękę, z których jedną trzecią oddaje na córkę i byłą żonę. Lubi przyćpać. Ale to już wiecie.

– Co to jest? – zapytał.

– To co zawsze – stwierdziłem. – Czyli chuj wie.

Pochyliłem się, żeby załadować proch. Jedna dziurka, druga dziurka, kilkusekundowy wstrząs, czekanie na efekt. Na pierdolony armagedon.

– A jeśli któregoś dnia dostaniesz dopalacze, po których kompletnie nas poskłada? Co wtedy? – zapytał Mareczek, pociągając szczypiącym nosem.

– Wiem, że to nie jest czysta kokaina – odparłem. – Ale ufam człowiekowi, który to załatwia.

– Pytanie, czy on może ufać facetowi, od którego to bierze.

– Tego się nigdy nie dowiemy. Zresztą nieważne. Jakoś trzeba umrzeć. Wolę tak, niż gdybym miał na stare lata robić pod siebie.

Zapomniałbym wspomnieć: Mareczek ma małą pałę. Bardzo małą. Mikroskopijną. Kiedyś, ślaniając się na nogach, zdobył się na takie wyznanie. Pewnie tego nie pamięta, ponieważ ciągle się przechwala, że doprowadza do rozkoszy kolejne panny. To dlatego Mareczek jest wyjątkiem. On zawsze przegrywa. Czasem trzy do pięciu. A czasem zero do pięciu.

Co innego Wojtuś, któremu właśnie przekazałem zrolowany studolarowy banknot – nasze zielone narzędzie szczęścia.

– Dużo tego masz? – spytał, popijając drinka. Jacka daniel’sa z colą. Wiem, co wielu z was sądzi o takim połączeniu. Ale szczerze? Mam to gdzieś.

– Cztery sztuki – odparłem. – Po jednej dla każdego z nas i jedną na zapas.

– Sporo.

– I do tego po dwa MDMA na głowę.

Wojtuś przewrócił oczami i zagwizdał. Zawsze tak reagował, kiedy się dowiadywał, ile mamy ćpania. Nie mógł przyswoić, że tolerancja każdego ćpuna rośnie, przez co musi łądować coraz więcej, aby osiągnąć ten sam efekt.

On nie miał problemów z pannami. Miał za to problem z pracą. Zajmował się jakimiś kulturalnymi bzdetami: pisał recenzje filmowe, prowadził Facebooka instytucjom kultury, promował festiwale muzyczne. Dostawał za to śmieszne pieniądze. Pewnie dlatego stroił się w hipsterskie łachmany, zapuszczał coraz dłuższą brodę i zachowywał tak, jakby jego życie nie miało mety. Czy raczej: jakby nie czuł potrzeby, aby stać się kimś, zanim ją osiągnie.

– Posłuchajcie tego. – Wojtuś, jak zawsze wczuwając się w rolę didżeja, odpalił jakiś kawałek na YouTube. Z rozżarzonym petem w ustach, stojąc przy otwartym na oścież oknie, z którego rozciągał się widok na budzącą się do życia Chmielną, zaczął się gibać, jakby dostał drgawek. – To *Off Kilter*, stary numer Tippera, zajebistego londyńskiego producenta. Wiecie, co znaczy „off kilter”?

– Niestabilny – powiedziałem.

– Właśnie. A teraz, pamiętając o tym tytule, wczujcie się w te dźwięki. Czujecie to? Jakby zaraz miała jebnąć podłoga.

Albo głowa, pomyślałem. To nie do końca były moje klimaty. Choć w tym stanie, pobudzony i nakręcony, z kokainowym tsunami przetaczającym się przez żyły, mogłem się bujać nawet do rytmicznych beknięć.

Był jeszcze Rafał. A w zasadzie Konfident – tak go nazywałem w myślach. Znamy się już ponad dwadzieścia lat, jeszcze dłużej niż z Marczkem i Wojtusiem. Ale mam wrażenie, że coraz mniej o sobie wiemy. Nasze światy zadziwiająco się rozjechały. Konfident nie wali dragów, mało pije, niewiele mówi. Od dziesięciu lat ma żonę, której podobno nie zdradza. W dodatku wydaje się usatysfakcjonowany pracą specjalisty w jednej ze spółek Skarbu Państwa. Straszny dziwak.

– Ciekawe, kiedy zaczniecie wcierać ten syf w dziąsła. – Konfident stanął w progu kuchni, z irytującym uśmiechem na gębie.

– Po co? – zdziwił się Marczek.

– Z konieczności. Bo będziecie mieć tak rozpieprzone śluzówki, że przez nos się nie da.

– Nie siej defetyzmu – odparł Wojtuś. – Jeszcze nikt nie zginął od okazjonalnego wciągania.

– Ale niewielu na okazjonalnym się zatrzymuje.

A ja, żeby pokazać, jak głęboko w dupie mam wynurzenia Konfidenta, wytrząsnąłem kolejną grudę na blat i zacząłem ją dzielić na porcje.

– Stary, dopiero co walnęliśmy po jednej – zauważył lekko przerażony Mareczek. A zarazem lekko podjarany tempem, jakie narzuciłem.

Spojrzałem na dwie puste tytki. Potem na opróżnione szklanki z łychą. Wreszcie na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Wszystko, co najlepsze, dopiero przed nami. Wróciłem do dzielenia ścieżek.

– Nie mazgaj się – powiedziałem. – Proch musi wjechać szybko i mocno. Jak pójdziemy do klubu, nie będziesz co dziesięć minut biegał do kibla. Chyba że z jakąś panną. Albo żeby sobie zjechać.

– Ręką kolegi – rzucił Wojtuś.

– Albo twoją japą – odburknął Mareczek.

Kiedy chłopcy, żeby sobie dokuczyć, przerzucali się niezbyt wyszukаныmi obelgami, wchłonałem kolejną ścieżkę. Wyprostowałem się, pociągnąłem parokrotnie nosem i podszedłem do lodówki. Ukręciłem kolejnego drinka: lód, łycha, cola. Nic wyszukanego, ale przecież nie o alkohol w tym wszystkim chodzi. Stałem przed laptopem. Wojtuś był zaaferowany pozbywaniem się następnej kreski, więc przełączyłem jego łomot. Odpaliłem *Wojnę*. Fisz w duecie z Nosowską. Ustawiłem maksymalną głośność, podszedłem do przedpokoju i zatrzymałem się przed lustrem.

Nie bądź mi wrogiem i chwyć mocno mnie za kark

W tę zimną, nocną porę...

Bujając się do muzyki, poprawiłem fryzurę, symetrycznie rozrzucając długie pióra. Rozpiąłem górny guzik koszuli. Wyglądałem jak surfer. Jak pieprzony australijski surfer. Kiedy zacząłem poruszać biodrami, jakbym chciał wydymać swojego lustrzanego klona, zobaczyłem w odbiciu Konfidenta.

– Co słyhać w pracy? – zapytał.

W pracy. Nigdy nie myślę o tym, co robię, jak o pracy. To strasznie plebejskie.

– Świetnie – odparłem. – Właśnie ruszam z grubym projektem. Mam przeprowadzić przejęcie spółki.

– Nie wiedziałem, że zajmujesz się takimi rzeczami.

– Dopiero zaczynam. Ale czuję, że mi się spodoba. A co u ciebie?

– W porządku. Majka chce trzeciego dziecka. Ja chyba też.

– Gratuluję.

– Jeszcze nie ma czego, ale dzięki. – Znów wciągnął na gębę kretyński uśmiezek.

– A ty?

– Co ja?

– Nie zamierzasz się ustatkować?

Głupi kutasina. Zawsze ocenia ludzi przez pryzmat swojego smutnego, nudnego, mało ambitnego życia.

– Już dawno się ustatkowałem. – Ponownie zacząłem się bujać. Jakby Konfident nagle zniknął. Jakbym znalazł się w jednoosobowej galaktyce.

*I jeśli czujesz się
Zmęczona tak jak ja,
A sny masz złe i chore...*

Ci chłopcy jednocześnie mnie nienawidzą i uwielbiają. Nienawidzą mojej zamożności, wyglądu, ego, tego wszystkiego, co sobą reprezentuję. Ale uwielbiają świat, jaki dla nich konstruuje. Te wszystkie bifory w wynajętych apartamentach. To, że mogą ze mną przyjąć tyle dragów, ile tylko są w stanie wchłonąć. Ubóstwiają spotęgowane emocje, jakie przeżywają w moim towarzystwie. Gwarantuję im lifestyle, jakiego sami by nie wymyślili. A nawet jeśli, to nie mieliby wystarczająco dużych jaj, aby samodzielnie go doświadczyć.

*To czas odwrócić się,
Uciekać hen przez śnieg
Od tych, co tęsknią do wojen.*

A co ja z tego mam? Satysfakcję. Lubię być adorowany. Lubię obcować z ludźmi, którzy wpatrują się we mnie jak w obrazek. Lubię się popisywać. A przede wszystkim uwielbiam mieć władzę. A nic tak nie zniewala jak pieniądze, narkotyki i emocje.

*Jeśli serce masz,
To nie bój się.*

* * *

Nie bała się. To był jeden z rzadkich momentów, w których odwaga zwyciężała z lękiem. Choć nie można powiedzieć, żeby odbywało się to w sposób naturalny i z klasą. Ani żeby owocowało choćby złudzeniem szczęścia.

Kiedy przenosiliśmy się z kumplami do klubu, Maria pożegnała się z Olegiem i wróciła do swojego mieszkania na Pradze Północ. Chciała się jeszcze spacerować, więc wysiadła z taksówki kilkaset metrów przed blokiem. Człapiąc obok samochodów zaparkowanych wzdłuż Kawęczyńskiej, bezskutecznie próbowała złapać świeżość. Gdy dotarła pod blok, czuła się tylko bardziej zmęczona. Bardziej sfrustrowana. Bardziej złakniona snu. Jakby cała moc, którą wpompowywała w siebie przez ostatnie godziny, rozmyła się na praskich chodnikach.

Cztery piwa. Niby nic takiego. Ale gdy już nie tak młoda osoba, która zwykle nie je świństw i nie pali, połączy je z kebabem i dwoma wyłudzonymi papierosami, potrafią zamienić się w zabójczą miksturę. Zaczynają się przelewać w żołądku. W niezrozumiały sposób łączą się z sosem czosnkowym, powodując, że wszystkie pory w skórze wydzielają irytujący odór. A w dodatku generują ekspresowego kaca, który zaczyna się jeszcze przed pójściem spać.

Maria wreszcie dotarła do mieszkania. Odłożyła torebkę na komodę i ściągnęła buty. Weszła do kuchni, sięgnęła po butelkę wody i wzięła kilka łapczywych łyków. A potem parę następnych, na siłę, żeby zminimalizować skutki picia. Oparła się o blat, poczekała, aż organizm zaakceptuje nadmiar płynów, po czym ruszyła do łazienki. Wysikała się i przemyła twarz. Nie miała siły na zmywanie makijażu, więc poszła prosto do sypialni. Zrzuciła na podłogę bluzkę i stanik. Potem pozbyła się spodni. Gdy została w samych majtkach, padła na łóżko i przykryła ciało skotłowaną kołdrą.

Była wyczerpana, po kilku minutach zasnęła. Z rozdziawionymi ustami i grymasem na twarzy. Jak gdyby jakaś nieszczęśliwa myśl nie chciała jej opuścić. Nawet teraz. Nawet w nocy z piątku na sobotę. Nawet w chwili rzadko spotykanej ulgi.

Świadomość opuściła ciało i zaczęła dryfować po trzypokojowym mieszkaniu. Zaglądała do kolejnych milczących pomieszczeń. Do łazienki, z której zniknęły męskie kosmetyki. Do salonu z przerzedzonym regałem na książki i stolikiem naznaczonym okrągłym odciskiem w miejscu, gdzie do niedawna stał telewizor. Do kuchni, z której wyparowały kuchenka mikrofalowa, toster i zestaw noży. Do wąskiego, ziejącego pustką przedpokoju, pozbawionego zdjęć oprawionych

w drewniane ramki.

Kursowała po pustym domu. Bez dzieci, bez zwierząt, bez Piotra. Tylko z nią, Marią. Samotną duszą ukrytą w przykrej powłoce, doświadczającą powolnego egzystencjalnego rozkładu.

* * *

Hades. Tak może się nazywać tylko zakład pogrzebowy albo klub, w którym warszawka wacha koks, grzmoci się po kiblach i udaje, że jutro nigdy nie nadejdzie. Nie wiem, dlaczego wylądowaliśmy akurat tam, ale to bez znaczenia. Równie dobrze mogliśmy skończyć w dowolnym lokalu na Mazowieckiej, Smolnej, Poznańskiej, Kredytowej czy Nowym Świecie. Wszędzie imprezy wyglądają podobnie. Wszędzie roi się od korposzczurów, które mniej lub bardziej świadomie odpinają wrotki. Wszędzie da się wejść, będąc nabombionym jak patefon, a potem jeszcze parokrotnie podkręcić swój stan.

Pierwszą pigułkę ecstazy połknąłem zaraz po wejściu do klubu. Po kolejnej godzinie, spędzonej na wlewaniu w siebie łychy i ożywionych dyskusjach z chłopakami, załadowałem następną. Być może trochę się pospieszyłem, bo wciąż doświadczałem depersonalizacji. Czułem się tak, jakbym był dwiema osobami jednocześnie, kroczącymi obok siebie w szaleńczo rozwirowanym świecie. Jakbym poruszał się w dwóch równoległych czasoprzestrzeniach.

Inaczej mówiąc: czułem się zajebiście.

Po paru drinkach ruszyliśmy na parkiet. Wojtuś błyskawicznie przykleił się do jakiejś dupy. Mareczek próbował zrobić to samo, ale po trzech kolejnych odmowach stracił zapał i wrócił do baru. Z kolei Konfident pobujał się chwilę pod filarem, po czym rozsiadł się na kanapie i wyjął telefon. Frajer.

Zostałem sam. Wbrew temu, co wam się wydaje, nie jest łatwo znaleźć pannę w moim typie. Owszem, wszędzie roi się od cycatych blondynek. Ale mnie nie interesują dziunie, które farbują pióra na tleniony blond, zakładają powiększający biustonosz i ładują botoks w usta. Interesują mnie naturalne blond piękności. Nie jakieś lampucery z Raszyna, tylko zdrowe wiejskie dupy. Niełatwo wydobyć je z tłumy, zwłaszcza kiedy obraz w twoich oczach wygina się niczym łyżka w Matriksie. Ale na szczęście mam wprawę.

– Świetnie tańczysz. – Pochyliłem się w stronę blondynki, która na chwilę odseparowała się od swojej brzydkiej koleżanki.

Odwróciła się w moją stronę i zeskanowała mnie wzrokiem.

– Dziękuję. – Odpowiedziała uśmiechem na mój uśmiech.

– Jak masz na imię?

– Paulina.

– Jacek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Lody zostały przełamane.

– Jesteś stąd? Z Warszawy?

Pokręciła głową.

– Z Radomia.

– Poważnie? Z tego Radomia?

– A jest jakiś inny?

– Mam nadzieję, że nie.

Roześmiała się. Ja też, choć nie wiedziałem, czy jest ku temu jakiś powód. Ale musieliśmy grać w tę samą grę, żeby coś z tego wyszło.

– Podoba ci się tutaj? – zapytałem.

– Może być. Choć muzyka nie do końca mi odpowiada.

– Mnie też nie. Może chciałabyś się gdzieś przenieść?

Uśmiechnęła się. Ale już nie tak entuzjastycznie jak za pierwszym razem.

– Przyjechałam z koleżanką.

– A ja z kolegami. Możemy wyjść razem.

Wahała się. Zaczęła szukać wzrokiem brzyduli, która utknęła w kolejce do kibla.

– Możemy też pójść sami – zaproponowałem. – Albo do innego lokalu, albo do mnie. Mam apartament kilkadziesiąt metrów stąd.

Posłałem jej kolejny uwodzicielski uśmiech. Ale w odpowiedzi nie otrzymałem żadnego.

– Muszę pogadać z koleżanką.

Pokręciłem głową. Pochyliłem się nad blondynką tak, aby musnąć jej ucho.

– Nie proponuję kolacji przy świecach, tylko zabawę z najwyższej półki. Bez ograniczeń. Bez wyrzutów sumienia. Zastanów się.

Nie posłuchała. Odsunęła się jak oparzona i wyszła z tłumu. Dopadła brzydulę, powiedziała jej coś do ucha, po czym ekspresowo przeniosły się na sąsiednią salę.

Głupia dziwka.

Agresywny podryw nie zawsze wychodzi. Zwłaszcza na początku imprezy, kiedy podpływam do panien na gigantycznej fali uderzeniowej, a one jeszcze nie są

wystarczająco nastukane, aby zaufać swoim łądzwiom. Cały wic polega na tym, żeby nie brać odmów do serca i nie ustawać w próbach. Prędzej czy później się uda.

Zlokalizowałem kolejną pannę. Jeszcze ładniejszą. W dodatku była sama. Energicznie wywijiała wyprężonym tyłkiem. Jednocześnie rozglądała się na boki – i to nie w poszukiwaniu koleżanek. Oczywiście otaczał ją wianuszek absztyfikantów, ale żaden nie miał odwagi zagadać.

Zaatakowałem.

Wijąc się jak piskorz, podpełzłem do niej od frontu. Dzięki temu mogłem uważnie jej się przyjrzeć. Na ułamek sekundy złapałem jej spojrzenie. Pijacko wesole. Serdeczne. Otwarte. Szybko mnie otaksowała, żeby wiedzieć, z kim ma do czynienia. Uśmiechnęła się. Najwidoczniej podobało jej się to, co ujrzała. Najwidoczniej rozumiała tę grę. I miała ochotę na partyjkę.

Ale wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Zupełnie przypadkowo zerknąłem na jednego z jej absztyfikantów. Przez kilka sekund wpatrywaliśmy się w siebie, jakbyśmy nie mogli zaakceptować tego, co sugeruje nam wzrok.

– Kacper?

To był Przydupas. Ten Przydupas. Z Clouda. Człowiek, którego zamierzałem zgładzić.

– Co ty tu robisz? – zapytał, przekrzykując tłum, który zawył ze szczęścia, gdy DJ odpalił remix utworu Eda Sheerana, Drake’a czy innego Shawna Mendesa.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Raz, że pytanie było głupie. A dwa, że dragi odebrały mi zdolności dyplomatyczne.

Przydupas przybił ze mną piątkę, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami. Wyglądał identycznie jak na co dzień, czyli nudno i do bólu przewidywalnie: dżinsy, biała koszula, okulary w niemodnych oprawkach. Jeżeli zamierzał tego wieczoru poruchać, powinien od razu skoczyć do bankomatu, wypłacić parę stówek i zadzwonić po kurwy.

– Mój kumpel się żeni – oznajmił, wskazując paluchem grupę idiotów pijących wódkę w jednej z łóż. – Chcesz się przyłączyć?

Nawet w takiej sytuacji silił się na kurtuazję. Nawet w piątkową noc, na kawalerskim jakiegoś przygłupa, nie potrafił wyjąć kija z dupy.

– Masz ochotę? – zapytał.

Miałem. Ochotę, żeby go zabić. Zatłuc. Zajebać jak psa.

– Zabiję cię – powiedziałem.

Przydupas lekko się skrzywił i pochylił w moją stronę.

– Co powiedziałaś?

– Rozpuszczę cię w dole.

Pokręcił głową.

– Nic nie słyszę. Tu jest za głośno, żeby gadać. – Ponownie wskazał swoją paczkę.

– Jeśli masz ochotę, to zapraszam. Jeśli nie, widzimy się w poniedziałek.

Poklepał mnie po ramieniu, po czym się ulotnił. I dobrze, bo nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym mu powiedzieć. Ale raczej nie byłoby to nic miłego.

Spojrzałem w kierunku blondynki, ale ona też zniknęła. Razem z chmarą chłopaczków, którzy udawali, że potrafią tańczyć do czegoś, co udaje muzykę. Poszukałem wzrokiem kumpli, ale ich także nigdzie nie było.

Nagle odniosłem wrażenie, że zostałem w klubie zupełnie sam. Wszyscy zniknęli. Irytujące dźwięki ustały. Czas drastycznie zwolnił, aż wreszcie zupełnie się zatrzymał. Kolory wyblakły, a po chwili całkowicie się zatarły, zwalniając przestrzeń dla przenikliwie ciemnego tła. Otoczyła mnie wirująca pustka, wypełniona wszechogarniającą dygotliwą czernią.

Nagle szarpnięcie wyrwało mnie z odrętwienia. Chwilę później ktoś wylał na mnie browar. Spojrzałem na mokry rękaw, a potem podniosłem wzrok. Blondynka. W czarnej miniówce. Z gigantycznymi źrenicami. Nawalona i nawąchana. Nie wiedziała, jak się zachować, więc wręczyła mi piwo i pospiesznie wyjęła paczkę chusteczek.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam. Potknęłam się na schodach i...

– Nie szkodzi – przerwałam jej.

Chwyliła mnie za ramię i zaczęła ścierać plamę. Ja w tym czasie gapiłem się na jej podskakujące cycki.

– Mogę ci to jakoś wynagrodzić? – zapytała.

– Możesz. – Odstawiłem jej piwo na schody. – Pozwól kupić sobie drinka.

Spojrzała na mnie cielecym wzrokiem. Uśmiechnęła się. Chwyliła mnie za dłoń. Zgodziła się, żebym poprowadził ją do baru.

Była moja. Tylko moja. Przynajmniej przez następne kilka godzin.

6

Wiesławowi Papszonowi, szefowi Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, nie tylko śmierdziało z ust. W zasadzie cały śmierdział. Papierosami, zbyt rzadko zmienianymi ciuchami, starością. Śmierdział dekompozycyjnym stylem życia, który sprowadzał się do apatycznego oczekiwania na emeryturę.

Jak większość starych policjantów, naczelnik nie lubił zmian. A obszerny raport, który kilka godzin temu złożyła na jego biurku Maria Falk, zdecydowanie zwiastował zmiany. I to raczej na gorsze.

– Jesteście pewni? – zapytał Papszon zachrypniętym głosem.

– Tak – odpowiedziała Maria, a Oleg na potwierdzenie pokiwał głową.

– Cztery kobiety uprowadzone przez tego samego człowieka. W taki sam sposób. Z tego samego miasta. – Papszon pokręcił głową. – Jeśli to wyjdzie na jaw, ludzie nie zostawią na nas suchej nitki.

– Nie mamy wyjścia – stwierdziła Maria. – Bez świadków daleko nie zajedziemy. Mamy za mało informacji, żeby prowadzić śledztwo w ciszy. Poza tym zdjęcia tych dziewczyn krążą w sieci. Oleg był pierwszy, ale niewykluczone, że niedługo ktoś inny połączy kropki. Dobrze by było, gdybyśmy wyszli na tych, którzy ostrzegają opinię publiczną, a nie próbują coś przed nią zataić. Zwłaszcza że nic nie wskazuje na to, aby na czterech porwaniach miało się zakończyć.

Naczelnik przejechał dłonią po pomarszczonym czole. Następnie sięgnął po leżącą na biurku zapalniczkę. Zaczął nią stukać w blat.

– Co wiecie o sprawcy? – zapytał.

– Niewiele. Ale wydaje nam się, że znamy jego modus operandi.

Maria zerknęła na Olega. Wydawał się zaskoczony wywołaniem do odpowiedzi. W większości ich wspólnych przedsięwzięć był milczącym świadkiem, którego rola sprowadzała się do notowania, przytaczania liczb i kiwania głową.

– W dniu porwania każda z uprowadzonych prawdopodobnie przebywała nad Wisłą – powiedział. – Świadczą o tym relacje koleżanek, dane lokalizacyjne oraz

transakcje płatnicze. Przypuszczamy, że sprawca dopadał je podczas imprez nad rzeką. Dosypywał im coś do drinków, a potem zaciągał do zaparkowanego nieopodal samochodu.

– I nikt nie zauważył niczego podejrzanego? – zdziwił się Papszon.

– Nad Wisłą roi się od naprutyh lasek – wyjaśniła Maria. – Człowiek, którego szukamy, musiałyby się zachowywać agresywnie, prowadząc dziewczynę do auta, bo inaczej nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Poza tym żadna z tych spraw nie została dotąd wystarczająco dobrze nagłośniona. Być może są ludzie, którzy coś widzieli, ale najpierw musimy odświeżyć im pamięć.

– Kurwa – zaklął naczelnik. – Zgłoszą się tysiące wariatów.

– Nie mamy wyboru.

Papszon otworzył raport. Popatrzył na zdjęcia ułożone jedno obok drugiego. Cztery uprowadzone dziewczyny przypominały na nich siostry. Niedoskonałe kopie tych samych stylów życia.

– Dlaczego wybiera akurat takie panny?

– Bo mu się podobają – odparła Maria. – To dwudziestoparoletnie blondynki. Atrakcyjne. Bystre. Pracowite. Rozrywkowe. Przyjechały do Warszawy z małych miejscowości. Łączą studia z pracą. W dodatku każda z nich jest singielką.

– Z całą pewnością nie są przypadkowymi ofiarami – odezwał się Oleg. – Musiał obserwować te dziewczyny od dłuższego czasu. Poznał ich zwyczaje. Dowiedział się, skąd pochodzą, gdzie pracują, jak imprezują. Uprowadził je, bo miał w tym jakiś cel.

– Jaki?

– To trzeba ustalić – stwierdziła Maria.

Papszon, rytmicznie stukając zapalniczką, wpatrywał się w swoją podopieczną. W jego oczach gniew mieszał się z zawodem. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie oczekiwanie na emeryturę.

– Muszę poinformować o tym szefostwo – oznajmił. – Jeśli dostanę zielone światło, utworzę kilkudziesięcioosobowy zespół, który zajmie się poszukiwaniami seryjnego porywacza. – Wypuścił ze świstem powietrze. – Zrobi się głośno i kurewsko nieprzyjemnie.

Maria wzruszyła ramionami.

– Być może już dawno powinno.

* * *

Róg Chałubińskiego i Jerozolimskich. Przedemną Dworzec Centralny, garstka żuli i koślawy żagiel na Złotej. Po prawej Marriott i sznur samochodów próbujących dostać się na Marszałkowską. Po lewej wiadukt ze swoimi masywnymi filarami. Zewsząd naciera lipcowy żar, topiąc asfalt, tępiąc myśli i pochłaniając energię niczym piekielne monstrum.

Uchyliłem okno, żeby wsłuchać się w rżenie silników, szmer dziesiątków nerwowych rozmów, rumor tramwajów i stukot szpilek. Kakofonia dźwięków ciężko tyrającego miasta. Sięgnąłem po telefon i przełączyłem utwór. Wcisnąłem słuchawki głębiej do uszu i podkręciłem głośność. Nagle zaryczał Little Richard. *Long Tall Sally*. Dwie minuty jazdy bez trzymanki. Jak w jakimś pieprzonym helikopterze zawieszonym ponad dżunglą. Betonową dżunglą. Najdzikszą ze wszystkich. Ze stworami, o których nawet Stanowi Winstonowi się nie śniło.

Minęły równo dwa tygodnie od pewnego poniedziałkowego poranka, kiedy to wparowałem do gabinetu Skody i oznajmiłem, że dzięki mojej błyskotliwości zarobi kilka milionów więcej. Że znalazłem (w rzeczywistości zrobił to Adam, mój analityk) trzy spółki, które powinniśmy przejąć. Że każda z nich jest warta więcej od tych piździdełek wskazanych przez Przydupasa. I że na pierwszy rzut oka wszystkie wydają się poza naszym zasięgiem. Ale ja wiem, jak je przejąć, mieszcząc się w budżecie wyznaczonym przez gogusiów z Londynu. Musi mi tylko zaufać.

I zaufał.

Mimo protestów Przydupasa, który usilnie próbował dowieść, że to samobójcza misja, Skoda zgodził się, żebym zaczął robić podchody pod te firmy. Sam. Bez niego, bez Przydupasa, bez wynajętych fagasów, którzy mieliby mi patrzeć na ręce. Zupełnie niezależnie. Po swoim.

Zacząłem od zdobycia numerów właścicieli tych biznesów. Każdemu z nich wysłałem identyczną wiadomość:

Dzień dobry, nazywam się Kacper Berger, jestem wiceprezesem spółki Cloud. Chciałbym kupić Pańską firmę. Proszę o kontakt.

Taka bezczelność jest niezbędna, ponieważ niezbicie dowodzi pewności siebie. A żaden człowiek sukcesu nie chce użerać się z płochliwymi siusiumajtkami – ma ich pod dostatkiem w swoim otoczeniu. Ale przede wszystkim tak sformułowana wiadomość, wysłana do paru tłustych miśków, inicjuje pewne zjawisko. Sprawia, że

w świat niesie się wieść, iż brytyjski gigant zamierza połknąć któregoś ze swoich małych lokalnych konkurentów. I że jest cholernie zdeterminowany.

To pierwszy z kilku kroków, które powinienem zrobić. W kolejnym muszę zasiać w świadomości tych przedsiębiorców pogląd, że sprzedaż biznesu Cloudowi to najlepsze rozwiązanie, na jakie mogą się zdecydować. Jedyne, które uchroni ich biznes na konsolidującym się rynku. Muszę sprawić, aby ta myśl rozprzestrzeniła się niczym wirus. I to taki, na który jeszcze nie wymyślono antidotum.

Wytypowałem do przejęcia niepubliczne biznesy rodzinne. Założone przez ludzi urodzonych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, którzy biznesu uczyli się jeszcze za komuny. Należące do twardych, nieustępliwych, uznających wyłącznie jedynowładztwo skurwysynów, gotowych zrobić absolutnie wszystko, żeby uratować swoją firmę. Swoją krwawicę. Swoje dziecko. W tym także sprzedać biznes, jeżeli nic innego im nie pozostanie.

A ja musiałem ich przekonać, że tak w istocie jest.

Spośród moich trzech kandydatów tylko jeden wydawał mi się naprawdę atrakcyjny – ten, który nie odpowiedział na esemesa. Nazywał się Józef Rolnicki. Dwadzieścia sześć lat temu zaczął budować firmę Rolkom. Najpierw, jak Roman Kluska, składał komputery z części sprowadzanych z Azji. Jednak szybko zrozumiał, że *software is eating the world*, więc przerzucił się na produkcję oprogramowania. Nieźle to wykombinował, bo zamiast tworzyć drogie systemy informatyczne dla korporacji, które zwykle stołują się u gigantów pokroju Microsoftu, Oracle czy Salesforce, skupił się na polskich firmach produkcyjnych i samorządach. Dzięki temu zbudował firmę wartą około miliarda złotych, wdrapał się na listę najbogatszych i żył jak pączek w maśle.

Osiągnął to wszystko, praktycznie nie wychylając się z Łodzi. I dlatego teraz właśnie tam jechałem.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Miałem lekko kręcone włosy sięgające ramion i staranny kilkudniowy zarost. Założyłem okulary od Prady, jednorzędową marynarkę perfekcyjnie skrojoną przez mojego krawca oraz tag heuera za dwadzieścia pięć patyków. Wyglądałem jak miliony monet. Jak jeden wielki srebrnik wybity w mennicy odrażającej neokolonialistycznej korporacji, która zasadziła się na majątek szanowanego polskiego przedsiębiorcy. Wyglądałem dokładnie tak jak trzeba, żeby doszczętnie wkurwić Rolnickiego.

– *We gonna have some fun tonight!* – wykrzyczałem, skręcając w Jerozolimskie.

Zjechałem na pusty buspas i wdepnąłem pedał do podłogi. Za godzinę z okładem powinienem być na miejscu.

Józef Rolnicki myślał, że jest cwany. Że jeśli wsadzi mnie do sali z zepsutą klimą, każe czekać na siebie dwie godziny w towarzystwie irytującego asystenta, a po wszystkim okaże się niekomunikatywnym bucem, to odechce mi się rozmawiać z nim o czymkolwiek – a zwłaszcza o przejęciu jego firmy. Ale kilku rzeczy nie wiedział. Po pierwsze, że dwie godziny w duchocie to dla mnie przyszcz. Po drugie, że potrafię się izolować od jazgotliwego bełkotu głupich ludzi. A po trzecie, że mam cholernie grubą skórę i jestem cholernie zdeterminowany.

Kiedy w końcu Rolnicki pofatygował się do tej nory, przyprowadził ze sobą mały dwór: kolejnego asystenta (ten wydawał się bardziej rozgarnięty), jednego z wiceprezesów (zapewne w funkcji doradcy) oraz prawnika (na wszelki wypadek). Przywitał się ze mną raczej oschle.

– Podobno moi ludzie przekazali, że nie ma pan po co przyjeżdżać do Łodzi – powiedział.

– Nie usłyszałem tego od pana – odparłem, posyłając bucowi oszczędny uśmiech. – A pan nie usłyszał, co mam do zaproponowania.

– Bo w ogóle mnie to nie interesuje.

Rolnicki był o pół głowy niższy od najniższego faceta w pomieszczeniu. Miał na sobie przyduży, solidnie znoszony garnitur. Nie zależało mu na tym, by wyglądać dobrze, o czym świadczył nie tylko jego strój, ale również wąsy rodem z lat osiemdziesiątych. Ta aparycja i styl mogły być mylące. Rolnicki nie zaliczał się bowiem do typowych straganiarzy, którzy nauczyli się handlu na saksach, a potem w wyzwolonej Polsce zostali królami tanich butów, supermarketów albo węży ogrodowych. Właściciel Rolkomu był informatykiem. Ba, doktorem informatyki. Po kilkunastu latach pracy na Politechnice Łódzkiej wyciągnął z uczelni najzdolniejszych studentów i założył firmę. Kilku dawnych podopiecznych zostało nawet mniejszościowymi udziałowcami w jego biznesie. Dopiero po jakimś czasie, kiedy już do niczego nie byli mu potrzebni, zaczął się ich pozbywać. Aż w końcu został sam. No, prawie sam. W zarządzie i radzie nadzorczej spółki oprócz paru nieźle opłacanych menedżerów zasiadają także jego żona, córka i zięć. Jak w modelowej firmie rodzinnej.

Mimo swojej inteligencji właściciel Rolkomu był typem chciwego kutasiny, któremu lata sukcesów wykrzywiły percepcję. Uważał, że może się bez końca

mocować z konkurentami, niezależnie od tego, czy po drugiej stronie stoją przedsiębiorcy, którzy razem z nim startowali w biznesie, czy wymuskani menedżerowie z międzynarodowych korpo. Nie bał się absolutnie niczego. I wierzył, że co jak co, ale wydymać to się nie da. Nikomu. Nigdy.

– Oprowadzi mnie pan? – spytałem, celując palcem w drzwi.

Podwładni Rolnickiego wydawali się przerażeni moją propozycją. Ale on tylko lekko przekrzywił głowę. I albo mi się zdawało, albo nieznacznie się uśmiechnął.

– Zapraszam – odparł.

Wiedziałem, że nie odmówi. Ludzie jego pokroju nie odmawiają w takich sytuacjach. Duma im nie pozwala. Muszą się pochwalić tym, co osiągnęli. To silniejsze od nich. Taki atawistyczny odruch. Pozostałość po spasionych feudałach, którzy oprowadzali swoich równie ulanych koleżków po rozległych włościach.

To, co zobaczyłem, z grubsza zgadzało się z wyobrażeniem, jakie miałem na temat Rolkomu, i z danymi, które wyczytałem z raportów finansowych. Rolnicki upchnął prawie tysiąc pięćset osób w dwóch czterokondygnacyjnych budynkach, schludnych, ale raczej spartańsko urządzonych. Nie było tu nieuzasadnionego przepychu. Większość osób pracowała w pojemnych open space'ach. Na biurkach dominowały komputery Della, a nie iMaki czy MacBooki. W kuchniach nie było darmowego żarcia ani nawet owoców, a wyposażenie chillout roomu ograniczało się do stołu pingpongowego i hamaka.

– Tutaj przychodzi się pracować, a nie do zabawy – stwierdził Rolnicki, jak gdyby słyszał moje myśli. – Prowadzę rejestr, kto i w jakim stopniu korzysta z tego pomieszczenia. Jeżeli któryś z pracowników pojawia się tu zbyt często, to go zwalniam. A także jego przełożonego.

– Dość drastycznie – zauważyłem. – Ludzie o tym wiedzą?

Spojrzał na mnie jak na debila.

– Może jestem nieco staromodny, ale nie zamierzam płacić leserom ani menedżerom, którzy nie potrafią ich upilnować. To nie jest organizacja charytatywna.

Żeby obejść cały teren, potrzebowaliśmy około trzydziestu minut. Pewnie poszłoby szybciej, gdyby Rolnicki nie czuł nieodpartej pokusy, aby wypowiedzieć się na temat każdej części kompleksu. Gdyby nie opowiadał o planach rozbudowy, kosztach kolejnych projektów, administracyjnych trudach, z jakimi musi się mierzyć. Popęłił pierwszy duży błąd, ponieważ był ze mną szczerzy. A powinien albo sztucznie dewaluować firmę, zniechęcając nas do inwestycji, albo wychwalać ją pod niebiosa,

aby napompować jej wartość.

Kiedy wróciliśmy do nieklimatyzowanej klatki, Rolnicki poprosił swoich giermków, aby zostawili nas samych. Nie spodobał im się ten pomysł, ale nie ośmielili się zaprotestować. Kiedy wyszli, Rolnicki stanął obok podłużnego stołu, splótł ręce na piersi i zmierzył mnie od stóp do głów. Nie proponował, bym usiadł, więc zakładał, że rozmowa potrwa tylko chwilę. Nie uśmiechał się, więc zakładał, że nie będzie miło.

– Wiem, po co pan przyjechał – oznajmił.

– Nie ukrywam swoich intencji.

– Znam pańskiego szefa. To kretyń. Typowy Brytol, który gównem o nas wie, ale uważa Polaków za ludzi niższej kategorii. – Trzeba przyznać, że całkiem trafnie scharakteryzował Skodę. – Wysłał pana, ponieważ nie ma pojęcia, jak prowadzić rozmowy z ludźmi takimi jak ja. W głębi duszy się boi, że jego wyobrażenie jest nieprawdziwe. Że może się zblaznić. Wyjść na głupszego od nas.

– W tej kwestii się zgadzamy.

– To tchórz – warknął, mając na myśli Skodę, choć poczułem się tak, jakby mówił o mnie. – Zarządzanie międzynarodową korporacją, która ma gigantyczną przewagę kapitałową nad lokalnymi rywalami, jest dowodem braku jaj i lenistwa. Pański szef chodzi na skróty, ponieważ nigdy nie starczyło mu odwagi, pracowitości i woli walki, żeby spróbować sił w prawdziwej przedsiębiorczości.

– Znow w pełni się z panem zgadzam.

– Wie pan, dlaczego zgodziłem się na spacer po firmie?

Bo jesteś nadętym bucem? Bo lubisz się popisywać? Bo pieniędzmi nadrabiasz niedobory w spodniach? Bardzo mnie korciło, żeby przysrać Rolnickiemu, ale to nie był dobry moment. Na to jeszcze przyjdzie czas.

– Savoir-vivre – odpowiedziałem. – Klasa nie pozwoliła panu postąpić inaczej.

Rolnicki pokręcił głową.

– Chciałem, żeby pan w pełni zrozumiał, co osiągnąłem. Wszystko, co pan widzi, zbudowałem samodzielnie. Tymi rękoma. – Pretensjonalnie wyciągnął przed siebie łapska. – To efekt ćwierć wieku kieratu. Wyrzeczeń. Poświęcenia życia rodzinnego. Rezygnacji z urlopu. – Zamilkł, żeby zaczerpnąć powietrza. – Kupiłem kiedyś jacht, bo chciałem popływać po Karaibach. Wie pan, ile wysp zobaczyłem? Ani jednej. Ile dni faktycznie wypoczywałem? Zero. Cały rejs spędziłem pod pokładem, wisząc na telefonie i grzebiąc w komputerze.

Korciło mnie, by przerwać tę tyradę, ponieważ wiedziałem, że tacy ludzie nienawidzą, kiedy się im przerywa. Ale jeszcze bardziej wkurwia ich to, kiedy ma się gdzieś, co mają do powiedzenia. Pozwoliłem więc patrzeć Rolnickiemu na moją irytująco rozweseloną gębę.

– Było już kilku takich, którzy próbowali kupić moją firmę. Wszystkich ich spuściłem na drzewo, bo ten biznes nie jest na sprzedaż. Za żadną cenę. Bez względu na sytuację na rynku. Bez względu na to, ilu takich chłystków mi tutaj przyślą. –

Machnął na mnie ręką, jakbym był nic niewartym śmieciem. To dobrze. Będąc niedocenianym, mogę działać więcej. – Nie odpisałem na pańską wiadomość, bo nie jestem zainteresowany sprzedażą. I nie będę nią zainteresowany jutro ani pojutrze. Koniec kropka. Chciałby pan się czegoś jeszcze dowiedzieć?

Potrząsnąłem głową.

– Nie powiedział pan niczego zaskakującego. Spodziewałem się szorstkiego wstępu do negocjacji.

Rolnicki podrapał się po policzku, jakby nie wiedział, co zrobić z rękoma. Tak naprawdę wiedział, ale uznał, że jebnięcie mnie w twarz będzie zbyt nieeleganckie. Nawet jak na niego.

– W takim razie może już pan spierdalać – burknął. – Powiedziałbym, że następnym razem nie będę taki miły, ale żadnego następnego razu nie będzie.

W momencie gdy wylądowałem za bramą wjazdową do Rolkomu, pewnie wiele osób by uznało, że negocjacje zakończyły się fiaskiem. Ale to naprawdę był dopiero początek. Wiedziałem bowiem coś, o czym Rolnicki nie miał pojęcia. Być może był naiwny. Być może nie zauważał oczywistych przesłanek, bo znajdował się zbyt blisko problemu. Być może zaślepiała go pycha. Ale ja wiedziałem, że jedynowładztwo w Rolkomie to stan, który odpowiada wyłącznie jemu. I który nie będzie trwać wiecznie.

Wystarczyło, że dzień przed naszym spotkaniem spojrzałem na zdjęcie jego żony. Danuty. Zmęczonej pięćdziesięciolatki, która całe życie spędziła w cieniu męża. I która nawet pozując do zdjęć, nie potrafiła ukryć swojej frustracji.

To ona była jokerem w mojej talii.

Po powrocie z Łodzi zajrzałem jeszcze do biura. Przed siedemnastą zaczęło się tam wyludniać. Najpierw zniknęli ci, którzy zamiast pracować, od paru godzin gapili się na zegar, czekając, aż nadejdzie pora wyjścia z roboty – a że byli niecierpliwi i skrajnie znudzeni, urwali się kilka minut przed czasem. Potem zniknęli apologetyci

korporacyjnych wartości, każdego dnia oddający firmie pełne osiem godzin. Po nich zaczęli się ulatniać bezmyślni wysiadawacze dupogodzin, a także ci, którzy przychodzą do roboty później, bo rano muszą odstawić bachory do przedszkola. Na koniec z budynku wylała się cała reszta: spóźnialscy, leniwe śpiochy, świeżo upieczeni menedżerowie, dziwacy oraz ojcowie, którzy wolą siedzieć w korpo niż zajmować się gówniakami.

Nie wiem, do jakiej kategorii zaliczała się ta laska ze szkolenia, ale zauważyłem ją, gdy koło osiemnastej poszedłem do kuchni po kawę – szóstą lub siódmą tego dnia. Siedziała przy jednym z kwadratowych stolików. Dłubała w jakiejś prezentacji. Nie zauważyła mnie, kiedy przemknąłem kilka metrów dalej, machając do niej ręką. A przynajmniej tak mi się zdawało.

– To było świetne.

Odwróciłem się, zanim ekspres wypluł moją kawę, i zobaczyłem, że stoi tuż za mną. I że wbija we mnie wzrok. I że się uśmiecha. I że górny guzik jej bluzki jest nęcąco rozpięty.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Twoje szkolenie.

– Tak ci się tylko wydaje.

– To nie było pierwsze szkolenie sprzedażowe, w którym uczestniczyłam.

– Wiem. Widziałem.

– Długo się tym zajmujesz?

– Mam wrażenie, że całe życie. – Posłałem jej skąpy uśmiech, po czym włożyłem drewniane mieszadło do kawy i zacząłem w niej bełtać. Dziwne, ponieważ nie słodzę. I raczej nie daję się onieśmielać kobietom. – Od dwunastu lat uczę ludzi nawijać makaron na uszy. *No big deal*.

– A jednak jesteś w tym lepszy od innych.

– Kwestia wprawy. Program, który z wami przerabiam, zaserwowałem już kilkudziesięciu grupom.

– Alicja. – Wyciągnęła rękę. Albo mnie nie słuchała, albo ekspresowo procesowała moje słowa i wyprzedzała wypadki. Tak czy inaczej, ucisnąłem jej dłoń. Silną. Żyłastą. Należącą do kogoś, kto uprawia sport. Albo tańczy na rurze. – Pracuję w dziale komunikacji. Chętnie dowiem się czegoś więcej na temat twoich technik.

– Możemy wyskoczyć na kawę – zaproponowałem, a potem ponownie spojrzałem w swój kubek. – Lepszą od tej.

– Z przyjemnością.

Oddaliła się do komputera, a ja dalej memlałem kawopodobną breję. Niezwykła dziewczyna. Śmiała i bezpośrednia. Ładna i efektowna. Młoda. Mógłbym się w niej zakochać.

Kiedy wróciłem do gabinetu, zamknąłem drzwi na klucz, mimo że nasz korporacyjny kodeks kategorycznie tego zabraniał. Na szczęście nie siedziałem w jednej z tych oszklonych klatek jedynie stwarzających ułudę prywatności, lecz w tradycyjnym biurze. Z normalnymi ścianami, normalnymi drewnianymi drzwiami, normalnymi roletami, które mogłem opuścić, jeśli nie chciałem, żeby ktoś mnie podglądał.

Miałem jeszcze kilka spraw do ogarnięcia, ale w tym momencie myślałem tylko o jednym.

Pewnie nieraz słyszeliście, że od walenia konia jeszcze nikt nie umarł. To nieprawda. Od walenia konia ciągle ktoś umiera, w Niemczech nawet około stu osób rocznie. Większość ginie wskutek asfiksji autoerotycznej, czyli podduszania się w trakcie masturbacji celem spotęgowania doznań. Czyli od trzepania z pętlą zaciśniętą na szyi. Czyli podczas desperackich prób osiągnięcia satysfakcji, gdy konwencjonalne metody z różnych powodów zawodzą.

Na co dzień nie noszę krawatów. Co nie znaczy, że ich nie używam.

Wyjąłem jeden i podjechałem na krzesło do szafy. Rozsunąłem marynarki na bok. Przywiązałem krawat do metalowej belki. Następnie się odwróciłem, przełożyłem go przez głowę i zacisnąłem na szyi najciaśniej jak to możliwe. Idealnie. Mogłem wreszcie rozpiąć spodnie.

Ledwo zacząłem trzepać, kiedy rozdzwonił się mój telefon. Spojrzałem na biurko. Janek. Znajomy z czasów studiów. Gamoń, który zamiast zarabiać sensowne pieniądze jako analityk albo konsultant, wymyślił, że zostanie dziennikarzem ekonomicznym. Był nawet niezły w te klocki. Dostał kilka branżowych nagród, biznesmeni szanowali go i chętnie udzielali mu wywiadów. Ale mając na uwadze jego potencjał i zarobki w mediach, powinien dostać antynagrodę za wybór drogi zawodowej.

No i musiałem podjąć decyzję. Fiut czy Janek. Janek czy fiut. Janek. Fiut. Janek. Fiut.

Ciekawość zwyciężyła z chucią. Wyplątałem się ze swojej misternej konstrukcji i odebrałem telefon.

– Nie przeszkadzam? – przywitał się Janek.

Przeszkadzasz jak jasny chuj, pomyślałem.

– Skąd. Co słyhać?

– Wszystko dobrze. To znaczy niedobrze. Mam coraz więcej roboty i coraz mniej pieniędzy. Korelacja z dupy. Ale taki już urok mojej branży.

– Po co dzwonisz? – Chciałem czym prędzej zakończyć tę rozmowę.

– Bo usłyszałem ciekawą plotkę. Właściwie dwie plotki. Obie dotyczą ciebie.

– Zamieniam się w słuch.

– Podobno wpadłeś w oko pewnemu przedsiębiorcy. I podobno już zaczął zaloty.

Ciekawe, skąd się dowiedział. Nie przypuszczam, żeby Solski łąził po mieście i rozpowiadał takie rzeczy. Zwłaszcza że jeszcze nic nie było przesądzone.

– Potwierdzasz? – spytał Janek.

– Co takiego?

– Że jeden z tłustych misiów próbuje ściągnąć cię do drużyny?

– Wiesz, że nawet gdyby tak było, nie mógłbym się do tego przyznać. Nie zadawaj mi takich pytań.

– Sorry, taka robota.

Janek bywał upierdliwy, ale to w gruncie rzeczy równy gość. Nie próbował wyciągać ode mnie insiderskich informacji. Nie zawracał dupy, jeśli wiedział, że jestem zarobiony. Nie publikował tego, co mówiłem mu w zaufaniu. Pomógł mi w promocji, kiedy chciałem zostać najbardziej znanym trenerem sprzedaży w Polsce. Czasem dzwonił, żeby zapytać o ruchy kadrowe w korporacjach albo na rynku finansowym. Czasem chciał zweryfikować jakąś informację. A czasem, mam wrażenie, dzwonił wyłącznie po to, żeby sobie popitolić. Uwielbiał pitolić. Międlął jęzorem jak pojebany.

– A ta druga plotka? – zapytałem.

– Dotyczy twojej firmy. Podobno dostałeś nowe zadanie.

– Możesz być bardziej konkretny?

– Wszyscy wiedzą, że Cloud rozgląda się za okazjami inwestycyjnymi. W branży huczy od plotek, że szykujecie się do akwizycji. Podobno masz załatwić jakiś gruby deal.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Ale skoro branża tak mówi, to może coś w tym jest.

– Kogo przejmujecie?

– Chcemy zwiększyć naszą obecność w Polsce. Organiczny wzrost jest fajny, ale tylko do pewnego momentu. My już ten moment osiągnęliśmy i dalsze podążanie tą ścieżką wyglądałoby jak dreptanina w miejscu. Dlatego szukamy firmy, która pomoże nam urosnąć i zwiększyć udziały w rynku.

– Future Soft?

– Nie wiem.

– NetServices?

– Nie mogę powiedzieć.

– Maktronics?

– Czy ty, kurwa, nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?

– Sorry. Gdybym nie był dociekliwy, tobym dalej przerabiał depesze papowskie. Dobra, nie zawracam więcej dupy. Uszyję coś z tego, co powiedziałeś, i podrzucę ci do autoryzacji.

– Chyba cię popierdoliło.

– Stary, muszę coś mieć z tej rozmowy. Jakiś cytat. Deklarację. Cokolwiek.

– Napisz, co chcesz, ale nawet nie próbuj mnie pod tym podpisywać. I nie przyznawaj się nikomu, że ze mną rozmawiałeś.

Rozłączyłem się. Spojrzałem w dół. W głosie Janka było coś tak męczącego, że pewnie potrafiło uśmiercić nawet najtwardszy wzwód. A mój do takich nie należał.

Nie zdołałem wrócić do swojego miłego zajęcia, ponieważ telefon ponownie się rozdzwonił. Tym razem to był Skoda, więc powinienem odebrać. Trudno. Co ma wisieć, nie utonie. A co jest martwe, nie może umrzeć, lecz odradza się twardsze i silniejsze ¹.

Jest pewien zjawiskowo piękny prostokąt ulic w Warszawie. Tworzą go Emilii Plater (od zachodu), Nowogrodzka (od północy), Poznańska (od wschodu) i Wspólna (od południa). Na jego terenie można znaleźć kilka knajp, siedziby mniejszych i większych firm, zadbany skwer, modny teatr, a nawet kościół. A także legendarny warszawski pigalak. Podobno działa od końca drugiej wojny światowej. Aż dziw, że jeszcze nie został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Nieprzypadkowo zamieszkałem akurat tam. Lubię taką... subkulturę. Lubię być zaczepiany przez te wszystkie puszczalskie dziry, które czują się królowymi nocy. Lubię się z nimi droczyć. Lubię słuchać, jakie stosują sztuczki, żeby zwabić klienta. Większość z nich bije na łeb sprzedawców, z którymi użeram się na co dzień. Kilka z nich mógłbym wziąć na staż. A najlepszej nawet przekazać prowadzenie moich

szkoleń.

Kiedy taksówkarz wysadził mnie pod domem, podszedłem na róg Wspólnej i Emilii Plater, żeby zagadać do jednej z dziwek. Eufemistycznie mówiąc, nie była szczególnie urodziwa. Mogła nie mieć jeszcze trzydziestki, ale pod grubą warstwą tapety ukrywała się stara, zniszczona i permanentnie zmęczona twarz (niedziwne, uprawiała zawód podwyższonego ryzyka, jak górnik, saper czy poławiacz krabów). Ale na szczęście była w moim typie: niezła figura, duże cycki, blond włosy. Farbowane, ale zawsze coś.

– Chcesz się zabawić, przystojniaku? – zapytała, kiedy się zbliżyłem. Ta akurat nie była mistrzynią sprzedaży.

– Przydałoby mi się towarzystwo – odparłem. – Mam do zagospodarowania kilka godzin. Nie chcę ich spędzić samotnie.

– Dobrze trafiłeś, przystojniaku.

Uśmiechała się do mnie, a jednocześnie niepewnie zerkała na boki. Jakby się bała, że za moment przydybie nas policja. Jakby jeszcze nie skumała, że psy olewają tę miejscówkę ciepłym moczem.

– Mieszkam na rogu – powiedziałem. – Jeśli się dobrze spiszesz, być może nie będzie to nasz ostatni wspólny wieczór.

– Masz kasę, przystojniaku?

– Więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Zaśmiała się.

– Sorry, ale już nieraz słyszałam taki tekst. Pokaż kasę, misiu, albo nici z zabawy.

Westchnąłem. Wygrzebałem z kieszeni portfel i wyjąłem dwustuzłotowy banknot (z różnych powodów zawsze mam przy sobie gotówkę). Złożyłem go na pół, a następnie zrobiłem krok w stronę dziwki. Powoli, jakbym operował nożem albo grał w jengę, wsunąłem jej banknot między cycki. Chyba to polubiła, bo nagle zaczęła się na mnie gapić maślanym wzrokiem.

– Mam na imię...

– Nie obchodzi mnie to – nie dałem jej dokończyć. – Będę na ciebie mówił Renia.

– Renia?

– Zdrobnienie od Renaty.

– Niech będzie. A zatem mam na imię Renia, przystojniaku.

Poszliśmy do mnie. Zabroniłem Reni zdejmować szpilki i zaprowadziłem ją do salonu, który wcale nie przypominał bawialni młodego milionera. Miałem tam

wygodną kanapę, szklany stół, regał z książkami, barek, czterdziestocalowy telewizor, wieżę z dwoma subwooferami oraz kilka kwiatków, o które troszczyła się ukraińska sprzątaczką. Nic więcej. Żadnych egzotycznych rzeźb, drogich obrazów, cudów elektroniki. Ot, zwyczajny salon gościa z wyższej klasy średniej.

Otworzyłem barek i wyciągnąłem pierwszą z brzegu butelkę whisky. Wydobyłem też papierośnicę, w której trzymałem jointy – o ich skręcenie również poprosiłem Ukrainkę. Uchyliłem okno i zapaliłem. Wziąłem kilka machów, po czym przekazałem blanta rozwalonej na kanapie dziwce.

– Ładne mieszkanie – powiedziała, przytrzymując dym w płucach. – Twoje czy wynajmujesz?

– A jakie to ma znaczenie?

Wypuściła chmurę i wzruszyła ramionami.

– Żadne. Pytam z ciekawości.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Lepsze znane piekło od nieznanego nieba.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej słowami, a następnie wlałem whisky do szklanki. Podałem jej szkło.

– Nie pijesz? – zdziwiła się, widząc, że zakręcam butelkę.

– Tylko w piątki.

– Dlaczego?

– Zadajesz za dużo pytań. Napij się.

Renia patrzyła na mnie nieufnie. W końcu oddała mi skręta i powąchała alkohol.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała.

– Lubię, gdy dziewczyny są podpite.

Wymownie uniosła brwi, choć oczywiście był to tylko teatr. Musiała widywać większe dziwactwa.

– Zapłacę ci pięćset złotych, jeżeli spełnisz trzy warunki. – Zaciągnąłem się jointem i odłożyłem go do popielniczki. Sięgnąłem po portfel. Wyjąłem kilka banknotów i wsunąłem je pod butelkę. – Po pierwsze, masz się nie uśmiechać. Nienawidzę nieszczerych flirciarskich uśmiechów. Bezbłędnie rozpoznaję fałsz, więc nawet nie próbuj się szczerzyć. Po drugie, masz się czym pochwalić, więc zadbaj o to, żebym przez cały czas widział twoje cycki. I żeby były w ciągłym ruchu. Ale nie jak dzwony, nad którymi Quasimodo stracił kontrolę. Masz to robić z gracją. Jak gwiazda porno, która rozumie, co podnieca onanistów. Kumaszc?

Kiwnęła głową.

– A po trzeciej?

– Dowiesz się później. – Wycelowałem palcem w ścianę. – Podejdz do wieży i włącz radio. Ustaw jakąś muzykę.

– Jaką?

– Taką, przy której lubisz tańczyć.

Dziwka wyzerowała drinka i odstawiła szklankę. Zwlekła się z kanapy i podeszła do wieży. Wybrała jakąś komercyjną stację, w której niezbyt utalentowana Amerykanka śpiewała o chłopcach, randkach, miłości i innych bzdetach. Koszmar. Ale to nie mnie miało się podobać. Renia nad czymś się przez chwilę zastanawiała, ale w końcu się odwróciła i zaczęła tańczyć. Czy raczej podrygiwać w rytm gównianej muzyki.

Ściągnąłem marynarkę i wygodnie rozsiadłem się na sofie. Joint zdążył zgasnąć, więc ponownie go rozpałiłem. Wziąłem dwa kolejne machy. Poczułem, jak się rozluźniam. Jak spięte mięśnie zaczynają mięknąć.

– Zostaw to – powiedziałem, kiedy próbowała zmienić stację, na której zaczęły się reklamy. – Tańcz.

Przywołałem ją palcem, więc ruszyła w moją stronę. Tańcząc. Podrygując. Robiąc coś, co trudno nazwać. Jezu. Albo się za bardzo spięła swoim zadaniem, albo jest kompletnym beztalenciem. Porusza się jak wóz z węglem. Jak najebana ciotka na weselu. Jak ksiądz na wiejskiej potańcówce.

Odmierzyłem jej kolejną porcję łychy. To powinno pomóc.

W radiu rozpoczął się serwis informacyjny. Gapiłem się na Renię i miałem kompletnie w dupie, co się tego dnia wydarzyło w Polsce. Waliły mnie codzienne polityczne przepychanki, kolejne idiotyczne projekty ustaw, dęte afery, wypadki drogowe czy doniesienia ze świata sportu. Ale jedna wiadomość przykuła moją uwagę. Wsunęła się jak wytrych do splątanego umysłu. Sprawiała, że rozluźnienie i spokój ducha zniknęły. Grzecznie spierdoliły, robiąc miejsce dla paranoicznego lęku.

– Wszystko w porządku? – spytała Renia.

Ale ja jej nie słyszałem. Słyszałem za to słowa wyrzucane przez dziennikarkę prowadzącą serwis: Warszawa, seria porwań, cztery młode kobiety, poszukiwania, apel, pomoc. Wszystkie te wyrazy zbiły się w złowieszczą papkę, która oblepiła mój mózg, zarażając go obłędem.

– Wszystko gra, przystojniaku?

Po dziennikarce pojawił się kolejny głos. Chropowaty i przepalony. Zdradzający pewność siebie i determinację. Głos doświadczonego policjanta, który informował, że wpadli na mój trop.

– Halo?!

Spojrzałem na Renię. Wydawała się niezłe wystraszona. A skoro ona tak wyglądała, to ciekawe, jak prezentował się facet, który właśnie się dowiedział, że cały jego misterny plan może wziąć w łeb.

– Wszystko gra – odparłem, powoli odzyskując równowagę. Wziąłem głęboki wdech i sięgnąłem ręką do stolika. – Wypij to. – Odmierzyłem dziwce kolejnego drinka. – A potem zacznij się rozbierać.

Przez kilka sekund dziwnie na mnie patrzyła, ale potem spełniła moje polecenie. Szybko opróżniła szklankę i zaczęła zrzucać ubranie. Tymczasem skończył się serwis informacyjny i z radia zaryczała seria kretyńskich reklam.

– Co dalej? – spytała, stając przede mną w samych majtkach i staniku.

– Odwróć się i pochyl.

Podniosłem się z kanapy i stanąłem za nią. Odpiąłem pasek. Potem przeciągnąłem go przez szlufki i złożyłem na pół. Równo. Równiusieńko. Zacisnąłem na nim obie dłonie, słysząc, jak skóra trzeszczy pod palcami.

Przecież tak musiało się stać, pomyślałem. Wiedziałem, że prędzej czy później się dowiedzą. Połączą fakty i skrzykną grupę, która wypełźnie na ulice, aby mnie schwytać. Ale mimo to pozwoliłem się zaskoczyć. Złapać w momencie, w którym nie byłem na to przygotowany. Jak brudny, nagi chłopiec wyrzucony na podwórko przez własnego ojca. Wyśmiewany przez kolegów. Wytykany palcem. Osamotniony. Bezbronny. Otępiały. Bezradny.

To dlatego spanikowałem. Dlatego pozwoliłem lękowi rozpanoszyć się w mojej głowie.

Ale teraz już się nie bałem. Teraz czułem wyłącznie gniew.

– Co mam zrobić? – zapytała Renia, lekko się zataczając.

– Nic – odparłem. – Teraz już nic nie możesz zrobić.

Z nasz tego faceta?

Oleg spojrział na Marię, jak gdyby szukał w jej oczach wybawienia. Ona jednak uporczywie wpatrywała się w jakiś punkt na podłodze, sprawiając wrażenie nieobecnej. Zanurzonej we własnym światku. We własnych sprawach. W zmartwieniach, które tłamsiły w niej chęć do jakiegokolwiek interakcji.

– O tyle, o ile – odparła, nie podnosząc wzroku. – Pracowaliśmy przy jednej sprawie.

– I?

– Jest niezły.

– Tylko tyle?

– Potrafi być szorstki. To były trep, więc nie oczekuj od niego wielkiej wylewności.

I kto to mówi, pomyślał Oleg.

– Podobno może zostać nowym naczelnikiem.

– Nie byłabym zdziwiona. Papszon otoczył się wyjątkowo miernymi zastępcami. Gryzipiórkami, którzy nie są ani dobrzy operacyjnie, ani lotni, ani pracowici. Nie chciał mieć za plecami kogoś, kto mógł wygryźć go ze stołka.

– Czyli policja bardziej przypomina politykę niż biznes.

– To znaczy?

– Żeby wygrać w biznesie, musisz otoczyć się mądrzejszymi od siebie, docenić ich i pozwolić im robić swoje. W polityce potrzebujesz tylko wianuszka bezwarunkowo posłusznych debili. Vide Kaczyński i Tusk.

Maria w końcu spojrzała na Olega. Jakby musiała się upewnić, że to on wypowiedział te słowa, a nie Wiktor Suworow.

– Coś w tym stylu – mruknęła.

Chwilę później otworzyły się przed nimi drzwi do jednego z gabinetów w Komendzie Stołecznej Policji.

– Przepraszam, że musieliście czekać – stwierdził nadkomisarz Rafał Lewiński. –

Wejdźcie.

Jego biuro przypominało pokój porządnie zmusztrowanego dzieciaka, który uwielbiał otaczać się zabawkami, ale po każdej zabawie odkładał je na swoje miejsce. Oprócz Lewińskiego w pomieszczeniu był jeszcze aspirant sztabowy Michał Chudzik, na którego wszyscy mówili Chudy. Wyglądali jak bliźniacy: wysocy, nieźle zbudowani, krótko ostrzyżeni. Różnili się tylko tym, że Chudy przypominał zakapiora, który na chwilę wyskoczył z dresów, a Lewińskiego można było wziąć za dystyngowanego modela. Dobijał do pięćdziesiątki, ale wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej.

– Podobno się znacie, więc nie będę nikogo przedstawiał, tylko od razu przejdę do rzeczy. – Lewiński posłał szybkie spojrzenia wszystkim zgromadzonemu. Niczym rewolwerowiec. – Zostałem wyznaczony do poprowadzenia śledztwa w sprawie porwań. To oznacza, że od teraz będziemy działać po mojemu: szybko i stanowczo. A także dyskretnie, czyli z dala od mediów. Jeśli ktoś rozpruje się na temat sprawy, będzie miał przejebane. U mnie, u Papszona i u każdego innego oficera, pod którym w przyszłości chciałby warować. Czy to jasne?

Oleg zerknął na Marię z wyrzutem. Zapomniała wspomnieć, że Lewiński to czerstwy cham, który uczynił z mobbingu sztukę konwersacji.

– Naszym priorytetem jest ustalenie, co się stało z tymi kobietami – kontynuował Lewiński. – Czyli, mówiąc wprost, znalezienie zwłok. Bo chyba nikt nie jest na tyle naiwny, by przypuszczać, że jeszcze żyją. – Popatrzył na policjantów, żeby się w tej kwestii upewnić. – Domyślamy się, kiedy i gdzie zaginęły, więc zaczniemy od przepytania wszystkich ludzi, którzy mogli się na nie natknąć. Sprawdzimy nagrania z monitoringu, o ile jeszcze jakieś zostały. Prześledzimy transakcje oraz aktywność internetową tych dziewczyn. Pogadamy z ich kolegami i rodzicami. Z chłopakami, byłymi chłopakami, niedoszłymi chłopakami i wymaginionymi chłopakami. Z każdą osobą, która może coś o nich wiedzieć. A do tego sprawdzimy wszystkie pojebane zgłoszenia, które od wczoraj do nas spływają. Czy to jasne?

Po takim przedstawieniu sprawy nikt nie miał odwagi otworzyć gęby.

– Macie jakieś pytania?

– Tylko jedno – odezwał się Chudy. – O sprawie trąbi cała Polska, piździelce z kamerami otoczyły komendę, a my mamy do dyspozycji zaledwie czteroosobową ekipę?

– W sprawę zaangażowanych jest kilkadziesiąt osób, ale to wy stanowicie trzon

zespołu. Wbrew pozorom nie jestem autorytarnym gnojkiem, który o wszystkim zamierza decydować sam. Będę konsultował z wami kluczowe decyzje. Zasłużyliście na to. – Lewiński wskazał palcem Olega oraz Marię. – Gusiew jako pierwszy zwrócił uwagę, że te zaginięcia mogą być powiązane, a Falk pomogła mu to udowodnić. Gdyby nie wy, tobyśmy się nawet nie dowiedzieli, że jakiś świr grasuje po mieście. Byłbym skończonym chujem, gdybym odsunął was od dowodzenia.

– A ja? – dopytał Chudy.

– Ty jesteś jedyną osobą w wydziale, która mnie nie wkurwia. – Lewiński spojrzał na swojego szpetnego sobowtóra, jakby jego deklaracja właśnie straciła ważność. – Coś jeszcze?

– Wykonaliśmy już sporą część pracy, o której powiedziałeś – odezwała się Maria. – Oczywiście warto to wszystko zrobić jeszcze raz, bo mogliśmy coś przeoczyć. Ale jeśli się okaże, że nic nie znajdziemy? Że nikt tego człowieka nie widział?

– To nie duch, tylko zboczeniec – zaśmiał się Chudy. – Złowimy typa w tydzień.

Maria udała, że tego nie słyszy.

– Nikt nie wspomniał o żadnym podejrzanym gościu, który miałby się kręcić koło zaginionych. Ślady transakcyjne nie sugerują niczego niepokojącego. Dane lokalizacyjne prowadzą donikąd. W dodatku dziewczyny prawdopodobnie zostały uprowadzone znad Wisły, gdzie praktycznie nie ma monitoringu. Nie szukamy jakiegoś niewyżytego gnojka, tylko człowieka, który to wszystko skrupulatnie zaplanował. – Splotła ręce na klatce piersiowej. – Jak zamierzasz złapać kogoś takiego?

Lewiński, oparty tyłkiem o kant biurka, intensywnie wpatrywał się w policjantkę.

– Tak jak każdego innego delikwenta – odparł. – Nie marudząc, tylko ciężko zapierdalając. Począwszy od teraz. – Spojrzał na zegarek. – Za pół godziny mamy odprawę. Przygotujcie się.

* * *

Co złego mogło mi się stać?

Założmy, że Maria i jej koledzy wspinają się na wyżyny dedukcji. Udaje im się ustalić, kiedy i skąd znikaly te laski. Wśród tysięcy przesłuchanych trafiają na kogoś, kto mnie widział, więc otrzymują opis faceta wyglądającego jak setki innych – zwłaszcza w nocy, w oczach i wyobraźni gościa, który zalany w trupa odlewał się pod drzewem. Dowiadują się, że wpakowałem te panny do samochodu. Dostają opis

auta, może nawet markę i kolor. Przekopują się przez monitoring. Namierzają mnie. Ale tylko do pewnego momentu, ponieważ potem zanurzam się w tereny, na których nie ma kamer.

I co dalej? Mają trzy różne samochody na podrabianych blachach. Mają opis, który można przyporządkować do każdego długowłosego faceta wychodzącego w weekendy na miasto. Mają dziesiątki pozornie istotnych informacji. W rzeczywistości są one tylko irytującą barierą niewiedzy, przez którą nie są w stanie się przebić.

Wszedłem do gabinetu Skody. Na samą myśl o spotkaniu z tym pajacem zachciało mi się ziewać. Choć może to dlatego, że się nie wyspałem. Był wtorek. Jedenasta trzydzieści. Po dwóch godzinach snu i pobudce przed piątą miałem prawo czuć się tak, jakby zaczynał się wieczór.

– Jak rozmowa z Rolnickim? – zapytał, kiedy usiedliśmy przy stoliku kawowym.

– Bardzo obiecująco.

– Poważnie? – Wydawał się szczerze zdziwiony. – Myślałem, że w ogóle nie będzie chciał z tobą rozmawiać. Że nie wpuści cię do biura.

– Zanim kazał mi spierdalać, oprowadził mnie po firmie. Dlatego uważam, że było nieźle.

Skoda się roześmiał, a ja mu klakiersko zawtórowałem. Czasem robiło mi się go żal. W gruncie rzeczy nie był kompletnym idiotą, a mimo to brytyjski zarząd Clouda zesłał go na wygnanie. Zupełnie jakby spieprzył jakiś ważny projekt albo posunął sekretarkę, która przypadkiem była także kochanką prezesa. Tylko w takich kategoriach można traktować jego transfer do Warszawy. Gdyby trafił do Delhi, Manili, Lagos czy nawet Stambułu, można by to uznać za turystykę biznesową. Ale Polska? Kraina gorzałą płynąca? Kraj Kwitnącej Cebuli? Ojczyzna kłapek Kubota i disco polo?

A może Skoda posunął samego właściciela Clouda? Albo nie dał mu się posunąć? Albo...

– Gadałem z kilkoma osobami z zewnątrz na temat tej akwizycji, oczywiście nie zdradzając żadnych szczegółów operacyjnych. – Skoda strzepnął paproch z marynarki i popatrzył na mnie z zafrasowaną miną. – I mam pewien problem.

– Mianowicie?

– Ludzie z zewnątrz, a rozmawiałem głównie z menedżerami z sektora IT, myślą podobnie jak Krystian. Uważają, że nie jesteśmy w stanie kupić żadnej ze spółek,

które zaproponowałeś. A już z pewnością nie za kwotę, jaką dysponujemy. Co więcej, każdy z moich rozmówców jest święcie przekonany, że Rolkom nie jest na sprzedaż. Za żadne pieniądze.

– Na jakiej podstawie tak twierdzą?

– Znają Rolnickiego od co najmniej dwudziestu lat. Wiedzą, co go nakręca. Uważają, że prędzej zbankrutuje, niż sprzeda swoje dziecko.

Zaśmiałem się pod nosem.

– Każdy rodzic tak twierdzi na forum. Ale wystarczy lekko przytknąć drzwi, żeby się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

Wróćmy do moich rozważań. Założmy, że ktoś mnie widział. Mnie, Kacpra Bergera, a nie jakiegoś dobrze wyglądającego gościa w długich piórach. Maria i jej koledzy zbierają informacje na mój temat. Budują profil potencjalnego sprawcy. I nagle wychodzi im coś, co nijak nie pasuje do okoliczności. Otrzymują obraz człowieka sukcesu. Niekaranego. O nieskalanej opinii. Niewzbudzającego większych kontrowersji, ale też niebędącego podejrzanym odludkiem. Ciężko pracującego i zbyt dobrze się prowadzącego, żeby mógł popełnić tak okropny czyn. W dodatku mającego dziewczynę, która robi karierę w start-upach. I która nawet w gniewie, nawet podejrzewając swojego faceta o najgorsze, nie powiedziała by na niego złego słowa, bo za bardzo ceni swoją reputację.

– Nasi właściciele są zachwyceni – stwierdził Skoda. – Podoba im się takie agresywne podejście. Przejęcie Rolkomu byłoby dużym wydarzeniem w europejskiej branży IT. Gdyby nam się udało, mielibyśmy otwarte drzwi do pracy praktycznie na każdym rynku. Z brytyjskim włącznie. Bylibyśmy rozchwytywanymi menedżerami, o których zabijałyby się regionalne oddziały największych firm. Od Microsoftu po Facebooka.

– Wspaniale. Wprawdzie nie myślałem o wyprawdzie z Polski, ale...

– Nie podzielam entuzjazmu naszych szefów – wszedł mi w słowo. – W zasadzie im dłużej myślę o tym wszystkim, tym bardziej się boję.

– Czego?

– Że ci się nie uda. Że do żadnej akwizycji nie dojdzie i skończymy z niczym.

Przyjrzałem mu się uważnie. Był autentycznie przejęty. Wiedział, że skoro sam wyznaczył mnie do tego zadania, to na niego spadnie wina za ewentualne fiasko.

– To dopiero początek procesu, miliardowych firm nie przejmuje się w dwa tygodnie. – Pochyliłem się w jego stronę. – Nie trać wiary zaraz po starcie. Postawiłeś

na właściwego konia. Musisz mu tylko zaufać. Nie pożałujesz.

Być może Skoda przechodził coś w rodzaju załamania. Być może doznał ataku paniki, kiedy pojął, że jego zawodowa przyszłość leży w rękach człowieka, którego poznał ledwie pół roku wcześniej. Być może zrozumiał, że okręcam go sobie wokół palca, jakby był głupiutkim stażystą omyłkowo wsadzonym na stołek prezesa. W każdym razie wyglądał jak zbity pies. Stłamszony i odarty z godności. Sponiewierany miękkością własnego charakteru.

– Skąd bierze się twoja pewność siebie? – zapytał.

Wyprostowałem się. Uśmiechnąłem.

– Z doświadczenia. Wyłącznie z doświadczenia.

A teraz założmy, że Maria, wykorzystując instynkt, intuicję albo pajęczy zmysł, nabiera przekonania, że to ja stoję za tymi porwaniami. Dochodzi do konfrontacji. Policjantów bez dowodów z szanowanym menedżerem z korporacji wartej dziesiątki miliardów dolarów. Zgrai gamoniowatych funkcjonariuszy z bystrzakiem, który na co dzień nawet się nie schyla do ludzi ich formatu. Grupki zbłąkanych pokrak, która natknęła się na porozrzucane puzzle, z facetem, który zaprojektował całą układankę.

Byłem nietykalny.

– Nie martw się. – Wstałem i poklepałem Skodę po plecach. – Wygramy i zarobimy kupę szmalu.

– A potem odejdziesz do Solskiego?

Albo mi się zdawało, albo na gębie tego matoła pojawiła się zazdrość.

– To twoje największe zmartwienie? Że po zamknięciu transakcji odejdziesz z Clouda?

– Po prostu chciałbym wiedzieć, o co toczy się gra.

Jasne. Kutasina trząsał portkami, że po wszystkim go wygryzę. Zazdrościł mi oferty od Solskiego, a zarazem modlił się, żebym ją przyjął. W dodatku miał nadzieję, że swoją reakcją na jego pytanie wszystko mu wyśpiewam. Naiwniak.

– Jeszcze nie wiem, czego najbardziej pragnę – odparłem, patrząc z góry na tego smutnego człowieczka. – Wiem tylko, że na pewno to dostanę.

Istnieje niewielkie, choć do pewnego stopnia uzasadnione ryzyko, że możecie uznać mnie za mizogina. To dobry moment, żeby to odkręcić. Bo tak się składa, że uwielbiam kobiety. Wszystkie, bez wyjątku. Rodzicielki, czyli oddane dawczynie życia. Feministki wojujące o równość płci. Współczesne matki Polki, które łączą wychowywanie bachorów z karierą. Ucieszcycielki serc i lędźwi. Lesbijki i hetero. Profesorki, kelnerki, piłkarki, dziwki.

Ale najbardziej cenię te, które mają większe jaja od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent mężczyzn.

Umówiłem się z jedną taką w biurze, które wynajmuje w modnym centrum coworkingowym na Kruczej. Wiecie: otwarte przestrzenie, zieleń, balkony, budki telefoniczne, salki konferencyjne, niezła kawa, pies. Karolina robi w start-upach. Organizacjach, które miały być wylęgarnią kreatywności, ale w pewnym momencie coś poszło nie tak, przez co wszystkie wyglądają mniej więcej tak samo. Każdy ma quasi-kreatywne biuro, zwykle w jakimś coworku. Każdy twierdzi, że może być firmą wartą miliard dolarów. Każdy bardziej dba o oprawę wizualną biznesu niż o produkty, klientów czy pracowników. W każdym pracują dwudziestolatkowie, którzy nie jedzą mięsa, słuchają alternatywnej (a przynajmniej tak im się wydaje) muzyki i oglądają mainstreamowe seriale na Netfliksie, zaopatrują się w ciuszki w modnych sklepach internetowych i wyposażają swoje wynajęte mieszkania w designerskie mebelki. Opowiadają o swoich nudnych życiach, popijając egzotyczne herbatki i wplatając angielskie słówka w te niemrawe historyjki. Koszmar. Ale co gorsza, tylko nieliczni start-upowcy próbują wymyślać technologie mogące przemodelować naszą rzeczywistość. Większość opycha korporacjom jakieś software'owe duperele, robiąc wokół nich tyle szumu, jakby dało się na tym polecieć na Marsa.

W tym coworku wszyscy wiedzą, kim jestem, dzięki czemu nie musiałem się przedstawiać. Sympatyczna dziewczyna z recepcji zaprowadziła mnie do wolnej salki. Ktoś musiał w niej odbyć stresujące spotkanie, ponieważ zostawił po sobie niedopitą kawę i obgryziony długopis. Karolina przysłała parę minut później. Wyglądała na nieźle zarobioną: przyciskając pod pachą MacBooka, oglądała kartki z wizualizacjami opakowań. Zdziwiła się na mój widok. Czy raczej na widok bukietu tulipanów, który jej przyniosłem.

– Twoja asystentka musiała zrobić dogłębny research – stwierdziła, odkładając wydruki i komputer na stół.

– „Lubię tulipany, ponieważ są ładne, proste i tanie. Dzięki temu po paru dniach bez większego żalu mogę je wywalić do śmieci”. Może nie jest to dokładny cytat, ale to twoje słowa. – Uśmiechnąłem się. – Czasem cię słucham.

Pozwoliła się pocałować w usta i przyjęła bukiet. Powąchała go. Przez chwilę się zastanawiała, co z nim zrobić, ale wtedy do sali weszła dziewczyna z recepcji. Przyniosła wazon z wodą. Postawiła go przed Karoliną. Wyszczrzyła do niej kły, jakby chciała jej pogratulować wygrania miliona dolarów, a następnie dyskretnie się

ulotniła.

– Przeprosiny przyjęte – stwierdziła Karolina. – A teraz powiedz, jaką masz sprawę.

– Podejrzewasz mnie o makiawelizm?

– Gdybyś chciał tylko przeprosić, zrobiłbyś to przy okazji naszego kolejnego spotkania. Albo wysłałbyś mi kwiaty i liścik. Ale skoro pofatygowaleś się tutaj w środku dnia, musisz czegoś chcieć. – Splotła ręce na klatce piersiowej i oparła się o stół. – Za pół godziny mam calla z inwestorami. Nie marnujemy naszego czasu. Powiedz, o co chodzi.

Ależ ona mnie czasem wkurwia. Do tego stopnia, że mam ochotę ją zabić. Kilka razy nawet się nad tym zastanawiałem. Za każdym razem dochodziłem do wniosku, że mógłbym mieć z tego niezłą frajdę. Kłopot w tym, że Karolina była kimś. Miała kilka tysięcy znajomych na Facebooku, regularnie wypaszczała się w mediach, знаła parę wpływowych osób. Jej zniknięcie nie przeszłoby bez echa, a ja – jako jej oficjalny facet – automatycznie stałbym się głównym podejrzanym. Poza tym zabijając ją, zaspokoilibym tylko jedną z podstawowych potrzeb. Jedną z wielu. Gra nie była więc warta świeczki.

W dodatku zabicie kogoś takiego byłoby sprzeczne z moim poczuciem patriotyzmu gospodarczego. Pozbawiłbym nasz cudowny kraj jednej z najbardziej obiecujących biznesemek. Karolina ma wiele cech, które z przyzwyczajenia – bo nie dzięki logice – przypisujemy męskim liderom. Jest twarda i konkretna. Bardzo bystra. Bardzo wnikliwa. Bardzo ambitna. A do tego do bólu racjonalna i nieco socjopatyczna. Ma wszystko, żeby osiągnąć spektakularny sukces. Tylko chciwość może jej w tym przeszkodzić. Karolina ma bowiem niesłabnący apetyt na prywatne życie i wierzy w brednie spod znaku *work-life balance*. Uważa, że jest w stanie zbudować zdrową relację z partnerem i założyć rodzinę, co przy jej trybie funkcjonowania – czternastogodzinne dni pracy, dziesiątki wyjazdów służbowych, setki fakapów na dobę – jest niemożliwe. Ludzie pokroju Karoliny są skazani na dysfunkcyjne związki. Z rażącą dysproporcją zaangażowania. Albo z rażącym brakiem zaangażowania z obu stron.

– Muszę się skontaktować z jedną z twoich inwesterek – powiedziałem.

Karolina zaklęła pod nosem. W ułamku sekundy zrozumiała, o kogo chodzi.

– No jasne. Weronika Biernacka. – Wypowiedziała to tak, jakby na samo wspomnienie tej kobiety zachciało jej się rzygać. – Koleguje się z żoną Józefa

Rolnickiego. Chcesz ją wykorzystać do przejęcia firmy?

– Pomysł dopiero się wykluwa. Rolnicki nie chce niczego sprzedawać. W dodatku jest święcie przekonany, że jego firmie nic nie grozi. Ani z zewnątrz, ani od środka.

– A ty chciałbyś to zmienić.

– Znam się na ludziach. Potrafię wyczuć, kiedy są niezadowoleni z roli, jaką ktoś dla nich wymyślił. Żona Rolnickiego z pewnością nie jest szczęśliwa z bycia kwiatkiem do kozucha.

– Zamierzasz rozkręcić rodzinną rozpierduchę, po której sprzedaż biznesu stanie się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Sprytnie. Totalnie nieetycznie, ale sprytnie.

– Pomożesz mi?

Karolina się wahała. Z całą pewnością nie chciała mi pomagać. Ale jeszcze bardziej obawiała się tego, czym mogłaby poskutkować odmowa.

– Wiesz, że Biernacka to tępą dzida? – zapytała.

– Tak słyszałem.

– A do tego wariatka. Podobno przez lata podtruwała męża, żeby wygryźć go z biznesu.

– Dlatego liczę na to, że pomoże mi urobić Rolnicką. *Business is business.*

Karolina patrzyła na mnie tak, jakby za chwilę miała się rozpląkać. W końcu westchnęła głośno i zgarnęła ze stołu swoje rzeczy, czyli komputer i wydruki. Wazon z kwiatami najwyraźniej miał tam zostać.

– Pomogę ci – powiedziała. – Zadzwoń do Biernackiej i umówię was na spotkanie. Ale to ostatnia przysługa, jaką ci wyświadczę.

Wyszła bez pożegnania. Zostałem sam. Prawie sam. Były jeszcze te pierdolone kwiatki. „Ładne, proste i tanie”. Kretynizm. Jeżeli możesz jeździć ferrari, a mimo to wybierasz rower, nie jesteś odpowiedzialnym obywatelem, tylko melodramatycznym ciamajdą. Odpowiedzialność polega na braniu od życia tyle, ile jesteś w stanie udźwignąć. I jeszcze trochę.

Jebać biedę!

To jedyne słuszne hasło postkomunistycznej Polski.

* * *

Nikt nie lubi rozmawiać z osobami przeżywającymi traumę. Z ludźmi, którzy cierpią z powodu utraty bliskiej osoby. Z powodu zaginięcia dziecka albo zabójstwa członka rodziny. Z powodu gigantycznej wyrwy, która zupełnie niespodziewanie otworzyła

się w ich względnie uporządkowanym życiu.

Jednak Maria miała wrażenie, że w porównaniu z kolegami z pracy znosi takie sytuacje szczególnie źle. Chciało jej się płakać na samą myśl o tym, co przeżywają rodzice tych dziewczyn. Wyobrażała sobie, że ukłucie żalu, które przydusza ją na kilka sekund, jakby wszystkie narządy zbiegły się przy ujściu przełyku, u nich musi trwać wiecznie. Że w chwili, gdy dowiadują się o tragedii, zmienia się dla nich absolutnie wszystko: smaki, dźwięki, barwy, zapachy.

– Masz na to jakiś sposób? – spytała, zerkając na Olega, który wpatrywał się w ekran smartfona, odkąd wyruszyli spod komendy.

– Do tej pory zajmowałem się głównie policyjną dłubaniną – odparł. – Rzadko spotykałem się z ludźmi, którzy stracili kogoś bliskiego. Właściwie będzie to mój pierwszy raz.

– Szczęściarz.

– A ty? Masz jakiś patent?

– Kiedyś myślałam, że mam. – Przyspieszyła, nieco zbyt gwałtownie zjeżdżając na lewy pas. – Przed takimi rozmowami wstępowałam do baru i wypijałam setkę. Czasem dwie.

– Poważnie? – Pokiwała głową. – Nie bałaś się, że nakryją cię na pijaństwie?

– Ci ludzie są w tak ciężkim szoku, że nawet by nie zauważyli, gdybyś tam wszedł na czworakach i bez spodni.

– Pomagało?

– Na chwilę. Z reguły udawało mi się godnie dotrzeć do końca rozmowy. Później bywało gorzej. Znacznie gorzej.

Oleg chciał zadać kolejne pytanie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Wyprostował się w fotelu i westchnął.

– Dobrze, że rodzice Renaty zatrzymali się u znajomych z Warszawy. Będzie im rażniej, niż gdybyśmy maglowali ich na komendzie.

– Nie sądzę, żeby to robiło jakąkolwiek różnicę. Nastaw się na rozmowę z ludźmi, którzy będą mieli ochotę zabić cię tylko dlatego, że coś złego przytrafiło się ich dziecku.

– Jeszcze nie wiadomo, co się z nią stało.

– Oni już wiedzą.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, przeciskając się w sznurze pojazdów zmierzających w kierunku Ursynowa. W końcu Oleg postanowił przerwać milczenie,

które z każdą sekundą stawało się coraz bardziej krępujące.

– Czytałaś, co o tej sprawie piszą w internecie?

– Kto pisze?

– Dziennikarze, blogerzy, kryminolodzy. Wszyscy. Każdy nagle stał się ekspertem od porwań i seryjnych morderców.

– Właśnie dlatego staram się nie czytać o sprawach, które prowadzę.

– Znalazłem jedną ciekawą rzecz. Wywiad z doktor Julią Tokarską. Seksuologką i kryminologką z Uniwersytetu Warszawskiego. – Oleg pokazał Marii zdjęcie ekspertki na smartfonie. – Przez kilka lat pracowała dla Europolu.

– Kojarzę ją. Często pojawia się w mediach.

– Wydaje się ogarniętą babką. Przeczytam ci coś. – Przybliżył telefon do twarzy. – „Kim według pani może być sprawca tych porwań?”, pyta dziennikarz. „Wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z człowiekiem metodycznym, który dokonuje starannej selekcji ofiar. Zadał sobie dużo trudu, żeby je poznać. Urowadzone kobiety łączy wiek, wygląd, sposób bycia oraz to, że pochodzą spoza Warszawy. Sprawca z pewnością wybiera je według jakiegoś klucza. Nie znamy jego intencji, ale w większości tego typu przypadków mamy do czynienia z motywacjami o podłożu seksualnym”.

– Nic nowego – zauważyła Maria.

– To nie wszystko. – Oleg zmrużył oczy i przewinął fragment wywiadu. – „Kogo według pani śledczy powinni szukać?” „Trudno powiedzieć. Na podstawie informacji, które zostały upublicznione, da się stworzyć jedynie powierzchowny obraz. Według mnie to mężczyzna w wieku powyżej trzydziestu lat, w stabilnej, a może nawet ponadprzeciętnie dobrej sytuacji materialnej, prawdopodobnie dość przystojny, sympatyczny i inteligentny. W przeciwnym wypadku trudno byłoby mu zdobyć zaufanie tych kobiet”. „Ktoś w stylu Teda Bundy’ego?” „Być może. Spodziewam się, że chodzi o dobrze funkcjonującego psychopatę”.

– Cudownie. – Maria po raz kolejny gwałtownie zmieniła pas, tym razem na środkowy.

– Posłuchaj tego. – Oleg ponownie zanurzył się w wywiadzie. – „Szacuje się, że w społeczeństwie występuje od jednego do trzech procent psychopatów. Ludzi, którzy cierpią na zaburzenia osobowości lub sfery emocjonalnej. Nieumiejących budować relacji interpersonalnych, nieczujących lęku, nieznających skrpułów. Profesor Robert Hare opracował Skalę Obserwacyjną Skłonności Psychopatycznych. Są na niej takie

elementy jak łatwość wysławiania się, wyolbrzymione poczucie własnej wartości, potrzeba stymulacji, biegłość w manipulowaniu, brak wyrzutów sumienia, rozwiązłość czy powierzchowny urok. Wiele z tych cech jest mile widzianych na rynku pracy, dzięki czemu ludzie z osobowościami dyssocjalnymi często nieźle sobie radzą z budowaniem kariery. Najwięcej psychopatycznych skłonności dostrzega się u prawników, dziennikarzy, kucharzy, księży, policjantów i menedżerów wyższego szczebla. Krótko mówiąc: psychopaci są wśród nas”.

Maria ostro zahamowała przed światłami. Kiedy się zatrzymali, spojrzała na Olega.

– A czy ta mądrała ma pomysł, jak kogoś takiego można złapać?

– Nie. Mówi tylko, że nam nie zazdrości. Według niej sprawcą może być praktycznie każdy.

* * *

Każdy? Z całą pewnością nie każdy. Od wielu lat poznaję kilkadziesiąt osób tygodniowo i jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ja. Oczywiście tylko teoretycznie. Bo tak naprawdę spotkałem takich ludzi mnóstwo, ale żadnego z nas nie byłem w stanie rozpoznać. Podobno jeden na pięciu liderów biznesu jest psychopata. Moim zdaniem to mocno niedoszacowany wynik.

Z jakiegoś powodu przyjęło się sądzić, że psychopata to ktoś, kto jest niedostosowany do społeczeństwa. Pełen deficytów psychicznych lub emocjonalnych. Ktoś, kto zabiera, zamiast dawać. I karmi się innymi. Nasyca się cudzymi staraniami, zasobami, pieniędzmi, wiedzą. Manipuluje, kłamie, antagonizuje. Wygrywa. Bez względu na wszystko. Bez względu na koszty.

Na czym więc to niedostosowanie miałoby polegać?

Zawsze czułem się inny. Wyjątkowy. Lepiej skrojony do rzeczywistości. Jak piękny karaluch, który nie tylko do perfekcji opanował sztukę przetrwania, ale też nauczył się czerpać z tego niewypowiedzianą frajdę. Jak połączenie Beara Gryllsa z Albertem Einsteinem – i może jeszcze z Mickiem Jaggerem. Jak żywy dowód na prawdziwość teorii ewolucji.

Zawsze byłem dumny z tego, kim jestem.

– To był jakiś koszmar – powiedział Mareczek, masując się po skroniach. – Dzień po naszej imprezie poszedłem z kumplami z pracy na jeszcze jeden melanż. W podobnym stylu: dużo muzyki, alkoholu i wciągania. Skończyliśmy o dziewiątej rano.

– Masz zdrowie – stwierdziłem, rozpalając jointa.

– W tym problem, że nie mam. – Mareczek gapił się na mnie, jakbym to ja wyrządził mu krzywdę. – Przez cały weekend spałem może ze trzy godziny. Zjadłem jeden posiłek, jakiegoś obrzydliwego chińczyka z budy niedaleko domu. W poniedziałek pojechałem do roboty, ale po godzinie musiałem wyjść. Nie wytrzymałem. I wiesz, co zrobiłem? Zanim wróciłem do mieszkania, wstąpiłem do sklepu po warzywa, bulion i makaron. Ugotowałem sobie rosół. Rosół, kurwa. W poniedziałek przed południem. Ale zanim to zrobiłem, usiadłem pod drzwiami i się rozplakałem. Wyłem jak bóbr. Jakby część mnie umarła.

– Odpływ dopaminy bywa bolesny.

– To coś więcej, stary. Przez kilka dni czułem się jak śmieć. Obraz do dzisiaj mi klatkuje. A do tego smarkam krwią jak jebany ćpun. Mam wrażenie, że ten weekend permanentnie mnie uszkodził. – Przejechał dłońmi po twarzy, jakby chciał z niej zdrzeć skórę. – Nie masz wrażenia, że przesadzamy? Że melanz wymknął się spod kontroli?

Mareczek lubi histeryzować. To typ człowieka, który niewiele myśli, zanim coś zrobi, za to post factum nieustannie analizuje swoje decyzje. A przez to nieustannie wpada w spiralę bezsensownych refleksji.

– Nie – powiedziałem. – To tylko i aż biologia. Trzeba ją szanować, ale nie wolno się jej poddawać. – Podałem mu jointa. – Zapal. Dobrze ci to robi.

Zabawne. Mareczek wziął kilka buchów, zupełnie się nie zastanawiając nad konsekwencjami. Nie przyszło mu do głowy, że w ten sposób prawdopodobnie zafunduje sobie paranoiczny wieczór, podczas którego stłamsi go samotność. Może cierpiał na ukryty debilizm. Może miał autodestrukcyjne skłonności. A może po prostu bezgranicznie mi ufał.

Mieszkał w trzypokojowym lokalu na Pradze Południe, na który wziął trzydziestoletni kredyt. Miał w nim wygodne meble, spory drewniany regał wypełniony głównie literaturą faktu, przyzwoity sprzęt muzyczny, absurdalnie duży telewizor i dobrze wyposażony barek. Całkiem niezłe jak na gościa o tak skromnych oczekiwaniach od życia.

– Mam dla ciebie propozycję – oznajmiłem. – Kojarzysz Jacka Solskiego?

Zaśmiał się, oddając mi jointa.

– Może nie jestem rekinem biznesu, ale mam dostęp do internetu.

– Chciałbyś z nim pracować?

– Z nim?

– Dla niego. Jako prawa ręka jego prawej ręki.

Wyglądał na zaskoczonego. Na jego miejscu też bym tak wyglądał.

– Solski to legenda biznesu – stwierdził. – Podobno facet potrafi zarobić absolutnie na wszystkim. Ale nie słyszałem, żeby uchodził za dobrego pracodawcę.

– Czym innym jest robota parobasa w którejś z firm Solskiego, a czym innym bycie bliskim współpracownikiem jego najważniejszego człowieka.

– Czyli kogo?

– Mnie.

– Pierdolisz?!

Uśmiechnąłem się i przekazałem mu jointa.

– Ile wyciągasz w tym swoim korpo? Dychę?

– Jedenaście. Za pół roku dostanę podwyżkę i wtedy...

– U mnie będziesz miał piętnaście. Plus premie.

Oczywiście nie miałem bladego pojęcia, czy Solski mnie wybierze. A tym bardziej czy przystanie na zatrudnienie Marczyka – i to na tak zajebistych warunkach. Ale w tym momencie nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie pofatygowałem się do tego głębia, żeby rozmawiać z nim o warunkach zatrudnienia.

– Co miałbym robić? – zapytał.

– Wspierać mnie w codziennych zadaniach.

– To znaczy?

– Solski chce, żebym doglądał jego imperium. Miałbym być kimś w rodzaju nieformalnego dyrektora generalnego. Szarą eminencją holdingu. A żeby dobrze wywiązać się z tego zadania, potrzebuję kogoś, kto zna się na finansach i potrafi się poruszać w świecie korporacji.

Albo na Marczyka dziwnie zadziałał joint, albo moje słowa zrobiły na nim ogromne wrażenie, bo wpatrywał się we mnie jak pacjent po lobotomii.

– Są lepsi kandydaci ode mnie – stwierdził. – Nie wiem, czy potrafię być taką osobą, jakiej potrzebujesz.

– Tu nie chodzi o kompetencje, ale o lojalność i zaufanie. Nie tylko w sferze zawodowej.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie chcę, żebyś był moim asystentem, tylko kimś w rodzaju mniejszościowego wspólnika w moim życiu. Człowiekiem, na którego będę mógł liczyć w pracy i poza

nią. Który w razie potrzeby będzie w stanie bezwarunkowo wyświadczyć mi przysługę.

Mareczek odłożył skrzęta do popielniczki. Pochylił się do przodu. Myślał. A w zasadzie szukał skutecznego uniku. Ludzie jego pokroju w pierwszym odruchu odrzucają wszelkie propozycje. Ze strachu i przez brak wiary w siebie. Byle zachować status quo. Byle nie generować dodatkowych obciążeń psychicznych. Byle jakoś pchać ten pociąg beznadziei na kolejne stacje.

– Znamy się od dwudziestu lat, ale bardzo się od siebie różnimy – powiedział, wbijając wzrok w podłogę. – Nie jestem pewien, czy będę w stanie...

– Co takiego?

– Czy będę potrafił pomagać ci w tym, co robisz.

Spojrzał na mnie wzrokiem zbitego psa. Jakby naszczał mi do butów.

Czy on coś wie?

Nie. To niemożliwe.

– Człowiek wszystkiego może się nauczyć – odparłem. – To tylko kwestia odpowiedniej motywacji. Zadbam o to, żeby ci jej nie zabrakło. – Wstałem. Popatrzyłem na niego z góry. – Dopal jointa, odpocznij, przemyśl moją propozycję. Za jakiś czas wrócimy do tematu.

Pożegnałem się, włożyłem buty i wyszedłem. Na klatce schodowej zerknąłem na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Spędziłem u Mareczka pół godziny. O jakieś dwadzieścia pięć minut za dużo.

Podobno z kim przestajesz, takim się stajesz. A ja nie mogłem zostać frajerem.

Wstałem o czwartej trzydzieści, wciąż solidnie zmulony jointami wyjaranymi poprzedniego wieczoru. Do piątej piętnaście udało mi się zrobić lekki, leniwy trening, raczej żeby wygłuszyć wyrzuty sumienia niż osiągnąć mistrzowską formę. Umyłem się w kwadrans. Susząc włosy, zauważyłem, że wkrótce będę musiał je przyciąć. Noszenie długich piór wiąże się z ryzykiem, że jeśli się ich w porę nie okiełzna, można zacząć wyglądać jak barbarzyńca albo członek kapeli metalowej. Nie wiadomo, co gorsze. Kwadrans przed szóstą zacząłem się ubierać. O szóstej wyszedłem z domu. Złapałem kawę, wsiałem do taksówki i ruszyłem do pracy.

Poranna Warszawa. Śpiąca Warszawa. Obrzydliwie obłudna Warszawa. Potwór z zatrzaśniętą paszczą, w której tkwią nieprzeżute resztki mięsa. Perfekcyjnie ukryty między nieruchomymi blokami, serpentynami pustych ulic i robotami na przystankach. Czekający na sygnał do ataku. Na jeden fałszywy ruch jakiegoś kretyna, który na moment opuści gardę.

Nieprzerwanie mnie dziwi, jak życie w miejscach uznawanych za globalne metropolie potrafi rozleniwiać. Jak brak konieczności walki o przetrwanie popycha ludzi w stronę średniactwa i nijakości. Prowadzi do tego, że w tej niemrawej walce o byt świadomie rezygnują z pełnej puli. Godzą się na ograniczenia, konwenanse i nudę. Dokonują samogaszenia płonącego w nich ognia. Ludzie, których przodkowie bili się o wiarę i palili wrogów na stosie, dziś kłócą się w internecie o ideologie. O to, że ktoś kogoś nazwał pedałem, Żydem, lewakiem albo, nie daj Boże, symetrystą. Faszering się bredniami na temat mindfulnessu, wellbeingu albo życia w zgodzie z naturą, rozmiękają mentalnie. Na własne życzenie stają się bezsmakową, ciężkostrawną papką. Idealną dla wiecznie nienasyconego potwora.

Ale o szóstej dwadzieścia potwór jeszcze śpi. Wysiadam pod Warsaw Spire. Wjeżdżam na trzydzieste szóste piętro. Zostawiam teczkę w biurze i idę do kuchni. Włączam ekspres. Przy jednostajnym odgłosie mielenia kawy zaczynam myśleć o giełdzie. Nie miałem ostatnio głowy do inwestycji. Nic strasznego się nie stało, ale w ciągu dwóch tygodni mój portfel skurczył się o sto tysięcy złotych. Zresztą nie

tylko mój. Przez pieprzonego Trumpa i jego handlową szarpaninę z Chinami pół świata krwawiło. Inwestorzy w popłochu wycofywali pieniądze. Cykory. Ja nie zamierzałem się mazgać. Bo jak mawiał Warren Buffett: próbuj być chciwy, kiedy inni się boją, i bój się, gdy inni są chciwi. Czyli zawsze pod prąd. *Simple as that.*

– Obiecałeś mi coś.

Omam nie zesrałem się ze strachu, gdy usłyszałem czyjś głos. To ja byłem pierwszą osobą, która przychodziła do biura. Zawsze. Ale gdy się odwróciłem i zobaczyłem Alicję, zrozumiałem, że trafiła tu długo przede mną. Była wypoczęta, umalowana i pobudzona. Miała na sobie czarną bluzkę i kratkowaną spódnicę, która idealnie opinała jej ciało. Zdziwiająco dobrze się ubierała jak na pannę stawiającą pierwsze kroki w korpo. A do tego pachniała jak milion dolarów. Co to było? Yves Saint Laurent? Armani? Tom Ford?

– Mam dobrą pamięć, tyle że krótką – odparłem, posyłając jej najlepszy uśmiech, jaki miałem w repertuarze.

– Miałaś zaprosić mnie na kawę.

Ekspres wreszcie zamilkł, a ja pogładziłem się po czole.

– Wydaje mi się, że rozmawialiśmy o tym trzy dni temu. Nie zdą...

– Już nie chcę kawy.

– Nie?

Zrobiła krok w moją stronę. Jakby chciała, żebym zerknął jej w dekolt.

– Mam wolny piątek. Przyjedź po mnie. Taksówką.

– I co potem?

Zrobiła kolejny krok. Była już tak blisko, że mogłem włożyć jej rękę pod kieckę. Pochyliła się w moją stronę, musnęła mnie ramieniem i otworzyła górną szufladę. Wyjęła łyżeczkę. Obejrzała ją z każdej strony, jakby chciała coś z niej zlizać.

– Zobaczymy – powiedziała. – Liczę na twoją kreatywność.

Puściła do mnie oczko. Z jakiegoś powodu – pewnie przez nadal pobudzoną jointami wyobraźnię – miałem nadzieję, że za chwilę chwyci mnie za krocze i zrobi mi dobrze. Ale ona się po prostu odwróciła i wyszła.

Musiałem wziąć kilka głębokich wdechów, żeby doprowadzić się do porządku. Zgarnąłem kawę i wróciłem do biura. Włączyłem komputer. Zacząłem przeglądać wykresy giełdowe i czytać raporty. Ale zamiast kursów akcji, wskaźników rentowności i wyników finansowych widziałem Alicję. Jej falujące biodra i okrągły tyłek. Cycki wybijające się spod bluzki. Pełne usta. Uwodzicielskie spojrzenie.

Wstałem od biurka i zamknąłem drzwi. Zaciągnąłem rolety. Wyjąłem krawat.

Giełda nie zajac – nie ucieknie. A pieniądze nie są najważniejsze. Przynajmniej nie w ciągu najbliższych dwóch minut. Nie zakładałem, że może to potrwać dłużej.

* * *

– Chciałeś się ze mną zobaczyć.

Lewiński przywołał Marię jednoznacznym gestem. Stojąc obok biurka, postukał palcami w leżący na blacie raport.

– Powinnaś coś zobaczyć.

– Co to jest?

– Żeby zrobić wstępny przesiew zgłoszeń w sprawie porwań, poprosiliśmy ludzi, aby na samym początku podawali, gdzie i kiedy zauważyli rzekomego sprawcę oraz ofiarę. A także by wyjaśnili, jak wyglądała kobieta, którą widzieli. Jeśli podstawowe fakty się nie zgadzają, odrzucamy taką wiadomość i idziemy dalej.

– Sprytnie. Mimo to przypuszczam, że zgłoszeń jest sporo.

– Od chuja i jeszcze trochę. Cztery osoby od rana do wieczora odbierają telefony i przekopują się przez setki maili. I wygląda na to, że udało im się znaleźć coś interesującego. – Podał Marii kilka kartek. Wszystkie były od góry do dołu zadrukowane doniesieniami na temat porwań. Niektóre informacje podkreślono długopisem. – Kilka osób przypomina sobie nieźle wyglądającego faceta z długimi włosami, który kręcił się w okolicy barów nad Wisłą.

– No i?

– Trzech świadków widziało go w tym samym miejscu w dniu zaginięcia Renaty. Tuż za mostem średnicowym, niedaleko jednej z barek. Jest tam kawałek asfaltowej drogi, na którą można zjechać z Wybrzeża Kościuszkowskiego i swobodnie zaparkować. Zwrócili na niego uwagę, ponieważ szedł w towarzystwie ładnej i konkretnie nawalonej blondynki.

Maria przeskanowała wydruki. Wychwyciła najważniejsze informacje: średni wzrost, szczupły, broda, włosy spięte w kucyk, marynarka, mokasyny. Potem zaczęła budować obraz podejrzanego. Faceta z klasą. Modnego gościa z kitką. Zapewne mogącego bez większego trudu wzbudzić zaufanie wstawionej młodej kobiety.

Kitkarz. Od tego momentu tak zaczęła mnie nazywać.

– Skontaktowaliśmy się z tymi świadkami, wkrótce tu będą – powiedział Lewiński.

– Załatwiłem też rysownika, żeby przygotował portret pamięciowy podejrzanego.

Może to coś da.

– Wątpię. – Maria uniosła jedną z kartek. – Wszyscy świadkowie twierdzą, że byli lekko podpici. Jak znam życie, pewnie ledwo stali na nogach. Widzieli tego faceta z odległości kilkunastu metrów, więc jest mało prawdopodobne, aby zauważyli coś charakterystycznego. Poza kitką. – Odłożyła kartkę na biurko. – Ale może uda się ustalić, czy to była Renata. Dzięki rozmowom z jej koleżankami wiemy, w co była ubrana. Szukamy blondynki w białych trampkach, szarej spódnicy i krótkiej dzinsowej kurtce.

Lewiński zerknął z góry na wydruki. Świadcami byli trzej młodzi mężczyźni, którzy odnotowali tylko to, że dziewczyna była blondynką. I niezłą dupą.

– Zadzwoń po Ukrainca – powiedział. – Przesłuchajcie tych gości.

– Oleg. Ukrainiec ma na imię Oleg.

– Wiem. Nie powiedziałem tego, żeby go obrazić. – Długo mierzył Marię wzrokiem, jakby chciał ją przekonać do swoich słów. – To wszystko.

Głośno westchnęła. Miała już ruszyć do wyjścia, ale coś ją powstrzymało.

– Jeśli szukamy przystojnego i dobrze ubierającego się gościa, to mamy przesrane – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Znacznie prościej jest znaleźć dziwaka. Odludka, którego kiedyś przyłapano na podglądaniu sąsiadek albo publicznym waleniu konia. Przystojny facet o nieskalanej reputacji, który w dodatku potrafi się wtopić w tłum, nie wzbudza podejrzeń. Do kogoś takiego mogą doprowadzić nas tylko twarde dowody. A my nie mamy nawet ciała. Być może właśnie spełnia się nasz najgorszy koszmar.

Lewiński się zasepił. Miał nadzieję, że zdoła wychwycić błąd w rozumowaniu Marii. Że natknie się na nieścisłość, która podniesie go na duchu. Ale niczego takiego nie znalazł.

– Znasz się na tym? – zapytał.

– Na czym?

– Na profilowaniu.

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Ale znam kogoś, kto się zna.

* * *

Jeśli myślicie, że świat dużego biznesu tworzą ludzie, którzy palą najlepsze cygara

i popijając najdroższą whisky, rozmawiają o inwestycjach, jachtach i dupach, to dobrze myślicie. Ale wasze wyobrażenie jest niekompletne. Bo oprócz tych, którzy uwielbiają eksponować majątność, jest jeszcze cała masa milczków. Ludzi, którym z różnych powodów bardzo zależy na tym, żeby nikt – może z wyjątkiem sąsiadów i odwiecznych wrogów – nie miał pojęcia o stanie ich portfela. Żeby społeczeństwo widziało w nich szare myszki, dyskretnie rozkręcające swoje biznesiki i siermiężnie wykuwające PKB.

Jest jeszcze jedna grupa. Stanowią ją ludzie, którzy nie wyglądają i nie zachowują się jak przywódcy stada. Nie starają się ukrywać fortun ani unikać rozgłosu. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różnią od korporacyjnych menedżerów. Niepozorni i niedoceniani. Czasem piekielnie bystrzy, a czasem piekielnie cwani. Najbardziej niebezpieczni ze wszystkich.

Weronika Biernacka była jedną z takich osób. Razem z mężem zajmowała czterdzieste miejsce na liście najbogatszych, a ich wspólny majątek szacowano na jakiś miliard złotych. Dorobili się na EnergyPolu, największym prywatnym holdingu energetycznym w Polsce, specjalizującym się między innymi w stawianiu elektrociepłowni, budowaniu farm wiatrowych oraz dystrybucji energii.

Po mniej więcej godzinie czekania na Biernacką zostałem poinformowany przez jej spanikowaną asystentkę, że kilka minut temu pani prezes wylądowała na Okęciu. Wracła z Londynu, gdzie jej fundacja, rzekomo wspierająca edukację Polaków na Wyspach, organizowała jakiś event. Na ludzi pokroju Biernackiej zawsze trzeba czekać, więc godzinna obsuwa nie wyprowadziła mnie z równowagi. Przynajmniej zatroszczyła się o to, żebym nie musiał na nią czekać w jakiejś klitce. EnergyPol zatrudniał tysiące robotników na obrzeżach mniejszych polskich miast, ale zarząd spółki mieścił się w efektownej kamienicy na Pięknej, nieopodal pałacu Sobańskich, pałacyku Śleszyńskich, parku Ujazdowskiego oraz Sejmu. Salka, która pełniła funkcję poczekalni, wyposażona była w designerską garderobę, wygodną skórzaną sofę, ekspres do kawy i okazały stół gazet biznesowych. Żyć nie umierać.

Zdażyłem wypić dwie kawy, czwartą i piątą tego dnia, zanim Biernacka wparowała do budynku. Była pięćdziesięcioparoletnią blondynką, która dzięki bieganiu, wegańskiej diecie, modnym ciuchom i niezłemu chirurgowi wyglądała przynajmniej o dziesięć lat młodziej. A dzięki efektownym botkom na obcasie wydawała się o dziesięć centymetrów wyższa.

Opierdoliła spanikowaną asystentkę, każąc jej przynieść truchcikiem sojowe latte,

a następnie weszła do poczekalni. Przywitała się ze mną mocnym uściskiem. Jej zimna i żyłasta dłoń pewnie by się świetnie sprawdziła w sadomasochistycznych zabawach.

– Mówiłam Monice, że zjazd w fundacji może potrwać dłużej. – Miała irytująco wysoki głos. – Sądziłam, że wyciągnie z tego wnioski i przesunie nasze spotkanie. Widocznie ją przeceniłam.

– Na szczęście masz wygodną sofę – odparłem.

Posłała mi lodowate spojrzenie. Jakbym to ja – wspólnie z Bogu ducha winną asystentką – odpowiadał za jej spóźnienie.

Musicie wiedzieć, że ludzie jej pokroju nigdy nie przepraszają. I bywają irytująco wyniosli. A Biernacka, biorąc poprawkę na to, że wszystko zawdzięcza pracy męża, była wyniosła jak jasny chuj.

– Czy Karolina wyjaśniła, dlaczego chciałem się spotkać? – zapytałem, gdy przysiadła się do mnie na kanapie.

– Nie. Ale wiem, co tu robisz. – Pociągnęła kilka łyków kawy, a następnie odstawiła filiżankę na drugą stronę niskiego drewnianego stolika, jakby już nigdy nie zamierzała po nią sięgnąć. – Danusia Rolnicka do mnie dzwoniła. Mówi, że koło jej męża zaczął się kręcić jakiś podejrzan typ. Z dużej korporacji informatycznej. Z długimi włosami. Podobno chce kupić ich firmę.

– Powiedziała „ich”?

– Co w tym dziwnego?

– Nic. Dobrze, że traktuje ten biznes jako dobro wspólne. Rodzinne.

Biernacka wykrzywiła usta i wolno pokręciła głową.

– Wspólne może i tak, ale z pewnością nie rodzinne. Danusia i Józef już dawno temu przestali być rodziną.

Kiedy Karolina wspominała, że jej inwestorka jest idiotką, miała rację. Ale tylko częściowo. W kularowej rozmowie Biernacka nie zacytuje Kanta, nie opowie o sztuce teatralnej, którą obejrzała w weekend, nie odniesie się do ostatniego orędzia Xi Jinpinga. Na co dzień posługuje się niezbyt wyszukaną polszczyzną, a na konferencjach biznesowych strzela komunałami i korporacyjnym bełkotem. Ale jest doskonale przystosowana. I niebywale przebiegła. Świetnie zna swoje otoczenie biznesowe i potrafi się w nim bezbłędnie poruszać.

Energetyka to silnie regulowana branża, więc żeby dorwać się do koryta, trzeba umieć pertraktować ze spółkami Skarbu Państwa, zdobywać koncesje i robić laskę

politykom. Czasem dosłownie. A patrząc na to, jak EnergyPol rozpycha się na rynku, można dojść do wniosku, że Biernacka ciągnie druta niczym królowa porno.

– Czyżby Józef nie był jej przesadnie wierny? – zagadnąłem.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że oni się nienawidzą. Nigdy do siebie nie pasowali, a mimo to postanowili zostać małżeństwem. Potem przez trzydzieści lat zajmowali się pracą, podczas gdy ich dzieci były wychowywane przez nianie i opiekunki. Oboje poświęcili życie firmie. To jedyna rzecz, która ich łączy.

– To ciekawe. Bo jedynym beneficjentem tego stanu rzeczy wydaje się Józef.

– Otóż to. Pod pewnymi względami Danusia jest do mnie podobna. Jej też nigdy nie pasowała rola żony milionera. Ale do tej pory nie miała odwagi, żeby się postawić. – Biernacka zerknęła na zegarek. Zapewne z przyzwyczajenia do pośpiechu.

– Jak chcesz przekonać Rolnickiego do sprzedaży biznesu?

– Wykorzystam jego miłość do firmy. Walka o władzę nie tylko osłabi autorytet Rolnickiego, ale też uderzy w Rolkom. Już podczas pierwszego miesiąca sporu spółka powinna odczuć odpływ klientów. Rolnicki to bystry facet, więc szybko zrozumie, że kontynuowanie kłótni może zrujnować coś, co według niego urosło do miliardowego rozmiaru wyłącznie dzięki sile jego intelektu. Nie pozwoli na dewaluację tego biznesu. Żeby zachować twarz, zgodzi się na sprzedaż.

– A jeśli się uprze?

– Zmiękczyć go. Potrafię rozmawiać z ludźmi.

– Nie traktuj Rolnickiego jak człowieka. Potraktuj go jak zarazę, którą trzeba wyplenić.

Nie wiadomo, czy Biernacka rzeczywiście podtruwała męża, aby się go pozbyć z firmy. Wiadomo, że człowiek, który nie uskarżał się na żadne problemy i brylował na salonach, w pewnym momencie podupadł na zdrowiu. Diagnoza? Schizofrenia. Czyli dziwna, rzadka, nie w pełni zrozumiała psychoza, która prowadzi do wypaczonego postrzegania rzeczywistości. I która praktycznie uniemożliwia kierowanie działalnością gospodarczą, a już na pewno firmą zatrudniającą kilka tysięcy osób. Podobno ciotka Biernackiego cierpiała na schizofrenię, co daje sześcioprocentowe ryzyko zachorowania innego członka rodziny. Ciekawe. Tyle że ciotka od lat mieszka w Kanadzie i nikt jej nigdy nie widział.

– Pomogę ci – stwierdziła Biernacka. – Uważam, że Danusia powinna zostać nagrodzona za te wszystkie lata. Domyślam się, że nie zdoła wyrwać temu sępowi połowy firmy, ale sto czy dwieście milionów powinno ją uszczęśliwić.

– Dziękuję. Co chcesz w zamian?

Parsknęła pod nosem.

– A co ktoś taki jak ty może mi zaoferować?

– Sprawdź. Zapytaj. – Uśmiechnąłem się. – Może jestem w stanie cię zaskoczyć.

Biernacka przyglądała mi się przez kilka sekund. Miała tępe spojrzenie, które często widywałem na twarzach dziewczyn spotykanych w klubach. Ale było w nim coś jeszcze. Mrok. Starannie zakamuflowane zło.

– Jest jedna rzecz, która mnie interesuje.

Położyła dłoń na moim kroczu, a ja odruchowo zerknąłem w stronę otwartych drzwi. Zanim zrozumiałem, że Biernacka może się tutaj czuć jak królowa na włościach, że pewnie kręci ją fakt, iż może robić, co chce, kiedy chce i z kim tylko chce, stwardniałem. Naprawdę stwardniałem. W zimnej dłoni tej oślizgłej suki.

Chciałem ją pocałować, ale Biernacka mnie powstrzymała. Chwyliła za kołnierzyk i trzymała moją twarz kilka centymetrów od swojej. Wpatrywała się we mnie tym kretyńskim wzrokiem i wsłuchiwała w moje ciche stęknienia.

No tak. Dziwki się nie całują. A w tej relacji to ja byłem kurwą.

Kiedy mnie puściła, poderwałem się z kanapy. Zacząłem wyciągać pasek ze spodni.

– Nie rozbieraj się – powiedziała. – Nagi stracisz połowę uroku.

Lubiłem swoje ciało. Ciężko harowałem, żeby wyglądać godnie. Jak surfer. Jak facet z okładki „Men’s Health”. Jak David Beckham w reklamie majtek.

Ale czy mogłem się z nią nie zgodzić?

Ni chuja.

* * *

Nazywa się Paweł Miler. Ma około trzydziestu lat i przynależy do jakiejś dziwnej subkultury. Jego chude ciało, tonące w luźnej hiphopowej koszulce, pokrywają dziesiątki kolorowych tatuaży. Z nosa zwisa mu okrągły kolczyk, a uszy wypełniają tunele. Do tego ma niezbyt imponującego srebrnego irokeza i pożółkłe palce – prawdopodobnie od petów. Wierci się na krześle i nerwowo podryguje nogą, jakby nie mógł znieść rozłąki z tytoniem. Albo z czymś mocniejszym. Raczej z czymś mocniejszym.

– Widziałem typiarę, której szukacie – oznajmił niepytany. – Bawiła się na barce przy moście kolejowym.

Maria i Oleg mieli mnóstwo pytań do Milera. Kim jest? Gdzie pracuje? Czym się interesuje, oczywiście poza imprezowaniem i dragami? Uznali jednak, że zostawią to na później. Dla wspólnego dobra.

– Kiedy to było? – spytała Maria.

– Piątego lipca.

– Jest pan pewien tej daty?

– Miałem wtedy urodziny.

– I co pan robił w urodziny, panie Miler?

Facet posłał obojgu policjantom krótkie, podejrzliwe spojrzenia.

– To, co się robi w urodziny. Świętowałem. Umówiłem się z paroma ziomkami. Trochę pochlaliśmy u mnie na chacie, a potem ruszyliśmy w miasto.

– Trochę, czyli ile?

– Dwie zero siódemki na pięciu. Do tego każdy strzelił po browarze. Na rozruch.

– Jakieś narkotyki?

– Nie.

Odrobinę zbyt szybko zaprzeczył. Jak gdyby tylko czekał na tę możliwość.

– Co dokładnie pan widział?

– Już mówiłem. Typiarę, której szukacie. Bawiła się na barce.

– Jak wyglądała?

– Jak typiara, której szukacie.

W tym momencie przestało być jasne, kto jest bardziej zirytowany tym spotkaniem: policjanci czy Miler.

– Musimy mieć pewność, że z nikim pan jej nie pomylił – stwierdziła Maria. – I że nie zasugerował się zdjęciem, które obiegało media.

Miler przewrócił oczami.

– Blondyna, szczupła, całkiem ładna. Z niezłymi bimbałami. – Zerknął na Olega, jak gdyby musiał się upewnić, że nie pomylił się w ocenie cycków.

– W co była ubrana?

– W krótką kieckę i kurtkę dżinsową. Jak panna z reklamy Levi'sa.

Maria i Oleg wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Choć Miler był głąbem i wydawał się kompletnie niewiarygodnym świadkiem, do tej pory wszystko w jego zeznaniach się zgadzało.

– Kobieta, którą pan widział, prawdopodobnie nazywa się Renata Jaroszewicz – wyjaśnił Oleg. – Co robiła na barce?

– Bawiła się. Tańczyła. Piła.

– Była sama czy z kimś? – zapytała Maria.

– Sama. A przynajmniej tak mi się wydawało. Podbijały do niej różne typy, ale rzuciła ich na drzewo. Wiem, bo byłem jednym z nich. – Wzruszył ramionami. – *Shit happens.*

– Długo tam była?

– Nie wiem, czy była tam przez cały czas. Nie śledziłem jej. Ale dwie czy trzy godziny później, na pewno już po północy, widziałem tę waszą Renatę w towarzystwie jakiegoś gościa. Prowadził ją w stronę Wybrzeża Kościuszkowskiego.

– Prowadził?

– Zataczała się. Jakby za chwilę miała zaliczyć zgon.

– Gdzie pan stał?

– Kilka metrów od nich.

– A dokładnie?

– Praktycznie pod mostem. Przy betonowym zejściu do rzeki.

– A co pan tam robił?

– Nic. – Popatrzył na wątpiące twarze policjantów. – Szczałem.

– Przecież obok są toi toie – zauważył Oleg.

– Osrane jak drzązek pod papugą. Nie zdarzyło wam się nigdy odlać w plenerze?

Czyli albo rzygał, albo poszedł zapalić skręta, pomyślała Maria. Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy.

– Jak wyglądał ten człowiek? – zapytała.

– Tak jak opisałem go w mailu. Kitka, broda, marynarka, mokasyny. Typowy goguś.

– Był przystojny?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Czy wyglądam jak pedał?

– Nie musi pan być homoseksualistą, żeby ocenić męską urodę. – Pochyliła się do przodu. – Potrzebny nam jest precyzyjny opis tego człowieka. Najdokładniejszy, jak to możliwe. Proszę się dobrze zastanowić.

Miler wprowadził kolano w jeszcze intensywniejsze drganie. Jakby myślenie było najbardziej stresującą czynnością pod słońcem.

– Wyglądał jak Amerykanin – wypalił.

– Amerykanin?

– Tak mi się skojarzyło. Nie wiem, jak to wyjaśnić. – Podrapał się po czole. –

Szeroko się uśmiechał. Jak gwiazda kina akcji. Lowelas. Dlatego nie przyszło mi do głowy, że mógłby coś zrobić tej lasce.

– Co jeszcze?

– Wydaje mi się, że to dziany gość. Miał na sobie niezłe ciuchy.

– Widział go pan gdzieś wcześniej? Na przykład na barce?

Miler pokręcił głową.

– Chyba nie. Ale nie rozglądałem się za typami. Może tam był, a ja go nie zauważyłem.

Zadali mu jeszcze kilka pytań dotyczących zajścia przed barką, a potem wypyтали o niego – okazało się, że jest tatuatorem, który połowę życia spędził w Amsterdamie. Mimo to upierał się, że nie tyka dragów. Kiedy dali mu spokój, Miler wytoczył się z sali, jakby go przez ostatnią godzinę okładali pałą po jajach. Maria i Oleg mieli się niewiele lepiej. Ale przynajmniej towarzyszył im cień nadziei. Pierwszy, odkąd rozpoczęli śledztwo.

– To mógł być on – stwierdził Oleg. – Kitkarz.

Maria skinęła głową.

– Co nie zmienia faktu, że nadal nie mamy pojęcia, kim ten człowiek może być.

* * *

Pewnie jesteście ciekawi, jak się ruchają pięćdziesięcioletnie miliarderki. No więc ruchają się wybornie. Bez opamiętania, bez zahamowań, dziko. Jak nastolatki. Bo tak jak one czują, że muszą coś udowodnić.

Kiedy wyszedłem od Biernackiej, postanowiłem uciąć sobie krótki popołudniowy spacer. Był piękny dzień. Prawie trzydzieści stopni. Względna cisza i spokój. Włożyłem okulary przeciwsłoneczne i przewiesiłem marynarkę przez ramię. Wszedłem do parku Ujazdowskiego. Zamierzałem pokonać go wzdłuż, przejść nad Trasą Łazienkowską, a potem zanurzyć się w Łazienki. Szacowałem, że zajmie mi to około czterdziestu minut. Miałem czas. Nikt mnie nie gonił. Żaden pajac nie zawracał dupy. Sprawy załatwiały się same. No, prawie same.

Zatrzymałem się przed lodziarnią, tuż obok stacji Veturilo na wysokości placu Na Rozdrożu. Gapiłem się na kubły z lodami, próbując wybrać dwie wymarzone gałki, kiedy usłyszałem klakson. Odwróciłem się. Na wąskiej uliczce, która prowadziła prosto na Aleje Ujazdowskie, zatrzymał się samochód. Czarny bentley continental. Nie widziałem kierowcy ani pasażera. Ale wiedziałem, kogo zastanę w środku.

Darowałem sobie lody i ruszyłem w stronę auta.

Solski siedział za kierownicą i wściekle stukał w telefon, jakby wysyłał wiadomości na czas. Upłynęło parę sekund, zanim zwrócił na mnie uwagę. Ucisnął moją dłoń. Lekko się skrzywił, co chyba powinienem zinterpretować jako powitalny uśmiech.

– Jak mam rozumieć to, że zgłosiłeś się do tej żony po pomoc? – zapytał.

Zadziwiające, jak sprawnie działają maszyny wywiadowcze Solskiego. O moim spotkaniu z Biernacką prawdopodobnie wiedziały tylko cztery osoby: ja, ona, jej spanikowana asystentka oraz Karolina. Raczej żadna z nich nie pobiegła do niego z donosem. A to oznaczało, że ktoś musi mnie obserwować. Pytanie, kiedy zaczął to robić.

– Biernacka przyjaźni się z żoną Rolnickiego – odparłem, zdejmując okulary. – Zamierzam wysadzić jego firmę od środka. Wywołać wewnętrzny konflikt o władzę, osłabić spółkę i przejąć ją poniżej rzeczywistej wartości rynkowej.

– Sprytnie. Może nie wielce oryginalnie, ale sprytnie. Szkoda tylko, że musiałeś zaangażować w to Biernacką. Wygląda to tak, jakbyś sobie nie radził.

– Wręcz przeciwnie. Wciągając ją w całe zamieszanie, pokazuję Rolnickiemu, że traktuję tę sprawę śmiertelnie poważnie. I że jestem gotów zrobić wszystko, aby przejąć jego biznes.

Solski uważnie mi się przyjrzał, a następnie machnął ręką, dając kierowcy znak, że może ruszać. Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy. Wiedziałem tylko, że nie ma sensu, żebym o to dopytywał.

– Czym dla ciebie jest etyka w biznesie? – zapytał Solski.

Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem. Dlatego wymyśliłem odpowiedź, która mogła być bliska sercu Solskiego.

– Generowaniem zysków i wartości. Najlepiej jednego i drugiego. I najlepiej w granicach prawa.

– Co z odpowiedzialnością?

– To znaczy?

– Za pracowników, środowisko, rynek pracy, otoczenie ekonomiczne. Za kraj.

– Odpowiedzialność rozkłada się na wszystkich przedsiębiorców. Również tych, którzy nawet nie wiedzą, że ich gigantyczne firmy robią biznes w Polsce. Dla których niczym się nie różnimy od mieszkańców Kambodży, Ukrainy czy Ugandy. Przy minimalnym zaangażowaniu każdej ze stron można osiągnąć pozytywny efekt społeczny.

– Niewielu biznesmenów postępuje szlachetnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Zakładam, że nawet gdybyśmy bardzo chcieli narzucić własne reguły gry, to przynajmniej częściowo musimy się dopasować do rynku. A ten nie jest ostoją moralności.

Solski wolno pokiwał głową. Czułem się jak na rozmowie kwalifikacyjnej. Spięty, oszołomiony i nie w pełni świadomy, na co się piszę. A zarazem przekonany, że muszę emanować pewnością siebie, jakbym pokonywał tę drogę dziesięć razy dziennie.

– Czy poświęciłbyś wspólnika, gdybyś dzięki temu mógł pokonać największego konkurenta? – zapytał.

Czułem, że od tej odpowiedzi wiele może zależeć. Mimo to nie wahałem się ani chwili.

– Poświęciłbym każdego, aby osiągnąć swój cel.

– Czyli co konkretnie?

– Wygrać. Zawsze chodzi o to, żeby zwyciężać i być najlepszym.

Nieznacznie kiwnął głową. A więc to była dobra odpowiedź.

– Myślisz bardzo makiawelicznie. Zupełnie jak ja kilkanaście lat temu.

– Wiedziałeś o tym. Dlatego się do mnie odezwałeś.

– To prawda, wiedziałem. Ale nie wiedziałem, że jesteś aż takim hazardzistą. Nie lubię narwańców.

– Nie jestem narwańcem.

– A kim?

– Pragmatykiem.

Solski zaśmiał się pod nosem.

– Właśnie zerznąłeś starszą o dwadzieścia lat babę, która ma w sobie tyle plastiku, że będzie się rozkładać przez dwieście lat.

Tym razem sam się uśmiechnąłem.

– Cel uświęca środki.

– Dobra była?

– Całkiem niezła.

– Tylko tyle?

– Zaskoczyła mnie otwartością i energią. Chciała zostawić po sobie dobre wrażenie.

– Podobno było w niej więcej chujów niż prawiczków w chińskiej armii.

– Tego nie jestem w stanie potwierdzić. Nic nie wiem o chińskich siłach zbrojnych.

– Kiedyś też chciałem ją wyruchać. – Zerknął na mnie, jakby chciał sprawdzić moją reakcję. – Wyłącznie po to, aby upokorzyć jej męża. Nigdy nie lubiłem tego zadufanego w sobie gnojka.

– Czy to prawda, że go otruła?

– Trzeba było ją zapytać. – Poklepał fotel kierowcy. Chwilę później zjechaliśmy na pobocze. – Nie popieram twoich metod. Ale jeśli okażą się skuteczne, wyjdzie na to, że to ty masz rację. Problem w tym, że rzadko się myślę.

– Ja też.

Uśmiechnął się. Ponownie. Ale tym razem tak, jakby zamierzał poderżnąć mi gardło.

– Wkrótce się odezwę.

Uściskał moją dłoń i momentalnie przestał się mną interesować. Jakbym w ułamku sekundy wyparował. Otworzyłem drzwi i wysiadłem. Nie śledziłem drogi, więc nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Ale błyskawicznie się zorientowałem. Znacznie szybciej, niżbym chciał.

Zjazd z Wybrzeża Kościuszkowskiego. Niedaleko mostu średnicowego. Niedaleko Wisły i barek. Pośrodku niczego.

Cóż za zbieg okoliczności!

Tyle że ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Stare Miasto. Wytorny hotel zlokalizowany w pobliżu Zamku Królewskiego, Opery Narodowej i placu Piłsudskiego. Kolumny jak w antycznym pałacu, białe obrusy, masywne żyrandole wiszące kilka metrów ponad głowami, elegancko spięte zasłony w oknach. Efektowna zastawa z dziesiątkami bemałów wypełnionych wymyślnym jedzeniem. Wszystko fensi szmensi. Przynajmniej w teorii. Bo jeśli się dobrze wwąchać, to ten blichtr pachnie latami dziewięćdziesiątymi i niekontrolowanym zachłyśnięciem się możliwościami. Źle sformatowanym bogactwem. Przejęciem władzy przez średniaków i ignorantów.

Stałem pod jednym z filarów, wymiatając z talerza miniośmiorniczki, policzki wołowe i kapary. Ze sceny sypały się przemówienia. Pełne idiotycznych, górnolotnych haseł. Większość wypadła z ust Danuty Rolnickiej. Drobnej brunetki o niemal przezroczystej skórze, z przyspawanym do twarzy współczującym uśmiechem, mówiącej cicho i bojaźliwie. Gdyby nie miała na sobie kiecki za parę kafli, można by ją wziąć za zakonnice w cywilu.

Ten współczujący uśmiech był szczególnie zabawny u żony gościa wycenianego na miliard peelenów, który pozwolił prowadzić jej firmową fundację, żeby miała jakieś zajęcie i nie wpieprzała się do biznesu. Ale także z myślą o interesie. Fundacja Rolkomu wspiera w nauce informatyki nastolatków z biednych domów. Organizuje im kursy programistyczne, a potem pomaga dostać się na studia. Oczywiście nie chodzi o to, żeby byli dobrze wyedukowanymi młodymi ludźmi, tylko by poczuli się zobowiązani dołączyć do Rolkomu, dla którego każdy programista jest na wagę złota. Rolnicki specjalnie wybrał tych, którzy dostali od życia po dupie. Prawdopodobnie nie będą liczyć na spektakularne kariery w Google czy Facebooku, tylko zadowolą się robotą dla polskiej korporacji. Trzeba facetowi oddać, że ma łeb na karku.

Kiedy skończyły się przemówienia, Rolnicką otoczyły hieny bankietowe. Próbowwały zainteresować ją swoimi stowarzyszeniami, think tankami albo agencjami PR. Cierpliwie poczekałem, aż zostanie sama. Rozluźniona. Przekonana, że dobrze wykonała zadanie. Z opuszczoną gardą.

– Niezła frekwencja – powiedziałem, gdy zaczęła nakładać przegrzebki na talerz. – Ludzie wierzą, że można łatwo wyciągnąć od pani pieniądze, skoro wyrwali się w środku dnia na bankiet.

Przez kilka sekund uważnie mi się przyglądała. W końcu skojarzyła, kim jestem. Postanowiła udawać, że nie robi to na niej wrażenia.

– W ludziach tkwi dobro – stwierdziła, wracając do nakładania żarcia. – Chcą pomagać innym. Tylko nie zawsze mają na to czas. I nie zawsze wiedzą, jak to robić.

– Bzdura. Ludzie lubią zarabiać pieniądze i żyć tak, jak się im podoba. Tylko nie wszyscy mają odwagę to przyznać.

– Nie wierzy pan w filantropię i CSR?

– Nie wierzę w rozdawnictwo. Przedsiębiorcy są od tego, żeby budować PKB i tworzyć miejsca pracy. Jeśli ktoś potrafi zarabiać kasę, to z dużym prawdopodobieństwem nie ma pojęcia, jak ją rozdawać. W efekcie tylko rozprasza swoją uwagę. Szkodzi, zamiast pomagać.

– Jest pan cynikiem.

– Raczej realistą. Amerykańscy miliarderzy masowo przystępują do inicjatywy The Giving Pledge, deklarując rozdanie co najmniej połowy swojej fortuny. Polacy na szczęście są bardziej roztropni. Dzięki temu trwonią kasę jedynie na takie głupoty. – Rozejrzałem się dookoła.

– Pomaganie młodym ludziom to głupota?

– Takie bankiety są droższe niż wsparcie, które oferujecie tym dzieciakom. To etyczne?

– Musimy się promować.

– W tym rzecz. – Uśmiechnąłem się. Wskazałem palcem jeden z bemałów. – Polecam policzki wołowe.

Odszedłem na kilka metrów, żeby nalać sobie soku. Zanim się zorientowałem, Rolnicka już przy mnie stała.

– Nie powinnam z panem rozmawiać.

– To prawda. Zamierzałem rozmawiać głównie z pani mężem. Ale on nie jest dość roztropny, aby poważnie potraktować moje zainteresowanie Rolkomem.

– Po prostu nie chce sprzedawać firmy. Wcale mu się nie dziwię.

– I może nawet wierzy, że to dla niego najlepsze rozwiązanie.

– A tak nie jest?

Uśmiechnąłem się do niej pobłaźliwie. W taki sposób, jakiego ludzie nienawidzą.

Nie zależało mi na tym, aby mnie lubiła. Chciałem, żeby się bała. Mnie i tego, co sobą reprezentuję. Strach jest pierwszym etapem. Kolejny to szacunek.

– Wcale nie chcę rozmawiać o zakupie firmy pani męża.

– A o czym?

– O zakupie pani firmy. – Nieprzerwanie uśmiechając się do Rolnickiej, skinąłem brodą w stronę tłumu. – Są tu dziesiątki osób, które czegoś od pani chcą. Proszę ich nie zawieść.

Pozdrowiłem ją uniesieniem szklanki i ruszyłem do sąsiedniej sali.

Pierwszy punkt planu za mną. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem.

* * *

Po kilku dniach śledztwo utknęło w martwym punkcie. Maria, Oleg i pozostali śledczy uparcie szukali podobieństw pomiędzy zaginionymi dziewczynami. Byli przekonani, że jeśli znajdą wystarczająco wiele punktów styku, dotrą do porywacza. Po nitce do kłębka. Od jednego drobniutkiego śladu do jaskini, w której katuje swoje ofiary.

Naiwniacy.

O ile Oleg, przyspawany do komputera i przetrząsający zbiory danych, był w swoim żywiole, o tyle w Marii frustracja narastała z każdą godziną. Odkąd Lewiński uczynił z niej nieformalną zastępczynię, musiała się zajmować głównie znienawidzoną pracą biurową. Zamiast wypytywać na mieście o długowłosego faceta widzianego w towarzystwie Renaty Jaroszewicz, przetrząsała wiadomości, które otrzymywali od zaniepokojonych obywateli.

W którymś momencie wstała od biurka i przycupnęła na wewnętrznym parapecie. Wyjrzała przez okno. Przyglądając się grupie palaczy, momentalnie poczuła ochotę, żeby sięgnąć po szluga. Miała wyjątkowo kruchą wolę. Zwłaszcza po alkoholu. Zwłaszcza w stresie. Zwłaszcza gdy jej problemy nawarstwiały się i pogrążyły ją w beznadziei. Zupełnie tak jak teraz.

– Chyba coś mam – odezwał się niespodziewanie Oleg, który przez ostatni kwadrans nieelegancko siorbał herbatę i tłukł paluchami w klawiaturę. – Wszystkie dziewczyny korzystały z Ubera. W różnym czasie, z różnych miejsc i z różną częstotliwością, ale każda robiła to przynajmniej kilka razy na pół roku przed zaginięciem.

– No i co z tego?

Oleg przywołał Marię machnięciem ręki. Ta niechętnie odkleiła się od parapetu i podeszła do jego zagraconego biurka, które przypominało dziecięcą jadalnię: walały się na nim jogurty, papierki po batonach i puste opakowanie po lodach.

– Mnóstwo Polaków korzysta z Ubera, Bolta i innych aplikacji transportowych – powiedział Oleg. – Najczęściej młodzi ludzie z dużych miast. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że Renata i reszta też to robiły. Dziwne by było, gdyby żadna z nich nie miała apki.

– Do puenty – warknęła Maria.

– Nasze dziewczyny woził ten sam kierowca. Każda z nich odbyła po jednym kursie z mężczyzną, który nazywa się Artem.

– Ukrainiec?

Oleg pokiwał głową.

– Pewnie korci cię, żeby zapytać, czy go znam.

Maria przez dłuższą chwilę wpatrywała się w sporządzony przez Olega wykaz kursów.

– W Polsce mieszkają ponad dwa miliony Ukraińców – powiedziała. – Nie jestem idiotką.

– Szkoda. To znaczy szkoda, że nie zapytasz. Bo tak się składa, że wiem, kim on jest.

Palce Olega błyskawicznie przebiegły po touchpadzie. Chwilę później na ekranie pojawiło się zdjęcie.

– *Voilà!* Oto nasz kierowca.

Maria rozchyliła usta. Mężczyzna ze zdjęcia miał długie kruczoczarne włosy, gęstą brodę i zawadiacki uśmiech. Wyglądał dokładnie jak z opisu wytatuowanego ćpuna.

– Co o nim wiesz? – zapytała.

– Wszystko: ile ma lat, gdzie mieszka, co robi, kiedy przyjechał do Polski.

– Cudownie. Puść to na drukarkę.

– Facet mieszka na Białoleęce.

– Mogłabym pojechać nawet do Sosnowca, byleby się wyrwać z tego grajdołu. Wstawaj.

* * *

Po zakończeniu oficjalnej części eventu Danuta Rolnicka sama do mnie podeszła. Była lekko rozweselona, więc albo dziabnęła coś dla odwagi, albo w nietypowy

sposób reagowała na stres.

– Kim jesteś? – zapytała.

Spojrzałem na nią znad laptopa. Chwilę później zamknąłem komputer, włożyłem go do torby i poklepałem kanapę. Zasugerowałem Rolnickiej, żeby się do mnie przysiadła. Niechętnie, ale się zgodziła.

– Słyszałaś kiedyś o LinkedInie?

– Pytam o ciebie, a nie o człowieka, którego zgrywasz. Interesuje mnie prawdziwy Kacper Berger. Nie zdolniacha, który z wyróżnieniem ukończył Szkołę Główną Handlową, a potem zaliczył tournée po gigantach zarządzania strategicznego. Nie sprzedawca z ładną buźką, który przez kilka lat brylował w internecie, pokazując sztuczki w stylu Davida Copperfielda.

Uśmiechnąłem się. Ładne porównanie.

– Copperfield zarabia sześćdziesiąt milionów dolarów rocznie – zauważyłem.

– Ale ty nie jesteś iluzjonistą, tylko korporacyjnym najemnikiem. Przysyszasz się do zamożnych firm z obcym kapitałem, które są zadziwiająco łase na ludzi takich jak ty.

– Dlaczego podejrzewasz, że coś udaję?

– Bo nie wierzę, że można być tak cynicznym. Tak złym. Tak pozbawionym skrupułów. Nie wierzę, że można z czystym sumieniem przyjść na imprezę charytatywną i namawiać jej organizatorkę, aby zdradziła męża.

– Zdradziła?

– W sensie biznesowym.

No tak, łózkowe zdrady były u nich na porządku dziennym. Zanim ległem na kanapie, obskoczyłem kilka stolików koktajlowych, wypytyując różnych podchmielonych pajaców o Rolnickich. Wyszło na to, że on od lat przytyka się z kim popadnie (a przynajmniej takie krążą słuchy), a ona jakiś czas temu wdała się w ognisty romans z młodszym o dziesięć lat lobbystą. To dlatego usilnie szukała pretekstów, aby jak najwięcej czasu spędzać w Warszawie (fundacja z biurem niedaleko placu Trzech Krzyży była jednym z lepszych). Kłopot w tym, że tak jak ona nie była wierna mężowi, znajdujący się w kwiecie wieku lobbysta nie uważał, że musi być dla niej na wyłączność. Podobno strasznie się wściekła, kiedy odkryła, że dzieli się nim z jakąś dwudziestoletnią gwiazdą Instagrama. Postanowiła zniszczyć wszystko, co ją z nim wiązało. W tym także parę start-upów, w które zainwestowała z jego polecenia. „Kiedy cierpię, cały świat musi cierpieć ze mną” – miała powiedzieć dyrektorze swojej fundacji.

Zadziwiająco, jak wiele można się dowiedzieć o człowieku w trakcie jednej imprezy.

– I na czym ta zdrada miałaby polegać? – spytałem. – Na zdobyciu tego, co od zawsze powinno do ciebie należeć, tyle że nie miałaś jaj, by po to sięgnąć?

Rolnicka otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Zamurowała ją moja beczelność. Tacy jak ona rzadko zderzają się z polemiką. Tym bardziej na imprezach, na które wydają setki tysięcy złotych.

Wskazałem brodą gości licznie rozstawionych przy stolikach koktajlowych. Był środek tygodnia, ale darmowego alkoholu się nie odmawia.

– Spójrz na tych ludzi – powiedziałem. – Większość z nich nie pojawiła się tu dla ciebie ani waszej cwaniackiej idei. Przyszli z uwagi na twojego męża. Daliby się pokroić, żeby się jakoś do niego przykleić. Żeby uszczknąć coś z jego fortuny. To pasożyty. Mogą się godzinami wspinać na wyżyny fałszu, aby wymasować ego żonki pana Rolnickiego. Jeślibyś chciała się dowiedzieć, co naprawdę o tobie sądzą, powinnaś dać im coś mocniejszego niż wino, wtopić się w tłum i nadstawić uszu. – Zerknąłem na nią. – I to ja jestem tym złym?

Rolnicka wyglądała tak, jak gdyby chciała mnie skrócić o głowę.

– Na razie sama muszę się napić.

Wstała, rozdała kilka sztucznych uśmiechów i podeszła do jednego z niewielu wolnych stolików. Chwilę później dołączyłem do niej z winem. Zwykle nie piję w środku tygodnia, ale czasem trzeba zrobić wyjątek.

– Jak chcesz to rozegrać? – zapytała.

Nareszcie. Już myślałem, że się nie doczekam.

– Wszyscy wiedzą, że Rolnicki nie jest ci wierny, natomiast niewiele osób zdaje sobie sprawę, że nie jesteś mu dłużna. Wykorzystaj to. Zrób to, co żony zwykle robią w takiej sytuacji.

– Rozwód.

Kiwnąłem głową.

– Załadaj podzielenia udziałów w spółce. Pomiędzy Rolnickiego, ciebie i wasze dzieci. Weź tyle samo akcji co on.

– To nie przejdzie. Wprawdzie nie mamy interczyzy, ale wszyscy wiedzą, że to Józef rządzi firmą. On jest twarzą tego biznesu. W dodatku stoi za nim masa lojalnych pracowników. W najlepszym wypadku uda mi się wyrwać dwadzieścia pięć procent.

– To w zupełności wystarczy.

– Nie przegłosuję go na walnym zgromadzeniu.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o osłabienie jego pozycji i samej firmy. Pieniądze lubią ciszę. Przypuszczam, że waszym partnerom biznesowym nie spodobałaby się opera mydlana w Rolkomie. Gdy twój wspaniałomyślny mąż poczuje, że traci grunt pod nogami, a spółka z dnia na dzień słabnie, zgodzi się sprzedać biznes.

– Chcesz, żebym zepsuła własną firmę. Czyli de facto straciła pieniądze.

– Na razie tylko wirtualne pieniądze. – Posłałem jej śliski uśmiech. – To jedyny sposób. Żaden inwestor branżowy czy fundusz nie kupi twoich dwudziestu pięciu procent, bo nie będzie miał ochoty użerać się z Józefem. Rolkom można kupić w całości albo wcale.

Zastanawiała się nad moimi słowami, wolno kołysząc kieliszkiem.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na naszej firmie?

– Jest duża, rentowna i sporo warta. Jeśli ją przejmę, dostanę niezłą prowizję.

– Nie może chodzić wyłącznie o kasę.

– Masz rację. Nie robię tego dla pieniędzy. Chodzi o wyzwanie.

Pokręciła głową.

– Kiedyś to was zgubi.

Jakich nas? Facetów? Biznesmenów? Ludzi, którzy nie godzą się na zapierdalenie za miskę ryżu? Rolnicka pewnie sama nie wiedziała, kogo ma na myśli.

– Jeżeli będę w tym czasie na szczycie, to nie mam nic przeciwko.

Opróżniła kieliszek, zanim zdążyłem zamoczyć usta w swoim. Na jej twarzy coraz częściej pojawiał się nerwowy uśmiech, którym raczyła przechodzących obok gości.

– Zapytam jeszcze raz. – Delikatnie pochyliła się w moją stronę. – Kim jesteś?

– Czarodziejem. – Zza moich pleców wyłoniła się Weronika Biernacka. – Potrafi sprawiać, że różne rzeczy znikają. Jedne tylko na chwilę, inne na zawsze.

Przez kilka sekund intensywnie mi się przyglądała, jakby próbowała wydymać mnie wzrokiem. Potem serdecznie przywitała się z Rolnicką. Serdecznie, a zarazem cholernie nieszczerze.

– Na przykład co? – zapytała Rolnicka.

– Problemy. Kacper jest specjalistą od usuwania problemów.

Nerwowo pokiwałem głową. Czuję się niezręcznie, słysząc takie słowa. Jakby mnie ktoś przyłapał na waleniu konia przez kieszeń.

– Nie miałem pojęcia, że się znacie – powiedziałem.

– Od lat – odparła Biernacka. – Wspieramy się na dobre i na złe.

– W takim razie pewnie macie wiele do obgadania. – Pozdrowiłem je niemal nietkniętym kieliszkiem i poszedłem do kibla.

Postawiłem wino na umywalce i stanąłem przy pisuarze. Kiedy się odlewałem, ktoś spuścił wodę i wyszedł z kabiny. Podszedł do zlewu i odkręcił wodę. Chwilę później dołączyłem do niego. Zerknąłem w lustro i spotkaliśmy się wzrokiem. Facet – trzydziestoparolatek w tanim garniturze – wyglądał znajomo. Jak ktoś, kogo widziałem przez ułamek sekundy, przez co utrwaliłem w pamięci jedynie kontur jego twarzy. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, wywnioskowałem, że musiał odnieść podobne wrażenie. Tyle że na jego twarzy malowało się coś więcej niż zaciekawienie. Coś bardzo mrocznego.

Strach.

Umył ręce i wyszedł z łazienki. Odczekałem kilka sekund, a następnie za nim ruszyłem. Ale gdy ponownie znalazłem się w holu, jego już nie było. Zniknął pomiędzy dziesiątkami innych przeciętniaków snujących się między stolikami.

* * *

Nazywa się Artem Butko. Ma dwadzieścia sześć lat. Pochodzi z jakiejś zabitej dechami wiochy pod Kijowem. Wyjechał do Polski na studia, ale po czterech semestrach rzucił logistykę na Uniwersytecie Warszawskim, załatwił sobie zezwolenie na stały pobyt i skupił się na pracy. Najpierw przez kilka lat był kurierem, potem przerzucił się na Ubera. Zamieszkał w bloku na Białołęce z dwoma innymi Ukraińcami, którzy harują po nocach w jednym z podwarszawskich centrów logistycznych.

– Ja z nim pogadam – oznajmił Oleg, kiedy z pomocą jednego z sąsiadów dostali się na klatkę schodową.

– Na pewno? – W głosie Marii pobrzmiwało powątpiewanie.

– Jesteśmy ziomkami. Jeśli został w tę sprawę jakoś wplątany, to się dogadamy.

– A jeżeli to on?

Oleg głośno wypuścił powietrze.

– Wtedy w ogóle nie będziemy gadać.

Wdrapali się na drugie piętro. Wcisnęli dzwonek. Po mniej więcej trzydziestu sekundach otworzyły się drzwi. Stał w nich krótko ostrzyżony chłopak w kapciach, białym T-shircie i szarym dresie. Wyglądał, jakby miał kaca. Albo jakby się niedawno obudził. Na przykład po wyczerpującej nocce na magazynie.

– Starszy aspirant Oleg Gusiew, a to komisarz Maria Falk. – Oleg wyciągnął przed siebie legitymację, a chwilę później zrobiła to jego partnerka. – Zastaliśmy Artema Butkę?

– O co chodzi? – spytał chłopak łamaną polszczyzną.

– Chcemy z nim porozmawiać. Chodzi o jego pracę.

Ukrainiec wahał się przez kilka sekund, ale w końcu wpuścił funkcjonariuszy.

Było to typowe studenckie mieszkanie, którego lokatorzy nieszczególnie dbali o czystość. Wszędzie wałały się drelichowe ciuchy, buty, brudne naczynia i butelki po wodzie. Chłopak zaprowadził policjantów do ostatniego pokoju w lokalu, z którego dobywał się lekko wytlumiony popowy jazgot. Zapukał w drzwi, a następnie, nie czekając na odpowiedź, otworzył.

– Artem, policja do ciebie.

Długowłosa mężczyzna siedział w kącie pomieszczenia i skręcał rozłożony na części rower. Miał ubabrane smarem dłonie, podartą w kilku miejscach koszulkę i znoszone dzinsy. Mimo nieco szcurzej gęby mógł uchodzić za przystojnego. Zwłaszcza nocą. Zwłaszcza w oczach zdrowo najebanego człowieka.

Kiedy zobaczył policjantów, ściszył muzykę i poderwał się z podłogi. Uważnie obejrzał legitymacje policyjne. Jak ktoś, kto już miał z czymś takim do czynienia.

– Chcemy porozmawiać o twojej pracy – rozpoczął Oleg po ukraińsku, po czym przeszedł na polski: – Długo jeździsz Uberem?

– Od dwóch lat – odparł Artem, stając przed policjantami z rękoma splecionymi na piersi.

– Dobrze pamiętasz swoich pasażerów?

– Niektórych.

– A kojarzysz tę dziewczynę? – Policjant położył zdjęcie na niewielkim kwadratowym stole, tuż obok komputera. – Wiozłeś ją kilka tygodni temu.

Artem zerknął na fotografię. Potrząsnął głową.

– A tę?

Oleg wyjął następne zdjęcie, ale efekt był ten sam.

– Nic sobie nie przypominasz?

– Robię kilkadziesiąt kursów dziennie, głównie wieczorami i nocą. Nie mogę pamiętać wszystkich klientów.

– Nawet tak pięknych dziewczyn?

Artem wzruszył ramionami. Udawał wyluzowanego. Ale dreptanie w miejscu

zdradzało, że jest mocno podenerwowany.

Oleg wyłożył na stół zdjęcia pozostałych dziewczyn. Dał Artemowi kilka sekund, aby się z nimi zapoznał. Ten jednak po raz kolejny zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek je widział.

– No to mamy problem – stwierdził policjant. – Te dziewczyny zagięły bez śladu. Prawdopodobnie zostały porwane. Ale zanim to się stało, każda z nich odbyła z tobą kurs. Wiemy to od twojego pracodawcy. Nie wyprzesz się.

– Pierwszy raz je widzę. – Artem niechętny podniósł głos.

– Każda z tych dziewczyn była w twoim samochodzie. Z każdą odbyłeś co najmniej dwudziestominutowy kurs. A niedługo później wszystkie zniknęły.

Chłopak wycelował palcem w zdjęcia.

– Nie mam pojęcia, kim one są. Przysięgamy.

– Może w areszcie sobie przypomnisz – odezwała się Maria, po czym wydobyła kajdanki. – Odwróć się i przełoż ręce za plecy.

Artem wyglądał tak, jakby właśnie doświadczał ataku paniki. Nagle wycelował palcem w drewniany barek, który musiał pamiętać czasy głębokiej komuny.

– Wiem! – krzyknął. – Wiem, kto z nimi jeździł.

– Powiedziałam, że masz się odwrócić.

– Facet co kilka tygodni pożyczka ode mnie samochód. To musiał być on.

– Odwróć się, do kurwy nędzy!

– Mam dowód. – Artem ponownie wskazał na barek. – Pokażę wam.

Nie zdążył. Bo gdy tylko się poruszył, Maria rzuciła się na niego. Powaliła go na ziemię i wbijając kolano w plecy, wykręciła mu ręce i założyła kajdanki. Następnie wstała, na wszelki wypadek wyjęła pistolet z kabury i sięgnęła po telefon.

– Zawinęliśmy podejrzanego w sprawie porwań studentek. Potrzebujemy tu techników i wsparcia przy odstawianiu delikwenta. Podaję lokalizację.

Robiąc to, zerkała na Olega, który z dłonią na kaburze stał w kącie pokoju. Był przerażony. Zupełnie sparaliżowany. Wiedziała, że gdyby doszło do strzelaniny, w najlepszym wypadku zrobiłby sobie krzywdę.

W najgorszym oboje by zginęli.

* * *

Nic mnie tak nie cieszy jak oglądanie upadku na imprezach charytatywnych. Patrzenie, w jaki sposób odrobina alkoholu zbydlęca korporacyjnych gryzpiórków,

menedżerów czy właścicieli małych agencji reklamowych. Pajaców, którym zaczyna się wydawać, że są dumnymi reprezentantami klasy wyższej. Zwycięzcami. Nadludźmi, którym wolno wszystko, wszędzie i zawsze.

Gapilem się na flirtujących ze sobą idiotów, którzy zapomnieli, że mają mężów i żony. Że w uroczych mieszkankach na Wilanowie czekają na nich zasmarkane skrzaty, desperacko łaknące ich uwagi. Że następnego dnia – na kacu albo zjeździe – będą musieli się mierzyć z masą gównianych obowiązków. Zapomnieli, że kiedy marzy się o uporządkowanym życiu na obrzeżach stolicy, o domku z ogródkiem, o porsche cayenne i dzieciakach w prywatnej szkole, przypadkowy romans jest raczej słabą opcją.

Ale co ja tam wiem. Jestem tylko facetem, który dla zabawy wycina panny. Ot tak. *Because I can*. To mnie zapewne automatycznie wyklucza z wszelkich dysput na temat zasad moralnych. Skreśla z listy gości mogących oceniać innych. Tylko właściwie dlaczego? Dlatego, że żyję w zgodzie ze swoją naturą? Że mam jakiś kodeks zachowań? Że staram się być spójny ze sobą? Że jestem przez to względnie szczęśliwy?

Wiele rzeczy, które zrobiłem, napawa mnie dumą. Ale najbardziej to, że miałem odwagę pójść własną drogą. Dziwną, wyboistą, nieakceptowaną przez społeczeństwo, ale dokładnie taką, jaką sobie wymyśliłem. Podobnie jak Jacek Solski. Jak Józef Rolnicki. I jak Weronika Biernacka, która chwiejnym krokiem, z kieliszkiem wina tańczącym w dłoni, zbliżała się w moją stronę.

– Zrobiłeś na Danusi wrażenie – powiedziała. – Nie podjęła jeszcze decyzji, ale wygląda na przekonaną. Jesteś złotoustym chłopcem.

– Wiem.

– Że zrobiłeś wrażenie czy że jesteś złotoustym chłopcem?

– Jedno i drugie.

Biernacka przez dłuższą chwilę przewiercała mnie wzrokiem. Potem opróżniła kieliszek i zatoczyła się do tyłu.

Kilka godzin wcześniej słyszałem, jak burczy jej w brzuchu. Teraz słyszałem, jak bełkocze. Picie na pusty żołądek rzadko prowadzi do czegoś dobrego. Ale Biernacka uznała, że jest to cena, jaką musi zapłacić, aby dobrze wyglądać w swoim wieku. Oczywiście nie licząc kosztów ponoszonych w gabinetach chirurgii plastycznej.

Podobno często jej się to zdarza. Mam na myśli przeginanie z chlaniem. Kilka miesięcy temu Karolina pojechała do niej na imprezę w pięknej posiadłości na

południu Francji. Biernacka zaprosiła wszystkich świętych: celebrytów, prezesów dużych prywatnych firm, szefów spółek Skarbu Państwa, ministrów i posłów. Podobno chciała się pochwalić nową kolekcją obrazów, mimo że nie ma pojęcia o sztuce, a może właśnie dlatego. Ale impreza wymknęła się spod kontroli. Kiedy Biernacka biegała półnaga po posiadłości, próbując nadzieć się na jakiegoś ważnego fiuta, ktoś wyniósł sporą część jej drogiego zbioru. W tym nową kolekcję obrazów. Kilka baniek poszło się jebać. I do dziś nie wiadomo, kto je przytulił.

– Na co czekasz? – zapytała. – Danusia dawno się zmyła.

– Czekam na ciebie. – Uśmiechnąłem się. – Twoja pomoc wiąże się z pewnymi zobowiązaniami. Chciałbym się z nich w pełni wywiązać.

– To miłe. Ale networking nie polega na poznawaniu ludzi, których już się zna.

Obróciła się na pięcie niczym solidnie spita baletnica i wycelowała paluchem w rozgrzany tłum. Wskazała grupę złożoną z sześciu czy siedmiu facetów. Ale ja wiedziałem, że chodzi jej o Igora Przybylskiego, mniej więcej pięćdziesięcioletniego łysola, który coraz sromotniej przegrywał walkę z otyłością. Nie wyglądał jak wymarzona partia na wieczór. Jednak od wielu lat snuł się po zarządach największych państwowych firm energetycznych. Owijając sobie kogoś takiego wokół palca, Biernacka mogła znacząco zwiększyć swoje szanse w przetargach. Krótko mówiąc: gra była warta świeczki.

– Możesz czekać w gotowości – oznajmiła, patrząc z niesmakiem w stronę Przybylskiego. – Wątpię, żeby zapewnił mi porządne rżnięcie.

Zgarnęła ze stołu kolejny kieliszek i ruszyła w stronę przyszłego kochanka.

Tymczasem ja sięgnąłem po torbę z laptopem i wesół – no, może półwesół – skierowałem się do wyjścia. Odbierając z szatni płaszcz, zamówiłem taksówkę. Postanowiłem poczekać na nią przed wejściem. Wyjąłem telefon i zacząłem przeglądać wiadomości zza oceanu. Miałem sporo do nadrobienia. Dziennikarze ujawnili kolejny skandal związany z inwigilowaniem Amerykanów. Kilka firm technologicznych nie dowiozło wyników kwartalnych. Jacyś sportowcy ochłodzili i tak chujowe relacje Stanów z Chinami. W efekcie NASDAQ zaliczył niewielkie tąpnięcie. Niedobrze. Zapowiadał się kolejny miesiąc pod kreską. Oby ostatni.

Podjechała taksówka. Miałem do niej wsiąść, kiedy zobaczyłem przed hotelem gościa, który kilka godzin wcześniej dziwnie mi się przyglądał w kiblu.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziałem taksówkarzowi. – Muszę załatwić jedną rzecz.

Odłożyłem torbę na fotel i zamknąłem drzwi. Ruszyłem w stronę nieznajomego. Zauważył mnie, gdy byłem kilka metrów od niego. Wtedy upuścił peta na chodnik i rzucił się do ucieczki.

Kurwa. Rozejrzałem się dookoła. Kiedy się okazało, że nikt poza Ryśkiem z taryfy mnie nie widzi, ruszyłem za gościem.

Wybiegł na Senatorską i skierował się w stronę skrzyżowania z Miodową. Potem gwałtownie odbił w prawo, niemal wpadając w grupkę nawalonych Brytyjczyków, i pomknął wzdłuż Koziej, maleńkiej uliczki ciągnącej się między kamienicami i dwupiętrowym murem.

To był fatalny wybór. Zamiast ukryć się w tłumie, pomknął rzadko uczęszczaną dróżką, na której bez większych problemów mijałem nielicznych spacerowiczów. W dodatku miał kiepską wydolność. Szybko zaczął tracić przewagę. Po kilkudziesięciu sekundach byłem tuż za jego plecami.

Wiedząc, że mi nie ucieknie, zatrzymał się. Uniósł ręce w przeproszającym geście.

– Nie chciałem – wymamrotał, z trudem łapiąc oddech.

– Kim jesteś? – spytałem.

– Nie chciałem cię zdenerwować. Sorry, stary.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – Złapałem faceta za kołnierz kurtki i przycisnąłem do ściany budynku.

– Nie chciałem cię zdenerwować – powtórzył. – Jestem... nikiem.

– Dlaczego uciekasz?

Wzruszył ramionami, mimo że mój uścisk mocno mu to utrudniał.

– Nie wiem.

– Jesteś pedałem?

– Nie.

– No to nie masz żadnego sensownego wytłumaczenia.

– Po prostu wiem, kim jesteś.

Napałem na niego jeszcze mocniej, aż uderzył łbem o beton. Dopiero teraz mogłem mu się uważnie przyjrzeć. Jego przeredzonej czarnej czuprynie i lekko zaokrąglonej gębie, którą pokrywał niezbyt staranny zarost. Miałem ochotę ją zmiażdżyć. Zglanować. Rozpierzdolić. Chciałem, żeby ten kutasiarz cierpiał.

– Ej! – Usłyszałem za plecami głos. – Zostaw go.

Odwróciłem się. Za mną stało trzech chłystków w dresach. Palili szlugi i popijali piwo. Mieli niewiarygodnie tępe ryje. Pewnie nawet po zsumowaniu swoich ilorazów

inteligencji nie dostaliby się do Mensy.

– Nie wtrącaj się – odburknąłem.

Może nie był to popis ulicznej retoryki, ale miałem nadzieję, że wystarczy. Byłem jednak w błędzie. Gdy ponownie skupiłem się na gościu z kibla, poczułem czyjąś dłoń na ramieniu.

– Odpierdol się od niego! – warknął jeden z dresiarzy.

Szarpaliśmy się przez dobre kilka sekund. I kiedy miałem wrażenie, że osiągam przewagę i zaraz wyswobodzę się z objęć tych matolów, usłyszałem brzęk. A potem poczułem przeszywający ból.

Któryś z dresiarzy rozbił mi butelkę na głowie.

Zanim upadłem na bruk, ujrzałem kątem oka tamtego kutasinę, który wtapiał się w tłum na Krakowskim Przedmieściu. Później jucha zalała mi gębę. A potem zrobiło się zupełnie ciemno.

Nie potrzeba specjału od relacji interpersonalnych, aby wyczuć, że po akcji w mieszkaniu Ukraińców coś się w związku Marii i Olega zepsuło. Pojawiła się pierwsza trudna do ukrycia rysa, która spowodowała, że godzinę poprzedzającą przesłuchanie Artema Butki spędzili praktycznie w milczeniu, prawie na siebie nie patrząc i dzieląc się jedynie zdawkowymi spostrzeżeniami. Najwyraźniej gdy w sytuacji potencjalnego zagrożenia życia jedna ze stron robi w portki, zamiast stanąć na wysokości zadania, już nic nie pozostaje takie samo. A szyte grubymi nićmi zaufanie znika bezpowrotnie.

W każdym razie kiedy Maria i Oleg weszli do pokoju przesłuchań, wyglądali jak dwoje obcych sobie ludzi, którym ktoś zlecił wykonanie wyjątkowo nieprzyjemnej roboty. Mimo to prezentowali się lepiej od Butki. Chłopak wyglądał tak, jak gdyby nie przespał nawet minuty. W dodatku trząsał się z zimna. Albo ze strachu.

– Nic nie zrobiłem – wypalił, zanim policjanci zdążyli się odezwać. – To nie mnie szukacie.

Maria i Oleg niespecjalnie przejęli się jego nadgorliwością. Rozsiedli się na krzesłach i flegmatycznie rozłożyli na stole zdjęcia uprowadzonych kobiet. Chcieli, żeby Butko przez cały czas je widział. Żeby siedząc w tej klaustrofobicznej salce, czuł, jak ściany zaczynają na niego napierać. Żeby dyskomfort i strach wycisnęły z niego prawdę.

– Dalej pan utrzymuje, że ich nie kojarzy? – zapytała Maria.

Butko energicznie potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić ją z tułowia.

– Nigdy ich nie widziałem.

– Nawet w telewizji?

– Nie mamy telewizora.

– A w internecie? Od jakiegoś czasu jest o nich głośno.

– Nie mam czasu na sprawdzanie wiadomości. Przeglądam głównie Facebooka, Instagram i oferty pracy.

Maria zerknęła na Olega, jakby ten mógł rozstrzygnąć, czy młodzi ukraińscy

imigranci rzeczywiście tak postępują. On jednak wpatrywał się w zeszyt, w którym skrętnie prowadził notatki.

– Co pan robił piątego lipca? – zapytała.

– Jaki to dzień tygodnia?

– Piątek.

Przez kilka sekund Butko dłubał w pamięci. Bezdźwięcznie poruszał ustami, jak gdyby próbował coś policzyć.

– Za dnia jeździłem Uberem. A potem poszedłem na magazyn, bo musiałem zastąpić Andrija.

– Dlaczego?

– Bo był naje... niedysponowany. – Artem zerknął na Olega. – Andrij co jakiś czas wpada w kilkudniowe ciągi. Nie potrafi sobie z nimi poradzić samodzielnie. Dziewczyna wysłała go do hipnotyzera.

Oleg zaśmiał się pod nosem.

– Do hipnotyzera?

– Wiem, jak to brzmi, ale taka jest prawda. Zapytajcie Andrija i jego Olenę.

– Wróćmy do pana. – Maria splotła ręce na piersi. – Jak to możliwe, że nie kojarzy pan żadnej z tych kobiet, skoro wiemy, że były w pańskim samochodzie?

– Pożyczałem auto.

– Komu?

– Nie wiem. Nie przedstawił się. W ogóle niewiele mówił.

– A jak ten człowiek wygląda?

– Wysoki, szczupły, długie włosy.

– Podobny do pana?

Butko kiwnął głową.

– Myślę, że to dlatego mnie wybrał. W aplikacji wyświetla się zdjęcie kierowcy.

– Jak wyglądały wasze spotkania?

– Widzieliśmy się tylko raz. Potem kontaktował się ze mną za pomocą bramek esemesowych. Pisał, skąd chce odebrać samochód, a potem gdzie go zostawił. Auto zawsze było wysprzątane, a w środku czekała na mnie kasa.

– Co jeszcze pan o nim wie?

– Jest bogaty. Miał na sobie elegancki garnitur. Poza tym dobrze płacił za to, żeby móc jeździć na Uberze. I żeby nikomu o tym nie wspominał.

– Jak pana znalazł?

– Nie mam pojęcia. Któregoś dnia zaczepił mnie przed blokiem i stwierdził, że ma dla mnie deal.

– Deal?

– Tak powiedział.

Artem wydawał się przybity tym, że ujawnił naszą małą tajemnicę. Musiał mieć wysoce rozwinięty gen lojalności. Nieźle by się sprawdził w mafii lub polityce. Albo jako przyboczny właściciela dużego biznesu.

– A więc ktoś płacił panu za to, żeby móc jeździć na Uberze – podsumowała Maria. – Po co miałyby to robić?

– Po to. – Butko wycelował palcem w zdjęcia. – Oddam wszystkie pieniądze, które od niego dostałem. Co do grosza. Trzymam je w barku. Chciałem to wam pokazać, zanim rzuciliście mnie na glebę.

Kiedy kilka minut później policjanci wyszli na przerwę, mieli wrażenie, że sprawa stała się jeszcze bardziej skomplikowana. Jeszcze dziwniejsza. Jeszcze bardziej nieprzyjemna. Choć wciąż nie mieli pojęcia, kim jest ich przeciwnik, doskonale rozumieli, że cholernie trudno będzie go dopaść.

I dobrze. Lubię, gdy ludzie czują przede mną respekt.

* * *

W tym miejscu zamierzałem wam wytłumaczyć, o co chodzi z tym całym Uberem. Ale ze względu na wydarzenia z poprzedniego wieczoru muszę to zostawić na później. Jest bowiem siódma dwadzieścia pięć, a ja stoję w firmowej łazience i oglądam purpurową szramę na skroni. Lekarze powiedzieli, że szwy nie są potrzebne, że wystarczy plaster do zamykania ran i że miałem cholernie dużo szczęścia, ponieważ nie doznałem wstrząśnienia mózgu, wylewu ani niczego w tym stylu. Ale jakoś nie czułem się wesół. Nawet półwesół.

Nie wypada pokazywać się publicznie, kiedy nie jest się najlepszą wersją samego siebie. Będąc opakowanym w najgorsze łachmany, niewyspanym albo zrozpaczonym. Czując się jak śmieć po przećpanej nocy. Albo mając obitą mordę. A tym bardziej nie przystoi to komuś takiemu jak ja.

Zbliżyłem się do lustra. Rana po uderzeniu butelką rzeczywiście nie była zbyt głęboka, w dodatku mogłem zasłonić ją grzywką. Mimo to czułem się fatalnie, wiedząc, co się stało. Nie mam pojęcia, kim jest pajac, któremu zawdzięczam ten syf. Kojarzę go. Z całą pewnością gdzieś już widziałem tego typu. A to może oznaczać, że

kiedyś pojawił się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie. Że jest nic nieznaczącym pionkiem, który przewinął się przez moją planszę. Jednoosobową wyrwą w planie. Jedynym słabym elementem układanki.

Kurwa mać.

Wyszedłem z kibla i skierowałem się wprost do gabinetu. Usiadłem przy biurku, uruchomiłem komputer i zacząłem pracować. Chciałem się zatopić w wykresy giełdowe. W opracowywanie scenariuszy szkoleń. W dane finansowe Rolkomu. W cokolwiek. Byleby się czymś zająć. Nauczyłem się, że praca to najlepszy sposób na problemy. Otumania je, wygłusza i sprawia, że zanikają jak dawno nieużywany mięsień. Nie pozwala o nich zapomnieć, ale odbiera im właściwości.

Przez dwie godziny robota szła mi nawet nieźle. W tym czasie pochłonałem trzy kawy i tyle samo tabletek przeciwbólowych. Ale potem usłyszałem pukanie do drzwi.

– Masz chwilę? – Przydupas był nienaturalnie podekscytowany. Jakby wcześniej niż wszyscy rozpoczął weekend.

– Pewnie. Wejdz.

Usiedliśmy na kanapie. Miała mi służyć do spotkań takich jak to, ale częściej wykorzystywałem ją jako leżankę. Tego dnia również miałem taki zamiar.

– Jak ci idzie z Rolkiem? – zapytał.

– Zgodnie z planem.

– Prezes wspominał, że Rolnicki kategorycznie odmówił. Ale podobno znalazłeś na niego jakiś sposób.

Nie mógł tego usłyszeć od Skody. A to oznacza, że sprawdzał, jak wiele jestem w stanie mu powiedzieć.

– To twardy gracz – odparłem. – Ludzie, którzy samodzielnie zbudowali duży biznes, mają specyficzny system wartości. Firma jest dla nich największym dobrem. Prawdziwym opus magnum. Rolnicki wie, że niczego bardziej spektakularnego już nie stworzy. I ta myśl krępuje jego rozsądek. Ale prędzej czy później go rozpracuję. Każdego można złamać. Trzeba tylko znaleźć odpowiednie narzędzia.

Poruszyłem głową gwałtowniej, niżbym chciał. Przydupas dostrzegł moją ranę, ale w żaden sposób jej nie skomentował.

– Trzymam kciuki – powiedział. – Być może nie zgadzamy się w kwestii wyboru celu akwizycyjnego, ale przecież gramy do jednej bramki. I właściwie dlatego do ciebie przyszedłem. Chciałem, żebyś o tym wiedział. – Wyciągnął przed siebie rękę. –

No hard feelings?

Ale żeś, kurwa, wybrał moment. Uśmiechnąłem się i uściśnąłem jego dłoń. Była ciepła, miękka i spocona. Jak gówno rozpaćkane na szybie. Na szczęście szybko przestałem o niej myśleć, ponieważ dostałem wiadomość. Zanurkowałem do kieszeni po telefon.

– Sporo nas różni, to fakt – kontynuował Przydupas. – Jestem typem pracowitego żuczka. Cierpliwie, dzień po dniu formuję swoją kulę, a potem mozolnie wspinam się na górę, popychając ją przed sobą. Nie ma przypadku w tym, że jestem w tej firmie od dwunastu lat. Nie możesz tego pamiętać, ale zaczynałem jako zahukany menedżer w dziale projektów specjalnych. Po kilku latach zostałem szefem całego departamentu. Później zacząłem bliżej współpracować z prezesem, a on po jakimś czasie złożył mi propozycję, abym wszedł do zarządu. To nie była efektowna droga. Nikt nie podziwiał moich postępów. Nikomu nie dałem też okazji, żeby mnie znienawidził.

Nie mogłem dłużej słuchać tego pierdolenia, więc zerknąłem na wiadomość. Pochodziła z dziwnego numeru, a nadawca się nie podpisał. Mimo to doskonale wiedziałem, kto ją wysłał. Artem. A właściwie jego kumpel. Ktoś tak przezorny jak ja nie mógł pozwolić, aby istniały jakiegokolwiek nici łączące mnie z tym dumnym uberowcem. Ale jednocześnie potrzebowałem pełnej kontroli nad sytuacją. Dlatego – oczywiście nie informując o niczym Artema – zostawiłem plik banknotów oraz swój numer bystrzejszemu z jego dwóch współlokatorów, jasno i wyraźnie tłumacząc, że może wysłać do mnie tylko jedną zgrabnie zakamuflowaną wiadomość z internetu, korzystając przy tym z komputera, którego w żaden sposób nie da się z nim powiązać. I wyłącznie w tak chujowej sytuacji jak ta.

Kurwa.

A więc go znaleźli. Dotarli do jednej z ledwie paru osób, które mogły się domyślić, czym tak naprawdę się zajmuję. Mogły, chociaż nie musiały. Ale tego katastrofalnego piątkowego poranka – naładowany negatywną energią, przegrzany, nie mogąc racjonalnie wnioskować – akurat na to nie wpadłem.

Struchlałem. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem się realnie zagrożony.

– Pewnie nie rozumiesz, jak to jest. Tobie wszystko przychodzi łatwiej. Jesteś typem geparda. Kiedy się gdzieś pojawiaasz, zrywasz parkiet z podłogi. – Przydupas uśmiechnął się do mnie, jak gdyby wyczuł mój lęk. – Przyszedłeś tu jako gwiazda, a w ciągu pół roku jeszcze wzmocniłeś swoją pozycję. Nie ukrywam, że czasem ci tego zazdroścę.

– Do czego zmierzasz?

Nie chciałem przeciągać tej rozmowy. Nie teraz. Musiałem przeanalizować plan. Upewnić się, że nie ma w nim więcej dziur. Że wpadka z Ukraincem – nieprzyjemna, ale do pewnego stopnia wkalkulowana – będzie ostatnią, z jaką przyjdzie mi się zmierzyć.

– Prezes nigdy się do tego nie przyzna, ale nie jest zachwycony pobylem w Polsce – stwierdził Przydupas. – Traktuje to jak zesłanie. Odkąd się tu pojawił, kombinuje, w jaki sposób wrócić na Wyspy. I oto nadarzyła się idealna okazja. Przejęcie, którym może zaimponować całemu europejskiemu rynkowi IT. I dzięki któremu może się dochrapać miejsca w zarządzie spółki matki. I właśnie dlatego chciałem wiedzieć, o czym marzy Kacper Berger. – W irytujący sposób podkreślił moje imię i nazwisko. Jakby mówił o bananowym dzieciaku, który dostał wszystko na tacy. A po wszystkim jeszcze zajebał tacę. – Jeśli akcja pójdzie zgodnie z planem, ktoś będzie musiał zająć miejsce prezesa. A naturalnym kandydatem jesteś właśnie ty.

Podarowałem Przydupasowi żalospny uśmiech. Najlepszy, na jaki w tym momencie było mnie stać.

– Chcesz wiedzieć, czy to mnie kręci? – zapytałem. – Czy byłbym zainteresowany, gdyby taka opcja pojawiła się na stole?

– Jestem ciekaw, co ze mną zrobisz, kiedy już do tego dojdzie.

Co on kombinuje? Po co włazi mi w dupę? Dlaczego stawia się w pozycji niezdolnego do liderowania frajera? Musiałem się tego dowiedzieć. Ale nie teraz.

– Kieruję się jedną zasadą – oznajmiłem. – Maksymalizacji zysków. Choć nie w wymiarze finansowym.

– A w jakim?

– Osobistym. Sprawiedliwość jest dla mnie wtedy, gdy dostaję więcej od pozostałych. A żeby tak było, muszę mieć blisko siebie ludzi, którzy wywiązują się ze swoich ról. Nie wyobrażam sobie armii bez żuczków, które nie tylko wpychają swoje kamienie na szczyt, ale też potrafią przenosić całe góry. Nawet jeśli nie do końca zdają sobie z tego sprawę.

Przydupas z wdzięcznością pokiwał głową.

– Miło mi to słyszeć.

– Nie traktuj tego jako deklaracji. Ani potwierdzenia, że gdybym otrzymał propozycję zostania szefem Clouda, tobym ją przyjął.

– A więc ta krążąca od paru tygodni plotka to prawda.

– Jaka plotka?

– Że dostałeś propozycję od pewnego bardzo wpływowego człowieka.

Wzruszyłem ramionami.

– Sprawa jest otwarta. Jedyne, na czym się teraz skupiam, to praca na rzecz Clouda. Szkolenia, zarządzanie działem sprzedaży, przejęcie. Nic więcej dla mnie nie istnieje. Nauczyłem się, że nie należy wybiegać zbyt daleko w przyszłość, bo nie wiadomo, co przyniesie jutro.

Przydupas pokiwał głową, jakby miał jakiegokolwiek pojęcie, o czym mówię.

– W takim razie róbmy to, w czym jesteśmy najlepsi. Dzięki za rozmowę.

Kiedy wyszedł, ponownie skupiłem się na wiadomości sprzed paru minut. Artem nie miał pojęcia, kim jestem. Nie mógł nic powiedzieć policji na mój temat, nawet gdyby podpięli mu akumulator do jaj. Dzięki temu wciąż miałem przewagę. Ale znacznie mniejszą, niżbym chciał.

To musiało się szybko zmienić.

Włożyłem marynarkę i wyszedłem z biura.

* * *

– Wierzycie temu Ukraińcowi?

Pytanie Wiesława Papszona zawisło w powietrzu niczym cieniutki balon, którego nikt nie miał odwagi tknąć, aby go nie przebić. Kiedy naczelnik dowiedział się o zatrzymaniu Artema Butki, omal nie uniósł się ze szczęścia. Ale gdy usłyszał, że być może mają jedynie Bogu ducha winnego człowieka, przez przypadek wkręconego w całe to zamieszanie, natychmiast zwołał zebranie w swoim gabinecie. I wyglądał na najbardziej wkurwionego spośród piątki pechowców, którzy jako jedyni mieli pełną wiedzę na temat śledztwa.

– On tego nie zrobił – odezwała się Maria. – Jego opowieść jest spójna. W domu Butki znaleźliśmy pieniądze, które miał dostać od Kitkarza. Poza tym scharakteryzował porywacza zgodnie z opisem, jaki zebraliśmy od świadków znad Wisły.

– Może facet jest dobrym aktorem – zasugerował Chudy. Jak przystało na ksenofobicznego buca z naziolskimi ciągotkami, od początku uważał, że Ukraińiec jest winien. Ten czy inny. Jeden chuj.

– To możliwe – odparła Maria. – Ale nie wygląda na cwaniaka toczącego z nami wyrafinowaną grę, tylko na zwyczajnego faceta, który przeraźliwie boi się deportacji.

– Bardziej niż więzienia – włączył się Oleg.

Papszon popatrzył na nich, a potem przeniósł wzrok na Rafała Lewińskiego. Ten nieznacznie skinął głową.

– Zgadzam się z nimi – odparł. – Wciąż czekamy na potwierdzenie, że tego wieczoru rzeczywiście zastępował kumpla w magazynie. Ale moim zdaniem to nie on.

Naczelnik przez kilka sekund strzelał wzrokiem do podwładnych, jednocześnie stukając zapalniczką w blat, jakby zamierzał go podziurawić. W końcu, już nieco spokojniejszy, odchylił się na oparcie.

– Co ten cały Butko powiedział o porywaczu? – zapytał.

– Niewiele. – Maria zerknęła do notatek, mimo że doskonale pamiętała wszystkie szczegóły. – Utrzymuje, że widział go tylko raz. Kitkarz przydybał Butkę, gdy ten palił szluga przed blokiem. Powiedział, że od czasu do czasu będzie jeździł Uberem w jego imieniu. Potem wręczył mu kopertę z hajsem i wziął od niego numer telefonu.

– I Ukraińiec nie zajarzył, że to co najmniej dziwne?

– Zajarzył, że w kopercie jest dziesięć tysięcy złotych. Musiałby zapieprzać przez kwartał, żeby tyle zarobić.

– Potem dostawał tysiąka za każdą taką akcję – dodał Oleg. – Dzięki Kitkarzowi żył jak pączek w maśle.

Papszon ciężko sapnął. Wiedział, jak silna potrafi być motywacja finansowa. Zwłaszcza dla kogoś, kto ledwo wiąże koniec z końcem. Za kilka patyków miesięcznie ludzie robią znacznie gorsze rzeczy niż pożyczanie samochodu i tożsamości.

– W jaki sposób się kontaktowali? – zapytał.

– Kitkarz wysyłał Butce esemesy z bramek internetowych – wyjaśniła Maria. – Informował go, gdzie i o której ma zostawić samochód. Potem pisał, skąd może go odebrać. Za każdym razem wskazywał inną lokalizację. Nie chciał dać się namierzyć. Według mnie liczył się z tym, że prędzej czy później trafimy na jego trop.

Maria miała rację. Zakładałem, że może do tego dojść. Że prędzej czy później mój misterny plan pójdzie w pizdu. Dlatego gdy dowiedziałem się o Ukraińcu, nie spanikowałem, a jedynie poczułem żal, że do tego doszło. Że jednak nie byłem dość przebiegły. Że będę musiał dokonać korekty założeń. To był policzek dla mojego intelektu. Nic więcej. A przynajmniej tak wtedy starałem się myśleć.

– Co wiecie o tym człowieku? – zapytał Papszon.

– Na pewno jest pomysły – odezwał się Lewiński. – Potrafi przewidywać bieg wypadków i umiejętnie ukrywa swoją tożsamość. Tego typu porwania wymagają niezłej ekwilibrystyki, więc jest całkiem prawdopodobne, że ktoś mu pomaga. Poza tym ma długie kudły, które przynajmniej na czas porwań związuje w kitkę, i nieźle się ubiera. Prawdopodobnie jest dzianym facetem. Butko dostał od niego łącznie ponad dwadzieścia kawałków.

– Wykonuje wolny zawód albo zajmuje w firmie pozycję pozwalającą mu swobodnie dysponować czasem – uzupełniła Maria. – Może też być bezrobotnym, który otrzymał pieniądze w spadku. Albo utrzymankiem. W przeciwnym razie nie byłby w stanie obserwować tych kobiet. I raczej nie znalazłby Butki.

– No właśnie. – Papszon splótł ręce na piersi. – Jak on do niego dotarł?

– Jeszcze nie wiemy – odezwał się Oleg. – Ale Kitkarz miał sporo informacji o Butce. Wiedział, gdzie mieszka, jak się nazywa i czym zajmuje.

– Musiał być jego pasażerem – odezwała się Maria, wbijając wzrok w podłogę. – To najsensowne wytłumaczenie. I jedyne, które na tym etapie powinniśmy brać pod uwagę.

Lewiński pokiwał głową.

– Trzeba sprawdzić, kogo Butko woził po mieście, zanim Kitkarz przyszedł do niego z propozycją – powiedział.

– To mogą być setki osób – zauważył Chudy.

W sali zapanowała cisza. Po paru sekundach przerwał ją Papszon.

– W takim razie czekają was setki rozmów. – Naczelnik po raz pierwszy w trakcie spotkania zdobył się na uśmiech. Dość upiorny, ale jednak uśmiech. – Mam nadzieję, że nie mieliście planów na weekend.

* * *

Stępienie emocji, które często przypisuje się ludziom o psychopatycznych skłonnościach, ma swoje dobre strony. Może na przykład uratować życie. Często więcej niż jedno.

Wyobraźcie sobie, że nagle nastaje epoka lodowcowa, którą przeżywa ledwie garstka szczęśliwców (lub pechowców). Albo dochodzi do katastrofy na morzu i trzeba błyskawicznie ewakuować pasażerów ze statku. Albo w stronę Ziemi pędzi gigantyczna asteroida, której nawet Bruce Willis i Ben Affleck nie są w stanie wysadzić, przez co niechybną katastrofę mogą przetrwać jedynie ludzie wystrzeleni

w trybie awaryjnym w kosmos. Wolelibyście, żeby w takich sytuacjach na czele zbiorowości, załogi lub świata stał egalitarny melepeta, godzinami roztrząsający każdy problem i użalający się nad losem słabych? Czy może twardy lider, gotowy poświęcić parę istnień, żeby inne mogły przetrwać?

Sytuacje ekstremalne wymagają podejmowania niepopularnych decyzji. Trudnych, często wypaczających etykę. Kłopot w tym, że zarządzania katastrofami nie da się nauczyć. Trzeba się z tym urodzić. A potem pielęgnować swój dar. Jak? Najlepiej nieustannie tańcząc na ostrzu noża. Na każdym etapie życia. W każdej jebanej sekundzie.

Akcja z Ukraińcami wystawiła mnie na próbę. Jeszcze nie najcięższą, ale jednak próbę. Musiałem udowodnić, że potrafię działać pod presją. Dlatego zaraz po pogawędce z Przydupasem zadzwoniłem do Janka. Miałem szczęście, ponieważ właśnie wrócił z jakiejś drętwej konferencji i gotów był zrobić wszystko, żeby się oderwać od pisania relacji. Przypomniałem sobie najlepszą knajpę w pobliżu jego pracy i powiedziałem, żeby zjawił się tam za pół godziny.

Nie musiałem go namawiać. Ludzie nie odmawiają darmowego żarcia. Zwłaszcza dziennikarze. Zwłaszcza jeśli mogą przy okazji zdobyć temat, na którym im zależy.

Zanim Janek pojawił się w lokalu, zamówiłem dla niego najdroższe owoce morza w karcie, butelkę najdroższego wina oraz najdroższy deser. Sam wziąłem jedynie kawę. Szóstą lub siódmą tego dnia, nie mogłem się doliczyć. Ostatnie chwile przed spotkaniem poświęciłem na tłumienie czegoś, co wiele osób nazwałoby paniką. Dla mnie były to jednak tylko niegroźne mikrowstrząsy.

– Chcesz pogadać o nowym pracodawcy czy o nowym zakupie?

Janek miał na sobie tanią beżową marynarkę, która nijak nie pasowała do jego musztardowych spodni, mimo że one też wyglądały jak wyszarpane z bazaru. Jego zaniedbana jasna grzywka niesfornie opadała na czoło, jak gdyby przez te wszystkie lata nie nauczył się nad nią panować. Przytargał ze sobą notatnik i dyktafon. Z pewnością wiedział, że nie zgodzę się na nagrywanie, ale chciał jednoznacznie określić swoje intencje. W gruncie rzeczy był bystrym gościem.

– To zależy – odparłem, serdecznie się z nim witając. – Mogę ci opowiedzieć o jednym i o drugim. Co cię bardziej interesuje?

Gdy Janek się rozsiadł, do stolika przydreptał kelner. Postawił przed moim gościem efektowny talerz z przegrzebkami, czarnym makaronem i sosem truflowym, a następnie powiedział parę słów o winie, które wybrał, i nalał porcję do kieliszka.

Janek był tym wszystkim bardziej onieśmielony niż oczarowany. Ale na szczęście szybko doszedł do siebie. Pociągnął łyk i sięgnął po widelec. Zanim zanurzył go w makaronie, spojrział mi głęboko w oczy.

– Musi ci na czymś bardzo zależeć – oznajmił. – I musisz mieć mało czasu.

– Pod niektórymi względami jesteśmy do siebie podobni. Ty też chwytasz temat zębami, gdy tylko nadarzy się okazja.

– To prawda. Ale ja nikomu nie daję w łapę. Podstawowa zasada dziennikarza śledczego: nigdy nie płać informatorom, bo się od nich nie uwolniesz.

– Gdybym chciał cię przekupić, zrobiłbym to inaczej.

– Jak?

– Zorganizowałbym weekend w pięciogwiazdkowym hotelu, sprowadził furmankę koku i opłacił dziwkę, która tak by cię zbajerowała, że nawet byś się nie zorientował, że jest kurwą. To... – wskazałem ręką talerz – powinieneś potraktować jako koleżeński gest.

Uśmiechnął się. Wreszcie nabrał na widelec makaronu. Pokiwał głową z uznaniem dla jego smaku. Albo dla sposobu, w jaki przedstawiłem sprawę.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał z pełnymi ustami.

– Chciałbym, żeby najbardziej opiniotwórcze media w Polsce zainteresowały się pewnym tematem. Nie biznesowym. Kryminalnym.

Janek porzucił na moment jedzenie i utkwiał we mnie wzrokiem.

– Chodzi o serię porwań kobiet w Warszawie – uściśliłem. – Z pewnością o tym słyszałeś.

– Robię w mediach. Nawet gdybym zatkał uszy, tobym się dowiedział.

– Kilka godzin temu policja zatrzymała w związku z tą sprawą pewnego Ukraińca. Nazywa się Artem Butko. Z dobrego źródła wiem, że śledczy będą musieli wypuścić go ze względu na brak dowodów. I że nie zamierzają się z nikim dzielić swoim odkryciem.

– Jest winny?

– Tego akurat nie wiem – skłamałem. – I prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Ale chciałbym, aby opinia publiczna nie miała co do tego wątpliwości. Aby po mieście rozeszła się fama, że policja zatrzymała Ukraińca podejrzanego o porwanie. Wiem, że na co dzień zajmujesz się czymś innym, ale z całą pewnością masz znajomych w dużych polskich mediach i potrafisz ich namówić, by przyjrzeni się sprawie. Jeżeli to zrobisz, opowiem ci o planach zakupowych Clouda i moich

negocjacji z Jackiem Solskim. Oba materiały dostaniesz na wyłączność.

Leniwie memląc żarcie, Janek analizował propozycję.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytał, biorąc kolejny łyk wina.

– Chcesz usłyszeć wersję oficjalną czy nieoficjalną?

– Prawdziwą.

– Mam na oku kilka biznesów. Dla jednego z nich głównym zagrożeniem jest tania siła robocza. I to nie sprzątająca klatki schodowe czy wożąca nasze leniwe dupska, lecz pracująca w poważnych usługach. Dlatego przydałaby mi się antyukraińska kampania, po której opinia na temat naszych kolegów ze Wschodu znacząco by się pogorszyła.

– I tak nie jest najlepsza.

– To była wersja oficjalna. Nieoficjalna jest taka, że po prostu nienawidzę Ukraińców. Mierzi mnie to, że zabierają nam miejsca pracy i ruchają nasze dupy. Wolałbym, żeby ich tu nie było. I jeśli w jakikolwiek sposób mogę się do tego przyczynić, zamierzam to zrobić.

– Mówisz serio?

Wzruszyłem ramionami.

– Świat bywa dziecinnie prosty.

Decydując się na rozmowę z Jankiem, podjąłem spore ryzyko. Byłem pewien, że nie łyknę bezrefleksyjnie tego tłumaczenia, a przez to przynajmniej częściowo zostanie dopuszczony do mojego świata. Jednak założyłem się z samym sobą, że nie będzie miał dość odwagi, aby wejść głębiej.

– To, o co prosisz, jest warte znacznie więcej niż dobry obiad i wywiad.

– Ile chcesz?

Pokręcił głową.

– Nie chodzi o pieniądze.

– A o co?

– O ciebie. Chciałbym usłyszeć twoją historię. Prawdziwą, od początku do końca. Bez ściem i uników.

– Część już znasz. Niewiele brakowało, żebyśmy posuwali te same panny.

– Mam na myśli nieopowiedzianą stronę twojego życia. Tę, która spowodowała, że stałeś się tym, kim jesteś. Chciałbym poznać esencję twojego istnienia.

O co mu, kurwa, chodzi? Przez kilka lat byliśmy ze sobą zżyci. Dzieliliśmy się przemyśleniami i drobnymi sekretami. Wspólnie imprezowaliśmy, uczyliśmy się,

snuliśmy wizję przyszłości. Nigdy nie dałem mu powodu, aby sądził, że wszystko, co wokół siebie buduję – wizerunek, kariera, pieniądze, kobiety – jest tylko fasadą.

– Za jakiś czas, jeżeli okoliczności będą sprzyjające, podam ci siebie na tacy – powiedziałem. – Ale najpierw zrób to, na czym mi zależy, okej?

Wahał się. Bał się konsekwencji, nie miał czasu albo nie chciało mu się podzwonić po kolegach. Na szczęście palące łaknienie sensacji w końcu wzięło górę. Pokiwał głową. Posłałem mu za to wdzięczny uśmiech, uściśnąłem jego spoconą dłoń i poszedłem uregulować rachunek. Zanim Janek zdążył wymemlać przegrzebki i przemyśleć swoją decyzję, wyszedłem z lokalu. Miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Tym razem przyjemniejszą. Znacznie przyjemniejszą.

Piątek, piąteczek, piątunio. Jest wiele rzeczy, z których mógłbym zrezygnować, żeby wspiąć się na szczyt. Ale nie z melanzowania. Nie z wtłaczania w żyły wody i dragów. Nie z polowania na dupeczki. Zresztą wcale nie jest powiedziane, że dzięki abstynencji pędziłbym przez życie szybciej. Człowiek potrzebuje równowagi. Trzeźwości i rauszu. Chilloutu i ostrej jazdy. Wygodnickiego marszu i regularnego spuszczenia sobie wpierdolu.

Nie musiałem szukać adresu Alicji, ponieważ ktoś – zapewne ona sama – zostawił na moim biurku ładnie pachnącą kartkę zapisaną charakterystycznym ukośnym pismem. Klimczaka 16. Między Świątynią Opatrzności Bożej, czyli słynną „wyciskarką” za ćwierć miliarda złotych, a biurowcem Royal Wilanów. Między sacrum a profanum. Między głupotą a pieniędzmi. W samym sercu burżuazyjnego Wilanowa.

Dojechałem tam na dwudziestą. I choć nie umówiliśmy się na konkretną godzinę, Alicja pojawiła się przed blokiem w chwili, w której taryfiarz włączył kierunkowskaz, aby zjechać na chodnik. Czekala na mnie. Wypatrywała. Wiedziała, że przybędę, i nie mogła się tego doczekać. Tak jak ja nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zedrę z niej tę czerwoną kieckę i wygrzmocę ją od tyłu. To był mój jedyny plan na wieczór. Piątkowy reset w jej gorącej cipce.

Na tę okoliczność przygotowałem kilka niebieskich pigułek, które miały zapewnić powodzenie mojej misji. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

– *Did you miss me?* – zapytała, wsiadając do taksówki i formując z rubinowych, mocno wyszminkowanych ust filuterny uśmiech.

– W każdej sekundzie. – Trudno było mi oderwać wzrok od efektownego dekoltu, ale miałem wrażenie, że jej to zupełnie nie przeszkadza. – Pięknie wyglądasz.

– Wiem. Co ci się stało w czoło?

– Uderzyłem się w skrzynkę na listy.

Spojrzała na mnie z ukosa. Dopiero po paru sekundach pojęła, że żartuję. I że nigdy nie usłyszy ode mnie prawdy.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Zobaczysz.

– Niespodzianka?

– Tak jakby.

Pojechaliśmy do mnie. Chciałem ją zaskoczyć, a coś mi mówiło, że Alicja zna większość lokali w Warszawie. Przynajmniej tych, w których warto bywać. Wykombinowałem więc, że z pomocą mojej wiernej Ukrainki przygotuję coś do jedzenia. Nakarmię Alicję ostrygami i spiję ją dobrym szampanem. A po wszystkim zabawię się z jej gorącym ciałem.

Przez większość drogi milczała, przypatrując się przez boczną szybę Warszawie, jakby przejeżdżała przez nią po raz pierwszy. Ożyła dopiero u mnie. Błyskawicznie, bez najmniejszej krępacji zrobiła tournée po pokojach. Potem usiadła w salonie, cierpliwie czekając, aż przyjdę z kolacją. Żaden ze mnie Jamie Oliver czy Amaro, ale Ukrainka zatroszczyła się o to, żebym niczego nie spieprzył. Dzięki temu zjedliśmy ze smakiem ostrygi, wypiliśmy pół butelki szampana i przegadaliśmy godzinę o dupie Maryny.

Było zadziwiająco drętwo. Może dlatego, że nie nawykłem do jedania kolacji w domu. Może przez to, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zależało mi na Alicji. A może dlatego, że miała w sobie coś, czego nie potrafiłem nazwać. Jakaś dziwną, skumulowaną pod skórą energię, która nie pozwalała mi się zbliżyć do jej sedna. Mimo że ciało Alicji miało niewątpliwą moc przyciągania.

– Jak trafiłaś do Clouda? – spytałem.

– Dzięki znajomościom. Mam wpływowego ojca, który lubi mi otwierać drzwi. Bez względu na to, czy tego potrzebuję.

– Podoba ci się tu?

– Pytasz w imieniu zarządu?

– W imieniu twojej piątkowej randki.

Wzruszyła ramionami.

– Firma jak firma. Byłam już w kilku międzynarodowych korporacjach. Wszystkie są do siebie podobne. W każdej są zblazowani pracownicy i nudni szefowie, którzy za

pomocą wrodzonego sprytu dorwali się do koryta.

– A mimo to z jednym z nich się umówiłaś.

– Bo jesteś inny. Nie masz w sobie zbyt wiele z korporacyjnego gryziopórka. Przypominasz mi buntownika. Gościa, który wgryza się w ten świat, żeby rozpieprzyć go od środka. Albo uformować na nowo. – Pociągnęła spory łyk szampana. – Tylko dlatego się z tobą umówiłam. Nie z uwagi na twój status, pieniądze czy wygląd.

Wolno pokręciłem głową.

– Nie wierzę ci. Zwłaszcza w tej ostatniej kwestii.

Alicja odstawiła pusty kieliszek na stół. Jeszcze bardziej spoważniała. Przypominała zimną sukę, która trzyma wszystkich pod piętnastocentymetrowym obcasem. Wszystkich i wszystko. Cały pierdolony świat.

– Gdzie to masz? – zapytała.

– Co takiego?

– Koks.

Uśmiechnąłem się.

– A skąd wiesz, że mam?

– Odrobiłam pracę domową. Wiem o tobie znacznie więcej, niż ci się wydaje.

Ponownie się uśmiechnąłem. Ale tym razem z zakłopotaniem.

– Myślałem, że jestem bardziej zagadkowy.

– Każdemu tak się wydaje. – Rozejrzała się po pokoju. – Gdzie mam szukać?

– W łazience. Otwórz szafkę nad zlewem. Znajdziesz tam niewielką kosmetyczkę, w której...

Nie dokończyłem, ponieważ Alicja zerwała się z krzesła. Nie zdążyłem jej wyjaśnić, że oprócz koksu może tam znaleźć pigułki ecstasy, kilka gramów palenia i paczkę kondomów. Niezbędnik imprezującego singla. Ale kiedy po chwili wróciła do salonu, wymachując swoimi zdobyczami, zrozumiałem, że ze wszystkim doskonale sobie poradziła.

– Chodźmy stąd – powiedziała. – Chcę się zabawić.

Zabrała mnie do klubu LGBT na Twardej. Nie bywam w takich miejscach, więc lekko się zdziwiłem, gdy zobaczyłem grupę drag queens wywijających na podeście. Ale jeszcze bardziej zaskoczyła mnie moc tej imprezy. Wszyscy wydawali się porobieni jak sam skurwysyn. W industrialnym wnętrzu, które przypominało połączenie wojskowego hangaru z pokojem zniewieściałego nastolatka, goście w ćwiekach mieszały się z pannami wyglądającymi jak gwiazdy porno. Wytwornice

dymu wypluwały potężne chmury momentalnie wchodzące w reakcję z dymem z papierosów, które palili chyba wszyscy. DJ nacierał z głośników hipnotycznym elektronicznym brzmieniem, jakby chciał rozpruć miasto na pół. Słowem: melanz w opór.

Czułem się tam jak w niebie.

Wypiliśmy dwie kolejki przy barze, a potem Alicja zaprowadziła mnie do kibla. Zamknęliśmy się w kabinie. Wyjęła z torebki lusterko i położyła je na spłucze. Następnie sprawnie niczym ćpun z dwudziestoletnim stażem wysypała na nie sporą grudę koksu. Kazała mi podzielić ją na dwie całkiem sute kreski, podczas gdy sama zwijała banknot w rulon. Szybko pozbyliśmy się obu ścieżek. A potem, na deser, zeżarliśmy po pigułce. Niczym napaleni gówniarze, którzy nie bardzo wiedzą, jak się obchodzić z dragami.

– Właściwie nie wiem, jak się nazywasz – powiedziałem, gdy czekaliśmy na nadejście fali uderzeniowej.

– Alicja – odparła, skrupulatnie układając narkotyczne akcesoria w torebce.

– A nazwisko?

– Po co ci? Chcesz wziąć na mnie kredyt?

– Nazwisko to element tożsamości. Ułatwia umiejscowienie człowieka na mapie.

– Nigdy nie przywiązywałam wagi do nazwisk. Ani do czyichś, ani do swojego. Zawsze wydawały mi się bagażem, który targamy wbrew woli.

– Dla mnie nazwisko jest wirtualnym substytutem twarzy. Zapisują się na nim wszystkie informacje na temat życia. Wszystkie sukcesy i niepowodzenia. Wszystkie bruzdy. Jest niezaprzeczalnym dowodem naszego jestestwa. Czasem nawet ważniejszym od gęby, ponieważ na nazwisko nie da się założyć maski.

Uśmiechnęła się.

– Mogę ci zdradzić swoje nazwisko. Ale może wolisz sprawdzić, czy włożyłam majtki?

Nie czekała na odpowiedź. Chwyciła moją dłoń i wsunęła pod kieckę.

No więc nie miała majtek.

No więc była niesamowicie mokra, jakby wytrysnęła i zapomniała się wytrzeć.

No więc byłem bezradny, kiedy drugą ręką chwyciła mnie za jaja.

Na szczęście pamiętałem o tym, żeby przed wyjściem z domu połknąć niebieską pigułkę.

Bawiła się mną. Przerwała tylko na chwilę, aby wyjąć z torby kondomy i rozpiąć

mi spodnie. O wszystkim pamiętała. Wszystko zaplanowała. I to prawdopodobnie na długo przedtem, zanim pojawiła się na moim szkoleniu.

Kim ona, do cholery, jest?

Zostawiłem to pytanie na później, bo zaczęliśmy się pieprzyć. Jak dwoje niewyżytych ćpunów, którzy zamiast się całować, dyszą i pociągają nosem. Jakbyśmy próbowali przetrząść się na wylot. Jakby jutra miało nie być.

Kiedy skończyliśmy, Alicja poprawiła kieckę i pocałowała mnie w usta.

– Do zobaczenia – powiedziała i wyszła z kibla.

Odczekałem kilkadziesiąt sekund, aby nikt nie pomyślał, że się tam gziliśmy, choć pewnie i tak wszyscy o tym wiedzieli – i każdy miał to w dupie. Wyszedłem z kabiny, a następnie umyłem twarz w zdezelowanym zlewie, który przypominał lej po bombie. Wytarłem się resztkami papieru i wróciłem na parkiet. Zacząłem szukać Alicji.

Ale nigdzie jej nie było, a ja nie miałem do niej numeru. Nie wiedziałem, jak się nazywa. Nie miałem pojęcia, co planuje. Mogłem oczywiście pojechać na Klimczaka z nadzieją, że ją tam spotkam, ale coś mi mówiło, że to bez sensu. Po przyjęciu takiej porcji dragów raczej nie wróciła grzecznie do domu. Poza tym pewnie wcale tam nie mieszkała.

Kiedy sięgnąłem po telefon, poczułem, że mam coś w kieszeni. Kawałek papieru. Karteczkę zgniecioną w kulkę. Wyjąłem ją. Rozwinąłem. Rozpoznałem na świstku charakterystyczne ukośne pismo i rubinowy kolor szminki. Przez dobrą minutę wpatrywałem się w wiadomość, próbując zrozumieć jej treść. Kiedy ją w końcu odcyfrowałem, zatkało mnie z wrażenia.

Teraz już wiesz, że można kończyć inaczej.

Poczułem się jak lew wydymany na własnym terytorium.

Zjazd. Biologiczne ścierwo. Pieprzony złodziej dopaminy i serotoniny. Największe przekleństwo rekreacyjnych ćpunów. A zarazem hamulec powstrzymujący ich – nas – przed wpadnięciem w otchłań.

Nie jestem gościem, który łatwo się poddaje, nawet biologii. Dlatego wiele lat temu podjąłem walkę ze zjazdem. Odkryłem bardzo prosty sposób, żeby go stłamsić. Po pierwsze, trzeba sobie znaleźć jakieś zajęcie. Niezbyt wymagające intelektualnie i niezbyt ważne. Najlepiej zobowiązujące do socjalizacji, która siłą rzeczy zmusza do tego, aby się jakoś trzymać. Po drugie, suplementacja. Trzeba się nafaszerować witaminami, magnezem, sokami detoksykującymi, izotonikami, bananami, gorzką czekoladą, zieloną herbatą i różnymi naparami. A najlepiej znaleźć zaufanego lekarza, ratownika medycznego albo pielęgniarkę – kogoś, kto podłączy was do kroplówki i wtłoczy w wasze żyły substancje, które paroma pociągnięciami nosem wyrzuciliście na śmietnik. Możecie to także zrobić samodzielnie, wystarczy mieć elementarną wiedzę medyczną i dojście do ludzi z odpowiednim sprzętem. A po trzecie, zapalcie jointa. Jeszcze nie rozgryżłem, o co w tym chodzi, ale palenie pomaga. Sprawia, że pan Nikt dostaje wpierdol.

Tak więc w to przemiłe sobotnie przedpołudnie zafundowałem sobie terapię detoksową i wypaliłem grubego jointa, a następnie włożyłem czapkę, okulary przeciwsłoneczne i cienką rozpinaną bluzę, w której wyglądam jak wuefista. Wyszedłem z mieszkania. Po mniej więcej półgodzinnym spacerze władowałem się do granatowej toyoty. Potrzebowałem kilkunastu sekund, żeby rozeznac się w kokpicie i ustawić muzykę. Odkryłem, że narkotykowego kaca najlepiej leczy jeden z Garych – Clark Jr albo B.B. Coleman. *The choice is yours*. Uruchomiłem apkę przewozową. Pociągnąłem kilka łyków izotoniku i ruszyłem na łowy.

Mam paru takich gości jak Artem. Młodych, głupiutkich, pełnych obaw o przyszłość chłopaczków, którzy daliby się pokroić, żeby zarobić sensowne pieniądze. Teoretycznie wystarczyłby mi jeden naiwniak. Ale żeby robić to dobrze, względnie bezpiecznie i czerpać z tego jeszcze większą satysfakcję, potrzebuję kilku

gamonii. W biznesie nazywa się to dywersyfikacją ryzyka. Dla mnie to jednak zwyczajny płodozmian. Stary jak świat i zadziwiająco skuteczny system gospodarowania zasobami, który pozwala minimalizować przypały.

Czasem muszę się sporo najeździć, żeby spotkać dupę, która mi się spodoba. Ale tym razem miałem szczęście. Pierwsze zlecenie przyszło z okolic Galerii Mokotów. Zatrzymałem się wzdłuż jezdni, włączyłem awaryjne i po parunastu sekundach drzwi do auta otworzyła długonoga piękność. Metr osiemdziesiąt, blond włosy, podłużna twarz. Typ modelki.

– Pan Andrzej? – zapytała.

– A pani musi być Matylda. Zapraszam.

Władowała się do tyłu, kładąc na siedzeniu dwie torby wypchane po brzegi zakupami. Były na nich logotypy Zary i Mango. Ciuchy. Jakżeby inaczej! Jeśli dziunia wyskakuje w sobotni poranek do galerii handlowej, jest niemal pewne, że wybiera się po szmaty. Zapewne na wieczór. Zapewne po to, żeby zrobić na kimś wrażenie.

– Szykuje się pani na imprezkę? – zapytałem nieco bełkotliwie. To nie był czas i miejsce, żeby zgrywać inteligenta.

– Na imprezkę? – zdziwiła się.

Wycelowałem kciukiem za siebie.

– Była pani na zakupach.

– Czasem trzeba. W tygodniu nie mam czasu, a w niedzielę się nie da.

– Idzie pani na jakiś bal?

Próbowała złapać mnie wzrokiem w lusterku. Chciała mi się przyjrzeć. Ocenić, kim jestem i z czego wynika moje wścibstwo.

– Nie – odparła. – Po prostu musiałam uzupełnić garderobę.

– Widzę, że się udało.

– W miarę.

– Przepraszam, że się wtrącam. Ale mam znajomą, która zawsze coś kupuje przed ważnymi imprezami, jakby się zbroiła na wojnę. Taki nawyk.

– Nigdzie się nie wybieram. A przynajmniej jeszcze nic o tym nie wiem.

A więc nie wyklucza, że jednak ruszy się z domu. Takie panny jak ona pewnie mogą przebierać w propozycjach. Urodziny, imieniny, parapetówki, panińskie, integracyjne. Imprezy inicjujące i żegnające wakacje, pracowników czy projekty firmowe. Ocean możliwości. Gdyby rzeczywiście zamierzała zawinąć się w koc,

rozwalić na kanapie, rozpieczętować wino i oglądać Netflixa, toby o tym powiedziała. Skoro tego nie zrobiła, to znaczy, że – świadomie lub nie – zamierza się wieczorem zeszmacić.

– Piękny dzień – stwierdziłem. – Żał siedzieć w domu. Umówiłem się z żoną, że gdy tylko skończę pracę, pojedziemy do Zegrza. Poleżymy na plaży, może rozpalimy grilla. Mieszkamy na Bielanach, więc w pół godziny będziemy na miejscu. – Zerknąłem w lusterko wsteczne. – Lubi pani wyskoczyć za miasto?

– Jak każdy – burknęła.

– Jeśli mieszka pani w północnej części miasta, to polecam Zalew Zegrzyński. To raj dla żeglarzy, plażowiczów i osób, które po prostu lubią wypić piwko. Czyli takich jak ja. – Zaśmiałem się. – Ma pani swoje ulubione miejscówki?

– Nie mam.

Zabawne, że korzystając z nowoczesnej aplikacji, stworzonej przez firmę wartą ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów, muszę udawać stereotypowego taryfiarza. Upierdliwego gadułę, który nie daje pasażerowi spokoju. Który nie potrafi uszanować prywatności. Brakuje tylko tego, żebym odpalił disco polo i zaczął obrażać imigrantów.

Ale tak już musi być. To mój modus operandi. Najpierw zdobywam strzępy informacji. Potem obserwuję i słucham. Ludzie zadziwiająco często rozmawiają w obecności obcych o intymnych sprawach. O chujowych szefach, chujowych chłopakach, chujowym ojcu. O zawodowych problemach i rodzinnych dramatach. O tym, jak zamierzają spędzić kilka najbliższych godzin. O planach na wieczór. O ważnych dla siebie adresach. Gdyby chodziło tylko o to, żeby te laski siekać, mógłbym rozbrajać nawet po kilka sztuk dziennie. Byłoby to dziecinnie proste.

Matylda reprezentowała jednak inny typ. Nie kłapała dziobem. Nie wydzwaniała do psiapsiółek. Nie zniżała się do poziomu faceta, który wozi ją po mieście. Zanurzyła się w smartfonie i zamilkła na dobre.

Chciała, żebym podrzucił ją w okolice Starego Miasta, więc zapewne zamierzała się spotkać ze znajomymi. Być może z kimś z dawnych lat, kto postanowił odwiedzić ją w Warszawie i przy okazji chciał pozwiedzać. Byłem niemal pewien, że jest słoikiem, który wolno i niekoniecznie szczęśliwie adaptował się do życia w stolicy. Roszczeniową panną z wygórowanymi wymaganiami. Dziunią, której byle korporacyjny szcurek nie jest w stanie zadowolić. Prawdziwą miss pipidowy. Suka, której powinienem pokazać miejsce w szeregu.

Ale nie mogłem tego zrobić.

Odstawiłem ją w okolice Zamku Królewskiego. Pociągnąłem kilka łyków izotoniku, a następnie zacząłem szukać kolejnego zlecenia. Pierwsze podejście się nie udało, ale nie załamywałem rąk. Nie ta, to następna. Tego kwiatu jest pół świata.

* * *

Życie nauczyło mnie, że nie można zbyt wcześnie wybierać przyjaciół ani wrogów. Zwykle takie wybory – dokonywane w pośpiechu, w gniewie, w irracjonalnym uniesieniu wywołanym jakimś zdarzeniem – są miałkie i nietrafione. Nie wytrzymują próby czasu. Nie są w stanie przetrwać konfrontacji z rzeczywistością. Nie mają właściwego ciężaru gatunkowego, aby móc obowiązywać przez całe życie.

Jednak Maria nie miała tego problemu. Wytypowała swojego wroga, będąc jeszcze nastolatką. A potem, kiedy stawała się coraz dojrzałą kobietą, starannie pielęgnowała nienawiść. Pozwalała jej pęcznieć i pięknieć. Stawać się wielkim tworem o niewyobrażalnie długich mackach, które obejmowały każdy obszar jej życia.

To przez nienawiść została policjantką. To dlatego poślubiła faceta, który jest lustrzanym odbiciem jej wroga numer jeden. To przez nienawiść prowadziła życie w zadziwiająco gówniany sposób, czyniąc je zadziwiająco podobnym do tego, jakie wiódł jej przeciwnik.

– Spóźniłaś się. – Powitał Marię uśmiechem, który ją irytował, odkąd sięgała pamięcią. – Byliśmy umówieni na dwunastą.

– Niespodziewane sobotnie korki – odburknęła. – Poza tym mieszkasz na końcu świata.

– Normalni ludzie przyjeżdżają na Kabaty metrem.

– Nie korzystam z metra.

Maria ucięła to rozwlekłe powitanie, przestąpiła przez próg i zdjęła buty. Nie chciała przeciągać spotkania. Zamierzała potraktować wroga jak neutralnego eksperta, którego od czasu do czasu prosi o radę. Jak przykry, ale konieczny element śledztwa. Najchętniej zgłosiłaby się w tej sprawie do kogoś innego. Kłopot w tym, że nie знаła lepszego profilerą od swojego ojca.

Ireneusz Falk miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Był szczupły, wręcz patykowaty. Miał przerzedzone siwe włosy i niezbyt imponujący zarost, który nierówno obrastał policzki. Nosił porozciągane koszulki i dżinsy. Znad luźnych

okularów, które zjeżdżały na czubek nosa, wpatrywał się w rozmówców charakterystycznymi błękitnymi oczami. To dzięki nim wydawał się przystojny.

Za to też Maria go nienawidziła.

Ale przede wszystkim nie cierpiała ojca za sposób, w jaki obszedł się z jej matką. Zapamiętała go jako obcesowego gbura, dla którego kobieta była tylko mało istotną ozdóbką. Dodatkiem ułatwiającym życie. I którego można się bez żalu pozbyć, jeżeli przestanie sprawiać frajdę.

Podobnie traktował swoje jedyne dziecko. Był dla niej wiecznie nieobecny ojcem. Tatuśkiem z doskoku, który pojawiał się i znikał, kiedy było mu wygodnie.

Raz mu powiedziała, że jeśli miałyby się okazać takim rodzicem jak on, wolałaby nigdy nie mieć dzieci. I być może w ten sposób wykrakała swój los.

– Przejrzałaś materiały, które wysłałam? – zapytała, wchodząc do salonu wypełnionego regałami uginającymi się od książek, z biurkiem idealnie wkomponowanym we wnękę przy oknie.

– Owszem.

– I?

– Jesteś pewna, że porwał tylko te cztery kobiety?

– Z tymi udało nam się go powiązać. Ale nie wykluczamy, że mogło być ich więcej. Dlaczego pytasz?

– To wszystko wygląda na bardzo uporządkowane. Trochę za bardzo.

Oparł się o krzesło i zlustrował córkę od stóp do głów. Skonstatował w myślach, że w ogóle się nie zmieniła. Wciąż była nieatrakcyjną chłopczycą, która budowała wokół siebie trudną do sforsowania barierę.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Spieszę się. O co chodzi z tym uporządkowaniem?

Ireneusz wolno pokiwał głową. Odwrócił się w stronę biurka, zgarnął notatnik i otworzył na ostatniej zapisanej stronie.

– Twój człowiek ma dopracowany sposób działania. Porywa ofiary z tłocznych miejsc, w których stosunkowo łatwo może im dosypać coś do drinka i gdzie nikogo nie zdziwi widok zataczających się młodych kobiet. Parkuje w miejscach, których nie obejmuje monitoring. Przebiera się w umiejętny sposób: tak by wzbudzać zaufanie, a zarazem nie dać się zapamiętać. Dobrze się kamufluje i zaciera ślady, przez co nie jesteście w stanie go namierzyć. Gdyby nie wpadka z Uberem, ścigalibyście ducha.

– O czym to świadczy?

– Albo macie do czynienia z wyrachowanym psychopata, albo ten człowiek dokonywał już podobnych przestępstw. Może nawet zabijał. Na waszym miejscu przejrzałbym bazy danych pod kątem gwałcicieli i pedofilów.

– Te dziewczyny miały po dwadzieścia kilka lat. Nie były dziećmi.

– I tu przechodzimy do kolejnego punktu. Kitkarz, jak go nazywasz, wybiera określony typ kobiet. Ludzie, którzy tak robią, zwykle odreagowują traumy z dzieciństwa. Być może piękna blondwłosa siostra, ciotka albo sąsiadka zaszła mu za skórę. Ale w większości przypadków chodzi o matkę. Mogła go bić albo znęcać się nad nim psychicznie. – Wzruszył ramionami. – A może była prostytutką i zmuszała go do oglądania, jak obsługuje klientów.

– To akurat mało prawdopodobne. Podejrzewamy, że sprawca wywodzi się z wyższych sfer. Wręczył Ukraincowi worek pieniędzy, żeby móc się pod niego podszywać. Wątpię, żeby maltretowany syn prostytutki wyrósł na kasiastego gościa.

– Zdarzają się przypadki niezwykle zdeterminowanych osób, na które dziecięce krzywdy działają mobilizująco. Gotowych zrobić wszystko, aby udowodnić, że są w stanie stanąć na nogi.

– Jeszcze coś?

– Tak. – Posłał jej posępne spojrzenie. – Te kobiety nie żyją. Nie łudź się, że może być inaczej.

Maria ciężko wypuściła powietrze. Protekcyjnalny ton był kolejną rzeczą, za jaką nienawidziła starego. Wyjęła z kieszeni telefon i włączyła notatnik. W kilku punktach spisała jego najważniejsze spostrzeżenia.

– Co u Piotra? – zapytał Ireneusz.

– Nie wiem.

– Nie rozmawiacie ze sobą?

– Jeśli tak bardzo cię interesuje, powinieneś do niego zadzwonić. Zawsze się dogadywaliście.

– Nie wylewaj na mnie swoich frustracji. To nie ja zniszczyłem twój związek.

Ale zniszczyłeś wszystko inne, pomyślała Maria. Moje dzieciństwo. Moje postrzeganie relacji międzyludzkich. Moje plany. Moją matkę. Zniszczyłeś absolutnie wszystko, co tylko ojciec jest w stanie zniszczyć.

– Muszę już iść.

Schowała telefon i przez kilka sekund wpatrywała się w ojca. Chciała powiedzieć coś na odchodne, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Przyzwyczaiła się, że zwraca się

do niego jak do kundla. Jakby się podświadomie zaprogramowała na sprawianie mu przykrości.

– Dam ci mądrą radę. – Ireneusz zdjął okulary i przetarł szkła koszulką. – Nigdy nie byłem dobry w budowaniu relacji. I zawsze mi się wydawało, że sobie poradzę, gdy kiedyś zostanę sam. Ale samotność jest fajna tylko do czasu. W pewnym momencie robi się nieznośna. Zaczyna cię zżerać od środka. Dlatego dobrze jest mieć obok kogoś, do kogo można otworzyć gębę. – Włożył z powrotem okulary i popatrzył na Marię. – Cokolwiek się wydarzyło między tobą a Piotrem, spróbuj to naprawić. Albo chociaż zadbaj o to, żeby nie spieprzyło się jeszcze bardziej.

Maria wyjęła kluczyki. Wyłącznie po to, żeby pobawić się brelokiem. Żeby zaplątać w coś paluchy i nie patrzeć na ojca.

– Muszę iść – powtórzyła.

– Już to mówiłaś.

Ojciec skierował się do kuchni, aby ułatwić im rozstanie. Chwilę później Maria wyszła na korytarz, zatrzasnęła drzwi i zbiegła na parter.

* * *

Wydawała się idealna. Duże, ciekawskie oczy oraz pełne usta. Zgrabny, nienachalny biust. Blond włosy do ramion. Dziewczęcy uśmiech. Paradowała w obcisłej kiece sięgającej do połowy ud. A do tego była bezdennie głupia.

W trakcie dziesięciminutowej przejażdżki z nieznanym Zofia ujawniła, że ma dwadzieścia lat. Opowiedziała o upierdliwych sąsiadach w kamienicy na Starym Mokotowie. Napomknęła o współlokatorkach studiujących, podobnie jak ona, na Politechnice Warszawskiej. Wspomniała nawet o rodzinnych Skierniewicach, z których ze strachu przed brakiem perspektyw wyjechała już w trakcie liceum.

Zuch dziewczyna.

Wracając pieszo do domu, gapiłem się na jej zdjęcia. Nie były oszałamiające. Ale też nie zrobiłem ich po to, żeby sobie trzepać. Chciałem udokumentować codzienność Zofii. W ramach pracy domowej. Dziewczyna wydawała się szczerą i z niewiarygodną naiwnością odsłaniała przede mną kolejne fragmenty życia, ale musiałem mieć pewność. Musiałem przejrzeć ją na wylot, nim podejmę kolejny krok. Jakikolwiek by on był.

Wróciłem do mieszkania. Zacząłem zrzucać z siebie ciuchy: bluzę, spodnie i tę idiotyczną czapkę. Poprawiłem fryzurę. Wreszcie przeniósłem się do salonu

i odpaliłem kolejnego jointa. Czułem, że pan Nikt puka do bram, więc musiałem go czym prędzej uciszyć.

Włączyłem telewizor. Ustawiłem kanał informacyjny, w którym jakaś tępa sraka z wielkim przejęciem opowiadała o politycznej ustawce, nie mając bladego pojęcia, że to ustawka. Po niej kamera pokazała parę smutnych prezenterów. Potem pojawiłem się ja. Tak, ja. W rysunkowej postaci. Nawet całkiem podobny do siebie. A przynajmniej do tej wersji mnie, którą mogli widzieć świadkowie porwań.

Po wpadce z Artemem stało się jasne, że policjanci zagną na mnie parol. Wiedziałem, że przygotowują coś w rodzaju listu gończego i poproszą ludzi o pomoc. Że uruchomią wszelkie możliwe kanały. Ale ja potrafiłem temu przeciwdziałać. Właśnie po to spotkałem się z Jankiem i kazałem mu urobić kóregoś z kolegów po fachu, aby teraz smutni ludzie z telewizji lali miód na moje serce.

Jak informuje „Dziennik Stołeczny”, warszawska policja zatrzymała podejrzanego. To dwudziestosześcioletni Ukrainiec, który od kilku lat mieszka w Polsce. W tej chwili przebywa w areszcie śledczym na Białołęce, gdzie przesłuchują go funkcjonariusze z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Policja odmówiła komentarza na ten temat.

Janek dobrze się spisał. Nawet lepiej, niż sądziłem. Dzięki temu, kończąc drugiego jointa tego dnia, byłem już zupełnie wyluzowany.

Nienawidzę marnować czasu, ale po nieprzespanej nocy, w trakcie której wpompowałem w siebie morze dragów, i po paru godzinach spędzonych w roli kierowcy byłem wyczerpany. Musiałem odetchnąć. Odsapnąć. Dlatego na resztę soboty nie zaplanowałem nic wymagającego. Zamierzałem zjeść obiad wystrugany drobnymi ukraińskimi rączkami i pójść spać. Zresetować się. Naoliwić umysł, aby mógł w pełnym rynsztunku mierzyć się z kolejnymi erupcjami fakapów. Bo tych, choćbym nie wiem jak bardzo pragnął zczarować rzeczywistość, nieustannie przybywało: Solski, przejęcie, facet na imprezie Rolnickiej, Artem i teraz jeszcze Alicja.

Zjadłem obiad ze smakiem i miałem się położyć, kiedy usłyszałem dzwonek do drzwi. Zbliżyłem się ostrożnie i wyjrzałem przez judasza. Ujrzałem jakiegoś podejrzanego typu. Ostrzyżonego na jeża, z krzaczastą brodą i bliznami na czole, ubranego w ciemną skórzaną kurtkę, mimo że wciąż było cholernie gorąco. Wyglądał

jak były bokser, który ma za sobą niezbyt udaną karierę. Nie widziałem jego oczu, ponieważ przez cały czas się pochylał. Skrobał coś na kartce. A kiedy skończył, przyłożył ją do judasza.

Wiem, że tu jesteś. Otwórz. Musimy pogadać.

Zdębiałem. Nie miałem pojęcia, kim jest ten gość ani czego może chcieć. Z całą pewnością nie był z policji, chyba że przyodział najlepszy kamuflaż na świecie. I z całą pewnością był sam, więc raczej nie zamierzał wyrządzić mi krzywdy. Chciał pogadać.

Włożyłem spodnie i otworzyłem drzwi.

– Kim pan jest? – spytałem.

Przez chwilę uważnie mi się przyglądał, po czym popchnął drzwi i władował się do środka. Zapalił szluga i zaczął się przechadzać po mieszkaniu, jakby to były jego nowe włości. Teren, który właśnie podbił.

– To nieistotne – odparł ze sporym opóźnieniem, stojąc do mnie tyłem. – Ważne jest to, czym się zajmuję. I kim są moje pracownice. – Odwrócił się. Odślonił rząd krótkich, zniszczonych przez nikotynę zębów. – Jedną z nich poznałeś. Była tu. Mówiłeś na nią Renia.

Powinienem był się domyślić, że to alfons. Nawet ich dotknęła rewolucja organizacyjno-kulturowa, przez co większość współczesnych sutenerów prowadzi kilka firm, nosi garnitury i chodzi na spotkania biznesowe. Ale wciąż zdarzają się wyjątki. On był jednym z nich. Twardogłowym, nieustępliwym, groźnym. Grającym w lidze, w której nie lubiłem występować.

– Jeśli nie dostałeś swojej doli, możesz mieć tylko do niej pretensje – powiedziałem.

– Nie chodzi o nią. Ani o pieniądze. Oddała mi wszystko, co do złotówki. Także za dodatkowe usługi, na które się nie umawialiście. Tu chodzi o ciebie. – Ponownie wyszczerzył kły. – O to, kim jesteś.

– To znaczy?

– Moja robota wymaga dobrych relacji z psami. Mam znajomych w kilku wydziałach. Informują mnie, kiedy kroi się coś na mieście. Ostatnio było dość spokojnie, a przez to głównym tematem stały się porwania tych dupeczek. Od jednego z kolegów usłyszałem, że ten jebany banderowiec, którego zatrzymali, jest niewinny.

I że podobno pożyczal swoją tożsamość prawdziwemu porywaczowi, który podszywał się pod kierowcę Ubera. – Wyrzucił peta na podłogę i wgniół go butem w panele. – A tak się składa, że wiem, co robiłeś przez ostatnie osiem godzin.

Dopiero teraz wpadłem na to, by wyłączyć telewizor, który wciąż wypluwał wiadomości. Głównie na mój temat.

– Czego chcesz? – spytałem.

Facet ponownie zaczął się szwendać po mieszkaniu.

– Od razu widać, że jesteś biznesmenem. – Zatrzymał się przy kuchennym zlewie. Zdjął z suszarki szklankę i nalał wodę. – Zawsze wszystko przeliczasz na pieniądze?

– To najlepsza waluta. Wszyscy ją rozumieją. Choć nie wszyscy wiedzą, jak ją spożytkować.

– Ale ty nie jesteś palcem robiony. Wiesz, jak się obchodzić z kasą.

Kiwnąłem głową.

– Ile? – zapytałem.

Pociągnął kilka łyków, po czym odstawił szklankę na stół.

– Dwa miliony.

– To za dużo.

– Pamiętaj, że wiem, kim jesteś.

– Za dużo, żeby nie wzbudzając podejrzeń, załatwił takie pieniądze na cito. Nie zaryzykuję schwytania dlatego, że jakiś alfons chce się na mnie szybko wzbogacić.

Facet podrapał się po ryju. Najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy. Być może jest ciut bystrzejszy od napakowanej ameby, za jaką początkowo go wziąłem, ale dalej to tylko tępy naganiacz.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Abonament.

Roześmiał się.

– Co, kurwa?

– Przez dwa lata będę ci wypłacał po sto tysięcy złotych miesięcznie. Łącznie dostaniesz prawie dwie i pół bańki, a więc więcej, niż sobie wymyśliłeś.

– A co potem?

– Nic. Spłacę cię i każdy pójdzie w swoją stronę. Uznamy, że moje zobowiązanie zostało zlikwidowane, i nigdy więcej się nie spotkamy.

Ponownie podrapał się po gębie. Myślał. Analizował ofertę. A kiedy w końcu jego rozklekotana łepetyna wypluła odpowiedź, podszedł do mnie i wyciągnął nóż.

Odruchowo przyłgnałem plecami do ściany, a on przyłożył mi ostrze do szyi.

– Mam lepszy pomysł. Spotkamy się tutaj w poniedziałek. Odbędziemy miłą pogawędkę, może nawet wypijemy kawę. A po wszystkim wyjdę stąd z trzema milionami w gotówce. Co ty na to?

Pokiwałem głową, gdyby tylko ostrze nie wbijało mi się w skórę.

– Mamy umowę?

– Tak – wymamrotałem.

Alfons wyszczerzył zębiska i powoli schował nóż.

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, bo cię rozpierdolę.

Żeby dowieść, że nie blefuję, z całej siły uderzył mnie w brzuch. Momentalnie złożyłem się wpół i osunąłem na podłogę.

Kiedy otrząsnąłem się po ciosie, gościa już nie było. Słyszałem tylko jego powolne kroki na klatce schodowej. Podniosłem się. Wciąż czując zatykający ból, jakby ktoś ścisnął mi bebechy imadłem, próbowałem zrozumieć, co tu się przed chwilą odjaniepawliło.

To zdecydowanie nie jest moja liga. No cóż, Messi w polskiej ekstraklasie też by chuja zdziałał.

* * *

– Ludka zaprasza cię na kolację.

Maria oderwała dłonie od twarzy. Ze zdziwieniem popatrzyła na Olega.

– Kto?

– Ludka. Ludmyła. Moja żona. Powiedziała, żebyś wpadła już dzisiaj, ale zasugerowałem, że to nie najlepszy pomysł. Pewnie masz jakieś plany.

– Po co?

– Co po co?

– Po co ta kolacja?

Oleg wzruszył ramionami.

– Oficjalnie? Ludka wie, że nie jestem mistrzem nawiązywania relacji, więc próbuje mi pomóc. Chce mnie zintegrować z kimś, z kim w jej mniemaniu nie potrafię zbratać się samodzielnie. A nieoficjalnie chciałaby poznać kobietę, z którą spędzam więcej czasu niż z żoną. Bywa zazdrosna, ale nie powinnaś się tym przejmować. – Uśmiechnął się cierpko. – Oczywiście zaprasza cię razem z mężem.

Maria rozejrzała się po opustoszałym dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego.

Siedzieli pod drzewem na jednej z ławek, niedaleko wejścia od strony Krakowskiego Przedmieścia. Umówili się z kobietą, która mogła widzieć Kitkarza. I żeby jakoś umilić czas oczekiwania, Oleg podjął najbardziej drażliwy temat, jaki Maria mogła sobie wyobrazić.

Ewidentnie nie nadawali na tych samych falach.

– Kiedy? – zapytała Maria.

– Jutro, za tydzień, za dwa. Jak ci wygodnie.

– Powinno się udać. Przyjdę sama.

Zanim Oleg zebrał się na odwagę, aby rozwinąć ten wątek, wyrosła przed nimi mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o kruczoczarnych włosach. Wysoka, szczupła i niezdarza, poruszająca się w szpilkach tak, jakby po raz pierwszy miała je na nogach.

– Przepraszam, że musieli państwo czekać. – Justyna Kornicka przywitała się z policjantami silnym uściskiem dłoni, po czym usiadła na ławce. Wygrzebała z torebki cienkie papierosy. Zapaliła. – Moi przełożeni potrafią być bardzo uciążliwi. Zwłaszcza w trakcie wakacji.

– Myślałem, że macie dwa miesiące laby – odezwał się Oleg.

– Rząd też tak myśli. Ten i wszystkie poprzednie. – Kornicka pokręciła głową, jak gdyby odpowiadała na pytanie, które sama sobie zadała. – Mniejsza o to. Jak mogę pomóc?

Justyna Kornicka ma trzydzieści jeden lat. Od ponad dekady mieszka w Warszawie. Od paru lat pracuje na Uniwersytecie Warszawskim – jest doktorantką na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych. Regularnie korzysta z Ubera. Tyle udało się Olegowi dowiedzieć przed spotkaniem. Resztę informacji musieli wyciągnąć bezpośrednio od niej.

– Z pewnością słyszała pani o porwaniach młodych kobiet w Warszawie – odezwała się Maria. – Szukamy człowieka, który za tym stoi.

– Podobno zatrzymaliście podejrzanego. Jakiegoś młodego Ukraińca.

– Proszę nie wierzyć we wszystko, co pojawia się w mediach. Prawdą jest tylko to, że zatrzymaliśmy człowieka, który może coś wiedzieć na temat porwań. Ale to nie jest osoba, którą ścigamy.

– Cudownie.

Maria podążyła wzrokiem za wydmuchniętą przez Kornicką chmurą dymu. Doktorantka paliła szybko i nerwowo. Jakby chciała wyrzucić swoim płucem

ponadprogramową krzywdę. Albo jakby niedawno nauczyła się palić.

– Podejrzewamy, że porywacz podszywał się pod zatrzymanego przez nas człowieka, aby móc jeździć Uberem – kontynuowała Maria. – W ten sposób wybierała ofiary, pozostając dla nich anonimowy. Wiele wskazuje na to, że była pani jedną z jego klientek.

Jeśli na Kornickiej ta nowina zrobiła jakiegokolwiek wrażenie, to nie dało się tego po niej poznać. Może jej przestrzeń na złe wiadomości była tak wypchana zblazowaniem i marudnością, że już nic więcej nie dało się tam wcisnąć.

– Kiedy to było? – zapytała.

– Dwudziestego dziewiątego czerwca – odezwał się Oleg. – W sobotę.

Kornicka zmarszczyła brwi. Chwilę później zgasiła papierosa i wyjęła telefon. Otworzyła aplikację i przeanalizowała swoje przejazdy. Zatrzymała się na podróży z dnia, o którym wspomniał Oleg. Przez kilka sekund wpatrywała się w miniaturowe zdjęcie Artema.

– Pamiętam ten przejazd – oznajmiła. – Jechałam na imprezę do znajomego. Wystawiłam kierowcy pięć gwiazdek. Ale trudno mi powiedzieć, czy to był ten facet.

Maria otworzyła torebkę. Wydobyła złożone na pół zdjęcie formatu A4. Podała je Kornickiej.

– To Artem z Ubera. Czy widziała pani tego człowieka?

Kornicka pokręciła głową.

– Nie. Tamten wyglądał inaczej.

– Inaczej?

– Lepiej. Też miał długie włosy, ale był przystojniejszy.

Maria ponownie zanurkowała do torebki.

– Czy to on? – zapytała, pokazując Kornickiej swój portret pamięciowy.

– Prędzej. Choć człowiek, którego wtedy spotkałam, nie miał zarostu. A jego twarz wydawała się węższa.

– Coś jeszcze?

– Nie przyglądałam mu się zbyt uważnie. Ale gdybym zobaczyła jego zdjęcie, tobym go poznała. Mam dobrą pamięć do twarzy. Gorzej z nazwiskami.

– Rozmawialiście ze sobą?

Kornicka przytaknęła, a potem zapaliła kolejnego peta. Maria zauważyła, że jej ręce drżą. Chyba zaczęła rozumieć, do jakich wniosków to wszystko prowadzi.

– Zadawał sporo pytań – powiedziała.

– O co?

– O mnie. Chciał wiedzieć, czym się zajmuję i gdzie mieszkam. Był ciekawski.

– Wyglądała pani tak jak teraz? – spytała Maria.

– Z grubsza tak. Miałam może trochę dłuższe włosy.

Maria uważnie przyjrzała się Kornickiej, po czym głośno wypuściła powietrze.

– Ma pani męża?

– Narzeczonego.

– Nie chcemy pani straszyć, ale dobrze by było, gdyby do czasu zakończenia śledztwa wychodziła pani na miasto wyłącznie w jego towarzystwie. I gdyby unikała pani imprez masowych. Nawet z narzeczonym u boku.

Policjanci zebrali od Kornickiej jeszcze kilka informacji, po czym zostawili ją na ławce, zupełnie skonsternowaną, i ruszyli w stronę parkingu. Oleg człapał pół kroku za Marią, intensywnie o czymś rozmyślając.

– Dziwne, że się nią zainteresował – stwierdził. – Kornicka nie pasuje do profilu. Jest po trzydziestce, pochodzi spod Warszawy, ma ciemne włosy.

– Dlatego zapytałam o wygląd. To nie jest jej naturalny kolor. Niedawno była u fryzjera, zapewne żeby podciąć włosy i pomalować odrosty. – Maria przystanęła na środku chodnika, w pół drogi do auta. – Spójrz. – Wyjęła telefon i pokazała Olegowi zdjęcie z facebookowego profilu Kornickiej. Wyglądała na nim jak nastolatka. Blondwłosa nastolatka.

– O cholera. – Oleg przejechał dłonią po twarzy. – Rzeczywiście.

– Kitkarz musiał zauważyć jej odrosty. Gość jest spostrzegawczy. Bardzo spostrzegawczy. Zwłaszcza jak na faceta. – Maria spojrzała na zegarek. Osiemnasta. – Kto następny?

Oleg przekazał jej wydruk.

– Mamy na liście kilkadziesiąt kobiet. Możesz sobie wybrać.

Maria przeskanowała listę wzrokiem. Westchnęła.

– A mogliśmy pójść na kolację.

* * *

Z reguły potrafię beznamiętnie reagować na kryzysowe sytuacje. Jakbym na kilkadziesiąt sekund wyłączał układ nerwowy. Dopiero po jakimś czasie emocje zaczynają się we mnie gotować. Oblepiają trzewia, potem wędrują do mózgu, a na koniec wdzierają się we wszystkie członki, usilnie próbując wydostać się na zewnątrz.

Nie zrobiłem nic głupiego, kiedy alfons przystawił mi nóż do gardła. I nie zareagowałem histerycznie na jego uderzenie. Za to gdy doszedłem do siebie, bez namysłu za nim wybiegłem. Wściekły. Wkurwiony. Gotowy rozszarpać każdego, kto stanie mi na drodze.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co zamierzam. Nie miałem żadnego planu. Poza tym, że chciałem poznać tego alfonsa. Dowiedzieć się, kim jest i kogo zna. I czy postąpił jak typowy chciwiec, zachowując swoje odkrycie dla siebie. Dopiero snując się za nim po śródmiejskich uliczkach, obmyślałem, co zrobić. Co z nim zrobić. Co mu zrobić.

Z jego ubioru, manier oraz sposobu bycia wywnioskowałem, że nie jest żadnym stołecznym królem prostytutki. Raczej żołnierzem. Tępy wykonawcą poleceń jakiegoś oblecha w tanim gajerze. Była to bardzo dobra wiadomość, ponieważ zakładałem, że po kimś takim nikt nie będzie płakał. Żaden gangster nie spuści psów ze smyczy, aby pomścić jakiegoś obdartusa. A nawet jeśli, to wydawało się mało prawdopodobne, że trafi na mój trop. Raz, że musiałyby wykonać umysłową ekwilibrystykę, by uwierzyć, że członek zarządu polskiego oddziału wielkiej firmy zajebał jakiegoś podrzędnego alfonsa. A dwa – ta durna dziwka musiałaby mnie ponownie sprzedać.

A na nią też wymyśliłem plan.

Miałem sporo szczęścia, ponieważ alfons, którego zacząłem nazywać w myślach Alfem, poruszał się wolno. Ale to kurewsko wolno – jak dziewięćdziesięcioletek, który oprócz garbu musi jeszcze dźwigać worek z moczem. Przedreptał na Poznańską i władował się do pierwszego lepszego lokalu. Przyglądałem się zza kontenera na śmieci, jak siada przy barze i zamawia wódkę oraz piwo. I jak po ostrej wymianie zdań z barmanem zapala szluga pomimo zakazu. Wyglądał na zadowolonego z siebie knura. Na durne panisko, które może robić, co mu się żywnie podoba.

Doskonale. Właśnie tego potrzebowałem. Zachłyśniętego swoją zajebistością głąba, który stracił czujność.

Najszybciej, jak potrafię, pobiegłem do domu. Wdrapałem się na górę, wrzuciłem kilka rzeczy do plecaka i wyszedłem. Wsiadłem do auta, które stało kilka budynków dalej, i podjechałem na Poznańską. Udało mi się zaparkować kilkadziesiąt metrów od lokalu. Podbiegłem za kontener. Uff! Alf dalej tam był. Dalej sączył browar, palił pety i dłubał w telefonie. Sytuacja była pod kontrolą.

Wróciłem do samochodu i przebrałem się w robocze ciuchy. Dopiero wtedy

zdałem sobie sprawę, że jestem kompletnie zdewastowany. Styrany niczym dziwka po gangbangu. Upalony i rozleniwiony. A przez to niedostatecznie przygotowany na to, co zamierzałem zrobić. Na realizację planu, który wykiełkował w mojej głowie.

Otworzyłem portfel. Miałem tam resztki koksu, którego jakimś cudem nie wciągnąłem na piątkowym melanżu. Wyjąłem ze schowka instrukcję obsługi auta, położyłem ją na podłokietniku i wysypałem proszek. Za pomocą karty kredytowej uformowałem trzy całkiem miłe dla oka kreski. Czekając na kolejny ruch alfonsa, zacząłem się ich pozbywać.

Pewnie nie powinienem był tego robić, skoro po silniejsze dragi sięgam wyłącznie raz w tygodniu. Ale spodziewałem się, że czeka mnie długa i wyczerpująca noc. Ale okoliczności były wyjątkowe. Ale... Zawsze znajdzie się jakieś „ale”. Lepiej nie drążyć tematu.

Próbując nie umrzeć z nudów, przesiadziałem w aucie bite dwie godziny, zanim alfons wreszcie wyszedł z pubu. Tak jak podejrzewałem, wsiadł do samochodu zaparkowanego niedaleko lokalu. Pewnie zamierzał znaleźć się tam wcześniej, ale nie potrafił okiełznać swojej żulerskiej natury. Sprawnie dostał się na Marszałkowską, stamtąd dojechał do skrzyżowania z Jerozolimskimi i wystrzelił w kierunku Pragi. O ile chodząc, poruszał się jak inwalida, o tyle za kółkiem ostro zapierdalał. W gruncie rzeczy było mi to na rękę, ponieważ Alf prawdopodobnie skupiał się wyłącznie na tym, żeby w nic nie przypieprzyć, i miał gdzieś, co się dzieje za jego plecami. Poza tym ślamazarna jazda w ogóle mnie nie rajcowała. Nie w tym stanie.

Sobotni wieczór to jedyny moment w tygodniu, kiedy Warszawa miejscami pustoszeje. Dzięki temu Alf migiem przeleciał przez most Poniatowskiego, przemknął obok Stadionu Narodowego i dojechał do ronda Wiatraczna. Niedługo później zwolnił i wbił się w osiedle. A ja za nim, zachowując bezpieczny odstęp.

Gdy wjechał pomiędzy bloki, na kilka sekund straciłem go z oczu. Ale na szczęście ułatwił mi zadanie, zatrzymując się niemal na środku ulicy. Wysiadł z fury i zniknął na terenie zamkniętego bazaru ukrytego na tyłach galerii handlowej i dwóch kilkunastopiętrowych apartamentowców; w miejscu, w którym stara Praga, menelska i zapuszczona, mieszała się z nową, noszącą wymuskaną gębę korporacyjnych dzieciorobów. Założyłem, że skoro Alf zaparkował jak cipa, nie zamierza zabawić tam długo. Być może umówił się z dilerem. Albo z jedną ze swoich dziwek. Albo z matką, bratem, ojcem lub kochanką. Nieistotne. Ważne, żeby wrócił stamtąd sam, a nie w towarzystwie pięciu napakowanych świń.

Nie wierzę, że człowiek potrzebuje uśmiechu losu. Wierzę, że musi na niego uczciwie zapracować, najlepiej ściskając los za mordę. Ale czasem po prostu trafiają nam się niezwykle korzystne zbiegi okoliczności. Na przykład taki, że gdy potrzebowałem zaparkować jak najdalej od Alfa, i to najlepiej w takim miejscu, w którym obecność mojego auta da się jakoś uzasadnić, przypomniałem sobie, że parę ulic stąd mieszka Mareczek. Mój Mareczek. Mój życiowy niedojda. Niech Bóg błogosławi jego małą kuśkę! I jego kretyńskie wybory mieszkaniowe.

Zatrzymałem się niedaleko bloku Mareczka. Wyłączyłem silnik, naciągnąłem kaptur na głowę i wylazłem z auta. Zabrałem ze sobą nóż, jedyne potencjalne narzędzie zbrodni, którym się jako tako posługuję. Pobiegłem w stronę samochodu alfonsa.

Oczywiście przez cały czas wypatrywałem tego tłuca. I choć nigdzie go nie widziałem, nie miałem wątpliwości, że gdzieś tam jest. Gdzieś tam załatwia swoje interesiki. Gdzieś tam knuje, co zrobić z kasą, którą spodziewa się ode mnie dostać.

Takiego wała!

Schowałem się pomiędzy samochodami. Czekałem. Pociągałem nosem i czekałem. Mijały kolejne sekundy. Potem minuty. W pewnym momencie zorientowałem się, że już kwadrans kucam obok jakiegoś dresowozu. Alf nie nadchodził, a kokaina, która postawiła mnie na nogi, która spotęgowała mój gniew, która dodatkowo zmotywowała mnie do rozjebania człowiekowi łba, powoli przestawała działać.

Ale wreszcie się pojawił.

Przylazł z innej strony, niż się spodziewałem.

Z kebabem w ręku.

Kurwa.

Podobno niektórzy faceci mają do tego stopnia niepodzielną uwagę, że nie są w stanie pogodzić żucia gumy z chodzeniem. Alf musiał być jednym z nich, bo przeczłapał najwyżej dwa metry obok, a mimo to nie zwrócił na mnie uwagi. Jakbym był powietrzem.

Kiedy zaczął swoimi tłustymi łapskami majstrować przy zamku, wyłoniłem się spod samochodu. Ruszyłem do ataku.

Wyprowadziłem cios. Potem następny. I kilka kolejnych.

Nie przestaje mnie dziwić, jak w chwili zagrożenia funkcjonuje ludzki umysł. Mózg – czy raczej mózdzek – Alfa zadziałał tak, że zamiast ochronić swojego nosiciela przed facetem, który raz po raz dźga go nożem, postanowił ratować bułę

z mięsem. Zajeżdżałem typa, który do samego końca ścisnął w rękę kebab, nie pozwalając mu dotknąć ziemi.

Dżizas, kogoś ty, kurwa, stworzył.

Nie mam pojęcia, ile zadałem ciosów. Pewnie kilkanaście. Może więcej. Może ponad trzydzieści. To bez znaczenia. Ważne, że gdy skończyłem, doznałem ulgi. Poczułem, że został przywrócony porządek. Że wszystkie puzzle znów wskoczyły na swoje miejsca.

Wyprostowałem się i wziąłem kilka głębokich wdechów. Rozejrzałem się na boki, aby się upewnić, że nikt mnie nie widział. Następnie spojrzałem za siebie. I zamarłem. Jakieś pięć metrów dalej stało dziecko. Małe żulerskie dziecko. Syn jakichś praskich meneli, któremu patologiczni rodzice pozwolili się włóczyć po nocy.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc przyłożyłem palec do ust. Tak po prostu. Miałem nadzieję, że bachor zrozumie ten gest i nie zacznie drzeć japy. I chyba się udało, ponieważ odwrócił się na pięcie i zwiął, nie wydając żadnych odgłosów.

Teraz musiałem po sobie posprzątać.

Odnalazłem na asfalcie kluczyki i otworzyłem samochód alfonsa. Chwyciłem zwłoki pod pachy i załadowałem do bagażnika. Rzuciłem na nie swoją bluzkę, która wyglądała jak po maratonie w rzeźni. Znalazioną w schowku srajtaśmą pobieżnie starłem krew z karoserii, a następnie rozsiadłem się w fotelu pasażera. Dałem sobie kilkanaście sekund na uspokojenie nerwów. Na opanowanie się. Na przeanalizowanie, czy o czymś nie zapomniałem.

Uśmiechnąłem się. Wszystko wyszło tak, jak to sobie wyobrażałem. Może nawet lepiej. Teraz musiałem tylko pozbyć się tego ścierwa. A to wydawało się najprostszym elementem planu.

Maria długo wpatrywała się w prostokątne opakowanie, w którym mieściło się trzydzieści niewielkich pigułek. Każda z nich zawierała alprazolam. Związek chemiczny, który powinien działać uspokajająco i rozluźniająco. Który świetnie się sprawdza w leczeniu stanów lękowych. Który błyskawicznie zaczyna skutkować i równie nieoczekiwanie przestaje. Który należy stosować pod okiem specjalistów, ponieważ szybko uzależnia i staje się kontrproduktywny. A wtedy z jednej choroby duszy wpędza w drugą, często prowadząc długą i wyboistą drogą do samobójstwa.

Jebany xanax, westchnęła w myślach. Nigdy nie przypuszczała, że w środku skomplikowanego śledztwa jej głównym zmartwieniem będzie to, czy ósma rano jest dobrym momentem na przyjęcie codziennej porcji psychotropów. Nie zakładała, że pozwoli się złamać swojej psychice. Że po kolejnym samotnym weekendzie opakowanie tabletek stanie się jej jedynym sprzymierzeńcem.

Wizytę u psychiatry poleciła Marii koleżanka, która miała za sobą dwa nieudane małżeństwa. Zrobiła to nie dlatego, że dostrzegła u niej symptomy załamania, od miesięcy skrzętnie ukrywane, ale dla zasady. Aby mieć pewność, że bezdzietna czterdziestolatka ze stresującą pracą należycie dźwiga ciężar rozstania z człowiekiem, z którym spędziła niemal dwadzieścia lat pod jednym dachem.

Psychiatra nie przypadł jej do gustu. Okazał się przemądrzałym bucem, który z pozornie nieistotnych faktów lubi wyciągać daleko idące wnioski. Po paru wizytach Maria uznała, że fundamentalnie nie zgadza się z jego metodami leczenia, sposobem bycia i diagnozą. Ale zgadzała się z zaserwowaną terapią.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, nerwowo zepchnęła pudełko do szuflady.

– Zarobiona? – zapytał Rafał Lewiński.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do pokoju i przymknął drzwi. Olega jeszcze nie było, więc zgarnął jego krzesło i usiadł obok Marii. Miała nadzieję, że nic nie zauważył. Oficer śledczy łykający psychotropy do porannej kawy nie jest najbardziej budującym widokiem.

– W weekend przesłuchaliśmy trzydzieści siedem kobiet, które mogły mieć

styczność z Kitkarzem – oznajmił, kładąc na biurku kilka dwustronnie zadrukowanych kartek. – Zwykle jeździł z nimi w weekendy, kiedy były pochłonięte zakupami, zaferowane spotkaniami ze znajomymi albo po prostu najebane. Niektóre nie są w stanie powiedzieć o nim nic odkrywczego, inne w ogóle go nie kojarzą. Potwierdziliśmy tylko to, że gość ma długie kłaki i interesuje się kobietami.

– Nie tylko. – Maria odchyliła się na krzesło. – Wiemy, że jest przystojny. Kilka kobiet zwróciło na to uwagę. No i spostrzegawczy.

Opowiedziała Lewińskiemu o spotkaniu z Justyną Kornicką i podzieliła się swoimi wnioskami. Nie wyglądał na przekonanego. Właściwie wydawał się znudzony, skacowany albo zmaltretowany weekendem. Ożywił się dopiero na widok kilkunastu żółtych karteczek, które Maria przypięła do niewielkiej tablicy korkowej.

– Co to jest? – zapytał.

Maria zerknęła za siebie.

– Efekt mojej pracy koncepcyjnej. Zaczęłam spisywać wszystko, co mi się kojarzy z Kitkarzem.

Lewiński poderwał się z krzesła i podszedł do tablicy.

– Gej? – zdziwił się.

– To tylko skojarzenia.

– Myślisz, że Kitkarz jest pedałem?

– To modniś i szczegółarz. Potrafi się ubrać stosownie do sytuacji, czyli tak, żeby zrobić na dziewczynie wrażenie albo pozostać niezauważonym. Poza tym nie znam wielu facetów, którzy zwracają uwagę na odrosty. A w przypadku Kornickiej prawdopodobnie tak było.

– Rodowity warszawiak?

– Te dziewczyny są słoikami. Przyjezdnymi, które próbowały ułożyć sobie życie w wielkim mieście. Moim zdaniem nie ma w tym przypadku. A to sugeruje, że Kitkarz pochodzi stąd.

Lewiński przejechał wzrokiem po pozostałych karteczkach: *przystojny, inteligentny, wykształcony, zamożny, trzydziestolatek, facet z wyższych sfer, bananowy dzieciak, skrzywdzony w dzieciństwie, mizogin, złe relacje z matką, psychopata*. Kiedy skończył, potrząsnął głową.

– Czyli uważasz, że szukamy warszawskiego banana, którego matka ubierała w dziewczęce ciuszki. Urocze, ale mało prawdopodobne.

– Siedemdziesiąt procent wielokrotnych zabójców doświadczyło traumy

w dzieciństwie.

– Kto tak twierdzi?

– FBI.

Lewiński odwrócił się do Marii.

– Kto twierdzi, że szukamy wielokrotnego zabójcy?

– Masz co do tego jakieś wątpliwości?

Długo jej się przyglądał. W końcu usiadł na miejscu Olega i pochylił się do przodu.

– Większość osób w zespole uważa, że Kitkarz jest członkiem grupy przestępczej. Kimś w rodzaju rekrutera. Wyszukuje i porywa panny, które potem razem ze współnikami albo mocodawcami wywozi za granicę. Do niemieckich, francuskich albo skandynawskich burdeli. Dlatego dwoje naszych ludzi od paru dni przetrząsa bazy danych w poszukiwaniu gwałcicieli, stręczycieli i wszelkiej maści długowłosych popaprańców, którzy mogą się pałętać po mieście.

– Gdyby to była prawda, nie robiłby tak szczegółowej selekcji.

– Może dostał takie zlecenie.

– Atrakcyjne blondynki? Zgoda. Ale nikt by mu nie kazał porwać przyjezdnych studentek. Po jaką cholere?

Na to pytanie Lewiński nie znał odpowiedzi.

– Tak czy inaczej, wygląda na to, że ten uberowy trop prowadzi donikąd – oznajmił. – Kilka dni zapierdalał psu w dupę.

– Ile osób mamy jeszcze na liście?

Lewiński podniósł wydruki. Przekopał się przez sporządzony naprędce raport.

– Jedenaście lasek i trzydziestu trzech facetów.

Maria ciężko westchnęła.

– Musimy zacząć rozmawiać z facetami – stwierdziła. – Kitkarz jest zbyt ostrożny, żeby się wygadać przy kobietach. Pewnie chce się jak najwięcej o nich dowiedzieć, więc nie ma czasu paplać o sobie. Może z facetami jest inaczej.

Lewiński wzruszył ramionami.

– Może. Za pół godziny mamy zebranie. Przegadamy temat.

Kiedy wyszedł, Maria otworzyła szufladę. Popatrzyła na pigułki szczęścia. Bała się. Panicznie się bała samotnych poranków. Cichych wieczorów. Opustoszonego mieszkania. Godzin, które spędza w pracy, z niepokojem czekając na koniec wachty. Bała się jutra. Jakby przyszłość mogła przynieść wyłącznie zagładę: wszystkiego, w co wierzyła, czego pragnęła i na co liczyła.

Nie sądziła, że tabletki mogą zabić ten lęk. Ale nie miała wyboru.
Otworzyła szufladę, wyciągnęła opakowanie i przyjęła swoją porcję.

* * *

Rozpocząłem odszczurzenie.

Chemik nie był zachwycony niespodziewanym zleceniem. Długo musiałem go namawiać, żeby wyskoczył z piżamy i pomógł mi z alfonsiem. Udało się połowicznie: pomógł, ale zrobił to w piżamie. A przynajmniej w czymś, co ją przypominało. Zgarnąłem go spod bloku na Ochocie (mam nadzieję, że tam mieszka, że nie paradował w tym stroju po osiedlu) i wywiozłem na jego zadupie. Niechętnie wniósł ze mną Alfa do kanciapy. Odniosłem wrażenie, że najtrudniej było mu się pogodzić z płcią delikwenta, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że wolę nie wiedzieć, co robi ze zwłokami.

Następnie starannie wyszorowałem auto alfonsa i odstawiłem je do swojej podmiejskiej kryjówki. Możecie pomyśleć, że to nieroztropne, ale, po pierwsze, nikt nie wie o tym miejscu, a po drugie – mam tam garaż, w którym ten pierdolony dresowóz może stać tygodniami, zanim wymyślę, jak się go pozbyć. Nie chciałem podejmować pochopnych decyzji.

Nazajutrz pojechałem na Pragę po swój samochód i odbyłem długą rozmowę telefoniczną ze skonsternowanym i lekko przerażonym Marcem, który miał zapewnić mi alibi na sobotni wieczór. Zaplanowałem kolejny tydzień i koło osiemnastej, zjedany jak koń po westernie, poszedłem spać. Musiałem naładować akumulatory. Zresetować system, zanim głowica się przegrzeje. Znałem możliwości swojego organizmu i wiedziałem, jak należy zarządzać energią. Poza tym miałem świadomość, że dla kogoś takiego jak ja – dryfującego między kilkunastoma rolami i zmieniającego barwy niczym kameleon – odpoczynek jest najlepszym świadectwem samodyscypliny. Najtrudniejszym do zaakceptowania, ale niezbędnym, żeby przetrwać.

Odszczurzenie wznowiłem w poniedziałek rano. Najpierw postanowiłem rozprawić się z Alicją.

W byciu wiceprezesem fajne jest to, że gdy czegoś chcę, pracownicy pomagają mi bez mrugnięcia okiem. Ale okazało się, że o Alicji – jeżeli rzeczywiście tak ma na imię – nikt w Cloudzie nie słyszał. Ani w HR-ach, ani w marketingu, ani gdziekolwiek indziej. Nie była żadną z Alicji, które odszukałem w firmowym

intranecie. To oznaczało, że albo ściemniła w sprawie imienia, albo tutaj nie pracuje. I być może nigdy nie pracowała. Tylko skąd, do kurwy nędzy, miała wszystkie dostępy? Dlaczego знаła firmę na wylot? Jak to możliwe, że poruszała się po niej tak swobodnie?

Możliwości były dwie. Albo była czymś szpiclem, albo miała fioła na moim punkcie. Tak czy inaczej, wydawała się niezłe popierdoloną laską, której ruchów nie da się przewidzieć.

Chyba że się jej założy ogon.

Kiedy jesteś trenerem sprzedaży, poznajesz mnóstwo osób. A jeśli jesteś dobry, na większości z nich robisz kolosalne wrażenie. Dzięki temu łatwo budujesz relacje bazujące na pozornym zaufaniu. Ktoś, kto jest niezły w coachingowe klocki, może każdą znajomość przekuć w atut. Zamienić w namacalną wartość, w którą się wgryza, wysysając z niej wszystko, co najlepsze. Ja tak robiłem. Byłem jak wampir z nieograniczonym dostępem do ludzkich szyj.

Zadzwoiłem do Pawła. Paweł jest detektywem. Ale nie jak ten debil z kwadratowym łbem, tylko takim z prawdziwego zdarzenia. Szukał zaginionych ludzi, tropił afery gospodarcze, gromadził dowody dla prokuratorów, milionerów i gangsterów. Człowiek orkiestra. Uczyłem go sprzedaży, ponieważ choć był jednym z najlepszych fachowców w swojej branży, nie potrafił mówić o sobie językiem korzyści. Zanim mnie poznał, przedstawiał się jako ponury żniwiarz, który niszczy ludziom związki i łamie kariery. Miał zadziwiający antydar handlowy.

I zadziwiający refleks, bo odebrał już po pierwszym sygnale.

– Kopę lat – powiedział, sprawiając wrażenie szczerze uradowanego.

– Dokładnie dwa lata i siedem miesięcy.

– Zadziwia mnie twoja pamięć.

– To dzięki orzechom. Mam sprawę.

– Domyślam się.

– Chodzi o pewną kobietę. Przedstawia się jako Alicja, ale wątpię, żeby to było jej prawdziwe imię.

– Zrobiłaś jej dziecko?

– Nie. Nie wiem. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że muszę się dowiedzieć, kim ona jest. Wmówiła mi, że pracuje w Cloudzie, ale wiem, że to ściema. Podejrzewam, że ktoś ją nasłał, aby zdobyć na mnie haka.

– Jakiego?

– Nie mam pojęcia. Ale jest kilka osób, którym w ten czy inny sposób załatwiłem za skórę. Pomóżesz mi?

Nie wspomniałem, że erudycyjne popisy i coachingowa gadka to tylko efektowne inicjatory znajomości. Żeby ludzie stanowili realną wartość, należy się o nich jeszcze odpowiednio zatroszczyć. Szybko się domyśliłem, że prywatny detektyw może mi się kiedyś przydać. Już podczas pierwszego szkolenia zauważyłem, że Paweł ślini się na widok pańienek niczym tłuszcioch w mięsny. Wykombinowałem, że naraję mu laskę z najwyższego topu. Dyszkę, której sam nigdy by nie zdobył. *Prime shit*. Zadziałało. Od tego momentu stałem się dla niego bogiem.

– Po to są przyjaciele – odparł. – Masz jakąś fotkę tej panny?

– Wyślę ci na Messengerze.

Mam tylko jedno zdjęcie Alicji. Nie jest nadzwyczajnej jakości. Powiedziałbym, że to przez nędzne światło i okoliczności, ale prawda jest taka, że marny ze mnie fotograf.

– Czy to...

– Tak. To kibel, w którym się różniliśmy. Wkrótce napiszę ci wszystko, co o niej wiem. Być może będę miał do ciebie jeszcze jedną prośbę, ale najpierw sam spróbuję uporać się z problemem.

Rozłączyłem się. Jedna rzecz z głowy. Wiedziałem, że Paweł rzuci wszystko w piździec, żeby mi pomóc. Wytresowałem go. Zbudowałem niezbywalne zobowiązanie, które bazuje na nieuchwytnych dla nieuzbrojonego oka regułach. Na niewidzialnych metafizycznych połączeniach. To trochę jak ze sztuczną inteligencją i głębokim uczeniem maszynowym. Dostajesz doskonały produkt końcowy, którego sam nigdy nie zbudujesz, ponieważ nie masz bladego pojęcia, jak przebiega proces tworzenia. I nawet jeśli będziesz analizował go godzinami, to nic z tego nie skumasz.

Wybrałem kolejny numer. Ta rozmowa zapowiadała się na mniej przyjemną.

– Czekałam na twój telefon. – Danuta Rolnicka była wyraźnie podekscytowana.

– Naprawdę?

– Od wczoraj. Szykowałam się do wyjazdu do Genewy, kiedy odwiedził mnie prawnik, którego poleciłeś.

– I?

– Rzeczywiście jest niezły. A do tego elokwentny i dobrze wychowany. – Zrobiła pauzę, żeby wydać polecenie asystentce. Z odgłosów w tle wywnioskowałem, że rejestruje się na jakąś konferencję, pewnie poświęconą filantropii, społecznej

odpowiedzialności biznesu, ekologii albo tego typu bzdetom. – Włał trochę optymizmu w moje serce.

– To najlepszy prawnik transakcyjny w tym kraju.

– Co nie znaczy, że zna się na rozwodach. I że potrafi sobie radzić z socjopatami.

– Zapewniam cię, że zna się na rzeczy. Łączył, dzielił i sprzedawał największe firmy w tym kraju. Poradzi sobie z Rolkomem i twoim mężem.

– Oby. Powiedział, że cię odwiedzi.

– Świetnie. Dzwonię w jeszcze jednej sprawie. Potrzebny jest mi wykaz gości z twojej imprezy charytatywnej.

– Po co?

Nie mogłem jej powiedzieć, że spotkałem faceta, który się na mnie perfidnie gapił. Który zaczął uciekać, kiedy chciałem z nim porozmawiać. I któremu zawdzięczam brzydką szramę na czole.

– Jeżeli twój mąż jest takim człowiekiem, za jakiego go uważam, nie pozostawia niczego przypadkowi. Bacznie śledzi poczynania osób, które mogą pozbawić go sporej części majątku, a potencjalnie nawet całej firmy. Jestem pewien, że na tej imprezie pojawił się ktoś, kto miał ci się przyglądać, patrzeć, co robisz, w jaki sposób ze mną rozmawiasz, słuchać, jak się wyrażasz o firmie i o mężu. To mógł być zarówno obcy człowiek, jak i osoba, którą znasz od dziecka.

Rolnicka się roześmiała.

– Albo mam problemy z zasięgiem, albo brzmisz jak paranoik.

– Jeżeli chcesz, żebym się wywiązał z zadania, muszę dostać tę listę.

– Sam sobie wymyśliłeś to zadanie.

Ależ ta baba działa mi na nerwy. Nie może pojąć, że gramy do jednej bramki, a naszym wspólnym celem jest zniszczenie jej męża. I że oboje robimy to z tych samych pobudek: dla władzy. Rolnickiej gwarantowała ją kasa, a mnie pozycja u boku Solskiego.

– Niech ci będzie – odezwała się po dłuższej przerwie. – Moja asystentka prześle ci tę listę. Mimo to wątpię w twoją teorię.

– Lepiej dmuchać na zimne.

– Lepiej, żebyś miał rację, zamiast uganiać się za duchami.

Rozłączyła się. Gdyby nie ulga, jaką poczułem, kiedy nie musiałem już dłużej znosić jej pierdolenia, pewnie roztrzaskałbym telefon o ścianę. Nienawidzę, gdy jakieś sraki mówią mi, co mam robić. Gdy próbują mną dyrygować. Gdy im się

wydaje, że mają nade mną kontrolę.

Głupie pizdy.

Dobre pół minuty dochodziłem do siebie. W końcu zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu dzwoni telefon stacjonarny. Podszedłem do biurka. Odebrałem.

– Ma pan gościa – oznajmiła recepcjonistka. – To pan Marcin Zjawiński.

– Wspaniale. Wpuść go.

Ta rozmowa też nie zapowiadała się na przyjemną. Ale przynajmniej powinno być śmiesznie.

Nie mam bladego pojęcia, jak Rolnicka mogła dojść do wniosku, że człowiek, który w co drugie zdanie wplata słowo „kurwa”, który ma tak przepalony głos, jakby się urodził ze szlugiem w ustach, i który wydzierał sobie na plecach herb Legii (choć o tym raczej nie wiedziała), jest elokwentny i dobrze wychowany. Ale najwyraźniej Marcin Zjawiński to dobry aktor.

Poznaliśmy się jakieś dziesięć lat temu, pijąc wódkę na imprezie któregoś z liberalnych think tanków. Ja, absolwent esgiehu, i on, prawnik po Uniwersytecie Warszawskim, byliśmy nadziejami tego kraju. Ludźmi, którzy bez trudu mogli wejść do poważnej polityki. Gdybyśmy się na to zdecydowali, dzisiaj pewnie byśmy zasiadali w Sejmie, szefowali jakimś gospodarczym komisjom, błyszczeli w mediach i sprawnie wytuptywali swoją drogę do największego koryta. Za parę lat zostalibyśmy prezydentami miast, współliderami partii albo ministrami. A za kilkanaście byśmy się szarpali o najważniejsze pozycje w państwie. Ale wybraliśmy inną ścieżkę. Hedonistyczną. Ciekawszą. Zabawniejszą. A przede wszystkim dającą więcej satysfakcji.

Kiedy wszedł do gabinetu, serdecznie się uściskaliśmy. Choć raczej powinienem powiedzieć, że to on mnie uściskał, oplatając moje szczupłe ciało swoimi niedźwiedzimi ramionami.

– W coś ty mnie wpierdolił? – zapytał, kiedy przestał wgniatać mi łopatki w płuca.

Podobno Zjawiński wywodzi się z rodziny intelektualistów. Jego dziadek był znanym prawnikiem, a babka cenioną fizyczką. Ale żeby zaakceptować ten fakt, nie wystarczą dowody w postaci jego zapewnień i artykułów w sieci. Do tego potrzeba naprawdę głębokiej wiary.

– Mam nadzieję, że w deal życia – odparłem.

Parsknął śmiechem, po czym rozsiadł się na kanapie. Uwalił się na samym środku, więc choć sofa z założenia była trzyosobowa, musiałem klapnąć na krześle.

– Wiesz już wszystko o Rolkomie? – spytałem.

– Gdyby było inaczej, tobyśmy się dzisiaj nie spotkali.

– I jak to wygląda?

– Jak pół chuja w dupie. Może uda się wyszarpać połowę firmy Rolnickiego i rozdzielić ją pomiędzy jego żonę, córkę oraz zięcia. A może spadnie im tylko ochłap, który nikomu nic nie da.

– Podobno znasz się na trudnych sprawach.

– Nie twierdzę, że to niemożliwe. Diabeł tkwi w szczegółach. Ale prawda jest taka, że to Rolnicki zbudował tę firmę i bardzo trudno będzie udowodnić, że było inaczej. To on ją w pełni kontroluje. Wprawdzie wstawił tam członków rodziny, ale nie na pozycje, z których mogliby mieć realny wpływ na biznes. Żonie wkleił CSR, bo ta tępa dzida na niczym innym się nie zna. Córcę powierzył komunikację i kontakt z mediami, czyli coś, czym nawet sklonowana owca mogłaby się zajmować. A zięcia uczynił członkiem rady nadzorczej, żeby pobierał kasę, ale nie był w stanie niczego spierdolić. Nie ma przypadku w tym, że Rolnicki nadal jest prezesem spółki, a na czele rady stoi facet spoza rodziny, który wcześniej pracował u Jakubasa i Sołowowa.

– Gość ma łeb na karku.

Zjawiński odchylił cielsko na oparcie i wyjął z kieszeni nóż. Tak, nóż. Mały, sprężynowy, zabezpieczony przyciskiem z dźwignią nóż. Pamiątkę z czasów, w których laził na Żyletę, zadawał się z mętami i raz po raz spuszczał komuś wpierdol pod stadionem. Sporo się od tego momentu zmieniło, ale nie natura Zjawińskiego. Nie jego gangsterski sposób bycia. Zabawa ostrym przedmiotem stała się czymś w rodzaju tiku nerwowego.

– Czasem ten łeb traci – powiedział, manipulując nożem, jak gdyby był z plastiku.

– Z opinii w sieci można wywnioskować, że regularnie ociera się o mobbing. Tyle że to biznesmen z lat dziewięćdziesiątych. Jebią go takie oskarżenia.

– Zgadzam się. Samo zrobienie z Rolnickiego chujowego pracodawcy w niczym nam nie pomoże.

– Ten facet to naprawdę zdolny przedsiębiorca. Gdy gardłował, że wszystko osiągnął sam, miał rację. Rolnicka włożyła trochę kasy na początku i opiekowała się bachorem, kiedy firma nabierała wagi, ale to wszystko. Nie wniosła do Rolkomu żadnej wartości intelektualnej. Nie uczestniczyła w tworzeniu strategii ani zatrudnianiu pracowników. Nie budowała zagranicznych przyczółków. Nawet nie pomogła w projektowaniu biura. Więcej należy się dwóm wiceprezesom, którzy

współpracują z Rolnickim od dziesięciu lat. Czego się tak, kurwa, szczerzysz?

Śmiałem się, bo Zjawiński nie rozumiał, jak zamierzałem to rozegrać. Zapewne wyszedł z założenia, że Cloud chce wykupić jak największą część Rolkomu, przejmując udziały bliskich Rolnickiego, aby potem odkupić od niego resztę. To by było nawet logiczne. Ale biznes nie jest do końca logiczny. Więcej w nim psychologii niż Excela.

– Nie zależy mi na tym, żeby Rolnicka wzięła połowę biznesu – powiedziałem. – Jak dla mnie razem z córką i jej absztyfikantem mogą nic nie dostać.

– To po jaki chuj mnie tu ściągnąłeś?

– Chodzi o to, żeby Rolnicki poczuł się zagrożony. Tym, że ludzie, których od lat trzyma pod butem, mogą się zbuntować i oskarżyć go o mobbing. Że jego bliscy odwrócą się do niego plecami, roztaczając smród wokół firmy. Że zacznie się publiczne pranie brudów. Że klienci biznesowi mogą potraktować go jak pajaca, który nie potrafi zaprowadzić porządku na swoim podwórku. – Pochyliłem się do przodu. – Rolnicki musi poczuć, że może zniszczyć własną firmę.

Zjawiński pomachał nożem, jakby zamierzał wbić mi go w czoło.

– Sprytnie. Chcesz, żeby zaczął się obawiać utraty fortuny.

Pokręciłem głową.

– Nie pieniędzy, tylko swojej krwawicy. Dzieła życia. Jedynej rzeczy, którą od początku do końca zrobił dobrze.

– Szefowie nie pozwolą ci na zniszczenie aktywów, które zamierzają wchłonąć.

– Nie muszą o niczym wiedzieć. Poza tym zależy mi na dopięciu dealu, a nie na uszczęśliwieniu jakiegoś angielskiego debila.

– A więc nie grasz w drużynie Clouda.

Uśmiechnąłem się.

– Jestem indywidualistą. Zawsze gram na własny rachunek.

– To tak jak ja.

Zjawiński ze sporym trudem poderwał się z kanapy i zaczął się przechadzać po biurze. Zatrzymał się przy oknie. Spojrzał w dół na sunących do biurowca ludzi. Z perspektywy trzydziestego szóstego piętra wyglądali jak mrówki.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która może Rolnickiego zabołec. – Odwrócił się i wycelował we mnie nożem. – Wizerunek.

– Przecież tabloidy nie będą lizać go po jajach.

– Mam na myśli jego wizerunek w świecie dużego biznesu. Wśród ludzi, z którymi

od trzydziestu lat walczy o miejsce w kolejce do dziobania. Znam kilka ciekawych plotek na temat Rolnickiego.

– Na przykład?

– Słyszałeś kiedyś o Zbigniewie Parczewskim?

– Kurwa, za kogo ty mnie masz? Dwunaste miejsce na liście najbogatszych, dwa i pół miliarda złotych majątku. Jego Polfood to jedna z największych firm spożywczych w tej części Europy. Tajemniczy gość. Nie rozmawia z mediami, a w sieci nie ma jego zdjęć. Niektórzy twierdzą, że ten człowiek nie istnieje.

– Brawo. A teraz wyobraź sobie, że Parczewski istnieje, a w dodatku zna się z Rolnickim. I podobno go nienawidzi.

– Skąd wiesz?

– Polfood jest moim klientem. Nie poznałem Parczewskiego, ale byłem na paru kolacjach z ludźmi z jego najbliższego otoczenia. Polubiliśmy się. Spróbuję zorganizować wam spotkanie. – Pokręcił głową. – Jeśli wszystko wypali, będzie cię to sporo kosztować.

Przyłożył telefon do ucha. Czekając na połączenie, uśmiechał się, jakbym obiecał mu dożywotni karnet do burdelu. Pieprzony legionista. Mówi się, że niektórzy mają więcej szczęścia niż rozumu. Także ci, którzy nie narzekają na niedobory intelektualne.

* * *

– Dlaczego tak bardzo chciałeś zacząć od niego? – spytała Maria.

– Bo go znam – odparł Oleg.

– Skąd?

– Z internetu. Czytałem o nim. W pewnych kręgach to bardzo popularny gość.

Maria zjechała na lewy pas i przyspieszyła, co na zakorkowanych Jerozolimskich wydawało się praktycznie niemożliwe. Zerknęła na Olega.

– W pewnych kręgach?

– To seryjny przedsiębiorca. Ma własny software house, sieć z akcesoriami do telefonów i jakąś markę spożywczą. Ale przede wszystkim zajmuje się kryptowalutami: otwiera kolejne kryptokopalnie, tworzy tokeny personalne i takie tam.

Maria zaśmiała się pod nosem.

– Nie mam pojęcia, o czym do mnie mówisz.

– Facet wyczuł, że na bitcoinie da się zarobić. W idealnym momencie wszedł w kryptowaluty i dzięki temu stał się bogaty.

– Jak bogaty?

– Ma dwudziestometrowy jacht i wielką willę pod Warszawą.

– Czyli bardzo. – Maria wychyliła się, aby objąć wzrokiem cały budynek hotelu Marriott. – Teraz już rozumiem, dlaczego chciał się spotkać tutaj.

Zaparkowali niedaleko Marriotta, wciskając się w lukę pomiędzy samochodami okupującymi strefę parkowania na Emilii Plater. Przedostali się na drugą stronę ulicy i weszli do hotelu. Ledwo pokonali obrotowe drzwi, gdy doskoczył do nich podenerwowany facet w dżinsach, białej koszuli i zielonej marynarce. Jakimś sposobem ich rozpoznał. Jakby mieli wyryte na gębach, że są z policji.

– Robert Wancerz – przedstawił się. – Mają państwo świetne wyczucie, ponieważ Krystian właśnie skończył wywiad. Proszę za mną.

Facet, który prawdopodobnie pełnił funkcję doradcy, asystenta i odźwiernego w jednym, zaprowadził ich do windy. Wybrał numer piętra na panelu. Przez cały czas uśmiechał się głupkowato.

– Powinno pójść gładko – oznajmił. – Krystian jest przyzwyczajony do rozmów z policją.

– Ze względu na kryptowaluty? – spytał Oleg.

Wancerz kiwnął głową.

– Wielu ludzi nie rozumie, czym się zajmuje, a przez to myśli, że jest oszustem. Inni zazdroszczą mu sukcesu. W efekcie pomawiają go o rzeczy, z którymi nie ma nic wspólnego.

– Nie interesuje nas to, w jaki sposób prowadzi biznes – włączyła się Maria.

– Wiem. Chciałem tylko państwa uczulić.

– Na co?

– Na jego pewność siebie.

Wysiedli na czterdziestym piętrze. Idąc przodem, Wancerz zaprowadził ich do Panorama Sky Bar, najwyższego baru hotelowego w Polsce, z którego roztaczał się efektowny widok na Warszawę, zwłaszcza na oddalony ledwie o kilkaset metrów Pałac Kultury. Minęli ekipę telewizyjną pakującą sprzęt i zbierającą się do wyjścia i dołączyli do Krystiana Chlaby.

Biznesmen miał niespełna trzydzieści lat, choć przez lekką otyłość i głębokie zakola wydawał się sporo starszy. Wystroił się w lśniące czerwone mokasyny, podarte

dżinsy, różową koszulę i pstrokatą marynarkę. Jego ciuchy silnie kontrastowały ze stonowanymi sofami i fotelami, które wypełniały luksusowe wnętrze baru. Chlaba nie wyglądał jak odnoszący sukcesy przedsiębiorca. Raczej jak gość, który zapomniał się przebrać po powrocie z Vegas.

Kiedy policjanci się zbliżyli, gwałtownie zakończył rozmowę telefoniczną i rzucił iPhone'a na kanapę. Serdecznie ich przywitał. Gdyby nie wprowadzenie Wancerza, pewnie by zbaranieli na widok gościa szczerzącego kły do psów.

– Dziękuję, że zgodziliście się tu przyjechać. – Chlaba charakterystycznie zaciągał, nie pozostawiając złudzeń, że pochodzi spod wschodniej granicy. – Ostatnio rzadko bywam w Polsce, więc chciałem w pełni wykorzystać ten dzień na spotkania z dziennikarzami. Właśnie odpalamy duży projekt, o którym wszyscy powinni się dowiedzieć.

Usiedli przy okrągłym stoliku kawowym zastawionym szklankami, filiżankami i energetykami. Chlaba musiał sobie nieustannie podkręcać tempo, aby zdominować dziennikarzy, utrudniając im zadawanie kłopotliwych pytań: o źródła finansowania biznesu, o tajemnicze związki z bliskowschodnimi inwestorami, o legalność jego firm.

– Słyszałem, że ciekawią was moje podróże. I to nie do Dubaju, Nowego Jorku czy Singapuru, tylko po Warszawie.

– Nie sądziłem, że ludzie pańskiego formatu jeżdżą Uberem – odezwał się Oleg.

– Robert był wtedy na tacierzyńskim, a mój kierowca się rozchorował. Mogłem więc wziąć taksówkę albo wezwać Ubera. A że nie lubię bezmyślnie wydawać pieniędzy, wybór był prosty. – Chlaba pochylił się nad stołem i sięgnął po ostatni nienapoczęty energetyk. Poczęstował policjantów, ale ci zgodnie odmówili. –

Korzystanie z Ubera jest gestem wsparcia dla innowacyjności. Dla przedsiębiorczych kierowców i twórców aplikacji, którzy ułatwiają nam poruszanie się po mieście. Sam kiedyś chciałem odpalić taką firmę, ale paru gości mnie ubiegło.

– Nie przyszliśmy rozmawiać o biznesie, interesuje nas tylko jeden pański przejazd. – Maria wyjęła z torebki mój portret pamięciowy. – Kojarzy pan tego człowieka?

Chlaba zmrużył oczy i przyjrzał się fotografii.

– Obawiam się, że nie.

– Kilka tygodni temu jechał pan z nim spod Stadionu Narodowego na Żelazną.

– Pamiętam ten przejazd, ale tego człowieka nie kojarzę. Może dlatego, że nie przyglądałem się kierowcy. Rzadko się gapię na facetów. – Posłał Marii zawadiacki

uśmiech. – Ale pamiętam naszą rozmowę. Była dość intrygująca.

– To znaczy?

– Jak już mówiłem, kierowcy Ubera to przedsiębiorczy ludzie. Ten człowiek też był mocno ukierunkowany na biznes. Wyczułem od niego przedsiębiorczy drajw. Gość podsłuchiwał moją rozmowę przez telefon. Okazało się, że całkiem nieźle orientuje się w tym, co robię.

– O czym pan z nim rozmawiał?

– O rynku finansowym. Tłumaczyłem mu, dlaczego kryptowaluty są przyszłością finansów. Początkowo się z tym nie zgadzał, ale w końcu go przekonałem. Chyba.

Maria pochyliła się do przodu i splotła przed sobą ręce.

– Bardzo by nam pomogło, gdyby udało się panu odtworzyć przebieg tej rozmowy.

Chłaba pociągnął spory łyk, stłumił beknęcie i uważnie przyjrzał się policjantom.

– Robert powiedział, że chce porozmawiać o jednym z moich przejazdów. Nie wspomniał, że szukacie jakiegoś faceta. – Wycelował palcem w portret. – Co to za człowiek?

– Podejrzewamy, że stoi za serią porwań – wyjaśniła Maria. – Niestety, nie wiemy, kim jest, gdzie go szukać ani dlaczego to robi. Wiemy tylko, że podszywa się pod kierowcę Ubera, aby poznać swoje ofiary. – Chłaba ponownie schylił się po energetyk, ale Maria była szybsza i zabrała mu puszkę sprzed nosa. – Dlatego byłoby miło, gdyby zamiast zgrywać mądrą, odświeżył pan sobie pamięć.

Biznesmen posłał jej kolejny uśmiech, bardziej wnerwiający niż wszystkie poprzednie. Ale tym razem było jasne, że z jego pewnością siebie nic nie pozostało.

* * *

Poznałem Chłabę kilka lat temu. Był wówczas pryszczatym grubasem, który dopiero zaczynał bawić się w krypto, mając nadzieję, że zdoła odmienić swoje nieudolne życie. Nie dlatego inwestował, że miał nosa. Nie dlatego, że niezachwianie wierzył w gigantyczny potencjał bitcoina, ethereum czy ripple. Nie dlatego, że zakochał się w wizji świata wolnego od banków centralnych i dominujących instytucji finansowych, jaką roztaczali bitcoinowi apologeti. Inwestował, bo nie miał wyboru. Bo to była dla niego jedyna szansa na wyrwanie się z podlaskiej dziury i dołączenie do grona ludzi, którzy posuwają najlepsze panny, piją drogiego szampana i wciągają tyle koksu, ile ich nozdrza są w stanie przyjąć.

Ten tępy brzydał psuł nasz świat. Trywializował go poprzez wpompowywanie

intelektualnej mierności i robienie idiotycznego szumu. Ale jednocześnie pomógł mi zbudować mój drugi świat. Kiedy udając kierowcę Ubera, zobaczyłem go na tylnym fotelu, myślałem, że jestem spalony. Że wieść o tym, co robię, rozniesie się w tempie błyskawicy. Że cała mistyfikacja legnie w gruzach. Ale Chłaba mnie nie poznał, mimo że mniej lub bardziej nachalnie przyglądał mi się przez dobre pół godziny. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że dobrze się zakamuflowałem. I dało impuls do intensywniejszego poszukiwania moich dziewczynek.

Kiedy Maria i Oleg maglowali Chłabę, ja też o nim myślałem. A właściwie o ludziach takich jak on sprzed jego biznesowej transformacji. O nieudacznikach, którzy odwiedzają pigalaki, ponieważ to dla nich jedyny sposób, by zamoczyć. Czasem było mi wstyd, że korzystam z tych samych sposobów. Ale kurwy gwarantowały mi pewien komfort. Były zbłąkanymi owieczkami, które nigdy, ale to przenigdy nie zgłoszą się na policję. Do tej pory żadna nie miała dość odwagi, aby pójść na komisariat i opowiedzieć o swoim fachu. A tym bardziej o tym, jak się z nimi zabawiałem.

Ale jedna z nich nie miała oporów, aby podzielić się swoją historią z alfonsem.

Przez dobrą godzinę szukałem jej na Nowogrodzkiej i Wspólnej. Kiedy to nic nie dało, obskoczyłem kilka sąsiednich ulic: Poznańską, Emilii Plater, Hożą i Wilczą. Nigdzie jej nie było. Zresztą ani jej, ani innych dziwek. Zniknęły, mimo że pogoda – około dwudziestu pięciu stopni, bezchmurne niebo, lekki wiaterek – zdecydowanie sprzyjała ich profesji.

Wszedłem do pierwszej lepszej kawiarni. Zamówiłem podwójne espresso i usiadłem przy oknie, aby móc obserwować okolice. Wyjąłem telefon i zadzwoniłem do znajomego.

– Niech zgadnę: zużyłeś wszystkie materace kokosowe? – Mak, mój diler, jak zwykle tryskał optymizmem. Pewnie na sam widok mojego nazwiska poczuł się o parę stów bogatszy.

– Tak, ale tym razem dzwonię w innej sprawie – odparłem.

– Wszystkie? Naprawdę?

– Wszystkie. Ale w tej chwili...

– Dobrze się składa, bo dzisiaj dostałem przesyłkę z nowymi materacami. Właśnie na jednym z nich leżę. – Usłyszałem, jak zaciąga się jointem. – Jest znakomity na skoliozę.

– Kupię od ciebie każdy materac, jeżeli tylko zamkniesz mordę i mnie wysłuchasz.

– Pan nerwowy – powiedział, przytrzymując w płucach dym. – Co tam?

– Czy dobrze pamiętam, że kiedyś robiłeś w innej branży?

– W różnych branżach robiłem. Nie z każdego zajęcia jestem dumny.

– Czyli dobrze. Szukam pewnej kobiety. Gdybyś pozostał przy swoim poprzednim fachu, być może byłbyś jej ochroniarzem.

– Zajmowałem się tym ładne parę lat temu. Wypadłem z obiegu.

– Nie bądź taki skromny.

Ciężko westchnął. Tej upalanej świni nie chciało się ruszyć dupy, aby odświeżyć kilka dawnych kontaktów.

– Pomogę ci, bo jesteś moim najlepszym klientem – stwierdził w końcu. – Ale niczego nie obiecuję.

– Nie pożałujesz. *A Lannister always pays his debts* ².

– To się okaże. Jak ona się nazywa?

Kurwa, nie zapytałem o imię. Kiedy poznawałem tę dziwkę, byłem święcie przekonany, że jej imię tylko mi przeszkodzi. Zburzy nastrój i nie pozwoli w pełni zwizualizować moich wyobrażeń. Dowiedzenie się, kim ona jest, wydawało mi się najgłupszym pomysłem na świecie.

– Nie wiem – odparłem. – Ale mam jej fotkę.

Staram się robić zdjęcia wszystkim dupom, które posuwam. Zwłaszcza tym, które posuwam w sposób, jaki nie do końca im odpowiada.

Rozłączyłem się i wysłałem Makowi fotkę. Po chwili oddzwonił.

– Nie wygląda jak bogini seksu – ocenił. – Myślałem, że stać cię na więcej.

– Każdy ma jakieś *guilty pleasure*.

– To prawda. Ja na przykład oglądam horrory klasy B, ty ruchasz brzydkie dziwki. Nie oceniam. Po prostu inaczej wyobrażałem sobie życie miłosne gościa twojego pokroju.

– Nie znasz mnie.

– I chyba wolałbym, żeby tak pozostało. – Roześmiał się. – Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego mam wypytywać o tę dupę?

– Zrobiła coś bardzo głupiego.

– Zajębała ci coś?

Spokój, pomyślałem. Anonimowość. Do pewnego stopnia także godność.

– Powiedzmy – odrzekłem. – Byłoby miło, gdybyś nie wspominał o mnie podczas poszukiwań.

– Myślisz, że się z chuja urwałem?

– Myślę, że jesteś całkiem niezły w te klocki, ale od ciągłego leżenia na materacu masz dziury w bani. Wolę dmuchać na zimne.

– Lepiej się zastanów, jak mi to wynagrodzisz.

Rozłączyłem się i po raz enty wyjrzałem przez okno. Wciąż ani śladu kurew. Gdyby zniknęła tylko ta jedna, uznałbym, że się ukryła. Spanikowała, gdy się okazało, że jej alfons przepadł bez wieści. Ale nieobecność wszystkich była niepokojąca. Mogła świadczyć o tym, że w środowisku rozeszła się wieść o facecie, który zgarnia panny z pigalaka, zaciąga je do siebie, a potem bez uprzedzenia realizuje z nimi ponadstandardowe zachcianki.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Kiedy się zastanawiałem, jak rozwiązać ten problem, nieoczekiwanie pojawił się kolejny. Idąc do kibla, zerknąłem kątem oka na telewizor zamontowany na ścianie. Przystanąłem, bo na jednym z ogólnopolskich kanałów zobaczyłem znajomy bazar, dziesiątki gapiów, zastępy funkcjonariuszy oraz krew. Mnóstwo krwi. Wielką krwistą kałużę, którą operator szczególnie sobie upodobał.

Nagle wszystkie wspomnienia z tamtego wieczoru, od kilkadziesiątu godzin chaotycznie dryfujące w moim umyśle, zlały się w jeden spójny obraz.

Policji jeszcze nie udało się ustalić, kto stoi za napaścią, kim jest ofiara ani co mogło się z nią stać. Funkcjonariusze zbierają zeznania od okolicznych mieszkańców i apelują do świadków o pomoc.

Z jakiegoś powodu relacja reportera mnie rozbawiła. Być może dlatego, że z jego słów wycierały smutek i beznadzieja, które silnie kontrastowały z podnieceniem, w jaki wprawiły mnie wspomnienia. Ale chwilę później wszystko się zmieniło.

Kurwa.

Na ekranie, kilkanaście metrów za rozgorączkowanym dziennikarzem, mignął dzieciak. Ten sam żulerski gnojek, który widział, jak siekam alfonsa. Stał pomiędzy dwiema kucającymi policjantkami. Rozmawiały z nim. Najprawdopodobniej o zakapturzonym facecie, który zafundował mu dożywotnią traumę.

[2](#) Lannister zawsze spłaca swoje długi (ang.)

Siedząc w jednej z sieciowych kawiarni niedaleko stacji metra Ratusz Arsenal, Maria długo wpatrywała się w łyżeczkę, którą Oleg mieszał kawę. Przy każdym ruchu uderzał w filiżankę, jak gdyby próbował skomponować jakiś prymitywny utwór. Kiedy skończył, oblizał łyżeczkę, odłożył ją na talerzyk i siorbnął łyk gorącego napoju.

– O czym myślisz? – zapytał.

Wyrwana z zadumy Maria przeniosła wzrok z jego mokrych ust na rozbawione oczy.

– Co? – spytała.

– Widzę, że coś cię trapi.

Choć jeszcze nie była gotowa się do tego przyznać, od pewnego czasu Oleg strasznie ją wkurwiał. Swoim flegmatyzmem, którym spowalniał ich działania. Beztroską przebijającą się z jego niemrawych ruchów. Lenistwem, którego nie potrafił albo nie chciał ukryć. Kompletnie niezrozumiałymi pomysłami – jak ten, żeby wyskoczyć na drugie śniadanie do kawiarni. Ale przede wszystkim wkurwiała ją jego ułożone życie. Irytująco przewidywalne. Stabilne. Nudne. Do złudzenia przypominało to, które sama kiedyś wiodła. Zanim się dowiedziała, że nie będzie miała dzieci. Zanim odszedł Piotr. Zanim wszystko zaczęło się sypać.

– Zastanawiam się nad śledztwem – skłamała.

Oleg uśmiechnął się pod nosem.

– Tyle to wiem. A konkretnie?

Upłynęło kilkanaście sekund, zanim myśli Marii wróciły na właściwy tor.

– Zwróciłeś uwagę, o czym Kitkarz rozmawiał z pasażerami? – spytała. – Z Chłabą głądził o kryptowalutach i rynku finansowym. Z dwoma studentami rozmawiał o transporcie, podatkach i regulacjach. A z kimś tam jeszcze o systemie edukacji i rynku pracy.

Oleg pokiwał głową.

– Otwiera się tylko przy facetach.

– Nie o to chodzi. On wyraźnie interesuje się gospodarką.

Ukraińiec pociągnął kolejny nieelegancki łyk, po czym wytarł usta wierzchem dłoni.

– Ekonomista? – zasugerował.

– Być może. Ale coś innego zwróciło moją uwagę. – Maria pochyliła się przed siebie. – Kitkarz staje po stronie firm przewozowych, zachęca pasażerów do inwestowania w akcje i twierdzi, że publiczne szkolnictwo wyższe jest zbędne, bo dzisiaj całą wiedzę można zdobyć samodzielnie. O czym to świadczy? – Widząc, jak Oleg wzrusza ramionami, bardziej zaabsorbowany sernikiem niż rozmową, głośno wypuściła powietrze. – Znasz się na ekonomii lepiej ode mnie. Rusz łepetyną.

Oleg zostawił na moment sernik i odchylił się na oparcie.

– To wolnorynkowiec – oznajmił. – Liberał.

– No właśnie. A to oznacza, że raczej nie pracuje w administracji publicznej czy spółce Skarbu Państwa.

– Różnie z tym może być.

– W tej sprawie wszystko wydaje się skomplikowane, więc przyjmijmy najprostsze i najbardziej oczywiste założenie, okej?

Speszony ostrym tonem Marii, Oleg nerwowo kiwnął głową.

– Jeden z zagranicznych pasażerów... jakiś młody Hiszpan, który przyjechał na Erasmusa... twierdzi, że Kitkarz świetnie mówi po angielsku. A to sugeruje, że albo jest niezłe wykształcony, albo przez jakiś czas mieszkał za granicą, albo dużo podróżuje po świecie.

– Może ma własny biznes?

Maria potrząsnęła głową, po czym zapatrzyła się w szybę. Na zmierzający w kierunku metra tłum warszawiaków. Zestresowanych, sfrustrowanych, spóźnionych. Ślepo pędzących na meetingi, telekonferencje i statusy. Zaciekle wdrapujących się na coraz wyższe szczeble kariery i kolejne stopnie samorozwoju. Drapieżnych. Niebiorących jeńców. Niepierdołających się w tańcu.

– Przeciętny polski przedsiębiorca jest wąsatym Januszem. Mieszka w Wólce Kosowskiej i włada angielskim na poziomie Sylwka z *Dnia świra*. Bardziej prawdopodobne, że mamy do czynienia z pracownikiem korporacji. Specjalistą albo menedżerem, którego firma regularnie wysyła na zagraniczne konferencje albo spotkania z klientami. Pracującym w międzynarodowym środowisku, w którym często musi używać angielskiego. Zajmującym się jakimiś skomplikowanymi procesami

biznesowymi. – Maria po raz pierwszy sięgnęła po kawę. – Może Kitkarz wysiaduje dupogodziny w Mordorze, a potem przebiera się w robocze szmaty, wskakuje do Ubera i poluje na dwudziestoletnie dziewczyny.

– Chyba za daleko popłynęłaś.

– Wiem. Chciałam ci tylko uzmysłwić, że taki scenariusz jest możliwy. Że Kitkarz może być świetnie odnajdującym się w społeczeństwie psychopata.

Oleg przejechał dłonią po twarzy.

– Pamiętasz wywiad z tą babką z Uniwersytetu Warszawskiego? Doktor Julią Jakąstam?

– Tokarską.

– Wspominała, że najwięcej osób o psychopatycznych skłonnościach występuje wśród księży, prawników, dziennikarzy i menedżerów wyższego szczebla.

– Oraz policjantów.

– Oraz policjantów – powtórzył Oleg, zawieszając się na chwilę na słowach Marii.

– Nawet jeśli Kitkarz jest dobrze funkcjonującym gościem z korpo, to niewiele z tego dla nas wynika. W samym Mordorze pracuje ze sto tysięcy osób. Drugie tyle na Woli. A to niejedynie zagłębia biurowe w Warszawie.

– Na szczęście wiemy, jak wygląda. Nie znam statystyk, ale jestem gotowa się założyć, że nie ma wielu przystojnych długowłosych facetów. Ani w korporacjach, ani gdziekolwiek indziej.

Oboje się uśmiechnęli. Coraz rzadziej im się to zdarzało.

– Co teraz? – spytał Oleg.

– Musimy pogadać z Papszonem. Pół biedy, jeśli ścigamy jakiegoś zakompleksionego gnojka, który ukrył się w korpo. Ale jeżeli Kitkarz jest szanowanym specjalistą, menedżerem czy, nie daj Boże, członkiem zarządu albo prezesem, to mamy przejebane. Może się zrobić chryja.

– Oby nie.

Maria znów wyjrzała przez witrynę. Zawiesiła wzrok na łysiejącym pięćdziesięciolatku w garniturze, który nerwowo drepcząc w miejscu, wyżywał się na kimś przez telefon.

– Oby nie – powtórzyła bez przekonania.

* * *

Podobno największe zagrożenie na drodze stanowią młodzi kierowcy. Bo są

niedoświadczeni. Bo nie mają wyobraźni. Bo lubią się popisywać. Bzdura. Może i młodzi jeżdżą jak pokraki, ale swoimi zagazowanymi golfami nie są w stanie nawet otrzeć się o brawurę.

Co innego ktoś taki jak Marcin Zjawiński. Nie mam pojęcia, co się kryło pod maską jego sportowej bety, ale brzmiało jak wściekłe bydlę, gotowe rozszarpać wszystkich, którzy staną mu na drodze. Zjawiński nie tylko się uparł, że pojedzie ze mną do Zbigniewa Parczewskiego, ale i że nas tam zawiezie. Albo zabije, próbując. Dzięki jego szaleńczej jeździe trzyipółgodzinna podróż do Starogardu Gdańskiego zajęła nam jedynie dwie godziny z okładem, w trakcie których mój serdeczny kolega wyznaczył nowe standardy autostradowej jazdy lewym pasem. A właściwie nowe standardy przeklinania, siedzenia na zderzaku i popędzania kierowców światłami.

Dżizas!

Przez większość drogi nie rozmawialiśmy, ponieważ Zjawiński umiłał sobie zapierdalanie ostrą muzyką, przez co czułem się jak na koncercie jakiegoś heavymetalowego zespołu. Dopiero w Starogardzie zdjął nogę z gazu i przyciszył łomot.

– Wreszcie – powiedziałem, dotykając rozgrzanej do czerwoności twarzy. Musiałem się upewnić, że nadal tam jest.

– Nie lubisz metalu? – zdziwił się Zjawiński.

– Nie lubię być dymanym w uszy.

– Trzeba było powiedzieć.

– Mówiłem. A nawet wrzeszczałem.

Zjawiński zerknął w moją stronę i się uśmiechnął. Nie było mu mnie żal. Ani trochę. To nie jest typ człowieka, który żałuje bliźnich. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni.

– Dlaczego Parczewski się ukrywa? – spytałem.

– Jest kilka mniej lub bardziej prawdopodobnych teorii.

– Słyszałem dwie. Zupełnie zwyczajne.

– Wal.

– Podobno to trep, który wstydzi się rozmawiać z dziennikarzami i pojawiać na eventach. Wie, że wypadłby fatalnie, więc nie chce zburzyć wizerunku, jaki zbudował swoim sukcesem.

– Brzmi logicznie. A druga teoria?

– Jest skromnym facetem, który nie afiszuje się z bogactwem i nade wszystko ceni

spokój. Jeździ do pracy ośmioletnim saabem albo rowerem, przez co większość podwładnych, kiedy ma z nim do czynienia, nawet nie wie, że to właściciel firmy.

– To brzmi, kurwa, jak opowieść dla przedszkolaków. Zbyt utopijna, żeby mogła być prawdziwa. Moje teorie są znacznie ciekawsze. – Gdy wyjechaliśmy z centrum miasta, Zjawiński ponownie przyspieszył. – Jedna jest taka, że kilkanaście lat temu miał wypadek samochodowy, który poważnie go oszpecił. Do tego stopnia, że nie chce się pokazywać ludziom. Jeżeli się trochę pogrzebie na lokalnych forach, można znaleźć fotki rozbitego merola, który rzekomo należał do Parczewskiego.

Potrząsnąłem głową.

– Facet pozostaje anonimowy od ponad dwudziestu lat. Nawet jeśli rzeczywiście rozbił furę i wygląda jak Quasimodo, to musi się ukrywać z innego powodu.

– Druga teoria jest taka, że Parczewski próbuje chronić bliskich. Podobno przed laty kumplował się z gościem z listy najbogatszych, któremu bandyci z gangu obcinaczy palców porwali córkę. Facet wpłacił kasę, ale mimo to nigdy nie zobaczył dzieciaka. Do dziś nie wiadomo, co się stało z tą panną.

– Słyszałem o tym. To sprawa sprzed kilkunastu lat. Tutaj też daty się nie zgadzają.

– Jest jeszcze trzecia teoria. Ona mi się najbardziej podoba. – Zjawiński przyspieszył, choć wydawało się, że to już niemożliwe. – Parczewski jest świadkiem Jehowy.

Spojrzałem w jego stronę.

– I co z tego?

– Nie jesteś mocny z religii, co? – Zaśmiał się chrapliwie, przebijając rechotem ryk rozjuszonego silnika. – Świadkowie Jehowy dążą do prostoty. To wstrzemięźliwi i skromni ludzie. Nie piją alkoholu, nie palą, nie ruchają kurew. I nie bogacą się. Miliarder, który dorobił się na sprzedaży ciastek, chipsów i innego spożywczego badziewia, kompletnie nie pasuje do tego obrazu.

– Chyba że nikt nie wie, kim tak naprawdę jest.

– Otóż to. – Zjawiński gwałtownie zahamował i zjechał na prawy pas. Chwilę później zgodnie z sugestią GPS-u skręcił w boczną drogę. – Zawsze uważałem, że nie należy łączyć biznesu z religią.

– A ja myślałem, że każdy, kto wierzy w jakiegoś boga, jest skazany na klęskę. Widocznie obaj się myliliśmy.

Mówiąc to, patrzyłem na potężną fabrykę, pokryte blachą falistą magazyny oraz parking mogący pomieścić kilkaset samochodów. Sunęliśmy wzdłuż wysokiego

ogrodzenia, które ciągnęło się aż do bramy wjazdowej, opatrzonej biało-zielonym logotypem firmy Polfood.

Zjawiński twierdzi, że nawet dziesięć procent liczącej kilka tysięcy osób załogi Polfoodu mogą stanowić świadkowie Jehowy. I może mieć rację. W firmie, która jest jednym z największych pracodawców na Pomorzu, skromność bije po oczach. Prosta recepcja, proste korytarze, proste boksy pracownicze. Proste magazyny. Prosta, choć w dużej mierze zautomatyzowana fabryka. Trochę pachnie Peerelem, a trochę wężem w kieszeni właściciela, który nawet z sali konferencyjnej uczynił pomieszczenie przypominające kapliczkę w wiejskim kościele.

Skromność bije także od prawej ręki Zbigniewa Parczewskiego. Jak również oziębłość, niechęć i zacofanie, które objawia się między innymi tym, że nie zdradził, kim właściwie jest. Powiedział jedynie, że nazywa się Antoni i że od lat pomaga Parczewskiemu w prowadzeniu biznesu. Nie zasiada w zarządzie ani radzie nadzorczej Polfoodu (wiem, bo naprędce to wygooglowałem), więc zakładam, że jest kimś w rodzaju jego asystenta. Albo kamerdynera. Niczym Alfred w posiadłości Bruce'a Wayne'a.

W najśmielszych snach nie przypuszczałem, że ten zagadkowy burak kiedykolwiek wypowie słowa, które sprawią mi tyle przyjemności.

– Pan Parczewski chce się z panem spotkać. – Antoni popatrzył na mnie, analizując moją reakcję. – Tylko z panem. – Przeniósł wzrok na Zjawińskiego. – Proszę wybaczyć, ale pan Parczewski rzadko poznaje nowe osoby. A w szczególności prawników.

Zjawińskiego musiało zabołeć, że traci taką okazję, ale nie dał tego po sobie poznać. Roześmiał się, jakby lokaj opowiedział przedni dowcip.

– Nie on jeden. – Zerknął na mnie. – Poczekam na ciebie w sali konferencyjnej.

– Mogę poprosić kogoś z pracowników, aby oprowadził pana po fabryce – zaoferował Antoni, mierząc wzrokiem Zjawińskiego. – Jesteśmy jednym z największych producentów słodyczy w Europie. Nie będzie pan stratny na tej wycieczce.

Kilka minut później zostałem sam w przestronnej, choć skromnie urządzonej poczekalni. Od gabinetu Parczewskiego odgradzał ją wąski przedsionek, w którym krzątała się podstarzała sekretarka. Czekałem, aż Antoni rozmówi się z szefem. Popijając lurowatą kawę (na ekspresie też przydziadowali), patrzyłem na rozwieszane na ścianach fotografie. Zdjęcia z firmowych eventów, otwarcia nowej fabryki,

wręczania nagrody od ministra gospodarki. Polfood może i miał zdziwaczałego właściciela, ale był jedną z niewielu firm, z których Polska mogła być dumna. Fabryką pieniędzy i kopalnią PKB. Kapalistyczną wizytówką regionu. Drugim domem dla tysięcy Pomorzan, którzy znaleźli w nim schronienie przed nowym, sprzecznym z ich robolskimi ideami ustrojem.

Choć kiedy Antoni, człowiek o aparycji służalczego aparatczyka, wyszedł z gabinetu szefa i stanął przede mną na baczność, nie byłem już taki pewien, czy ustrój rzeczywiście się zmienił.

– Szef jest gotowy. Zapraszam.

Dwunaste miejsce na liście najbogatszych. Dwa i pół miliarda złotych majątku. Firma, która jest jednym z największych producentów ciastek na kontynencie. Każdą z tych informacji musiałem sobie przypomnieć i dwukrotnie powtórzyć w myślach, kiedy ścisnąłem dłoń niewysokiego siwego mężczyzny w znoszonym sztruksowym garniturze. Nie wyglądał na miliardera. Ani na faceta, który coś w życiu osiągnął. Nie miał zdeformowanego ryja ani gęby trepa. Właściwie był tak nijaki, jak tylko to możliwe. Przypominał sprzedawcę warzyw z osiedlowego bazaru: uprzejmego starszego pana, który zachwala niepryskane ziemniaki, pomstuje na coca-colę i z rozrzewnieniem wspomina zakupy w Peweksie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. – Głos miał niski i silny, kompletnie niepasujący do maleńkiego starczego ciała. – Rzadko przyjmuję gości. Musiałem się odpowiednio nastroić, żeby nie wyjść na kompletnego dziwaka.

– I tak jestem zaskoczony, że doszło do spotkania – odparłem. – Niewielu ludziom udaje się pana poznać.

Liczyłem na to, że w ten subtelny sposób zdołam pociągnąć Parczewskiego za język. Że stary poczuje się w obowiązku wytłumaczyć ze swoich dziwactw. Ale on tylko nieznacznie się uśmiechnął i wskazał dłonią fotel. Jeden z dwóch, które stały w jego gabinecie. Oprócz nich były jeszcze stolik z napojami, regał z książkami, dębowe biurko oraz krzesło. Żadnych ozdobników. Żadnych zdjęć rodziny. Żadnych świadectw pasji. Niczego, co mogłoby mi cokolwiek powiedzieć o Parczewskim. O ile to rzeczywiście był on.

– Słyszałem, że interesuje się pan Józefem Rolnickim – powiedział, siadając na drugim z foteli. – Coś przeszkrobał?

– Wręcz przeciwnie. Zbudował świetną spółkę. I jak to często bywa w gospodarce, większa i bardziej zasobna organizacja chce ją połączyć.

– A pan jest wiceprezesem i szefem sprzedaży w tej organizacji.

Kiwnąłem głową.

– Dlaczego więc spotykam się z panem, a nie z pańskim szefem?

– Umówiliśmy się, że to ja poprowadzę akwizycję.

– Zna się pan na tym?

– Potrafię sprzedawać. Z kupowaniem też sobie poradzę.

Parczewski przenikliwie się we mnie wpatrywał. Jakby był specem od mowy ciała, który na podstawie drgań mięśni jest w stanie określić, czy zamierzam go wydymać.

– Znamy się z Józefem od ponad trzydziestu lat – oznajmił. – Choć nie mogę powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak słyszałem.

– Co pan słyszał?

– Że panowie za sobą nie przepadają. Delikatnie mówiąc.

Parczewski w dalszym ciągu wbijał we mnie wzrok. Wreszcie sięgnął po wodę, nalał jej do dwóch szklanek i pociągnął spory łyk.

– Powinien pan wiedzieć, że Józef nie jest człowiekiem, za jakiego się podaje. Publicznie często podkreśla, że działa w biznesie, ponieważ chce wspierać gospodarkę, budować PKB, zatrudniać ludzi i takie tam. Bo lubi udowodniać, że Polak potrafi. Że może z powodzeniem ścigać się z takimi firmami jak pańska, wielkimi zachodnimi korporacjami. Ale to bzdura. Motywuje go to samo co większość przedsiębiorców z naszego pokolenia. Również mnie.

– Czyli?

– Nieodparta potrzeba mierzenia kutasów. – Parczewski po raz pierwszy się uśmiechnął. – Dziesięć lat temu byliśmy razem w Nowym Jorku. Józef jest fanem samorozwoju. Wykombinował, że zorganizuje serię spotkań z tamtejszymi specami od nowych technologii i finansów. Nie chciał jechać sam, więc zapytał, czy nie zostanę jego kompanem. Zgodziłem się. W trakcie naszego milutkiego tournée spotkaliśmy biznesmena z polskimi korzeniami. Opowiedzieliśmy mu o sobie. Nie mógł uwierzyć, że dwaj niczym niewyróżniający się goście są jednymi z najbogatszych ludzi w Polsce. Gapił się na facetów w zwykłych garniturach, bez rolexów, bez rolls-royce'a, bez tłumu asystentów, i po prostu nie mógł uwierzyć. Ja miałem to gdzieś. Ale Józef uznał to za zniewagę. Nie znał miasta i nie wiedział, czy może kupić gdzieś polską prasę. Dlatego zadzwonił do jednego ze swoich ludzi i kazał mu znaleźć kogoś z amerykańską wizą, kto będzie mógł przylecieć do Nowego

Jorku i przywieźć kilka magazynów biznesowych z Józefem na okładkach.

Czyli dla Rolnickiego status jest jeszcze istotniejszy, niż przypuszczałem. Ale znacznie bardziej zastanawiało mnie to, dlaczego ktoś taki jak Parczewski – tajemniczy odludek, który najchętniej zapadłby się pod ziemię – zgodził się wyjechać z Rolnickim do Nowego Jorku. Co ich łączyło? I jak zrodziła się między nimi niechęć, która doprowadziła mnie do tej pipidówki?

– Józef jest znacznie bystrzejszy, niż się panu wydaje – powiedział Parczewski. –

Ja jestem prostym facetem. Zamiast się uczyć, wyjeżdżałem na Węgry, aby sprzedawać ciuchy i łańcuszki z medalikami. On w tym czasie zdobywał wykształcenie. Uczył się nie tylko informatyki, ale także biznesu. Poznawał mechanizmy rynkowe, techniki sprzedaży, sztuczki psychologiczne. Można powiedzieć, że jestem naturszczykiem, któremu udało się osiągnąć sukces dzięki wyczuciu, dobrej ręce do współników i sporemu pierwiastkowi szczęścia. Natomiast Józef niczego nie pozostawił przypadkowi. To oczywiście nie oznacza, że nie popełnia błędów. Ale żeby je znaleźć, musi się pan wychylić poza biznes. Zajrzeć w miejsca, które dla kogoś z zewnątrz wydają się niedostępne.

– Mam wrażenie, że szukałem już wszędzie.

– Ale pewnie nie pod kołdrą. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Słyszał pan o Jędrzeju Starzyńskim?

– Tym projektancie mody?

Parczewski kiwnął głową.

– Nigdy go nie spotkałem. Ale za to Danusia Rolnicka go zna. Jeszcze do niedawna się kumplowali. Wszystko się zmieniło, gdy zabrała męża na jeden z jego pokazów.

– Co się stało?

– Starzyński i Józef przypadli sobie do gustu. Bardziej, niż żona mogłaby sobie tego życzyć.

O kurwa. Po kilku tygodniach bezowocnego szukania zwątpiłem we wszelkie pogłoski dotyczące rzekomych zdrad Rolnickiego i uwierzyłem w jego czystość moralną. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może być pedałem.

Tylko dlaczego Rolnicka mi o tym nie powiedziała?

– Danusia to cicha i niepewna siebie kobieta, która nigdy by panu o tym nie wspomniała – wyjaśnił Parczewski, jakby czytał w moich myślach. – Nawet gdyby wiedziała, że dzięki skandalowi obyczajowemu może odebrać mężowi fortunę. Coś

takiego byłoby dla niej większym upokorzeniem niż utrata pieniędzy, na które w mniejszym czy większym stopniu zasługuje. Ale pana to pewnie guzik obchodzi.

Teraz to ja się uśmiechnąłem. Parczewski wręczył mi broń, jakiej potrzebowałem.

– A ten projektant... – kontynuował – to nie jedyny skok w bok Józefa. I z całą pewnością nie najbardziej gorszący. Proszę się uważnie przyjrzeć rodzinie Danusi. Myślę, że znajdzie pan tam kilku przystojnych młodych mężczyzn, na których bogaty wujek może zrobić niemałe wrażenie.

Coraz trudniej było mi uwierzyć w słowa Parczewskiego. I z coraz większym trudem powstrzymałem triumfalny okrzyk wyrrywający mi się z płuc.

– Ma pan jakieś pytania? – zapytał biznesmen, zerkając na zegarek.

– Tylko jedno. Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi?

Parczewski ostrożnie się podniósł i skierował do biurka. Wybrał jakiś numer na telefonie stacjonarnym. Czekał na połączenie, spojrzał w moją stronę.

– Żeby wyrównać szanse – oznajmił.

Przekazał człowiekowi po drugiej stronie słuchawki, że skończyliśmy. Chwilę później podszedł do drzwi. Położył dłoń na klamce. Zanim otworzył, odwrócił się do mnie.

– Znam też kilka historii o człowieku, który próbuje pana podkupić. Może kiedyś o nich opowiem. A może nie.

– Wątpię, żebyśmy mieli się jeszcze spotkać – powiedziałem. – Jeżeli chce mnie pan ostrzec przed Solskim, pewnie jest to jedyna okazja.

Uśmiechnął się. Ale inaczej niż przedtem. Jak do gnojka próbującego wsadzić pychę w kontakt.

– On łamie życie tym, którzy nie są mu całkowicie i bezwarunkowo oddani. Wkrótce sam pan się o tym przekona.

* * *

Spotkali się we czworo, choć Maria miała wrażenie, że jest ich o dwoje za dużo. Albo i o troje. Kiedy w obecności potakującego głową i jak zwykle bezużytecznego Olega podzieliła się z Wiesławem Papszonem i Rafałem Lewińskim przemyśleniami na temat śledztwa, nie nastąpił oczekiwany wybuch entuzjazmu. W zasadzie nic się nie wydarzyło. A to mogło oznaczać, że albo nie dają wiary jej słowom, albo są już cholernie zmęczeni błędzeniem po omacku.

– Czyli twierdzisz, że to gość z korporacji. – Pierwszy odezwał się Papszon.

Siedział za zagraconym biurkiem, bawiąc się zapalniczką. – Jakiś wysoko postawiony menedżer. Człowiek biznesu.

– A przynajmniej interesujący się biznesem – skorygowała Maria. – To jedyny temat, który regularnie poruszał z pasażerami.

– Dlaczego się odkrył? – zapytał Lewiński. Opierał się o ścianę, z rękoma splecionymi na piersi. – Zakładamy, że to bystry facet, który wszystko starannie zaplanował. Nawet nauczył się mówić po polsku ze wschodnim akcentem. I nagle taka wtopa?

– Jeździł z tymi ludźmi łącznie kilkadziesiąt godzin. Może zdarzały mu się momenty, w których tracił czujność. A może chęć wypowiedzenia się na ulubiony temat okazała się silniejsza niż rozsądek. – Maria podeszła do Papszona i położyła na biurku kartkę. Wypisała na niej kilka punktów. – Świadkowie zeznali, że Kitkarz jest dobrze ubranym gościem. Ma sporo kasy, skoro stać go było na opłacenie Butki. Zna się na biznesie. Jest inteligentny, elokwentny i komunikatywny, a zatem raczej nie siedzi w podziemiach, tylko pracuje z ludźmi. Bardzo dobrze posługuje się angielskim, więc można założyć, że spędził trochę czasu za granicą albo często ma do czynienia z obcokrajowcami. I z całą pewnością mieszka tu od lat, bo zna Warszawę jak własną kieszeń.

– Sprawdziliśmy wszystkich klientów Butki i żaden nie pasuje do tej charakterystyki – zauważył Lewiński. – Nie jesteśmy w stanie zawęzić obszaru poszukiwań. A jeśli tego nie zrobimy, to za chuja go nie znajdziemy.

– Co proponujesz? – zapytał Papszon, zwracając się do Marii.

Zerknęła na Olega. Liczyła na to, że ją wesprze. Że choć raz pokaże jaja. Że wylezie ze skorupy, udowadniając, że jest kimś więcej niż tylko zafiksovanym na punkcie danych trollem. Ale się przeliczyła. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Wiemy, jak wygląda Kitkarz i czym się charakteryzuje – powiedziała. – Musimy zacząć pytać o niego właściwych ludzi.

– Kilka tygodni temu upubliczniliśmy jego podobiznę – przypomniał Lewiński. – Dostajemy dziesiątki zgłoszeń, z których nic nie wynika.

– Trzeba to zrobić inaczej. Musimy bezpośrednio dotrzeć do osób, które poczuły się zobowiązane, aby się nad tym chwilę zastanowić, bo być może dzięki temu unikną skandalu.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Papszon.

– Przygotujemy listę największych firm w Warszawie. Skontaktujemy się z nimi,

a następnie przepytamy ich menedżerów i działy HR. Jeżeli nikogo nie znajdziemy, schylimy się po mniejsze spółki. A potem jeszcze mniejsze. I tak dalej, i tak dalej. W końcu go znajdziemy.

Lewiński zaśmiał się pod nosem.

– Nie mamy na to zasobów. To robota na kilka miesięcy dla wszystkich zaangażowanych w śledztwo.

– Może to jedyny sposób – stwierdziła Maria. – Nasze dotychczasowe działania nie przyniosły nawet pół podejrzanego, któremu warto byłoby się bliżej przyjrzeć.

– Nie licząc Butki.

– Przynajmniej poznaliśmy modus operandi tego świra.

– I przez jakiegoś tępego chuja, który nie umie trzymać języka za zębami, omal nie doprowadziliśmy do linczu na niewinnym człowieku.

Lewiński zmierzył Marię wzrokiem, jak gdyby podejrzewał ją o wyciek informacji do mediów.

– O co chcesz pytać w tych korporacjach? – odezwał się Papszon. – Czy znają jakiegoś przystojnego gościa w długich piórach, który dobrze się ubiera, sprawnie włada angielskim i ma ładny uśmiech?

– W zasadzie tak – odparła Maria. – Sztuka polega na tym, żeby z jak najmniejszej liczby pytań wyciągnąć jak najwięcej informacji.

Naczelnik nie wyglądał na przekonanego.

– To cholernie ryzykowne. Muszę się zastanowić. Ale nawet jeśli się zgodzę, to i tak trzeba będzie omówić temat z prokuratorem. Jeżeli powie, że jesteśmy pojebani, to nie będę z nim polemizował.

Kiedy policjanci mieli się rozejść, jeszcze bardziej skonfundowani niż przed odprawą, do sali konferencyjnej nieoczekiwanie wparował Chudy. Choć spóźnił się blisko pół godziny, nie wydawał się tym przejmować.

– Coś mnie ominęło? – spytał, wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie.

– Premia – burknął Lewiński.

– Sorry, musiałem sprawdzić jedną rzecz. Ale za to znalazłem coś ciekawego.

Chudy rozdał policjantom kartki, na których wydrukował zdjęcie z policyjnej kartoteki jakiegoś faceta.

– Kto to? – spytał Papszon.

– Słyszeliście o napaści przy rondzie Wiatraczna?

– Może i jesteśmy głupi, ale nie głusi.

– Nie to miałem na myśli. Chciałem...

– Mów, kurwa, o co chodzi.

Chudy, wyraźnie zbity z tropu, spojrział na Papszona, jakby chciał wbić mu nóż w czoło. Najgłębiej, jak się da. A potem parokrotnie go obrócić.

– Wciąż nie wiadomo, kto za tym stoi ani co się stało z ciałem. Ale wiadomo, kim jest ofiara. To Bartosz „Druciarz” Dębiński, znany śródmiejski alfons. Gangster starej daty, który w latach dziewięćdziesiątych trzymał się blisko gości z Pruszkowa. Przesiedział kilka lat w pierdlu za dragi i sutenerstwo.

– Druciarz? – zdziwił się Papszon.

– Nie wiem, dlaczego tak go nazywają. I chyba nie chcę wiedzieć. Zespół zajmujący się tą sprawą twierdzi, że musiał nadepnąć komuś na odcisk. Komuś potężniejszemu od siebie.

– Jest jeszcze jedna teoria. Odwróćcie kartki.

Policjanci zrobili to niemal równocześnie.

– Miejscowy dzieciak widział napastnika. W momencie ataku facetowi zsunął się kaptur.

– O kurwa! – zaklął Lewiński.

Chudy, wyraźnie rozradowany, pokiwał głową, strzelając wzrokiem po twarzach kolegów.

– Być może alfons nadepnął na odcisk komuś innemu, niż się wszystkim wydaje.

* * *

Nie jestem idiotą. Wiedziałem, że w którymś momencie psy mogą połączyć kropki. Dlatego choć bardzo mnie korciło, aby od razu po powrocie od Parczewskiego skoczyć Rolnickiemu do gardła, najpierw musiałem po sobie posprzątać. Nie miałbym przecież żadnej satysfakcji, gdybym oglądał upadek tego gnoja z za krat.

First things first.

Musiałem zlokalizować trzy osoby: dziwkę, której imienia nie poznałem, Alicję oraz gościa z imprezy u Rolnickiej. Dziwkę wziął na siebie Mak. Alicję próbował wytropić Paweł, mój oddany detektyw. Ale facetem z imprezy musiałem zająć się sam. I dobrze, bo po niecałej godzinie sprawdzania w internecie ludzi z listy gości poznałem jego tożsamość.

Nazywa się Adam Kalicki. Przez kilka lat pracował jako dziennikarz ekonomiczny, po czym przeszedł do komunikacji. Założył własną agencję – Connection PR. W jej

portfolio widnieją głównie marki odzieżowe i start-upy. Nic spektakularnego. Kalicki ma czterdzieści trzy lata, żonę będącą zarazem jego partnerką biznesową, niewielki dom w luksusowej części Sadyby, jednocześnie pełniący funkcję siedziby jego firmy, a także córeczkę, o której się dowiedziałem, gdy postanowiłem go odwiedzić.

Kalicy wyszli na popołudniowy spacer. Wycieczki z dzieciuchami nie trwają zbyt długo, więc założyłem, że za mniej więcej godzinę będą z powrotem. Siedząc w samochodzie pod ich domem, wyjąłem laptopa, podpiąłem mobilny internet i zacząłem dłużyć w wywiadowni gospodarczej i serwisach biznesowych. Musiałem znaleźć wszystkie powiązania Kalickiego. Wszystkie informacje na temat jego wspólników, współpracowników i klientów. Wszystkie nici, które mogły go do mnie doprowadzić.

Nic z tego. Nigdy nie miałem do czynienia z żadną z firm, z którymi współpracowała agencja Kalickiego. Nie prowadziłem dla nich szkoleń, nie występowałem na ich imprezach firmowych, niczego im nie sprzedawałem. Nie znałem też nikogo z zespołu Kalickiego ani jego dawnych kolegów z redakcji. Jeżeli więc istniało między nami jakieś połączenie, to było nieoficjalne. I w sposób nieoficjalny musiałem je odnaleźć.

Odłożyłem komputer i wyjąłem telefon.

– Nareszcie. – Janek odebrał po drugim sygnale. – Opowiesz mi w końcu o tym wielkim dealu? Albo o Solskim?

– Później.

– To po jaką chole...

– Potrzebuję informacji – przerwałem mu. – Kojarzysz Adama Kalickiego?

Zamilkł. Przez kilka sekund bił się z myślami.

– Właściciela Connection PR? – zapytał.

Janek prawdopodobnie zamierzał się bocyć, dopóki nie odpłacę się za artykuł o Ukraińcu, ale jego ciekawość wzięła górę. Wszystkie dziennikarskie szumowiny są takie same. Gotowe sprzedać własną matkę w zamian za informacje. Za to, żeby być na bieżąco. Żeby mieć złudne poczucie, iż są uczestnikami naszej wielkiej gry.

– Kiedyś pracowaliśmy w konkurencyjnych tytułach. – Zabawne, nawet nie musiałem Janka zachęcać do zwierzeń. – Nigdy się nie poznaliśmy, ale słyszałem, że to kawał chuja. Karierowicz i cwaniak. W pewnym momencie się połapał, że jest za cienki w uszach, aby się dorwać do najwyższych stanowisk w redakcji, i zaczął budować backup. Kiedy razem z żoną postanowili założyć agencję, mieli już

nagranych paru klientów, którym jako dziennikarze robili dobrze.

– Ma jakichś wpływowych znajomych?

– Cholera wie. Wydaje mi się, że zadaje się głównie z dzieciakami. Szczyci się tym, że zaczął kibicować polskim start-upom, zanim to się stało modne. Dlaczego pytasz?

– Spotkałem się z nim na jednej z imprez. Zastanawiam się, co to za jeden.

– Jeżeli nie namawiał cię, żebyś został jego klientem, to pewnie coś knuje.

Kurwa, właśnie tego się obawiałem.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś mnie w chuja z tym wywiadem – upewniał się Janek.

– Opowiem ci wszystko ze szczegółami. W swoim czasie.

Rozłączyłem się, nim Janek zaczął mendzić. Wybrałem kolejny numer.

– Nie rozmawialiśmy od pięciu tygodni – oznajmiła Karolina.

– Też się stęskniłem.

– Przestałam komunikować, że jesteśmy parą.

Komunikować? Kto tak, kurwa, mówi? Wiem: wilczki i wilczyce, które z przytupem wkraczają w świat dużego międzynarodowego biznesu. Karolina wydeptała swoją ścieżkę inaczej niż większość młodych przedsiębiorców, ale coraz więcej czasu spędzała pośród miernot: dzieciaków bogatych starych, absolwentów fajnych uczelni, nieźle ustawionych korporaluków. Jej transformacja była nieunikniona.

– Domyślam się, że nie zamierzasz zaprosić mnie na kolację, tylko potrzebujesz pomocy. Chodzi o Biernacką?

– O Adama Kalickiego. Znasz go?

– Kiedyś załatwił mi publikację w „Życiu Gospodarczym”.

– Bezinteresownie?

– Coś ty! Chciał, żebyś została jego klientką. Był bardzo uprzejmy. Irytująco uprzejmy.

– Rozumiem, że nie przyjęłaś oferty.

– Nie potrzebuję kogoś, kto otwiera już otwarte drzwi. Gdyby załatwił mi duży tekst w „Financial Timesie”, to może byśmy pogadali o współpracy. Dlaczego o niego pytasz?

– Z ciekawości. Natknąłem się na niego kilka dni temu.

– I co? Chciał się przez ciebie dostać do Clouda?

– Właściwie nie wiem, czego chciał.

Ale za chwilę miałem się tego dowiedzieć. Na końcu wąskiej uliczki, otoczonej z obu stron piętrowymi domami, pojawiła się rodzinka. Kalicki, jego żonka i bachor. Wyglądali na szczęśliwych. Beztroskich. Nieświadomych, jak wiele złego może ich w życiu spotkać.

– Wszystko w porządku? – spytała Karolina.

– Co?

– Pytałam, czy wszystko w porządku. – Albo mi się zdawało, albo usłyszałem w jej głosie troskę. – Ludzie zaczynają mówić o tobie niepokojące rzeczy.

– To znaczy?

– Że się pogubiłeś. Że spotykasz się z dziwnymi ludźmi i odwiedzasz podejrzanego miejsca.

Zaśmiałem się.

– Wszystko, co najlepsze, rodzi się z chaosu.

– Kto tak powiedział?

– Ja. Muszę kończyć. Dzięki za pomoc.

Zastanawiałem się, czy nie pożegnać jej jakimś oklepanym sformułowaniem w stylu „musimy się zdzwonić”, „odezwę się” albo „brakuje mi naszych spotkań”, ale Karolina była zbyt przyzwoitą dziewczyną, żeby karmić ją takimi dyrdymałami. Za bardzo ją szanowałem. W przeciwieństwie do tych wszystkich kurew, które we mnie nie wierzą.

Jeszcze się zdziwią.

Ale najpierw zdziwi się Kalicki.

Kiedy zbliżył się do bramy, wysiadłem z auta. Podeszedłem do niego, gdy przekazywał żonie śpiącą na rękach córkę, aby móc otworzyć furtkę.

– Dobry wieczór, panie Adamie.

Kalicy spojrzeli na mnie synchronicznie. Oboje w zupełnie inny sposób: ona z udawaną uprzejmością, on z paniką przyspawaną do gęby.

– Dobry wieczór – odparł ze sporym opóźnieniem.

Nie zdejmując z twarzy szerokiego uśmiechu, przywitałem się z nim, a potem skupiłem na jego uroczej żonce.

– Pani musi być żoną Adama. Kacper Berger, miło mi.

Intensywnie się w nią wpatrywałem, żeby miała okazję mnie rozpoznać. Ale nic takiego nie nastąpiło. Żadna lampka nie zapaliła się w jej głowie. Byłem dla niej

kompletnie anonimowym gościem. A to oznacza, że Kalicka nie ma z tym nic wspólnego. Cokolwiek kombinuje jej mąż, nie robi tego dla ich śmiesznej agencji.

– Marzena Kalicka. A to jest Tosia. – Odwróciła się bokiem, abym mógł obejrzeć kartoflowatą gębę gówniaka i udać, że mnie obchodzi. – Skąd się znacie?

Machnąłem ręką.

– Dawne dzieje. Poznaliśmy się na jednej z konferencji. Adam pracował wtedy w gazecie, a ja próbowałem go przekonać, że buduję firmę, która będzie warta miliard dolarów.

Roześmiałem się, a Kalicka wraz ze mną. Jej mąż zdobył się tylko na sztuczny, minimalistyczny uśmiech.

– Zabierzesz Tosię do domu? – zapytał żonę.

Kiwnęła głową, pożegnała się i przeszła przez furtkę. Odprowadziłem ją wzrokiem.

– Niezła – powiedziałem. – Nie twoja liga. Domyślam się, że nie wyrwałeś jej na zakola.

– Czego chcesz?

Kalicki nagle nabrał hardości. Typowej dla faceta, który czuje, że jego rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Co robiłeś na tej imprezie? – spytałem.

– Przyszedłem tam dla Rolnickiej. W interesach.

– Fundacja Rolnickiej ma już agencję PR, niedawno przedłużyła z nią umowę. Wątpię, żebyś mógł o tym nie wiedzieć.

– A mimo to mówię prawdę.

– Posłuchaj. – Zrobiłem krok w jego stronę. – Możemy to rozegrać w sposób cywilizowany albo po bandycku. Mnie jest wszystko jedno, więc pozwolę ci wybrać.

Kalicki zerknął w stronę domu. Na piętrze zapaliło się światło. Westchnął.

– Po prostu skojarzyłem, kim jesteś.

– To nie tłumaczy, dlaczego przede mną spierdalałeś.

– To było głupie, fakt. Ale widziałem cię kiedyś w dziwnej sytuacji i spanikowałem.

Nie zastanawiając się długo, uderzyłem Kalickiego w brzuch. Momentalnie złożył się wpół i rozkaszał. Być może nie był to najrozsądniejszy ruch, zważywszy na to, że znajdowaliśmy się na eleganckim osiedlu domków, ale na nic lepszego nie wpadłem.

– W jakiej sytuacji? – spytałem.

Kalicki wyprostował się po paru sekundach. Z trudem łapał oddech.

– Na imprezie u Szelcera. To...

– Wiem, kurwa, kim jest Marian Szelcer. Producent grzejników, od lat w setce najbogatszych. Pamiętam tę imprezę. Co tam robiłeś?

– Kumpel z banku mnie wkręcił. Chciałem zdobyć kilka kontaktów.

Parokrotnie cmoknąłem, kręcąc przy tym głową.

– Lubisz buszować po nie swojej lidze. Takie rzeczy zawsze źle się kończą.

Ponownie go uderzyłem. I jeszcze raz rozejrzałem się po okolicy. Jeśli nie liczyć kota, który przemknął pomiędzy samochodami, nigdzie nie było żywej duszy. Dobrze. Bardzo dobrze.

Pomogłem Kalickiemu odzyskać pion i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Co takiego widziałeś na tej imprezie, że zacząłeś przede mną uciekać?

– Nic. Naprawdę.

Zdumiewające, że mimo wszechogarniającej paniki Kalicki nadal kręcił się jak gówno w przeręblu. Gnojek ściemniał w żywe oczy. Byłem niezły w werbalnej perswazji, ale nic tak nie działa na ludzi jak techniki niewerbalne. Dlatego wyjąłem nóż. Odczekałem, aż Kalicki podąży za nim wzrokiem, po czym przystawiłem mu ostrze do brzucha.

– Córka Szelcera – powiedział, jakbym go musnął czarodziejską różdżką. – Widziałem, że z nią rozmawiasz.

– Tylko tyle?

– Dobierałeś się do niej. Przez przypadek zajrzałem do pokoju, w którym byliście. Spotkaliśmy się wzrokiem. Kiedy zobaczyłem cię potem u Rolnickiej, pomyślałem, że mnie kojarzysz z tamtej sytuacji. I że będzie chryja.

– Bo widziałeś, jak się zabawiam z córką jakiegoś przedsiębiorcy?

– Ona miała wtedy piętnaście lat.

Cóż, nie miałem o tym pojęcia. Dziewczyna wpierdalała drągi jak Ozzy Osbourne, a w łóżku nie zachowywała się jak piętnastolatka. Ale Kalicki wreszcie brzmiał prawdziwie. Desperacko, ale prawdziwie. Dlatego schowałem nóż i poklepałem go po ramieniu.

– Nie mogłeś tak od razu? Oszczędziłbyś sobie wstydu. – Wskazałem palcem jego zaszczone portki. Nóż potrafi czynić cuda. – A teraz wymyśl, jak wejść do domu, żeby żona cię nie widziała. W przeciwnym wypadku będę musiał złożyć jej wizytę i wszystko wyjaśnić.

Wróciłem do auta. Odjeżdżając, minąłem Kalickiego, który nadal stał tam, gdzie go zostawiłem. Poczulem ulgę. Po tym, co ujrzałem, wiedziałem, że już nie stanowi dla mnie zagrożenia.

Jeden problem mniej.

* * *

Wykapany Oleg, pomyślała Maria, przyglądając się ostrzyżonemu na jeża chłopczykowi, który co kilka minut podchodził do ojca, żeby się pochwalić nowymi dokonaniem w jakiejś grze na tablecie. Miał na imię Igor. Był zbyt poważnym jak na swój wiek dzieciakiem, który zamiast spotykać się z rówieśnikami, wolał się uczyć programowania. I zatruwać życie swojej siostrzyczce. Małej ciemnowłosej dziewczynce z wyłupiastymi oczami, która wyzbywszy się początkowej nieśmiałości, zaczęła krążyć wokół Marii niczym rekin wokół przyszłej ofiary.

– Kochanie, daj już cioci Marii spokój. – Ludka, żona Olega, będąca żabim pierwowzorem córki, miała stanowczy, a zarazem dobrotliwy głos. Wytrenowany latami macierzyństwa i pracą na infolinii.

– Nie szkodzi – odparła Maria, nie spuszczać wzroku z dziewczynki.

– Szkodzi, szkodzi. Igor!

Chłopiec, wydając odgłosy przypominające samochód z zepsutym tłumikiem, natychmiast przybiegł do matki.

– Zabierz siostrę do pokoju. Pobawcie się w coś, co nie ma związku z grami i komputerem.

– Ale ja nie chcę! – zaprotestowała Daria.

– Ja też nie! – Igor zawył równie żałośnie, choć pewnie z innego powodu.

– Bez dyskusji. Dzisiaj możecie posiedzieć trochę dłużej, więc mądrze to wykorzystajcie.

Kiedy dzieci wyszły z salonu, kłócąc się o to, jak mają spędzić kolejną godzinę, Ludka posłała Marii minimalistyczny uśmiech. Czasem wystarczy jedno spojrzenie albo gest, żeby zrozumieć całą sekwencję zdarzeń i dynamikę relacji. Tak było w tym przypadku. To kiepsko ukryte współczucie jednoznacznie sugerowało, że Oleg musiał opowiedzieć żonie o problemach swojej partnerki. O tym, że Maria nie może zająć w ciąży. Że jest sfrustrowana i łatwo wpada w gniew. Że w jej prywatnym życiu coś nie bangła. I że nieprzypadkowo na kolację przyszła sama.

Nie było to coś, czego Maria by się nie spodziewała. Ale na wszelki wypadek

wyzerowała dwa piwa, zanim Ludka i Oleg uporali się z pierwszym kieliszkiem wina.

– Świątujemy? – zagadnął Oleg, otwierając Marii następną butelkę.

– Co? – spytała.

– Powiązanie Kitkarza ze sprawą tego alfonsa. – Oleg zerknął na żonę. – Sorry, bylibyśmy chorzy, gdybyśmy choć trochę nie pogadali o pracy.

Ludka machnęła ręką, po czym zatopiła widelec w wystygłym, niedojedzonym makaronie.

– Bylebyście nie gędzili o trupach.

Posłała policjantce kolejny niewyraźny uśmiech. Tym razem próbowała powiedzieć, że jest jej bardzo, ale to baaardzo przykro, że Maria musi wykonywać taką gównianą robotę.

– Chyba jeszcze nie ma czego świętować. – Maria zmierzyła butelkę wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy jest w stanie wychylić ją na raz. – Mamy tylko podejrzenie, że porywacz może stać za kolejnym przestępstwem. W dodatku na pierwszy rzut oka niepowiązany z naszym śledztwem.

– Chyba nie sądzisz, że to przypadek.

– Nie wierzę w przypadki. Ale martwi mnie, że ludzie zajmujący się tamtą sprawą nie mają żadnego konkretnego tropu.

– Sprawca miał cholernie dużo szczęścia. Nie zostawił na miejscu śladów i nie wyłąpał go monitoring. Ale fart w końcu go opuści.

– Oby.

– A wtedy go dopadniemy i udowodnimy, że to on zatłukł te...

– Wystarczy – zaprotestowała Ludka. – Jak ty z nim wytrzymujesz? – spytała, przenosząc wzrok z Olega na Marię, w której najwyraźniej nie widziała konkurentki.

– Jakoś.

– To tak jak ja.

Ludka wychyliła się nad stołem, aby stuknąć się z Marią kieliszkiem. Kolejny wymuszony gest. Maria udawała, że tego nie widzi, ponieważ przyszła tam z jasno określoną misją. Chciała rozładować napięcie. Chciała dać Olegowi szansę, aby się zrehabilitował. Chciała – nawet jeśli miało się to odbyć na siłę i przy wydatnym wsparciu jego żony – zbudować z nim relację, w której będą się tolerować.

– Jak wam się tutaj żyje? – zapytała.

– W Warszawie? – odparła Ludka.

– W Polsce.

Małżeństwo wymieniło się spojrzeniami.

– Nie możemy narzekać – stwierdził Oleg. – Przez wiele lat pracowałem w IT i nadal przyjmuję pojedyncze zlecenia. Ludka jest kierowniczką w dużym telekomie. Dzieci wychowujemy w polskiej kulturze. Nie dotknęło nas imigranckie piekło.

– Najważniejsze, że nauczyliśmy się mówić po polsku bez wschodniego akcentu – zauważyła Ludka. – Dzięki temu nie jesteśmy skazani na pracę w dyskontach czy przy sprzątaniu jak wielu naszych rodaków.

– Większość – poprawił ją Oleg, jednocześnie dolewając im wina. – Polacy nie przepadają za obcymi. Bez względu na to, czy są to muzułmańscy cwaniacy czy Ukraińcy spieprzający przed wojną. – Machnął ręką. – Zresztą to nie tylko polska specyfika. Tak już jest, że im wygodniej żyjesz, tym częściej osrywasz tych, co są niżej.

– Oleg! – wzburzyła się Ludka.

– Taka prawda. Jedyna różnica polega na tym, że kraje rozwinięte nachalnie promują równościowe wartości, bo chcą uchodzić za progresywne. Na poziomie politycznym można odnieść wrażenie, że Europa składa się z kilku różnych światów. Ale pod względem społecznym wszystkie państwa są identyczne, równie nienawistne i wrogie wobec obcych. Zawsze tak będzie. To jak matematyczna prawidłowość.

Patrząc na Marię, Ludka wskazała męża kciukiem.

– Za dużo czasu spędził w IT, tam takie poglądy są na porządku dziennym – powiedziała. – Teraz ty.

– Ja? – zdziwiła się Maria.

– Jak ci się żyje w Warszawie?

Maria wzruszyła ramionami.

– Normalnie. Urodziłam się tutaj. Nigdy stąd nie wyjechałam na dłużej niż kilka tygodni, więc nie mam punktu odniesienia. Nie znam innego życia.

– Warszawiaczka z dziada pradziada?

– Zaraz po wojnie dziadek przeniósł się do miasta z mazowieckiej wsi. Ojciec zrobił karierę, stając się jednym z bardziej rozpoznawalnych profilerów w kraju. Matka pracowała jako pielęgniarka w kilku warszawskich szpitalach.

– A co teraz robi?

Maria pociągnęła spory łyk.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawi. Osiem lat temu zmarła na raka.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Rana dawno się zabiłiła.
– To przez ojca wylądowałaś w policji?
– Poniekąd.
– Musi być z ciebie dumny. Kobieta na takim stanowisku to chyba nadal rzadkość.
– Ojciec uważa, że zrobiłam mu na złość. Albo że jestem masochistką.
– Kobiety w ogóle nie mają w życiu łatwo. Nadal jesteśmy uważane za słabsze. Za głupsze. Za niesamodzielne. W efekcie nieustannie musimy udowadniać, że to mężczyźni nie daliby sobie bez nas rady, a nie odwrotnie. Domyślam się, że policjantce musi być podwójnie trudno.

Maria zakołysała butelką.

– Wystarczy trzymać wszystkich za mordę.
– Niektórym coś takiego bardzo się przydaje.

Ludka teatralnie chwyciła męża za brodę. Po chwili oboje się roześmiali.

– Ale to ma również złe strony – stwierdziła Maria. – Jeżeli za mocno wejdziesz w rolę, zaczynasz przenosić zachowania z pracy do życia prywatnego. Stajesz się oschłą, niemiła i niedostępna. Nawet jeśli kotłują się w tobie różne uczucia, to skrzętnie je ukrywasz, bo masz silnie zakodowane, że w przeciwnym razie wyjdiesz na rozemocjonowaną idiotkę. Jeżeli się nie zorientujesz w porę, możesz się przeobrazić w oziębłą sukę. – Maria spojrzała Ludce głęboko w oczy. – A jeśli dobrotliwy charakter do tej pory był twoim głównym atutem, to masz poważny problem.

Niedługo później dopiła trzecie piwo, a Oleg i Ludka dokończyli wino. Rozmowa, mimo ubywającego alkoholu, nie chciała się rozkręcić. W dodatku dzieciaki zaczęły się na siebie drzeć, czym co rusz zmuszały matkę do interwencji. Oleg wykorzystał zamieszanie, aby zgarnąć ze stołu talerze i przetransferować je do kuchni. Ale nawet bez tego Maria wiedziała, że czas się zbierać.

Od jakiegoś czasu bezbłędnie wyczuwała, kiedy coś dobiega końca.

Wziąłem kilka dni wolnego, aby uporządkować swoje sprawy. Zadzwoiłem do Skody. Ściemniłem, że jestem przeziębiony. Klimatyzacja w biurze, pierwszy chłodny wieczór, ogólne osłabienie organizmu – wicie, rozumiecie. Chyba to łyknął. Przy okazji zapewniłem go, że rozpracowywanie Rolnickiego idzie zgodnie z planem i już niedługo ogłoszę dobrą nowinę. To akurat rzeczywiście mogło być prawdą.

Po odbębnieniu porannej rutyny wystroiłm się w ciuchy do biegania, spakowałem do plecaka strój na zmianę oraz komputer i wyszedłem z domu. Chwilę po szóstej wsiałem do auta. Chwilę przed siódmą byłem na Kabatach. Chwilę po siódmiej po raz pierwszy zadzwoniłem do Maka, który oczywiście się spóźniał. Typowe. Tacy jak on zwykle rozpoczynają dzień dopiero przed południem. I dlatego przegrywają życie. To prosta matematyka. Tracą pięć, sześć godzin, w trakcie których inni dbają o ciało, ostrzą umysł albo wykonują najpilniejsze i najbardziej wymagające zadania. Kiedy Mak smacznie śpi, śniąc o nigdy niegasnących jointach, ja wygrywam życie, którego on przez lenistwo i brak ambicji nigdy nawet nie powącha.

Jebać sen. Jebać sny.

Przy trzeciej próbie odebrał. Powiedział, że za chwilę będzie, i zaraz potem się rozłączył. Niedługo później go ujrzałem. Zobaczyłem... to coś. Wyglądał jak gówno w błyszczącym dresie. Jak połączenie ozdoby choinkowej z drag queen. Błędnie założyłem, że Mak zdoła się wystroić w proste sportowe szmaty, w których będzie godnie udawał biegacza.

– Kurwa – syknął na powitanie. – Ależeś wymyślił godzinę. Nawet nie opłacało mi się kłaść do wyra. Od dwudziestu godzin jestem na nogach.

Oczywiście mogliśmy to rozegrać na milion innych sposobów. Ale lubiłem wystawiać ludzi na próbę.

Przyjrzałem się Makowi. Jego idiotyczny strój tylko częściowo odciągał uwagę od zmęczonej gęby, rozszerzonych źrenic i nadaktywnej zuchwy. A to oznaczało, że poprzedniego wieczoru musiał ostro przyćpać. To dlatego nie poszedł spać. Próbował, ale nic z tego nie wyszło. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc znaleźć pozycji,

w której zatkał nos nie będzie go irytował. A kiedy przyciskał głowę do poduszki, czuł niepokojące kołatanie serca, przez które miał wrażenie, że za moment wykituje.

Dobrze znałem to uczucie. Za dobrze.

– Przejdźmy się – powiedziałem.

Przy radosnym akompaniamencie ptasiego śpiewu ruszyliśmy w głąb lasu. Kiedy oddaliliśmy się od ścieżki, którą regularnie przecinali biegacze, przystanąłem. Zacząłem się rozciągać. Tak, rozciągać. Jak człowiek, który chce poćwiczyć, a nie zdobyć informacje od otumanionego ćpuna. Kamuflaż był ważny. Na szczęście Mak o tym wiedział. I choć przez odpływ dopaminy miał ochotę strzelić sobie w łeb, przyłączył się do ćwiczeń.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytałem.

– Niczego dobrego – odparł, dysząc tak, jakby spieprzał przed lwami. – To nie są ludzie, z którymi chciałbyś się zadawać.

– O kim mówisz?

– O tej dziwce i jej szefach. To bandyci. Zbieranina gangusów z różnych grup. Byli mokotowscy, pruszkowscy, jakieś ponure typy z Ursynowa i Śródmieścia.

– Mam to gdzieś. Interesuje mnie wyłącznie ta panna.

– Pracuje dla Druciarza. To znany w środowisku gangster. Przez większość życia był prawą ręką jakichś ważniaków. Wysyłali go, kiedy trzeba było ściągnąć haracz, nastraszyć krnąbrną dziewczynę albo po prostu spuścić komuś wpierdol.

– Człowiek renesansu.

– Mówią na niego Druciarz, bo podobno kiedyś podpadł pewnemu wysoko postawionemu typowi z Mokotowa, który w rewanżu kazał mu obciągnąć jednemu ze swoich chłopaków.

Uśmiechnąłem się. Nie wiedziałem, że Alf to Druciarz, ponieważ nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Ale domyślałem się, że nie rozpieszczał ludzi, którzy stawali mu na drodze. Dobrze, że ci odpłacali mu tym samym. *Ab alio expectes, alteri quod feceris*³.

– Kilka dni temu Druciarz zniknął – kontynuował Mak. – Zapadł się pod ziemię. Wszyscy myśleli, że zawinęły go psy, bo lubił wsiadać do fury po pijaku. Ale najprawdopodobniej ktoś go zająbał. Niedaleko Wiatracznej znaleziono jezioro krwi, która podobno należy do niego.

– Wspaniale – burknąłem. – Ale jak już mówiłem, nie obchodzi mnie alfons, tylko jego podwładna.

– Chodzą słuchy, że zajeżdżał go facet, który wygląda dokładnie jak ty. – Mak nagle przestał udawać, że się rozciąga, i całą uwagę skupił na mnie. – Powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego.

– Jak się nazywa ta panna? – spytałem, ignorując jego słowa.

– To tylko niefortunny zbieg okoliczności, prawda? – Mak obstawał przy swoim.

– To tylko niefortunny zbieg okoliczności – odparłem. – A teraz zapytam po raz ostatni: kim jest ta kurwa?

Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zapaść pod ziemię. Jakby jego wynędzniałe ciało nie było w stanie udźwignąć ciężaru zmasakrowanego mózgu, w którym rozpanoszyły się drugi, stres i strach.

– Mówią na nią Daga – powiedział niemal szeptem. – Jeśli nie obsługuje klientów na pigalaku za Marriottem, można ją spotkać w lokalu na Starym Mokotowie. Kazimierzowska dwadzieścia sześć. Mieszkania osiem. Tylko tyle wiem.

– Tylko tyle muszę wiedzieć. – Posłałem mu zagadkowy uśmiech. – A teraz sprawy przyjemniejsze. Masz coś dla mnie?

Mak niepewnie pokiwał głową. Schylił się do plecaka i wyjął teczkę.

– Nie powiedziałaś, czego chcesz, więc wziąłem wszystkiego po trochu.

– Cudnie.

Kiedy przekazywał mi folder, zauważyłem, że drży jak osika. I to raczej nie od amfetaminy, mefedronu czy innego ścierwa, którym się sponiewierał.

– Ile? – zapytałem.

– Nic. To za friko. Ale mam prośbę. – Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie przychodziło mu to łatwo. – Nie dzwoń do mnie więcej. Wykasuj mój numer. Zapomnij, że istniałem.

Zrobiłem krok w jego stronę. Wyciągnąłem przed siebie rękę.

– Zgoda. Ale ja też mam prośbę. – Ucisnąłem jego spoconą dłoń. – Chciałbym, żebyś zapamiętał dwie rzeczy. Po pierwsze, nie ma nic za darmo. A po drugie, nie wierz we wszystko, co ludzie mówią.

Powoli, uważając, by go nie wystraszyć, wyjąłem z kieszeni wypchaną po brzegi kopertę i wcisnąłem ją pod rozpiętą kurtkę Maka. Poklepałem go po piersi i odszedłem.

Zapłaciłem mu dwa razy więcej niż zazwyczaj. A wiecie dlaczego? Bo to jeden z dwóch najlepszych sposobów, żeby zamknąć komuś mordę. I w przeciwieństwie do tego drugiego pozwalał Makowi cieszyć się jutrem. Gdyby on o tym wiedział,

z pewnością doceniłby mój wybór.

Wracając do centrum, zrobiłem postój na kawę na jednej z ursynowskich stacji benzynowych. Siorbiąc bezsmakową lurę, wysłałem wiadomość do detektywa Pawła. Czwartą w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. I po raz czwarty otrzymałem taką samą odpowiedź.

Jeszcze nie. Pracuję nad tym.

Było mi trochę głupio tak go popędzać, wszak facet pomagał mi z nieprzymuszonej woli. Ale robiłem się niecierpliwy. Takie sprawy powinno się załatwiać jak najszybciej. Zanim niewinny balonik napełni się gównem i wybuchnie nad czyjąś głową.

Tym razem nie udało mi się ominąć korków, ale mimo to chwilę przed dziewiątą zaparkowałem pod jednym z ogródków piwnych na Poznańskiej. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdowało się wejście do H15, eleganckiego butikowego hotelu, w którym zatrzymała się Danuta Rolnicka. Oczekałem kilka minut, aby nie pomyślała, że podporządkowałem jej swój poranek, i wszedłem do budynku.

Wnętrze hotelu przypominało dom zafiksowanego na punkcie designu miliardera, a więc było wprost skrojone pod ludzi formatu Rolnickiej. Zostałem ją w hotelowej restauracji. Podczas gdy goście pałaszowali smaczne śniadanka, Rolnicka raczyła się winem. Z jej błyszczących oczu wywnioskowałem, że robiła to już od jakiegoś czasu. Kto bogatemu zabroni.

Przywitaliśmy się udawanym pocałunkiem w policzek, po czym usiadłem po drugiej stronie czarnego stolika, na którym nie było nic oprócz kieliszka i sztućców.

– Ciężki poranek? – spytałem.

– Jak każdy – odparła obojętnie. – Mam problemy z zasypianiem. Ratuję się winem i drzemkami w ciągu dnia.

– Warszawa ci nie służy?

– Ta sytuacja mi nie służy. Poza tym... – zawahała się, zerkając na boki – wiele osób czujnie się nam przygląda, więc wolę wyjść na alkoholicką niż wyrachowaną sukę, która próbuje oskubać męża.

– Kto nas obserwuje?

– Wszyscy. I wrogowie, i sprzymierzeńcy.

Kelner zauważył, że opróżniła kieliszek, więc błyskawicznie przyszedł z odsieczą.

– O czym chciałaś rozmawiać? – zapytałem.

– Prawnicy są gotowi – odparła. – Jeszcze dzisiaj zamierzają złożyć pozew rozwodowy. Jeśli więc rzeczywiście masz chody u kilku dziennikarzy, powinieneś ich uruchomić.

– Jeszcze nie.

– A kiedy?

– Najpierw powinnaś wyjaśnić, dlaczego musiałem jechać aż do Starogardu Gdańskiego, żeby poznać prawdę o twoim mężu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Widziałem się ze Zbigniewem Parczewskim. Opowiedział mi kilka ciekawych historii o Józefie.

Rolnicka pociągnęła spory łyk wina. Większy od wszystkich dotychczasowych.

– Wolałabym...

– To jedyne rozwiązanie – przerwałem jej, wiedząc, co zamierza powiedzieć. – Józef z całą pewnością chciałby zachować w tajemnicy swój pociąg do chłopców.

– To prawda. Ja też nie chcę, żeby to wypłynęło.

– Nie musi. Wystarczy, że twój mąż zgodzi się na korzystny dla nas podział firmy, a potem odsprzedacie ją Cloudowi po satysfakcjonującej dla wszystkich cenie.

Kolejny łyk wina. Kolejny ponadprogramowo duży.

– Musimy to rozegrać inaczej – powiedziała. – Jeżeli coś pójdzie nie tak, a sprawa jego orientacji wypłynie do mediów...

– Za późno – przerwałem jej ponownie, a następnie zerknąłem na zegarek. – Mecenas Zjawiński lubi wdepnąć pedał gazu, więc zakładam, że jest już w Łodzi. Prawdopodobnie siedzi z twoim mężem w jego gabinecie i omawia z nim możliwości bezbolesnego wyjścia z sytuacji.

Skłamałem. Zjawiński rzeczywiście był w Łodzi, ale pojechał tam szukać dowodów na potwierdzenie opowieści Parczewskiego. Nie mogliśmy strzelać ślepakami. Na szczęście dzięki Rolnickiej już nie musieliśmy.

– Nie wierzę, że zrobiłaś to za moimi plecami.

– Założyłem, że nie zgodzisz się na to ze względów emocjonalnych. Jako twój współnik w zbrodni musiałem podjąć samodzielną decyzję.

– Ze względów emocjonalnych? Wspólnik w zbrodni? O czym ty pieprzysz? – Rolnicka gwałtownie odstawiła kieliszek, wylewając wino na stół i ściągając na nas spojrzenia gości. – To nie jest zabawa w podchody, tylko ludzkie życie. Moje życie.

I moich bliskich. Nie możesz robić takich rzeczy bez zezwolenia.

– Pamiętaj, że nie pracuję dla ciebie, tylko dla Clouda. Moim nadrzędnym celem jest przejęcie Rolkomu. Ale jeśli przy okazji uczynię cię bogatszą o kilkaset milionów złotych, będzie to miły dodatek.

Rolnicka parsknęła.

– Nadal nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia. Nie wiesz, na co stać Józefa. Nie rozumiesz, co może zrobić, aby zachować firmę. Aby zachować twarz. A przy okazji zniszczyć takiego chujka jak ty. – Odchyliła się na oparcie i splotła ręce na piersi. – Zadzwoń do swojego bulteriera i odwołaj akcję. Każę prawnikom złożyć pozew i zaczniemy wojnę. Na moich warunkach.

– To może nie wystarczyć.

– Trudno. Nie pozwolę się skompromitować.

– Nawet za dwieście milionów złotych?

– Nawet za widok twojego upadku. – Wstając od stołu, lekko się zatoczyła. – Wracam do apartamentu. A ty... – zawahała się – powinienes coś zjeść. Z pełnym brzuchem lepiej się myśli.

Kiedy odprowadzałem Rolnicką wzrokiem, licząc, że wypieprzy się na schodach, myślałem o tym, co powiedziała. Była w błędzie. Wypchany brzuch nie pomaga w podejmowaniu decyzji, tylko rozleniwia. Pozwala popaść w samozadowolenie, a przez to powoduje utratę czujności. To dyskomfort i głód napędzają do działania. Do podejmowania ryzyka. Do chwytania życia za mordę. Do wygrywania.

Wyjąłem telefon i wysłałem Zjawińskiemu wiadomość.

Rolnicka potwierdziła historyjkę. Zdobądź dowody, a potem rozszarp tego gnoja na strzępy.

Żadna durna pizda nie będzie mi mówić, co mam robić. Podniosłem się, zanim doczłapał do mnie kelner, i wyszedłem z hotelu.

Przed sobą miałem Pałac Kultury; choć to stalinowskie ścierwo już dawno należało zburzyć, to jednak robiło wrażenie. Za nim majaczył Cosmopolitan. Trochę bliżej były InterContinental oraz Złota 44, która z efektownym podniebnym żaglem miała tyle wspólnego co Ryszard Kalisz z baletnicą, ale i tak prezentowała się lepiej od większości budynków w tym kraju. Za Dworcem Centralnym wyrastał Varso Tower – nasza nowa duma, która już niedługo miała zostać najwyższym budynkiem w Unii

Europejskiej. A za nim, na Woli, czały się kolejne ponadstumetrowe drapacze chmur, które upiększą ten do niedawna smutny jak pizda krajobraz.

Uwielbiałem patrzeć, jak nasz bantustan zmienia się w City. Raz na kilka tygodni potrafiłem wydrzeć trochę czasu, aby pojechać do centrum, rozsiąść się na ławce i obserwować powolną śmierć socrealizmu. Racząc się przy tym burgerem, popijając zimną colę i słuchając rockowych ballad.

Pewnie się zastanawiacie, dlaczego taki nowoczesny gość, który nie jest przesadnie romantyczny, ma pierdyliard spraw na głowie i na ogół nie żre byle czego, siedzi na obranej przez gołębie ławce, wpieprza bułkę z wołowiną i z zachwytem gapi się na szklane budynki. Otóż upaliłem się jak świnia. *You got me*. Zaraz po spotkaniu z Rolnicą skręciłem gibona o grubości palca serdecznego, a po południu dopadła mnie zwała. A zrobiłem to wszystko dlatego, że mogę. Ponieważ wiem, że mam dość silną psychikę, by nawet będąc solidnie zjaranym, normalnie funkcjonować. Nie wpadać w paranoję i logicznie myśleć. Może nawet logiczniej, niż gdybym próbował wszystkie problemy rozwiązywać w pełnym biegu.

Wyskakiwanie z pędzącego samochodu nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem. Czasem można się po prostu zatrzymać i wysiąść.

Kojarzycie Billy'ego McFarlanda? Ten dwudziestoparolatek o aparycji kuriera wymyślił, że zbuduje aplikację do rezerwowania artystów na prywatne występy. Chciał ją wypromować za pomocą festiwalu Fyre – luksusowej, spektakularnej, kompletnie przegiętej imprezy, nieprzypadkowo organizowanej na wyspie należącej niegdyś do Pabla Escobara. W jego wizję najpierw uwierzyła zgraża naiwnych muzyków i influencerów, a potem tłum spragnionych mocnych wrażeń dzieciaków. Ale kiedy dolecieli na bahamską Exumę (z wyspy Escobara nic nie wyszło), okazało się, że zamiast efektownych willi i pysznych potraw, na które wydali kasę swoich starych, dostali łóżka w namiotach dla powodzian i kanapki z serem. Festiwal dla bogoli okazał się jednym wielkim oszustwem, za które amerykański wymiar sprawiedliwości wlepił McFarlandowi sześć lat więzienia i nakazał spłatę dwudziestu sześciu milionów dolarów skradzionych inwestorom.

Czy to coś Billy'ego nauczyło? Skłoniło do refleksji? Sprawilo, że się zmienił? Absolutnie nie. Po powrocie z Bahamów wymyślił, że będzie sprzedawał bilety na ekskluzywne wydarzenia, na które można się dostać wyłącznie ze specjalnym zaproszeniem. A już będąc w pierdlu, zapowiedział, że ma w planach kolejne zapierające dech w piersi eventy.

Billy wyskoczył z rozpadzonego samochodu i wpadł pod zasuwanego z naprzeciwka tira. I nawet będąc pod kołami kilkudziesięcotonowej bestii, próbował sprzedać światu coś, co nie istnieje.

Nie uważam Billy'ego za kompletnego kretyna. Wręcz przeciwnie. Podziwiam go. Podobnie jak Elizabeth Holmes, która modulując głos, aby brzmieć bardziej wiarygodnie, i opowiadając o cudownej technologii pozwalającej wykrywać choroby dzięki pobraniu kropli krwi z palca, wyrolowała czołowych amerykańskich inwestorów. Jak Jordana Belforta, słynnego Wilka z Wall Street, który dzięki sprytnemu manipulowaniu instrumentami finansowymi przez wiele lat żył jak pączek w maśle. Jak Berniego Madoffa, który wykorzystując swoją estymę i honory słusznie przysługujące współtwórcy NASDAQ, wydymał całą zgraję majątnych gości. Podobnie jak innych wielkich amerykańskich krętaczy. A nawet gości od Amber Gold czy GetBacku. Oszukanie zgrai naiwniaków to żaden wyczyn, ale zrobienie w konia znanych artystów, dziennikarzy, inwestorów, instytucje finansowe czy regulatorów jest najprawdziwszą sztuką. Iluzją. Wyczynem. Może nawet bardziej spektakularnym niż zbudowanie biznesu od zera ciężką i siermiężną pracą.

Mimo to nie zamierzałem skończyć tak jak oni.

Wiedziałem, że dołączając do drużyny Solskiego, zacznę grać w najwyższej lidze. W świecie, który został zbudowany przez kilkunastu najpotężniejszych ludzi w kraju i o którym kilkuset innych – w tym ja – ma jedynie mgliste pojęcie. Wiedziałem, że nie jest tam tak miło, jak sugerują zdjęcia na okładkach i historyjki opowiedane w prasie. Że każdy z najbogatszych ludzi w tym kraju – bez względu na to, czy dorobił się w czasach dzikiej prywatyzacji, na produkowaniu taniocy czy na sprytnych inwestycjach – musi skrywać jakieś śmierdzące sekrety. Wszyscy mają trupy w szafie. A Solski, jeden z przywódców biznesowej watahy, prawdopodobnie ma ich najwięcej ze wszystkich.

Już nie mogłem się doczekać, kiedy się o nich dowiem.

Chwilę po tym, jak wpałaszowałem burgera, rozdzwonił się mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Paweł. Detektyw.

– Nie mam dobrych wieści – powiedział. – Ta laska jest jak duch. Nie zostawia po sobie śladów. Ani w realu, ani w necie. Wiem tylko, że nie mieszka pod adresem, z którego ją odebrałeś. I raczej nie ma nic wspólnego z Rolnickimi ani twoimi współpracownikami z Clouda.

– To kim ona, kurwa, jest?

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to wariatka, która z jakiegoś powodu się do ciebie przyssała. Pewnie dla kasy.

– Ona nie jest pierdolnięta, tylko do bólu wyrachowana. Potrafiła się dostać na moje szkolenie. Porusza się po siedzibie Clouda, jakby się tam wychowała. A do tego wie o mnie więcej niż moja matka.

– Cycki otwierają wiele drzwi.

– Ale nie do mnie. Szukaj dalej.

Jestem łasy na kobiece wdzięki, a Alicja ma mnóstwo uroku. Ale potrafię też być cholernie ostrożny. To ja decyduję, kto może mnie lepiej poznać. A tak się składa, że panny, które dostały tego zaszczytu, nie poznały już nikogo więcej.

Z wyjątkiem jednej.

Po rozmowie z Pawłem wróciłem do samochodu. Uruchomiłem silnik, ustawiłem GPS. Kolejny przystanek? Stary Mokotów. Kazimierzowska dwadzieścia sześć. Mieszkania osiem. Musiałem znaleźć tę szmatę.

Ale zanim zacząłem polować na Dagę, zrobiłem coś, na co kompletnie nie miałem ochoty.

– Jak strzyżemy?

Otyła dziewczyna, która zadała to pytanie, miała najwyżej trzydzieści lat, a mimo to była tak zblazowana, jakby przepracowała w tym speluniastym salonie fryzjerskim pół wieku. Nawet gumę żuła tak, jak gdyby ktoś ją do tego zmuszał. Nie sądziłem, żeby była w stanie zrobić z moimi włosami coś, z czego będę zadowolony, ale nie mogłem pójść do swojego fryzjera – typ strzyże połowę lokalnych celebrytów, a przez to trzeba się do niego umawiać z wielotygodniowym wyprzedzeniem.

– Na dwanaście milimetrów – odparłem.

– Poważnie? – zdziwiła się.

Sam nie wierzyłem, że to powiedziałem.

– Śmiertelnie poważnie.

Ostatni raz nosiłem tak krótkie włosy jako sześciolatek, gdy jakiś łapciuch w przedszkolu przerzucił na mnie wszy. Potem zawsze miałem długie pióra. Mniej lub bardziej finezyjne. Mniej lub bardziej brudne. Wyrażałem nimi młodzieńczy bunt i zamiłowanie do rocka. W pewnym momencie stały się moim wyróżnikiem. Znakiem rozpoznawczym, którym w mniejszym lub większym stopniu próbowałem lewarować swoją pozycję w świecie biznesu. Ale teraz nie mogłem się wyróżniać. Musiałem wyglądać jak dziesiątki innych nieudaczników w średnim wieku, którzy szlajają się

po burdelach, bo nie są w stanie zorganizować sobie darmowego rypania albo cierpią na uraz nadgarstka.

Nie podobało mi się to, co ujrzałem po stryżeniu. Uznałem, że w najbliższych tygodniach nie będę przesadzał z mizdrzeniem się przed lustrem. A do tego zapuszczę brodę, żeby nie wyglądać jak dwudziestoletni dresiarz.

Ale najpierw muszę coś załatwić.

Podjechałem na Kazimierzowską. Uznałem, że byłoby czymś dziwnym, gdybym odwiedził burdel, kiedy większość ludzi gnije w biurze, więc postanowiłem parę godzin zaczekać. I dobrze. Mogłem wykorzystać ten czas, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym kurwidołku i jego lokatorkach.

Nie żebym był znawcą warszawskiej kultury prostytucyjnej, ale coś tam wiem. Między innymi to, że nie ma czegoś takiego jak statystyczna dziwka. Nierząd mogą uprawiać zarówno studentki prawa, które chcą dorobić do chesnego albo zafundować sobie luksusowy lifestyle, jak i laski, które nie zdołały skończyć nawet podstawówki. Ale jeśli robią to w ten sposób – siedząc pod butem gangsterów, zamiast działać na własny rachunek przy użyciu Odlotów, Roksy czy chociażby Tindera – to z reguły zaliczają się do tej drugiej grupy. Są prostytutkami, ćpunkami albo imigrantkami, ofiarami handlu ludźmi. A może cierpią na choroby psychiczne albo jakieś dziwne uzależnienie, które każe im pokornie służyć swoim panom. Różnie z tym bywa. Pewne jest tylko to, że za każdym z takich miejsc kryje się coś paskudnego.

Kiedy wybiła dziewiętnasta, wysiadłem z auta. Podeszedłem do klatki schodowej. Wybrałem ósemkę na domofonie.

– Halo?

– Ja do wesołego miasteczka.

Odpowiedziało mi milczenie. Ale po kilku sekundach rozległ się trzask otwieranych drzwi. Zacząłem się wdrapywać na trzecie piętro.

Oczywiście nie ma czegoś takiego jak doba burdelowa, ale zakładałem, że mogę być pierwszym klientem tego dnia. Myliłem się. Oprócz niezbyt urodziwej, wystrojonej w krótkie spodenki i T-shirt tlenionej blondynki, która otworzyła drzwi, zobaczyłem dwie pary męskich butów. A gdy blondyna wpuściła mnie do środka, dosłyszałem zza ściany odgłosy ruchania. Zdziwiająco skutecznie przebijały się przez telewizor wypluwający popowe hity.

– Witamy w wesołym miasteczku. – Burdelmama powitała mnie jednym ze smutniejszych głosów, jakie kiedykolwiek słyszałem. Przepalonym i pełnym

rezygnacji. – Zapraszamy.

Było to czteropokojowe, prosto urządzone mieszkanie. Schludniejsze od większości burdeli, w których byłem – choć jak mówiłem, żaden ze mnie ekspert. Dwa pokoje były zajęte przez klientów. W jednym, również zamkniętym, siedziały jakieś chichoczące panny. Ostatni pełnił funkcję biura i poczekalni. Były tam biurko, obrotowe krzesło, głośno pracujący wiatrak, jeszcze głośniej pracujący telewizor oraz wysłużona kanapa, na której mimo pewnych oporów usiadłem.

Burdelmama zaraz po wejściu do pomieszczenia uchyliła okno i zapaliła cienkiego papierosa.

– Pierwszy raz u nas? – spytała.

– Pierwszy.

– Jak nas znalazłeś?

– Kumpel was polecił.

– Kolega z pracy?

– Z uczelni. – Uśmiechnąłem się. – Doksztalcam się na stare lata.

Nie wiem, po co to powiedziałem. Chyba po prostu lubię się bawić z ludźmi.

– Z reguły nie przyjmujemy gości z ulicy – powiedziała blondyna. – Umawiamy się telefonicznie na konkretną godzinę. Nie chcemy, żeby klienci musieli czekać. W tej chwili wszystkie dziewczyny są zajęte.

– Z sąsiedniego pokoju słyszałem kobiece głosy.

– Pracę rozpoczynamy dopiero za pół godziny. Poza tym jest już ustawiony grafik. Mogę kogoś sprowadzić, ale to potrwa.

– Jak długo?

– Pół godziny, godzinę, nie wiem. Musiałabym podzwonić.

– Trudno. Poczekam. O ile warto czekać.

Burdelmama odłożyła peta do popielniczki i otworzyła szufladę. Wyjęła solidnie sfatygowaną teczkę. Wręczyła mi ją. W środku były zdjęcia trzech dziewczyn. Strasznych pasztetów o całkiem przyzwoitych sylwetkach, które próbowały ukryć brzydotę pod toną makijażu. Ale głównie mnie obchodziła ich uroda. Żadna z nich nie była tą, której szukałem.

– Jest tylko jeden problem – powiedziałem. – Nie zdecyduję się na pannę, której nie mogę zobaczyć na żywo.

Burdelmama parsknęła pod nosem.

– Te dziewczyny wyglądają dokładnie tak jak na zdjęciach. Nie używamy

Photoshopa.

- Kupuje pani buty w sieci?
- Słucham?
- Czy kupuje pani buty przez internet?
- Nie, ale...

– No właśnie. Boi się pani, że nie będą pasować. Albo że okażą się brzydsze niż na obrazku. Albo że coś będzie z nimi nie tak. Nie twierdzę, że muszę w każdą z dziewczyn włożyć chuja, zanim się na cokolwiek zdecyduję, ale chciałbym się czegoś o nich dowiedzieć. Jak się zachowują, jak mówią, jak pachną. Organoleptyka to nie tylko wzrok. – Odłożyłem zdjęcia na blat i skinąłem w stronę drzwi. – Co z pannami, które są na miejscu?

- Dwie są zajęte, a dwie jeszcze nie zaczęły pracy. Już to mówiłam.
- Chciałbym zobaczyć te, które się szykują.

Burdelmama przewróciła oczami. Jej świat był prosty, wolny od dyskusji i rozważań. Ona ma tylko odbierać telefony, zarządzać kalendarzem, pokazywać fotki i pilnować, aby klienci myli się przed zabawą. Każda niestandardowa sytuacja wywołuje u niej dyskomfort. Dlatego gotowa jest zrobić wszystko, aby go zniwelować.

- Pan tu zaczeka – burknęła, po czym niechętnie zwlekła się z krzesła.

Chwilę później przyprowadziła dwie filigranowe blondyneczki. Zdecydowanie młodsze od tych, które widziałem na zdjęciach. I znacznie ładniejsze. A przy okazji sprawiające wrażenie nieźle nafutrowanych. Niczym innym nie potrafiłem wytłumaczyć ich naiwnej wesołości.

- To Anastazja i Polina.

Dziewczyny były jednakowo ubrane: w czarne legginsy i białe koszulki z postaciami z kreskówek. A do tego zachowywały się niemal identycznie – jakby naprawdę, ale to naprawdę chciały się sprzedać. Kiedy zerkałem na ich cycki, wysuwały do przodu biust. Kiedy spoglądałem na talię, odwracały się i wypinały. A kiedy unosiłem głowę, uśmiechały się lubieżnie i oblizywały wargi. Niezwykłe. Albo były naćpanymi nimfomankami, albo strasznie potrzebowały pieniędzy.

- Ukrainki? – dopytałem.
- Białorusinki – odparła burdelmama. – Nowe gwiazdeczki.
- Nie macie naszych?
- A co, śmierdzą ci białoruskie cipki?

– Jestem patriotą.

– To musisz, kochasiu, znaleźć sobie inny lunapark.

Uśmiechnąłem się. Lubiłem stanowcze babki, które stawały w obronie innych kobiet.

– Wezmę je obie. Teraz.

Burdelmama zerknęła na zegarek.

– Bez szans. Za dwadzieścia minut przyjdą ich klienci.

Podniosłem się z kanapy i włożyłem rękę do kieszeni. Wyjąłem portfel.

– To każesz im zaczekać. – Wręczyłem burdelmamie tysiąc pięćset złotych. Następnie mrugnąłem do dziewczyn. – Pójdę się wykapać. Przygotujcie się.

Te idiotki były zbyt zszokowane tym, co się wydarzyło, żeby jakkolwiek zareagować. Wszystkie trzy gapiły się na plik banknotów, który podarowałem burdelmamie. W ogóle nie były zainteresowane mną, gdy wychodziłem do przedpokoju. A ja właśnie tego potrzebowałem. Drobnej okazji, aby z premedytacją popełnić błąd.

– To nie te drzwi! – zawołała burdelmama.

Spóźniła się. Zdążyłem pociągnąć za klamkę i otworzyć drzwi do pomieszczenia, z którego chwilę wcześniej wylazły Białorusinki.

– Sorry – powiedziałem, udając zakłopotanie.

– Nie szkodzi – odparła kobieta, którą oderwałem od smartfona.

To była ona. Daga. Wystarczył mi ułamek sekundy, aby ją rozpoznać. Ale dla niej to było zdecydowanie za mało, żeby skojarzyć, kim jestem.

Zamknąłem drzwi i spojrzałem na burdelmamę.

– Drugie po lewej – powiedziała. – Te z napisem „WC”, bez żadnej zawieszki. Poradzi pan sobie czy muszę pomóc?

Nie ruszały mnie jej złośliwości, ponieważ miałem w perspektywie kilka rund z dwiema ślicznotkami. I jedną bonusową z panną, która próbowała mi zaszkodzić.

Z Białorusinkami nie było tak zjawiskowo, jak się spodziewałem. Anastazja i Polina musiały nieco przesadzić z rozluźniaczami i ogłupiaczami, przez co trochę za dużo śmieszkowały i gędzily, a za mało chciały się rypać. Na szczęście zawczasu łyknąłem niebieską tabletkę, więc jakoś poszło.

Po wyjściu z burdelu wsiałem do auta i skręciłem kolejnego jointa – byłem na urlopie, więc mogłem nieco popuścić lejce. Spaliłem go, wracając do domu. Po drodze zaopatrzyłem się jeszcze w przekąski i słodczyce, żeby się nie męczyć

z gastrofazą – w końcu byłem na urlopie.

Tego wieczoru miałem o czym myśleć. Przede wszystkim musiałem wykombinować, jak dopaść Dagę, która najwyraźniej ukrywała się w tym burdelu. Powinienem się zaciąć pod burdelem. Wyczekać moment, w którym Daga wyjdzie z budynku. Dopaść ją, gdy będzie sama. Porwać i upozorować zniknięcie. Krótko mówiąc: odegrać wieloaktowy broadwayowski spektakl.

A w tym na szczęście byłem niezły.

Kiedy modelowałem w głowie plan, usłyszałem przeciągły dzwonek. Zdjąłem z brzucha miskę z czipsami i poszedłem do drzwi. Wyjrzałem przez wizjer. Kobieta. Mniej więcej czterdziestoletnia. Niezbyt urodziwa. Ponura. Nie musiała się odzywać, żebym wiedział, jak zabrzmiała jej głowa.

Otworzyłem.

– Komisarz Maria Falk – przedstawiła się, pokazując legitymację policyjną. – Pan Kacper Berger?

– Zgadza się. Coś się stało?

– Chciałabym zadać panu kilka pytań w związku ze śledztwem, które prowadzę. Mogę wejść?

Uniosłem brwi. Potrafiłem całkiem niezłe udawać zdziwienie. Ale w tej sytuacji rzeczywiście byłem zdziwiony. Liczyłem się z odwiedzinami policji, ale nie spodziewałem się, że wyślą do mnie panią komisarz.

– Nie wiem, czy będę w stanie pomóc, ale zapraszam.

Tak się poznaliśmy. Było to pierwsze z kilku naszych spotkań. Próbowałem potem rozebrać zachowanie Marii na czynniki pierwsze. Prawda jest jednak taka, że niewiele z tego wynikało, bo koncentrowałem się głównie na sobie. Na tym, by dobrze wypaść. Byłem mocno upalonym facetem, który musiał się wiarygodnie wyłgać z kłopotliwej sytuacji, a to nigdy nie jest proste. Mimo to zapamiętałem, że od samego początku Maria wydawała mi się przykrą, aseksualną żoną. Smutną maleńką istotką, która osiągnęła najwyższy poziom żalności.

Zaprowadziłem ją do salonu, a następnie poszedłem po wodę. Kiedy wróciłem z kuchni, stała w narożniku pomieszczenia i uważnie przypatrywała się wnętrzu. Nie wiedziałem, czy czegoś szuka, czy próbuje ocenić mnie na podstawie wyglądu regałów, czy może jara się aranżacją, ale wydawała się maksymalnie skoncentrowana.

– Czym się pan zajmuje? – zapytała.

– Jestem przedsiębiorcą.

– Prowadzi pan firmę?

– Zajmuję się coachingiem i szkoleniami ze sprzedaży. Od pół roku jestem też wiceprezesem polskiego oddziału firmy informatycznej Cloud. A oprócz tego inwestuję i doradzam przedsiębiorstwom.

– Ma pan wiele zajęć.

– Nie potrafię nie pracować. Kiedy próbuję odpocząć, mam wrażenie, że życie przecieka mi przez palce.

– Jak rekin.

– Słucham?

– Kiedy rekin przestaje pływać, umiera.

Uśmiechnąłem się.

– Coś w tym stylu.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Maria wie o mnie znacznie więcej. Że tylko udaje średnio rozgarniętą policjantkę, która przyszła odbębnić pańszczyźniane obowiązki.

– Co pan robił w minioną sobotę? – zapytała.

– Mamy wyjątkowo gorący okres w firmie, więc przez większość dnia pracowałem. – Powiedziałem prawdę. Prawie prawdę.

– Wieczorem też?

– Wieczorem spotkałem się z kolegą. Wypiliśmy kilka piw, a potem poszliśmy na miasto.

– Jak nazywa się kolega?

– Marek Cieślik.

– Gdzie mieszka?

– Na Pradze.

– A konkretnie?

– Grenadierów sześć.

Fakt, że Marek mieszka niedaleko miejsca, w którym zająłem alfonsa, jest jednym z najpiękniejszych zbiegów okoliczności w moim życiu.

– O której pan się pojawił na Pradze?

– Koło dwudziestej drugiej. Może trochę później.

– Pojechał pan na imprezę samochodem?

– Nie zamierzałem imprezować. Ale wie pani, jak to bywa z planami.

– Nie wiem.

– Czasem biorą w łeb. Zwłaszcza gdy człowiek spotyka się z kumplem, który przeżywa ciężkie chwile.

Maria skrzętnie notowała moje odpowiedzi.

– Czy ktoś może potwierdzić pańskie słowa?

– Tylko Marek. Nie spotkałem tego wieczoru żadnego znajomego. – Lekko przekrzywiłem głowę. – Powie mi pani w końcu, o co tu chodzi?

Policjantka zamknęła notes.

– Kilkaset metrów od miejsca, w którym tego wieczoru stał pański samochód, znaleziono kałużę krwi. Sprawdzamy wszystkie tropy w tej sprawie. – Nie spuszczać mnie nawet na sekundę z oczu, ponownie otworzyła notatnik. – Czy jadąc do kolegi, widział pan coś podejrzanego?

– To znaczy?

– Na przykład jakąś sprzeczkę albo zakapturzonych ludzi.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią, po czym potrząsnąłem głową.

– Nic takiego sobie nie przypominam.

– Na pewno?

W jej spojrzeniu było coś uciążliwie intensywnego. Coś, co powodowało, że po paru sekundach musiałem uciekać wzrokiem.

– Na pewno.

Falk głośno westchnęła.

– Szkoda. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę o kontakt.

Wręczyła mi wizytówkę. Prostą. Nijaką. Jedną z najbrzydszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Następnie ruszyła do wyjścia.

– To jakieś porachunki gangsterskie? – spytałem, odprowadzając ją do drzwi.

Maria zatrzymała się z ręką na klamce.

– Co ma pan na myśli?

– Kałuża krwi brzmi dość poważnie. Skojarzyła mi się z gangsterami.

– Nie wolno mi rozmawiać o szczegółach. Ale mogę pana zapewnić, że jesteśmy na dobrej drodze, żeby ustalić, co tam zaszło.

– Trzymam kciuki.

Albo mi się zdawało, albo kąciiki jej ust delikatnie się uniosły. Zaraz potem wyszła.

Byłem przekonany, że coś wie. Widziałem to w jej spojrzeniu. W rezerwie, z jaką mnie traktowała. W sposobie mówienia. W oszczędnych gestach. Zostawiła mnie z gaciami opuszczonymi do kostek. Bezbronno. Ze spotęgowanym przez palenie

paranoicznym lękiem.

Może jednak nie mam tak silnej psychiki, jak myślałem?

3 Co zrobisz drugiemu, oczekuj od niego (łac.)

To teraz opowiem wam, jak to było.

Kiedy ten żulerski dzieciak mnie wydał, psy zaczęły się poważnie zastanawiać, czy porwania i sprawa Druciarza nie są ze sobą powiązane. W praktyce uformowały jedną wielką grupę dochodzeniową, która miała znaleźć tajemniczego długowłosego porywacza i zarazem domniemanego mordercę. Większość policjantów – zgodnie z moimi przypuszczeniami – doszła do wniosku, że zaginięcia muszą się łączyć z jakimiś mafijnymi działaniami, a te wszystkie grzeczne dziewczynki wcale nie były takie grzeczne.

Tylko Maria była innego zdania. Ona wciąż się upierała, że za tym wszystkim stoi jeden człowiek. I to nie z kręgów gangsterskich. Dlatego gdy większość jej kolegów przetrząsała warszawski margines, gładząc z mafijnymi żołnierzami, bossami czy dziewczynami gangusów, Maria szukała kogoś z zupełnie innego świata.

Zaczęła od przejrzania zapisków ze wszystkich dotychczasowych przesłuchań w sprawie Druciarza. Potem przestudiowała listę osób, które dopiero miały zostać sprawdzone. Widniałem na niej, ponieważ mój samochód wypłynął na monitoringu. Byłem jedną z kilkuset osób na liście. I jedną z kilkudziesięciu związanych z biznesem. Mimo to Maria z jakiegoś powodu postanowiła wygooglować akurat mnie. Nie interesowała się biznesem, ale skojarzyła moje nazwisko. Może dlatego, że swego czasu często pojawiałem się w telewizjach śniadaniowych.

Nie przypuszczałem, że kiedyś tego pożałuję.

Maria niemal spadła z krzesła, kiedy zobaczyła w sieci moje zdjęcie. Zanim mnie odwiedziła, wydrukowała fotkę i przypięła ją na tablicy korkowej. Obok przyczepiła kartkę z listą moich zawodowych dokonań. Pod nią zamocowała świstek, na którym wypisała wszystkie sugestie profilerskie, jakie otrzymała od ojca. W ten sposób stałem się jej podejrzanym numer jeden. Nowym, bardzo konkretnym wrogiem alfa: z historią, nazwiskiem, twarzą i domniemaną listą grzechów.

W ostatniej chwili odwołała dwóch półgłówków, którzy zamierzali mnie przesłuchać, i pojechała do siedziby Clouda. Dowiedziała się, że wzięłem kilka dni

wolnego, a przy okazji potwierdziła, że w dniu zabójstwa alfonsa nie było mnie w biurze. Zdobyła też mój adres i numer telefonu – RODO, srodo, psy zawsze sobie poradzą. W końcu podjechała na róg Wspólnej i Emilii Plater. Jak jakiś jebany kontroler ZUS-u, który sprawdza, czy nie kręcę wałków ze zwolnieniem lekarskim.

Nie zraziła się tym, że mnie nie zastała. Postanowiła poczekać. Jedną godzinę, dwie, trzy. Gniła w samochodzie z wyłączoną klimą. Nic nie jedząc, nie pijąc, nie sikając. Nie wiedziała, czy i kiedy się pojawię, ale za nic w świecie nie chciała przegapić mojego powrotu. Mimo to niewiele brakowało, żeby właśnie do tego doszło. Maria długo się wpatrywała w ogolonego niemal na zero faceta, który człapał w stronę klatki z torbą pełną łakoci, zanim zrozumiała, że to ja. Gdybym się nie zatrzymał przed budynkiem, nie mogąc wydobyć kluczy z kieszeni, i gdyby nie miała przy sobie kilku moich zdjęć, zapewne by mnie nie poznała.

Pierdolone włosy. Musiałem je ściąć, żeby dopaść tę głupią krowę. Ale Maria o tym nie wiedziała. Dla niej było jasne, że zrobiłem to po rozprawieniu się z alfonsiem. W kretyńskim, płochliwym, naiwnym odruchu, który zamiast ukryć mnie przed policją, skierował na mnie jej uwagę.

Kurwa.

Podczas rozmowy Maria była zagadkowa i podejrzliwa, ale także do bólu zachowawcza. Nie wspomniała o uprowadzonych pannach, bo nie musiała. Już wtedy wiedziała, że stoję za tymi porwaniami, ale nie chciała mnie spieszyć. Zwłaszcza że nie miała na to żadnych dowodów.

Kiedy wróciła do samochodu, zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Papszona i przekonać go, że właśnie znalazła mordercę. Że potwierdziły się jej przypuszczenia. Że powinien zadzwonić do prokuratora, załatwić wszystkie formalne bzdety i zorganizować mi wjazd smutnych chłopców na chatę. Ale w końcu odpuściła. Po raz enty przeanalizowała wszystkie informacje na mój temat. Uznała, że nie działam pochopnie, więc jest znikome ryzyko, że zaraz po spotkaniu z policją wyruszę na kolejne polowanie. Poza tym widziała u mnie ledwo napoczęte czipsy i zauważyła, że jestem upalony. A ludzie, którzy zagryzają gastrofazę, raczej nie szykują się do porwań. Ostatecznie uznała, że prześpi się z tym wszystkim, a rano, jeśli w jej postrzeganiu sytuacji nic się nie zmieni, spróbuje postawić swój wydział na nogi.

Kiedy odjeżdżała spod klatki, po raz pierwszy od bardzo dawna była szczęśliwa. Autentycznie szczęśliwa. Usatysfakcjonowana tym, że wpadła na coś, czego nikt inny

nie zauważył. Zadowolona, że historie tych zaginięć wkrótce się wyjaśnią, a rodziny porwanych dziewczyn dostaną odpowiedzi. Choć z pewnością nie takie, na jakie w swych naiwnych snach liczyły.

Nie miała pojęcia tylko o jednym: że wiem, że ona wie. I w żadnym wypadku nie zamierzam się poddać.

– Co ty odpierdalasz?!

Nie spodziewałem się takiej krytyki. A już na pewno nie z ust Pawła. Uzależnionego od hazardu koleżki, któremu nie tylko ustawiłem źle prowadzony biznes, ale też parę razy nakręciłem koks i dziwki.

– O co ci chodzi?

– Chcesz, żebym śledził policjantkę.

– No i?

– Nie śledzi się psów.

– Bo?

– Bo kundle mają dobry węch i są wyczulone na takie akcje. Z reguły szybko się orientują, że mają ogon. Poza tym śledzenie ludzi, którzy mogą ci zaszkodzić, zawsze rodzi przypała. Dlaczego w ogóle chcesz, żebym za nią jeździł?

– Nadepnęła mi na odcisk. Podobnie jak panna, którą miałeś dla mnie wytropić, ale dałeś ciała.

Paweł przejechał dłonią po twarzy, jak gdyby chciał sobie zgolić paluchami brodę.

– Posłuchaj. – Pochylił się do przodu. – Będę ci wdzięczny do końca życia za to, co dla mnie zrobiłeś. Za to, czego się dzięki tobie nauczyłem i jak pomogłeś mi się rozwinąć. Za to, że zmieniłeś moje życie. Ale śledzenie tej policjantki to naprawdę kiepski pomysł. Gdyby to wyszło na jaw, straciłbym kontakty, dojście do informacji i zlecenia. Byłbym skończony.

Mówiąc to, Paweł rozglądał się na boki, jakby się spodziewał, że otacza nas tłum jego potencjalnych klientów. Siedzieliśmy w ogródku jednej z sieciowych kawiarni na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Mijały nas dziesiątki nudziarzy zapierdalających do roboty. W garsonkach, tanich przepoconych marynarkach, powyciąganych koszulkach i podartych dżinsach. Powyłazili z wygodnych SUV-ów, taksówek, autobusów albo metra. Byli mniej lub bardziej zmęczeni, mniej lub bardziej przerażeni czekającymi ich wyzwaniem, mniej lub bardziej świadomi swojej beznadziei. I zupełnie nieświadomi, że pewien facet w pobliskiej kawiarni ma ochotę ich zabić. Że chciałby wparować w tłum z piłą łańcuchową i wyciąć wszystkich

w pień.

– Masz jakąś kontrpropozycję? – spytałem najspokojniej, jak potrafiłem.

– Właściwie tak. – Otworzył nerkę, z którą nigdy się nie rozstawał, i wyjął złożoną na pół kartkę. – Słyszałem co nieco o tej Marii Falk. Rozmawiałem z kilkoma osobami, które ją znają.

– I?

– To twarda sztuka. Uparta, upierdliwa i nieprzekupna. Jest córką znanego profilerera. Ukończyła kryminologię w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie z jednym z najlepszych wyników na roku. Bez większych problemów złapała fuchę w Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Rozpracowała paru wpływowych gangusów. Moi informatorzy twierdzą, że gdyby była facetem, zaszłaby znacznie dalej.

– Ma dzieci?

Paweł potrząsnął głową.

– Ani dzieci, ani chłopca. Kilka miesięcy temu mąż ją zostawił. Ludzie od dawna podejrzewają, że to lesba, więc może coś jest na rzeczy.

Zerknąłem na kartkę. Maria, jebana, Falk. Pani komisarz. Oziębła suka, która odkryła moją tajemnicę. Na pierwszy rzut oka wydawała się nie do ruszenia. Ale każdy ma jakieś słabe strony. Trzeba tylko odpowiednio głęboko pogrzebać.

– W takim razie zrobimy tak. – Teraz to ja pochyliłem się w stronę Pawła. – Zapomnisz, że poprosiłem cię o śledzenie policjantki, a ja zapomnę, że mi odmówiłeś. Zamiast tego wytypujesz najbystrzejszego ze swoich chłopców i każesz mu nie spuszczać oka z tej dziewczyny.

Położyłem na stole telefon. Na ekranie wyświetlało się zdjęcie Dagi.

– Kto to jest?

– Dziwka.

– Niech zgadnę: nadepnęła ci na odcisk?

Nie skomentowałem tego. Nie musiałem. Patrząc na mnie, Paweł zrozumiał, że nie mam ochoty na żarty.

– A co z tamtą panną? Alicją?

– Jebać ją.

Wy tłumaczyłem Pawłowi, gdzie może spotkać Dagmarę i co wiem na temat burdelu na Kazimierzowskiej, po czym delikatnie zasugerowałem, że może już spierdalać. Kiedy sobie poszedł, zadzwoniłem do Marcina Zjawińskiego. Cieszyłem

się na tę rozmowę, ponieważ to miał być nasz wielki dzień. Ten, w którym rzucimy Rolnickiego na liny i zaczniemy go okładać. Po bebeczach. Po jajach. Po każdej części ciała, żeby bolało go absolutnie wszystko.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział Marcin, zanim zdążyłem się odezwać.
– Dobra jest taka, że Rolnicki rzeczywiście jest pedałem. Choć żeby to udowodnić, będziemy musieli dotrzeć do ludzi, którzy mogą coś zyskać na jego upadku, bo większość osób boi się o nim rozmawiać.

– To skąd wiesz, że to prawda?

– Skonfrontowałem się z nim.

– Z Rolnickim? Przecież miałeś to zrobić dopiero...

– Wyluzuj. Dowiedział się, że jestem w mieście, i zaprosił mnie na kawę. Podpuściłem go paroma homofobicznymi komentarzami i w końcu pękł.

Uśmiechnąłem się. Trochę żałowałem, że nie mogę zniszczyć tego buca samodzielnie, ale Marcin był ważną częścią planu. Chciałem, aby Rolnicki miał poczucie, że nie walczy z jakimś gogusiem z korporacji, tylko z potężną prawniczofinansową machiną, która z łatwością może go rozdeptać.

– A zła wiadomość? – spytałem.

Zjawiński odrobinę zbyt długo milczał.

– Rolnicki powiedział, że nie sprzeda nam spółki, nawet jeśli zamieścimy na Pornhubie film, na którym bierze w dupę.

Niedobrze. Bardzo, kurwa, niedobrze.

– Jesteś jeszcze w Łodzi?

– Tak, ale gdy tylko zatankuję furę...

– Zostań tam. Umów się z Rolnicką. Powiedz, że przez jej upartego mężulka całej rodzinie grozi wizerunkowy armagedon, po którym będzie skończona nie tylko w Łodzi, ale też w Warszawie, Genewie czy gdzie ona tam jeździ. Musi wpaść w panikę. Wtedy zacznie robić głupie rzeczy, którymi przekona Rolnickiego do zmiany decyzji.

– A masz jakiś inny pomysł, gdyby ten nie zadziałał?

– Mam mnóstwo pomysłów, ale zacznijmy od tego.

Rozłączyłem się. Przez kilka sekund wpatrywałem się w leżące na stole okulary przeciwsłoneczne, w których odbijała się moja twarz. Nie był to budujący widok. Przyzwyczyłem się do innego.

– Coś jeszcze dla pana?

Spojrzałem na kelnerkę, która wyrosła zza moich pleców.

– Czas – odparłem. – Wie pani, gdzie mogę kupić trochę czasu?

Potrząsnęła głową. Tak to już w życiu jest, że najtrudniejsze problemy trzeba rozwiązywać samodzielnie. Nikt ci w tym nie pomoże. Ani kelnerka z różowymi pasemkami, ani przyjaciele, ani Bóg. I właśnie dlatego musisz być sam sobie bogiem.

* * *

Byłem jak połączenie Jordana Belforta z odgrywającym jego rolę Leonardem DiCaprio. Nie tak męcząco-naiwny jak Belfort, ale też nie tak ekspresyjny jak DiCaprio w płomiennych wystąpieniach w *Wilku z Wall Street*. Nie tak lalusiowaty jak DiCaprio, ale i nie tak klockowaty jak Belfort. Byłem sobą. Jedynym w swoim rodzaju wymiataczem. Mistrzem perswazji, sprzedaży i zamieniania nieudaczników w księżęta z bajki.

Żeby przedstawić mnie swojemu ukraińskiemu koleźce, Maria mogła znaleźć na YouTube lepszy filmik, ale nie winiłem jej za to, że wybrała ten z największą liczbą wyświetleń. Przemawiałem w nim podczas jednej z konferencji TEDx. Do ludzi, którzy lubią posłuchać mądrzejszych od siebie, jarają się wystąpieniami publicznymi albo pragną dowiedzieć się czegoś na temat sprzedaży. Nie lubiłem upubliczniać swojego talentu. Zawsze uważałem, że dobry sprzedawca jest jak iluzjonista, który pod żadnym pozorem nie powinien zdradzać największych sekretów. Ale czasem – na przykład kiedy pragniesz zdobyć rozpoznawalność i nowe zlecenia – bywa to konieczne. A także cholernie zdradliwe.

– Co o tym sądzisz? – spytała Maria.

Oleg się wyprostował, nie spuszczać wzroku z ekranu. W atawistycznym odruchu podrapał się po czuprynie.

– Sam nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Czy to możliwe, żeby to był on.

Maria odsunęła się od biurka. Schyliła się do torby i wyjęła kilka kartek. To, co było na nich zapisane, znała na pamięć, ale uznała, że będzie bardziej przekonująca, jeśli uda, że czyta. Amatorka. Nie miała bladego pojęcia o robieniu ludziom wody z mózgu.

– Nazywa się Kacper Berger. Ma trzydzieści sześć lat. Pochodzi z Warszawy. Nie ma żony ani dzieci, a jego rodzice nie żyją. Ukończył ekonomię na esgiewu. Przez

kilka lat pracował w firmach konsultingowych, po czym skupił się na coachingu. Jeśli wierzyć temu, co ludzie wypisują w necie, szybko został jednym z najlepszych, a przynajmniej najbardziej cenionych trenerów sprzedaży w Polsce. Doradzał kilku dużym firmom, a w paru mniejszych zasiadał w zarządach i radach nadzorczych. Jest też inwestorem i aniołem biznesu. A od ponad pół roku piastuje stanowisko wiceprezesa w polskim oddziale Clouda.

– Niezłe CV – zauważył Oleg.

– Wiemy, że w dniu zabójstwa Berger był na Pradze, niedaleko Wiatracznej. Wjechał na osiedle w tym samym miejscu i czasie co Druciarz. Pół godziny później dzieciak zauważył długowłosego faceta, który szlachtuje jakiegoś gościa.

Oleg uniósł rękę.

– Wstrzymaj konie.

– Co? – warknęła Maria.

– Po pierwsze, nie wiemy, co się stało z alfonsem, więc nie powinniśmy przesądzać, że chodzi o zabójstwo. Po drugie, to może być tylko zbieg okoliczności. A po trzecie, jeśli nie liczyć potencjalnego długowłosego sprawcy, nie ma żadnych nici, które łączyłyby sprawę Druciarza z porwaniami dziewczyn.

– To nie koniec. – Maria wyjęła telefon. Pokazała Olegowi zdjęcie, które mi zrobiła, zanim wszedłem do klatki. – To Kacper Berger. Powiedział w pracy, że jest chory, a mimo to włączył się po mieście. W dodatku ściął włosy. Jakby próbował się przed kimś lub przed czymś ukryć.

Oleg długo wpatrywał się w niezbyt wyraźną fotografię, na której wyszedłem wyjątkowo niekorzystnie.

– Widziałaś się z nim? – zapytał.

– Przesłuchałam go w sprawie alfonsa.

– I co?

– Twierdzi, że odwiedzał kolegę na Pradze. Sprawdziłam to. Facet, o którym mówi, mieszka na Grenadierów. Jest wieloletnim kumplem Bergera, więc pewnie potwierdzi jego bajeczkę.

– A co z porwaniami?

– Nie pytałam, żeby nie zdradzić, co wiemy.

– Bo tak naprawdę gównu wiemy. – Oleg słabo krył niezadowolenie z tego, że Maria działała za jego plecami. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Pójdę do Papszona. Trzeba załatwić zgodę na zatrzymanie Bergera

i przeszukanie jego mieszkania.

– Myślisz, że to kupi?

– Mam taką nadzieję.

– Znasz Papszona lepiej ode mnie, ale moim zdaniem nie kiwnie palcem bez twardych dowodów. – Oleg położył dłoń na biurku. – Nie przekonasz go garścią notatek, opowiastką o ściętych włosach ani przypuszczeniami. Tu chodzi o poważnego gościa ze świata biznesu, który mógłby narobić niezłego syfu, gdyby twoje oskarżenia okazały się bezpodstawne.

– To on. Kitkarz. Jestem tego pewna. – Maria wzięła głęboki wdech. – Ten facet to pewny siebie kutas. Wydaje mu się, że dzięki kasie jest lepszy od innych. Ma efektowny apartament w centrum miasta, drogą sportową furę i mnóstwo kasy. Pod każdym względem pasuje do profilu.

– Który sama sporządziłaś.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– O nic. – Oleg bezradnie rozłożył ręce. – Po prostu nie jestem przekonany. To jest zbyt dziwne. Zbyt śliskie. Zbyt... – zawahał się. – Zbyt pojebane, żeby było prawdziwe.

– A jednak.

– Skoro nie jesteś w stanie przeciągnąć mnie na swoją stronę, wątpię, żeby udało ci się z Papszonem. A tym bardziej z prokuratorem.

– Pokażmy zdjęcie Bergera temu dzieciakowi z Wiatracznej. On potwierdzi, że to Berger.

Oleg wolno pokręcił głową.

– Chudy pokazał mu fotki kilku kudłatych gangusów, którzy są podejrzewani o handel ludźmi. Dzieciak wskazał dwie różne osoby. To mu daje zerową wiarygodność.

Maria, zrezygnowana, opadła na fotel. Przez kilka sekund milczała, wyglądając przez okno. Zawiesiła wzrok na kobiecie wysiadającej tylnymi drzwiami z auta.

– W takim razie pogadajmy z Butką – powiedziała.

Zgarnęła torbę spod krzesła i po raz ostatni spojrzała na ekran. Na stopklatce miałem dziwny, krwiożerczy uśmiech. Jakbym drwił z naiwniaków, którzy mnie słuchali. Co za palant, pomyślała.

Sądziła, że mnie ma. Że mnie rozgryzła. Że jest tylko kwestią czasu, kiedy obnaży moje tajemnice. Ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że nie jest jedyną uczestniczką

wyścigu. Że z drugiej strony toru ustawił się groźny przeciwnik. Rozsierdzony. Zdeterminowany. W zajebicie szybkim bolidzie. Gotowy zrobić wszystko, aby wygrać. Z zepchnięciem rywala z trasy włącznie.

Kiedy Maria i Oleg wrócili do mieszkania Butki, zastali tam jeszcze większy syf niż poprzednio. Młodzi Ukraińcy zamienili przytulne lokum na Białołęce w pijacki barłóg. Porozrzucane ubrania, powywalane puszki i butelki, porozstawiane w dziwnych miejscach talerze z resztkami jedzenia. W powietrzu unosił się smród brudnych ciuchów, potu i śmieci. A Artem, który zalegał na kanapie w pozycji półleżącej, odziany w brudny podkoszulek i szare dresy, z popielniczką na zapadniętym brzuchu, był personifikacją tego syfu.

– Przyszliśmy nie w porę? – spytał Oleg, pukając pro forma w uchylone drzwi.

Artem nawet na nich nie spojrział. Przez cały czas tępo wpatrywał się w punkt na ścianie i leniwie palił peta. Jak katatonik, który przesadził z psychotropami.

– Musimy pogadać o człowieku, któremu pożyczałeś samochód – wyjaśnił Oleg.

– I tożsamość – dodała Maria, rozglądając się po pokoju.

Artem nie okazał policjantom choćby krzty zainteresowania. Nawet wtedy, gdy okrążyli jego kanapę. Osaczyli go, jakby się bali, że ucieknie. Choć w takiej dyspozycji wydawało się mało prawdopodobne, aby zdołał się przemieścić choćby w obręb kanapy.

– Pomóż nam, a my pomożemy tobie – odezwał się Oleg. – Wiem, jak ciężko bywa Ukraińcom w Polsce. Przerabiałem to. Znam kilku chłopaków, którzy prowadzą w Warszawie mały biznes. Pogadam z nimi.

– Poznajesz go? – zapytała Maria, podsuwając Artemowi pod nos kilka zdjęć.

Chłopak wreszcie wyrwał się z odrętwienia. Zgasił peta, odstawił popielniczkę i usiadł na brzegu kanapy. Wziął od Marii zdjęcia i przyjrzał się im uważnie.

– Przypomina tego faceta – powiedział. – Ale to nie on.

– Jak to? – zdziwiła się Maria.

– To nie on. Tamten gość wyglądał inaczej.

– To znaczy?

– Nie wiem. Po prostu inaczej.

Policjantka uniosła głowę i zacisnęła zęby. Miała ochotę zdzielić Artema w twarz. Potrząsnąć nim, żeby zaczął trzeźwo myśleć. Zamiast tego usiadła obok chłopaka, starając się zachować spokój.

– Kilka tygodni temu zeznałeś, że to był wysoki, szczupły facet z długimi włosami.

I że miał na sobie dobrze leżący garnitur. Spójrz jeszcze raz na fotki. Jesteś pewien, że to nie on?

Artem ostrożnie potrząsnął głową.

– Tamten wyglądał starzej. I bardziej dziadowsko.

– Nie wspominałeś, że wyglądał dziadowsko.

Artem oddał jej zdjęcia.

– Bo nie miałem punktu odniesienia.

– Może to tylko kwestia charakteryzacji?

– Nie. Poza tym tamten miał inną twarz. Bardziej okrągłą. Ziemniaczaną. Jak typowy Polak.

Maria głośno westchnęła. Wydobyła z kieszeni telefon i odpaliła filmik, który godzinę wcześniej pokazała Olegowi.

– To na pewno nie on? – spytała.

Artem zmrużył oczy i obejrzał fragment mojego wystąpienia. Po mniej więcej trzydziestu sekundach ponownie pokręcił głową.

– To nie on.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent.

Maria podniosła się z kanapy. Przeszła się do drzwi, a potem zawróciła. Zatrzymała się przed Artemem i chwyciła go za żuchwę. Uniosła jego głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Jeśli się okaże, że robisz nas w chuja...

– Nie robię – wymamrotał Artem.

– ...wpiardolę cię do paki za utrudnianie śledztwa.

– Zostaw go. – Oleg przeszedł na drugą stronę kanapy i położył partnerce rękę na ramieniu. – Chodźmy stąd.

Maria pogroziła Artemowi palcem.

– Prędzej czy później dorwiemy tego faceta. Jeśli się okaże, że nas oszukałeś, zadbam o to, żebyś miał przejebane.

– Daj mu spokój. – Oleg wcisnął się pomiędzy Marię a Artema. – Chodźmy stąd – powtórzył. – Niczego więcej się nie dowiemy. – Delikatnie wypychając Marię z pokoju, odwrócił się do Artema. – Moja propozycja jest aktualna. Ogarnij się, to pomogę ci z robotą.

Kiedy wyszli przed budynek, Maria straszliwie zapragnęła zapalić. Ale jeszcze

bardziej miała ochotę zrobić komuś krzywdę.

– Łże jak pies – warknęła. – Sprzedał nam historyjkę, którą Berger kazał mu opowiedzieć.

– Tego nie wiemy.

– Przecież to jest oczywiste. Butko go kryje. Berger przekupił tego głąba.

– Albo się najzwyczajniej w świecie pomyliłaś.

Maria przyjrzała się Olegowi. Pokręciła głową.

– Ależ jesteście naiwny.

Zakłęła, nie zważając na szwendające się po chodniku dzieci, i energicznym krokiem ruszyła do samochodu.

Miała rację. Oleg niepotrzebnie pobłażał rodakowi. Zbyt mocno pragnął, aby Butko nie okazał się przekupnym ukraińskim cwaniaczkiem. Maria była bystrzejsza. Domyśliła się, że coś jest nie tak. Tylko nie znała szczegółów. Nie wiedziała, że złożyłem Artemowi wizytę, gdy tylko wyszedł z aresztu. Wręczyłem mu więcej pieniędzy, niż byłby w stanie zarobić w Warszawie przez rok, nawet gdyby zapierdalał od zmierzchu do świtu. Więcej, niż jego rodzina, przyjaciele i przyjaciele przyjaciół zarobiliby w tym czasie na Ukrainie. A do tego bardzo precyzyjnie wyjaśniłem, co może mu się przytrafić, jeżeli mnie zdradzi.

Artem bał się więzienia i deportacji. Ale jeszcze bardziej obawiał się tego, co może mu się stać, jeżeli sprzeciwi się mojej woli. Bo oprócz poduszki finansowej sprzedałem mu wizję przyszłości, jakiej nawet w najczarniejszych snach nie potrafił sobie wyobrazić.

* * *

Ludzie, nie ufając prostym rozwiązaniom, mają w zwyczaju komplikować sprawy. Podam wam przykład.

Wyobraźcie sobie dobrze zarabiającego maklera, coacha, inwestora, przedsiębiorcę albo sutenera (wszystko jedno), którego pasjonuje wykorzystywanie seksualne kobiet. Prawdziwe pasje – czy to wyprawy na ośmiotysięczniki, z których często wraca się w pojedynkę albo wcale, czy stukanie panien w specyficzny, niekoniecznie dla nich przyjemny sposób – mają to do siebie, że nie biorą jeńców. Każdy makler, biznesmen czy sutener mógłby realizować swoje zachcianki w pełni samodzielnie. Na własną rękę łowić dziewczyny, sprowadzać je do świątyni miłości, a potem zacierać ślady po swoich harcach. Nie musiałyby nikogo o tym informować, nikim się wysługiwać,

nikomu zlecać pozbywania się zwłok. Wszystko byłoby proste i przejrzyste. Nie nastęczałoby problemów i lęków. A biznesmen czy makler nie musiałby się zamartwiać, że któregoś dnia jego misterna układanka się rozsypie.

Ale z jakiegoś powodu ludzie boją się prostych rozwiązań i uwielbiają komplikować sobie życie. Co czasem ma także dobre strony. Na przykład wtedy, kiedy wiesz, że jesteś na cenzurowanym, a jeden z pionków w tej skomplikowanej grze podpowiada, jaki powinien być twój kolejny ruch.

Tak było w moim przypadku. Współlokator Artema w subtelny sposób dał mi znać, kiedy policjanci odwiedzili ich mieszkanie. Dlatego gdy tylko odczytałem jego wiadomość, wsiadłem do auta i pogałem do Konstancina. Wprawdzie przekupieni Ukraińcy nie powinni mnie wsypać, ale zawsze istniało ryzyko, że któryś z nich pęknie. Musiałem to brać pod uwagę i być maksymalnie, wręcz irracjonalnie ostrożny.

Zależało mi na czasie, więc dojechałem do domu, łamiąc po drodze wszystkie możliwe przepisy. Zaparkowałem przed budynkiem i wparowałem do środka. Rozebrałem się do majtek, włożyłem gumowe rękawiczki i zgarnąłem spod zlewu wszystkie chemikalia, jakie znalazłem. Ale zanim zacząłem szorować mieszkanie, pobierałem kłopotliwe gadzety. Do dwóch osiemdziesięciolitrowych worków władowałem wszystkie rzeczy, na które w razie ewentualnego przeszukania policja nie powinna się natknąć: dilda, kajdanki, kulki i koraliki analne (nie pytajcie), lubrykanty, masturbatory czy dmuchane lale. Ale też sznury, obcęgi, młotki czy paralizator. Łącznie uzbierało się kilkadziesiąt przedmiotów, które mogły służyć szeroko rozumianej zabawie. Niektórych nawet nie zdążyłem użyć.

Co za szkoda! Co za marnotrawstwo!

Potem zabrałem się do dezynfekcji. Przez te wszystkie lata naprzemiennie stosowałem płyny do czyszczenia pomieszczeń gastronomicznych, środki do zwalczania pluskiew czy preparaty do dezynfekcji skóry. Po wizycie każdej z dziewczyn sprzątałem piwnicę, przedpokoje oraz garaż; wszystkie pomieszczenia, w których mogłyby zostać jakiekolwiek ślady biologiczne. Byłem niemal pewien, że nigdzie ich nie ma. Niemal. Dlatego uznałem, że nie zaszkodzi zrobić to ponownie.

Oczywiście istniało ryzyko, że sprzątam na darmo. Nie byłem formalnym właścicielem domu. Prawdopodobnie w żaden oficjalny sposób Falk nie dałaby rady dojść do tajemniczego Cypryńczyka, który kilka lat temu zdecydował się nabyć tę nieruchomość i postawić tam budynek. Skoro nawet w dużym biznesie ustalenie

pochodzenia kapitału czy statusu własności czasem graniczy z cudem, nie przypuszczałem, żeby głupiutkie organy ścigania dały sobie z tym radę. Ale w nieoczekiwanym przyпыlywie euforii (czytaj: będąc strasznie nawalony) mogłem niechcący komuś wypaplać, że mam wyjebaną chatę pod Warszawą, w której lubię spędzać weekendy, wachając koks i posuwając prostytutki. A ktoś, komu to powiedziałem, mógłby to przekazać psom.

Ostrożności nigdy za wiele.

Kiedy skończyłem, zdjąłem majtki, wrzuciłem je do jednego z dwóch szczelnie wypełnionych worków i poszedłem się wykapać. Musiałem się długo szorować, żeby jeden zapach chemiczny wyprzeć innym. Kiedy wreszcie wylazłem spod prysznica, miałem tak zaczerwienione ręce, jakbym próbował je wepchnąć olbrzymowi w zaciśnięty odbył.

W gruncie rzeczy byłem jednak zadowolony, ponieważ został mi już tylko jeden problem do rozwiązania. Za to największy ze wszystkich.

Jak się, kurwa, pozbyć samochodu z przestępstwa?

Myśląc o tym, gapiłem się na audicę alfonsa. Była idealnie wysprzątana, błyszcząca i pachnąca. Doprowadziłem ją do stanu, jakiego zapewne nigdy nie doświadczyła w erze poprzedniego właściciela. Ale mimo to dalej była furą z przestępstwa. Oczywiście mogłem znaleźć jakiegoś cwaniaczka, który by przerobił znak identyfikacyjny VIN, zmieniając tożsamość auta, ale to nie rozwiązywało sprawy. Musiałem się pozbyć tej fury. Rozłożyć ją na części i sprzedać. Zezłomować. Utopić w jeziorze albo stopić w hucie. Wszystko jedno. Byleby w tej postaci zniknęła z tego świata. Z mojego świata.

Pogrążony w namyśle, usłyszałem nagle dzwonek iPhone'a. Spojrzałem na wyświetlacz. Nieznany numer. Choć ciąg cyferek wyglądał znajomo. Odebrałem.

– Z tej strony Kamil Późniak, asystent Jacka Solskiego. – No tak: zapamiętałem te cyferki, ponieważ dobrze mi się kojarzyły. Z determinacją, szacunkiem i siłą. – Pan Solski chciałby się spotkać.

– Bardzo chętnie, ale teraz nie mogę.

– Przysłaliśmy po pana samochód. Proszę wyjść z domu, kiedy pan będzie gotowy.

– Ale...

Zamilkłem. Bo albo mi się zdawało, albo usłyszałem chrzęst opon na żwirze. Nadstawiłem uszu. To nie było złudzenie. Pod garaż zajechał jakiś pojazd. Stał tuż za drzwiami, przez które zamierzałem wyprowadzić samochód alfonsa.

Wkrótce subtelny pomruk silnika wypełnił każdą wolną przestrzeń w moim mózgu.

S pierdolił mi.

– Jak to ci spierdolił? – zdziwiła się Maria.

– Najzwyczajniej w świecie. Facet jeździ furą za czterysta patyków, więc jeśli wdepnie pedał gazu, ciężko za nim nadążyć. Kiedy się rozluźniło na drodze, zaczął robić slalom między autami. Na jednym ze skrzyżowań przejechał na głębokim żółtym, a ja utknąłem. Nic nie mogłem zrobić.

Maria odsunęła telefon od ucha. Zakłęła. Tego dnia wszystko działało na jej niekorzyść. Jeszcze kilkanaście godzin wcześniej była przekonana, że za chwilę rozwiąże największą sprawę w karierze. Czuła pulsującą pod skórą ekscytację. Coś, czego się doświadcza na kilka sekund przed orgazmem albo chwilę po rozkwaszeniu gęby jakiemuś frajerowi. Ale już dawno o tym zapomniała. Teraz czuła wyłącznie złość. Miała wrażenie, że cały świat zmówił się przeciwko niej, żeby jej wszystko jak najbardziej utrudnić.

– Gdzie ci się urwał? – zapytała.

– Na Powsińskiej. Obok TVN-u.

Czyli albo jechał w kierunku Wilanowa, albo za miasto, pomyślała Maria. A skoro się spieszył, to albo jest typowym drogowym bucem, który dostaje małego rozumu, kiedy siada za kółkiem fury mającej pod maską trochę koni powyżej średniej, albo musiał coś pilnie załatwić. Oba warianty były równie prawdopodobne.

– Co teraz?

– Wróć pod jego mieszkanie. Daj znać, gdy się pojawi.

– Pamiętasz, że mam żonę i dziecko?

– Pamiętam. A ty pamiętaj, że musisz ich za coś wykarmić.

Rozłączyła się. Chwilę później podeszła do Olega, który rozsiadł się wygodnie na wiklinowym siedzeniu w jednej z kawiarni na placu Konstytucji. Najpierw oblizał łyżkę po kawie, a potem ugryzł rogalik z czekoladą. Wyglądał na wyluzowanego. Jakby zapomniał, że właśnie wpadli na trop gościa, którego ścigają od tygodni. Albo jakby w to nie wierzył, a swoją znerwicowaną partnerkę traktował jak kompletną

idiotkę. Znów: oba warianty były równie prawdopodobne.

– Z kim gadałaś? – zapytał, nie przeżuwszy do końca.

– Ze znajomym. – Maria usiadła po drugiej stronie stolika. Pociągnęła łyk kawy, mimo że kofeina do niczego nie była jej potrzebna.

– Ktokolwiek to był, nieźle cię wkurzył.

Maria odstawiła filiżankę. Westchnęła.

– Mam kolegę z dawnych lat, który ima się różnych zajęć. Nie zawsze legalnych. Kazałam mu śledzić Bergera. Niestety, uciekł mu na wysokości Wilanowa.

Oleg pokręcił głową.

– Strasznie się uparłaś. Czasami jest tak, że jeśli długo nie można znaleźć jakiegoś rozwiązania, bierze się za pewnik pierwsze, które wydaje się w miarę logiczne.

Maria wyciągnęła przed siebie dłoń i zaczęła wyliczać na palcach.

– Cwany biznesmen, który dorobił się fortuny na wciskaniu ludziom głodnych kawałków. Nie ma żony, dzieci ani bliższej rodziny. Dobrze się ubiera i nieźle wygląda. Obciął włosy zaraz po tym, gdy jakiś gówniarz doniósł, że widział, jak kudłaty facet szlachtuje człowieka. W dodatku ma opinię kobieciarza.

– Kobieciarza – powtórzył Oleg. – Nie zboczeńca, który dyma wszystko, co się rusza.

– To nie wszystko. Coś ci pokażę. – Maria wyjęła telefon i uruchomiła filmik. – Zdobyłam nagranie z kamery umieszczonej nad wejściem do klatki schodowej w budynku Bergera. Przyjrzyj się temu facetowi.

– Widzę tylko, że zasłania twarz.

– Czyli nie chce zostać rozpoznany. Wzrost i ciuchy sugerują, że to może być Druciarz.

– Albo kilkadziesiąt tysięcy innych warszawiaków, którzy wyglądają tak jak on.

– Zwróć uwagę na godzinę. Dziewiętnasta trzydzieści pięć. A teraz spójrz na to. – Przewinęła nagranie o piętnaście minut. – Kwadrans później facet wyłazi z klatki. A niedługo po nim z budynku wybiega Berger. Wybiega – podkreśliła, a następnie ponownie przewinęła filmik. – Po kolejnych paru minutach Berger wraca do domu, a po chwili znów wychodzi. Z plecakiem. Mijają dwie albo trzy godziny i facet, który był u niego w mieszkaniu, zostaje zarżnięty jak prosiak.

– To tylko przypuszczenie.

– Ale bardzo prawdopodobne.

– Nie bardzo. – Oleg głośno wypuścił powietrze. – Pomyśl o tym racjonalnie. Nie

jako policjantka, która chce jak najszybciej zamknąć sprawę i gotowa jest przypisać winę pierwszemu lepszemu kandydatowi.

Maria osunęła się na oparcie krzesła. Była zrezygnowana. Wycieńczona nieustannym główkowaniem, niedającym wytchnienia upałem, dwunastogodzinnymi dniami pracy. Ale przede wszystkim była sterana samotnością, która rozprzestrzeniała się w jej uniwersum niczym wirus. Najpierw opanowała życie prywatne, wymiatając z niego wszystkie żywe organizmy, a teraz zaczęła zatruwać życie zawodowe.

– Czego potrzebujesz, żeby mi uwierzyć? – spytała.

– Dowodu. Na przykład choćby jednego wiarygodnego świadka, który zezna, że to Berger zabił alfonsa albo podszywał się pod kierowcę Ubera.

– No to go znajźmy. Pokażmy jego zdjęcie kobietom, które przesłuchiwaaliśmy. Pogadajmy z tym pajacem od kryptowalut. Przepytajmy ludzi z otoczenia Bergera, którzy nie są jego fanami i nie będą za niego nadstawiać dupy. – Pochyliła się w stronę Olega i ściszyła głos. – Nie złapiemy tego skurwiela za rękę. Żeby zdobyć twarde dowody, musimy się dostać do jego królestwa. Ale najpierw ktoś musi wręczyć nam klucz.

Oleg opróżnił filiżankę i wytarł usta wierzchem dłoni. Strzelał wzrokiem po przechodniach, unikając spojrzenia Marii. W dalszym ciągu nie wydawał się przekonany.

– A jeśli się okaże, że Berger nie ma z tym nic wspólnego? Zastanawiałaś się nad konsekwencjami? Jeśli damy ciała, Berger i jego prawnicy przejadą po nas walcem.

Maria zajrzała do wnętrza filiżanki.

– Jeżeli mam rację, wyświadczymy światu olbrzymią przysługę. Dla takiej stawki warto zaryzykować.

Oczywiście mówiła to wyłącznie ze swojej perspektywy. Była samotną, szybko gorzkniejącą kobietą. Nie miała dzieci. Straciła faceta. Nie dogadywała się z ojcem. Nie potrafiła budować relacji z ludźmi. Nawet wyjątkowemu optymizmowi trudno byłoby uwierzyć, że czeka ją coś więcej niż staropanieństwo i smutna starość. Oleg miał nieporównywalnie więcej do stracenia i doskonale o tym wiedziała. Tyle że jej to w ogóle nie obchodziło.

Schyliła się do torebki. Wyjęła nienapoczętą paczkę papierosów.

– Nie wiedziałem, że palisz.

A ja nie wiedziałam, że jesteś taką bezjajeczną ciotą, pomyślała Maria. Ale zamiast odpowiedzieć Olegowi, zaciągnęła się papierosem. Po raz pierwszy od kilku długich,

beznadziejnych lat. Była to najmiłsza rzecz, jaka od dawna ją spotkała.

* * *

Rezydencja Jacka Solskiego wznosiła się na trzyakrowej działce leżącej między Konstancinem a Piasecznem. Dokładnie pośrodku niczego: z dala od uczęszczanych ulic, zajazdów, stacji benzynowych. Położona nad Jeziorką, niewielkim lewym dopływem Wisły, wyglądała dokładnie tak, jak można było się spodziewać: spektakularnie.

Kierowca zaparkował bentleya tuż przy wejściu, a następnie wprowadził mnie do środka. Kazał mi zaczekać w efektownym westybulu ozdobionym kilkoma obszernymi regałami na książki. Wyrastały z niego kręte schody oraz liczne korytarze prowadzące w głąb posiadłości. Po mniej więcej pięciu minutach, które spędziłem na nasłuchiwaniu pobrzękujących w kuchni naczyń, na górze otworzyły się jakieś drzwi. Chwilę później na schodach pojawili się trzej mężczyźni. Najpierw ujrzałem wysokiego chłopaka z afro, żenującymi młodzieńczymi wąsami i w okularach, który przez cały czas wpatrywał się w ekran telefonu. Za nim szedł krępy czarnoskóry mężczyzna. Przypominał mnicha albo szamana: miał długą białą szatę oraz sandały, które przyciągały wzrok do jego obrzydliwie długich paznokci. Ostatni był Jacek Solski. Wystrojony w cienkie materiałowe spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, w okularach przeciwsłonecznych, z drinkiem w ręku. Jakby pomylił Warszawę z Honolulu.

- Dzięki, że przyjechałeś – powiedział.
- Nie odniosłem wrażenia, że mam wybór.
- I słusznie.

Kiedy zszedł ze schodów, uścisnęliśmy sobie dłonie. Chwilę później wskazał ręką swoich ludzi.

- To moi pomocnicy: Jonasz i Elimu.
- Miło was poznać – odparłem.

Ale im najwyraźniej nie było miło. I nie chcieli, żeby komukolwiek było miło, bo zamiast odpowiedzieć na moje powitanie, stanęli z dwóch stron korytarza, jak gdyby zamierzali mnie obezwładnić, a potem zerznąć na dwa baty.

– Oddaj chłopakom telefon. A najlepiej wszystko, co masz w kieszeniach. Na wszelki wypadek. – Solski bezradnie rozłożył ręce. – Wiem, że to trochę nieeleganckie, ale jestem przewrażliwiony na punkcie podsłuchów.

– Podobno ostrożności nigdy za wiele.

– Otóż to.

Wyjąłem z kieszeni wszystko, co znalazłem, a potem pozwoliłem się obmacać.

– Zapraszam – powiedział Solski, jednocześnie odprawiając tych dwóch dziwaków.

Zaprowadził mnie do pomieszczenia, które można było wziąć za gabinet. I to bardzo różniący się od tego, jaki widziałem w siedzibie jego banku. Tamto pomieszczenie było schludne i zadziwiająco skromne jak na miejsce, w którym sporą część zawodowego życia spędza jeden z najważniejszych ludzi w trzydziestoośmiomilionowym kraju. W tym panował jeden wielki rozpiżdziel, za to blichtr wylewał się z każdego zakamarka. Marmurowe ściany? Są. Złoty, ważący na oko dwieście kilogramów żyrandol? Jest. Efektowne dębowe meble? Pewnie. A do tego gigantyczna biała komoda zastawiona najrozmaitszymi alkoholami: od burbonów i likierów po whisky, szampany i koniaki.

Trochę szkoda, że oprócz tego wszędzie wały się dokumenty. Umowy, pisma procesowe, wezwania do sądu, papierologia giełdowo-finansowa. Esencja biznesu Jacka Solskiego.

– Niezłych mam służących, co?

– Absurdalnych.

– Poznałem Elimu podczas wakacji w Afryce. Był niebywale uprzejmym pracownikiem hotelu, w którym mieszkałem. A przy tym bardzo bystrym. Nie chciałem, żeby się marnował w jakiejś dziurze, usługując za grosze europejskim turystom. Wolałem, żeby za porządne pieniądze usługiwał polskiemu miliarderowi.

– A ten z afro?

– To sawant. Wielokrotny zwycięzca olimpiad matematycznych. Jeszcze zanim ukończył mechatronikę na Politechnice Warszawskiej, zaczęły o niego zabiegać największe firmy technologiczne świata, włącznie z NASA, SpaceX i Google. Ale to introwertyczny maminsynek, który nie chciał wyjeżdżać z Warszawy. Musiałem go tylko przekonać, że zarobi u mnie więcej niż w jakiegokolwiek innej polskiej firmie na stanowisku głównego programisty. I że nie będzie musiał zanadto zapierdalać. Pieniądze i wygoda okazały się dla niego ważniejsze niż godność i ambicje.

– Zatrudniłeś geniusza, żeby trzepał gości na wejściu?

– Nie tylko. Jonasz jest moim intelektualnym sparingpartnerem. Rozmawiam z nim o filozofii, logice czy trendach technologicznych. Czasem pomaga mi w zrozumieniu

jakichś informatycznych zawilosci, dzięki czemu nie dają się naciągać start-upowcom, którzy próbują wydebić ode mnie kasę. Uczy mnie grać w szachy. Ale przede wszystkim pomaga mi w podejmowaniu decyzji inwestycyjnych. Chłopak doskonale rozumie giełdę i ma znakomitą pamięć. Dzięki niemu dwa razy rzadziej włączam komputer. Jakbym sobie kupił Rain Mana.

Solski podszedł do komody i odstawił szklankę na blat. Wysunął najwyższą szufladę i wyjął z niej torbę z białym proszkiem.

– Tootski? – zapytał, machając do mnie tytką.

– Dziękuję.

– Nie wierzę, że nie masz ochoty.

A ja nie wierzyłem, że odmawiam wciągnięcia kreski z Solskim. Ale mając na uwadze okoliczności i ten pieprzony samochód w garażu, czułem, że to by nie było najrozsądniejsze posunięcie.

– Staram się...

– Nie ćpać w tygodniu. A przynajmniej nie walić po nosie. – Solski się uśmiechnął.

– Znam twoje zwyczaje. Kiedyś miałem podobne. Wychodziłem z założenia, że nic nie może zaburzyć mojej percepcji, ponieważ w ten czy inny sposób wpłynie to na decyzje biznesowe. Przez wiele lat nawet nie piłem kawy. Ale potem zrozumiałem, że to nie jest życie, jakie chciałbym wieść. I że droga do szczęścia wiedzie przez hedonizm. – Wysypał pokątną górkę koksu na srebrną tacę. Wyjął z szuflady szklaną lufkę. – Musisz robić to, co chcesz, kiedy chcesz i jak chcesz. Przepis na szczęście jest dziecinnie prosty.

Nie bawiąc się w formowanie kresek, przyłożył lufkę do prochu. Szczelnie wypełnił obie dziurki, po czym przekazał mi sprzęt.

– Spróbuj. Założę się, że jeszcze nie wachałeś równie czystego tematu. Nawet w Londynie czy Amsterdamie takiego nie dostaniesz.

Westchnąłem. Zrozumiałem, że nawet gdybym bardzo, ale to bardzo tego nie chciał, gdybym był zniewieściałą cipą, która brzydzi się narkotyków, gdybym tkwił w jakimś cholernie mocnym postanowieniu, aby tego dnia pozostać trzeźwym, to i tak bym przyćpał z Solskim. Musiałem przyjąć cios, żeby znaleźć się w tym samym uniwersum co on. Żebyśmy mogli nadawać na tych samych falach i z tą samą intensywnością.

– Nie wstydz się instynktów – powiedział, kiedy po raz pierwszy zanurzyłem lufkę w towarze. – Ludzie tacy jak my mają moralne prawo realizować swoje zachcianki.

Nawet te najbardziej dziwaczne. Nawet nie do końca zgodne z normami społecznymi. Mamy niepisane zezwolenie na podejmowanie niepopularnych decyzji.

– Mówisz o biznesie czy o życiu? – spytałem, pociągając piękącym nosem.

– O wszystkim. Wiesz, po czym można poznać prawdziwego człowieka sukcesu? – Solski nalał whisky do dwóch szklanek. – Jest cała masa nowobogackich głąbów, którzy szybko zarobili kilkaset milionów. Brylują na konferencjach i w magazynach biznesowych, mądrząc się na tematy, o których nie mają bladego pojęcia. Zwróć uwagę, że tacy ludzie często uprawiają sporty ekstremalne, takie jak wspinaczka, wyścigi samochodowe czy szybownictwo. Muszą nieustannie podkręcać tempo, ponieważ wiedzą, że jeśli na chwilę zwolnią, to się rozlecą. Przestaną być tymi, na których się kreują. A to dlatego, że nie są do tego stworzeni. Sukces nie jest ich naturalnym towarzyszem, tylko nałogiem. Efektem ubocznym walki o dobrobyt. Ale są też tacy przedsiębiorcy jak ja. – Wręczył mi szklankę. – Dla mnie sukces jest czymś naturalnym. Zgodnym partnerem, z którym kroczę przez życie. Nieodzownym elementem mojego jestestwa.

Ponownie podszedł do komody i przyjął kolejną porcję koksu. Gdybym nic o nim nie wiedział, pomyślałbym, że jest starzejącym się dziwakiem, który pod wpływem nagromadzenia problemów postanowił odpiąć wrotki.

– Co widziałeś w westybulu? – zapytał.

– Książki – odparłem. – Dużo książek.

– Ponad dwa tysiące egzemplarzy. Głównie o historii, psychologii, filozofii oraz ekonomii. Wiesz, dlaczego trzymam je akurat tam?

– Chcesz pokazać gościom, że jesteś odcytany. Ostry jak brzytwa.

Solski potrząsnął głową.

– Bo regał z książkami to najlepsza ozdoba. Lepsza niż jakaś waza czy malowidło. Lepsza niż złote figurki albo rzeźby świętych. Książka to dzieło sztuki. Symbol umiłowania mądrości. Jednoznaczny dowód szacunku dla rozwoju. A tym samym najwyższego szacunku dla człowieka.

Zaśmiałem się. Wiedziałem, że drwienie z Solskiego, zwłaszcza w jego domu, nie jest najlepszym pomysłem, ale nie mogłem się powstrzymać. Wyjątkowo mnie rozbawiło, że facet, który w ciągu trzydziestu lat zatrudnił pewnie z dziesięć tysięcy osób na śmieciówkach, drugie tyle zwolnił, a wielokrotnie więcej wydymał, wciskając im gówniane usługi swoich firm, ma się za wielkiego humanistę.

Śmiech i odwaga oznaczały, że koks zaczyna działać.

– Dobrze, że humor ci dopisuje – powiedział Solski. – Zważywszy na... – zawahał się – okoliczności, w jakich się znajdujesz.

– Jeśli masz na myśli Rolnickiego, to sytuacja jest pod kontrolą.

– Mam na myśli całe twoje życie. Te wszystkie pożary, które musisz ugasić. Cieszę się, że przez to przechodzisz. Dzięki temu test, któremu cię poddaję, jest bardziej miarodajny.

Co on bredzi? Co on tak naprawdę wie na mój temat?

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem.

– Rozumiesz, tylko nie chcesz się z tym pogodzić. – Opróżnił szklanekę i natychmiast odmierzył kolejną porcję. – Poznałeś kiedyś Tomasza Kozłowskiego?

– Nowego szefa Komisji Nadzoru Finansowego?

Solski skinął głową.

– To mój stary znajomy. Byliśmy kolegami z roku. Chodziliśmy na te same imprezy i mieliśmy wielu wspólnych znajomych. W czasach studenckich wypiliśmy morze wódki. Ale nic nie trwa wiecznie. Dziś nie jesteśmy przyjaciółmi, a Kozłowski robi wszystko, żeby mnie zniszczyć. To przez niego będę musiał sprzedać niektóre aktywa, żeby wyjść z głębokiej dupy, a wielu inwestorów przestanie wierzyć w mój talent, mimo że przez lata zarabiali ze mną miliony. Czekają mnie największy kryzys w karierze. I właśnie dlatego potrzebuję kogoś takiego jak ty.

Teraz już rozumiałem. Solski szukał wytrawnego sprzedawcy. Faceta, który podniesie z trawnika gówno, owinie je w kolorowy papierek i opchnie największym cwaniakom na rynku. Potrzebował Houdiniego, który czuje się w sektorze finansowym niczym bachor w piaskownicy.

– Dlaczego Kozłowski cię nienawidzi? – zapytałem.

– Z kilku powodów. Pewnie jest zazdrosny, że założyłem biznes i zarobiłem kosmiczne pieniądze, podczas gdy on całe życie męczy się w państwowych instytucjach. Może także mieć mi za złe, że w osiemdziesiątym drugim roku ostro nawalony wparowałem na imprezę do naszych wspólnych znajomych i wyruchałem równie nawaloną pannę. – Solski ponownie zbliżył się do komody i sięgnął po lufkę. – Jego ówczesną żonę.

Równocześnie zaczęliśmy rechotać. Z taką samą głośnością i intensywnością. Jak dwa jednojajowe wieprze. Jak dwie nakoksowane, doskonale rozumiejące się istoty. Podobało mi się to. To był mój pierdolony mikrokosmos, w którym więksi i mądrzejsi tłamszą mniejszych i głębszych. Świat, w którym obowiązuje prawo dżungli.

Nie mogłem się doczekać współpracy z tym człowiekiem.

Gdy przestaliśmy się śmiać, podszedłem do komody i przejąłem od Solskiego rurkę.

– Bardzo bym chciał, żebyś przetrwał zawieruchę wokół siebie – powiedział. – Dlatego ci pomogę.

– W jaki sposób?

– Zostaw kluczyki od auta. Zajmiemy się nim.

– Moim mercedesem?

Solski posłał mi pobłażliwy uśmiech.

– Samochodem, który stoi w twoim garażu. – Poklepał mnie po ramieniu. – Tacy jak my powinni sobie pomagać.

– Ale jesteś porobiony – zaśmiał się Marcin Zjawiański. – Jeszcze masz puder pod nosem.

Nie wiedziałem, czy to prawda, ale i tak wytarłem twarz. Choć „twarz” to chyba zbyt wiele powiedziane. Raczej wargi i kawałek skóry, które obrastały nieustannie poruszającą się szczękę.

– Zachowujesz się, jakbyś pół dnia siedział komuś na kutasie – stwierdził Zjawiański. – Musiałeś się nawęchać w środku tygodnia?

– Musiałem – odparłem zgodnie z prawdą. – Przejdźmy się. Nie wytrzymam tutaj.

Przy wtórce rubasznego śmiechu Marcina zerwałem się na równe nogi. Rozejrzałem się na boki, będąc święcie przekonany, że wszyscy klienci hipsterskiej kawiarni na Mokotowie od razu się połąpią, że jestem naćpany. Ale albo nikt nie wydawał się mną zainteresowany, albo wszyscy uznali, że taki stan to standard. Nawet w środku tygodnia. Nawet w środku dnia.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, uderzył w nas nieodpuszczający upał. A także irytująca fala dźwięku generowana przez warkot samochodów sunących Puławską.

– Jak sytuacja z Rolkomem? – spytałem.

– Machina ruszyła – odparł Marcin. – Prawnicy Rolnickiej złożyli pozew o rozwód. Domagają się połowy biznesu. Chcesz iść w jakieś konkretne miejsce?

– Przed siebie.

Wiedziałem, że ze względu na swoją tuszę Zjawiański będzie kiepskim kompanem podczas spaceru. Ale nie wyobrażałem sobie, żebyśmy mogli gdzieś przycupnąć i przeprowadzić miłą pogawędkę. Świadomość, że Solski wie, kim jestem, że przejrzał mnie na wylot, że moim przekonaniem o niewidzialności podtarł sobie dupę,

nie pozwoliłaby mi usiedzieć. Pierwszy raz w życiu czułem się zupełnie bezbrony. Solski ograł mnie jak dziecko. Zyskał lewar, którego mógł swobodnie używać, aby sterować moim życiem. A ja w najlepszym wypadku mogłem utrzymać ten chujowy status quo. O ile zdołam zrobić to, czego Solski ode mnie oczekuje.

– Co dokładnie usłyszałeś od Rolnickiego? – zapytałem.

– Że za nic w świecie nie sprzeda firmy.

– To wiem, ale w jaki sposób się zachowywał? Był pewny siebie? Spanikowany?

– Raczej arogancki i wściekły. Odniosłem wrażenie, że bardziej rozsierdziło go to, że ktoś rozpruł się na temat jego pedalskich zapędów, niż że zamierzamy wykorzystać tę wiedzę.

– Może uwzględnił to ryzyko w swoim planie wojennym.

– Może. Posłuchaj. – Zjawiński, coraz bardziej zdyszany, zatrzymał się na środku chodnika. – Po lewej jest Warszawianka. Możemy zatrzymać się w jakimś lokalu albo...

– Nie. Chodźmy dalej.

Przecieliśmy skrzyżowanie Puławskiej z Odyńca i skierowaliśmy się na południe. Nie miałem pojęcia, dokąd zamierzam dojść, ale wiedziałem, że gdy tylko się zatrzymam, będzie po mnie. Te wszystkie porzrucane w głowie problemy, dygoczące i mrugające jak neony w klubie nocnym, zleją się w jeden wielki fakap, który zainfekuje mój układ nerwowy i obnaży przed całym pierdolonym światem.

Być może to tylko paranoja. Być może zacząłem ścirować, bo wciągnąłem odrobinę zbyt dużo koks w odrobinę zbyt krótkim czasie. Być może fakt, że Solski przejrzał mnie na wylot, wcale nie był problemem – w końcu mogłem zyskać w nim potężnego sprzymierzeńca. Ale żeby tak się stało, musiałem wygrać z Rolnickim, przechytrzyć tę upierdliwą policjantkę i pozbyć się dziwki, która zdecydowanie za dużo o mnie wie. Musiałem załatwić pierdyliard rzeczy. A każda łatwo mogła się zesrać.

– Jest jeszcze jeden problem – wysapał Zjawiński, wymuszając kolejny postój. – To, że Rolnicki się zarzeka, iż nigdy nie sprzeda firmy, jeszcze nic nie oznacza.

– Co masz na myśli?

– Rolkom wacha się po jajach z kilkoma funduszami private equity.

– Skąd wiesz?

– Wieści o przepychankach dużych chłopców szybko się rozchodzą.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Fundusze private equity inwestują w firmy, jeżeli

wierzą, że w ciągu kilku lat będą w stanie odsprzedać je z zyskiem inwestorowi branżowemu albo efektownie wprowadzić na giełdę. Stoją za nimi twardzi, pozbawieni sentymentów gracze, którzy potrafią liczyć pieniądze i nie boją się ich wydawać. Skoro zainteresowali się Rolkomem, to znaczy, że mają chociaż mglisty pomysł, jak uczynić tę firmę przynajmniej dwukrotnie większą.

Różnica między mną a funduszowcami polega na tym, że ja mam biznes Rolnickiego w dupie. Dla mnie jego firma za dwa lata mogłaby przestać istnieć. Dlatego chcę ją wykupić najtaniej i najszybciej jak to możliwe. Po pierwsze, żeby moja firma się nie wykoszowała. Po drugie, żeby zgarnąć sowitą prowizję. Po trzecie i najważniejsze, żeby zdać test Solskiego. Z kolei funduszowcy gotowi są wpompować w Rolkom naprawdę duże pieniądze, jeżeli z ich kalkulacji wynika, że w bliżej nieokreślonej przyszłości będą mogli wyciągnąć znacznie więcej. A jeżeli zakładają, że będą walczyć o to ramię w ramię z Rolnickim, gotowi są zrobić mu bambo z połykiem, byleby wyruszył z nimi w tę drogę. Mając praktycznie nieograniczone możliwości finansowe, są w stanie zaspokoić zarówno napuszonego właściciela Rolkomu, jak i jego skretyniałą żonę.

Kurwa. A żeby ich zerznął wielki czarny pies.

– Dość tego – stwierdził Zjawiński. – Nie będę za tobą zapierdalał. I tak muszę wrócić po samochód.

Popatrzyłem na niego. Wyglądał, jakby w każdej chwili mógł wykitować.

– Zgoda. Wracajmy.

– Nie chcesz czegoś na spowolnienie obrotów?

– A co masz?

– Aspargin. To lek na nadpobudliwość serca. Stosuje się go w rekonwalescencji pozawałowej.

– Nie wiedziałem, że miałeś zawał.

– Nawet dwa. Pierwszy przed trzydziestką, a drugi tuż po. Nie chwalę się tym. Nie warto.

Nieźle, dwa zawały przed czterdziestką. Zważywszy na jego tryb życia i sylwetkę, szanse, że dożyje pięćdziesiątki, były praktycznie zerowe. A mimo to nie tracił pogody ducha. Niezwykłe. I przerażające.

– Ile mam wziąć? – spytałem, biorąc od Zjawińskiego opakowanie leków.

– Zaleca się dwie tabletki trzy razy dziennie. Radzę, żebyś... zresztą rób, co chcesz. – Z pewnym zde gustowaniem popatrzył, jak ładuję trzy tabletki do ust. –

Rolnicki będzie jutro w Warszawie. Ma serię spotkań z funduszowcami. Na twoim miejscu wykorzystałbym okazję, żeby się z nim zobaczyć. Musisz go przekonać, że puszczenie w świat informacji na temat jego pedalskich zachcianek może mu się odbić czkawką. Także w wymiarze biznesowym. A ja tymczasem zacznę robić czarny PR jego firmie, aby zniechęcić fundusze do inwestycji.

– Brzmi jak plan.

– Tylko postaraj się być jutro w lepszym stanie niż dzisiaj.

– Okej.

– Chodź, podwiozę cię do domu.

– Przejdę się. Muszę jakoś rozładować energię.

W tym momencie nadpobudliwość była moim najmniejszym zmartwieniem. Ale Zjawiński nie musiał o tym wiedzieć.

* * *

Dwaj niespełna dziesięcioletni chłopcy biegali z kolorowymi pistoletami po trzypokojowym mieszkaniu. Ich bitewne okrzyki mieszały się z radosnym popiskiwaniem i śmiechem. A także ze sporadycznymi okrzykami matki, wesołej filigranowej brunetki, która rzuciła się do robienia kawy i krojenia sernika, gdy tylko goście przekroczyli próg mieszkania.

Dzieci, żona, gwarliwe mieszkanie na Ochocie, sernik. Ten obrazek nie pasował do Rafała Lewińskiego. A przynajmniej do wyobrażenia, jakie mieli o nim Maria i Oleg. Oboje przypuszczali, że w domu Lewińskiego panuje zamordyzm. Że raczej nie ma tam dzieci, a jeżeli są, to aby nie drażnić ojca, bawią się po cichu w swoim pokoju. Że żona jest potulną wykonawczynią poleceń apodyktycznego męża. Że w tym domu raczej brak miejsca na radość.

Ale wyobraźnia bywa zawodna. Bardziej, niż się komukolwiek wydaje.

– Czyli twierdzisz, że Kacper Berger to Kitkarz – oznajmił Lewiński, kiedy Maria skończyła perorować na mój temat.

– Długowłosa biznesmen, samotny kobieciarz, jego samochód widziano kilkaset metrów od miejsca ataku na alfonsa, który prawdopodobnie kilka godzin wcześniej odwiedził go w mieszkaniu – wyliczała na palcach, podczas gdy Oleg skupiał się na picciu słodkiej kawy i pałaszowaniu jeszcze słodszej ciasta. – To musi być Berger.

– Rozmawialiście z ludźmi, z którymi Kitkarz jeździł Uberem?

– Jeszcze nie ze wszystkimi, ale niektóre kobiety twierdzą, że to mógł być on.

– Tylko tyle? Mógł być?

– Berger zadbał o to, żeby wyglądać w tym samochodzie inaczej niż na co dzień.

– A co z Butką? I tym dzieciakiem z Pragi?

– Butko to kłamca, który dał się przekupić albo zaszantażować Bergerowi, a mały jest zbyt skołowany, żeby można było traktować go poważnie.

Lewiński zerknął na Olega. Ten na moment przestał wpięprzać sernik i pokiwał głową. Wprawdzie nie był przekonany do oceny Marii, ale spędzał z nią większość dnia i nie zamierzał zamienić tego czasu w koszmar.

– A co z alibi na wieczór, w którym zaatakowano Druciarza? – spytał Lewiński.

– Rozmawiałam przez telefon z niejakim Markiem Cieślikiem, który twierdzi, że cały wieczór chlał z Bergerem. Ale to jego wieloletni kumpel, więc można wsadzić jego zapewnienia między bajki.

Lewiński długo wpatrywał się w moje zdjęcie. Przerwał, gdy jeden z dzieciaków wbiegł do pokoju i wskoczył mu na kolana. Policjant chwycił go pod pachy, uniósł na wysokość głowy, wydał z siebie kilka dziwacznych odgłosów, obracając syna dookoła własnej osi, po czym wystawił go za drzwi. Następnie grzecznie poprosił krzątającą się po mieszkaniu żonę, żeby zajęła się dzieckiem.

Inny człowiek, pomyślała Maria. Uprzejmy i czuły. Może do pracy wysyła złego brata bliźniaka, który notorycznie przeklina i gapi się na każdego tak, jakby chciał mu wypierdolić.

– Reasumując – powiedział Lewiński, ponownie siadając przy stole. – Poza twoim świętym przekonaniem, że ten facet to Kitkarz, nie mamy żadnych dowodów, które by o tym świadczyły. Ani jednoznacznych zeznań pasażerów, ani potwierdzenia od Butki, ani sugestii ze strony znajomych Bergera, że coś może być z nim nie tak.

– Tego jeszcze nie wiemy. Nie rozmawia...

– Nie skończyłem – warknął Lewiński. Znów był człowiekiem, jakiego znali. – Jedyne, co za nim przemawia, to długie włosy, które ściął zaraz po zejściu z alfonsiem, co oczywiście może być tylko zbiegiem okoliczności. Oraz fakt, że Berger zajmuje się biznesem. Nie mamy więc absolutnie nic. A mimo to upierasz się, że powinienem stanąć po twojej stronie i popędzić z wywalonym jęzorem do Papszona, aby go przekonać, że znaleźliśmy sprawcę.

Maria splotła ręce na piersi.

– Właśnie tak.

Lewiński długo się w nią wpatrywał. Jakby nie mógł się zdecydować, w jaki

sposób wyrządzić jej krzywdę.

– Skoro jesteś taka pewna, to dlaczego nie przeszukałaś jego domu na blachę?

– Nie chciałam, aby się zorientował, że go podejrzewamy. Dlatego nawet się nie zająknęłam na temat tych porwań.

– Myślisz, że ci się udało?

– Nie wiem.

Oczywiście nie wspomniała, że wysłała za mną swojego przydupasa. Wolała nie sprawdzać, jak Lewiński zareagowałby na tę nowinę.

– Nie kupuję tego – oznajmił. – Nawet jeśli masz rację, wiemy zdecydowanie za mało, żeby zrobić mu wjazd na kwadrat.

Maria parsknęła pod nosem.

– Gdyby był zwykłym obszcymurem, nie miałbyś żadnych wątpliwości.

– Posłuchaj. – Lewiński pochylił się do przodu. – Bardzo bym chciał, żebyś miała rację. Ale jeszcze bardziej zależy mi na tym, żeby się nie wygłupić, ganiając jakiegoś typa, który nie ma z tym nic wspólnego. Wolałbym po tej sprawie zachować stanowisko.

– Jak każdy z nas – powiedział Oleg, uśmiechając się do Lewińskiego.

Maria skomentowała ich słowa w sposób najbardziej wymowny z możliwych: siarczyście zaklęła, zgarnęła torebkę i wyszła.

* * *

Domofon. Tak rzadko był używany, że zapomniałem o jego istnieniu. Tak jak na chwilę zapomniałem o tym, że znajduję się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Że toczę ostrą grę z dwoma przedsiębiorcami ze ścisłego topu. Że jeszcze kilka godzin temu nawąchałem się tyle koksu, iż tylko spore narkotyczne doświadczenie uchroniło mnie przed zapaścią. Ale dźwięk domofonu sprawił, że demony wróciły. Stres. Strach. Niepewność. Rozdrapująca umysł świadomość, że za moment wszystko może się dokumentnie spieprzyć.

Spojrzałem w kamerkę. Przed klatką stał mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w niebieskiej marynarce, z krótko ostrzyżonymi włosami i gęstą brodą. Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Jak korpuludek. Jeden z dziesiątków nic nieznaczących menedżerów średniego szczebla, którym się błędnie wydaje, że mają do odegrania ważną rolę.

Wpuściłem go na górę, a potem do mieszkania. Wszedł bardzo ostrożnie, jak

gdyby spodziewał się ujrzeć coś, czego nie będzie w stanie odzobaczyć. Zatrzymał się w przedpokoju. Nie wyglądał na zainteresowanego mną ani moim mieszkaniem. Wyglądał na przerażonego. Patrząc na niego, uświadomiłem sobie, że jesteśmy w tym samym położeniu. Równie niepewni. Jednakowo nieświadomi, co może nas spotkać.

– Przyniosłem klucze od domu – powiedział zachrypniętym głosem, którego najwyraźniej dawno nie używał. – Zamknąłem obie pary drzwi. Ustawiłem alarm. Wszystko jest tak, jak było.

– A co z samochodem?

– Już go nie ma.

Położył klucze na komodzie. Dopiero wtedy zauważyłem, że ma rękawiczki. Nie chciał zostawić odcisków. Nie chciał, żeby cokolwiek nas łączyło.

– Poczekaj – powiedziałem, kiedy ruszył do wyjścia. – Kim jesteś?

Choć pytanie wydawało się dziecinnie proste, potrzebował paru sekund, aby przemyśleć odpowiedź.

– Tobą – odparł. – Obaj jesteśmy sługusami Solskiego. Tyle że ja mam dłuższy staż, dzięki czemu zdaję sobie z tego sprawę.

– Mam dużą samoświadomość.

– To dobrze.

– Co robiłeś, zanim na niego trafiłeś?

Facet ewidentnie nie miał ochoty na rozmowę. Niepewnie zerkał w stronę drzwi, jak gdyby rozważał wyjście bez słowa. Bez wyjaśnień. Bez dzielenia się ze mną jakąkolwiek wiedzą.

– Zajmowałem się PR-em politycznym, lobbieniem, doradztwem biznesowym – odrzekł w końcu. – Byłem facetem, który chodził na eventy, jadał wystawne kolacje i szeptał do ucha właściwym ludziom.

– I co się stało?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Być może byłem odrobinę zbyt pazerny. A może po prostu miałem pecha.

– Jak cię zwerbował?

– To nie jest porywająca historia.

Wiedziałem, że Solski otacza się ludźmi, którzy chcieliby być tacy jak on. Buduje wokół siebie watahę wilków. Część z nich dostaje udziały w jego biznesie, możliwość kierowania którąś ze spółek i sporą autonomię. Część dołącza do jego dworu: stają się przybocznymi, którzy zyskują poczucie, że razem z nim uczestniczą w miliardowych

dealach. Nie miałem jednak pojęcia, jak potężne są struktury, których nie widać. Znajdujące się pod powierzchnią, poza publicznym obiegiem, z dala od radarów. Ale im lepiej poznawałem Solskiego, tym większego nabierałem przekonania, że to w nich tkwi jego siła.

I że powinienem się go bać. Bardziej niż kogokolwiek innego.

– Widziałem cię kiedyś w akcji. – Brodacz posłał mi coś, co zapewne powinienem wziąć za uśmiech. – Na szkoleniu sprzedażowym.

– Uczestniczyłeś w nim?

Potrząsnął głową.

– Oglądałem na YouTube. Opowiadałeś grupie menedżerów z branży PR, dlaczego każdy kontakt z dziennikarzami muszą traktować jako proces sprzedaży. Jesteś niezły w te klocki. Powinieneś przy tym zostać.

– Kłopot w tym, że to nie zaspokaja moich ambicji.

– Wiem. Ale czasem lepiej jest odpuścić niż robić slalom po polu minowym.

Wyszedł, a ja ponownie zostałem sam. Prawie sam. Z pulsującym pod skórą niepokojem. Z kołatającym sercem. Ze zjazdem, który przybrał wyjątkowo paranoiczną i ponurą postać. Z piekącym poczuciem wstydu. Zachowałem się jak frajer. Bez względu na to, jak groźnym człowiekiem jest Solski, nie powinienem pozwolić mu tak łatwo się rozegrać.

Przypomniałem sobie o tabletkach od Zjawińskiego. Wyjąłem je z kieszeni. Wysypałem kilka na dłoń. Co on mówił o dawkowaniu? Dwie tabletki trzy razy dziennie? Farmaceuci zawsze przesadzają z ostrożnością. Od pięciu pewnie jeszcze nikt nie umarł.

Rozsiadłem się na kanapie i spojrzałem na zegarek. Dwudziesta druga. Jutrzejszy dzień zapowiadał się paskudnie, więc byłoby miło, gdybym przystąpił do niego w pełni formy. Wyspany. Rześki. Przygotowany. Skoncentrowany. Ale na to było już zdecydowanie za późno. Mogłem jedynie nieco zminimalizować straty.

Mareczek jest typowym warszawskim pracownikiem korpo. Niemal czterdziestoletnim samotnikiem, który nie potrafi sobie ułożyć życia prywatnego. Słabym ojcem i fatalnym byłym mężem. Nudziarzem. Przeciętniakiem. Zapuszczoną ofiarą losu. A do tego strasznym malkontentem. Od niedzieli do środy tkwi w zawodowo-prywatnej traumie. Ożywa dopiero w czwartek – wraz ze zbliżającym się weekendem. Wraz ze świadomością, że już niedługo będzie mógł pochłać, poćpać, a przy odrobinie szczęścia także poruchać. Choć raczej nie za darmo.

To dlatego Mareczek był cały w skowronkach, kiedy w piątek około dziesiątej rano dotarł do biura. Zostawił swojego SUV-a na podziemnym parkingu, władował się do windy i wjechał na szóste piętro jednego z biurowców w pobliżu Dworca Gdańskiego. Pozdrowił kilku pracowników, których kojarzył z firmowych imprez, i ruszył wąskim korytarzem. Na końcu znajdowała się jego kłitka. Biuro menedżera do spraw jakichś tam.

Zanim władował się do gabinetu, wyszła mu naprzeciw Emilka. Obiekt jego westchnień i częsty powód trzepania kapucyna. Panna, którą próbował stuknąć, odkąd przyjął ją do pracy. A właściwie którą przyjął do pracy, żeby stuknąć.

– Masz gości – powiedziała. – Z policji.

– Z policji? – zdziwił się Mareczek. – Przecież dopiero co z nimi gadałem.

– Z Wydziału Zabójstw. Mężczyzna i kobieta. Przedstawili się, ale nie zapamiętałam nazwisk. Posadziłam ich w sali konferencyjnej, zrobiłam kawę i poprosiłam, żeby zaczekali.

– Długo już tam siedzą?

– Mniej więcej godzinę.

– Kurwa. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Powiedzieli, że zaczekają.

Mareczek minął Emilkę i wszedł do gabinetu. Odstawił torbę na krzesło. Poprawił fryzurę, a potem poszedł do Marii i Olega.

Policjanci wyglądali na śmiertelnie znużonych, a pojawienie się Mareczka niewiele

w tej kwestii zmieniło. Po formalnej prezentacji Maria wyjaśniła, że muszą uściślić kilka rzeczy. Oboje byli zadziwiająco spokojni, jakby zamiast na przesłuchanie przyszli na sesję jogi. Ale nie Mareczek. On parokrotnie zesrał się w gacie, kiedy wspominali o rondzie Wiatraczna, wielkiej kałuży krwi i o zaparkowanym kilka bloków dalej mercedesie AMG jego serdecznego kumpla.

– Krótko mówiąc – powiedziała Maria – chcemy się upewnić, czy zeznania pana Bergera trzymają się kupy.

– Nie żebyśmy mieli wątpliwości – dodał Oleg. – Po prostu taka jest procedura.

– Jasne – odparł Mareczek. – Nie wiem, czy będę w stanie powiedzieć coś więcej, ale pytajcie, o co chcecie.

Musicie wiedzieć, że Mareczek nie potrafi dwóch rzeczy: kłamać i radzić sobie ze stresem. Kiedy zżera go presja, a musi trochę naściemniać, zachowuje się bardzo nienaturalnie. Zaczyna deklamować wyuczone sformułowania, wspomagając się przy tym nienaturalną mimiką. Jest jak Joey z *Przyjaciół*: każdy wie, że gra i że nie potrafi grać.

Przygotowałem solidny plan obrony. Gdybym zrzucił go na kogokolwiek innego, miałbym żelazne alibi. Ale zbieg okoliczności sprawił, że Mareczek był jedyną osobą, której mogłem powierzyć to zadanie. Musiałem liczyć na to, że wzniesie się na wyżyny emocjonalno-intelektualnych możliwości. Że nie spierdoli najważniejszej rzeczy, o jaką go kiedykolwiek poprosiłem.

– Pan Berger zeznał, że tego wieczoru nie zamierzaliście imprezować – zaczęła Maria. – Ale trochę was poniosło.

Mareczek zaśmiał się nerwowo.

– Można tak powiedzieć.

– Podobno to przez pańskie kłopoty.

– A konkretnie przez moją byłą żonę. Od jakiegoś czasu utrudnia mi kontakt z córką, łamiąc sądowe ustalenia. A ja, niestety, nic nie mogę z tym zrobić. Prawo w Polsce jest po stronie kobiet.

– Czy żona potwierdzi, jeśli ją o to zapytamy?

– Wątpię. Ale oczywiście mogą państwo spróbować.

Podczas gdy Oleg skrzętnie notował odpowiedzi, Maria wnikliwie analizowała nerwowe reakcje Mareczka. Patrzyła, jak się poci. Jak niedobór tlenu zmienia zabarwienie jego twarzy. Jak on sam próbuje ukryć pod stołem nerwowo przebiegające dłonie.

– A więc wypiliście kilka piw, a potem pojawił się pomysł, żeby ruszyć na miasto. Pan to wymyślił?

Mareczek energicznie pokiwał głową.

– Kacper nie był z tego powodu szczególnie szczęśliwy, ale się zgodził.

– Dokąd pojechaliście?

– Do Lawy?

– Gejowskiego klubu.

– Grają tam świetną muzykę. Poza tym nie mamy nic do gejów.

Żeby było jasne: nie jestem ciepły. Nigdy nie gziłem się z facetem. Nawet pod wpływem dragów czy alkoholu z żadnym się nie całowałem, choć miałem ku temu setki okazji. Jak już się pewnie zorientowaliście, nie jestem też szczególnie wrażliwy na kwestie społeczne i mam gdzieś ten cały równościowy bełkot. Ale warszawskiej lewicy trzeba oddać jedno: potrafi się bawić. W moim stylu, a więc ekspansywnie, bez ograniczeń i z użyciem wszelkich dostępnych środków.

– Czy ktoś może potwierdzić, że tam byliście? – spytała Maria.

– Wątpię. Nie spotkałem żadnego znajomego. I niestety nie nawiązałem żadnej relacji, która przetrwałaby do rana.

Policjanci oczywiście od razu pomyśleli o monitoringu. W końcu każdy szanujący się lokal śledzi, kto do niego wchodzi i co tam wyczynia. Lawa również. Kiedyś sami się o tym przekonaliśmy, gdy na jednej z imprez Mareczkowi ktoś zajebał telefon. Właściciel Lawy powiedział wtedy, że owszem, mają monitoring, ale nagrania przechowują tylko do następnego weekendu. Jeżeli do tego czasu nikt się nie zgłosi (z reguły ktoś się zgłasza, ludzie gubią w klubach różne rzeczy – najczęściej godność), to je kasują. I dlatego Lawa była idealną przykrywką.

– Nie ma pan żadnych zdjęć z tego wieczoru? – nie ustępowała Maria.

– Niestety.

– Zwykle wrzuca pan coś na Facebooka albo Instagram.

– To prawda. Ale odkąd eks zaczęła robić mi jazdy z dzieciakami, wolę nie zaogniać sytuacji.

– Często pan imprezuje?

– Myślę, że mieszczę się w średniej.

– To znaczy?

– Głównie w piątki. I to nie w każdy piątek.

– Z Bergerem spotkał się pan w sobotę.

– Ale jak mówiłem, nie zamierzaliśmy imprezować. To wyszło niespodziewanie.

– A jak się dostaliście do klubu?

Każdy plan ma słabe punkty. Mój miał tylko jeden: transport. Nie byłem w stanie sfabrykować dowodów na to, że pojechaliśmy do klubu. Mogłem co najwyżej wymyślić zgrabną historyjkę, którą bez zająknięcia i z pełnym przekonaniem sprzedałbym Marii, gdyby tylko chciała ją ode mnie usłyszeć. Ale ona wybrała Mareczka. Dała mu szansę, żeby wszystko zjebał. A ja tylko mogłem liczyć na to, że z niej nie skorzysta.

– Taksówką – odparł Mareczek.

– Zamówiliście ją na Grenadierów?

– Poszliśmy na postój niedaleko Ostrobramskiej.

Maria przez kilka sekund milczała, intensywnie nad czymś myśląc.

– Nie prościej było zamówić?

– Pewnie prościej. Ale tak wyszło szybciej.

– Nie ma pan firmowej karty taksówkowej?

– Mam, ale staram się korzystać z niej głównie w celach służbowych.

– Pamięta pan, jaka to była taksówka?

Potrząsnął głową.

– Mam słabą pamięć do nazw. Poza tym nie jestem fanem motoryzacji.

– A kierowca?

– Nie przyglądałem się. Byliśmy z Kacprem pochłonięci rozmową.

– Jak zapłaciliście za przejazd?

– Gotówką.

Jakżeby inaczej! Gotówka jest nie do wyśledzenia. Gdybym mógł, tobym wyczałował wszystkich zacofanych buraków, którzy lobbują za utrzymaniem fizycznej postaci pieniądza.

– A czy kojarzy pan tego człowieka? – Maria położyła zdjęcie na biurku.

Mareczek pochylił się nad fotografią i potrząsnął głową.

– Przykro mi. Kto to?

– Kierowca, z którym ponad dwa lata temu jechał pan Uberem. Na pewno pan go nie kojarzy?

Mareczek jeszcze raz spojrział na zdjęcie i ponownie zaprzeczył.

– Chodzi o wieczorny kurs z dziesiątego marca dwa tysiące siedemnastego roku. To był piątek. Jechał pan wtedy z Kruczej na Poznańską.

– Niestety, nic mi ta twarz nie mówi.

– A czy to możliwe, że jechał pan wtedy z Kacprem Bergerem?

Mareczek się zawahał. Tego pytania nie było w skrypcie, który dla niego przygotowałem. Nie było go w żadnym skrypcie, bo nigdy nie przypuszczałem, że jakaś wścibska baba wpadnie na to, że mogłem poznać Artema przy pomocy osoby trzeciej.

– Możliwe – odparł Mareczek. – Ale czy rzeczywiście jechał? Nie mam bladego pojęcia.

Maria popatrzyła na Olega, po czym schowała fotografię.

– To chyba wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć – powiedziała, wstając od stołu.

– Już? – zdziwił się Mareczek.

– Musimy odbyć jeszcze kilkadziesiąt takich rozmów. Chyba że chciałby pan coś dodać.

Mareczek wzruszył ramionami.

– Może tylko to, że to nie był najlepszy wieczór w moim wykonaniu. Dlatego dobrze się stało, że Kacper był ze mną. To dobry przyjaciel. I dobry człowiek.

– Długo się panowie znają?

– Ponad dwadzieścia lat.

– Czyli gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, dlaczego Kacper Berger odniósł sukces, należałoby zapytać o to pana?

Uśmiechnął się. Bardziej nerwowo niż przedtem. Tego pytania też nie było w skrypcie.

– Myślę, że dzięki ciężkiej pracy i ambicji. Od wielu lat haruje od rana do wieczora. Nie znam drugiej tak zdeterminowanej osoby.

– Po co?

– Słucham?

– Po co się tak zagina? Co go nakręca?

Mareczek podrapał się po zaczerwienionej twarzy.

– Sukces. Zawsze chciał być ponadprzeciętny. I zawsze taki był.

Kiedy policjanci wyszli z biurowca, Maria przystanęła przy popielnicy i wyjęła fajki. Zapaliła, a następnie wydmuchnęła dym nad głowę.

– Zaskakujesz mnie – stwierdził Oleg. – Najpierw nagranie z klatki Bergera, a teraz Artem. Kiedy miałaś czas, żeby to sprawdzić?

– W nocy – odparła Maria. – Co o nim sądzisz?

– Łże jak pies. Nie chce mi się wierzyć, że facet, który ma zainstalowanego Ubera na iPhone, mógł zgarnąć taksówkę z postojem. Ludzie już tak nie robią.

– Teraz mi wierzysz?

– Wierzę, że warto się przyjrzeć Bergerowi.

– No to się przyjrzyjmy.

Maria błyskawicznie wypaliła peta i z wigorem ruszyła do samochodu. Poczowała krew. *Goniąc zwierzyńcę, w końcu znalazła się w swoim żywiole.*

* * *

Poranek przywitał mnie ciężkim bólem głowy. Darowałem sobie ćwiczenia, za to połknąłem niemal wszystkie witaminy, jakie znalazłem w domu. Umyłem się, ubrałem i wziąłem do roboty. A konkretnie do modelowania planu, jak rozegrać Rolnickiego.

Udało mi się ustalić, że czekają go cztery spotkania z gośćmi z funduszy: dwa przed południem, dwa po południu. Pomiędzy nimi zamierza wyskoczyć na lunch. Paroma niewybrednymi esemesami zdołałem go przekonać, że właśnie wtedy powinniśmy się spotkać. Bo być może pozostałe dwa spotkania z funduszowcami będzie mógł sobie darować.

Rolnicki musiał poczuć potrzebę, aby się trochę odmłodzić, ponieważ wymyślił, że zje obiad w popularnej młodzieżowej burgerowni na Powiślu. Dotarłem tam w samo południe. Wsiadłem z taksówki i wszedłem do ogródka, w którym biznesmen siedział z jednym ze swoich giermków. Znacznie młodszym od tych, których poznałem. I znacznie przystojniejszym. Z pewnością pełniącym także inną rolę niż pozostali.

Zamiast wyprzeć się swojej orientacji, Rolnicki postanowił mi ją ostentacyjnie zaprezentować.

– O czym chciałeś rozmawiać? – spytał, nie przerywając posiłku, nie zmieniając nastawienia, ogólnie nie okazując mi większej uwagi. Nie mogłem odmówić mu konsekwencji. Niezależnie od okoliczności traktował mnie jak człowieka niższej kategorii.

– O twojej przyszłości – odparłem.

– Zwykle nie rozmawiam o swojej przyszłości z ludźmi, którzy nie mają na nią żadnego wpływu.

– To coś nas jednak łączy.

Rolnicki uważał mnie za aroganckiego buca. Musiałem więc sprawić, aby uznał moją arogancję za przejaw w pełni uzasadnionej pewności siebie. Żeby zwątpił w doniesienia swoich informatorów, którzy pewnie przedstawili mnie jako naciągacza z internetu. Złotoustego dzieciaka mającego prostych handlowców, ale niemającego pojęcia o grze dla dużych chłopaków. Rolnicki musiał uwierzyć, że jestem szarą eminencją Clouda. Gościem ważniejszym od Skody. Rzeczywistym namiestnikiem szefów wielkiej międzynarodowej korporacji, która firemki pokroju Rolkomu łyka na śniadanie.

Świetnie wiedziałem, jak to zrobić.

– Przedstawię ci dwa warianty. Oba są równie prawdopodobne. Tylko od ciebie zależy, na który się zdecydujesz. – Przesunąłem talerz jego chłoptasia, żeby położyć rękę na blacie. – Wariant pierwszy. Dogadujesz się z żoną. Dajesz Danusi rozwód i czterdzieści procent firmy. Załatwiacie to sprawnie, po cichu, z dala od mediów. Jak dwoje cywilizowanych ludzi, których małżeński kontrakt po prostu się wyczerpał. Następnie godzicie się na to, abym odkupił od was udziały za dziewięćset milionów złotych. Dzięki temu stajecie się bohaterami jednej z największych transakcji roku. Opowiadasz o niej w kilku dużych mediach biznesowych, tłumacząc tę decyzję chęcią zmonetyzowania sukcesu, wypaleniem zawodowym albo zamiarem zbudowania nowej firmy. Wszystko jedno. Potem robisz sobie krótkie wakacje, po których wracasz do biznesu, idziesz do polityki albo postanawiasz pomagać dzieciom w Afryce. Na pewno wymyślisz jakiś sposób na siebie.

Rolnicki popatrzył na giermka, który wydawał się nic nie rozumieć z mojego monologu – zresztą nikt mu za to nie płacił. Uśmiechnął się do chłopaka, po czym poklepał go po udzie, jakby chciał powiedzieć: „Nie przejmuj się, nic złego się nie stanie, tatuś się o ciebie zatroszczy”.

– Wariant drugi. Odrzucasz moją ofertę. Nie chcesz podzielić się biznesem z żoną i upierasz się, że nie sprzedasz mi firmy. Jako że zupełnie nie leży to w moim interesie, muszę zainterweniować. Zaczynam od pójścia do brukowców, które z radością kupują opowieść o dziwactwach jednego z najbogatszych Polaków. Przez kilka tygodni żyją historią multimilionera, który zdradzał żonę ze znanym projektantem, a nawet z młodocianymi członkami jej rodziny. Stajesz się dla społeczeństwa zwyrodniałym zbrodnicem. Sodomitą. Persona non grata. Wylatujesz ze wszystkich organizacji branżowych. Przestajesz być mile widziany na imprezach

biznesowych, na których przez lata opowiadałeś o patriotyzmie gospodarczym i sukcesie polskiej transformacji. Prawicowy rząd odsuwa się od ciebie, przez co zaczynasz tracić państwowe zlecenia. Nawet pracownicy zaczynają od ciebie odchodzić, bo przecież zatrudniłeś całą masę korwinowców, którzy gardzą pedałami. Zanim zdołasz oszacować straty, staniesz się nikim.

Rolnicki zaśmiał się pod nosem.

– Podobnie jak ty – zauważył.

– To prawda, jedziemy na tym samym wózku. Dlatego albo razem wyjdziemy z tego z twarzą, albo razem spadniemy na dno. Albo *win-win*, albo *lose-lose*.

Słońce wysunęło się zza drzew i oświetliło twarz Rolnickiego. Odniosłem wrażenie, że w ciągu paru sekund postarzał się o kilkanaście lat. Jego pergaminowa cera wydała się jeszcze cieńsza i bardziej niezdrowa, zwłaszcza na tle opalonej facjaty młodziutkiego kochanka. Wyglądał żałośnie. On i jego znoszony gajer. On i jego peerelowskie wąsy. On i jego maleńki świat, który w każdej chwili mogłem zburzyć.

– Wszystko, co powiedziałaś, brzmi całkiem sensownie. Tylko nie uwzględniłeś tego, że ja też opracowałem plan. I że może on się nieco różnić od twojego. – Rolnicki lekko przekrzywił głowę. – Pewnie jesteś przekonany, że spotykam się z gośćmi z *private equity*, ponieważ próbuję im opchnąć firmę, zanim rozpocznę wyniszczającą wojnę z Danutą. Oni też tak sądzą, bo w ten sposób im to przedstawiłem. Ale tak naprawdę nie zamierzam sprzedawać biznesu. Ani tobie, ani nikomu innemu. Spotykam się z tymi ludźmi, żeby zrobić trochę zamieszania i wywęszyć, jakie panują nastroje na rynku. A przy okazji chciałem cię sprowokować do odkrycia kart. –

Przeniósł wzrok na kochanka, jak gdyby realizował scenariusz, który wspólnie ułożyli. – Powiem ci, co się stanie. Za kilka godzin zrobię coming out. Od dawna chodził mi po głowie, ale potrzebowałem odpowiedniego impulsu. – Uśmiechnął się z wdzięcznością. – Większość moich partnerów biznesowych już o tym wie. Wiedzą o tym trzej prezydenci miast, z którymi blisko współpracuję; nawet zadeklarowali, że udzielą mi publicznego poparcia. Wie o tym także Danuta, z którą od rana dyskutują moi prawnicy. Ba, wie o tym nawet twój szef, z którym rozmawiałem jakieś pół godziny temu.

Pokręciłem głową.

– To niczego nie zmienia. Kiedy ludzie się dowiedzą, że ruchałeś dziewiętnastoletniego kuzyna swojej żony, zmieszają cię z błotem.

– Ale dlaczego mieliby się dowiedzieć? – Spojrzał na kochanka. – Zamierzasz

komukolwiek o nas powiedzieć?

– Nie. – Chłopak uśmiechnął się do mnie. – Nie mam pojęcia, o czym ten człowiek mówi.

Kurwa. Rolnicki zorganizował ten teatrzyk, żeby mnie ośmieszyć. Żebym wyszedł na durnia. Nawet jeśli większość informacji była zmyślona, teraz to on miał przewagę.

– Byli inni – stwierdziłem, nie mając pojęcia, czy to prawda. – Nie zamkniesz wszystkim ust.

– Każdy ma swoją cenę. A założę się, że mam głębszy portfel od ciebie. I ciut lepiej się orientuję, w kogo wsadzałem fiuta. – Zaśmiał się, a kochanek zawtórował mu niczym wierny sługa. – Masz rację: polski biznes nie lubi pedałów. Ale na szczęście żyjemy w takich czasach, że nikt nie może pozwolić sobie na jawną homofobię. Dlatego nawet jeśli rząd mnie wyklnie, nie zrobią tego dziesiątki zagranicznych firm, z którymi od miesiący prowadzę negocjacje. Co więcej, ze strachu, że mogą zostać posądzone o nietolerancję, głupio będzie im odrzucić moją ofertę. – Rolnicki strzelił palcami. – Homofobia to nowy antysemityzm. Broń ostateczna.

– Nie zmienia to faktu, że stracisz sporą część firmy. Danusia ci nie odpuści. Każdy sąd przychylił się do żądań kobiety, która ma niepodważalne dowody na niewierność męża.

– Może Danusia nie jest najbystrzejszą kobietą pod słońcem, ale potrafi liczyć. Myślę, że spodobają się jej szacunki, które przygotowały dla mnie dwie zaprzyjaźnione firmy doradcze. Wizja bezbolesnego przejścia dwudziestu procent udziałów w firmie, która za trzy lata będzie warta ponad dwa razy więcej niż dzisiaj, może jej się wydać całkiem atrakcyjna.

– Bzdura. Rolkom tyle nie urośnie.

– Chcesz się założyć? – Uśmiechnął się do mnie jak do dzieciaka. Jak do gnojka, który nie dorósł do przedniego fotela. – Dla mnie *win-win* to taka sytuacja, w której wygrywam dwa razy. A tak się dzieje zawsze, kiedy rywalizuję z głupkami. –

Podniósł się i wyjął portfel. Wyciągnął kilka banknotów, a następnie rzucił je na stół. – Dokończ, jeżeli masz ochotę.

Chwilę później Rolnicki oraz jego kochanek się ulotnili. A ja jeszcze przez dobry kwadrans ślęczałem przy dwóch rozgrzebanych talerzach i bezmyślnie wpatrywałem się w stół.

– Żona?

– Od dwunastu lat.

– Dzieci?

– Daria i Igor. Osiem i dziesięć lat.

– Podoba ci się w Polsce?

– Tak. Chyba tak. Oczywiście nie wszystko jest idealne, ale liczyłem się z tym.

– Żona zadowolona?

– Mam nadzieję.

– A nie ma ci za złe, że poszedłeś do policji?

– Wystarczy. – Wchodząc do kuchni, Maria przerwała dziwaczną wymianę zdań pomiędzy ojcem a Olegiem, która niepokojąco przypominała rekrutację na stanowisko męża. Jej męża. – Przejrzałeś, co ci wysłałam?

Ireneusz Falk jeszcze przez chwilę przyglądał się wyraźnie zakłopotanemu Olegowi, po czym odwrócił się w stronę kuchennego stołu. Woda się zagotowała, więc zalał kubki z kawą. Nie pytał gości, czy mają na nią ochotę. Wyszedł z założenia, że tak. W końcu są z policji. W końcu ścigają potencjalnego seryjnego mordercę. Jeśli nie są zlaknieni kofeiny, to znaczy, że coś robią nie tak.

– Berger pasuje do profilu – oznajmił. – Oczywiście mam za mało danych, żeby stwierdzić to z całą stanowczością. Przede wszystkim brakuje mi informacji na temat jego dzieciństwa. Ale na pewno warto mu się bliżej przyjrzeć.

– A co z alfonsem? – spytała Maria.

– Może być przypadkową ofiarą. Ale ze względu na fach tego człowieka i zainteresowania Bergera nie można wykluczyć, że coś ich łączyło. Zwłaszcza że wygląda to na zabójstwo dokonane pod wpływem silnych emocji. Ale żeby to stwierdzić...

– ...potrzebne są zwłoki – dokończyła Maria. – Kłopot w tym, że Berger świetnie sobie radzi z ukrywaniem ciał.

– Czy on nie ma jakiegoś domu pod Warszawą?

– Żaden nie figuruje w oficjalnych rejestrach. Ale możliwe, że ma coś, o czym nie wiemy. Wczoraj pędził Powsińską na południe. Całkiem prawdopodobne, że zamierzał się dostać za miasto.

Ojciec Marii pokiwał głową.

– Konstancin i Piaseczno to enklawy milionerów. Dom w którymś z tych miejsc może być dla niego nie tylko kryjówką, ale też świadectwem statusu.

– Tyle że Berger nie chwalił się nikomu wypasioną willą.

– Nie musiał. Może potrzebował takiego potwierdzenia wyłącznie dla siebie. Dla polecthania ego. – Ireneusz pociągnął łyk kawy, przyglądając się Olegowi, który skrzętnie notował jego obserwacje. – Jeszcze jedno. Trudno sobie wyobrazić, żeby tak zajęty facet wszystko robił sam. Jeżeli Berger rzeczywiście jest sprawcą, najprawdopodobniej ma kogoś, kto mu w tym pomaga.

– Cichego współnika?

– Albo podwykonawcę. Kogoś, komu płaci za pomoc w sprzątaniu syfu. Może to być jakiś dziwak, którego uzależnił od siebie. Albo ktoś z kręgów mafijnych. Może to ten alfons. Jest nadzieja, że skoro Berger go sprzątnął, to na jakiś czas zawiesi swoją działalność.

– Oby – westchnęła Maria. – Coś jeszcze?

– To ty mi powiedz. Obserwujesz Bergera od kilku dni. Jak on się zachowuje?

– Ciągle gdzieś jeździ i spotyka się z ludźmi ze świata biznesu. Wygląda na zarobionego i zestresowanego, ale to pewnie z powodu pracy.

– To dobrze.

– Wolałabym przyłapać go na tuszowaniu zbrodni, a nie na pogaduchach z biznesmenami.

– W stresie może popełnić błąd. Wie, że depreczecie mu po piętach, a do tego ma na głowie sprawy związane z biznesem. Coś takiego każdemu musi ciążyć, nawet psychopacie. Dzięki temu prędzej czy później coś spieprzy. – Ojciec Marii po raz pierwszy się uśmiechnął. – Spróbujcie tego nie przeoczyć.

* * *

Pewnie mogłem się zachować inaczej. Bardziej racjonalnie. Doroślej. Ale gdy przyjechałem do firmy i usłyszałem od asystentki Skody, że prezes nie może się ze mną spotkać, bo wyszedł na basen, zwyzywałem Bogu ducha winną kobiecinę, a potem zdemolowałem swoje biuro.

Wyszedł na basen. W środku dnia, który mógł być jednym z najważniejszych w jego zawodowym życiu. Ja pierdołę.

Przesiedziałem kilka minut w otoczeniu porzrzucanych dokumentów. Następnie wstałem i zacząłem sprzątać. Nie robiłem tego zbyt często, ale zawsze mnie to uspokajało. Nauczyłem się tego od ojca. Nie był wylewnym facetem ani szczególnie zaangażowanym rodzicem. Nie lubił dzieci i nie potrafił z nimi rozmawiać. Ale kilka

jego rad zapadło mi w pamięć. Choćby ta dotycząca samodyscypliny. „Wybieraj to, co w długiej perspektywie leży w twoim interesie. To nie przymus ani kara, lecz zdolność rezygnowania z przyjemności na rzecz lepszego rezultatu, jaki przyniesie przyszłość. W ten sposób zdobywasz szacunek dla samego siebie. Pamiętaj, że łatwe wybory nie prowadzą do wybitnych osiągnięć”.

Kiedy przywróciłem biuro do pierwotnego stanu, usłyszałem pukanie do drzwi. Asystentka Skody była bardziej speszona niż zwykle. Ledwo wetknęła głowę pomiędzy drzwi a futrynę.

– Prezes już wrócił – powiedziała, z trudem wydobywając głos z gardła. – Czeka na pana.

– W końcu – burknąłem i ruszyłem za nią.

Widziałem w życiu wiele obrzydliwych rzeczy, ale mokre ciało Skody przebijające się przez cienką bawełnianą koszulę niewątpliwie plasowało się w czołówce. Podał mi nie do końca wysuszoną dłoń, którą chwilę wcześniej niedokładnie wytarł w dzinsy. Podniósł kąciki ust w niby-uśmiechu.

– Pływanie mnie odstresowuje – wyjaśnił, prawidłowo odczytując moje zdegustowanie. – Usiądź. – Jednoznacznym gestem ręki przegonił asystentkę, a potem przysiadł się do mnie na sofie. – Rozmawiałem dzisiaj z Józefem Rolnickim.

– Wiem. Wspominał.

– Pewnie też zdradził ci swoje zamiary. – A kiedy kiwnąłem głową, zapytał: – Co chcesz z tym zrobić?

– Nic.

– Jak to nic?

– Zrealizuję swój plan bez względu na jego działania. Sprawdzimy, kto jest wytrzymalszy.

Skoda potrząsnął głową.

– Nie chcemy zniszczyć Rolnickiego, tylko przejąć jego firmę. Jeżeli zmieszasz go z błotem, Rolkom może stracić na wartości. A wtedy przestanie być dla nas atrakcyjnym kąskiem.

– Dlatego zamierzam wykorzystać jego żonę. Pomogę Danucie zdobyć jak największą część tego biznesu. Odkupimy od niej udziały, a potem przejmujemy resztę spółki. Postąpimy jak fundusz, tyle że zamiast grać na zwiększenie wartości firmy i jej późniejszą sprzedaż, włączymy ją w nasze struktury.

– Problem w tym, że do rozwodu nie dojdzie.

Nie wiem, czy to prawda. Zaraz po spotkaniu z Rolnickim próbowałem skontaktować się z Danutą, ale nie odbierała. Ani moich telefonów, ani od Zjawińskiego. Mam nadzieję, że nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

– Pracuję nad Danutą – powiedziałem. – Rolnicki obiecuje jej cuda na kiju. Twierdzi, że wkrótce odda jej kawałek spółki, która będzie warta dwa razy więcej niż teraz.

– Widziałem jego wyliczenia. Moim zdaniem trzymają się kupy.

– Chyba żartujesz.

Ale Skoda nie żartował. Nie potrafił żartować. Był nijakim kurduplem spod Newcastle, który pewnie tylko szczęśliwym trafem nie został budowlańcem lub magazynierem. Tacy jak on byli tak skupieni na szansie, jaką los nieopatrznie podsunął im pod gębę, że nie mogli pozwolić sobie na heheszki. Za nic w świecie nie chcieli spieprzyć tego, na co nie zasługują. Do czego nie zostali stworzeni. Co wielokrotnie przewyższało ich możliwości poznawcze. Byli zwycięzcami igrzysk dla debili, którzy w nagrodę dostąpili zaszczytu rywalizacji z najbystrzejszymi umysłami tej planety.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytałem. – Bo Rolnicki tak twierdzi? Bo pod jego wyliczeniami podpisali się audytorzy, których przekupił?

– Bo znam tę branżę. Pracuję w niej od dwudziestu lat. Zresztą gdybym nie wierzył, że Rolkom może znacząco urosnąć, nigdy bym się nie zgodził na przejęcie tej spółki.

– Nawet jeśli tak jest, to jeszcze nie oznacza, że Rolnicka przystanie na mglistą ofertę męża. Pamiętaj, że ona go nienawidzi. Przez większość małżeństwa traktował ją jak śmiecia. Nie zrezygnuje z rozwodu tylko dlatego, że obiecał jej pieniądze, które jeszcze nie istnieją. A poza tym... – pochyliłem się do przodu – czy naprawdę wierzysz, że facet, który przez kilkadziesiąt lat ukrywał swoją orientację, nagle z radością oznajmi światu, że jest gejem?

– Nie wiem. I nie zamierzam tego sprawdzać. Nie zgadzam się, żebyś szantażował go w ten sposób.

– W jaki sposób?

– Odwołując się do jego homoseksualizmu. To śliski temat, a ja nie chcę, żeby lobby LGBT wlażyło mi na głowę. Nasza firma zaczęła wspierać mniejszości seksualne, jeszcze zanim to się stało modne. W globalnym zarządzie Clouda zasiada lesbijka. Poza tym mój brat jest gejem. Wiem, jak ciężko jest się do tego przyznać

przed rodziną, a co dopiero oznajmić to całemu biznesowemu środowisku!

Czy ten angielski przymuł do reszty zdurniał? Zapomniał, o jaką stawkę gramy? Zachowywał się tak, jakby z jego mózgu wyparowała wiadomość, że jeśli przejmie Rolkom po atrakcyjnej cenie, każdy z nas stanie się bogatszy o kilka milionów złotych. Nie. Niemożliwe, żeby odpuścił parę baniek przez jakąś lesbę albo brata. Jeżeli jest gotów zrezygnować z walki o Rolkom, musi mieć coś innego na oku. Tylko co?

– Okej, wygrałeś – powiedziałem. – Zrobię to inaczej. Opuścę wątki obyczajowe i skupię się na biznesie.

– A może to jest dobry moment, żeby wycofać się z tego tematu?

Pokręciłem głową.

– Ja nie odpuszczam. Nigdy.

Wyszedłem od Skody i wróciłem do swojego biura. Zamknąłem drzwi. Usiadłem przy biurku i przez kilka minut zastanawiałem się, co dalej. W końcu uruchomiłem komputer. Otworzyłem folder o nazwie „Rolkom”. Musiałem wykombinować nowy sposób na Rolnickiego. Mniej ekspansywny, za to bardziej przebiegły. Mniej efekciarski, za to wywołujący głęboką i bolesną implozję. Jednak żaden pomysł nie chciał mi przyjść do głowy.

Myśl, kurwa, myśl.

Z jakiegoś powodu ponownie przypomniały mi się słowa ojca. „Możesz być najsilniejszym i najmądrzejszym człowiekiem na świecie, ale jeśli nie wierzysz w siebie, nie masz ambicji i nie jesteś gotowy do harówki, nigdy nie osiągniesz tego, na co cię stać. Większość ludzi się poddaje, gdy zaczyna się robić trudno; gdy kończy się frajda, a zaczyna ból. Tylko ci, którzy każdego dnia walczą ze swoimi słabościami, osiągają spełnienie”.

A może to nie były słowa ojca, tylko moje własne?

Kiedy się nad tym zastanawiałem, poczułem wibrację na biurku. Esemes. Sięgnąłem po telefon.

Chcesz się dzisiaj spotkać?

Nie znałem tego numeru. Ale nie musiałem go znać. Doskonale wiedziałem, kto jest nadawcą.

Po wizycie u ojca Maria odwiozła Olega na komendę, a następnie wróciła na Pragę Północ i oficjalnie rozpoczęła weekend. Zostawiwszy auto pod blokiem, poszła do jednego ze sklepów monopolowych na Kawęczyńskiej, żeby kupić piwo. Przymaszerowała kilkaset metrów i weszła do parku Michałowskiego. Usiadła na pierwszej wolnej ławce, otworzyła zapalniczką butelkę, pociągnęła kilka łyków, po czym zapaliła papierosa, jak gdyby chciała sobie zmienić smak. Co poniekąd było prawdą. Monopolowe na głębokiej Pradze przeoczyły albo celowo zignorowały kraftową rewolucję, przez co nadal raczyły swoich niewybrednych klientów koncernowymi sikaczami.

Maria nie znała się na piwie, ale wiedziała, że powinno smakować sto razy lepiej. Mimo to nie zamierzała wybrzydzać. Najważniejsze, że miało procenty. Wytlumaczę emocji. A ona przede wszystkim musiała odetchnąć. Poukładać myśli. Zaplanować kolejne działania.

Nie było to proste, ponieważ beznadziejnie utknęła. Z jednej strony dręczyło ją przekonanie, że to ja stoję za tym wszystkim. Że wykończyłem te dziewczyny, a potem z jakiegoś powodu pozbyłem się alfonsa. A z drugiej miała wrażenie, że choćby nie wiadomo jak bardzo się starała, nie będzie w stanie niczego mi udowodnić. Nie uda jej się zdobyć twardych dowodów. Nie przekona Lewińskiego, Papszona i prokuratora. Nie znajdzie sprzymierzeńców. A to oznaczało, że czeka ją wiele tygodni, miesięcy, a może nawet lat samotnego uganiania się za nieuchwytnym przestępcą.

Przestępcą. Jak to idiotycznie brzmi w moim kontekście.

Wyjęła telefon. Znalazła najczęściej wybierany numer w ostatnich dniach. Po paru sygnałach usłyszała poirytowany głos.

– Umówiliśmy się, że gdy wydarzy się coś istotnego, sam do ciebie zadzwonię.

– Gdzie on jest?

– Na Woli. W firmie.

– Co robi?

– Nie wiem. Z poziomu parkingu trudno określić, co się dzieje na trzydziestym szóstym piętrze Warsaw Spire. Ale zakładam, że pracuje. Bo to się zwykle robi w korporacjach, nie?

– Nie płacę ci za to, żebyś się mądrzył, tylko za śledzenie tego gościa.

– A co niby, kurwa, robię?

– Mądrzysz się. – Maria zaciągnęła się papierosem, jakby chciała wypalić dziurę

w płucach. – Daj znać, gdy się stamtąd ruszy.

– A jeśli...

Rozłączyła się. Wątpiła, żeby obserwacje prowadzone przez jej kolegę mogły coś dać. Ale jednocześnie bardzo chciała mieć mnie na oku. Potrzebowała iluzorycznego poczucia, że ma nade mną kontrolę.

Planowała posiedzieć w parku nieco dłużej, ale zrezygnowała w połowie piwa. Raz, że smakowało jak przeterminowane szczyny, a dwa: zaczęły ją gryźć komary. Poza tym sąsiednią ławkę zajęli trzej nastoletni chłopcy, którzy najpierw wypalili jointa, a potem puścili muzykę z przenośnego głośnika, sprawiając, że pół osiedla musiało razem z nimi słuchać ulicznego rapu. Marię korciło, żeby nastraszyć gnojzków odznaką, ale ostatecznie wyrzuciła niedopite piwo do kosza i podreptała do domu.

Wstukwała kod na domofonie. Nie zadziałał, więc zrobiła to ponownie. Dopiero za trzecim razem skoncentrowała się na tym, co robi, i spostrzegła, że urządzenie nie wydaje żadnych odgłosów. Zaklęła. Sięgnęła do torebki po klucz. Włożyła go do zardzewiałego zamka.

– Maria Falk?

Policjantka zerknęła w bok. Na chodniku stała blondynka w krótkiej skórzanej kurtce i legginsach. Obejmowała się rękoma, mimo że na zewnątrz wciąż panował upał.

– Zależy, kto pyta – odparła Maria.

– Chciałam pogadać o sprawie, którą prowadzisz.

Maria wyjęła klucz z zamka i odwróciła się w stronę kobiety. Otaksowała ją wzrokiem. Blondynka miała mniej więcej trzydzieści lat. Za grubą warstwą makijażu kryła się zniszczona cera. Jej niezbyt wyszukany ubiór sugerował, że raczej nie wywodzi się z wyższych sfer.

– Kim pani jest? – spytała Maria. – I skąd ma mój adres?

– Nieważne. Musimy pogadać.

Kobieta była arogancka, a zarazem miała drżący głos. Jakby się czegoś bała.

– Zapytam po raz ostatni: kim pani jest?

Kobieta zrobiła krok w jej stronę i podała Marii wymiętą kartkę. Policjantka rozprostowała papier. Przez parę sekund bezrefleksyjnie wpatrywała się w moją niezbyt udaną podobiznę.

– Wiem, kim jest człowiek, którego szukasz.

Przedstawiła się jako Dagmara Wiech, ale odmówiła okazania dokumentu tożsamości. W ciągu paru minut Maria dowiedziała się, że kobieta ma dwadzieścia osiem lat, wykształcenie podstawowe i ograniczony zasób słów. A także że pochodzi z żulerskiej rodziny, której członkowie albo zapijają się na śmierć, albo kończą w mamrze. Lub – tak jak ona – na ulicy. Utrzymywała, że choć kiedyś miała problem z amfetaminą, to od paru lat jest czysta.

Nie omieszkała również wspomnieć, że nienawidzi policji. Ale akurat to było dla Marii jasne od początku.

– Nie mam pojęcia, co mi podał – powiedziała Daga, zaglądając do kubka z nietkniętą herbatą. – Na początku nic nie czułam. Potem zaczęłam się rozluźniać, choć myślałam, że to przez trawkę. Ale w którymś momencie zrobiło się dziwnie. Zanim się w tym wszystkim połapałam, straciłam kontrolę nad ciałem. Wyjebałam się na podłogę. A on zaczął mnie łąć.

– W jaki sposób? – dopytała Maria.

– Najpierw pasem, potem rękoma. Nakręcał się. A kiedy już to zrobił, położył się na mnie i...

– Zgwałcił cię.

Dagmara pokiwała głową, ocierając ściekające po policzkach łzy.

– Wiem, że to brzmi dziwnie. Bo jak można zgwałcić kurwę?

– To wcale nie brzmi dziwnie. Gwałt to gwałt. A każdemu skurwielowi, który się go dopuści, powinno się obcinać jaja. – Maria poczęstowała Dagmarę papierosem. Ta jednak odmówiła, więc zapaliła sama. – Jak on się zachowywał?

– Tak, jakby to wszystko mu się należało. Jakbym była jego własnością. Zabawką. A ja nic nie mogłam z tym zrobić.

Rozryczała się, a ja wcale się temu nie dziwiłem. Na jej miejscu też bym płakał. Ze wstydu. Jak można być aż tak naiwnym? Jak można zaufać facetowi, którego dopiero co się poznało? Jak można wziąć od niego drinka, nie wiedząc, co jest w środku? Jak można nie sprawdzić szklanki, zanim nieznajomy coś do niej wleje?

Idiotka. Za głupotę trzeba płacić. Czasem bardzo wysoką cenę.

– Pamiętasz, co do ciebie mówił? – spytała Maria.

– Coś mówił, ale nie pamiętam tego dokładnie. Szczegóły mi się rozmywają. Za to bardzo wyraźnie pamiętam swoje upokorzenie. I cholerny strach, który czuję od tamtej pory. Nienawidzę tego skurwysyna.

Maria przeszła się po kuchni, dając Dagmarze chwilę wytchnienia. Zatrzymała się przy parapecie. Wzięła kilka szybkich machów i zgasiła peta w słoiku z wodą.

– Opowiedz mi o tym alfonsie.

Daga wzięła kilka głębokich wdechów. Wytarła oczy wymiętą chusteczką, zerknęła w lusterko, aby sprawdzić stan rozmazanego makijażu, i po raz pierwszy spojrzała na Marię. Wcześniej, opowiadając o mnie i o naszych niewinnych igraszkach, wbijała wzrok w podłogę, jak gdyby koncentracja na jednym punkcie pozwalała jej wydobyć więcej detali.

– Mówili na niego Druciarz, bo podobno musiał kiedyś zrobić laskę jakiemuś typowi. Nie wiem, czy to prawda. Wiem natomiast, że każda laska w firmie musiała mu obciągnąć, aby udowodnić, że się nadaje do tej roboty. Twierdził, że szefowie kazali mu robić taki test. Ale moim zdaniem sam to wymyślił. To niewyżyty kutas. Żadnej nie odpuści. I nigdy...

– A więc twój szef dowiedział się, że Berger wyrządził ci krzywdę – wciąła się Maria, żeby szybciej dojść do sedna.

– Widziałam się z Druciarzem niedługo po wizycie u niego. Zauważył, że coś jest nie tak. Że nie nadaję się do roboty. Wkurwił się. Myślałam, że będzie chciał mnie jakoś ukarać. Ale najpierw kazał wyjaśnić, co się stało. No to mu powiedziałam. Wtedy wziął ode mnie adres tego gościa. Zaczął go obserwować. Pewnie chciał mu najebać. To tyran, który nie lubi, gdy ktoś psuje jego zabawki. Ale widocznie trafił na większego gnoja od siebie.

Maria była bez porównania bystrzejsza od Dagi, dzięki czemu od razu zrozumiała, że wydarzyło się coś innego. Że Druciarz połapał się, kim jestem i jak wiele mogę stracić. Że spotkał się ze mną, aby złożyć mi propozycję nie do odrzucenia. I że to dlatego musiał umrzeć. Żadne inne wytłumaczenie nie wchodziło w grę.

Policjantka podeszła do prostokątnego stołu i przesunęła w stronę Dagi moje zdjęcie.

– Jesteś przekonana, że to on? – zapytała.

– Już ci mówiłam.

– Muszę mieć pewność.
– To on. Na tysiąc procent.
– Potwierdzisz to w oficjalnych zeznaniach?
– Nigdzie, kurwa, nie będę zeznawać. Przyszłam do ciebie, żebyś dorwała tego pojeba, ale nie zamierzam rozmawiać z twoimi koleżkami.
– Bez twoich zeznań nie będziemy mogli go zatrzymać.
– Gównu mnie to obchodzi. Wiecie, że to on, więc musicie coś z tym zrobić. Jesteście psami.
– Berger już cię nie skrzywdzi. Zapewnimy ci ochronę.
– Przed nim może i tak, ale nie przed ludźmi, którzy mnie znają. Połowa mojej rodziny siedzi w ciupie. Jeżeli się wyda, że jestem konfidentem, wszyscy, na których mi zależy, będą mieć przejebane.
– A może...
– Czy ty, kurwa, nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? – Dagmara sięgnęła po torebkę. – Nie rozpruję się i już. Koniec kropka. Musisz sobie jakoś z tym poradzić.
Poderwała się z krzesła i skierowała w stronę wyjścia. Zatrzymała się jeszcze przed lustrem. Postawiła torebkę na komodzie, wyjęła podręczny zestaw kosmetyczny i zaczęła naprawiać zmasakrowaną tapetę.
– Jeszcze jedno. – Dagmara wyciągnęła podkład i zerknęła na Marię. – Z jakiegoś powodu mówił na mnie Renia.

* * *

Codziennie stajesz przed niezliczoną liczbą wyborów. Wybierasz, czy zjesz coś zdrowego, czy zapchasz bęben fast foodem. Czy pójdziesz na trening, czy na imprezę, na której nawet nie chcesz być. Czy nauczysz się czegoś na szkoleniu, czy obejrzysz jakieś bzdury w internecie. Czy spędzisz czas z dzieckiem, czy zajmiesz się robotą, którą przytargałeś do domu. Czy zrobisz coś ze swoim życiem, czy przeleżysz je na kanapie, trzepiąc kapucyna.

Musisz pamiętać o jednym: zawsze masz jakiś wybór.

Ja wybrałem, że pomimo niesprzyjających okoliczności spotkam się z Alicją. Przegrałem ze swoimi instynktami. Z ciekawością. Pożądaniem. A kto wie, czy nie z czymś więcej. Z czymś, czego nie czułem jeszcze wobec żadnej z kobiet.

Wsiadłem do taksówki i ruszyłem w kierunku centrum. Gdy tylko rozpląszczyłem pośladki na skórzanym siedzeniu, zawibrował telefon. Dzwonił Janek. Jak przystało

na dziennikarza, był wyjątkowo uciążliwy. Męczył mnie od kilku dni, mimo że konsekwentnie ignorowałem jego wiadomości. Lepiej nie przyzwyczajać dziennikarzy, że ma się dla nich czas. Jeszcze mogą pomyśleć, że są nam równi. Ale tym razem postanowiłem dać Jankowi szansę.

– Wreszcie. – Albo mi się wydawało, albo autentycznie się ucieszył. – Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że mnie unikasz.

– Zarobiony jestem – odparłem. – Poza tym mówiłem, że dam znać, jeżeli w którejś z kwestii wydarzy się coś przełomowego.

– Wiem, wiem, ale nie mogę beczynnienie czekać. Dobre tematy mają to do siebie, że lubią wyciekać, jeżeli się ich odpowiednio nie przypilnuje.

– Dotrzymuję słowa. Będziesz jedyną osobą, której o tym opowiem. Daj mi jeszcze parę dni.

– Chyba już za późno.

– O czym ty mówisz?

– Gdybyś kilka dni temu odebrał, nie musiałbym dzwonić do Solskiego.

Kurwa. Zwykle nie doceniam ludzi, ale Janka najwidoczniej musiałem grubo przecenić.

– Co ci powiedział?

– W skrócie? Żebym się odpiardolił i nie interesował się jego sprawami, bo mnie zniszczy.

– Słusznie. Na jego miejscu powiedziałbym ci to samo.

– Poszedłem z tym do szefa.

– Pojebało cię?!

– Musiałem. Solski mi groził. Takie mamy procedury.

Pieprzony służbista. Solski prowadził swoje biznesy w taki, a nie inny sposób, ponieważ uważał, że dziennikarze to zaraza. Jebani łowcy sensacji. Ignoranci, którzy nawet gdyby chcieli, nie potrafiliby prawdziwie opisać rzeczywistości biznesowej. I niewątpliwie miał rację, twierdząc, że wściubianie nosa w nie swoje sprawy jest paskudnym nawykiem, za który powinno się natychmiast surowo karać.

– Naczelnym do niego zadzwonił – kontynuował Janek. – Solski był dla niego milutki. Do rany przyłożył. Powiedział, że wcale mi nie groził. Że musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia. Grzecznie przeprosił za zamieszanie, po czym parę minut później sam do mnie zadzwonił.

– Po co?

– Aby mi powiedzieć, że się zesrałem i poskarżyłem mamusi. Że jestem śmieciem, którego może zmiażdżyć jednym kiwnięciem palca. Był wściekły. Szkoda, że go nie nagrałem.

Tylko tego mi brakowało. Ściągnięcia na głowę nieodpowiedzialnego pismaka, który może wszystko dokumentnie spierdolić. O ile jeszcze tego nie zrobił.

– Wspominałeś o mnie? – spytałem.

– Nie, ale on chyba wie, że ze sobą gadaliśmy. Stwierdził, że gdy następnym razem będę próbował wyskrobać jakieś plotkarskie wypociny, powinienem porozmawiać z gościem, który rzeczywiście pociąga za sznurki.

Rozłączyłem się, aby nie poczęstować Janka kilkunastosekundową wiązańką. Chuj by go strzelił! Oczywiście mogłem zadzwonić do Solskiego i spróbować wszystko odkręcić. Powiedzieć, że Janek to niegroźny kretyn, którego znam z czasów studenckich. Że może i ma długi jęzor, ale w gruncie rzeczy jest porządnym człowiekiem i nie wyrządzi nikomu krzywdy. Albo że gdy tylko go spotkam, rozwałę mu łeb, aby już nigdy, ale to przenigdy nie odważył się zawracać dupy Solskiemu.

Tylko czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Odłożyłem te rozważania na później, bo dojechałem na miejsce wskazane w esemesie. Wsiadłem z taksówki na wysokości blaszanych drzwi wciśniętych w kamienicę na Smolnej. Masywne wrota przypominały wejście do schronu atomowego. Prowadziły do nich niewielkie zardzewiałe schody. Wyglądały tak rachitycznie, jakby mogły się rozpaść pod stopami. Mimo to postanowiłem zaryzykować.

Załomotałem w drzwi. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, pociągnąłem za klamkę. Było otwarte, więc wszedłem.

W olbrzymiej piwnicy istniał inny świat. Pełen wąskich korytarzy, zakamarków oraz krętych schodów, które łączyły trzy albo cztery kondygnacje. Wszędzie roiło się od metali, blachy i łańcuchów. Wiedziałem, że to niedziałający klub, ale czułem się tam jak w hucie albo w lochu.

W środku panowała niemal nieprzenikniona ciemność, ale jakoś odnalazłem parkiet. Jedynym rozświetlonym miejscem był znajdujący się na końcu pomieszczenia półokrągły ledowy bar, na którym roiło się od napoczętych butelek, kolorowych słomek i naczyń. Lada była tak zakurzona, że z całą pewnością od dawna nie odbywały się tam żadne imprezy.

Sięgnąłem po butelkę jacka daniel'sa. Rozsądek sugerował, że powinienem ją

odłożyć, żeby nie zatruć się jakimś syfem. Ale przecież złęgo diabli nie biorą.

– Lepiej ci w długich włosach.

Spojrzałem w górę. Alicja – a przynajmniej jakaś ledwo widoczna postać, która posługiwała się jej głosem – stała przy barierkach. Domyśliłem się, że mnie obserwuje, odkąd pojawiłem się w klubie. Choć niewykluczone, że zaczęła to robić znacznie, znacznie wcześniej.

Kim ona jest? Właścicielką klubu? Barmanką? Tancerką go-go?

Nieważne. Odnalazłem kolejne kręte schody i ruszyłem na górę.

* * *

– Nie dajesz za wygraną.

Mimo zaciśniętych zębów Lewiński powiedział to zadziwiająco łagodnie. Najsubtelniej, jak potrafił.

– To wy już o tym rozmawialiście? – zdziwił się Papszon.

– Wczoraj. Wpadli do mnie na sernik. Ale tylko Oleg jadł. Ona jak nakręcona nawijała o tym gościu.

– Bo jestem pewna, że to jego szukamy – odezwała się Maria. – A teraz mam na to dowód.

W piątkowe wieczory policjanci potrzebni byli głównie na mieście, dzięki czemu budynek komendy był niemal pusty. Maria wymyśliła, że to tam zwabi Papszona i Lewińskiego. Liczyła na to, że stawiając ich w pilnym trybie na nogi, zwiększy siłę perswazji. Zamierzała za wszelką cenę przekonać te trzęsidupy, że znalazła sprawcę. I dlatego w najdrobniejszych detalach opowiedziała im o spotkaniu z tą tępą dziwką.

– Nie ma oficjalnych zeznań, nie ma dowodu – skwitował jej wywód Lewiński. – A skoro nie ma dowodu, nie warto zwracać prokuratorowi dupy.

– Właśnie usłyszeliśmy, że Berger sprzątnął alfonsa. I to parę dni po tym, jak nafaszerował narkotykami i zgwałcił jego podwładną, do której zwracał się imieniem ostatniej z uprowadzonych kobiet.

– O ile to prawda.

– Mamy nagranie z klatki Bergera, na którym widać kolesia wyglądającego jak Druciarz. Wiemy, że alfons siedział w barze kilkaset metrów od tego miejsca, więc całkiem prawdopodobne, że to był on. A na dodatek monitoring wyłapał, że Berger wjechał na Pragę kilka sekund po Druciarzu. Zupełnie jakby go śledził.

– To może być zbieg okoliczności.

– Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności. – Maria przeniosła wzrok na Papszona. – Nie mam więcej argumentów, żeby was przekonać. Nie zamierzam odwoływać się do waszych emocji, instynktów czy poczucia misji. Ale jestem pewna, że w mieszkaniu Bergera znajdziemy tony dowodów, które pozwolą połączyć go z tymi porwaniami i zabójstwem alfonsa. Ale najpierw musimy tam wejść.

Papszon podszedł do okna. Wyrzał na ulicę Nowolipki. Na zadbane chodnik, pas zieleni, zaparkowane wzdłuż jezdni samochody i przystanek autobusowy. Choć codziennie przechodziły tędy dziesiątki młodych ludzi, zwykle wypełzających z sąsiadującego z komendą Ogrodu Krasińskich, było to jedno z niewielu cichych miejsc w Warszawie. Ludzie milkli z szacunku dla tego budynku albo ze strachu. Wszystko jedno. Dla Papszona liczyło się, że to oni, policjanci, byli od pilnowania, aby to miasto nie zamieniło się w jeden wielki chlew. Taka była ich społeczna funkcja. Szef Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw nigdy nie czuł szczególnego powołania, ale cenił to, że może oczyszczać miasto z mętów. Nie chciał rezygnować z tego przywileju. Nawet jeśli się bał, że korzystając z niego nieostrożnie, na własne życzenie może go stracić.

– A co Oleg o tym sądzi? – spytał, nie odrywając wzroku od okna.

– Nic. – Maria splótła ręce na piersi. – On nie przetwarza danych, tylko sprawnie je gromadzi.

– Ale jakoś odkrył, że te zniknięcia są ze sobą powiązane.

– Przypadek. Nic więcej.

Maria celowo nie poinformowała Olega o spotkaniu. Wiedziała, że swoim apatycznym sposobem bycia zniechęciłby Papszona do podjęcia ryzyka.

– Jeżeli się mylisz...

– Nie mylę się.

– Jeżeli się mylisz... – powtórzył Papszon – prawdopodobnie zapłacę za to stanowiskiem. Mam nadzieję, że jesteś gotowa na to samo. – Naczelnik przeniósł wzrok na Lewińskiego, a potem ponownie na Marię. – W poniedziałek pogadam z prokuratorem.

– Berger to cholernie niebezpieczny człowiek. Wolalabym z tym nie zwlekać.

– Jest piątek wieczorem. Gdybym teraz do niego zadzwonił, toby się wkurwił i mnie wyśmiał.

– Nie sądzę. Przynajmniej jeśli chodzi o tę drugą kwestię.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Chwilę później do pokoju wszedł wysoki mężczyzna

w dzinsach i szarej marynarce. Miał podłużną twarz, znaczące zakola i okulary w drewnianych oprawkach, które o kilka lat odmładzały jego sześćdziesięcioletnią głowę. Wyglądał jak dobrze sytuowany księgowy. Wyjątkowo rozgniewany księgowy, któremu ktoś spieprzył piątkową kolację.

– Co wy, kurwa, kombinujecie?

Prokurator Stanisław Nosal z reguły był zimny i wyważony. Jeśli przeklinał, to znaczyło, że ma ku temu dobry powód.

Musiała to być cholernie droga kolacja.

* * *

– To nawet zabawne, że człowiek, który przez całe życie nie okazał ci choćby krzty uczucia, zmarł wskutek przerostu mięśnia sercowego.

Alicja uśmiechnęła się szeroko, choć nie sądzę, żeby ta historia ją rozbawiła. Raczej chciała mnie sprawdzić. Zobaczyć reakcję na widok rozweselonej panny, która sącząc drinka, drwi ze śmierci mojego ojca.

– Przez całe życie myślałeś, że on nie ma serca. A okazało się, że ma. I że jest ono niebywale łączywe. Żądne tlenu. Silne, ale zadziwiająco mało wytrzymałe. W końcu większość osób zmagających się z nadciśnieniem tętniczym dożywa czterdziestki. –

Nagle spoważniała i wytrzeszczyła oczy. – Nadciśnienie może być dziedziczne. Badasz się regularnie?

– Mój ojciec był studwudziestokilogramowym furiatem, którego zniszczyły długi i wódka – odparłem. – Nie sądzę, żebym był do niego podobny.

– Nie? – Uśmiechnęła się tak, jak gdyby wiedziała o mnie coś, o czym nie wiem. – Ty i twoja matka nie mieliście pojęcia o długach. Sądziście, że jest dobrze prosperującym przedsiębiorcą. Jednym z wielu, którzy wygrali na przemianach z osiemdziesiątego dziewiątego roku. Liderem zmiany. Mistrzem handlu. Przywódcą, bez którego transformacja i sukces gospodarczy nie byłyby możliwe. Ufaliście mu. Bezgranicznie wierzyliście, że zestresowany i niewykształcony studwudziestokilogramowy facet zbawi waszą rodzinę.

– Znam ludzi znacznie głupszych od mojego ojca, którzy dziś brylują w biznesie.

– Mimo to, przyznasz, było to strasznie naiwne. – Alicja dystyngowanie przełożyła nogi, niczym Sharon Stone w *Nagim instynkcie*. Było jednak zbyt ciemno, żebym mógł stwierdzić, czy włożyła bieliznę. Mogłem jedynie zgadywać. Choć nie była to trudna zagadka. – Gdybyśmy żyli gdzie indziej, być może wszystko potoczyłoby się

inaczej. W Stanach uznaje się za zupełnie normalne, że biznes może nie wypalić. Przedsiębiorca, który parokrotnie upadał i za każdym razem się podnosił, jest znacznie wartościowszy od tego, który nigdy nie zaznał smaku porażki. To w niego zainwestuje fundusz venture capital, jeżeli będzie musiał wybrać pomiędzy tymi dwoma. Ale w Polsce to tak nie działa. Tutaj zwykle upadasz tylko raz. Z hukiem. Roztrzaskując głowę o beton.

– Mój ojciec nie stracił firmy. Nie doprowadził jej do bankructwa. Miał plan, jak wyjść na prostą. I gdyby nie choroba, pewnie by mu się udało.

– Na szczęście twoja matka okazała się przytomną kobietą – kontynuowała Alicja, ignorując moje słowa. – Po pierwszym zawale starego zrozumiała, że musi zadbać o swoją przyszłość. Znalazła cwanego prawnika, który przekopał się przez wasz rodzinny majątek, zostawiając jej te aktywa, na których żaden sąd, komornik czy wierzyciel nie mógł położyć łapy. Potem wystarczyło zaszantażować grubasa odejściem, aby przystał na taki podział. To była najprostsza część planu.

Nie miałem bladego pojęcia, skąd ona to wszystko wie. Ojciec zmarł wiele lat temu, kiedy Alicja zapewne była zbuntowaną nastolatką słuchającą Prodigy, Chemical Brothers albo Fatboy Slima. Z matką nie utrzymywałem kontaktu, odkąd popadła w głęboką depresję, która parokrotnie zaprowadziła ją do szpitala psychiatrycznego. Spodziewałem się, że usłyszę o niej dopiero, gdy dokona skutecznej próby samobójczej. Podobno od dawna z nikim nie rozmawia, więc nie sądzę, żeby zrobiła wyjątek dla jakiejś nawiedzanej siksy.

Oczywiście Alicja mogła dotrzeć do moich znajomych, którzy na widok takich cycków byliby gotowi wypłacić absolutnie wszystko. Tyle że nikt nie znał historii mojej rodziny. Nikt. Tym, którzy o to pytali, zawsze mówiłem to samo: że moi rodzice nie żyją. Nasze społeczeństwo jest wyjątkowo miękkie, więc tyle wystarczyło, aby nie zadawali więcej pytań.

– Powiedz szczerze. – Alicja pochyliła się w moją stronę. – Dobra była?

– Kto?

– Twoja matka.

– W czym?

– W pierdoleniu się.

A więc jednak musiała dotrzeć do matki. I jakoś namówiła ją na rozmowę. Najszerszą z możliwych.

– Nie wiem – odparłem. – Byłem nieśmiałym i niezbyt atrakcyjnym nastolatkiem,

przez co nie miałem żadnego punktu odniesienia.

– Ale podobało ci się bycie gwałconym, prawda? Było jak na filmach porno. Nastoletni chłopiec wraca do domu, w którym czeka na niego macocha. Znudzona. Niezaspokojona. Poirytowana seksualną nieudolnością tłustego męża. Pijana i szalona. Ale nie na tyle, żeby nie być świadomą tego, co robi. I jakie może to mieć konsekwencje. – Alicja dopiła drinka i odstawiła szklankę na stolik. – Kłopot w tym, że to nie była macocha, tylko matka.

W tych ciemnościach ledwo widziałem jej twarz, ale bez problemu odczytywałem emocje, jakie się na niej malowały: ubaw, drwinę, pogardę. Alicja bezlitośnie ze mną igrała. I robiła to zupełnie bez strachu, mimo że wiedziała, co jej grozi. Musiała wiedzieć.

– Kim jesteś? – zapytałem.

– Jeszcze się nie domyśliłeś?

– Podobno mężczyźni nie są zbyt domyślni.

– Ale przecież nie jesteś zwykłym facetem. Przecież siedzi przede mną Kacper Berger. Coach, trener sprzedaży i inwestor. Zdolny menedżer, który rozpycha się w świecie dużego biznesu. Wiceprezes polskiego oddziału firmy wycenianej na kilkadziesiąt miliardów dolarów. A wkrótce być może prawa ręka jednego z największych polskich przedsiębiorców. Ktoś taki powinien się domyślić, kim jest osoba, z którą pieprzył się w klubowym kiblu.

– Bardzo się starasz, żebym nie poznał twojej tożsamości.

– Ale przecież to wszystko jest banalne. Może próbujesz mnie rozgryźć nie tą półkulą mózgu co trzeba?

– Czego właściwie chcesz?

– Dla siebie? Niczego. Nauczyłam się żyć, nie oczekując od świata zbyt wiele. Akceptując rzeczywistość i nie czując dręczącej potrzeby, żeby ją zmienić. Chcę tylko, byś zrozumiał, dlaczego taki jesteś.

– Jaki?

– Zagubiony. Samotny. Mściwy.

– Myślałem, że...

– ...że znajdę odpowiedź na pytanie, dlaczego mordujesz te kobiety? To naprawdę jest dziecinnie proste. – Żwawo podniosła się z krzesła. Wyjrzała przez barierki, jak gdyby chciała przez nie wyskoczyć. – Chodź. Jest piątek. Rozerwiemy się.

Dopiero gdy wyszliśmy na zewnątrz, zorientowałem się, że Alicja jest naćpana.

Miała zadziwiająco dużo energii i niezwykle silną potrzebę mówienia, która nie mogła wynikać z naturalnej gadatliwości. Głędziła o wszystkim: o weganizmie, o warszawskiej komunikacji miejskiej, o samochodach elektrycznych. Nawet, kurwa, o wysyłaniu satelitów na orbitę okołoziemską. O wszystkim z wyjątkiem mnie. Siebie. Nas. I naszej dziwacznej sytuacji.

Zaciągnęła mnie do jednego z shotbarów na Nowym Świecie. Zrobiliśmy tam przystanek na kilka kolejek i piwo. Parę minut później wylądowaliśmy w następnej spelunie, w której powtórzyliśmy ten rytuał. Opierając się o lepką ladę, ze stopami wbitymi w lepką podłogę, lepkim wzrokiem patrzyłem na kolejne lądujące przede mną kieliszki. Alicja narzuciła naprawdę ostre tempo. Czułem, że się upijam. Że nadciąga fala uderzeniowa, która może zwalić mnie z nóg.

Znałem tylko jeden sposób, aby tego uniknąć.

– Poczęstuj mnie – powiedziałem.

– Czym?

– Tym, co wzięłaś.

Uśmiechnęła się. Jak dziecko przyłapanie na zjadaniu glutów.

– Jestem czysta.

– Jak dziwka po weekendzie.

– Nie bądź wulgarny. To jeden z dwóch błędów, które notorycznie popełniasz.

– Za dużo przeklinam?

– Zawsze zakładasz, że masz rację. To częsta pomyłka przedsiębiorców, którzy własnymi rękoma doszli do majątku. Zapominają, że prawdopodobnie nic by nie osiągnęli, gdyby nie dziesiątki mądrych ludzi, często mądrzejszych od nich samych, których mieli szczęście spotkać na swojej drodze. A nawet jeśli o tym pamiętają, i tak przypisują sobie wszystkie zasługi. To megalomania połączona z błędem atrybucji. Ale ty ani nie zbudowałeś dużej firmy, ani nie zarobiłeś wielkich pieniędzy. Bezpodstawnie przejąłeś więc narcystyczną arogancję zarezerwowaną dla najlepszych przedsiębiorców.

Tym razem to ja się uśmiechnąłem. Była bystra i złośliwa. Taka, jakie lubię.

– *Touché*. A drugi błąd?

– Za dużo ćpasz.

– I mówi to kobieta, która...

Nie dokończyłem, ponieważ Alicja niespodziewanie odkleiła się od baru, chwyciła mnie za rękę i ruszyła do wyjścia.

Prowadziła nas w kierunku Ogrodu Saskiego. Przez Nowy Świat, Chmielną i Jasną. Wraz z zapadającym zmierzchem miasto dopiero budziło się do życia. Zaczynało oddychać. Znikały garnitury i garsonki, a zamiast nich pojawiały się krótkie spodenki i kiecki. Ludzie nie trzymali już w dłoni tekturowych kubków z kawą, tylko butelki piwa. Pośpiech wywołany euforyzującymi narkotykami zajął miejsce pośpiechu narzucanego przez gównianą pracę, gównianych szefów i gówniane obowiązki. Powietrze pachniało burgerami, kebabem, zapiekankami i trawką. Gdy imprezująca społeczność Warszawy oddzieliła się od młodych rodziców i zmęczonych życiem zamulaczy, średnia wieku obniżyła się o jakieś dziesięć lat. Ulice zaroily się od taksówkarzy, kierowców Ubera czy Bolta i hulajnóg elektrycznych, które pod stopami nawalonych studenciaków przeobraziły się w narzędzie masowej zagłady.

Tak, miasto ożyło. Stało się takie, jakim je uwielbiałem. Wstrętnym i odpychającym. Nieskoordynowanym. Skazonym. Niedoskonałym na każdym odcinku.

Po dwóch kolejnych – na szczęście tym razem krótszych – postojach w shotbarach wylądowaliśmy na Kredytowej. Alicja poruszała się po mieście jak osoba, która wszystko wie, wszystkich zna i wszędzie potrafi wejść. Także do zlokalizowanego w trzypiętrowej kamienicy klubu, przed którym wyrosła kilkunastoosobowa kolejka. Być może Alicja знаła ochroniarza. A być może wystarczyło, że on ją znał, ponieważ wymienili porozumiewawcze spojrzenia i po chwili znaleźliśmy się w środku.

Był to kolejny lewicowy lokal, w którym hamulce służyły wyłącznie do tego, aby o nich wspominać w roznarkotyzowanych dysputach. Może nawet bardziej liberalny od wszystkich, z jakimi się do tej pory zetknąłem. Kiedy stałem w kolejce przy barze, wpadła na mnie para całujących się dziewczyn. Zamiast przeprosić, posłały mi lubieżne spojrzenia. Chciały, abym się do nich przyłączył. Byłem tym tak zdumiony, że nic nie odpowiedziałem. Choć nie przypuszczam, by tłumaczenie, że przyszedłem z kimś, miało dla nich jakiegokolwiek znaczenie.

Kiedy po następnej kolejce popatrzyłem na Alicję, zacząłem się zastanawiać, czy czasem nie uzgodniła ze wszystkimi barmanami w mieście, że będą jej polewać wodę zamiast wódki. Wypełzła na środek parkietu i zaczęła tańczyć. Z kocią gracją. Z niebywałą elastycznością. Z seksapilem wylewającym się z każdego skrawka jej ciała. Była seksbombą w najczystszej postaci, do której kleił się wzrok każdego nawalonego typu i wszystkich naćpanych dziewczyn. Nienaćpanych zresztą też.

– Kim jesteś? – spytałem, kiedy zaczęła się wić wokół mojego drętwego, coraz mniej stabilnego ciała.

– Wróżką – odparła.

– Zębuszką?

Byłem przekonany, że nie usłyszała mnie w tym jazgocie, ale ona pokręciła głową. Następnie przystawiła usta do mojego ucha, jakby chciała je odgryźć.

– Odnalazłam cię w snach.

– Co to za sny?

– Tylko jeden. Zawsze ten sam. Sen o końcu świata.

Kiedy zaczęła się oddalać, przyciągnąłem ją do siebie. Niczym swoją własność. Niczym... swoją kobietę.

– Opowiedz mi o nim. O tym śnie.

Wyrwała się z moich objęć, zakołysała na krańcu parkietu i ponownie zbliżyła.

– Pamiętaj, że jestem wróżką. Moje sny są prorocze. Na pewno chcesz się dowiedzieć, w jaki sposób skończy się świat? Jak zniknie wszystko, co znasz?

– Siedmiu na dziesięciu ludzi nie chce wiedzieć, co dobrego ich spotka. Ponad dziewięćdziesiąt procent woli nie znać daty swojej śmierci. Ale ja nie lubię niespodzianek. Chcę wiedzieć wszystko.

Alicja wróciła na parkiet, jak gdyby pobierała z niego energię do rozmowy, po czym ponownie do mnie przyłgnęła. Ale inaczej niż do tej pory. Całą sobą.

– Świat runie – powiedziała. – Pogrzy się w ciemnościach. Każda rzecz, na której ci zależy, zapadnie się pod ziemię. A ty razem z nimi. Pogruhotany. Brudny. Samotny. Przegrany. Zlany z gruzem, który przykryje wszystko na wieki. – Dotknęła zębami mojego ucha. – Tak właśnie skończy się twój świat.

Odepchnąłem ją i momentalnie tego pożałowałem. Ta dziwka próbowała odgryźć mi ucho. I przez moment miałem wrażenie, że jej się udało. Ale gdy sięgnąłem do niego ręką, było całe. Wyczułem jedynie odcisk zębów na małżowinie i zobaczyłem ślady krwi na dłoni. Nic poza tym.

Podniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła, ale Alicji już tam nie było. Ulotniła się. Tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zaciągnęła mnie do klubu. Kiedy magicznie wyparowała chwilę po tym, jak się pieprzyliśmy.

Przez kilka minut zataczałem się po lokalu, licząc na to, że gdzieś ją jeszcze zobaczę. Że zdołam zadać Alicji kilka pytań. Że zmuszę ją, aby wyjaśniła, co to wszystko ma znaczyć. Ale nigdzie jej nie było.

W którymś momencie poczułem wibrację w kieszeni. Telefon. Detektyw Paweł. Odebrałem.

– Dzwoniłem do ciebie z dziesięć razy – powiedział.

– Nic nie słyszę, ale i tak nie mam dla ciebie czasu.

– To lepiej go znajdź, bo nie jest kolorowo.

– Nie słyszę cię. Jestem w klubie.

– Ta twoja dziwka, Daga, spotkała się z policjantką.

– Nic, kurwa, nie słyszę. Napisz mi esemesa.

No więc napisał. A ja musiałem parokrotnie przeczytać jego wiadomość, żeby w nią uwierzyć.

Kurwa.

To oznaczało, że już nie mogę być pijany. Nie teraz. Nie kiedy ta wścibska pinda wzięła mnie na muszkę.

Czym prędzej wparowałem do kibla. Przez kilka minut kręciłem się przy umywalkach, po czym przydybałem dwóch chłopaków, którzy wyszli z tej samej kabiny. Mogło to oznaczać, że albo się ruchali, albo byli dokładnie takimi ludźmi, jakich potrzebowałem.

– Macie coś jeszcze? – zapytałem.

– O co pytasz? – odparł jeden z nich.

– O to, co ćpaliście.

– Nic nie ćpaliśmy.

Ich wystrzelone oczy mówiły mi coś innego.

– Ja też chcę. Dobrze zapłacę.

Wyjąłem portfel. Zacząłem wyciągać banknoty. Kolesie przez cały czas usiłowali protestować, zarzekając się, że nic nie ćpali, że tylko mi się wydawało, że to jedynie mogło tak dziwnie wyglądać, ale z każdą pojawiającą się stówką robili to jakby ciszej. Nie mam pojęcia, ile im dałem, ale pewnie koło tysiąka. Popatrzyli na kasę. Potem na siebie. Potem na mnie, aby się jeszcze raz upewnić, że nie jestem psem, tylko zdesperowanym, nawalonym i cholernie złaźnionym speeda facetem. Wreszcie się ugięli i jeden z nich przekazał mi tytkę.

– Co to jest? – spytałem.

Kolesie równocześnie wzruszyli ramionami. I pewnie była to najdokładniejsza odpowiedź, jakiej mogli mi udzielić.

Zamknąłem się w kabinie. Rozdrabniając towar, wysypując go na telefon i rolując

banknot, uświadomiłem sobie, że jestem jeszcze bardziej pijany, niż mi się zdawało. Właściwie ledwo stałem na nogach. Istniało spore ryzyko, że nawet ten syf mnie nie uratuje. Na wszelki wypadek postanowiłem wciągnąć wszystko od razu. Jak jakiś wygłodniały ćpun.

– Halo! – Łomotanie w drzwi. – Co tam się, kurwa, dzieje?

– Już wychodzę! – odkrzyknąłem.

– Wyłaź, bo się zaraz zesram. Co ty tam, kurwa, robisz?

Musiałem być strasznie napruty. W przeciwnym wypadku nigdy nie otworzyłbym drzwi w takiej sytuacji.

Przed kabiną stał przestępujący z nogi na nogę dresiarz. Metr osiemdziesiąt, z dziewięćdziesiąt kilo wagi. Wyglądał jak źle wyprofilowana ciężarówka, która niechcący wjechała na parking dla osobówek. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, że nie powinienem mu pyskować.

Ale kto by słuchał instynktu samozachowawczego?

– Czekam, aż ściągniesz spodnie, żebym mógł cię zerznąć w dupę.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był pijacki uśmiech, który zobaczyłem w lustrze. Nie mam pojęcia, do kogo należał. Ale z całą pewnością nie do mnie.

Prokurator Stanisław Nosal zerkał to na Marię, to na dokumenty, które przygotował – w pośpiechu, w nocy z piątku na sobotę, przy wtórce pulsującego w żyłach wina, pamiątki po niedokończonych kolacji. Od paru minut wolno kręcił głową. Jak gdyby nie mógł uwierzyć, że on i Papszon, człowiek, z którym zapuszkował niejednego zbira, uwierzyli tej cholernie upartej kobiecie i odważyli się zaryzykować swoje kariery. Jakby nie potrafił wyjaśnić, co jego podpis robi pod nakazem zatrzymania Kacpra Bergera.

Zaciągnął się mocno papierosem. Już piątym tego dnia, co zważywszy na porę – szósta rano – było niepokojącym wynikiem. Ale szluga utrzymywały go w pionie po półtoragodzinnej drzemce, na jaką pozwolił sobie po załatwieniu wszystkich prokuratorskich formalności. Szluga i kawa – pomyślał, patrząc na Marię, która zdecydowała się na podobny start weekendu. Oboje wyglądali jak trupy, które ktoś niezdarnie zapakował w ciuchy, odstawił pod budynek Komendy Stołecznej Policji w Warszawie i zwiął z piskiem opon.

– Pracowałem kiedyś z twoim ojcem – powiedział Nosal, przerywając uciążliwą ciszę. – Byłem wtedy prokuratorem rejonowym na Pradze Południe. Nadzorowałem śledztwo w sprawie utonięcia siedemnastolatki w Jezioroku Kamionkowskim. Paskudna sprawa. Początkowo wydawało się, że dziewczyna popełniła samobójstwo. W jej krwi wykryliśmy alkohol i pozostałości paru dziwnych substancji, co sugerowało, że nafaszerowała się lekami. Ale miała za dużo drobnych obrażeń na ciele. Siniaków, otarć, a nawet śladów duszenia. Poza tym utonięcie w takiej sadzawce wcale nie jest proste. Ktoś musiał jej w tym pomóc. Szybko wykluczyliśmy członków rodziny oraz najbliższych znajomych, przez co śledztwo utknęło w martwym punkcie. Wtedy poprosiliśmy o pomoc twojego ojca. Wielu uważało, że profilowanie to bzdura, ale byliśmy tak zdesperowani, że równie dobrze mogliśmy pójść do starej Cyganki, aby nam powróżyła z kuli.

– Pomógł wam? – spytała Maria.

– Zdecydowanie. Przez parę dni czytał akta sprawy i protokoły z przesłuchań, po

czym zadzwonił i wskazał sprawcę. A właściwie sprawców.

– Kto to zrobił?

– Wszyscy. Skazaliśmy wszystkich członków jej rodziny: dwóch starszych braci, ojca i matkę. Jak się potem okazało, ta siedemnastolatka tylko częściowo należała do ich kręgu. Była owocem romansu matki z kolegą z pracy. Domownicy o tym wiedzieli. I za to jej nienawidzili. Zgotowali dziewczynie wieloletnie piekło w stolicy poważnego europejskiego kraju. Bili ją, poniżali, gwałcili. Najpierw ojciec, a potem bracia, kiedy trochę podrośli. W tej sytuacji samobójstwo nie byłoby niczym dziwnym. Ale dziewczyna okazała się ponadprzeciętnie dzielna. Przetrwiała to wszystko i w końcu postanowiła uciec. Chciała wyjechać z miasta. Miała to zrobić tego feralnego dnia. Schłała się, żeby się nie przestraszyć i nie zmienić decyzji.

– I mój ojciec na to wszystko wpadł?

Prokurator potrząsnął głową.

– Skąd! Minęło wiele tygodni, zanim udało się to ustalić. Ale twój ojciec odkrył, że z tą rodziną jest coś nie tak. Coś mu w tych ludziach nie pasowało. W ich zeznaniach. W historii. Nie wiem. Odniosłem wrażenie, że kiedy stanowczo oznajmił, że to oni zamordowali nastolatkę, nie miał co do tego stuprocentowej pewności. Ale bardzo ufał swojej intuicji. A my zaufaliśmy jemu. – Nie spuszczać wzroku z Marii, prokurator zgasił peta w popielnicy. – Mam nadzieję, że w twoim przypadku będzie podobnie.

– Nie mam wiele wspólnego z ojcem.

– Albo tylko tak ci się wydaje. – Nosal zdobył się na uśmiech, który po nieprzespanej nocy przypominał bolesny skurcz. – Możemy wiele stracić, jeżeli się mylisz.

– Berger to człowiek, którego szukamy. Tego jestem pewna.

Nie zdążyli wrócić do budynku, ponieważ z komendy wyszli Papszon i Lewiński w towarzystwie kilku uzbrojonych po zęby policjantów.

Zaczęło się. Ostatni etap. *La grande finale*. Dla Marii. Dla mnie. Dla wszystkich.

Zapnijcie pasy.

* * *

Na początku było słowo. Dużo słów. Sztucznych. Nudnych. Trzeszczących w uszach i na końcu języka. Wyjętych ze słownika określeń niepotrzebnych i nieprzyjaznych.

A przecież to, że mam przejebane, dałoby się powiedzieć na tysiąc innych

sposobów.

W filmach policjanci ścigający przestępców zawsze marzą o tym, żeby wejść do mieszkania podejrzanego w towarzystwie paru osiłków, a potem aroganckim tonem rzucić leżącemu na glebie oprychowi kilka standardowych formułek na temat jego praw. Nie wiem, czy w Marii Falk też drzemiała taka pokusa, ale kiedy policyjna sfera wparowała do mojego apartamentu, ona trzymała się z tyłu. Nie odzywała się. Nie szukała ze mną kontaktu wzrokowego. Nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

To mogło oznaczać tylko jedno: że nie ma bladego pojęcia, czy ta interwencja jest zasadna.

Ale wtedy o tym nie myślałem. Wtedy właściwie o niczym nie myślałem. Poza cierpieniem. Potworny ból rozsadał mi czaszkę od środka, sprawiając, że przy każdym, choćby minimalnym ruchu czułem się tak, jakby ktoś włożył mój łeb w imadło. Cholerny kac gigant. Rzadko zdarzało mi się imprezować, używając wyłącznie alkoholu. Dragi mają to do siebie, że choć następnego dnia zamieniają cię w zombi, to łagodzą skutki picia. Pozwalają ci wlać w siebie cysterne gorzały i nazajutrz nie być wrakiem. No i dzięki nim, paradoksalnie, zwykle zachowujesz wystarczająco trzeźwy umysł, aby nie wdawać się w awantury z ludźmi dwukrotnie większymi od siebie.

Jak mawiał klasyk: *cocaine and hookers, my friend*. To nie tylko recepta na to, jak przetrwać na Wall Street. To wielka tajemnica wiary.

– Rozumiem, że nie będzie pan stawiał oporu i kajdanki możemy sobie darować?

Człowiek, który zadał to pytanie, przedstawił się jako prokurator Stanisław Nosal. Nie wyglądał jak prawnik, raczej jak księgowy. Dobrze radzący sobie w życiu, ale jednak księgowy. W dodatku krańcowo zmęczony. On też nie był pewien, czy to, co robią, ma sens.

Potrząsnąłem głową i natychmiast tego pożałowałem.

– Potrzebuje pan lekarza? – zapytał, celując palcem w mój łeb.

Odruchowo dotknąłem opuchniętej skroni. Wyczułem pod palcami guz, który automatycznie przypomniał mi posturę faceta z kibla. Mogło być gorzej. Znacznie gorzej.

– Mam okrutnego kaca, to wszystko – odparłem zachrypniętym, dawno nieużywanym głosem. – No i nie bardzo rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Tak jak mówiłem, zatrzymanie ma związek z zaginięciem Bartosza Dębińskiego. Jest pan podejrzan o udział w domniemanym zabójstwie. Dlatego musimy pana

przesłuchać i przeszukać mieszkanie.

– A jeśli popełniacie błąd?

– Mamy czterdzieści osiem godzin, aby wykonać wszystkie niezbędne czynności, w tym sprawdzić pańską linię obrony i przedstawić ewentualne zarzuty. Jeżeli nie prześlemy do sądu wniosku o zastosowanie tymczasowego aresztowania, będzie pan z powrotem wolny.

– I wtedy rozszarpie was za tę idiotyczną akcję.

Prokurator głęboko westchnął.

– Wtedy będzie pan mógł złożyć zażalenie i domagać się, by zbadano zasadność zatrzymania. – Zerknął na mnie. Uśmiechnął się. – Ale coś mi mówi, że do tego nie dojdzie.

Wkurwiał mnie ten półgłówek, ale to nie prokuratorem się przejmowałem. Szukałem wzrokiem Marii. Domyśliłem się, że szwenda się po domu. Nasiąka jego klimatem. Razem z technikami szuka czegoś, co mnie pogrąży albo przynajmniej uzasadni wtargnięcie.

– Muszę zadzwonić do adwokata – powiedziałem.

– Naturalnie.

– Teraz. – Spojrzałem na prokuratora, jakbym chciał mu wybić zęby. Co poniekąd było prawdą. – Potrzebuję do tego telefonu. Swojego telefonu – dodałem, widząc, że Nosal sięga do kieszeni marynarki. – Nie znam jego numeru na pamięć.

– Myślę, że to się wkrótce zmieni. Gdzie jest pański telefon?

– Tutaj. – Maria wychyliła się zza moich pleców. Przekazała mi iPhone'a. Po raz pierwszy spojrzała na mnie w taki sposób: wzrokiem łowcy.

– Dzięki.

Biorąc od Marii telefon, przejechałem palcami po jej dłoni w lateksowych rękawiczkach. Nie mogłem się powstrzymać.

Zadzwoniłem do Zjawińskiego. Szybko wyjaśniłem, co się stało, i poprosiłem, aby załatwił mi najdroższego karnistę w mieście. Nie najlepszego, tylko najdroższego. Chciałem, żeby prokuraterek i jego świta mieli świadomość, że zamierzam wytoczyć najcięższe działa. I że jestem gotów walić z nich, aż wszyscy wrogowie padną.

– Idziemy – powiedział Nosal, zwracając się do dwóch osiłków, którzy najwyraźniej mieli pilnować, abym nie zrobił nic głupiego.

– Chwileczkę. – Trochę na znak protestu, a trochę w geście obronnym uniosłem rękę. – Muszę iść do kibla.

– W areszcie znajdzie się jakaś toaleta.

– Ale nie w waszym samochodzie. – Zerknąłem na prokuratora. – Nie chcę zarzygać tapicerki.

Nosal przyjrzał mi się uważnie, próbując wyczytać z mojej skacowanej twarzy, czy czegoś nie kombinuję.

– Proszę się streszczać – powiedział.

– Jeżeli pan chce, mogę to zrobić przy otwartych drzwiach.

– To nie będzie...

– Tak będzie najlepiej. – Maria chwyciła mnie pod ramię i pomogła wstać. Zaciągnęła mnie do sracza. Niczym gnoja, który za nic w świecie nie chce się umyć.

– Pani mnie chyba nie lubi, co? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Była śmiertelnie poważna. Jak każdy człowiek, który wie, że rywal ma nad nim intelektualną przewagę.

Kłękając przed muszlą, czułem na sobie jej spojrzenie. I byłem niemal pewien, że się uśmiecha, odnotowując ten maleńki triumf.

Naciesz się, kurwo, tym widokiem.

Wepchnąłem palec do gardła, żeby skrócić farsę.

Tak już w życiu musi być, że nieszczęścia chodzą parami. Albo trójkami. Albo całą zgrają.

Sporo o tym myślałem, czekając w areszcie śledczym na Białołęce na przesłuchanie. Trwało to kilkanaście długich, wyjątkowo męczących godzin, w ciągu których oswajałem się z zadziwiająco wytrzymałym kacem, prowadziłem wewnętrzne dysputy na temat życia i układałem plan. Czy raczej zastanawiałem się, w jaki sposób powinienem odegrać swoją rolę. Bo sam plan był prosty: do niczego się nie przyznawać. Pod żadnym pozorem.

Odbyłem krótką rozmowę z przysłanym przez Zjawińskiego adwokatem. Był to nieco nadpobudliwy goguś, który sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego, że trafiła mu się sprawa tego kalibru. Tym bardziej że interesował się biznesem i mnie kojarzył – a przynajmniej tak utrzymywał. Oczywiście nie powiedziałem mu prawdy, tylko przećwiczyłem na nim składanie zeznań. Zresztą głównie do tego był mi potrzebny. Dzięki temu kiedy wreszcie zostałem wezwany do pokoju przesłuchań, czułem, że jestem gotowy.

Już na mnie czekali. Maria oraz gburowaty mięśniak, który przedstawił się jako Rafał Lewiński. Na niewielkim stole zamontowana była kamera, która miała

uwiecznić moje werbalne wycieczki. Do pokoju prowadziły dwie pary drzwi: te, przez które wszedłem, oraz sąsiadujące z szerokim lustrem weneckim. Zza niego zapewne przyglądali się nam prokurator, szef Wydziału Zabójstw i cholera wie kto jeszcze. Było prawie jak na filmach. Prawie. A ja prawie podnieciłem się zaistniałą sytuacją.

Przesłuchanie prowadził głównie Lewiński. Zaczął od standardowych formułek, które musiał wygłosić, a potem przeszedł do konkretów: pytań o to, co robiłem w wieczór zabójstwa alfonsa, dlaczego mój samochód widziano na Pradze, co wyczytniałem z Marczykiem i czy ktoś oprócz niego może to potwierdzić. Gdy zgromadził podstawowe informacje, osunął się na oparcie krzesła, splótł ręce na piersi i oddał lejce Marii.

– W pańskim mieszkaniu znaleźliśmy kilka gramów kokainy i marihuany – powiedziała, kładąc dłonie na notatkach, które prawdopodobnie służyły jej wyłącznie za rekwizyt. – Czy ma pan problem z narkotykami?

Rozłożyłem ręce.

– Lubię imprezować. Podczas zabawy zdarza mi się wspomagać różnymi substancjami. Ale nie uważam się za narkomana.

– Znaleźliśmy też tabletki, które zawierają związki chemiczne z grupy benzodiazepin. Prawdopodobnie...

– Klonazepam i tetrazepam.

– Zgadza się. To raczej nie są substancje imprezowe.

– Mam stresującą pracę. Codziennie spotykam się z ludźmi zarządzającymi wielomilionowymi lub miliardowymi fortunami. Prowadzę z nimi ostre wielopoziomowe negocjacje, które wymagają wiedzy, błyskotliwości i charyzmy. To trzy filary, na których opiera się dobra sprzedaż. Utrzymanie formy bywa kosztowne emocjonalnie. Czasem pomagam sobie tymi tabletkami, aby się rozluźnić czy zasnąć.

– Czy ktoś panu przepisał te leki?

– Nie.

– Czyli zdobył je pan nielegalnie?

– Jaki to ma związek ze sprawą, w której mój klient został zatrzymany? – włączył się adwokat.

– Zasadniczy. Rozmawialiśmy z kobietą, która twierdzi, że została zgwałcona przez pańskiego klienta. W jego mieszkaniu. – Maria przeniosła na mnie wzrok. –

Wcześniej została obezwładniona drinkiem mogącym zawierać substancje, których działanie przypomina silne benzodiazepiny. Ta kobieta to prostytutka. Pracowała dla

Bartosza „Druciarza” Dębińskiego, który prawdopodobnie został zamordowany na Pradze, w czasie gdy rzekomo widział się pan z Markiem Cieślikiem.

– Nie mam pojęcia, kim jest ta kobieta – odparłem.

– To ciekawe. Bo zdaje się, że zlecił pan swojemu znajomemu, prywatnemu detektywowi Pawłowi Kubackiemu, śledzenie tej prostytutki. Nawet dostał pan wczoraj wieczorem wiadomość w tej sprawie.

Udałem zdziwionego.

– W takim razie musiało mi coś umknąć. Co nie jest takie dziwne, zważywszy na to, że zaliczyłem *blackout*.

Maria zerknęła do notatek.

– „D. spotkała się z tą suką”. D., czyli Dagmara. Tak ma na imię ta prostytutka. A pisząc o suce, miał na myśli mnie.

Głośno się roześmiałem.

– Nie znam prostytutki o imieniu Dagmara. Znam za to Danutę Rolnicką. Paweł pomaga mi ją rozpracować. To żona właściciela spółki Rolkom, którą moja firma zamierza kupić.

– Rozpracować?

– Chcę, żeby Rolnicka rozwiodła się z mężem i przejęła część rodzinnego biznesu. Wówczas Cloud mógłby odkupić jej udziały, co znacznie ułatwiłoby nam przejęcie całej firmy. – Paweł nie miał bladego pojęcia o Rolnickiej. Ale założyłem, że w razie problemów potwierdzi moje słowa. Choćby dlatego, że nie lubi psów jak... psów. –

D. to Danuta, która widziała się z Weroniką Biernacką. To jej dobra znajoma i poważna bizneswoman. A przy okazji niezbyt lubiana i trudna osoba, która pomaga mi załatwić tę transakcję. Mogą to państwo łatwo sprawdzić.

Co z tego, że nie mam w telefonie innych tego typu wiadomości od Pawła? Co z tego, że w ogóle nie dostaję od niego esemesów? Co z tego, że o ile mi wiadomo, Rolnicka po raz ostatni widziała się z Biernacką ponad tydzień temu? Co z tego, że brzmi to cholernie naciąganie? Ano nic. W sytuacji, w której się znalazłem, całkowite wyparcie jest najlepszą taktyką. Również dlatego, że od razu pozwala zweryfikować, czy policjanci rzeczywiście coś na mnie mają, czy tylko blefują. A skoro Maria tak ostrożnie drążyła ten wątek, spotkanie z dziwką prawdopodobnie nie poszło po jej myśli. Czyżby Daga odmówiła składania zeznań? Czyżby w moim domu nie znaleźli nic, co wiązałoby mnie z tymi przestępstwami? Czyżby byli w czarnej dupie i nie wiedzieli, gdzie jest wyjście?

– Czy w dniu zabójstwa Dębińskiego spożywał pan razem z kolegą alkohol w klubie Lawa?

– Tak, wypiliśmy kilka piw.

– Żaden z barmanów panów nie pamięta.

– I to was tak dziwi? Pewnie każdy z nich obsłużył tego dnia kilkuset klientów.

– Być może. Ale dwaj z nich kojarzą pana z innych imprez. Dziwne, że nie odnotowali pańskiej obecności tamtego wieczoru.

– Czy zamierza pani zadać mojemu klientowi jakieś pytanie? – Adwokat odzywał się rzadko, ale kiedy już to robił, przemawiał tonem niepozostawiającym wątpliwości, że uważa policjantów za śmieci. Nawet go za to polubiłem. – Jeżeli tak, to proszę je sformułować.

– Jak wytłumaczyć to, że choć panowie zwykle poruszają się taksówkami albo korzystają z aplikacji przewozowych, to tym razem postanowili złapać kierowcę z postoju? – spytała Maria. – I że żaden z taksówkarzy, którzy kręcili się wtedy w okolicy Grenadierów, nie przypomina sobie takiego kursu?

Oczywiście mogłem wcześniej kazać Mareczkowi ściemnić, że nigdzie się nie ruszyliśmy. Ale kto by uwierzył, że dwóch heteroseksualnych gości w piątkowy wieczór postanowiło zostać w mieszkaniu i opowiadać sobie smutne historie?

– To żałosne – powiedziałem.

– Słucham?

– Żałosne i smutne jest to, że próbuje pani zgnoić uczciwego i powszechnie szanowanego człowieka, powołując się na słowa barmanów, taksówkarzy i jakiejś prostytutki.

– Wszyscy jesteśmy równi wobec prawa.

– Ale nie wobec Boga, Allaha czy innego stwórcy, w którego ludzie wierzą. Nie wobec historii. Nie wobec siebie nawzajem. Uczymy się, pracujemy i budujemy firmy, żeby dokładać kolejne cegiełki do naszego rozwoju cywilizacyjnego. Dlatego nie uważam, żebyśmy byli równi. Ktokolwiek lub cokolwiek będzie nas osądzać, podsumuje nasze dokonania. Przeanalizuje każde życie z osobna. Wyceni nasz wkład i wystawi rekomendację. Ale dopóki to nie nastąpi, musimy się wzajemnie osądzać. Na bieżąco. Na chłodno. Byłoby zatem miło, gdybyśmy to robili, kierując się choćby elementarną logiką, a nie czymś widzimisię czy nienawiścią. – Wbiłem w Marię wzrok. – A mam nieodparte wrażenie, że to właśnie pani robi. Wyżywa się na Bogu ducha winnym człowieku, którego z jakiegoś powodu nie cierpi. Czy tak powinien

postępować stróż prawa?

Trafiłem. Zraniłem ją. Widziałem, jak się czerwieni. A to oznaczało, że mam rację. Że nawet jeśli w jej mniemaniu jestem winny, to ściga mnie nie za to, co zrobiłem, tylko za to, kim jestem.

– Dlaczego pojechali panowie taksówką z postoju? – spytała, ignorując mój wywód. – I dlaczego zapłacili za kurs gotówką?

– A jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć.

Posłałem Marii najbardziej irytujący uśmiech, na jaki było mnie stać.

– Bo miałem taki kaprys.

Uważnie obserwowałem jej reakcję. Już nie była podenerwowana. Była wściekła. I dobrze. Bo ludzie, których do działania popychają emocje, częściej popełniają błędy.

Po raz pierwszy pomyślałem, że może ten dzień jednak nie będzie taki fatalny. I myślałem o tym w każdej kolejnej sekundzie tego kilkunastogodzinnego przesłuchania.

* * *

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem – powiedział Stefan Zaniewski, chudy dwudziestoosmiolatek w luźnych hiphopowych ciuchach, rozstawiając się z laptopem w jednej z sal konferencyjnych Komendy Głównej Policji. – Gość powinien zrobić z Pornhuba stronę startową. Albo z Redtube'a. Albo z XVideos. Albo...

– Rozumiemy – wciął mu się Lewiński. – Berger lubi porno.

– „Lubi” to mało powiedziane. On ogląda je nałogowo. Jeszcze tego nie policzyłem, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby częściej zaglądał na strony z pornuchami niż na jakiegokolwiek inne. Na trzech z nich wykupił nawet konta premium. Z podobną regularnością zagląda tylko do mediów biznesowych i na serwisy giełdowe.

– Jakie porno ogląda? – spytała Maria.

– Hetero.

– Tyle to...

– Nie ma sensu tego bardziej zawężać. Berger katuje w zasadzie wszystkie kategorie: nastolatki, uczennice, mamuśki, pielęgniarki, Azjatki, trójkąty, wielkie cycki, brutalne. Nawet policjantki. – Zerknął na Marię. – Nie wiem, czy gość jest gwałcicielem i zabójcą, ale wolałbym nie podawać mu ręki.

No cóż, może nie jestem z tego szczególnie dumny, ale faktycznie lubię oglądać,

jak ludzie się ruchają, i jednocześnie... sami wiecie. Zwłaszcza po grubych narkotycznych bibach. Gdy niezaspokojony wracam do domu, nie mogę spać i nie bardzo wiem, co zrobić z rękoma.

– Znalazłeś coś, co może świadczyć o tym, że korzysta z usług prostytutek? – spytał Lewiński.

– Przez kilka miesięcy regularnie odwiedzał strony z anonsami towarzyskimi, takie jak Odloty czy Roksa. Ale potem przestał. Ostatni ślad w tego typu miejscu zostawił mniej więcej pół roku temu. – Zaniewski pokręcił głową. – Najdziwniejsze jest to, że facet w ogóle nie czyści historii wyszukiwania. Jakby nie wiedział o takiej możliwości albo miał to w dupie.

Jak myślicie: jestem cyfrowym analfabetą czy zadbałem o to, żeby na tym kompie nic podejrzanego nie znaleźli? A może chciałem zrobić komuś mętlik w głowie? Przecież nawet najbystrzszemu policjantowi trudno byłoby dojść do wniosku, że taki nowoczesny facet jak ja, robiący zakupy przez internet, używający Apple Pay, korzystający z serwisów streamingowych i umawiający się na ruchanie przez internet, nagle postanowił zacząć wyławiać dziwki z pigalaków. Żaden pies nie wpadłby na to, że w którymś momencie odkryłem, iż moja kapryśna kuśka lepiej sobie radzi podczas zabaw z brudnymi ulicznicami niż w trakcie miłych schadzek z przedsiębiorczymi dziewczynami anonsującymi się w sieci. Za to niemal każdy uznałby, że skoro jestem takim progresywnym typem, to pewnie nie usuwam historii wyszukiwania tylko dlatego, że nie mam nic do ukrycia. *Simple as that.*

– Co znalazłeś na dysku? – spytał Lewiński.

– Niewiele – odparł Zaniewski. – Bilanse, arkusze Excela, listy kontaktów, przemówienia sprzedażowe. Bieżąca robota. A po częstotliwości otwierania plików wnoszę, że koleś raczej magazynuje je na kompie, niż haruje po godzinach.

– Co z pocztą? Dyskami w chmurze? Portalami społecznościowymi?

– Przepuściłem wszystkie dane przez program, który powinien wskazać interesujące nas zależności. Ale soft nie znalazł nazwisk, numerów telefonicznych czy adresów osób pozwalających połączyć aktywności Bergera ze śledztwem.

– A alibi, które zapewnił mu Cieślik? Jest legitne?

– Nie da się go ani potwierdzić, ani obalić. Z Markiem Cieślikiem rozmawiał głównie przez Messengera, ale nie dyskutowali o wieczorze, w którym zginął Druciarz. Nie ma też żadnego dowodu sugerującego, że dwa lata temu Berger był z Cieślikiem, kiedy ten odbywał przejazd z Artemem Butką. Ani że mógł się

w jakikolwiek sposób kontaktować z uberowcem. To samo tyczy się porwanych dziewczyn czy Bartosza „Druciarza” Dębińskiego. Natknąłem się natomiast na sporo dziwnych, dość agresywnych wiadomości. Tyle że większość z nich dotyczy kwestii zawodowych. Berger ma kosę z Józefem Rolnickim, jednym z najbogatszych Polaków. Od dobrych paru tygodni robią sobie koło pióra. Nie znam się na biznesie, ale mam wrażenie, że sposób, w jaki Berger próbuje go ograć, jest mocno nieetyczny. – Analityk rozejrzył się po sali. – Ale to was chyba mało interesuje.

– To wszystko? – spytał prokurator Nosal.

– Miałem na to raptem kilka godzin. Chcieliście, abym znalazł coś, co może jednoznacznie rozstrzygnąć, czy Berger jest człowiekiem, którego szukacie. Moim zdaniem niczego takiego tutaj nie ma. Ale jeżeli chcecie, będę szukał dalej.

Kiedy Zaniewski wyszedł z pokoju, w sali na kilkanaście sekund zapadła cisza. Ciężka, dusząca cisza, której nikt nie miał ochoty przerwać. Zrobił to dopiero Lewiński, odbierając telefon. Po paru mruknięciach do słuchawki rozłączył się, wepchnął smartfon z powrotem do kieszeni i głośno wypuścił powietrze.

– To Oleg – powiedział. – Zrobili okazanie. Dzieciak z Pragi, który widział zajście z alfonssem, nie rozpoznał Bergera.

Policjanci sami to sprowokowali. Doprowadzili do tego, że gówniarz widział mnie w trzech różnych wydaniach: zakapturzonego, rozwścieczonego i z kitką, ogolonego na zero i krańcowo zmęczonego, a także długowłosego, eleganckiego i szczerzącego się ze zdjęcia. Prawdopodobnie większość dorosłych miałaby problem z rozpoznaniem, a co dopiero jakiś paroletni przymuś z patologicznej rodziny. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszego świadka.

– Żaden sąd nie zgodzi się na tymczasowe aresztowanie człowieka tylko dlatego, że ten ogląda dużo porno – odezwał się prokurator Nosal. – Musimy go wypuścić.

Rzucił Papszonowi krótkie spojrzenie, po czym skierował się do wyjścia. Chwilę później naczelnik ruszył za nim. Zatrzymał się jednak przed drzwiami i popatrzył na Marię.

– Wpieprzyłaś nas na minę – stwierdził. – Odsuwam cię od śledztwa. To na początek. A teraz idę się zorientować, jak bardzo mamy przejebane.

Wyszedł. W środku zostali tylko Maria i Lewiński. Zadziwiająco do siebie podobni: strapieni, wściekli, przegrani. Pogodzeni z tym, że dali dupy.

– Tam musi coś być. Musi. – Maria spojrzała błagalnym wzrokiem na Lewińskiego. – Przecież tego nie zmyśliłam. Kurwa, powiedz chociaż, że mi

wierzysz.

Ale Lewiński najpierw milczał jak zakłęty, a potem wstał, szurając krzesłem, i wyszedł z pokoju.

Patrząc, jak się oddala, Maria czuła niesamowitą pustkę. Została z tym wszystkim sama. Bez przychylności prokuratora. Bez wsparcia ze strony Papszona i Lewińskiego. A nawet bez Olega, który zdążył jej dać do zrozumienia, że jest na nią wściekły za to, jak go potraktowała.

Kiedy siedziałem w cuchnącym areszcie, walcząc z nudnościami i obmyślając plan obrony, w życiu Marii zmieniło się wszystko. Z wyjątkiem jednego. Wciąż wierzyła, że jestem zabójcą.

* * *

– Sędzia najprawdopodobniej dojdzie do wniosku, że zatrzymanie było legalne, ale bezzasadne. Będziesz mógł ubiegać się o odszkodowanie, które albo zachowasz dla siebie, albo, jeżeli chcesz pokazać, że masz gest, przekażesz na jakiś cel charytatywny. To częsta praktyka w przypadku zamożnych ludzi.

– Załatwiłeś to, o co prosiłem?

Spojrzałem na Zjawińskiego. Jego niezrozumiała dobroduszość i trudna do poskromienia ciekawość sprawiły, że postanowił odebrać mnie z dołka po odsiadce.

– Tak – odparł, po czym odchylił się na bok, potrząsając swoim leciutkim sportowym autkiem. Wyjął z kieszeni torebkę marihuany. – Bletki są w podłokietniku. Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytał, wręczając mi tytkę.

– Najlepszy, jeżeli chcesz zapomnieć o ostatnich dwóch dniach, zresetować się i porządnie wyspać. Masz jakiś zeszyt albo coś w tym stylu?

– W schowku.

Otworzyłem skrytkę i wyjąłem brulion. Wysypałem na niego zawartość torebki. Zacząłem drobić palcami towar.

– I co teraz zamierzasz? – zapytał.

– Nic.

– Poważnie?

– Każdy ma prawo do błędu. Policjanci założyli, że szukają długowłosego mężczyzny, który w noc zabójstwa przebywał w okolicach ronda Wiatraczna i nie może w pełni udowodnić, że nie mordował w tym czasie alfonsa. Spełniam te kryteria. Tyle że założenia były błędne.

Nie wspomniałem Zjawińskiemu, że podczas przesłuchania psy sprytnie omijały wątek Druciarza, sprawdzając na wszystkie sposoby, czy mogę mieć coś wspólnego z zaginięciami dziewczyn. Weryfikowali daty, szczegółowo analizowali moje życie zawodowe, dopytywali o zwyczaje, samochody, nieruchomości i interesy. Byli nieźle przygotowani. Do tego stopnia, że nie mogłem po nich poznać, iż całą akcję przygotowywali w pośpiechu i na wariackich papierach.

– Czy ktoś wie o zatrzymaniu? – spytałem.

– Na szczęście nie, a przynajmniej do tej pory nikt o tym nie napisał. Najwyraźniej psy też nie miały pewności co do swoich działań, więc wołały się nie pucować w mediach. Dzisiaj jest kluczowy dzień. Jeżeli żaden serwis nie wysra się na twój temat, to jesteśmy w domu.

– Rolnicki wie?

– Nie sądzę. Od kilku dni urabia gości z private equity. Pewnie nie wystawia ryja znad Excela.

Przejechałem językiem wzdłuż bletki, kończąc rolować jointa.

– To blef – stwierdziłem. – Rolnicki wcale nie zamierza sprzedać firmy. Układa się z żoną, żeby zapobiec rozwodowi i zachować status quo.

– Pierdolisz?!

Potrząsnąłem głową.

– On wierzy, że Rolkom jeszcze przez kilka lat będzie się bronił przed próbami przejęcia, jednocześnie rosnąc kilkadziesiąt procent rok do roku.

– Bzdura.

– Też tak uważam. Ale to bez znaczenia. Trzeba wymyślić nowy sposób, żeby przejąć jego firmę. Szantaż związany z ujawnieniem, że jest pedałem, może nie zadziałać.

Nie chciało mi się wdawać w szczegóły mojego spotkania z Rolnickim i jego kochasiem, więc zostawiłem Zjawińskiego z rozdziawioną gębą i dziesiątkami pytań cisnących się na usta. Zresztą i tak nie miałem do tego głowy. Choć od paru godzin starałem się skupić na czymś konstruktywnym, nie mogłem przestać myśleć o Marii. Bardzo mi się nie podobał sposób, w jaki na mnie patrzyła. W jaki do mnie mówiła. I w jaki najprawdopodobniej o mnie myślała. To nie była bez troska i pewność siebie, jakimi epatowali Alicja i Solski. W oczach tej upartej policjantki widziałem nienawiść i odrazę. Chciała mnie wypatroszyć. Zgnoić. Zniszczyć.

– Chcesz? – zapytałem, unosząc blanta na wysokość głowy.

– Nie jaram – odparł Zjawiński. – I ty też nie będziesz, dopóki nie wyjdiesz z mojej fury.

– *Fair enough.*

– Co zamierzasz?

– Upalić się, przekimać, a potem naprawić wszystkie błędy, jakie popełniłem.

– Czyli?

– Byłem zbyt miękki. Zbyt dyplomatyczny. Zbyt grzeczny. Koniec z tym.

– Zanim cokolwiek zrobisz, powinieneś to dobrze przemyśleć. Na chłodno. Teraz jesteś zbyt wkurwiony po wizycie na dołku, żeby racjonalnie myśleć.

– Do tej pory sądziłem, że z biznesmenami muszę pogrywać jak biznesmen. Prężąc mięśnie i chwając się swoim zapleczem. Używając wyrobionych przez lata kontaktów. Naginając rzeczywistość. Ale to nie działa. Żeby wygrać, muszę postępować zgodnie ze swoją naturą. A ta bardzo wyraźnie mi podpowiada, że nie jestem biznesmenem.

– A kim?

– Sprzedawcą. – Zerknąłem na Zjawińskiego. – Zatrzymaj się na skrzyżowaniu. Resztę drogi pokonam pieszo.

– Na pewno?

– Po prostu się zatrzymaj.

Zjawiński podjechał na przystanek autobusowy niedaleko metra Centrum. Włączył światła awaryjne. Popatrzył na mnie. Wzrokiem zbitego psa. Spojrzeniem frajera, który ostatkiem sił próbuje dopłynąć do brzegu.

Wysiadłem bez pożegnania. Przystanąłem obok garstki ludzi czekających na autobus. Zapaliłem jointa. Tego mi było trzeba. Nie marihuany, tylko oczyszczenia umysłu. Wyostrenia zmysłów. Uwypuklenia priorytetów. A te, choć czasem znikwały z mojego horyzontu, chowając się za kawalkadą przyziemnych spraw, od lat pozostawały takie same.

Nakręcaj się na cel.

Omijaj przeszkody.

Mierz się z przeciwnościami.

Realizuj marzenia.

Idź po swoje.

Nie licz na los.

I najważniejsze: stwórz siebie. Takiego, jaki chciałbyś być. Z jakiego będziesz

niezaprzeczalnie dumny. Jaki zostanie zapamiętany. Po wieki wieków. Amen.

Może wejdziemy?

Maria długo i pieczołowicie zgniatała peta w popielnicy. Kiedy skończyła, zerknęła na Olega, który z rękoma wepchniętymi w kieszenie kulił się niczym żółw w skorupie, bombardowany zacinającym ostro deszczem. Wyszedł z nią wyłącznie po to, aby usłyszeć wyjaśnienia. Dlaczego zorganizowała to wszystko w takim pośpiechu? Dlaczego postawiła komendę i pół prokuratury na nogi, nie mając pewności, że w mieszkaniu Bergera znajdą coś, co go pogrzyży? I wreszcie dlaczego zrobiła to wszystko za jego plecami? Nie informując o niczym, nie zdradzając planów, nawet nie próbując zaangażować go w cały proces. Jakby nagle stał się jej wrogiem.

Ale Maria, zamiast cokolwiek wyjaśnić albo chociaż odpowiedzieć na jego ostatnie pytanie, wyjęła kolejnego szluga.

– Byłam pewna, że coś tam znajdziemy – powiedziała. – On nie zabija tych dziewczyn kompulsywnie. Starannie je wybiera. Ma dopięty w każdym detalu system, nad którym musiał długo pracować. Nie wierzę, że nie zostawia żadnych śladów planowania. Ani pamiątek.

Oleg uniósł brwi.

– Masz na myśli części ciała?

– Albo fragmenty ubrań, błyskotki czy zdjęcia. Jakieś drobiazgi, które wyróżniają te dziewczyny.

– Może nie jest zbyt sentymentalny.

Potężna kropla spadła na czubek papierosa, przez co Maria musiała ponownie go rozpałić. A zapalniczka, jak na złość, nie chciała działać. Podobnie jak większość rzeczy w jej życiu. W tym zdolność logicznego rozumowania, świeży nabytek na jej prywatnej liście nieudolności.

– Może – odparła. – A może nie jesteśmy dość uważni.

– Sprawdziliśmy mieszkanie, komputery, samochody i finanse. Rozmawialiśmy z ludźmi z jego otoczenia. Zweryfikowaliśmy alibi na czas zabójstwa alfonsa i mimo pewnych wątpliwości musimy je uznać. Nawet odtworzyliśmy szczegółowo

harmonogram działań Bergera w dniu porwania ostatniej z dziewczyn. Zrobiliśmy wszystko co należy. Nic twardego na niego nie mamy.

– Z wyjątkiem nieoficjalnego zeznania kobiety, która twierdzi, że nafaszerował ją jakimś syfem i zgwałcił.

– To prostytutka. Jaką ona ma wiarygodność?

– Procesowo pewnie żadną. Ale nie widzę powodu, dlaczego miałyby ściemniać. – Maria wreszcie uporała się z zapalniczką i wydmuchnęła przed siebie dym. Następnie zapatrzyła się w mokry asfalt. – Spróbuję ją namówić, żeby złożyła oficjalne zeznania. A potem znajdę miejsce, w którym katował te dziewczyny.

Oleg parsknął pod nosem.

– Przecież nawet nie wiemy, co się z nimi stało.

– Wiemy, że nie wróciły do domu.

– I nic poza tym. Reszta to tylko domysły. Bajdurzenie. Szyte grubymi nićmi teorie. – Oleg zamilkł i rozejrzał się dookoła, z zazdrością wyłapując przechodniów z parasolkami. Potem spojrział na Marię, której ponownie zgasł papieros. – Wejźmy. Pada. Jest naprawdę chujowo. Zaraz mi buty przemokną.

Maria zerknęła na partnera. Potem na papierosa, który wyglądał jak kawałek bibuły po kastracji. I wreszcie znów na Olega, jak gdyby szukała między nimi podobieństw.

– Wiesz, dlaczego o niczym cię nie poinformowałam?

– Nie, ale postanowiłem, że dla świętego spokoju nie będę drażył tematu. Wracamy?

– Właśnie dlatego.

– Bo nie lubię moknąć?

– Bo jesteś leniwy. Gównu cię obchodzi, czy złapiemy tego faceta. Masz tylko nadzieję, że nie będziesz musiał uganiać się za nim po godzinach. Że praca nie pożre czasu, jaki poświęcasz rodzinie, programowaniu albo grzebaniu w tyłku.

Oleg parsknął z niedowierzaniem.

– Naprawdę masz problem z tym, że lubię spędzać czas z dziećmi?

– Nie wykazujesz żadnego zaangażowania – kontynuowała Maria. – Jesteś tylko dumnym wykonawcą poleceń, który niechcący natknął się na sprawę przerastającą jego siły. Gdybym poszła z tobą do Papszona, samą swoją zboląłą gębą zniechęciłbyś go do podjęcia ryzyka. – Pokręciła głową. – Nie powinniśmy pracować nad tą sprawą. W ogóle nie powinniśmy ze sobą pracować.

– To prawda. A ty, zamiast zabierać się do jakiegokolwiek śledztwa, najpierw

powinnaś uporządkować swoje sprawy.

– Nic nie wiesz o moim życiu.

– Wiem, że przez bycie niedostępną suką codziennie wracasz do pustego mieszkania.

– Pierdol się.

– Sama się pierdol. To nie ja jestem twoim problemem. Może kiedyś to, kurwa, zrozumiesz.

Oleg strząsnął krople deszczu z kurtki, poprawił kołnierz i wszedł do komendy. Maria jeszcze przez kilka sekund przyglądała się zmoczonemu petowi, przypominającemu w jej palcach bliżej nieokreśloną formę życia, po czym wyrzuciła go pod nogi. Włożyła rękę do kieszeni. Wyjęła opakowanie xanaxu. Zaklęła. Ostatnia tabletką. A przecież nawet wiadro psychotropów nie byłoby w stanie przywrócić jej do pionu. Uwolnić niepokojąco splątanych myśli. Sprawić, że będzie ciekawa, co przyniesie jutro. I czy w ogóle jakiegokolwiek jutro ją czeka.

Ulewa miała swoje plusy. Skutecznie zakrywała ścianę smutku, którą Maria odgrodziła się od zewnętrznego świata. Sprawiała, że żaden z przechodniów nie widział, jak lzy ściekają po jej rozdygotanych policzkach.

* * *

Podobno prawda to waluta przyszłości. Paliwo nowoczesnego wizerunku. Klucz do stania się autentycznym, wzbudzającym zaufanie przywódcą, który niczym Mojżesz prowadzi swój lud przez nieprzystępną egipską ziemię.

Prawda. Autentyczność. Zaufanie. Przywództwo.

Bullshit. Jedno wielkie, przyozdobione złotymi spinkami gówno.

Prawda to trucizna. Zakazany owoc. Wystarczy raz po niego sięgnąć, aby wszystko, co tak misternie budowałeś, legło w gruzach. Prawda jest jak cios z zaskoczenia wymierzony w najsłabiej obudowaną mięśniami część ciała. A przez to najbardziej bezbronną.

Ale czasem nie da się uniknąć prawdy. Nie da się przejść przez życie z idealnym kamuflażem. Czasem trzeba się odsłonić. Pozwolić, aby ktoś wbił ci włócznię w bebechy.

– Co to za lokal?

Dobre pytanie, pomyślałem, zerkając na Marczyka. Wyglądał na spiętego. Bardziej spiętego od hipsterów tłoczących się w mokotowskiej śniadaniowni, do której go

zaprosiłem.

– Zbyt zwyczajny dla ciebie? – spytałem.

Mareczek wzruszył ramionami. Zrobił to jakoś nienaturalnie. Jak facet, który się strasznie stresuje, ale za wszelką cenę próbuje to ukryć.

Nic dziwnego. Mareczek nie wiedział, dlaczego chciałem się spotkać. Nic mu nie powiedziałem. Ale każdym skrawkiem ciała czuł, że chodzi o coś niepokojącego. Że facet, który dopiero co wyszedł z aresztu, który go nakłonił, aby naściemniał psom, który zbudował pomiędzy nimi dziwną siatkę wzajemnych zobowiązań oraz długów i którego przez większą część swojego nieudolnego życia uważał za przyjaciela, przeobraził się w jeden wielki generator problemów.

Nie mogłem go winić za takie myślenie. Mogłem natomiast sprawić, aby stało się całkowicie uzasadnione.

– Przeważnie spotykamy się w innych miejscach – odparł. – Albo bardziej wytwornych, albo bardziej speluniastych. Tutaj jest po prostu normalnie.

Miał rację. Meble z odzysku, wegetariańskie menu, napoje w słoikach, stare książki na półkach, indie rock sączący się z głośników, kelnerka w powyciąganym swetrze. Właściciel zapewne chciał się czymś wyróżnić, stworzyć nowoczesny lokal dla szeregowych pracowników korpo, którzy kiepsko gospodarują kasą. Ale wyszedł mu z tego najbardziej sztampowy przybytek, jaki można sobie wyobrazić. Niczym nieróżniący się od dziesiątków innych miejscówek. Typowy dramat hipstera: chcesz być wyjątkowy, ale zamiast tego stajesz się małym elementem niekończącej się szarej masy.

Oczywiście w niczym mi to nie przeszkadzało. Nie wybrałem tego miejsca ze względu na jego designerskie walory.

– Wiesz, dlaczego twoja siostra mnie nie lubi? – zapytałem.

Mareczek zaśmiał się pod nosem.

– Nigdy się do tego nie przyznała, ale chyba rzeczywiście jest coś na rzeczy. Nie wygląda na szczególnie szczęśliwą, kiedy jej mówię, że się z tobą widziałem.

– Pamiętasz imprezę u Czarka?

– Pamiętam, że się odbyła. Z samego melanzu mam niewiele wspomnień.

– Czarek przytargał z piwnicy bimber swojego dziadka. Strasznie mocne dziadostwo. Wszyscy mieli po nim kaca.

– To akurat pamiętam.

– Dosypałem coś do bimbru. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czym dokładnie jest

roofie.

Mareczek ze zdziwienia otworzył usta.

– Wrzuciłeś tabletkę gwałtu do bimbrow? – spytał.

– Nie miałem pojęcia, jaki przyniesie efekt. Facet, od którego ją kupiłem, powiedział tylko, że działa jak wyjebane w kosmos valium. Bardzo szybko i bardzo intensywnie. Sprawia, że panny momentalnie chcą się ruchać. Tylko trzeba uważać, bo jeśli się przesadzi, wszyscy pójdą w kimę i będzie po imprezie. – Wzruszyłem ramionami. – Nie chciałem, żeby wiksa się skończyła, więc przelałem część bimbrow do osobnej butelki i to w niej rozpuściłem roofiego. O ile mnie pamięć nie myli, ty akurat piłeś z tej drugiej. – Uśmiechnąłem się, próbując zmiękczyć marsową minę Mareczka. – Kilka osób wpadło na imprezę ze sporym poślizgiem. W efekcie zaczęło balet od wypicia zanieczyszczonego bimbrow. Jedną z nich była Malwina Żak.

– Pamiętam ją. Miała zajebiście duże cycki.

– I fatalny zgryz. Ale mimo wszystko była całkiem atrakcyjną panną, zwłaszcza gdy miała na sobie obcisłe dżinsy i bluzkę z dużym dekoltem. Nie raz i nie dwa trzepałem gruchę do jej zdjęcia.

– Ja też.

Mareczek się roześmiał. Szczerze. Nieskrępowanie. Na kilka sekund ponownie zamienił się w nastoletniego kurdupla, który musiał wierzyć w swoje zdolności manualne, ponieważ żadna panna – naćpana czy nie – nie poszłaby z nim do łóżka.

– Bimber sprawił – kontynuowałem – że Malwina łąsiła się do facetów, jakby chciała obskoczyć kilka kutasów naraz. W którymś momencie zamknęła się w pokoju. Sądziłem, że poszła tam z jakimś typem. Zajrzałem do środka, żeby zobaczyć ich w akcji. Ale Malwina z nikim się nie zabawiała. Za to uśmiechała się do mnie, jakbym był księciem na białym koniu.

Zamilkłem. Nie spuszczać wzroku z Mareczka, wypilem duszkiem espresso. Jego lurowate cappuccino w dalszym ciągu stało nietknięte.

– Okej, to nie było zbyt eleganckie – odezwał się w końcu. – Ale też nie przesadzajmy z pruderyjnością. W liceum robiło się różne dziwne akcje. Pamiętasz, jak na imprezie u Rudego chcieliśmy wziąć na dwa baty tę nawaloną laskę? Ile ona miała lat? Piętnaście, szesnaście? Ostatecznie tego nie zrobiliśmy, ale Waldek...

– Nie wyruchałem Malwiny – przerwałem mu. – Kiedy zacząłem się do niej dobierać, porzygała się i po chwili usnęła. Ale w tym pokoju była jeszcze jedna atrakcyjna dziewczyna, która piła bimber z niewłaściwej butelki.

Mareczek wreszcie przyciągnął do siebie kawę.

– Twoja siostra – dokończyłem.

Czasem ludzie dziwnie reagują na szokujące wieści. Tak jakby wypełniona stresem bomba, którą ktoś wepchnął im do gardła, zamiast eksplodować, umościła się w ich narządach wewnętrznych. I dopiero po uwiciu sobie wygodnego gniazdka zaczynała show. Tak było i w tym przypadku. Dowiedziawszy się, że kilkanaście lat temu najlepszy kumpel zerznął jego półprzypadkową siostrę, Mareczek posłodził kawę i bardzo dokładnie ją wymieszał. Najdokładniej na świecie.

– Co to, kurwa, znaczy? – zapytał łamiącym się głosem. – Co mi próbujesz powiedzieć?

– Sporo zawdzięczam twojej siostrze. Ukształtowała mnie. Uwolniła instynkty, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Sprawiała, że zrozumiałem, czego tak naprawdę pragnę.

– Coś ty zrobił?

Nie wiedziałem, czy pyta o finał historii z siostrą czy o moje wyznanie. Ale bez względu na to odpowiedź była ta sama.

– To, co musiałem.

Wyrzałem przez okno. Jak już wspominałem, nie wybrałem tego miejsca ze względu na gust właściciela. Chodziło o lokalizację. Śniadaniownia była wciśnięta w trzypiętrowy blok, w którym zmieściły się jeszcze zakład ślusarski, salon fryzjerski oraz pizzeria. Przed budynkiem stały ukośnie zaparkowane samochody. Było też kilka niezbyt urodziwych drzew tworzących iluzoryczną ochronę przed słońcem. Ale najważniejsze, że miałem stąd świetny widok na jedyny warszawski adres, jaki mnie obchodził – Kazimierzowską dwadzieścia sześć.

Musiałem się urodzić w czepku. Bo gdy po raz kolejny zerknąłem na ulicę, ujrzałem osobę, dla której tam przyszedłem.

Moją drogą Dagę.

Wyglądała lepiej niż ostatnio. Pogodniej. Ładniej. Zaczynała żyć. Uwierzyła, że nic jej nie grozi. Że skoro powiedziała policji, kim jest człowiek, który ją skrzywdził, wszystko musi się skończyć dobrze. Zwizualizowała sobie świat, w którym jest bezpieczna. Świat, którego nigdy nie pozna.

– To prawdopodobnie nasze ostatnie spotkanie – odezwałem się, przypominając sobie o Mareczku.

– Dlaczego mi o tym powiedziałaś?

– Chciałem, żebyś wiedział. Żebyś... żebym nie musiał dłużej tego tłumić. Możesz mi wierzyć lub nie, ale męczyło mnie to przez wszystkie lata naszej znajomości. Było jak kilkotonowy kamień, który nie pozwala mi odfrunąć.

To oczywiście ściema. Całe zajście z tą wiecznie naburmuszoną krową spłynęło po mnie jak po gęsi. Nigdy tego nie żałowałem. Przyznałem się tylko dlatego, że musiałem po sobie posprzątać. Pozamykać stare sprawy, zanim otworzę nowe. A że bywam sentymentalny, kwestia Marcuszka i jego siostry wydała mi się istotna.

Może was dziwić, że wyznałem coś takiego facetowi, który chronił moje tyły. Który w każdej chwili – w akcie zemsty albo głupoty – mógłby sprzedać mnie psom, niszcząc moją zgrabną historyjkę i zgrabnie zaprojektowane życie. Ale właśnie to czyniło moje wyznanie tak ekscytującym.

– Muszę już iść. – Wstałem i wyciągnąłem do Marcuszka dłoń. – Do zobaczenia. W tym albo innym życiu.

Długo się wahał. Emocje podpowiadały mu, że powinien wydłubać mi oczy. Ale instynkt zakompleksionego frajera sugerował coś zgoła odmiennego.

W końcu niechętnie się pożegnał.

Wyszedłem z lokalu. Zatrzymałem się za jednym z drzew, aby przyjrzeć się Dagmarze. Rozmawiała przez telefon. Uśmiechała się. Dowcipkowała. Przez dłuższą chwilę bawiła się kluczem, nim włożyła go do zamka i otworzyła drzwi. Jeszcze nie czuła się na tyle swobodnie, aby otwierać je za pomocą hasła do domofonu. Ale mimo to miałem wrażenie, że całkiem nieźle się zadomowiła w swoim nowym kurwidołku.

Najwyższy czas to zmienić.

Ale najpierw musiałem uporać się z czymś innym.

* * *

– Wejdz – powiedział Papszon, prostując się na krześle.

Maria zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała, żeby ktokolwiek przysłuchiwał się ich prawdopodobnej kłótni. Usiadła naprzeciwko szefa, który przyglądał się jej apatycznym wzrokiem.

– Rozmawiałem z adwokatem Bergera – oznajmił. – Nie wniesie skargi. Podobno gdy Berger doszedł do siebie, stwierdził, że nie ma do nas żalu. Docenia determinację, z jaką działamy. No i nie jest mściwy. A tłumacząc to na ludzkie, boi się, że rozdmuchanie całej historii mogłoby mu zaszkodzić.

– To chyba dobrze – powiedziała Maria.

– Dla stołecznej policji z pewnością tak. Dla mnie i Nosala również. Właśnie się dowiedzieliśmy, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie odwołał z nami spotkanie, co interpretuję jako rozgrzeszenie. Ale twojej sytuacji to nie zmienia.

Maria przygryzła wargi. Spodziewała się, że Papszon nie będzie dla niej szczególnie wyrozumiały po tym, jak naraziła na szwank siebie, jego i cały wydział. Ale mimo wszystko liczyła... No właśnie, na co ona liczyła? Że ją uściska? Że wręczy jej medal? Że wystawi przed siebie palec, poprosi, aby go pociągnęła, a kiedy już spierdzi się na zawołanie, będą się zaśmiewać do rozpuku?

– Prawdę mówiąc – kontynuował Papszon – nie wiem, co z tobą zrobić. Cenię twoje umiejętności i trochę mięknię z wiekiem, więc najchętniej przytknąłbym oko na tę wpadkę. Ale choć trudno mi to przyznać, nie jestem jedyną osobą, od której zależy twój los. Ludzie z prokuratury są strasznie wkurwieni. Naciskają, abym się ciebie pozbył. Wolałbym tego uniknąć, ale... sama rozumiesz...

– Rozumiem.

– Nie chciałem, aby mieli poczucie, że mogą mi wleźć na głowę, więc spotkaliśmy się w połowie drogi. Zachowasz stanowisko, ale zostaniesz ukarana naganą i odsunięciem od sprawy. A przy kolejnej wpadce wylatujesz. Zrozumiano?

– Zrozumiano. Dzięki.

– No i musisz wycofać tego chłoptasia, któremu kazałaś śledzić Bergera.

– Skąd...

– Nieważne. Po prostu wiem. Dobrzy policjanci wiedzą takie rzeczy.

Cholerny Oleg, pomyślała Maria. Gdy trzeba o coś powalczyć, nie potrafi otworzyć gęby. A kiedy trzeba pomilczeć, okazuje się, że ma cholernie długie jęzor.

– Kto mnie zastąpi? – spytała, zerkając na zwarty plik dokumentów leżący przed Papszonym.

– Nikt. A w zasadzie wszyscy po trochu. Rozbijamy śledztwo na części. Każde z domniemanych porwań będziemy badać osobno w kilkusobowych zespołach.

– Żartujesz, prawda?

– A są twarde dowody, że mamy do czynienia z seryjnym porywaczem?

– Nie, ale...

– No to co się, kurwa, dziwisz?

– Przecież wiesz, że te porwania są powiązane. Podobnie jak zabójstwo Druciarza. I wiesz, że za każdym z tych przestępstw stoi ten sam człowiek.

– Może tak, może nie. To, na co natknął się Oleg i co potem wspólnie przeanalizowaliście, wydaje się mieć całkiem solidne fundamenty. Ale to nie znaczy, że macie rację. Już raz zaufaliśmy twojemu instynktowi i skończyliśmy z ręką w nocniku. Teraz musimy uwierzyć dowodom. A tych na razie brak.

Przez kilka sekund milczeli. Maria wpatrywała się w ścianę, z trudem powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś, czego potem będzie żałować.

– Posłuchaj. – Naczelnik przesunął papiery i położył dłonie na biurku. – Nie chcę się wpierdalać w twoje prywatne sprawy, ale może powinnaś spróbować dogadać się z mężem.

Maria przeniosła na niego wzrok. Już wcześniej była wściekła, ale teraz sprawiała wrażenie dokumentnie wkurwionej.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie i nie zamierzam. Ale ty powinnaś.

– Nie zejdziemy się.

– Tego nie wiesz.

– Wiem.

Papszon ciężko westchnął. Prywatne rozmowy zawsze go stresowały.

– Zdradził cię?

– Nikt nikogo nie zdradził.

– To dobrze. Z własnego doświadczenia wiem, że dopóki facet nie wkłada chuja w niewłaściwą szparę, a kobieta nie daje innemu, wszystko można naprawić.

– Nie wszystko.

– Jak już mówiłem, nie chcę się wpieprzać. Ale jako twój szef powinienem wiedzieć, co między wami zaszło, bo to wyraźnie rzutuje na twoją pracę. Żaden ze mnie psycholog, ale mam za sobą dwa gówniane małżeństwa i jedno, które jak na razie, odpukać, ma się całkiem nieźle, więc być może jestem w stanie pomóc. – Bezradnie rozłożył ręce. – A jeśli nie, to przynajmniej zrzucisz ciężar z serca.

Maria ponownie odwróciła się w stronę ściany. Myślała o dniu, który o wszystkim przesądził. Przypomniła sobie tamtą kłótnię z Piotrem. Często się sprzecali, ale zwykle robili to bezgłośnie. Jak dwoje głuchoniemych, których cały świat, cała komunikacja, cała ekspresja sprowadza się do gestów, często zrozumiałych wyłącznie dla nich. Ale tym razem było inaczej. Głośniej. Z wyzwiskami. Z atakami personalnymi. Z ekspresowym praniem brudów, które nawarstwiały się od początku znajomości. Jakby oboje wreszcie znaleźli patent na to, jak wyrzucić z siebie

wszystko, co przez lata ich podtruwało. Na to, jak wreszcie wyznać sobie prawdę.

Chciała powiedzieć o tym wszystkim Papszonowi. Ale nie mogła. Z jakiegoś powodu nie mogła.

– Berger ma jakieś miejsce, w którym przetrzymuje dziewczyny. – Przetarła kłykciami oczy, które samoistnie napełniły się łzami. Następnie przekrzywiła się na krześle, aby wyjąć coś z kieszeni. – Być może nie usunął wszystkich dowodów łączących go z porwaniami. I z całą pewnością nie pozbył się wszystkich ludzi, którzy świadomie lub nie mogą mu w tym pomagać.

Położyła na biurku jakiś świstek.

– Co to jest? – spytał Papszon.

– Imię i nazwisko prostytutki, którą Berger skatował. Nie wiem, gdzie teraz przebywa, ale jestem pewna, że nigdzie nie wyjechała. Prawdopodobnie ukrywa się w jakiejś norze. Czeka, aż wykonamy swoją robotę i zwiniemy tego psychola.

Papszon spojrział na kartkę i zmrużył oczy.

– Jak się...

– Popytałam gdzie trzeba. Tak podobno robią dobrzy policjanci.

Maria wyszła z gabinetu, zanim Papszon wymyślił sensowną ripostę.

* * *

Jeżeli Rolnicki przynajmniej w pięćdziesięciu procentach był ze mną szczerzy, umawianie się z jego żoną nie miało sensu. Dlatego postanowiłem złożyć jej niezapowiedzianą wizytę. Podjechałem taksówką na róg Żurawiej i Brackiej, a następnie wszedłem do jednej z niewysokich kamienic, z których rozciągał się widok na plac Trzech Krzyży. Mieściła się w niej jedna z trzech siedzib fundacji Rolkomu, obok znacznie większej w Łodzi i nieporównywalnie bardziej reprezentacyjnej w Genewie.

– Przykro mi, ale pani Rolnicka ma spotkanie. – Sekretarka siedziała za białą recepcyjną ladą. Czytała książkę. Nie wyglądała ani na zarobioną, ani na szczególnie potrzebną. – Kończy za piętnaście minut, ale później ma umówionych jeszcze dwóch gości. A potem jedzie na lotnisko.

– Chciałem z nią tylko zamienić słowo – odparłem. – Nie zajmę jej więcej niż pięć minut. Jeżeli to nie problem, zaczekam, aż skończy spotkania.

– Naturalnie. Przekażę Danucie wiadomość. Może pan przypomnieć swoje nazwisko?

– Dziękuję. Mecenas Konrad Kustowicz, jestem współnikiem adwokata pani Rolnickiej.

Sekretarka posłała mi wymuszony uśmiech, po czym wstukała wiadomość w smartfonie.

– Napije się pan czegoś?

– Poproszę kawę, najlepiej z dużą ilością mleka i cukru. Jak pan Wolf z *Pulp Fiction*.

Odwołania do klasyków zawsze działają, dlatego sekretarka momentalnie wypogodniała i z animuszem pognąła do kuchni. Odprowadziłem ją wzrokiem, a potem przypomniałem sobie dwóch gogusiów, których minąłem na klatce schodowej. Dyskutowali o jakimś projekcie informatycznym dla fundacji, ale nie wyglądali na jej pracowników. Postanowiłem zaryzykować. Zerknąłem na wysokie białe drzwi na końcu korytarza i ruszyłem w ich stronę.

– Co ty tu robisz? – zdziwiła się Rolnicka.

Przyląpałem ją w pozycji półleżącej, z nogami wyciągniętymi na blacie. Na jej wyczyszczonym niemal do zera biurku stał wyłączony iMac z absurdalnie dużym ekranem. Rolnicka dłubała w telefonie, ale wyglądało to raczej na przeglądanie memów niż na ciężką pracę.

– Musimy pogadać – odparłem.

– Wybrałeś kiepski moment. – Ściągnęła nogi z blatu, pospiesznie włożyła szpilki i wyszła mi naprzeciw, jak gdyby zamierzała mnie spoliczkować. – Za chwilę mam spotkanie, a potem lecę do Genewy. Poza tym właśnie się dowiedziałam, że współnik mojego adwokata wpadł z wizytą.

– To ja jestem tym współnikiem. Wybacz podstęp, ale nic lepszego nie wykombinowałem.

Możecie uważać mnie za narcyza i kabotyńca – nie pogniewam się. Lubię luksus. Lubię jeździć wypasionymi furami, nosić szyte na miarę garnitury, pić drogi alkohol, wciągać koks i dobrze żyć. Ale nie jestem hipokrytą. A gabinet Danuty Rolnickiej wyglądał jak szczyt hipokryzji. Szefowa fundacji mającej pomagać ubogim dzieciakom w nauce informatyki uwiła sobie przytulne, mniej więcej pięćdziesięciometrowe gniazdko, w którym upchnęła designerską sofę, garderobę z wysokim na dwa metry lustrem, malowidła jakichś abstrakcjonistów, fotel relaksacyjny, komputer za trzydzieści patyków oraz akwarium. Tak, akwarium. Z rybkami, grzałkami, odmulaczami, fajkami i całym tym akwarystycznym

badziewiem.

– Chciałem cię przeprosić – powiedziałem.

– Za to, że mnie okłamałeś?

– Za wszystko. Ale przede wszystkim za to, że potraktowałem cię instrumentalnie. Miałem gdzieś, czy rozwód i sprzedaż firmy będą dla ciebie korzystne. Chciałem za wszelką cenę dopiąć deal z twoim mężem, zgarnąć kilka milionów premii i wejść do wyższej ligi.

Rolnicka skrzyżowała ręce na piersi.

– Doceniam twoją szczerość. Szkoda tylko, że zdobyłeś się na nią dopiero teraz. Kiedy zrozumiałeś, że twój plan nie wypali, i poczułeś nóż na gardle.

– Nie dlatego tutaj jestem. Cloud przygląda się kilku spółkom równolegle, w mniejszym lub większym stopniu zajmuje się tym kilkadziesiąt osób. W żadnym momencie przejście Rolkomu nie było dla mnie sprawą życia i śmierci. A mimo to zachowywałem się, jakby tak właśnie było. Żałuję, że zdałem sobie z tego sprawę dopiero po fakcie. Przepraszam.

Sekretarka zapukała do drzwi, a potem wsunęła głowę. Chciała coś powiedzieć, ale Rolnicka uciszyła ją machnięciem ręki. Jakby opędzała się od komara.

– I co teraz? – zapytała, kiedy ponownie zostaliśmy sami.

– Nic. Będziecie dalej budować Rolkom. Za kilka lat, jeżeli wszystko pójdzie po waszej myśli, stworzycie wartą kilka miliardów złotych firmę, którą wrzucicie na GPW, oddacie w zarząd funduszowi private equity albo sprzedacie jakiemuś branżowemu gigantowi pokroju Clouda. Lub też przekazecie dzieciom, jeżeli dojrzeją do tego, aby przejąć interes.

– A ty?

– A ja muszę przełknąć gorzką pigułkę i wyciągnąć wnioski. Na razie mam jeden. – Spojrzałem na nią najsmutniejszym wzrokiem, na jaki było mnie stać. – Nie należy burzyć murów, jeżeli chce się stworzyć jakąś wartość. To się po prostu nie opłaca. Dla żadnej ze stron.

Podszedłem do akwarium. Sięgało mi mniej więcej do pępka.

– Mam je od tygodnia – powiedziała Rolnicka, stając obok. – Moja aranżerka powiedziała, że rybki w gabinecie dobrze mi zrobią. Podobno mają właściwości uspokajające. Jacyś naukowcy to udowodnili.

– Też miałem kiedyś akwarium. Oczywiście mniejsze od tego. – Zerknąłem na Rolnicką i się uśmiechnąłem. – Dostałem je od rodziców na ósme urodziny. Chcieli,

żebym z pomocą rybek nauczył się odpowiedzialności za innych.

– I co? Udało się?

Wziąłem głęboki wdech.

– Nie. Wszystkie rybki zdechły.

Chwyciłem Rolniczkę za kark. Była tym tak zaskoczona, że nie zdołała w żaden sposób zareagować. Kiedy zaczęła się wyrywać, jej głowa znajdowała się już pod wodą.

W swoim czasie, krótko, interesowałem się nurkowaniem. Dowiedziałem się, że najwięksi spece od wstrzymywania oddechu potrafią przebywać pod wodą nawet kilkanaście minut. Oczywiście wcześniej poddają się hiperwentylacji, a podczas samego zanurzenia zamykają oczy, żeby nie pożerać wzrokiem tlenu. Ale podobno każdy jest w stanie wytrzymać bez oddychania dwie minuty. O ile, rzecz jasna, dobrze się do takiej próby przygotowuje.

Rolnica nie miała tego komfortu, więc zafundowałem jej tylko piętnaście sekund. Na rozgrzewkę.

Kiedy wyciągnąłem jej głowę z akwarium, była bardziej zdziwiona niż przerażona. A może tylko tak mi się zdawało. Może przywykłem do innego wyrazu przerażenia.

– Odwołasz dzisiejszy lot do Genewy – powiedziałem – i umówisz się na spotkanie z adwokatem. Wznowisz procedurę rozwodową, a potem zadzwonisz do męża. Powiesz, że naradziłaś się z doradcami, przemyślałaś wszystkie za i przeciw, a potem uznałaś, że jednak chcesz się rozstać i zgarnąć należną ci dołę.

Rolnica zaczęła się drzeć, a wtedy ponownie wepchnąłem jej łeb do wody. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Skończyło się na dwudziestu sekundach. Wyszedłem z założenia, że potrafi wyciągać wnioski.

– Oczywiście nie musisz tego robić. Możesz przyjąć ofertę Józefa i dalej zarządzać fundacją, łudząc się, że któregoś dnia spłyną ci miliony ze sprzedaży Rolkomu. Ale wtedy będziesz musiała liczyć się z konsekwencjami. Kilka osób już się przekonało, że nie warto odrzucać moich ofert.

Kolejny krzyk przerwało kolejne zanurzenie. Tym razem ponadpółminutowe. Przerwałem, kiedy poczułem, że opór Rolnickiej słabnie. Wyciągnąłem ją. Poczekalem kilka sekund, aż odzyska kontrolę nad ciałem. Chciałem, żeby mnie słyszała. Jasno i wyraźnie.

– Nie jestem człowiekiem, za jakiego mnie uważasz. Jestem kimś znacznie, znacznie gorszym. Znajdę cię, choćbyś nie wiadomo jak głęboko się ukryła. A potem

skatuję na śmierć. Ale zanim to zrobię, skrzywdzę każdego z twoich bliskich. Rozumiesz? – Szarpnąłem ją mocniej za włosy. – Rozumiesz?

– Rozumiem – wymamrotała.

Puściłem ją, a ona opadła na kolana. Przez kilka sekund napawałem się widokiem tego, jak klęcząc w garsonce za kilka kafli, nie może nasycić się tlenem, którego nawet plebs ma pod dostatkiem. To reguła stara jak świat: im bliżej słońca podlecisz, tym boleśniejszy czeka cię upadek.

Stałem przed lustrem. Przyjrzałem się mokrym rękawom marynarki. Wyjąłem chusteczki i wytarłem twarz.

– Moje rybki nie zdechły z głodu – powiedziałem. – Irytowało mnie, że są takie apatyczne, więc nafaszerowałem je psychotropami matki. – Zdjąłem marynarkę i przewiesiłem przez ramię. – Nie zawieź mnie. Dla własnego dobra.

* * *

Maria otworzyła drzwi auta i wysiadła. Rozejrzała się dookoła. To tutaj, pomyślała. Pośrodku niczego. Żadnych domów, restauracji, zabudowań. Żadnych ludzi. Żadnych punktów charakterystycznych. Nicość. Tonąca w mroku nicość.

Zerknęła na mapę w telefonie, a następnie ruszyła w kierunku centrum. Przez kilka minut maszerowała skrajem dwupasmowej drogi, która z obu stron była obrośnięta drzewami, przez co sprawiała wrażenie wyżłobionej w środku lasu. Pierwszym zwiastunem zbliżania się do cywilizacji była wiata autobusowa. Kawalek dalej pojawiły się prywatne zabudowania: wysokie ogrodzenie, efektowna biała brama i jednopiętrowy dom, przed którym rozpościerał się starannie ostrzyżony trawnik.

– Jebani bogole – mruknęła pod nosem.

Maria spędziła czterdzieści lat w sercu pulsującego miasta i nie mogła się nadziwić, dlaczego wszyscy tak lgną do przedmieść. Co im każe uciekać do miejsc, w których panuje tak dojmująca cisza. Jakby były martwe. Jakby te wszystkie SUV-y, wille i baseny użytkowały duchy. Zjawy, które drenują warszawski rynek pracy, a następnie uciekają za miasto, gdzie wiodą alternatywne życie.

Może nie zaznali samotności. Może nie wiedzą, do czego prowadzi świadome wyalienowanie. Może... Potrząsnęła głową. To nie czas ani miejsce na takie rozterki.

Podeszła do bramy i wcisnęła guzik na murze. Chwilę później domofon zatrzeszczał. Rozległ się kobiecy głos.

– Halo?

– Dzień dobry, z tej strony komisarz Maria Falk z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Chciałabym zadać pani kilka pytań. Możemy porozmawiać?

Kobieta się zawahała. Nie dziwota. Nieczęsto widuje się policjantów pod domem. Szczególnie w takiej okolicy.

– Tak, proszę wejść.

Rozległ się nieprzyjemny brzęk, po którym Maria popchnęła furtkę i weszła na teren posesji. Wąskim, wijącym się niczym serpentyna chodnikiem zbliżyła się do drzwi. Gdy chciała zapukać, usłyszała jakiś dziwny dźwięk wewnątrz. Coś jakby szuranie. Albo drapanie. Chwilę później uchyliły się drzwi.

– Proszę na nie uważać – powiedziała smukła brunetka. – Bardzo lubią ludzi. Trochę za bardzo.

Kobieta, która przedstawiła się jako Ewelina Portnik, ledwo zdołała powstrzymać wrywającego się golden retrievera. Ale już czekoladowemu labradorowi nie dała rady. Pies, piszcząc z zachwytu, próbował wskoczyć na Marię, jak gdyby była jednym wielkim blokiem szczęścia.

– Ludzie nas ostrzegali, że to szalone połączenie – wyjaśniła Portnik, która wydała się Marii krańcowo zmęczona. – Ale kto by tam słuchał znajomych! Mamy też trzy koty. Nie mam pojęcia, gdzie one są.

– Tak to już bywa z kotami.

Martwe miasteczko, martwe osiedle, martwi ludzie. Ale za to wyjątkowo żywotne psy, pomyślała Maria, pozwalając labradorowi lizać się po dłoniach.

Ewelina potrzebowała około minuty, aby zapanować nad zwierzętami i zamknąć je w jednym z pomieszczeń. Następnie zaprowadziła Marię do salonu. Poczęstowała ją wodą, po czym rozsiadły się na skórzanych sofach.

– Prowadzę śledztwo w sprawie porwań kobiet w Warszawie – zaczęła Maria. – Pewnie pani o tym słyszała.

– Nie oglądałam telewizji, ale coś mi się obilo o uszy.

– Poszukuję mężczyzny ze zdjęcia. – Maria wyjęła swoją fotografię. – Nazywa się Kacper Berger. Kojarzy go pani?

Ewelina długo przyglądała się fotce.

– Wydaje mi się, że nigdy go nie widziałam. Czy to ten człowiek, który...

– Tego nie wiemy – przerwała jej Maria. – Ale mamy powody przypuszczać, że jest zamieszany w tę sprawę. I że bywa w tej okolicy. Na pewno go pani nie kojarzy?

Ewelina pokręciła głową.

– Może zawołam męża. On lepiej zna sąsiadów.

– Będę wdzięczna.

Kobieta wdrapała się na górę, a po chwili wróciła w towarzystwie niższego o pół głowy faceta w okularach, który do złudzenia przypominał Leonarda z *Teorii wielkiego podrywu*. Kompletnie do siebie nie pasowali. Ona – smutna i zmęczona życiem, ale niewątpliwie atrakcyjna laska. On – pogrążony we własnym świecie nerdowaty lamus. Zero punktów styku.

– Szymon Portnik – przedstawił się. – W czym mogę pomóc?

– Kojarzy pan tego człowieka?

Maria pokazała mu zdjęcie, a on przestudiował je pod każdym kątem i z różnych odległości. Skoro tak fatalnie widział w okularach, to ciekawe, jak sobie radził bez nich.

– Przykro mi – powiedział.

– Podobno dobrze pan zna sąsiadów.

– O tyle, o ile. Myślę, że w tej okolicy mało kto dobrze się zna. Wychowałem się na wsi i myślałem, że tu będzie podobnie. Ale to inny świat. Każdy żyje własnym życiem i ma gdzieś, co się dzieje w okolicznych domach. Chyba że zobaczy sąsiada w gablocie, o której marzył całe życie. – Zaśmiał się, zerkając na żonę, która najwyraźniej miała mu zawtórować. Ale Ewelina tylko nieznacznie uniosła kąciuki ust, jakby stanowiły najcięższą część jej ciała. – Jeśli ktoś wybudował tu dom, mając nadzieję na sąsiedzkie przyjaźnie, to grubo się przeliczył.

– Czyli nie wyklucza pan, że ten człowiek mieszka w okolicy?

– Albo pomieszkuje. Czasem warszawiacy budują się w Konstancinie, ale mają taki zapieprz w robocie, że nie opłaca im się przenosić na stałe. Wynajmują apartament w centrum, a z podmiejskiego domu korzystają tylko w weekendy. A co bardziej zarobieni wyłącznie w wakacje.

– A pan czym się zajmuje?

– Jestem szefem działu analiz i oceny ryzyka w dużej międzynarodowej firmie. Nawet w bardzo dużej.

Sposób, w jaki powiedział o swojej pozycji, sprawił, że Maria momentalnie go znienawidziła.

– Ten człowiek jeździ czarnym mercedesem AMG – powiedziała. – Widział pan taki samochód w okolicy?

Portnik ponownie się roześmiał.

– Widuję takie przynajmniej kilka razy dziennie. Tutaj mieszkają ludzie, których nie zaboląoby wyrzucenie dwustu czy trzystu paczek na samochód. Choć pewnie i tak wszyscy biorą auta w leasing.

Maria zadała Portnikom jeszcze kilka formalnych pytań, zostawiła swoje zamiary i ruszyła do wyjścia. Ewelina ją odprowadziła. Głównie po to, aby wypuścić psy żałośnie skamlące w zamkniętym pokoju.

– Spokojnie tu – zauważyła Maria, gdy znalazły się przy drzwiach.

– Trochę za bardzo. Cisza bywa przytłaczająca. – Portnik głęboko westchnęła. – Ale idzie przywyknąć.

– Długo państwo mieszkają w Konstancinie?

– Za miesiąc stukną nam trzy lata.

– Dzieci?

Ewelina pokręciła głową.

– Szymon nie chce, a ja nie jestem przekonana. Choć może to dziwnie zabrzmieć, boję się, że dziecko zrujnuje mi życie. Odbierze wszystko, co sprawia frajdę, i zmusi do skupienia na nim całej uwagi. Poza tym nie lubię robić tego, co wszyscy. Jestem krnąbrna z natury.

I mówi to laska, która poleciała na dzianego trolla, pomyślała Maria.

– Gdyby w okolicy wydarzyło się coś dziwnego albo zobaczyła pani tego człowieka, proszę się do mnie odezwać.

Maria pożegnała się z kobietą i wyszła przed posesję. Kiedy zaskrzypiała za nią furтка, wyjęła papierosa. Zapaliła. A potem po raz kolejny spojrzała na telefon.

Kiedy zostałem zatrzymany, cała zgraja śledczych, techników i analityków kryminalnych rzuciła się do badania śladów: osobowych, telekomunikacyjnych, pocztowych, internetowych i tak dalej. Ale nikt nie był równie wnikliwy jak Maria. Ta cwana baba bardzo uważnie przestudiowała dane z mojego telefonu. Spisała wszystkie adresy, jakie kiedykolwiek wstukałem w mapy Google. Nie było tego wiele i starałem się nie wpisywać dokładnych lokalizacji, licząc się z tym, że kiedyś może nadejść dzień, w którym sobie za to podziękuję. Ale mimo wszystko dałem Marii pożywkę. Napęd do dalszego działania. Motywację, aby dalej deptać mi po piętach. Niezbędną w chwili zwątpienia, ośmieszenia, zawieszenia kariery na włosku.

Wzięła kilka machów i ruszyła w kierunku kolejnych zabudowań. Być może byłoby jej przykro, gdyby się dowiedziała, że moja rezydencja znajduje się gdzie

indziej. Że w miejscu, do którego doprowadził ją GPS, powinna skrócić na wschód, oddalając się od cywilizacji. A być może kiedy już będzie po wszystkim, podziękuje swojej błędnej intuicji za to, że wyprowadziła ją na manowce.

Bo los lubi płatać figle. Jest jak kuglarz, który mami świat tanimi sztuczkami, twierdząc, że to wysublimowana iluzja.

Nie wiem, co zrobiłeś, ale znów jesteśmy w grze.

– Mhm.

– Właśnie dostałem cynk, że Rolnicka jednak chce się rozwieść i przejąć swoją część firmy. Dzisiaj rano ruszyły pertraktacje w tej sprawie.

– Cudnie.

– Rozumiem, że nie powinienem wnikać, jak ci się to udało.

Zjawiński nie był durniem. Wiedział, że tak gwałtowną zmianę decyzji może spowodować wyłącznie groźba. Rolnicka i tak okazała się bardziej oporna, niż sądziłem. Dopiero parę dni po mojej niezapowiedzianej wizycie ponownie wprawiła maszynę w ruch.

– Nie wnikaj – odparłem. – Tak będzie lepiej i dla mnie, i dla ciebie.

– W porządku. To co teraz?

– Nic. Poczekamy na rozwój wypadków. Ale mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Nie dzwoń do mnie. Ani dzisiaj, ani jutro. Odezwę się, gdy będę mógł rozmawiać.

Rozłączyłem się. Schowałem telefon i spojrzałem w lusterko wsteczne. Włosy powoli odrastały, ale wciąż nie przypominałem siebie. Szczególnie że do uwłaczającego jeża dołożyłem jeszcze gęstą brodę, powyciąganą koszulkę i ray-bany. Wyglądałem jak kretyn. Jak podręcznikowy bywalec Zbawixa.

Skoda i reszta mieliby niezły ubaw, gdyby mnie teraz zobaczyli. Ale po raz kolejny wziąłem wolne. Ludzi z mojego otoczenia zaczynało to irytować. Widziałem to w spojrzeniach, jakie rzucali mi członkowie zarządu. Mieli poczucie, że podczas gdy oni zapierdalają, aby wykręcić jak najlepszy wynik, ja bimbam, rozgrywając własne tematy. Co oczywiście było prawdą. Poza tym wiedzieli o moim zatrzymaniu. Nikt nie przedstawił im szczegółów, więc byli święcie przekonani, że chodzi o jakieś wałki ekonomiczne: niezapłacone podatki, lewe faktury, łapówki albo coś w tym stylu. Idioci. Tak bardzo błędzili, że nawet mnie to bawiło.

Porzuciłem te rozważania, bo z budynku, który obserwowałem, wyszła Daga – odjebana tak, jakby za wszelką cenę chciała komuś popuścić szpary. Zapaliła papierosa i skierowała się w stronę spożywczaka. Sięgnąłem po zeszyt, w którym odnotowałem jej wyjście. Kwadrans po jedenastej. Zgodnie z harmonogramem.

Nauczyłem się jej rozkładu dnia. Wiedziałem, kiedy wstaje (zaraz po przebudzeniu wychodziła na balkon, żeby zapalić), kiedy idzie na zakupy, kiedy wydzwania do psiapsiółek, kiedy je obiad. A przede wszystkim – kiedy wyrusza do pracy. Po parunastu dniach wylegiwania się w wygodnym kurwidołku Daga wróciła do dawnych zajęć. Znowu obsługiwała klientów. I w dalszym ciągu robiła to w oldskulowym stylu, czyli stając na ulicy i wyławiając spragnionych seksualnych uniesień frajerów. Zmieniła tylko rewir, choć trudno to nazwać rewolucją – z tyłów Marriotta przeniosła się kilkaset metrów na południe, w okolice Koszykowej i Wilczej.

Cudownie. Zrobiła dokładnie to, na co liczyłem.

W dodatku wszystko wskazywało, że jestem bezpieczny. Nikt mnie nie śledził, ani Falk, ani żaden z jej koleżków. Nie upomniał się o mnie żaden żądny rewanzu gangus. Nie widziałem na horyzoncie żadnego nowego zagrożenia. A ze starych zostało się już tylko jedno.

Kiedy dziwka zniknęła za rogiem, otworzyłem leżącą na sąsiednim fotelu torbę. Po raz kolejny przeliczyłem akcesoria. Miałem tam wszystko, czego potrzebowałem: lewe tablice rejestracyjne, robocze ciuchy, kominiarkę, ścierki i chloroform. Zestaw małego wędkarza. Musiałem tylko wyczekać odpowiedniej chwili, aby wyłowić Dagę.

Adrenalina zaczęła we mnie buzować. Zawsze tak się czułem przed akcją. Jak kokainista przed melanżem. Jak bachor w wigilię Wigilii. Jak seksoholik przed rozpięciem rozporka. Cała sztuka polega na tym, aby zapanować nad pulsującym entuzjazmem. By nie zapomnieć, że to, co najprzyjemniejsze, dopiero ma nadejść.

* * *

Maria wsiadła do samochodu. Zapaliła papierosa, ignorując wymyślony przez siebie zakaz, i zaczęła przeglądać notatki. Zapisywała wszystkie odwiedzane lokalizacje w okolicy Konstancina. Odnotowywała adresy, nazwiska właścicieli, swoje i ich spostrzeżenia. Niewiele z tego wynikało. Wciąż nie mogła się natknąć na mój ślad. Nawet na pół śladu.

A to wszystko oznaczało, że bezbłędnie skonstruowałem przykrywkę. Po pierwsze, kupiłem dom na słupa, wykorzystując do tego człowieka, którego w żaden sposób nie dało się ze mną powiązać. Nawet nie wiecie, jakie to proste – i jak dziwne usługi można znaleźć w zakamarkach internetu. Po drugie, zadbałem o to, żeby nikt w okolicy mnie nie kojarzył. Może was dziwić, że gość, który lubi splendor, który uwielbia kąpać się w zazdrosnych spojrzeniach, chciał być kompletnie anonimowym właścicielem pięknej posiadłości. To rzeczywiście wbrew mojej naturze. Ale posiadanie efektownej chawiry daje mi codzienny komfort, satysfakcję i swobodę rozmowy na tematy związane z godnym podmiejskim życiem. Oczywiście tylko z tymi ludźmi, którzy nigdy by mnie nie wsypali, bo policja nie wpadłaby na to, aby ich przesłuchać. A po trzecie, potrafię bezszelestnie zwozić i wywozić te wszystkie bzdziągwy. Nikogo nie zaalarmowały dziwne godziny moich wojaży. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że w tej spokojnej i pełnej zamożnych ludzi okolicy może dziać się coś niepokojącego.

Naiwność była moim największym sprzymierzeńcem.

Kolejne pudło, pomyślała Maria, wpisując do notatnika najnowszy adres. Nie bardzo wiedziała, co właściwie wynikło z ostatniej rozmowy; jakaś czterdziestoletnia utrzymanka przez pół godziny opowiadała o swoich mądrych dzieciach, więc Maria miejsce na spostrzeżenia pozostawiła puste. Coraz bardziej zrezygnowana, jeszcze raz przejrzała listę lokalizacji wyciągniętą z mojego telefonu. Było tam kilka podejrzanych miejsc, jak choćby zadupie, na którym od czasu do czasu spotykam się z Chemikiem, ale szanse, że uda się jej cokolwiek z tego wyciągnąć, były marne. Wręcz bliskie zera.

Przerwała swój ponury przegląd, kiedy zawibrował jej telefon. Oleg. Wydzwaniał od rana. Niczym porzucony kochanek. Pozostawiony w mieszkaniu bez słowa. Bez odpowiedzi, czy to był tylko *one night stand*, czy może coś więcej. Ignorowanie prób nawiązania kontaktu mogło się wydawać jednoznaczną sugestią, ale najwyraźniej nie dla wszystkich.

Chwilę po tym, jak Maria po raz kolejny go olała, zaczął wysyłać esemesy.

Oleg (15.32): Gdzie jesteś?

Oleg (15.33): Papszon zwołał zebranie. Nowi ponownie chcą pogadać o zaginionych.

Oleg (15.35): Chociaż daj znać, że żyjesz...

Nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z Olegiem. Ani z Papszonem. Ani z policjantami, którzy przejęli od nich śledztwo, rozparcelowując je i niwecząc ich trud. Skoro wszyscy wokół twierdzą, że się pomyliła, że się wygłupiła, że naraziła na szwank i tak gówniany wizerunek policji, to niech sobie teraz radzą sami.

Jebał ich pies.

Zgasiała peta w kubku po kawie i uruchomiła silnik. Przyjrzała się mapie w telefonie. Było jeszcze kilka miejsc, które zamierzała sprawdzić. Bez względu na to, jak beznadziejne rezultaty przyniosły jej dotychczasowe poszukiwania.

Problem z Marią polega na tym, że jest typem wyjątkowo nieustępliwej baby. Według niej o sukcesie w dziewięćdziesięciu procentach decyduje ciężka praca, a ledwie w dziesięciu talent. W dodatku wychodzi z założenia, że w życiu nie ma dróg na skróty, a nic, co wartościowe, nie przychodzi łatwo. Dlatego zamierza szukać do bólu. Choćby miała się zesrać. Choćby miała się pochorować. Choćby miała stracić wszystko, na czym jej zależy.

A przecież tak niewiele jej zostało.

Rozglądając się na boki, wolno przejechała kilkaset metrów. Był środek dnia, więc wiele osób nie wróciło jeszcze z pracy. Ale tym razem miała szczęście. Za bramą prowadzącą na teren kolejnej wystawnej posiadłości kręcił się jakiś facet. Oczywiście mógł to być tylko pracownik któregoś z lokalnych krezusów. Ogrodnik. Sługa. Ktoś, komu płaci się za to, żeby dom i jego przyległości wyglądały jak miliony monet. Tyle że ten człowiek był bladym grubasem w srebrnym szlafroku i bawił się z psem. Unosząc nad głowę zaślinionego pekińczyka, całował go prosto w pysk.

Dżizas!

Ciekawe, dla kogo to spotkanie będzie mniej przyjemne. Maria miała swój typ.

Zaparkowała przed bramą, wyłączyła silnik i wysiadła.

* * *

– Normalnie biorę trzy stowy, ale od ciebie wezmę dwieście. Pod warunkiem że się umyjesz. – Dagmara zmierzyła klienta od stóp do głów. – Nie będę się pieprzyć z kimś, kto wygląda, jakby właśnie wrócił z wojny.

– Miałem ciężki dzień.

Dagmara uniosła brwi. Dzień? Przecież od razu widać, że jesteś zachlanym ryjem, pomyślała. Pijusem. Typem, który nie pamięta większości wieczorów. Dzień? Naprawdę? Kogo ty chcesz oszukać?

– Poza tym jestem czysty – dodał facet. – Kąpałem się tuż przed wyjściem z domu, jakieś pół godziny temu. – Wycelował kciukiem za siebie. – Mieszkam niedaleko stąd, na Solcu. Nawet nie zdążyłem się spocić. Ale jeśli chcesz, mogę się umyć jeszcze raz.

Prostytutka ponownie mu się przyjrzała. W zasadzie jeśli nie liczyć jego sfatygowanej gęby i niespokojnego ciała, nie wyglądał tak źle. Miał na sobie kremową marynarkę, niebieskie spodnie materiałowe i granatowe półbuty. Wszystkie ciuchy wydawały się całkiem drogie. Trochę na nim wisały, więc pewnie je kupił, zanim zaczął ostro tankować. Albo będąc na bombie. Poza tym ładnie pachniał perfumami. Jak gość, który za wszelką cenę próbuje ukryć zapach alkoholu. Choćby po to, żeby przetrwać kolejny dzień w robocie.

Kim on mógł być? Bankierem z problemami? Biznesmenem, którego zostawiła żona? Prawnikiem w depresji?

– Gdzie chcesz to zrobić?

– W samochodzie.

– Poważnie? Chcesz się pieprzyć w furze jak jakiś nastolatek?

– Tam czuję się najlepiej. Zaparkowałem niedaleko. – Odwrócił się i wycelował w coś palcem. – To co?

Daga nie lubiła podejmować trudnych decyzji. Wolą, gdy ktoś robił to za nią: matka, siostra, pierwszy facet, drugi facet, trzeci facet, ostatni facet. Wiedziała, że to nie świadczy najlepiej o jej samodzielności, ale taka już była. Nie zamierzała się zmieniać tylko dlatego, że ktoś sobie tego życzy.

Najtrudniejsze były dla niej decyzje, przy których musiała komuś zaufać. Na przykład temu dziwnemu facetowi. Nie potrafiła przyporządkować go do żadnej grupy klientów, a trochę ich było: desperaci, onaniści, niewyżytki, złamasy. Coś jej w nim przeszkadzało. Ale przecież – tłumaczyła sobie – nie można być tak skrajnie nieufnym. Nie w tym zawodzie. Nie w tym życiu.

– Niech ci będzie – powiedziała. – Chodźmy.

Klient uśmiechnął się oszczędnie i ruszył przodem. Przeszli kilkadziesiąt metrów Wilczą w kierunku Poznańskiej. Dagmara z uwagą przyglądała się stąpającemu niepewnie facetowi, który długo gmerał w kieszeni spodni, zanim wy dobył kluczyki

od auta.

– Masz jakieś imię? – spytała.

– Bartosz.

Zmroziło ją. Nie była przesądna. Nie wierzyła w duchy. Nie uważała się za wariatkę, która w każdym gościu lub przedmiocie doszukuje się dobrych lub złych znaków. Ale to imię od kilku tygodni nie kojarzyło się jej najlepiej. Było jednym z dwóch, które wywoływały u niej stan przedzawałowy.

Co za cholerny zbieg okoliczności!

Dotarli do samochodu. Stary mercedes kombi. Nic specjalnego. Stał zaparkowany równolegle do jezdni, tuż obok kamienicy, w której mieściły się jakieś pracownie artystyczne i kancelaria prawna. Kilkanaście metrów dalej znajdowało się wejście do jednej z knajp na Wilczej. Z pewnością nie było to wymarzone miejsce, żeby się gzić.

– Posłuchaj – powiedziała Dagmara, kiedy zatrzymali się przed autem. – Ta miejscówka jest strasznie słaba, a ty jesteś zbyt nawalony, żebyśmy gdzieś pojechali. Dlatego zrobimy tak: zapłacisz mi stówę, zwałę ci konia i każde z nas pójdzie w swoją stronę. Okej?

Bartosz wyprostował się, jakby chciał dowieść, że wcale nie jest tak napruty, za jakiego go uważa.

– Liczyłem na coś więcej – mruknął. – Ale niech będzie.

Łatwo poszło, pomyślała Daga.

Wsiedli do auta. Bartosz uruchomił radio ustawione na jakąś rockową stację, a następnie dołączył na tylnym siedzeniu do Dagi. prostytutka odnotowała, że przednie fotele są maksymalnie wysunięte do przodu. A to oznaczało, że pijak się przygotował. Zakładał, że mu się uda. Że przekona jakąś pannę, aby się nim zajęła.

Kiedy zamknęli drzwi, poczuła dziwny zapach. Mieszankę perfum, strawionego alkoholu i ludzkiego smrodu. Być może Bartosz był zbyt pijany, żeby się dokładnie wyszorować. Albo jedna kąpiel nie zdołała zmyć śladów jego menelskiego trybu życia.

Czuła coś jeszcze. Coś słodkawego.

– Najpierw hajs – powiedziała.

Bartosz rozejrzał się na boki. Wyjął z kieszeni portfel. Gmerał przez chwilę w przegrodach, po czym wręczył jej stówę. Zauważyła, że jego dłonie drżą – i to nie przez delirkę. Był po prostu zestresowany. Może nawet spanikowany. Jakby się nigdy nie ruchał.

Czy to możliwe, że trafił się jej prawiczek? Czterdziestoletni pijus, który nigdy nie zamoczył? I zabetonował się prawie na amen, aby zdobyć się na odwagę?

Nieważne. Musiała zrobić swoje, a potem spróbować o tym jak najszybciej zapomnieć.

Pochyliła się w stronę klienta i położyła rękę na jego kroczu. Uśmiechnęła się. Mimo wszystko chciała, żeby facetowi było miło, nawet jeśli wydawał się chorobliwie przejmować tym, czy ktoś ich nie przyłapie. Co za dziwak! Najpierw nalegał na samochód, a teraz...

– Teraz – powiedział.

– Spokojnie. – Ścisnęła jego krocze. – Chcę, żebyś złapał klimat.

– Teraz – powtórzył, tyle że głośniej.

Dagmara zrozumiała, że nie mówi do niej. I że dzieje się coś bardzo, bardzo złego. Odsunęła się od Bartosza jak oparzona i wyciągnęła rękę w stronę klamki.

Ale było już za późno.

Ktoś chwycił ją za głowę i przyłożył szmatę do twarzy.

Ktoś sprawił, że świat, który znała, momentalnie przestał istnieć.

* * *

– Jestem partnerem zarządzającym agencji marketingowej. To dlatego zastała mnie pani w ogrodzie, a nie w biurowcu na Domaniewskiej. Krótko mówiąc: mam ludzi, którzy tyrają na mnie i mojego psa.

Mężczyzna w srebrnym szlafroku, który przedstawił się Marii jako Juliusz Barnicki, eksplodował donośnym śmiechem. Następnie odstawił na ziemię protestującego pekińczyka, wyraźnie przyzwyczajonego do spędzania czasu na rękach właściciela, i sięgnął po cygaretkę.

Barnicki stanowił przeciwieństwo zimnokrwistej Marii. Był krępy, zniewieściały i ekstrawagancki. Na pierwszy rzut oka wydawał się idealną mieszanką jowialnego grubaska i stereotypowej cioty. Przy bliższym poznaniu zachowywał jedynie pierwiastek cioty. A w zasadzie cały ciotowaty układ okresowy. Musiał być straszną solą w oku dla wszystkich brunatnych przymułów, którzy modlą się naprzemiennie do Jezusa i Mussoliniego.

– Przepracowałem prawie dwadzieścia lat w korporacjach – kontynuował. – Za nic w świecie nie wrócę do tamtego życia. Zresztą dlaczego miałbym rezygnować z tego, co mam?

Wskazał brodą piętrowy dom, w którym rozbrzmiewały latynoskie rytmy. Nie wpuścił Marii dalej niż na taras, ale nie musiała się zagłębiać, aby wyobrazić sobie wnętrze posiadłości. Wystarczyły jej obsceniczne rzeźby na ganku i zapalniczka w kształcie penisa.

– Długo pan tu mieszka? – zapytała.

– Proste pytanie i jakże skomplikowana odpowiedź. – Barnicki odgarnął kilka jasnych kosmyków, które przykleiły mu się do czoła. – Siedem lat temu kupiłem tutaj ziemię. Pół roku później ruszyłem z budową. Ale potem przez moje życie przetoczyła się plaga kryzysów, która zmusiła mnie do zawieszenia prac. Ba, byłem o włos od sprzedania tej działki. Ale po jakimś czasie przełknąłem dumę, pożyczyłem kasę od dzianego ojca, który tak bardzo boi się wyjść na homofoba, że stara się odgadywać moje myśli, i dokończyłem budowę. Trzy lata temu się wprowadziłem, a rok później odważyłem się ściągnąć tutaj partnera. Choć do dziś nie wiem, czy to był dobry pomysł. – Poczęstował Marię kolejną salwą śmiechu. – Tymczasem wyszedłem na prostą, rozkręciłem z koleżanką niezłe prosperującą firmę i zacząłem spłacać ojcowski dług.

Maria wyjęła zdjęcie i położyła je na stole, pomiędzy kolorowymi okularami a koktajlem jarmużowym.

– Kojarzy pan tego człowieka? – spytała.

Barnicki pochylił się nad blatem. Zgasił cygaretkę, a następnie sięgnął po fotografię. Uśmiechnął się. Najpierw do człowieka na zdjęciu, potem do Marii.

– Pewnie – odparł. – To Kacper Berger, jeden z najlepszych trenerów sprzedaży w tym kraju. Może nawet najlepszy.

– Pan go zna?

– Tylko z YouTube'a. Kiedyś, gdy jeszcze byłem szarym korposzczurem, myślałem o tym, żeby się przebranżowić. Uczyłem się sprzedaży, wywierania wpływu, wystąpień publicznych i tym podobnych rzeczy. Byłem zbyt leniwy, żeby zapisać się na jakiś kurs, ale od czego jest internet. – Odłożył zdjęcie na stół. – Trochę się na Kacpra napatrzyłem. Zwłaszcza że jest na czym oko zawiesić.

– Wie pan, gdzie on mieszka?

Czy już wspominałem, że uroda jest moim przekleństwem? Być może gdybym był mniej przystojny, gdybym nie nosił rzucających się w oczy kudłów, gdybym nie wyglądał jak połączenie młodego Vigga Mortensena z samczą wersją Kita Haringtona, nie osiągnąłbym nawet połowy swoich sukcesów. Ale byłbym też

bardziej anonimowy, dzięki czemu mógłbym z większą swobodą realizować swoje pasje.

No i wówczas z pewnością nie doszłoby do tego.

– Nie mam pojęcia – powiedział Barnicki. – Ale widziałem go w okolicy. Zdaje się, że kogoś odwiedzał.

Maria przez kilka sekund tępo się w niego wpatrywała, jakby nie mogła rozszyfrować jego słów. Albo jakby nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

– Gdzie to było? – zapytała.

– Jakiś kilometr stąd. Mogę pani pokazać. Ale najpierw muszę się przebrać. –

Barnicki chwycił za poły szlafroka. – Jeżeli mielibyśmy się natknąć na Kacpra, wolałbym, aby nie widział mnie w takim outficie.

Barnicki zarechotał w typowy dla siebie sposób. Tym razem Maria chętnie mu zawtórowała.

* * *

Gdybym nie musiał się spieszyć, nie zaangażowałbym do tego przedsięwzięcia bezdomnego, którego zakwaterowałem w jednym ze śródmiejskich hoteli, wykąpałem, ocuciłem z alkoholowego amoku, a potem hojnie wynagrodziłem za milczenie.

Gdybym miał niezachwianą pewność, że policja nic na mnie nie ma, rozkoszowałbym się tym momentem tak jak wszystkimi poprzednimi, kiedy zupełnie nieskrępowanie zarządzałem swoim skromnym show.

Gdybym kilka tygodni wcześniej postąpił roztropniej, to zamiast się zastanawiać, czy mogę pozwolić sobie na kontakt z Chemikiem, myślałbym teraz wyłącznie o przyjemnościach.

Gdybym rozegrał to wszystko odrobinę inaczej, tobym był jedną nogą w raju.

Gdybym... Cholerna gdybologia. Gdybizm. Rozgdybanie. Nasza narodowa przywara. Powód, dla którego polska dusza nigdy nie będzie spokojna i usatysfakcjonowana. Również moja. Wprawdzie nie jestem typem wąsatego Janusza przebijającego sobie uszy krążkami cebulowymi, ale polskości się nie wyprę. Choćbym nie wiem jak bardzo się starał. Choćbym pogrzebał we własnym DNA. Nawet gdybym...

No właśnie.

Otworzyłem bagażnik i wyciągałem Dagmarę. Przełożyłem ją przez ramię.

Przeniosłem jej bezwładne ciało z garażu do piwnicy. Ostrożnie położyłem na podłodze i popatrzyłem na nie z góry. Było piękne. Takie spokojne. Takie niewinne. Bezbronne. Na swój dziwkarski sposób wysublimowane.

Zamknąłem drzwi i wróciłem na górę. Poszedłem do kuchni. Wsypałem lód do szklanki i odmierzyłem porcję jacka daniel'sa z colą. Przeniosłem się do salonu. Włączyłem radio, żeby coś brzęczało w tle, i rozsiadłem się na kanapie. Myślałem o tym, jak należy to rozegrać. Korciło mnie, żeby trzymać się tradycji. Żeby zafundować sobie kilkudniową seksualną fiestę. Żeby przez jakiś czas żyć niczym narkobaron na Bahamach albo Florida Keys. To jednak wymagało świętego spokoju. A na ten najwyraźniej nie mogłem liczyć, o czym jednoznacznie poinformował mnie wibrujący telefon.

Zerknąłem na wyświetlacz. Rozmowa z Józefem Rolnickim zajmowała dość niską pozycję na liście czynności, na jakie miałem ochotę. Mimo to postanowiłem odebrać.

– Ty skurwysynu! – Biznesmen ewidentnie był nie w sosie. – Do tej pory jakoś cię tolerowałem. Ale teraz przegiąłeś. – Zamilkł, aby zaczerpnąć tchu. – Wiem, co zrobiłeś Danucie. I dlaczego ponownie wysunęła swoje żądania.

– Ja tylko pomogłem jej w podjęciu właściwej decyzji. Wszystko mieściło się w granicach perswazji.

– Nie dostaniesz mojej firmy. Choćbym miał zreć gruz do końca życia, nie sprzedam ci biznesu.

– Każdy tak mówi, dopóki nie spróbuje gruzu.

Rozłączył się. Wyobraziłem sobie, jak posyła w eter salwę wulgaryzmów, mieszając z błotem swoich klakierów. Nie doceniał mnie. Uważał, że jestem zwykłym korporacyjnym chujkiem, który lubi jeździć po bandzie. Nie wiedział, że mierzy się z kimś znacznie potężniejszym. Z kimś swojego pokroju. Z graczem z tej samej ligi. Tyle że stosującym zagrywki, z którymi żaden z dużych miśków jeszcze się nie spotkał. A na pewno nie na tym poziomie.

Na tym właśnie polega innowacyjność. Na znajdowaniu nowych pól eksploatacji dla powszechnie znanych rozwiązań. Na kreatywnym modelowaniu świata, aby w jak największym stopniu odpowiadał naszym potrzebom. Wizjonerzy nie uginają się pod naporem rzeczywistości, tylko zakrzywiają ją tak, aby mogła zrobić im laskę.

Kiedy się zastanawiałem, czy potrafię jeszcze bardziej spierdolić Rolnickiemu dzień, ktoś postanowił zrewanżować mi się tym samym. Ktoś jeszcze bardziej wynędniał i maluczki. Ktoś, kogo powinienem tytułować szefem, choć nigdy nie

przeszłoby mi to przez gardło.

– Musimy pogadać – oznajmił Skoda, kiedy odebrałem telefon. – Możesz podjechać do biura?

– Teraz? – zdziwiłem się.

– Najlepiej jeszcze dzisiaj.

Zerknąłem na zegarek. Dziewiętnasta. Dzień dobiegał końca, a ja miałem jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Przyjemnych i nieprzyjemnych.

– Dzisiaj już nie dam rady.

– A jutro?

– Mam kilka spotkań w sprawie Rolkomu, ale powinno się udać.

– Będę w biurze od ósmej. Wpadnij do mojego gabinetu. To ważne.

Czułem, że Skoda chce coś dodać. Że prawdopodobnie zamierza poczęstować mnie korporacyjną papką, którą chwilę wcześniej nafaszerowali go nasi londyńscy właściciele. Ale ostatecznie sobie darował. I dobrze. Sama świadomość, że muszę się z nim spotkać, wywoływała u mnie odruch wymiotny.

Te dwie rozmowy okazały się jednak bardzo pożyteczne. Uświadomiły mi, co powinienem zrobić. Dzięki nim zrozumiałem, że nie mogę zwlekać. Nici z sączenia łychy. Nici z seksualnej fiesty. Musiałem się czym prędzej rozprawić z Dagmarą.

Ani dla niej, ani dla mnie nie była to dobra wiadomość.

Odstawiłem szklankę na stolik i wyszedłem na zewnątrz.

* * *

– To nowa część miasta, jeżeli można to jeszcze nazywać miastem. Wprowadzają się tu głównie tacy ludzie jak ja: raczej aspirująca klasa średnia niż najbogatsze pięć procent. Najczęściej menedżerowie popakowani w kredyty hipoteczne. Albo mali i średni przedsiębiorcy, którzy odnotowali pierwsze poważne zyski i postanowili jak najszybciej się ich pozbyć.

Maria kroczyła równo z Barnickim, który wystroił się w obcisłe spodnie w kolorze khaki, białą koszulę z krótkim rękawem i słomkowy kapelusz. Do tego stopnia wczuł się w rolę przewodnika, że przestała mieć mu za złe, iż dobry kwadrans szykował się do wyjścia, głowiąc się nad tym, w co zapakować swoje niezbyt foremne ciało. Jednocześnie co rusz spoglądała na telefon, sprawdzając lokalizację. Znacząco oddalili się od miejsca, w którym dzień wcześniej rozpoczęła poszukiwania. Mimo to potrafiła sobie wyobrazić, że jest to punkt, który zaznaczyłem w aplikacji, aby dotrzeć

do domu ukrytego na odludziu, nie zostawiając tropu dla kogoś, kto mógłby chcieć mnie odnaleźć.

Strasznie naciągana teoria. Pewnie gdyby Maria nie była taka przemęczona, wykombinowałyby lepsze wytłumaczenie. Może nawet doszłaby do tego, że ten zaznaczony na mapie punkt jest pierwszą lokalizacją, którą sprawdzałem w tej okolicy. Pierwszą z kilku, którym się przyjrzałem, zanim zdecydowałem się zbudować swoje podmiejskie królestwo. A skoro już raz wstukałem ten adres w aplikacji, nie czułem potrzeby, aby go potem doprecyzowywać.

– Zapracowany trzydziestoparolatek z żoną, dwójką dzieci i psem – odezwał się Barnicki.

– Słucham?

– Obstawiam, że kogoś takiego odwiedzał Kacper. Paradoks wynoszenia się na przedmieścia polega na tym, że ludzie planujący budowę domu kompletnie nie mają na to czasu. Decydują się na ten ruch w szczycie życia zawodowego. W czasie największej i najbardziej wyniszczającej harówki. W dodatku najczęściej mają już wtedy małe dzieci, którymi zajmuje się sfrustrowana swoją rolą żona.

– Nie brzmi to zbyt optymistycznie.

– Prawda? – Barnicki uśmiechnął się do Marii. – A to nie wszystko. Właściciele tych budynków są zbyt zarobieni, żeby doglądać prac i sprawować choćby iluzoryczny nadzór nad robotnikami. W efekcie zamiast wymarzonych gniazdek dostają produkty domopodobne. Są krańcowo zmęczeni i wściekli, kiedy się do nich wprowadzają. A potem ich wściekłość rozprzestrzenia się niczym wirus. Zarażają nią swoich najbliższych, znajomych z pracy, przyjaciół. Stopniowo pogrążają się w negatywnej energii. – Zerknął na Marię posepnym wzrokiem. – Dalsze losy tych ludzi może pani sobie wyobrazić.

Pewnie ma rację, skonstatowała Maria. Nawet jeśli w mocno zawoalowany sposób opowiadał jej własną historię, prawdopodobnie była reprezentatywna dla całej okolicy. Większość domów, które mijali, znajdowała się w budowie. Otoczone wysokimi ogrodzeniami podwórka były zagracone materiałami budowlanymi, łopatami, taczkami oraz workami z cementem. W pierwszej chwili trudno było się zorientować, czy te wszystkie budowle powstają od zera, czy są przebudowywane po przejściu druzgocącej nawałnicy.

Iluzja szczęścia, pomyślała Maria. Ugruntowana kasą, wiejskim spokojem i rytmicznym śpiewem cykad.

– To ten dom po prawej. – Barnicki wycelował palcem przed siebie. – Wygląda na to, że los się do nas uśmiechnął.

Maria przyjrzała się oddalonemu o kilkadziesiąt metrów budynkowi, który wyrastał na skraju lasu. Różnił się od pozostałych. Wprawdzie nie był jeszcze ukończony, ale z całą pewnością dało się w nim zamieszkać. A tym bardziej wprowadzić samochód do garażu, który przylegał do wschodniej ściany domu.

Mimo to luksusowy mercedes AMG stał przed bramą.

– W tym miejscu powinien pan zawrócić – odezwała się Maria.

– No wie pani? Nie po to się wystroiłem, żeby...

– Musi pan zawrócić. – Spojrzała na Barnickiego wzrokiem, który nie tolerował sprzeciwu. – Dla własnego dobra.

Barnicki otworzył usta, ale nic nie powiedział. Dopiero po paru sekundach zdołał wydobyć z siebie dźwięk.

– O co właściwie chodzi z tym Bergerem?

– Wkrótce pan się dowie, ale teraz proszę wrócić do siebie.

Odczekała, aż Barnicki zniknie za rogiem, po czym ruszyła w stronę domu. Było już ciemno, okolica wydawała się opustoszała, a mimo to Maria skradała się niczym kot, który zamierza coś przeskrobać.

I dobrze. Bo dzięki temu zdołała uskoczyć w krzaki, kiedy przed domem pojawiła się znajoma postać.

Wystrojony w idiotyczny dresiarski strój, wyszedłem z budynku i zbliżyłem się do samochodu. Otworzyłem bagażnik. Wyjąłem obszerną sportową torbę, w której miałem kilka przydatnych akcesoriów, i wróciłem do domu.

Kiedy zniknąłem za drzwiami, Maria ponownie wyszła na drogę. Zakradła się do samochodu i zajrzała do środka. Nic. Żadnych śladów krwi, kobiecych fatałaszków, dowodów walki. Nie była tym zaskoczona. Wiedziała, że wszystko, co interesujące, czeka na nią w domu. W efektownej świątyni opatrności Kacpra Bergera.

Rozsądek podpowiadał jej, że powinna zadzwonić do któregoś z kumpli. Pogodzić się z Olegiem i podzielić swoim odkryciem. Pokajać się przed Papszonem i wyblagać go, żeby jeszcze raz jej zaufał. Zadzwonić do prokuratora, powołując się na zmysł i dokonania swojego ojca. Ale była zbyt wkurwiona na cały świat, żeby się bawić w grę zespołową. Chciała to załatwić indywidualnie. Po swojemu. Raz na zawsze.

Zbliżyła się do bramy i wcisnęła przycisk na domofonie.

Kilka sekund później wyjrzałem przez okno. Nasze spojrzenia się spotkały.

Spojrzenia dwojga zdesperowanych, sterowanych emocjami ludzi, którzy wiedzą o sobie odrobinę za dużo.

Przeciągłe piknięcie wbiło się w równomierną symfonię cykad. Maria popchnęła furtkę i weszła na teren posesji.

Nie jestem prawnikiem, ale chyba można to uznać za stalking – powiedziałem.
Uniosła ręce w obronnym geście.

– To nie tak. Trafiłam tu przez przypadek.

– Przez przypadek wylądowała pani pod Konstancinem?

– Dostaliśmy telefon w pańskiej sprawie. Ktoś powiedział, że możemy tu pana znaleźć.

Dziwne, że nie wymyśliła nic lepszego. Może się spieszyła. A może była głupsza, niż sądziłem.

– Miałem nadzieję, że po tej farsie z zatrzymaniem dacie mi wreszcie święty spokój.

– Nie przyjechałam tu jako policjantka.

– A jako kto?

– Chcę pana przeprosić. Tak po prostu. Po ludzku. I przy okazji podziękować za to, że pan nas nie zrujnował.

– Nie zrujnowałbym całej warszawskiej policji. Co najwyżej mógłbym zniszczyć pani karierę.

– Tym bardziej dziękuję.

Wyciągnęła przed siebie dłoń. Pewnie nawet przez sekundę nie zwątpiła w swoją winę, jedynie w to, że będą w stanie cokolwiek mi udowodnić. Pewnie musiała się wznieść na wyżyny dedukcji, aby znaleźć ten adres. Pewnie nienawidziła mnie z całego serca. A mimo to ta kłamliwa suka miała czelność wparować do mojego domu, sypanąć mi w oczy garścią kłamstw i podjąć fałszywą próbę pojednania.

A ja oczywiście na to przystałem.

– Przeprosiny i podziękowania przyjęte – odparłem, ściskając jej dłoń. – Wbrew temu, co pani o mnie sądzi, nie jestem mściwy. I doceniam ludzi pełnych pasji, którzy gotowi są zrobić wszystko, aby osiągnąć cel. Każdy ma prawo do błędu. –

Wzruszyłem ramionami. – Było, minęło. Jeżeli to w żaden sposób nie koliduje z pani planami, zapraszam na drinka.

Zawahała się, choć pewnie było to tylko pozorne rozdarcie. Po paru sekundach pokiwała głową i ruszyliśmy do salonu.

– Gdzie pani zaparkowała? – spytałem, wyglądając przez okno.

– Przyjechałam taksówką. Stąd ten drink.

– Proszę, proszę. Muszą wam dobrze płacić w policji.

– Pewnie zaczną, kiedy mnie już tam nie będzie.

– Planuje pani odejść ze służby?

– Od dawna. Właściwie od pierwszego dnia. Tylko nie bardzo wiem, co innego mogłabym robić.

– Nigdy nie jest za późno na zmiany. To truizm, ale taka jest prawda.

Zaprowadziłem ją do salonu, a następnie wskazałem na sofę. Usiadła i momentalnie zaczęła strzelać wzrokiem po pokoju. Na co ona, kurwa, liczy? Że zobaczy krew na podłodze? Pończochy wystające z szuflady? Że oprawiłem w ramki nagie zdjęcia tych wszystkich laseczek? Była zadziwiająco naiwna.

– Może być whisky z colą? – spytałem.

Przytaknęła, a ja po chwili zniknąłem w kuchni.

Przygotowując dla niej drinka, bardzo, ale to bardzo żałowałem, że nie mam żadnej substancji, którą mógłbym ją nafaszerować. Większość przepadła podczas zatrzymania, a schowany na czarną godzinę rohypnol wykorzystałem do porwania Dagi. Żeby więc obezwładnić Marię, musiałbym rozwalić jej łeb.

Byłbym skończonym kretynem, gdybym zaatakował kobietę, która zostawiła po sobie niezaprzeczalny ślad ciągnący się od Warszawy wprost do mojego domu. Ale nic takiego nie istniało. Nie było żadnej taksówki. Maria wymyśliła to na poczekaniu, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Pewnie zostawiła samochód kilkaset metrów stąd. I raczej nie poinformowała żadnego z kolegów o brawurowej akcji, ponieważ dostała kategoryczny zakaz zajmowania się tą sprawą – dowiedziałem się tego od swojego papugi.

W efekcie ta idiotka była całkowicie skazana na moją łaskę.

– Proszę – powiedziałem, wręczając Marii drinka.

Podziękowała, po czym pociągnęła łyk. Malutki. Wręcz mikroskopijny. Jeżeli w ten sposób chciała udowodnić, że mi ufa, kompletnie jej to nie wyszło.

– Domyślam się, że nie będzie pani chciała rozmawiać o śledztwie, ale muszę o to zapytać: czy macie nowego podejrzanego?

– Nawet kilku – skłamała. – Ale do żadnego z nich nie jestem przekonana.

- Ze mną było inaczej.
- To prawda. W pańskim przypadku byłam pewna, że znaleźliśmy sprawcę.
- Nadal nie pojmuję, jak pani do tego doszła.

Wzięła kolejny mikroskopijny łyk. A może tylko zamoczyła usta w alkoholu.

– Mój ojciec jest jednym z pionierów profilowania w Polsce. Przez wiele lat pomagał policji przy najcięższych przestępstwach. Poprosiłam go o wsparcie. Wspólnie przeanalizowaliśmy wszystkie porwania, ślady i zeznania świadków, tworząc dość ogólny, choć z dużym prawdopodobieństwem trafny obraz sprawcy. A kiedy przy sprawie zaginięcia tego sutenera wypłynęło nazwisko Berger, dokonaliśmy analizy pańskiego charakteru oraz życiorysu. I uznaliśmy, że mamy *match*.

- Doszliście do wniosku, że mogę być mordercą?
- Nie powinnam z panem o tym rozmawiać.
- Przecież i tak nic z tą wiedzą nie zrobię. Nie wniosę skargi. Mogę jedynie zaspokoić ciekawość.

Maria ciężko westchnęła.

- Zgoda, ale to musi zostać między nami.
- Naturalnie.

Uśmiechnąłem się. To tylko jedna z wielu rzeczy, które miały zostać między nami.

– Uznaliśmy, że porywacz jest dobrze sytuowanym warszawiakiem. Przedsiębiorcą, menedżerem albo wywodzącym się z bogatego domu przedstawicielem wolnego zawodu. W każdym razie kimś, kto może swobodnie zarządzać swoim czasem i nie musi się liczyć z wydatkami. Według nas to świetny planista. Perfekcjonista z rozbudowaną wyobraźnią i analitycznym umysłem, który potrafi przewidywać konsekwencje swoich działań i zacierać nawet najdrobniejsze ślady. A do tego sprawny manipulant i narcyz, który uwielbia mieć kontrolę nad sytuacją. Doszliśmy do wniosku, że porywa i morduje kobiety z dwóch powodów. Po pierwsze, odreagowuje w ten sposób jakiś uraz z dzieciństwa. Zasztyła głęboko pod skórą traumę, której źródłem musiała być kobieta. A po drugie, robi to, bo może. Ponieważ uważa, że jest panem świata, któremu wolno więcej niż innym.

Zamilkła, zawieszając na mnie wzrok.

- I na podstawie mojego CV wykombinowaliście, że pasuję do tej charakterystyki?
- W przeciwnym razie byśmy pana nie zatrzymali. Ale najwyraźniej się pomyliliśmy.

Wyzerowałem drinka dużym haustem i odstawiłem szklankę. Potrząsnąłem głową.

– W zasadzie macie rację – powiedziałem. – Jestem narcyzem z grubym portfelem, który w chwilach megalomańskich przyłyków uważa się za lepszego od innych. I rzeczywiście, moje dzieciństwo mogło wyglądać inaczej. Lepiej. Godniej. Ale na szczęście wyrosłem na biznesmena, a nie na seryjnego mordercę.

– Na szczęście – powtórzyła, rozglądając się po pokoju. – Chciałabym skorzystać z toalety.

– Oczywiście. – Wycelowałem palcem w przestrzeń za jej plecami. – Musi pani dojść do końca korytarza. Ostatnie drzwi po prawej.

– Dziękuję.

– A ja znajdę nam coś bardziej rozrywkowego. – Wstałem i podszedłem do wieży, która od kilkunastu minut wypluwała jakieś popowe smęty.

Kiedy Maria zniknęła za rogiem, zacząłem skakać po stacjach radiowych. Szukałem czegoś żywiłowego. Najlepiej rocka. Głośnego, napierdalającego po bębenkach rocka. Takiego, który skutecznie zagłuszy moje kroki, kiedy będę polował na tę pizdę.

Pewnie doskonale kojarzycie sceny z filmów, w których ofiara miota się w mieszkaniu zabójcy, desperacko szukając czegoś, co ją uratuje. Czegoś, czym będzie w stanie ogłuszyć napastnika. Zwykle jakimś magicznym sposobem znajduje zszywacz, garnek, wazon albo żelazko. To oczywiście możliwe. Ale o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że podczas szamotaniny żelazko czy zszywacz znajdzie napastnik, który zna mieszkanie jak własną kieszeń.

Nie zakładałem, że w mojej kryjówce kiedykolwiek dojdzie do szarpaniny. Ale jestem bardzo przezornym człowiekiem. Dlatego gdy tylko znalazłem odpowiednią stację, włożyłem rękę między kolumny i wyjąłem spomiędzy nich młotek. Najzwyklejszy w świecie młotek, którym równie łatwo można wbić gwóźdź, jak i rozłupać komuś czaszkę. Mocno ściskając go w dłoni, skierowałem się w stronę łazienki.

Maria weszła do toalety i rzuciła się do zlewu, jakby zamierzała zwymiotować. Zamiast tego odkręciła kran. Potrzebowała szumu wody. Dźwięku strumienia nieskrępowanie dudniącego w granitowy zlew. Potrzebowała zagłuszacza myśli. Szczególnie jednej. Tej, że się wygłupiła. Że popełniła błąd, wchodząc do mojego mieszkania. Że powinna postąpić zgodnie z procedurą: poinformować kolegów o swoim odkryciu, ubłagać, aby dali jeszcze jedną szansę jej teorii, a potem rozpocząć

obserwację domu.

Ale ona pragnęła czegoś innego. Tylko czego? Zostać bohaterką? Odkuć się po porażce niczym hazardzista po przewaleniu pensji w jeden wieczór? Udowodnić coś swoim psim kolegom. Nie mam pojęcia. Wiem jedno: kierowała nią empatia. Nie zdrowy rozsądek i logika, tylko irracjonalna, atawistyczna potrzeba utożsamiania się z problemami frajerów. Maria musiała zyskać pewność, że zrobiła absolutnie wszystko, aby pomóc tym lambadziarom. W jakimś zakamarku jej umysłu znajdował się maleńki przełącznik. Po jego wciśnięciu zaczynała się ulatniać kretyńska nadzieja, że może jeszcze żyją. Że są umęczone, skatowane i pewnie straumatyzowane w nieodwracalny sposób, ale wciąż oddychają.

Zapamiętajcie to sobie dobrze: empatia to pierwszy stopień do piekła.

Skup się, burknęła do siebie w myślach. Kombinuj. Wymyśl wyjście z tej gównianej sytuacji, w którą sama się wpędziłaś. A przede wszystkim zrób to, po co tu przyszałaś: znajdź dowód. I przeżyj, żeby móc go pokazać światu.

Mimo niagary, jaką spuszczała do zlewu, usłyszała, że grzebię przy wieży. Kiedy w całym domu zaczął dudnić rock, Maria zrozumiała, że gra zbyt głośno, aby stanowić tło dla naszej krępującej konwersacji. A to mogło oznaczać tylko jedno.

Nie było już odwrotu.

Dlatego najciszej, jak się da, wyszła z łazienki.

Obeszła dookoła salon. Powróciła do przedpokoju, z którego wyrastały schody prowadzące na pierwsze piętro. Minęła je i się zatrzymała. Przyjrzała się trzem parom drzwi, a następnie przypomniała sobie układ domu: jego rozmiar, kształt, rozmieszczenie okien i lokalizację garażu. Włożyła rękę do kieszeni i bezszelestnie wyjęła klucz. Ten klucz. Jedyne, który pod żadnym pozorem nie powinien trafić w jej łapska.

Gdzie ona go znalazła? Przecież... Kurwa mać! Zwykle trzymam klucz przy sobie. Traktuję go jak talizman. Przypomina mi o tym, kim jestem. Nie rozstaję się z nim nawet wtedy, kiedy spotykam się z miliardermi albo mądrzę ze sceny. Ale gdy włożyłem luźne dresowe spodnie, bałem się, że mi wypadnie, więc położyłem go na kredensie w salonie. I kompletnie o tym zapomniałem, gdy ta cwana suka pojawiła się przed bramą.

Kiedy wyszedłem do kuchni, Maria miała całą wieczność, żeby go ukraść.

Wydedukowała, że drzwi po lewej muszą prowadzić do garażu, a te z prawej do któregoś z pomieszczeń mieszkalnych. Wybrała więc środkowe. Włożyła klucz do

zamka. Nie była pewna, czy bardziej zależy jej na tym, aby pasował, czy żeby drzwi nie zaskowyczały przy otwieraniu. Na wszelki wypadek modliła się o jedno i drugie.

I choć Bóg nie istnieje, ktoś wysłuchał jej próśb.

Otworzyła drzwi. Ujrzała betonowe schody prowadzące na dół. Wzięła głęboki oddech i zeszła do piwnicy.

Czaiłem się pod łazienką dobre kilka sekund, zanim szarpnąłem za klamkę, otworzyłem drzwi i wparowałem do środka z młotkiem przygotowanym do ataku. I niewiele brakowało, abym w nagłym przypływie gniewu zniszczył kran, który bombardował wodą zlew.

Kurwa.

A więc kości zostały rzucone.

Myśl. Co byś zrobił, gdybyś był cwana policjantką, która za wszelką cenę chce cię udupić? Na jaki krok byś się zdecydował, wiedząc, że już nie możesz zawrócić? Gdzie byś polazł?

To było oczywiste. Nawet jeśli Maria miała stuprocentową pewność, że stoję za tymi porwaniami, potrzebowała na to niezaprzeczalnego dowodu. Czegoś, czym będzie w stanie uzasadnić pojawienie się w moim domu. Najlepiej trupa. Albo kogoś, kto lada moment ma nim zostać.

Spytne z niej babsko. Gdyby wtargnęła tu jako funkcjonariusz publiczny, zaczęła machać klamką i rzuciła mnie na glebę, sąd mógłby zakwestionować wszystkie jej odkrycia. Dlatego odwiedziła mnie prywatnie. Po cywilnemu. Bez broni. Żeby mnie przyskrzynić, potrzebowała jedynie paru fotek nieprzytomnej dziwki, którymi mogłaby się pochwalić swoim koleżkom.

A to oznaczało, że może być tylko w jednym miejscu.

Obszedłem salon i zatrzymałem się przy schodach. Spojrzałem w głąb korytarza. Przypomniałem sobie naszą rozmowę sprzed kilkunastu minut, zaraz po tym, jak wpuściłem ją do środka. Staliśmy może ze dwa metry stąd, bliżej drzwi wejściowych. Maria zachowywała się jak słaba aktorka, która nie potrafi odegrać przeprosin. Ale może wcale nie była taka beznadziejna. Może tylko chciała, abym skupił się na jej niezdarnej kurtuazji, zagubieniu i rozbieganym wzroku, a przeoczył to, że tak naprawdę lustrowała dom. Analizowała, co i gdzie może być ukryte. Od czego powinna zacząć poszukiwania, jeżeli tylko nadarzy się okazja.

A ja, bezmyślnie odkładając ten cholerny klucz, podałem jej szansę na srebrnej tacy.

Uchyliłem drzwi i zerknąłem w dół. W piwnicy paliło się światło. Niedziwne. Być może Maria miała szósty zmysł i potrafiła w parę sekund rozszyfrować rozkład mieszkania, ale piwnicy nie знаła. Nie mogła wiedzieć, że gdy stawiałem dom, poświęciłem jej wiele uwagi. Przewidywałem, że będę tam spędzał sporo czasu, więc chciałem się w niej dobrze czuć. Była nowoczesna i funkcjonalna. A do tego bardzo przestronna – w niczym nie przypominała rozbudowanej, choć ciasnej nory, w której Fritzl więził córkę (nie potrafiłem oprzeć się pokusie, aby zerknąć na jego projekt). Składała się z kilku pomieszczeń, szerokich korytarzy, zakrętów i zakamarków. Było tam mnóstwo miejsc, w których dało się ukryć albo zaciąć.

A ja znałem je wszystkie.

Oczywiście nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że jedna z ofiar może się uwolnić. Ani że pewnego upalnego dnia pojawi się w tym domu jakaś wścibska pinda, która będzie chciała ją wyswobodzić. Ale jak już mówiłem, jestem cholernie ostrożny.

Wróciłem do przedpokoju. Otworzyłem niewielki biały panel, który znajdował się naprzeciwko schodów, i wyłączyłem bezpieczniki. Zdjąłem buty i pozbyłem się ubrań. Będąc nagi, miałem pewność, że żaden szelest nie zdradzi mojego położenia.

Czas się zabawić.

Wszedłem z powrotem do piwnicy i zamknąłem za sobą drzwi. Powoli zacząłem schodzić w ciemność.

Kiedy nagle zgasły światła, Maria wyjęła telefon. Nie chciała zdradzić swojego położenia, więc zamiast rozświetlić drogę latarką, ratowała się słabą niebieską poświatą ekranu.

Po kilkunastu sekundach dotarła na koniec łamiącego się w paru miejscach korytarza. Tam czekały na nią potężne metalowe wrota przypominające wejście do schronu atomowego. Nie obrastały kurzem i pajęczynami jak pozostałe drzwi, które mijala po drodze. Nie wyglądały na nieużywane od miesięcy. W dodatku wydawało się, że to jedyne piwniczne przejście, przez które całkiem swobodnie można by wnieść czyjeś ciało.

Popatrzyła na zamek i wyjęła pęk kluczy. Tylko jeden mógł tu pasować. Włożyła go i przekręciła. Zastawka puściła z brzękiem.

Maria przełknęła ślinę i weszła do środka.

Ludzki umysł lubi płatać figle, zwłaszcza w chwilach najwyższej próby. Dlatego choć Maria od razu natknęła się wzrokiem na skuloną w kącie pomieszczenia kobietę, upłynęło kilka długich sekund, zanim do niej podeszła, ukucnęła i sprawdziła, czy

żyje. A potem parę kolejnych, nim jej roztrzęsione paluchy wyczuły na szyi puls. I jeszcze kilka, po których się zorientowała, że zna tę kobietę.

Dagmara. prostytutka, która mnie wystawiła, wprawiając w ruch całą policyjną machinę. Która podzieliła się z Marią traumatyczną historią. Która się naraziła, aby policjanci mogli mnie złapać. I którą Maria tak potwornie zawiodła.

Co wtedy czuła? Wstyd? Ulgę? Radość? Satysfakcję? Podniecenie? Lęk? Panikę? Pewnie wszystko po trochu. Ale przede wszystkim była wstrząśnięta. A więc to on, pomyślała. To Berger za tym stoi. Miałam rację, kiedy próbowałam przekonać tych durni, że musimy go zatrzymać. Prześwietlić na wylot. Znaleźć jego kryjówkę. Zbudować solidny akt oskarżenia, a potem zamknąć go na resztę życia. Miałam, kurwa, rację. Ale teraz to bez znaczenia. Jest już za późno.

A może nie? Może da się to wszystko jeszcze naprawić.

Podniosła się z kucek. Wycelowała telefonem w Dagmarę i zrobiła kilka zdjęć z lampą. Następnie wysłała je Olegowi z dopiskiem, że znalazła moją kryjówkę i potrzebuje wsparcia. Czekwała na ripostę, niepewnie zerkając w stronę drzwi. Po paru sekundach dostała odpowiedź.

Wysłanie wiadomości nie powiodło się.

Zakłęła. Dopiero wtedy skojarzyła, że do piwnicy prowadziły naprawdę długie schody. Była kilka metrów pod ziemią. Otoczona zewsząd betonem. W dodatku na jakimś wygwizdowie, gdzie i bez tej otoczki pewnie występują problemy z zasięgiem. Musiałby się wydarzyć technologiczny cud, żeby jej wiadomość dotarła do adresata.

Zrozumiała jeszcze jedno. Że jeśli mam zapasowy klucz, mogę ją uwięzić w podziemiach. A wtedy ona i ta głupia pizda zdechną z głodu.

Wiedziała, że gdzieś tam jestem. Że poszedłem za nią, kiedy się zorientowałem, iż łazienka jest pusta. Że wyłączyłem bezpieczniki, aby utrudnić jej poruszanie się po piwnicy. Że pewnie znam te podziemia jak własną kieszeń, dzięki czemu będę miał nad nią olbrzymią przewagę, jeśli dojdzie do konfrontacji.

Tylko co z tego? W momencie, w którym zagłada ci w oczy perspektywa śmierci głodowej, wszystko przestaje mieć znaczenie.

Maria rzuciła się do ucieczki.

Oczywiście nie zamierzałem jej zagłodzić. Co nie znaczy, że nie planowałem wyrządzić komuś krzywdy.

Słyszałem chaotyczne kroki Marii. Domyślałem się, że ucieka. Musiała pojąć, że będąc tu, pod ziemią, w moim betonowym królestwie, nie jest w stanie ściągnąć pomocy.

W pewnym momencie zwolniła. Zatrzymała się. Zaczęła się rozglądać. Być może pojęła, że nie jest w stanie po prostu stąd wybiec. Że to by było zbyt proste. Wyłączyła telefon. Najwyraźniej uznała, że jej wzrok wystarczająco przyzwyczył się do ciemności, aby mogła się w niej swobodnie poruszać.

To oznaczało tylko jedno: że Maria nigdy nie patrzyła w gwiazdy. W przeciwnym razie wiedziałyby, że wzrok w największym stopniu przyzwyczajają się do ciemności w ciągu pierwszych dziesięciu minut przebywania w mroku. Ale pełna adaptacja następuje dopiero po mniej więcej godzinie. A w przypadku bardziej opornych jednostek nawet po półtorej.

Może i była sprytna, ale to ja znałem piwnicę na wylot. Wiedziałem, gdzie są rozstawione szafki i komody, które ona musiała wymacać. Wiedziałem, co leży pod jej stopami. Ale przede wszystkim wiedziałem, ile czasu może upłynąć od momentu, gdy skradająca się kobieta nadejrze na niesprzątniętą kupę żwiru, do chwili, w której pojawi się w moim zasięgu.

Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden.

Zamachnąłem się i wyprowadziłem cios.

Bullseye!

Czubek młotka wylądował na czymś twardym. Mogłem rozwalić Marii łakotkę, strzaskać rzepkę albo zerwać torebkę stawową. Wszystko jedno. Najważniejsze, że ją unieruchomiłem. I to prawdopodobnie na amen, wnosząc po jej przerażającym krzyku. Nie zamierzałem jednak ryzykować. Dlatego chwilę później rzuciłem się na nią i przygniotłem ją swoim nagim ciałem.

Szybko otrząsnęła się po ciosie i zaczęła się wrywać. Była silna. Silniejsza, niż sugerowało jej chłopiące ciało. Ale nie dość silna, żeby mi jakkolwiek zagrozić.

Chwyliłem ją za włosy. Odciągnąłem jej głowę do góry. A potem z impetem uderzyłem nią o podłogę. Usłyszałem charakterystyczny trzask.

Dźwięku łamiących się kości nie sposób pomylić z żadnym innym.

Odpłynęła. Nie miała pojęcia, na jak długo. Ale wydawało jej się, że minęła cała wieczność, odkąd wyszła z pomieszczenia, w którym przetrzymywałem Dagę.

Z otępienia wyrwał ją ból. Pierwsza fala rozeszła się po twarzy. Miała wrażenie, że jej nos zamienił się w wielką pulsującą bulwę, przez którą nie da się oddychać. Była

pewna, że jest złamany. A do tego miała stłuczone wargi i naruszone zęby. W ustach czuła krew, która spływała z różnych zakamarków jej poranionej gęby.

Potem przyszła kolejna fala bólu, tym razem z tyłu głowy. Włosy. Zdała sobie sprawę, że ciągnę ją po podłodze. Niczym worek ziemniaków. Jak zbędny balast, który trzeba wywalić za burtę.

Trzecie ognisko bólu było najgorsze. Pojawiło się niżej – w kolanie. Miewała już z nim problemy, ale nigdy nie czuła czegoś takiego. Jakby wszystkie kości, chrząstki i stawy, które kryją się pod skórą, rozleciały się w drobny mak. Jakby ktoś zebrał je do kupy, włożył do woreczka, szczelnie zawiązał go taśmą, a potem rozpieprzył o mur.

Mimo szoku Maria zrozumiała, że nie zdoła tak po prostu uciec. Ani teraz, ani w bliżej nieokreślonej przyszłości. A to oznaczało, że jeżeli chce przeżyć, musi walczyć.

Kiedy ciągnąłem jej ciało po podłodze, zamierzając umieścić je obok Dagmary, włożyła rękę do kieszeni spodni. Drżącymi palcami wymacała to, czego szukała. Szczyryk. Pamiątkę z harcerskich czasów. Gadżet, który otrzymała od ojca. W czasach gdy jeszcze rozmawiali ze sobą chętnie i nie używając wulgaryzmów. Kojarzył jej się z ostatnimi momentami nieskrępowanej dziecięcej radości. I dlatego nigdy się z nim nie rozstawała.

Widziałem, jak jej ręka sięga po szczyryk, a potem wędruje w kierunku moich jaj. Ale już nic nie mogłem z tym zrobić.

Zawyłem z bólu, po czym osunąłem się w kąt. Wymacałem rękami krocze. Udo piekło, jakby ktoś zafundował mi okład z rozżarzonego węgla. Rana obficie krwawiła, ale nie była głęboka. Maria nie przecięła tętnicy ani żyły. A przede wszystkim nie odcięła mi fujary, choć zapewne taki był jej cel.

Cóż, jedni rodzą się w czepku, inni przez całe życie brodzą w gównie.

Otrząsnąłem się po ataku i ruszyłem z kontrą.

Tak jak przypuszczałem, Maria nie uciekła daleko. Skacząc na jednej nodze i chwytając się ścian, kuśtykała w kierunku schodów. Nie widziałem tego, ale podejrzewałem, że wciąż trzyma w ręku szczyryk, gotowa go użyć, jeżeli coś lub ktoś jej zagrozi. Musiałem ją przechytryć. I musiałem to zrobić szybko – zanim dostanie się na górę.

Najprościej byłoby się na nią rzucić, ale wtedy mogłaby mnie ugodzić tą swoją igielką. Dlatego wymyśliłem plan B.

Kiedy Maria usłyszała, że grzebię przy jednej z szafek, odwróciła się w moją stronę.

– Nie zbliżaj się! – warknęła. – Tym razem wbiję ci to w szyję. Wykrwawisz się na miejscu.

Udo mocniej zapiekło, kiedy wspomniała o scyzoryku. Ale mimo wszystko wątpiłem, żeby scenariusz Marii mógł się ziścić. Zwłaszcza że grzebiąc w szafce, znalazłem coś potencjalnie znacznie skuteczniejszego od jej nożyka.

– Powiedziałam, kurwa, żebyś się nie zbliżał!

W jej głosie wybrzmiewała desperacja. Nic dziwnego. Maria stała tuż przed schodami, tylko kilkanaście kroków dzieliło ją od wolności. Ale nie mogła jej zaznać, nie stoczywszy ze mną walki.

Urok załatwiania takich spraw kilka metrów pod ziemią tkwi w tym, że nawet najbardziej dopieszczona, zadbana i wielofunkcyjna piwnica kiedyś staje się graciarnią. Cmentarzyskiem narzędzi i mebli. Moja nie była wyjątkiem. A ja nie miałem żadnych problemów z wymontowaniem z jednej z szafek mniej więcej półmetrowej drewnianej półki, przy której scyzoryk Marii przypominał pistolecik na wodę.

Nie miała ze mną żadnych szans. Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziała.

– Nie zbliża...

Nie dokończyła. Najpierw na podłogę upadł scyzoryk, potem jego właścicielka.

Stałem nad Marią. Nie widziałem wszystkiego dokładnie, ale wyobraziłem sobie, że kręci głowę. Wyobraziłem sobie strach na jej twarzy. I błagalne, pozbawione nadziei spojrzenie, którym próbuje do mnie dotrzeć.

Przez moment nawet czułem pokusę, żeby się nad nią zlitować. Tyle że to znacznie utrudniłoby mi robotę. A przy okazji odebrałoby masę przyjemności.

Uniosłem deskę nad głowę i zacząłem okładać Marię. Tłukłem tak długo, aż jej ciało stało się zupełnie bezwładne.

Postawmy sprawę uczciwie: nie jestem wirtuozem gościnności. Nigdy nie organizowałem rodzinnych spędów, nie spraszałem kolegów na urodziny, nie urządzałem grilla w ogródku. Nie nazwałbym siebie samotnikiem, bo jednak w ten czy inny sposób lgnę do ludzi, nawet jeśli czasem nieziemsko mnie wkurwiają, ale marnym jestem gospodarzem. Miałem kilka lat, aby się przekonać, że nawet jedna tymczasowa lokatorka może być dla mnie wrzodem na dupie. A dwie to już tłum.

Szczególnie takie dwie.

Kiedy Maria odzyskała przytomność, Dagmara już nie spała. Wręcz przeciwnie. Darła się wniebogłosey, naprzemiennie wołając o pomoc i wyjąc z rozpacz. Zdumiewające, że tak mała istota miała w sobie tyle energii. Zwłaszcza że, podobnie jak Maria, leżała unieruchomiona na podłodze; ze związanymi kończynami i szczelnie oklejona folią stretch.

– To bez sensu – odezwała się policjantka, ledwo wydobywając dźwięk przez opuchnięte usta.

Dagmara spojrzała na nią z wyrzutem, który szybko przeszedł w obrzydzenie, a potem w żal. Maria zrozumiała, że musi wyglądać upiornie. Może nawet gorzej, niż się czuje. Choć jeszcze parę sekund wcześniej myślała, że to niemożliwe.

– To Berger – powiedziała Daga. – Ten skurwiel nas uwięził.

– Wiem, ale twój krzyk nic nie zmieni. Jesteśmy w piwnicy. Kilka metrów pod ziemią. Nikt cię nie usłyszy.

– To co, mam, kurwa, robić?

Dobre pytanie, pomyślała Maria. Zadawała je sobie, odkąd odzyskała świadomość. Próbowwała znaleźć wyjście z sytuacji. Choćby jedno. Choćby nieprawdopodobne. Musiała chwycić się myśli, że mogą z tego wyjść żywe. Tylko jak? Nie mogły liczyć na bohaterskiego wyzwoliciela, bo poza średnio rozgarniętym gejem nikt nie wiedział o tym domu.

– Widziałś mój telefon? – spytała, wyczuwając czubkami palców, że ma puste kieszenie.

– Berger go zabrał – odparła Daga. – Przeczytał na głos kilka esemesów, a potem rozebrał na części.

– I?

– Zniszczył przy mnie kartę, a potem złożył go z powrotem i wyszedł.

Cudownie, pomyślała Maria. Czyli zadbał o to, żeby moja wiadomość nigdy nie dotarła do Olega, a potem najprawdopodobniej wywiózł stąd telefon, żeby przy namierzaniu urządzenia nie dało się go jednoznacznie powiązać z tą kryjówką.

Sytuacja była beznadziejna. Skrajnie beznadziejna.

Maria usilnie próbowała coś wykombinować, ale ból stępił jej myśli. Wszystko ją piekło: nos, usta, głowa, zębra, ręce, kolano. Każdy skrawek cholernego ciała. Czowała się jak wrak. Jak ranny, niedobity koń. Pozwolono jej żyć wyłącznie po to, aby się jeszcze bardziej umęczyła.

To szczególnie ją martwiło. Rozumiała, że skoro nadal żyją, muszą mieć wobec nich jakiś plan. A skoro dałem im swobodę mówienia i zostawiłem zapalone światło, chcę, aby w pełni doświadczyły moich zamierzeń.

– Jaki masz zakres ruchów? – spytała.

– Co?

– Czy możesz poruszać rękoma?

– Nie.

– A palcami?

Dagmara musiała to najpierw sprawdzić.

– Minimalnie.

– Jesteś w stanie zrobić dziurę w folii?

– Nie wiem.

– Spróbuj.

Wijąc się na podłodze, Dagmara próbowała przebić pazurami grubą warstwę stretchu. Przypominała larwę nieudolnie wygrzebującą się z kokonu.

– Nie wiem – powtórzyła, łkając. – Może.

– Postaraj się.

– Przecież się, kurwa, staram! – Dagmara się rozryczała, a po chwili zupełnie zamilkła. Jakby nagle zapomniała, jak się oddycha. – Jeśli mi się uda, to co potem? Jaki masz plan?

Plan? Żadnego planu nie było. Maria miała tylko namiastkę nadziei, że to jeszcze nie koniec. Resztkami wiary, determinacji i ambicji chciała spróbować coś zdziałać,

zanim je obie wykończę.

– W pokoju nie ma kamer – powiedziała. – Żeby się dowiedzieć, co robimy, Berger musi tu wejść. Uwolnimy się, zanim przyjdzie, i zastawimy pułapkę.

– Jak?

– Wystarczy, że jedna z nas będzie mogła się swobodnie poruszać. Zaatakujemy go, kiedy się zbliży. Potem zamkniemy tutaj i pobiegniemy po pomoc.

Dagmara żałośnie jęknęła.

– On jest silniejszy. Poza tym... – zawahała się – kurewsko się boję.

– Ja też, ale to nasza jedyna szansa.

Prostytutka potrząsnęła głową.

– Dlaczego go nie zatrzymaliście? – spytała. – Przecież wiedzieliście, co zrobił.

– Zatrzymaliśmy. Ale nie mieliśmy wystarczająco silnych dowodów, żeby go aresztować.

– To teraz już, kurwa, macie. – Dagmara wybuchła histerycznym płaczem. – To twoja wina! To wszystko twoja wina!

Cóż, miała rację. I Maria doskonale o tym wiedziała. Dlatego choć bardzo pragnęła jeszcze ze mną powalczyć, jeszcze jakoś spróbować przetrwać ten koszmar, nagle zupełnie straciła nadzieję. Pękła. Leżąc z twarzą skierowaną do ziemi, z napuchniętym nosem, z zupełnie rozklekotanym organizmem i gigantycznym bólem głowy, zaczęła ryczeć jak bóbr.

Od tego momentu modliła się tylko o jedno: żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

Kiedy kilka minut później zachrząścił zamek w drzwiach, pomyślała, że Bóg wreszcie jej wysłuchał.

Ale to nie był Bóg.

– Cieszę się, że się zaprzyjaźniłyście – powiedziałem po wejściu do środka. –

Bałem się, że trudno będzie wam znaleźć wspólny język. Wiecie: dwie kobiety z różnych światów. Dziwka i policjantka. Pierwsza nie spełniła oczekiwań drugiej, a druga wystawiła pierwszą. Myślałem, że to nie może się dobrze skończyć. Na szczęście nawet ja się myłę.

Dokuśtykałem do Marii. Ukucnąłem. Pogładziłem ją po twarzy. Widziałem wściekłość w jej oczach. Ale była zbyt zmęczona, żeby w jakikolwiek sposób zareagować na moją czułość.

– Jestem pod wrażeniem twojej spostrzegawczości. Mimo nie najlepszego stanu

zauważyłaś, że nie ma tu kamer. Nie przepadam za nimi. Wolę mikrofony. Dźwięk zostawia więcej miejsca dla wyobraźni. A przecież o to w życiu chodzi, prawda? O wyobrażanie sobie tego, kim się jest i jak nas ludzie postrzegają. O wizualizowanie przyszłości. O fantazjowanie o przyjemnościach. – Podniosłem się. – Prawdziwe przyjemności, doświadczane tu i teraz, nigdy nie dorównają tym z naszych wyobrażeń. Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy się starali, żeby nam było dobrze.

Podszedłem do dziwki. Starła się na mnie nie patrzeć. Starła się nie ryczeć. Starła się nie robić nic, co mogłoby mnie rozzłościć.

– Lubisz kino? – spytałem. – Filmy, seriale, opery mydlane?

Trochę jej to zajęło, ale w końcu pokiwała głową.

– Widzisz? A więc jednak mamy ze sobą coś wspólnego. Gdybyśmy mieli więcej czasu, obejrzelibyśmy *Grę o tron*, *Breaking Bad* albo *The Wire*. Założę się, że tego ostatniego nie znasz. Ale najchętniej pokazałbym ci kilka filmów mojego ulubionego reżysera. Nazywa się Aleksiej Bałabanow. Kojarzysz? – Dagmara potrząsnęła głową, więc zwróciłem się do Marii. – A ty? – Nie odpowiedziała, więc przyjąłem, że nie. – To nieżyjący od kilku lat rosyjski filmowiec. Bardzo specyficzny. I bardzo nierówny. Czasem tworzył naiwne sensacyjki, które prezentowały dziwaczną codzienność rosyjskiego półświatka, a czasem naturalistyczne dzieła ukazujące piekło Związku Radzieckiego. Jak pewnie się domyślacie, te drugie bardziej przypadły mi do gustu.

Odsunąłem się od nich i oparłem o drzwi. Dzięki temu mogłem częściowo odciążyć zabandażowane udo, które ucierpiało w starciu z Marią. Było mi przez to zimniej, ponieważ wciąż byłem nagi, a przyłgnałem do metalu pośladkami. Ale jak mawiają Stonesi: *You can't always get what you want*.

– Jego najgłośniejszy film to *Ładunek 200*. Akcja rozgrywa się na jakimś radzieckim wygwizdowie w połowie lat osiemdziesiątych, tuż przed pierestrojką. Bohaterką filmu jest Andżelika, atrakcyjna i naiwna dziewczyna, która ma słabą wolę i zdecydowanie za bardzo ufa mężczyznom. A przez to pozwala się uprowadzić pewnemu milicjantowi, który uważa ją za swoją żonę. Historia Andżeliki przypomina mi wasze losy. A przynajmniej jednej z was. – Przyjrzałem się im. – Na pewno nie kojarzycie tego filmu? Nic a nic? – Dziewka zaprzeczyła, a Maria dalej milczała. – W takim razie pozwólcie, że zainscenizuję fragment.

Zniknąłem za drzwiami. Kiedy po chwili wróciłem, atmosfera zdecydowanie zgęstniała. Pewnie dlatego, że przytargałem ze sobą kuchenny nóż, który zadziwiająco dobrze leżał w mojej dłoni.

– Która z was ma większą ochotę na seans?

Nie było chętnych. Dziwka rozpaczliwie łkała, a policjantka dalej milczała jak zaklęta. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego.

Wycelowałem palcem w Marię.

– Ene due rike fake, torba borba ósme smake, eus deus kosmateus i morele baks.

Palec zatrzymał się na Marii.

– To twój szczęśliwy dzień – oznajmiłem, uśmiechając się do niej najszerzej, jak potrafiłem. – Patrz uważnie, bo nie będzie dubli.

Podszedłem do Dagmary. Usiadłem na niej, pomimo wściekłych protestów, i uniosłem nad głowę nóż. Wbiłem go z całej siły. Celowałem w serce. Ale że przez folię nic nie widziałem, musiałem to zrobić ponownie. A potem jeszcze raz. I jeszcze...

W którymś momencie dziwka przestała wydawać jakiegokolwiek dźwięki.

Wyczerpany odrzuciłem nóż. Starłem kłykciami krew, która zalała mi oczy. Następnie wstałem i podniosłem ciało Dagmary. Po upuszczeniu z niej paru kropli krwi wydawała się leciutka. Niczym płód, w który nie zdążyło jeszcze wstąpić życie. Bez większego problemu przenieśliśmy zwłoki na drugą stronę pomieszczenia i położyłem je na bezradnie leżącej Marii.

Dopiero wtedy, przygnieciona martwym cielskiem, zaczęła żałośnie zawodzić.

Na to liczyłem. Właśnie dlatego to robiłem. Dla niej. Dla Marii. Dla tej empatycznej idiotki, która pewnie nawet w takim momencie bardziej współczuła jakiejś martwej pindzie niż sobie.

– Zdradzę ci mały spoiler – powiedziałem, schylając się po nóż. – U Bałabanowa nie skończyło się na jednym trupie. U mnie też się nie skończy. Trzeba być wiernym klasyce.

Maria nie wiedziała, jak długo płakała ani ile czasu leżało na niej ciało Dagmary, lecz miała wrażenie, że jedno i drugie trwa całą wieczność. Może wydawać wam się to dziwne, ale uwierzcie: niełatwo otrząsnąć się po czymś takim. Niełatwo też zrzucić z siebie zwłoki, kiedy jest się niespełna sześćdziesięciokilogramową kobietką z połamanymi żebrami, wstrząśnięciem mózgu i rozwalonym kolanem. W dodatku ze związanymi kończynami i owiniętą stretchem.

Takie ekstremalne sytuacje przypominają cykl koniunkturalny: raz jesteś na górcie, a raz szorujesz o dno – i tak na przemian. Kiedy Maria była na dnie, wyła i czekała na śmierć. A kiedy jej indeks przetrwania rósł jak szalony, budziła się w niej

zadziwiająca wola życia. Tak jak teraz.

Gdy wydostała się spod zwłok, zaczęła kombinować, jak wyjść z piwnicy. Najpierw musiała uzyskać swobodę ruchów. Dlatego wijąc się po podłodze, ocierała się o szpilki Dagmary. Dzięki temu zdołała w kilku miejscach przedziurawić folię. Potem wzięła się do węzła. Tyle że tu sprawa była bardziej skomplikowana. Po pierwsze, wykorzystałem naprawdę gruby sznur. A po drugie, potrafiłem robić węzły. Wprawdzie tylko kilka razy byłem na łódkach, a każdy z wypadów przypominał festiwal ćpania, ale nie jestem ignorantem i opanowałem podstawy żeglarstwa. Coś mi podpowiadało, że kiedyś mogą się przydać.

Po mniej więcej kwadransie tarzania się po podłodze Maria zrozumiała, że to bez sensu. Że choćby nie wiadomo jak bardzo się starała, nie poradzi sobie ze sznurem. Zrezygnowała. Jej indeks znowu wpadł w depresję. Znowu zaczęła nasiąkać beznadzieją.

Kiedy ponownie spadła w przepaść, postanowiłem złożyć jej kolejną wizytę.

Otworzyłem drzwi. Postawiłem krzesło na środku pomieszczenia. Opadłem na nie białymi pośladkami i odłożyłem klucze na podłogę. Następnie pociągnąłem łyk drinka. Jacka z colą. Z dużą ilością irytująco pobrzękującego lodu.

– Stretch to kiepskie rozwiązanie, kiedy chce się kogoś unieruchomić – powiedziałem. – Może co najwyżej obniżyć morale i spowolnić ruchy. Za to sznur sprawdza się znakomicie.

Maria opanowała łkanie. Nie chciała mi pokazać, że jest pogodzonym ze swoim losem przegrywem. Albo – jak przystało na policjantkę – wiedziała, że może coś wskórać tylko wtedy, kiedy jestem w środku. Choć żeby tak się stało, musiałbym się kretynsko podłożyć.

– Sporo myślałem o twojej analizie. O tym, jak mnie scharakteryzowałaś. Na ogólnym poziomie miałaś rację. Pomyliłaś się tylko w szczegółach. – Odstawiłem drinka na ziemię. – Weźmy na przykład to, że twoim zdaniem jestem narcyzem. To prawda. Uwielbiam siebie. I uważam, że biorąc pod uwagę moje dokonania, jest to całkowicie zrozumiałe. W końcu ukończyłem esgieh z jednym z najlepszych wyników na roku. Zaliczyłem tournée po korporacjach z wielkiej czwórki. Poznałem psychologię biznesu i stałem się jednym z najlepszych trenerów sprzedaży w Polsce. Występowałem na największych konferencjach i w najbardziej renomowanych mediach. Doradzałem korporacjom i przedsiębiorcom. W wieku trzydziestu sześciu lat osiągnąłem i zarobiłem więcej, niż większość ludzi zdoła osiągnąć i zarobić

w trakcie całego życia. Jestem jednym z wybrańców. Należę do górnych dwóch procent społeczeństwa, najlepiej dopasowanych i najbardziej zasłużonych dla cywilizacji. W moim przypadku narcyzm nie jest zaburzeniem, tylko następstwem realnej oceny dokonań i możliwości. Dlaczego miałbym nie kochać Kacpra Bergera? Udawać fałszywą skromność? Tłumić chęć zwyciężania, którą nabywam z wykładniczo rosnącą pewnością siebie? Dlaczego król życia miałby być smutnym szarym człowieczkiem?

Nie oczekiwałem, że Maria skomentuje mój wywód, więc nie zdziwiło mnie jej milczenie. Ostentacyjne okazywanie lekceważenia było ostatnią bronią, jaka jej została.

– Stwierdziłaś, że muszę być niezłym planistą – kontynuowałem. – Strasznie mnie nie doceniłaś. Rozejrzyj się. – Zatoczyłem ręką okrąg. – Wiele lat temu wymyśliłem, że stworzę miejsce, w którym będę mógł się czuć całkowicie swobodnie i o którym żaden z moich wrogów się nie dowie. Zainwestowałem mnóstwo kasy, żeby je zbudować. Zatrudniłem jedną z najlepszych ekip budowlanych w Polsce. Kazałem jej kupić najdroższe materiały. Sprowadziłem nawet całą masę drogiego sprzętu muzycznego, aby robota nie były zdziwione, że potrzebuję pomieszczenia idealnie wygłuszającego dźwięki. Czegoś takiego nie wymyśliłby niezły planista. Do tego potrzebny jest znakomity strateg. Geniusz. Człowiek potrafiący równocześnie analizować dziesiątki scenariuszy i hipotez, a potem wybierać najlepsze rozwiązania. Również te, które na pierwszy rzut oka wydają się niewykonalne. – Uśmiechnąłem się. – Genialny strateg czyni z rzeczywistości sługusa, który spełnia wszystkie jego zachcianki.

Maria wreszcie na mnie spojrzała. Z kurwikami w oczach. Z czystą nienawiścią. W sposób, w jaki nigdy bym na nią nie spojrzał, choć przecież to ona próbowała mnie zniszczyć, a nie odwrotnie. Ale przecież nie jestem nazistowskim kutasiną. Nie mogę jej nienawidzić za wrodzone ułomności.

– I najważniejsza sprawa: dlaczego to robię? Co takiego kręci mnie w porywaniu i wykorzystywaniu młodych kobiet? Dlaczego przekształciłem dom w jaskinię rozpusty? Według ciebie odreagowuję w ten sposób jakąś traumę, którą prawdopodobnie zafundowała mi kobieta. Moim zdaniem to tylko kwestia atawistycznych upodobań albo zbyt częstego obcowania z dziwną pornografią. Choć oczywiście istnieje niewielka szansa, że częściowo zawdzięczam to także matce. –

Zamyśliłem się. – Już jako parolątek zrozumiałem, że ci wszyscy dziwni faceci,

którzy co jakiś czas pojawiają się w naszym domu, nie są kolegami z pracy ani dalekimi wujkami. Ojciec zapierdalał na nasz dobrostan, a ona waliła go po rogach z jakimiś fagasami. Niedługo później sam się przekonałem, jak duże są potrzeby seksualne mojej matki.

Schyliłem się po drinka. Opróżniłem go dwoma dużymi haustami. Następnie podniosłem z podłogi klucze, wstałem, z bólem prostując poharataną nogę, i ruszyłem do wyjścia.

– Co do jednego miałaś rację. – Odwróciłem się, żeby zerknąć na Marię. – Wolno mi więcej niż pozostałym. Dlatego tak dobrze czuję się w swojej skórze. I cholernie dobrze się bawię. Pewnie nie potrafisz sobie tego wyobrazić, ale nie przejmuj się. Dam ci namiastkę tego uczucia.

Wypiłem tego dnia kilka drinków. Cztery albo pięć. Może sześć. W każdym razie opróżniłem półlitrową butelkę whisky, która była już nieznacznie napoczęta, zanim się do niej zabrałem. Trochę kręciło mi się w głowie. I oczywiście miałem straszną ochotę coś wciągnąć, by odzyskać świeżość. Ale to nie był dobry moment, żeby myśleć o narkotykach. To w ogóle nie był dobry moment.

Dopiero kręcąc się na górze, uświadomiłem sobie, że jestem sfrustrowany. Tym, że przejmowanie Rolkomu idzie tak opornie – a w zasadzie w ogóle nie idzie. Tym, że muszę toczyć wojnę podjazdową ze Skodą i Przydupasem, walcząc o wpływ w firmie, której nie znoszę. Że nadwyrężyłem zaufanie Solskiego i nawet nie wiem, czy szansa na dołączenie do jego drużyny jest jeszcze realna. Że musiałem nagle zmienić plany. To mnie najbardziej frustrowało.

Nienawidzę improwizować. Od lat organizuję życie w taki sposób, aby tworzyło jeden stale się rozrastający ciąg logiczny. Przyczyna – skutek, przyczyna – skutek, przyczyna – skutek. Błąd – porażka, dobra decyzja – sukces. Dokładam kolejne idealnie dopasowane elementy, tworząc nieśmiertelnego, płynnie wijącego się przez codzienność węża. Ale od kilku tygodni jest inaczej. Mój wąż pełza niczym nieudolny pijak. Gubi drogę. Męczy się własnym towarzystwem. Cierpi.

Wiedziałem, kto tak naprawdę ponosi za to winę.

Jedna już została za to ukarana. Druga jeszcze nie.

Ponownie zszedłem do piwnicy.

Maria nie spała. Leżała na plecach, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Nie okazała mi żadnego zainteresowania. Jakby utknęła w letargu. Stałem jakieś pół metra za nią, aby dobrze mnie widziała. Chwyciłem za kutasa i zacząłem się brandzlować.

– Każda z nich przez to przechodziła – oznajmiłem. – Na początku były marudne. Płochliwe. Czasem butne. Musiałem je długo wprowadzać w nastrój, zwykle z użyciem wspomagaczy farmakologicznych. Ale na koniec każda miała z tego frajdę. Mogę się założyć, że były to dla nich najprzyjemniejsze chwile pobytu w tym miejscu.

Stwardniałem. I to szybciej, niż się spodziewałem.

– A teraz wyrucham cię w dupę. – Zrobiłem krok w kierunku Marii i pogroziłem jej palcem. – Jeśli się zesrasz, każę ci zeżreć gówna. A potem wsadzę ci coś znacznie mniej przyjemnego.

Odwróciłem ją na brzuch z taką łatwością, jakbym zwijał dywan. Zdarłem z niej resztki czarnej folii, które mogłyby mi przeszkadzać. Potem pozbyłem się jej brudnych ciuchów: dżinsów, skarpetek i majtek. Wreszcie – choć nie żebym jakoś szczególnie na to czekał – ujrzałem ją w pełnej krasie. Jej posiniaczone plecy. Chude, a mimo to lekko pomarszczone uda. Płaskie pośladki. Pizdę. Zostawiłem jedynie koszulkę, stanik oraz główną ozdobę: gruby sznur, który oplatał jej dłonie oraz łydki.

Położyłem się na niej i chwyciłem ją za włosy. Mogłem zacząć robić swoje. Mogłem zacząć ją pieprzyć.

Teoretycznie. Bo z jakiegoś powodu zacząłem mięknąć.

Maria różniła się od kobiet, które zapraszałem do swojego królestwa. Była starsza i chudsza. Miała ciało nastoletniego chłopca, który wolał się głodzić, niż ćwiczyć na wuefie. W dodatku siniaki, przebarwienia i odrapania nadawały jej bladej skórze chorobliwy wygląd. Ale przede wszystkim nie stawiała żadnego oporu. Była pogodzona z losem. Bezwładna. Drętwa.

Kurwa.

Zupełnie zmięknęłam.

Przez kilka minut próbowałem coś z tym zrobić. Pomagałem sobie ręką. Ocierałem się o jej ciało. Rozważałem nawet sięgnięcie po pomoc martwej dziwki, która była nieporównywalnie bardziej kobieca od Marii, ale czułem, że to też by nie pomogło.

Może to wina alkoholu. A może nie miałem ochoty na zblazowanego nastoletniego chłopca.

Wpadłem w amok. Odwróciłem Marię na plecy i zacząłem okładać ją pięściami. Po twarzy. Po brzuchu. Po cyckach. Z pełną mocą. Z furią. Z nienawiścią.

Maria cierpiała. Musiała cierpieć. Ale za nic w świecie nie chciała tego okazać. Nie płakała. Nie uśmiechała się. Nic nie mówiła. Po każdym ciosie, który na nią spadał,

wydawała jedynie ciche jęknięcia. Jakby na raty uwalniała obumierającą duszę.

W końcu przestałem. Podniosłem się. Popatrzyłem na Marię z góry. Z jej zmasakrowanej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Ale w spojrzeniu tkwiło coś, co mnie niemiłosiernie wkurwiało. Jakaś zamaskowana drwina. Nieuzasadnione poczucie wyższości.

– Pożałujesz tego, kurwo.

Wróciłem na górę. Obiecałem sobie, że tego dnia jeszcze tylko raz zejść do piwnicy. Aby dokończyć to, co nigdy nie powinno się zacząć.

Maria straciła przytomność. Jak gdyby całe napięcie z ostatnich paru godzin puściło, wreszcie pozwalając jej się zrelaksować. Na tyle, na ile się da, kiedy jest się związanym, zakrwawionym i obolałym. I kiedy leży się na zimnej podłodze w piwnicy, czekając na śmierć.

Być może świadomość nadciągającego końca pozwoliła jej osiągnąć wewnętrzny spokój. Rozstać się ze światem w zgodzie. Bez ujadania. Bez wściekłego wymachiwania pięściami. Bez pretensji: do kolegów z pracy, do męża, do ojca, do mnie, do siebie. Może nieuchronność losu dała jej luz, którego nigdy nie była w stanie poczuć, gdy starała się kontrolować każdy aspekt życia.

Po kilku minutach odzyskała świadomość. Jednak wszystko, co wydarzyło się od tego momentu, widziała jak przez mgłę. Jakby zaraz po przebudzeniu zacisnęła mocno oczy, próbując powrócić do marzeń sennych. Do krótkiej i gwałtownej fazy REM, w której nadpobudliwy mózg serwuje swoje zdziwaczałe wizje. Być może wszystko, co Maria utrzymała z resztek tego dnia, było tylko fantasmagorią. Psikusem umysłu. Surrealistycznym tworem, który poszatkował jej prawdziwe wspomnienia.

Zapamiętała hałas. Muzykę. Skoczne gitarowe rytmy i pobrzękujące kostki lodu. Pijacki głos. Trochę śpiewający po angielsku, a trochę opowiadający po polsku. O latach siedemdziesiątych. O zgrai szkockich ćpunów. O Quentinie Tarantino, *Wściekłych psach* i Michaelu Madsenie. O odcinaniu ucha.

Zapamiętała taniec. Powolny i nieskoordynowany. Taki, w którym tańczy się do wewnątrz, napawając muzyką i zajebistością swoich ruchów. Wykonywany tylko wtedy, kiedy nikt nas nie widzi. Albo gdy jedyny widz nigdy nie będzie mógł opowiedzieć o tym, co zobaczył.

Zapamiętała brzęk. Coś upadło na podłogę. Odgłos skojarzył jej się z przestronną jadalnią w mieszkaniu milionerów. Albo z kuchnią. Z dźwiękiem spadającego na lśniące płytki noża.

Zapamiętała potok słów. Obelg mieszających się z wariackim śmiechem. Być może były tam całe zdania, ale ona wychwytywała tylko pojedyncze, wyrzucane niczym pociski słowa. Kurwa. Suka. Tępa pizda. Kurwa. Bezwartościowa szmata. Wścibska cipa. Pierdolona głupia kurwa.

Zapamiętała huk. Przerażliwy huk, który przypominał wystrzał armatni. Po nim nastąpiło kilka sekund ciszy, a potem rozległy się kroki. Dziesiątki kroków. Setki ciężkich stąpień. Tysiące grzmotów wydobywających się spod masywnych buciorów. W pewnym momencie przestała je słyszeć, jak gdyby znowu spadła w nicość. Ale za to wszystko czuła: na opuchniętym lewym policzku, którym przylegała do podłogi. Buciorzy ożywiły martwość. Wprawiły w drżenie cały dom, zamieniając go w jeden gigantyczny pulsujący organizm.

Zapamiętała twarz. Jego twarz. Moją, kurwa, twarz. Wielkie zdziwienie odmalowane na gębie. Niezrozumienie. Ekspresowo pączkujące pytania, które kryły się w grymasach i porach. Potem ta twarz się zmieniła. Przez chwilę wyglądała jak w *Krzyku* Muncha. A później zaczęła głupkowato rechotać na widok zbliżających się w jej kierunku rąk.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był tłum ubranych na czarno, niezidentyfikowanych mężczyzn, którzy masywnymi ciałami wypełnili pomieszczenie. Krzyczeli. Przeklinali. Wydawali polecenia. Błyskawicznie rozprzestrzeniali swoją zadziwiająco skoordynowaną gwałtowność.

W pewnym momencie jeden z mężczyzn ukucnął obok Marii.

I wtedy obraz zniknął.

Dwa tygodnie później

Nie pamiętała, co ją zbudziło. Nie pamiętała, jaki to dzień tygodnia. Nie pamiętała, gdzie jest ani jak się tam znalazła.

Ale pamiętała, co się stało. Wiedziała, że już zawsze będzie o tym pamiętać.

Drzwi złowrogo zaskrzypiały. Do pokoju wszedł patykowaty facet z mocno przerzedzonymi włosami i w okularach zsuwających się z nosa. Nie zapukał. Nigdy nie pukał. Uważał, że każdy, kto jest u siebie, nie powinien pukać. Bo to tak, jakby płaszczył się przed gościem, który nie zasługuje na specjalne traktowanie.

– Jak się czujesz? – zapytał ojciec.

Maria ostrożnie uniosła tułów i oparła się na łokciach. Wsłuchiwała się w organizm. Nie miała wobec niego wygórowanych oczekiwań, więc uznała, że funkcjonuje znacznie lepiej, niż należało się spodziewać. Żebra nadal się zrastały, ale mogła w miarę normalnie oddychać. Uporczywe migreny jakiś czas temu ustały. Barki, ramiona oraz kręgosłup wciąż ją rwały i wiedziała, że czeka ją wiele spotkań z fizjoterapeutą, zanim upora się z codziennym bólem. Za to całkowicie zesza opuchlizna z twarzy, zostało tylko kilka niewielkich, cholernie swędzących strupów. W niczym nie przypominała zmasakrowanego straszysła, które antyterrorysty znaleźli w piwnicy.

– Może być – odparła oschle.

Ojciec wyciągnął do niej pomocną dłoń, kiedy spotkało ją nieszczęście, ale nie zamierzała się z nim fraternizować. Miał czterdzieści lat, żeby zbudować zdrową relację z córką. Nawet niekoniecznie zdrową – jakakolwiek. Tyle by wystarczyło. A skoro przedtem nawet nie podjął próby, to znaczy, że albo kierowała nim litość, której Maria nie oczekiwała, albo liczył na znalezienie kogoś, kto będzie mu podcierał dupę na starość. A na to Maria nie miała ochoty.

– Co chcesz na śniadanie? – zapytał.

– Nie jestem głodna.

- Powinnaś coś zjeść, zanim weźmiesz leki. Zrobię ci tosty.
- Wolę kawę.
- Kawą się nie najesz.
- To zrób dwie.

Ireneusz przez dłuższą chwilę przyglądał się córce, jak gdyby chciał jej powiedzieć coś niemilego. Na przykład że nie jest lokajem. Albo że powinna całować go po stopach za to, że zatroszczył się o nią w chwili trwogi, mimo że ona od lat traktuje go jak powietrze. Ale na szczęście zacisnął usta wystarczająco mocno, żeby nie zniszczyć ich rachitycznej sielanki.

- Długa izolacja nie prowadzi do niczego dobrego – oznajmił ojciec.
- Kto tak twierdzi?
- Psychoterapeuci. Odcięcie się od świata budzi irracjonalne poczucie winy i zwiększa ryzyko załamania. Samotność obniża i tak nadwątłone zaufanie społeczne. W efekcie zamiast prowadzić do równowagi i ułatwiać powrót do normalności, tylko pogłębia traumę.

- Dlaczego mi o tym mówisz?
- Bo lubię mieszkać sam. Chyba nie sądziłaś, że to już na stałe. – Uśmiechnął się.
- A tak serio, to próbuję zachęcić cię do powrotu do żywych. Do wznowienia życia społecznego.
- Na razie podziękuję.
- A poza tym masz gościa.

Ojciec wycofał się z pokoju, zanim Maria zdążyła zaprotestować. Chwilę później jego miejsce zajął Oleg, ubrany w starannie uprasowaną białą koszulę i eleganckie spodnie.

Wystroił się jak na stypę, pomyślała Maria.

- Jak się czujesz? – zapytał.

Musiał wiedzieć, że w ostatnim czasie Maria słyszy to pytanie przynajmniej kilka razy dziennie i z pewnością ma go po dziurki w nosie. Musiał też wiedzieć, że przed chwilą padło z ust jej ojca. Ale nie był ani wulkanem kreatywności, ani mistrzem small talku, więc pewnie nic lepszego nie wymyślił.

- Jak po ciężkim wpierdolu – odparła. – Co tu robisz?
- Wpadłem w odwiedziny. Żeby się dowiedzieć, jak sobie radzisz. Ostatni raz widzieliśmy się dzień po zejściu w piwnicy. Byłaś wtedy na silnych lekach, więc możesz tego nie pamiętać.

– Pamiętam. Sporo mi się miesza i czasem zapominam, gdzie jestem, ale coś tam jeszcze kojarzę. No i robię postępy. – Rozejrzała się po pokoju. – Myślę, że niedługo wrócę do siebie.

– Twój ojciec będzie niepokieszony.

– Wątpię.

Maria ostrożnie przesunęła się na brzeg łóżka i spuściła nogi na podłogę – najpierw zdrową, a potem tę, którą jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie miała trzymać w gipsie. Podniosła się, mając wrażenie, że każdy skrawek ciała protestuje przeciwko temu pomysłowi. Czuła się stara, zmęczona i zdezelowana. Nieodwracalnie uszkodzona. Gdyby jakiś ubezpieczyciel miał odwagę ją wycenić, pewnie by stwierdził, że jej wartość jest zdecydowanie niższa niż całkowity koszt naprawy.

– Gdzie idziesz? – spytał Oleg.

Maria spojrzała na niego spode łba. Najpierw ojciec, teraz on. Gdy akurat nie miała najmniejszej ochoty użerać się z żadnymi mężczyznami, oblało ją dwóch wyjątkowo uciążliwych samców, którzy nabrali niezrozumiałej ochoty, by kontrolować jej życie.

– Do kibla. Mogę?

Oleg, wyraźnie zakłopotany, przepuścił ją w prog.

Zamknęła się w łazience. Wysikała się, a potem wyszorowała twarz i zęby. Zrzuciła piżamę i zgodnie z zaleceniami lekarza wysmarowała maścią obolałe miejsca. Potem włożyła na siebie dresy, w których spędzała większość ostatnich dni. Powąchała bluzę od wewnątrz – jakimś cudem jeszcze nie śmierdziała. Wyszła z łazienki i pokiwała do pokoju.

W środku zastała ojca i Olega. Siedzieli na łóżku i popijali kawę. Kiedy się pojawiła, zamilkli, więc musieli rozmawiać o niej. I to w sposób, który mógłby się jej nie spodobać.

– Idę na spacer – oznajmiła.

Ojciec wycelował palcem w szafkę nocną, na której chwilę wcześniej postawił tosty oraz kawę.

– A śniadanie? Leki?

– Szybko się męczę, więc to nie będzie długa wycieczka. Wrócę przed południem.

– Przeniosła wzrok na Olega. – Chcesz się przejść?

Ukraińiec zerknął na Ireneusza, jak gdyby potrzebował jego błogosławieństwa. Chwilę później pokiwał głową.

Spacerowali szerokimi alejami Lasu Kabackiego, który w trakcie letnich miesięcy

bywał bardziej zatłoczony niż autostrada łącząca Warszawę z Łodzią. Co kilka sekund mijali ich niezmordowani biegacze, matki z niemowlętami w wózkach, nastolatki korzystające z pierwszych wagarów w roku szkolnym. Wciąż było ciepło, choć żółknące liście zwiastowały nieuchronny finał lata.

– Mamy problem z Bergerem – oznajmił Oleg, kiedy minęli jedno z wielu leśnych skrzyżowań. – Twierdzi, że nie pamięta, co się stało w piwnicy ani jak się tam znalazłaś. Nie przyznaje się do żadnego z zabójstw. Ani do porwań. Ani do tego, co ci zrobił.

– To było do przewidzenia – odparła Maria, która całkiem sprawnie się poruszała z pomocą kul. – Udaje pierdolniętego, żeby się wyłgać od dożywocia.

– Albo faktycznie jest pierdolnięty.

– Na pewno chciałby, żebyśmy tak myśleli.

– Jeden z psychiatrów, którzy go badali, twierdzi, że Berger może cierpieć na DID.

– Na co?

– *Dissociative identity disorder*, czyli...

– Wiem, co to jest. Tyle że to bzdura. Berger nie ma rozdwojenia jaźni, tylko jest wyrachowanym skurwysynem, któremu całe życie się wydawało, że może więcej niż inni. To zachłyśnięty władzą, pieniędzmi i cholera wie czym jeszcze psychopata.

– Ty to wiesz, ja to wiem, Papszon, Lewiński i prokurator też to wiedzą. Ale... – Oleg pokręcił głową. – Berger naprawdę dobrze gra. A nasze ustalenia rzeczywiście mogą sugerować, że z jego głową jest coś nie tak.

– Jakie ustalenia?

Oleg ciężko westchnął. Martwił się, że opowiadanie o moich wyczynach może się odbić na zdrowiu psychicznym Marii, które musiało być w rozsypce po tym, co ją spotkało. Ale jeszcze bardziej obawiał się jej gniewu, gdyby próbował coś przed nią zataić.

– Jakiś czas temu Berger wparował do fundacji Danuty Rolnickiej, żony jednego z najbogatszych Polaków, i zaczął ją podtapiać w akwarium. Groził, że ją zabije, jeżeli nie pomoże mu w przejęciu biznesu jej męża. Dzień przed tym, jak po raz pierwszy go zatrzymaliśmy, wszczął awanturę w klubowym kiblu, ponieważ ktoś mu przeszkodził w ćpaniu. Skończyło się bijatyką z silnorękimi i dożywotnim zakazem wstępu. A jeszcze wcześniej napadł na jakiegoś Bogu ducha winnego kolesia, będąc święcie przekonany, że tamten go śledzi. Powiedział, że wykończy jego rodzinę, jeżeli facet się nie odczepi.

– I o czym to według ciebie świadczy? – spytała Maria.

– O tym, że Berger jest niezrównoważonym psychicznie paranoikiem, który nie panuje nad emocjami. Zachowuje się jak doktor Jekyll i pan Hyde.

Maria parsknęła śmiechem i natychmiast tego pożałowała. Zgięła się w pół, chwytając za żebra. Ich stan szybko się poprawiał, ale od czasu do czasu wciąż dawały o sobie znać. Niczym upierdliwy pager, który skwapliwie pilnuje, aby nie zapomniała, że przeszła przez piekło.

– Wszystko w porządku? – spytał Oleg.

Po paru sekundach Maria powoli się wyprostowała. Westchnęła.

– Pamiętasz nasze rozmowy o psychopatach? – spytała.

– Trochę ich było...

– Nie mogłeś uwierzyć, że za tymi wszystkimi zabójstwami stoi facet, który tak dobrze sobie radzi w życiu zawodowym. Zarabiający kupę siana, robiący deale z milionerami, brylujący w mediach.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

– Przez cały czas próbowałam cię przekonać, że na tym polega istota psychopatii. Bardzo często trafiają się psychopaci odnoszący sukcesy: w biznesie, medycynie, prawie czy nauce. To ludzie, którzy wiedzą, jakie zachowania odbiegają od ogólnie przyjętych norm, dzięki czemu potrafią się doskonale kamuflować. A gdy działają w silnie aspołecznym środowisku, na przykład w korporacji, przychodzi im to z dziecinną łatwością. Zwłaszcza że część ich naturalnych cech, jak autorytarność, brak empatii czy skłonność do manipulacji, może być tam postrzegana jako coś pozytywnego. Jako walor. Atut, który ułatwia wspinaczkę na szczyt. Nadążasz? –

Oleg był poirytowany jej protekcyjnym tonem, ale mimo to kornie pokiwał głową.

– Mówię o tym, aby ci uzmysłwić, że Berger jest oślizgłym gadem, który potrafi zachowywać się dokładnie tak, jak tego wymaga sytuacja. Bez żadnego problemu może zgrywać coacha pragnącego uczynić cię cudownym sprzedawcą albo troskliwego menedżera, który chce dopiąć transakcję w taki sposób, aby wszyscy byli zadowoleni. To prawdopodobnie największy cwaniak, z jakim kiedykolwiek miałeś do czynienia. Czy oprócz tego jest paranoikiem? Narkomanem? Furiatem, któremu czasem puszczają hamulce? Pewnie tak. Ale to zdrowy umysłowo gość, który... –

Maria zamilkła na chwilę. – Wtedy, w piwnicy... nikogo nie udawał. Był sobą. Najzwyklejszym w świecie zwyrodnialcem.

Przez kilka minut spacerowali w milczeniu, ściągając na siebie ciekawskie

spojrzenia. Wyglądali jak para kochanków: on z zakłopotaniem rozglądał się na boki, nie bardzo wiedząc, jak z nią rozmawiać, aby jej nie zranić; ona, podpierając się na kulach, żałośnie szlochała, nie rozumiejąc, dlaczego musi przez niego cierpieć.

W rzeczywistości sprawa była banalnie prosta. Oleg nie jest mizoginem ani szowinistą, ale jakiś pierwotny instykt w połączeniu z konserwatywnym wychowaniem każe mu bardziej wierzyć facetowi – skrajnie zdeprawowanemu, ale jednak facetowi – niż kobiecie, która najpierw przez kilka tygodni zachowywała się jak paranoiczka, a potem przeżyła koszmar. Nie wiedział, jak w delikatny sposób zasugerować, że Maria może się mylić, ponieważ jej postrzeganie rzeczywistości zostało zniekształcone przez traumę, nienawiść, emocje, hormony, leki i chuj wie co jeszcze. Z kolei ona doskonale wiedziała, co mu chodzi po głowie. I nie mogła się pogodzić z tym, że znów musi przerabiać to samo. Że Oleg widzi w niej histeryczkę, której ogląd sytuacji wykrzywiają typowo kobiece cechy. Że względnie bystry facet, umiejący programować, rozwiązywać zagadki matematyczne i odnajdywać trudne do zauważenia wzorce, rozumuje w sposób typowy dla neandertalczyka. I że nic nie da się z tym zrobić. Jej płacz nie był aktem cierpienia, tylko ostatecznej bezradności.

– Berger udający wariata to niejedyny problem – odezwał się Oleg, nie mogąc dłużej znieść ciszy. – Dalej nic nie wiemy o tych dziewczynach. W domu Bergera nie znaleźliśmy żadnych śladów biologicznych. Żadnych notatek. Żadnych cyfrowych dowodów, że mógł się nimi interesować. Nic.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Po pierwsze, istnieje ryzyko, że nie znajdziemy tych dziewczyn. Być może nigdy się nie dowiemy, co się z nimi stało. A po drugie, może się okazać, że nie będziemy w stanie pociągnąć Bergera do odpowiedzialności za porwania i zabójstwa. Przy obecnym stanie wiedzy czeka nas proces poszlakowy, a z nimi bywa różnie.

Maria się zatrzymała. Myślała o czymś, wpatrując się w prześwit w lesie. Chwilę później obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Chcesz wrócić do domu? – spytał Oleg.

Maria potrząsnęła głową.

– Jeżeli nie udowodnimy Bergerowi, że skrupulatnie zaplanował porwania, a następnie bestialsko zamordował te dziewczyny, łatwiej będzie mu udawać pierdolniętego. Nie możemy na to pozwolić.

– Coś wykombinujemy.

– Co?

– Jeszcze nie wiem, ale nie zdręczaj się tym. Powinnaś odpocząć.

Przestań mi, kurwa, mówić, co mam robić, pomyślała Maria. Ale zamiast to wyartykułować, wolno pokręciła głową.

– Odpoczywałam przez dwa tygodnie. Poza tym prędzej podetnę sobie żyły, niż spędzę kolejny dzień w towarzystwie ojca.

– Miałem wrażenie, że się dogadujecie.

Zerknęła na Olega, jak gdyby zmieniała zdanie. Jakby to jednak jemu zamierzała coś podciąć. Albo odciąć.

– Nie będzie żadnego procesu poszlakowego – stwierdziła. – Dorwiemy tego skurwiela.

Pewnie to znacie: w waszym życiu dzieje się coś ważnego, a wy nie możecie przestać się przejmować pozbawionymi jakiegokolwiek znaczenia duperelami. Na przykład macie dostać pracę marzeń, ale martwicie się tym, że wasz patologiczny szef, któremu za chwilę pokażecie środkowy palec, zlecił wam robotę na weekend. Albo bierzecie ślub i nie możecie przestać myśleć o niedawnej kłótni z klientem, którego nie zobaczycie przez kolejne trzy tygodnie, bo wasze świeżo ochajtane dupska będą się wygrzewać na Malediwach. Albo jesteście w środku zajebistej imprezy, którą możecie sobie jeszcze podkreślić speedem albo pigułami, ale z tyłu głowy podszczypuje was myśl, że bardzo pragniecie uniknąć kaca lub zjazdu.

Oleg doświadczał tego samego irracjonalnego lęku, widząc, jak domowa drukarka wypluwa kolejne kartki. Jego lexmark powarkiwał nieprzerwanie, odkąd parę minut wcześniej Ukrainiec wpuścił Marię za biurko i powiedział sakramentalne „tak”, kiedy spytała, czy może wydrukować kilka rzeczy związanych z moją sprawą. Było więcej niż pewne, że sprzęt za chwilę zażąda dokładki papieru. Tak jak i to, że Ludka, żona Olega, zażąda wyjaśnień, dlaczego znów przywłókł robotę do domu, mimo że obiecał się w końcu zdystansować. Odsunąć. Wrzucić wolniejszy bieg. Przecież schwytali tego świra, więc mógł z powrotem grzecznie wpełznąć pod pantofel.

I pewnie by to zrobił, gdyby nie dręczyły go wyrzuty sumienia. Coś, czego absolutnie się nie spodziewał, kiedy wstępował do policji. Miał być tylko niebieskim nerdem. Gościem, z którego koledzy chętniej zaglądający na pakernię i lepiej posługujący się bronią robią sobie jaja. Pisał się na szyderstwo, a nie na poczucie winy.

– Popełniliśmy błąd – oznajmił, przebijając się przez warkot drukarki. – Powinniśmy byli ci uwierzyć. Przepraszam.

Maria oderwała na chwilę wzrok od monitora. Napiła się kawy i zerknęła na Olega. Następnie ponownie skupiła się na folderze z dokumentami.

– Nie mieliśmy wystarczających dowodów – powiedziała. – Musieliśmy go wypuścić.

– Mogliśmy mocniej docisnąć Bergera. Może coś byśmy znaleźli.

– Nawet gdybyśmy się dowiedzieli, że ma dom na odludziu, który z jakiegoś powodu formalnie nie jest jego własnością, i że zbudował w nim piwnicę przypominającą średniowieczne lochy, to nic byśmy mu nie zrobili. A wiesz dlaczego?

– Bo jest cholernie ostrożny?

Maria potrząsnęła głową. Sięgnęła po kartkę, która chwilę wcześniej wyjechała z drukarki.

– Dlatego. – Podała Olegowi wyciąg z jednego z moich kont. – Berger kontrolował życie za pomocą pieniędzy. W każdym miesiącu obracał setkami tysięcy złotych. Część pieniędzy inwestował albo finansował za ich pomocą swoje lancerskie życie, ale resztę wypłacał w gotówce. I wydawał je w taki sposób, byśmy nie byli w stanie wyśledzić jego ruchów. Mogę się założyć, że większość środków szła na jego nietypowe hobby oraz tuszowanie tego, czym zajmował się po godzinach. Przede wszystkim musiał opłacić ludzi: od dilerów załatwiających różne podejrzane substancje, którymi otumaniał dziewczyny, po speców pomagających mu pozbyć się zwłok. Gdy do nieograniczonych zasobów finansowych dołożysz niezłą pamięć, umiejętność planowania i przezorność, wyjdzie ci z tego przepis na zbrodnię doskonałą.

– Prawie doskonałą.

– Kiedy znalazłam tę kryjówkę pod miastem, mogłam próbować go złapać na gorącym uczynku albo sprowokować do błędu. Wiedziałam, że po wpadce z zatrzymaniem Papszon nie zgodzi się na przyklejenie Bergerowi ogona, więc stała obserwacja odpadała. Musiałam tam wejść i coś zrobić. Zwłaszcza że... – Zawahała się. – To strasznie głupie, ale ja cały czas miałam nadzieję, że te dziewczyny żyją. Że on je tam przetrzymuje. Byłam cholernie naiwna.

– Raczej cholernie odważna. Gdyby nie ty, Berger wciąż byłby na wolności. Nikt nie wie, co by wtedy zrobił.

To nieprawda. Maria wiedziała, co by się stało. Wtedy – w piwnicy – zrodziła się między nami nić porozumienia. Z takich ekstremalnych przeżyć często powstają

metafizyczne związki. W efekcie doskonale wiedziałem, jaki będzie jej kolejny krok, a ona nie miała żadnych wątpliwości, co by się stało, gdybym to ja był górą w naszej walce. Dręczyły ją wizje moich kolejnych sukcesów. Płomiennych przemów na największych konferencjach. Spotkań z milionerami. Wzroku, którym spoglądałbym na karaluchy pałające się pod moimi stopami. Rozumiała, że wykorzystalbym policyjne zamieszanie, które dało mi jakże cenny status ofiary systemu, i zapewnił sobie immunitet. Niewidzialność. Dożywotnie zezwolenie na bycie sobą.

– To wszystko, co macie? – spytała.

Oleg podjechał do niej na krzesło, aby zerknąć na ekran.

– Tak, wszystko jest w tym folderze. Kilkadziesiąt giga najróżniejszych materiałów.

Kilkadziesiąt giga śmieci, pomyślała Maria.

– Te zapiski to przede wszystkim charakterystyka pracy i życia Bergera – powiedziała. – Wpis na Wikipedii uzupełniony o szczegółową dokumentację jego wypaczeń. Z czegoś takiego może skorzystać psychiatra próbujący udowodnić, że Berger jest niespełna rozumu, ale nie my. Brakuje tu najważniejszego.

– Czyli?

– Zamiast asystentki twierdzącej, że widziała, jak Berger wali konia w biurze, przydałoby się zeznanie człowieka, który zauważył długowłosego faceta wyjmującego z bagażnika coś ciężkiego.

– Rozmawialiśmy z jego sąsiadami spod Konstancina. Parę osób widziało, jak odjeżdżał spod domu samochodem. Nic więcej.

– To już coś. – Maria wycelowała palcem w ekran. – Informacje na temat jego życia zawodowego, hobby i dziwactw możemy sobie wsadzić w buty. Liczy się tylko to, co robił w tamtym cholernym domu. – Odchyliła się na oparcie krzesła i spojrzała na Olega. Wzrokiem, który ani trochę mu się nie podobał. – Zawieź mnie tam.

Drukarka nagle zamilkła, a potem zaczęła irytująco pikać, domagając się nowej porcji papieru. Oleg ciężko westchnął. Miał wyjątkowego pecha do otaczania się kobietami, na które nie ma żadnego wpływu.

Próbował przekonać Marię, że wizyta w miejscu, z którego ledwo uszła z życiem, nie jest najlepszym pomysłem. Że zamiast tam jechać, może przestudiować zdjęcia u niego w mieszkaniu, nawet mimo sprzeciwu dokumentnie wkurwionej żony. Że choć nie zna się na ludzkiej psychice, gotów jest się założyć, iż każdy psycholog, psychiatra czy znachor odradziłby jej tę wizytę.

Ale ona go nie słuchała. Ani wtedy, ani kiedykolwiek przedtem czy potem.

Może i dobrze. Bo po policyjnej interwencji mój dom już nie wyglądał tak jak w dniu, w którym gościłem Marię. Zamienił się w jeden wielki eksponat z muzeum zbrodni, pełen rozmaitych znaczników kryminalistycznych: numerków magnetycznych, strzałek i skalówek. Również w miejscach, które na pierwszy rzut oka wydawały się zupełnie nieistotne, jak kuchnia czy sypialnia.

– Wszystko w porządku? – spytał Oleg.

– Tak – odparła Maria.

O dziwo, nie kłamała. Czuła się tak, jakby weszła tam po raz pierwszy. Dopiero teraz mogła przyjrzeć się temu domowi racjonalnie. Na zimno. Nie starając się wychwycić kątem oka kryminalnych detali, lecz chłonąc jego istotę. Próbując zrozumieć, kim jest człowiek, który zamienił ten przybytek w wyrafinowane miejsce tortur.

I spotkał ją zawód, ponieważ dom był nieskalany. Czysty. Kompletnie bezosobowy mimo masy designerskich mebli i drogiej elektroniki. Wyzbyty indywidualistycznych wyróżników. Niczym ekskluzywny hotel sieciowy. Jak salon Apple. Jakby niezbyt utalentowany aranżer skopiował jego wystrój z jakiegoś luksusowego stocka.

Maria sądziła, że powrót do tego domu wzmoże nienawiść, jaką do mnie czuje. Ale dość niespodziewanie zrobiło jej się przykro. Jakbym był jedną z ofiar tego miejsca.

Doprawdy łączyła nas zadziwiająca więź.

– To wygląda na robotę jakiegoś nadgorliwca – zauważyła Maria, kuśtykając wzdłuż masywnego regału w salonie, na którym zamontowano kilkanaście numerków dowodowych.

– Właśnie na niego patrzysz. – Oleg uśmiechnął się cierpko. – Techników interesowała głównie piwnica, ale kazałem im bardzo dokładnie zbadać cały dom. Uznałem, że przy odrobinie szczęścia uda nam się dowiedzieć czegoś o tych dziewczynach. Ale najwyraźniej się myliłem.

Nie pierwszy raz, pomyślała Maria, ale zachowała to dla siebie.

– Czy któryś z przedmiotów nie pasuje do natury Bergera? – spytała.

– Co najmniej kilka. – Oleg przeszedł do kuchni i poczekał, aż Maria do niego dołączy. – O ile nam wiadomo, Berger nie jest fanem kulinariów. Jego była dziewczyna twierdzi, że traktował jedzenie jak konieczność. Nie rozsmakowywał się, tylko wpuszczał do organizmu kalorie, które pozwalały mu funkcjonować. I oczywiście nigdy nie gotował. – Wskazał palcem stojak na noże. – Więc po jaką

cholere mu taki zestaw? Każdy z tych noży jest starannie wypielęgnowany i cholernie ostry. Właśnie patrzymy na najbardziej prawdopodobne narzędzia zbrodni. Zresztą Dagmarę Wiech zadłgał jednym z takich noży.

Maria przypomniała sobie brzęk, który co jakiś czas samoistnie rozbrzmiewał w jej głowie. Niewiele brakowało, żeby sama trafiła pod jedną z takich maczet.

– Co jeszcze? – spytała.

– Sprzęt muzyczny. Cała piwnica zavalona jest gitarami, wzmacniaczami, piecykami i keyboardami. Jeden z chłopaków twierdzi, że Berger musiał wywalić na to grubo ponad sto patyków. To o tyle zastanawiające, że żaden z jego znajomych nie słyszał, aby szczególnie interesował się muzyką, a co dopiero próbował samodzielnie brzdąkać! Prawdopodobnie pasja do muzyki miała być przykrywką dla stworzenia tak rozbudowanej i dobrze izolującej dźwięk piwnicy. To także dowód na to, że Berger nie liczył się z pieniędzmi.

Maria wyszła z kuchni do przedpokoju. Zatrzymała się przed drzwiami, za którymi znajdowały się schody prowadzące na dół. Do piwnicy. Nawet jeśli nie było w niej nic, co mogłoby im pomóc w odnalezieniu tych dziewczyn, zamierzała tam zejść. Żeby zmierzyć się ze swoją historią. W końcu to ona była górą. Wygrała, choć okupiła to zwycięstwo wieloma fizycznymi i psychicznymi urazami. Jedne leczyły się zadziwiająco szybko, ale inne trzymały się nieźle. Może nawet lepiej niż dwa tygodnie temu.

– Czy znaleźliście piłę łańcuchową, siekierę albo coś w tym stylu? – zapytała, przechodząc do kolejnego pomieszczenia.

– Nie.

– A łopate?

– Tylko jedną. Wygląda na nieużywaną. Berger raczej nie jest typem majsterkowicza.

– Czyli mamy prawdopodobne narzędzia zbrodni, ale nie znaleźliśmy nic, co mogłoby mu się przydać, żeby pozbyć się ciała.

– Nie licząc folii stretch i dużych worków na śmieci.

– Nie twierdę, że nie wywoził stąd zwłok. Ale gdyby pozbywał się ich samodzielnie, pewnie miałby tu jakiś specjalistyczny sprzęt. Coś, czym można zakopać ciało. Albo je poćwiartować. Albo rozpuścić. – Zamilkła na chwilę, intensywnie się nad czymś zastanawiając. – Skoro pozwolił mi tutaj wejść, musiał mieć pewność, że nic na niego nie znajdę. Tylko nie wziął pod uwagę, że zabiorę jego

klucze i dostanę się do piwnicy. – Zerknęła na Olega. – Jak często korzystał z tutejszego komputera?

– Podobnie jak z tego w mieszkaniu w centrum. Robił to także w dniach poprzedzających porwania, więc nasze założenie, że przetrzymywał te dziewczyny w piwnicy, wydaje się słuszne.

– Znaleźliście coś, co mogłoby sugerować, że szukał sposobu na pozbycie się zwłok?

Oleg zaśmiał się pod nosem.

– Pytasz, czy wpisywał w wyszukiwarce hasło „jak się pozbyć ciała”? Albo „domowe sposoby na usunięcie trupa”?

– Pytam, czy ruszyłeś mózgowicę.

Oleg w ostatniej chwili powstrzymał się przed odburknięciem. Maria niemiłosiernie go frustrowała. Może nawet bardziej niż wtedy, kiedy spędzał z nią po kilkanaście godzin dziennie, próbując rozwikłać to cholerne śledztwo. Jednak podskórnice go to cieszyło. Bo to oznaczało, że Maria znów jest sobą. Zrędliwą babą, która będzie się tak długo wwiercać w daną materię, aż przebije się na wylot.

– Berger oglądał sporo dziwnych filmików, katował pornosy i często zaglądał na fora poświęcone narkotykom. Ale poza tym zajmował się głównie biznesem. Był cholernie skupiony na tym, aby zarobić jak najwięcej kasy. I by nikt nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że jest człowiekiem sukcesu. Tak przynajmniej tłumaczę to, że dorosły facet poświęcił mnóstwo czasu na naukę technik coachingowych, oglądanie wystąpień mówców motywacyjnych czy analizę mowy ciała. Upprzedzę też twoje kolejne pytanie: Berger nie dzwonił do nikogo, kto mógłby nam się wydać podejrzany. Kogo moglibyśmy uznać za jego współnika albo pomagiera.

Przez kolejne kilka minut policjanci obchodzili parter, po czym udali się na górę. Maria weszła do mojej iście katalogowej sypialni, w której można było się poczuć jak w salonie meblowym. Dokładnie obejrzała nieużywane łóżko, nieużywaną garderobę oraz nieużywaną szafkę nocną. Zatrzymała się przed oknem, skąd rozciągał się widok na niezagospodarowany ogród.

– To się nie trzyma kupy – powiedziała.

– Co?

– Umiejętności pozbywania się zwłok nie wysysa się z mlekiem matki. Skoro nie znaleźliśmy nic, co by sugerowało, że Berger posiadał wiedzę na ten temat, to znaczy, że musiał znaleźć jakiegoś człowieka, który mu w tym pomagał.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Pewnie jakiś gangster. Albo świr. Ktoś, komu nie śmierdziały pieniądze Bergera.

– Przyjrzelśmy się wszelkim jego powiązaniom. Przeanalizowaliśmy każdy, nawet najdrobniejszy trop. Próbowaliśmy odtworzyć wszystkie działania Bergera z ostatnich miesięcy. I nic. Facet nie popełnił żadnego błędu.

– Z wyjątkiem jednego.

Oleg kiwnął głową.

– Fakt. Ale w zasadzie to nie był błąd. Wstukał na mapach Google lokalizację, która nie prowadziła bezpośrednio do jego domu. Skąd mógł wiedzieć, że jakaś policjantka natknie się w okolicy na faceta, który kojarzy go z internetu?

– Może to niejedyny błąd, jaki popełnił. Może powinniśmy sprawdzić inne adresy z jego telefonu.

– Myślisz, że tego nie zrobiliśmy? Większość kieruje do siedzib dużych firm albo popularnych średniowiejskich restauracji. Nasze wątpliwości wzbudził tylko przemysłowy zakątek we Włochach. Ale tam nikt nie widział Bergera ani jego samochodu.

– Jeżeli wywoził tam zwłoki, pewnie robił to nocą.

– Tak czy inaczej, nie jesteśmy w stanie tego zweryfikować.

– Może warto sprawdzić to miejsce jeszcze raz?

Oleg wzruszył ramionami.

– Dobrze, zawiozę cię tam. Tylko błagam: nie dzisiaj. Robi się już późno, a Ludka i tak jest wkurwiona, że przez większość soboty zajmowałem się pracą.

– A jutro? Masz jakieś plany na niedzielę?

Ukrainiec ciężko wypuścił powietrze.

– Mam. A raczej miałem.

– Plany mają to do siebie, że można je zmienić.

– I że lubią się pierdolić.

Maria uśmiechnęła się i ponownie wyjrzała przez okno. Tuż za dwumetrowym ogrodzeniem wyznaczającym koniec posiadłości wyrastały całe pasma brzoź i iglaków. Biel i zieleń. Jasność i spokój. Niczym w święta. Jak w mocno przesłodzonej kreskówce.

Piękne miejsce, pomyślała. Dobre, aby się zestarzeć.

I całkiem niezłe, żeby umrzeć. Coś na ten temat wiedziałem.

Cztery tygodnie po zajściu w piwnicy

Podobno nastawienie i przekonania determinują nasze zachowanie. A co za tym idzie, w znacznej mierze decydują o skuteczności – w roli menedżera, sprzedawcy, a nawet seryjnego zabójcy.

Podobno.

Pewnie jesteście ciekawi, jak mając karty w ręku i będąc niezachwianie pewnym, że zrobiłem wszystko jak należy, mogłem to tak spektakularnie spierdolić. Pozwólcie, że wam opowiem.

Wyobraźcie sobie tamę. Betonową, ceglana, drewnianą – wszystko jedno. I wyobraźcie sobie, że w tej tamie powstaje niewielka dziura. Wystarczająca, aby woda zaczęła przeciekać cieniutkim strumykiem. Oczywiście zapora nie zawali się od razu i woda nie zaleje miasteczka. W którymś momencie burmistrz wyjmie rękę z portek, poderwie z fotela swój tłusty zad i spróbuje wdrożyć jakiś plan awaryjny. Ale nawet gdyby wezwał wojsko i zamówił modlitwę u samego papieża, mógłby jedynie odwlec katastrofę. Bo żeby jej zapobiec, należałoby zbudować nową tamę. Większą i solidniejszą, wykonaną z lepszych materiałów i lepiej strzeżoną: przez policjantów, budowlanców, speców od technologii. Każdego, kto może uchronić ją przed niszczycielską ingerencją człowieka lub natury.

Moja tama zaczęła przeciekać w momencie, w którym zgodziłem się wystartować w castingu na nowego rozgrywającego w holdingu Solskiego. Wiedziałem, że nie jestem jedynym uczestnikiem wyścigu. Musiałem więc grać ostro, żeby się wykazać. Przejęcie jakiejś firemki, której właściciel byłby wniebowzięty, że gigant pokroju Clouda pochylił się nad jego biznesem, nie stanowiłoby żadnego wyzwania. Żeby zaimponować Solskiemu, musiałem zapolować na grubego zwierza. Na gościa z jego ligi. I to najlepiej takiego, który nie zamierza dać się upolować.

Dziura w tamie szybko zaczęła rosnąć, choć nawet nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje.

Znacząco zwiększyła swój obwód, kiedy odezwał się do mnie Janek. Jak przystało na dziennikarza, chciał wyciągnąć informacje na temat Solskiego i planowanego przejęcia. Oczywiście nic mu nie ujawniłem i na tym powinna się zakończyć nasza rozmowa. Ale że jestem łasy na poklask i lubię budować dziwne międzyludzkie relacje, dałem się wciągnąć w medialny syf.

Problemy z przejęciem Rolkomu, z krnąbrnym Józefem Rolnickim, z jego durną żoną – to wszystko rodziło niepotrzebne napięcia, które, jak sądziłem, oddziaływały tylko na mnie. Ale byłem w błędzie. Przez zamieszanie i permanentne niedoinformowanie coraz bardziej niecierpliwił się Skoda, któremu nie tylko obiecałem złote góry, ale też – pośrednio – utęskniony transfer z tego wypizdowa. Janek się niecierpliwił, ponieważ miałem mu dostarczyć dwie historyjki, którymi żyłby cały rynek. Niecierpliwił się także Solski. On wprawdzie doskonale rozumie, że takie przejęcia mogą się ciągnąć miesiącami, ale musiał słyszeć, że Rolnicki nie sprzeda mi tej firmy, choćbym miał doprowadzić ją do upadku. Całkiem prawdopodobne, że dowiedział się tego bezpośrednio od właściciela Rolkomu. Po tylu latach rywalizacji ludzie przestają być dla siebie anonimowi.

Tama przeciekała już w kilku miejscach. Ale że była gęsta i ciemna noc, nikt nie rzucił się do zasypywania dziury.

Byłem tak zaaferowany ratowaniem przejęcia Rolkomu, a przy okazji zamieszanym z dziwką, alfonsem i policją, że kompletnie przeoczyłem, iż Przydupas mnie wydymał. Nie doceniłem tego gnojka. Nie przypuszczałem, że będzie miał wystarczająco duże jaja, aby samodzielnie zorganizować cały proces akwizycji. I dość sprytu, żeby zrobić to za moimi plecami. Dopiero od prawnika usłyszałem, że Przydupas schylił się po nisko wiszący owoc. Dogadał się z Future Softem, gliwickim software house'em specjalizującym się w rozwiązaniach chmurowych. Wyniuchał, że kroi się tam spór pomiędzy założycielami. W końcu złożył trzem młodym gościom propozycję nie do odrzucenia: zamiast się ciągać po sądach, głowić nad podziałem biznesu i wprowadzać ferment, weźcie po sto pięćdziesiąt milionów na głowę i zapomnijcie o swoich problemach. Po paru dniach dostał odpowiedź: zgoda. Za czterysta pięćdziesiąt baniek przejął spółkę, która według audytorów była warta nawet o sto milionów więcej.

Nie był to tak spektakularny deal jak ten, który próbowałem ubić z Rolnickim, ale pozwolił Przydupasowi zgarnąć prowizję o równowartości dwuletniej pensji. Skoda też przytulił sporo siana, a w dodatku podniósł swoje notowania u kolegów

z Londynu. Z kolei Solski dowiedział się, że przegrałem. A przecież nie mógł przygarnąć do drużyny gościa, który dał się okiwać jakimś leszczowi.

Tama była już dziurawa jak sito. Cała drżała. Burmistrz nie mógł już nic wskórać, więc zarządził ewakuację miasteczka. W pobliżu zapory zostali tylko brawurowi gówniarze i samobójcy, którzy wybrali wyjątkowo okrutny sposób, aby ze sobą skończyć. A także idioci. Największe tłuki w miasteczku. Ofiary ewolucji.

Czara goryczy przelała się wtedy, gdy mój wspianiały znajomy – dziennikarz Janek – okazał się strasznym niecierpliwcem. Kiedy zadzwonił do Solskiego, próbując się wywiedzieć, o co właściwie chodzi z moim przejściem do jego ekipy, w praktyce podpisał na mnie wyrok. Musiałem zostać ukarany. I to w sposób najdotkliwszy z możliwych.

Pamiętacie, jak Solski obiecał, że zajmie się autem alfonsa? Zrobił to. Ale tylko połowicznie. Zlecił swojemu zaufanemu człowiekowi, aby zabrał samochód i wywiózł go na jakieś odludzie, gdzie nikt go nie znajdzie. Gdzie? Tego nie wiem. Solski też tego nie wie. Ale kiedy się wkurwił, postanowił mnie wsypać. Kazał giermkowi podrzucić do samochodu alfonsa kilka moich włosów (musiał je zgarnąć ode mnie z domu), a następnie zadzwonić na psy. Trochę to trwało, zanim dyspozytor wysłał na miejsce patrol. Przez kolejny kwadrans dwóch wiejskich pączkojadów główkowało, co zrobić z samochodem zaginionego. Wreszcie wezwali kogoś, kto się na tym zna. Sprowadzenie techników, przeszukanie auta, pobranie dowodów – to wszystko też zabrało trochę czasu. Następne kilka godzin minęło, zanim udało się poinformować o odkryciu odpowiednich ludzi.

Potem potrzebna była już tylko jedna anonimowa wiadomość. Do Olega. Wystarczyło kilka słów: imię, nazwisko, adres. Ukraińiec pewnie nie dałby wiary temu, co usłyszał, i dalej spokojnie by czekał na wyniki badań DNA, ale w żaden sposób nie mógł się skontaktować z Marią. W dodatku tego samego dnia zgłosiła się na policję Danuta Rolnicka, która wreszcie odważyła się poinformować służby o moim niewinnym podtopieniu (wcześniej, aby uniknąć kolejnej napaści, ta cwana suka rozpuściła na mieście wici, że rozważa moją ofertę). W tej sytuacji Oleg musiał coś zrobić. A jego przełożeni nie mogli zlekceważyć takiej kumulacji wskazówek.

Antyterrorysty zajęli pod mój dom niedługo po tym, jak zapoznałem Dagmarę z jednym z moich noży. Kiedy zaczęli mnie obserwować, widzieli tylko wyluzowanego faceta z zabandażowanym udem, który przechadza się po mieszkaniu na waleta. Dopiero po jakimś czasie uznali, że to trochę dziwne. Zwłaszcza że co jakiś

czas znikalem w pomieszczeniu, które ich zdaniem mogło prowadzić do piwnicy. Gdy po jednej z takich wizyt zaobserwowali u mnie całkowitą zmianę nastroju, postanowili zainterweniować.

Gdyby się spóźnili o parę minut, moja sytuacja – jako mordercy policjantki – byłaby zgoła odmienna.

– Masz gościa – oznajmił klawisz, załomotawszy w metalowe drzwi. – Odsuń się od wejścia.

Chwilę później wlaź do celi. Kazał mi stanąć w rozkroku pod ścianą. Przeszukał mnie, upewniając się, że nie mam przy sobie nic, czym mógłbym komuś lub sobie wyrządzić krzywdę.

– Ładna jest? – spytałem.

– Kto?

– Osoba, która mnie odwiedziła.

Klawisz odwrócił mnie mocnym szarpnięciem. Następnie założył mi kajdanki.

– Ładni goście dopiero zaczną cię odwiedzać – oznajmił, patrząc tak, jakby zamierzał mnie zabić. – Rano i wieczorem. Pojedynczo i grupowo. Z zabawkami i bez. Będzie naprawdę różnorodnie. Spodoba ci się.

– Mam nadzieję.

Nie chciałem go denerwować bardziej niż to konieczne, dlatego zamilkłem i pozwoliłem wyprowadzić się z celi.

– Liczyłem na blondwłosą piękność.

– Przykro mi – odparł beznamytnie prokurator Stanisław Nosal.

– Na szczęście nie tylko spotkania z pięknymi kobietami mogą być przyjemne, prawda? Z brzydkimi też może być miło.

Prokurator oczywiście nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Jak zwykle przypominał znużonego księgowego, któremu dokuczają wzdęcia. Obok niego siedział inspektor Wiesław Papszon. Nie wiedziałem o nim zbyt wiele. W zasadzie tylko to, że jest szefem Marii i jej ukraińskiego koleżki. I że wygląda niezdrowo, co prawdopodobnie zawdzięcza połączeniu stresującej roboty z nadużywaniem alkoholu i brakiem pozazawodowych zainteresowań. Wiedziałem też, że strasznie cuchnie mu z ryja. Kiedy się odzywał, miałem wrażenie, że ktoś potrząsa klapą od sracza.

Niestety, nie wpadli na towarzyskie pogaduchy, dlatego naszej rozmowie, rejestrowanej maleńką kamerą, przysłuchiwał się prawnik, którego sprowadził Zjawiński. Kiedy zatrzymali mnie kilka tygodni wcześniej, nie miałem wątpliwości,

że wyśle swojego najlepszego człowieka: elokwentnego, pyskatego, odpowiednio gogusiowatego, aby uznać go za adwokata z górnej półki. Ale tym razem zaferował mi wytwór prawnikopodobny. Mniej więcej sześćdziesięcioletniego roztrzepańca, który każdą naszą rozmową stresował się tak, jakbym mógł rzucić na niego klątwę. Zjawiński niewątpliwie wytypował do tej roboty kogoś, za kim nie przepada. I prawdopodobnie był to jedyny klucz doboru. Nie świadczyło to najlepiej o jego stosunku do mnie i moich problemów, ale nie wściekałem się z tego powodu. Wiedziałem, że to nie od prawników zależy mój los.

Nosal i Papszon sprawili mi zawód. Zamiast spróbować mnie rozmontować, zadawali te same pytania, które już parokrotnie słyszałem. Jakby sprawdzali, czy udzielę identycznych odpowiedzi. Jak pan poznał Bartosza „Druciarza” Dębińskiego? Co pan robił w dniu jego zaginięcia? Jak pan się znalazł w jego samochodzie? Skoro nigdy tam pana nie było, to skąd się tam wzięły pańskie włosy? W jakich okolicznościach poznał pan Dagmarę Wiech? Jak wylądowała w pańskim domu? Czy pamięta pan, w jaki sposób zginęła? I tak dalej, i tak dalej. A ja sprawnie recytowałem odpowiedzi, które przygotowałem wiele tygodni temu: nie wiem, nie pamiętam, nie przypominam sobie, to nieprawda, nikogo nie porwałem, to jakaś pomyłka.

Po wyjątkowo nudnych dwudziestu minutach Papszon wyłączył kamerę.

– To już? – zdziwiłem się. – Wyciągnęliście mnie z celi, żeby zadać kilkanaście pytań, na które już dawno udzieliłem odpowiedzi? Równie dobrze mogliście wysłać stażystę.

Prokurator i policjant popatrzyli po sobie. Coś knuli. Musieli coś knuć. Z całą pewnością nie przyszli jedynie po to, aby zweryfikować spójność moich zeznań.

– Pan wcale nie ma ochoty z nami rozmawiać – odparł Nosal. – Wolałby pan po raz kolejny spotkać się z psychiatrami. Tymi nadgorliwymi, którzy rzeczywiście się zastanawiają, czy pańskie zimnokrwiste morderstwa można zrzucić na karb niepoczytalności.

– Ta rozmowa odbywa się poza protokołem – odezwał się mój adwokat. – Nie powin...

Uciszyłem go, kładąc mu dłoń na przedramieniu. A żeby dodatkowo wzmocnić przekaz, przyłożyłem palec do ust. Chciałem wysłuchać, co ten nudny chuj prokurator ma do powiedzenia.

– Wówczas zamiast dożywocia – kontynuował Nosal – mógłby pan dostać skierowanie do jakiegoś milutkiego ośrodka dla czubków. Przez kilka lat udawałby

pan wariata, a potem zaczął cudownie odzyskiwać zdrowie. Po mniej więcej dziesięciu latach znów byłby pan wolnym człowiekiem. Może nawet szybciej. Ale to nie przejdzie. Nie w pańskim przypadku.

– To nie pan będzie decydował o moim losie, tylko psychiatrzy, sędzia i oczywiście Bóg. – Wyszczrzyłem kły. Podobno odpowiedni uśmiech dodaje kilka punktów w skali wariactwa. Spójrzcie na Jacka Nicholsona. – Paradoks polega na tym, że w chwili zatrzymania zupełnie pan stracił kontrolę nad moim losem. Stał się dokumentalistą, którego rola sprowadza się jedynie do zbierania i segregowania danych. I bardzo pana boli, że się wam wymykam. Dzień po dniu, rozmowa po rozmowie, zeznanie po zeznaniu. To nie tylko rodzi frustrację, ale też popycha was do desperackich kroków. – Przekrzywiłem głowę. Spoważniałem. – Takich jak złożenie mi propozycji współpracy.

Nosal przez kilkanaście sekund porządkował rozłożone przed nim kartki, jakby za chwilę zamierzał je schować z powrotem do teczki i wyjść. W pewnym momencie rzucił jeszcze jedno przelotne spojrzenie Papszonowi, a ten delikatnie skinął głową. Te dwa skurwysyny na bank coś knuły. Przyłazły na to spotkanie z precyzyjnie skrojoną agendą. I właśnie nadszedł czas, aby przejść do meritum.

– Ma pan rację – odezwał się Nosal. – Chcieliśmy ubić z panem deal. Jeszcze kilka tygodni temu byliśmy pewni, że skazanie pana będzie jedynie formalnością. Ale potem sprawy zaczęły się komplikować. Nie wszystkie szczegóły pańskich działań są proste do odtworzenia. Nieźle pan zacierał ślady. Jak rasowy kryminalista. –

Uśmiechnął się półgębkiem. – Niewdzięczność naszej pracy polega na tym, że może nam się nie udać pana skazać, nawet jeśli media nie mają wątpliwości co do pańskiej winy. I to nie tylko polskie. „Financial Times”, „Forbes” i Business Insider porównują pana do Petera Madsena, duńskiego biznesmena, który zwabił na swoją łódź podwodną szwedzką dziennikarkę, a potem ją zamordował i rozczłonkował ciało. Tymi zabójstwami zrobił pan większą międzynarodową karierę niż wszystkimi swoimi posunięciami biznesowymi.

– Do brzegu – burknąłem, znudzony wywodem Nosala. – Jaka jest pańska propozycja?

– Jeszcze wczoraj ją miałem. Byliśmy gotowi pójść na daleko idące ustępstwa, żeby się dowiedzieć, co się stało z tymi dziewczynami. Byłby pan w szoku, gdyby się dowiedział, jakie pomysły chodziły nam po głowie. Ale potem kogoś poznaliśmy.

Papszon sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. Położył go na stole tak, abym mógł się

dobrze przyjrzeć zdjęciu na ekranie. Było wyjątkowo nędznej jakości: nieostre, źle naświetlone, słabo skadrowane, pewnie zrobione przez starego psa za pomocą jakiegoś chińskiego badziewia. Ale postać, którą sfotografował, była aż nadto wyraźna.

– Pewnie byśmy go nie znaleźli, gdyby nie Maria – oznajmił Nosal. – Nie chcieliśmy, żeby była w jakikolwiek sposób zaangażowana w tę sprawę, ale nie potrafiliśmy jej powstrzymać. To ona się uparła, aby grzebać w tym przemysłowym zakątku we Włochach tak długo, aż coś znajdziemy. I wreszcie znaleźliśmy. Zdziwaczały chemik, który zamienił kilka barakowozów w małe laboratorium, początkowo nie wydawał się nikim szczególnym. Wykluczaliśmy go po pierwszym przesłuchaniu. Ale potem do akcji wkroczyła Maria. I gdy zaczęła naciskać, facet zupełnie się rozsypał. Wszystko nam wyśpiewał. Jak na spowiedzi. – Prokurator zerknął na Papszona, który od dłuższego czasu nie mógł przestać się uśmiechać. – Z jego kilkugodzinnych zeznań wynika, że doskonale pan wiedział, co robi. I że absolutnie nie ma mowy o niepoczytalności.

Kurwa. Chemik dużo o mnie wiedział. O wiele za dużo.

– Lubisz teleturnieje? – odezwał się Papszon. – Ja mam małego bzika na ich punkcie. Oczywiście dotyczy to tylko tych teleturniejów, które wymagają wiedzy, a nie zręczności. *Miliard w rozumie, Jeden z dziesięciu, Va banque*. – Pokręcił głową. – Boże, ile życia zmarnowałem, oglądając te pierdoły! Ty pewnie nigdy nie miałeś na to czasu. Biznes, kariera, imprezy, kobiety. – Westchnął. – W każdym razie w żadnym polskim teleturnieju nie widziałem takiego numeru, jaki wyciął niejaki John Carpenter. To pierwszy zwycięzca amerykańskiej edycji *Milionerów*. Facet szedł jak burza. Błyskawicznie odpowiedział na czternaście pytań. Dopiero przy ostatnim, dotyczącym prezydentów Stanów Zjednoczonych, wziął koło ratunkowe. Zadzwoił do ojca. Ale wcale nie potrzebował jego pomocy. Chciał mu tylko powiedzieć, że właśnie wygrał milion dolarów. – Papszon wstał i popatrzył na mnie z góry. – Zawsze chciałem zrobić coś podobnego.

Kolejne kilka minut minęło błyskawicznie. Kiedy próbowałem skoczyć tym dwóm kutasom do gardeł, klawisze powalili mnie na ziemię. Pobili mnie, uciszyli i odstawili do celi. Nafaszerowali jakimś gównem, żebym się uspokoił. I kiedy powoli zacząłem odpływać, po głowie pałętała mi się tylko jedna myśl: jak mogłem wszystko tak spektakularnie zjechać?

Jedną z największych iluzji jest to, że ludzie nie mają wyboru. To nieprawda.

Mamy wybór. Zawsze. Wszędzie. Nawet w najbardziej gównianych sytuacjach.

Do tej pory w to wierzyłem.

– Kogoś ty mi, kurwa, przysłał?

– To nie jego wina – odparł Marcin Zjawiński.

– Jeżeli adwokat nie potrafi wyciągnąć klienta z aresztu, to znaczy, że jest oferumą.

– Albo że klient jest winny jak cholera. Czasem nie da się nic zrobić.

Zamilkliśmy, wspólnie wążąc ciężar wypowiedzianych słów. Zmusiłem Zjawińskiego, żeby mnie odwiedził. Żeby wykorzystał wszystkie wpływy i spryt, abyśmy mogli w spokoju porozmawiać. Bez obecności klawiszy. Bez presji czasowej. Bez strachu, że coś lub ktoś nam przeszkodzi. Formalnie nie jest moim obrońcą, więc z pewnością nie było to takie proste. Fakt, że to ogarnął, trochę przywrócił mi wiarę. Ale tylko trochę.

– Musimy zmienić strategię – oznajmiłem. – Psychiatrzy przestali czuć do mnie miętę.

– Oni ci nie pomogą. O ile mi wiadomo, pojawienie się tego dziwaka...

– Chemika.

– ...pojawienie się Chemika całkowicie zmieniło podejście policji, prokuratury i lekarzy do sprawy. Nie mam pojęcia, co im powiedział, ale wygląda na to, że całkiem sporo. Nikt już nie uwierzy w twoją niepoczytalność.

– Dlatego trzeba uderzyć w inne miejsce. Musimy zdyskredytować Chemika. Sprawić, że jego zeznania staną się bezwartościowe.

Zjawiński pokręcił głową.

– Za późno.

– No to skompromitujmy policjantów i uwalmy wyniki ich gównianego śledztwa.

– Za późno na wszystko.

Pochyliłem się w stronę Zjawińskiego. Miałem ogromną ochotę ścisnąć ten tłusty ryj i nim potrząsnąć. Niczym wielkim, wypełnionym zajebistymi pomysłami balonem, który trzeba tylko trochę rozruszać, aby idee odkleiły się od ścianek. Ale nie wiedziałem, jak na to zareaguje, więc jedynie złożyłem dłonie jak do modlitwy.

– Pysiu miętowy... – zacząłem najczulej, jak potrafiłem. – Z pewnością istnieje milion sposobów na wyciągnięcie z aresztu szanowanego obywatela, na którego policja najwyraźniej się uwzięła, czego najlepszym dowodem jest jego bezpodstawne zatrzymanie kilka tygodni temu.

– Na które się nie poskarżyłeś.

– Nie przerywaj mi. – Zmroziłem go wzrokiem. – Z pewnością istnieje też milion sposobów na uratowanie przed pierdłem szanowanego obywatela, który ma górę hajsu i bardzo wpływowych kolegów. Przecież wiesz lepiej ode mnie, że w tej całej prawniczej zabawie chodzi o znajomości, charyzmę i umiejętność pociągania za sznurki. Umysł, kasa i kontakty potrafią czynić cuda. Trzeba tylko w to uwierzyć. Dlatego bardzo cię, kurwa, proszę: wyciągnij mnie stąd.

Zjawiński przyglądał mi się przez kilka sekund, po czym odchylił się na oparcie krzesła.

– Są dwa zasadnicze problemy: mniejszy i większy – powiedział. – Mniejszy jest taki, że jesteś winny.

– Nie jestem.

– Nawet jeśli w to wierzę, policja jest innego zdania. I ma kurewsko mocne dowody na twoją winę. Choćbym miał się zesrać, nie jestem w stanie ich obalić.

– Wszystko da się podważyć. Jeszcze do tego wrócimy. Jaki jest większy problem?

– Jesteś bankrutem.

Potrzebowałem kilku sekund, aby się upewnić, czy się nie przesłyszałem.

– Bzdura – syknąłem. – Moje aktywa są warte grubo ponad pięć milionów złotych.

– Minus zobowiązania. Masz gigantyczne długi. Mieszkanie w centrum Warszawy, samochody, kredyty: to wszystko trzeba spłacić. A ty właśnie straciłeś źródła przychodów i zostałeś bez grosza. W dodatku twoje giełdowe inwestycje przyniosły w ciągu ostatniego roku prawie dwa miliony złotych straty.

– Rynek się skurwił. Inwestowanie zaczęło przypominać ruletkę.

– Może jestem tylko głupim papugą, ale od czasu do czasu zaglądam na serwisy gospodarcze i wiem, że w Stanach trwa najdłuższa hossa w historii. A ty inwestowałeś głównie w amerykańskie spółki. Rynek wcale się nie skurwił. Twój instynkt się skurwił. Twoje wyliczenia się skurwiły. Albo po prostu przestałeś logicznie myśleć.

Potrząsnąłem głową.

– To niemożliwe.

– Może przez te wszystkie lata żyłeś w bańce, do której nie docierały sygnały z zewnątrz. – Zjawiński bezradnie rozłożył ręce. – Nawet gdybym sprzedał dom, który formalnie nie należy do ciebie, mogłoby nie starczyć na spłatę zobowiązań.

Kurwa. Właśnie sobie przypomniałem, że od kilku miesięcy księgowa bombardowała mnie wiadomościami. Wydzwaniała, esemesowała, mailowała, a ja konsekwentnie ją zlewałem. Nie teraz, może później, *mañana*. Jakies dwa miesiące

temu napisała, że musimy się spotkać, ponieważ niepokoją ją moje finanse. Ale tę wiadomość też olałem. A potem wpadłem w wir pracy, który wyrugował ten fakt z mojej pamięci.

– Mam wpływowych znajomych – powiedziałem. – Ludzi, którzy mi ufają. Którzy wierzą w mój talent do robienia pieniędzy. Pogadaj z nimi. Załatwią kasę.

– Żaden z twoich bliskich nie wesprze cię finansowo, ponieważ... nie masz już bliskich. Rozmawiałem z twoją byłą dziewczyną, z twoim byłym szefem, a nawet, kurwa, z twoim niedoszłym szefem, Solskim. Wszyscy się od ciebie odcięli. Nie chcą cię znać. Ba, są wkurwieni, bo po twoim aresztowaniu pojawiła się w mediach cała seria artykułów, w których zostali wymieni z imienia i nazwiska. Odgrają się, że pozwą każdy tytuł, który spróbuje ich z tobą powiązać. Jedyna kasa, jaką są gotowi wyłożyć, może więc pójść na obsługę prawną.

– Dla takich ludzi jak ty.

– Zgadza się.

Cudownie. Myśl, Kacperku, myśl. To tylko kolejna zagadka logiczna. Jak zdrapać gówno z buta, nie mogąc wytrzeć go o krawężnik, zdjęć obuwia, a nawet poruszyć nogą? Jak wyjść z impasu, kiedy nie wolno ci nawet kiwnąć palcem?

Myśl. Myśl, do kurwy nędzy!

– Przyniosłem ci coś – odezwał się Zjawiński. – Nie wiem, czego ci potrzeba, ale pewnie chujowo tu karnią. Dyrektor aresztu zgodził się, żebyś to wniósł.

Schylił się. Spod stołu wyjął torbę, a z niej ciasto starannie owinięte papierem.

– Placek drożdżowy. Z kruszonką. Nie mam pojęcia o kulinariach, ale moja stara się zna. Gotuje, piecze, marynuje ogórki i namiętnie ogląda programy z Gesslerową. Powinno ci smakować.

Położył ciasto na blacie. A ja – nie mogąc uwierzyć w to, co się wydarzyło – odchyliłem się na bok i zerknąłem pod stół. Odkryłem, że Zjawiński nie przyniósł ze sobą aktówki, tylko siatkę z dyskontu. Zamiast dziesiątków dokumentów, notatek i pomysłów, jak mnie stąd wyciągnąć, przytargał jebaną torebkę z ciastem.

– Wypierdalaj – powiedziałem.

– Posłuchaj. To nie ja jestem twoim wrogiem, tylko...

– Mówię, żebyś wypierdalał.

Mierzyłem go wzrokiem tak długo, aż zrozumiał, że nie żartuję. W końcu poderwał się z miejsca. Ale zanim ruszył do wyjścia, uważnie na mnie popatrzył. Z litością w oczach. W sposób, w jaki patrzy się na reprezentantów głupszych gatunków. Na

przedstawiciele niższych klas. Na frajerów.

– Wierzysz w Boga? – zapytał.

– Nie bardziej niż w Świętego Mikołaja.

– Szkoda. Gdybyś kiedyś zaczął, pomódl się za swoje ofiary. Za te wszystkie kobiety, które skrzywdziłeś.

Tak straciłem ostatniego człowieka, który mnie wspierał.

W sprzedaży i biznesie najważniejsza jest równowaga duchowa. Myśli i przekonania muszą ci pomagać, zamiast sabotować twoje wysiłki. Ale w tym momencie moje myśli orbitowały wyłącznie wokół tego, że spędzę resztę życia w jakiejś obskurnej dziurze. Że wylądowałem w czarnej dupie, z której w żaden sposób nie jestem w stanie się wydostać.

Życie w areszcie śledczym z każdym dniem stawało się coraz mniej porywające. Niezbyt smaczne posiłki, niezbyt interesujące spacer, niezbyt miłe noce. Samotność i nuda. Dla kogoś, kto przez kilkanaście lat żył z otwierania gęby, izolacja może być przytłaczająca. W dodatku odcięcie od cywilizacji sprawia, że człowiek błyskawicznie bydlęcej. Zaczyna dłubać w nosie, drapać się po jajach, mlaskać. Zwykle nawet nie zdaje sobie sprawy, że upodabnia się do zwierząt, które urodziły się, aby umrzeć w takim miejscu jak to.

Szybko odkryłem, że kluczem do względnie znośnego życia w zamknięciu jest umiejętność panowania nad myślami. Trzeba zająć czymś głowę. Wymyślić plan na siebie. Moje położenie było o tyle specyficzne, że nie miałem pojęcia, kiedy ani czy w ogóle wydam się z tej dziury. Jednak starałem się odpychać od siebie obawę, że za kilka miesięcy usłyszę wyrok skazujący mnie na śmierć między murami. Czasem to się udawało. Częściej nie.

Wymyśliłem kilka firm. Rozpisałem biznesplan. Nawet zacząłem konstruować potencjalny zespół wspólników. Wizualizowałem sobie tworzenie produktów, uruchamianie kampanii marketingowych, sprzedaż, rozmowy z inwestorami. Oczywiście nie miałem konkretnych danych, więc nie mogłem zweryfikować, czy wszystko trzyma się kupy. Oczywiście rozmowy ze specami z poszczególnych branż, którzy by się fachowo odnieśli do moich idei, po prostu nie wchodziły w grę. Oczywiście wiedziałem, że te wszystkie pomysły mogę sobie wsadzić w dupę, bo nigdy ich nie zrealizuję – nawet gdybym szczęśliwym trafem wyszedł z pierdła w wieku przedemerytalnym. Ale i tak było to miłe. Już jako nastolatek – czy to nudząc się na lekcjach, czy siedząc w kiblu – wyobrażałem sobie, że jestem wielkim

przedsiębiorcą. To mi zawsze sprawiało frajdę. A teraz było moją główną atrakcją.

Sporo czytałem. Głównie beletrystykę. Książki, których na wolności nie tknąłbym kijem przez ścierkę. Zawsze uważałem, że gdy dookoła jest tyle świetnej literatury faktu, po fikcję sięgają wyłącznie idioci. Marzyciele. Naiwniacy. Ale tu beletrystyka była jednym z lepszych sposobów na nudę. I jakże potrzebnym w takim miejscu ćwiczeniem wyobraźni. Nawet pomyślałem, że mógłbym sam coś napisać. Fabularyzowaną autobiografię. Historię genialnego sprzedawcy, któremu powinęła się noga. Który będąc już niemal na szczycie, przewrócił się i runął w przepaść. Który mimo to nie poddał się i walczył o swoje. Ale jakoś nie mogłem się do tego zabrać.

Na szczęście odwiedzali mnie bliscy. No, może nie bliscy. Powiedzmy, że ludzie, których znam. Znałem. I którym się wydawało, że też mnie znają.

– Osiem milionów dolarów. Osiem. Milionów. Dolarów. – Karolina zwracała się do mnie jak do debila, ale nie mogłem się temu dziwić. – Trzy szanowane fundusze venture capital, w tym jeden z Londynu, który ma bardzo dobre kontakty z menedżerami z L'Oréal i Sephory. Duże finansowanie przy naprawdę przyzwoitej wycenie. Umowa inwestycyjna niemal leżała na stole, prawnicy dogadywali ostatnie szczegóły. I co? I wszystko zjebałeś! – Trzęsła się ze złości. – Nikt nie zainwestuje w firmę kobiety, która ruchała się z seryjnym mordercą. Splamiłeś mnie. Naznaczyłeś. Sprawileś, że lata ciężkiej harówki mogę wyrzucić do śmieci. Żałuję, ale to bardzo, kurwa, żałuję, że cię poznałam.

Ja też żałuję, że pokrzyżowałam Karolinie szyki. Jestem fanem lokalnej przedsiębiorczości, a z jej start-upiku rzeczywiście mogło wyrosnąć coś sensownego. Cóż, przedsiębiorca musi mieć oczy dookoła głowy. Musi wiedzieć i wyczuwać więcej niż pozostali.

– Sorry. Nie wiedziałem, że sprawy tak się potoczą. – To z kolei Janek. Pismak. – Mój problem polega na tym, że jestem zbyt pyskawy, żeby zostać kimś ważnym w gazecie. Nikt nie powierzy mi redakcji, bo nie wpisuję się w schemat. Teraz wszyscy szukają posłusznych włazidupców, którzy bardziej troszczą się o reklamodawców niż o treści. A ja jestem reprezentantem starej szkoły. Bulterierem rzucającym się na trudne tematy. Kompletnie nie pasuję do nowoczesnych mediów. Mam wrażenie, że wpadłem w błędne koło: nienawidzę tego świata, a zarazem zaciekle walczę o to, aby do niego przynależeć. Żeby być jak najwyżej w hierarchii. Rozumiesz mnie, prawda? – Lekko przekrzywił głowę. – Na gwałt potrzebowałem dobrego tematu. Kogoś z mocnym nazwiskiem, najlepiej znanego i kontrowersyjnego.

Ludzie nienawidzą Solskiego, więc wydawał się idealnym kandydatem. A że byłem na ciebie wściekły...

To teraz zamieniliśmy się rolami. Gdybym tylko miał trochę swobody, skręciłbym gnojkwowi kark. Gdybym tylko...

– To nie jego wina. – Jacek Solski był następny. Wpatrując się we mnie, jakimś sposobem odkrył, że fantazjuję o zrobieniu Jankowi krzywdy. Facet naprawdę miał dar. – Po tych wszystkich latach powinieneś wiedzieć, że wbrew pozorom winy nie ponosi ten, kto podpała lont, tylko producent dynamitu. Nawet jeśli lubi myśleć, że produkuje go w dobrej wierze. – Przechadzał się po celi. Jak panisko, które nie zhańbi się przycupnięciem na pryczy. Jak mówca motywacyjny. Jak... ja. Mniej więcej tak sobie wyobrażałem siebie za dwadzieścia czy trzydzieści lat. – Pewnie się zastanawiasz, czy to, co zrobiłem, rzeczywiście było niezbędne. W końcu w żaden sposób nie ucierpiałem wskutek tej publikacji. Przynajmniej biznesowo. Ale moralnie poniosłem niepowetowane straty. – Uśmiechnął się dziwnie. Albo mi się zdawało, albo był po paru głębszych. I po paru kreskach. – Dla człowieka o mojej pozycji łamanie karier jest dziecinnie proste. Nie sprawia mi to szczególnej frajdy, ale jest konieczne. Wiem, że teraz przedsiębiorcy próbują zarządzać w sposób nowatorski, tworząc płaskie struktury, budując turkusowe organizacje i wymyślając jakieś HR-owe głupoty, ale moje pokolenie zdobywa szacunek poprzez deptanie. I jest to zdecydowanie najskuteczniejsza metoda. Tak było, jest i będzie. To zasada całkowicie odporna na trendy. – Zatrzymał się na mojej wysokości. Spojrzał na mnie z góry. – Jeżeli to cię pocieszy, nadal uważam, że jesteśmy do siebie podobni. Wbrew pozorom niewiele ci zabrakło, żeby być mną. Może nieco wyobraźni. Może cierpliwości. Może lepszego opanowania instynktów. A może po prostu szczęścia. – Wzruszył ramionami. – A szczęście to podobno suma dobrych decyzji. Być może podjąłeś o jedną za mało.

Długo myślałem o jego słowach. Odtwarzałem w głowie już nawet nie ostatnie tygodnie, które wydawały się kluczowe dla moich losów, ale całe miesiące i lata. Cofałem się do nastoletnich czasów i pierwszych racjonalnych wyborów zawodowych. Myślałem o szkole, o dzieciństwie, o domu rodzinnym. Myślałem, bo co innego miałem robić? Zanosilo się na to, że myślenie będzie moim głównym zajęciem przez kolejne czterdzieści czy ileś lat.

– Nie jesteś wirtuozem arytmetyki, co?

Laska, która pojawiła się w celi, wyglądała znajomo, ale za Chiny Ludowe nie

mogłem skojarzyć, skąd ją znam. Włosy na sztorc, szeroko rozstawione oczy, niepewny uśmiech, ostry makijaż. A do tego srebrne kolczyki, efektowny naszyjnik i kiecka, które razem mogły kosztować nawet kilkanaście kafli. Dziana panna. Szkoda tylko, że tak przeraźliwie chuda. Nie, nie chuda. Wymizerowana. Zniszczona.

– Nie radzisz sobie z szacowaniem kosztów swoich działań – powiedziała. – I tych społecznych, i osobistych. Zawsze budowałeś budżety, które składały się wyłącznie z wpływów.

– O czym ty mówisz? – spytałem. – I z kim w ogóle mam przyjemność?

– Znasz Mariana Szelcera?

– No jasne! Producent grzejników, z setki najbogatszych. Facet, który...

Kurwa. To była ona. Szelcerówna. Poznałem ją na imprezie u jej ojca jakieś trzy albo cztery lata temu. Tylko coś mi tu nie grało. Laska wyglądała na trzydziestkę. A przecież tamten gamoń, Kalicki czy jak mu tam, mówił, że Szelcerówna miała piętnaście lat, kiedy ją poznałem. Kiedy skorzystałem z tego, że była durną, nieogarniającą dragów dziewczyną, która miała zadziwiającą słabość do koleśków z długimi piórami.

– A niektóre koszty pojawiają się dopiero po latach – kontynuowała. – Trudno je wyłapać. Trudno wycenić. Trudno przyporządkować do odpowiedniej kolumny. Pewne jest to, że każdy koszt prędzej czy później wypłynie. A jeśli będzie ich zbyt wiele, mogą cię zmieść niczym tsunami.

Szelcerówna, o ile to rzeczywiście była ona, zrobiła krok w moją stronę. Podwinęła rękawy. Pokazała mi przeguby. Wyglądały jak kratownica. Doszczętnie pocięte. Jak gdyby ryła po łapskach cyrklem. Fuf!

Dziwne. Chciałem zamknąć oczy, ale nie mogłem. Straciłem kontrolę nad powiekami. Jakby jakiś wewnętrzny imperatyw, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy, kazał mi się gapić na przedramiona tej pokiereszowanej emocjonalnie dziuni. Cudownie, kurwa. Może i nie byłem najbardziej zapracowanym człowiekiem na świecie, ale dałbym radę wymyślić sobie inne zajęcie.

– Przegrałeś, ponieważ kobieta cię wykiwała – powiedział Oleg, ukraiński giermek Marii. Od początku spotkania miał na gębie kretyński uśmiešek, który najchętniej bym mu zdarł. I to razem ze skórą. – Chciała cię odwiedzić, ale psycholog jej to odradził. Zresztą długo musieliśmy ją namawiać, aby skorzystała z pomocy specjalisty. W końcu mąż ją do tego przekonał. Ponownie się zbliżyli. Nie wiem, czy do siebie wrócą, ale pojawiła się isierka nadziei. To chyba jedyna dobra rzecz, jaka

z tego wszystkiego wyniknęła. – Włożył dłonie do kieszeni. Był skrepowany. Nie czuł się dobrze w butach, w które zgodził się wskoczyć, aby pomóc koleżance. – Maria prosiła, żebym ci coś przekazał. Nawet przygotowała list. Ale potem się rozmyśliła. Doszła do wniosku, że nie ma ci nic do powiedzenia. Że nie jesteś żadnym geniuszem zbrodni, tylko pospolitym zwyrolem, któremu nie warto poświęcać uwagi. Nie pierwszym, którego zamknęła. I pewnie nie ostatnim. – Wzruszył ramionami. – W końcu kazała mi przekazać tylko jedną prostą wiadomość.

Zbliżył się do mnie, pochylił i splunął. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale poczułem się tak, jakby spoliczkowało mnie tsunami. Jakby fala syfu nieznanego pochodzenia zalała mi gębę. Jakby dopadły mnie tysiące plag. Jakby to wszystko nie działało się naprawdę...

– *C'est la vie* – szepnął Oleg, po czym ulotnił się niczym kamfora.

Długo musiałem czekać, ale w końcu się zjawiała. Jako ostatnia. Przyszła w swoim popisowym wdzianku: czerwonej kiece, rajstopach, szpilkach. Dziwne, pomyślałem, że pozwolili jej tu wejść w takich butach. Przecież mógłbym ją nimi zabić. Albo siebie.

Jeżeliby mi na to pozwoliła. Ale do tej pory zgadzała się na wiele, więc dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

– Czytałam o tobie – powiedziała Alicja, przysiadając na pryczy. – Przeczytałam wszystko, co zostało opublikowane.

– Musiałś mieć sporo wolnego czasu.

– W prasie twoja historia jest psychologicznie niespójna. Dziennikarze przedstawiają cię jako bananowca, który przez całe życie uważał się za lepszego od innych. Piszą, że jesteś hedonistą. Porównują cię do Jeffreya Dahmera albo Eda Kempera, gości, którzy zabijali, aby spełnić swoje skrajnie dziwne zachcianki. Ale ty jesteś raczej jak John Wayne Gacy albo Aleksandr Piczuskin.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– O twoich problemach. Nikt się o nich nie dowie, bo nikomu o tym nie powiesz.

– Jakich problemach?

– Przecież wiesz. – Wykonała charakterystyczny posuwisto-zwrotny ruch ręką. – Nie masz kontroli nad swoim wackiem, więc musiałś ją zdobyć nad innymi.

– O ile mnie pamięć nie myli, całkiem nieźle sobie poradziłem, obracając cię w kiblu.

– Może jednak cię myli. – Uśmiechnęła się. – Słyszałaś kiedyś o incelach?

– O kim?

– O białych, heteroseksualnych, sfrustrowanych chłoptasiach, którzy żywią pogardę dla kobiet. Obwiniają je o swoje nieudane życie seksualne. Uważają, że gwałty są moralnie dopuszczalne, a seks powinien być powszechnie dystrybuowany, niczym racje żywnościowe w czasie wojny. To oni stoją za wieloma masowymi morderstwami w Stanach.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo jesteś nieortodoksyjnym przykładem incela.

– Bzdura.

– Frustracje seksualne wywoływały u ciebie potrzebę dominacji. Potrzebę posiadania mocy sprawczej i pełnej kontroli. To twój główny motor napędowy. Kierował tobą, kiedy wciskałeś ludziom coachingowe bzdety, obiecywałeś Skodzie złote góry albo mordowałeś te dziewczyny.

– Nie pamiętam, żebym kogokolwiek zabił.

– Przede mną nie musisz grać. Nie jestem z policji. Możesz być całkowicie szczery.

– Praktycznie nic o tobie nie wiem.

– Wiesz.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, kim właściwie jesteś.

Ponownie się uśmiechnęła.

– Jestem tym, kim tylko chcesz, żebym była. Dziwką, kochanką, przyjaciółką. Czasem psychologiem, który sprowadza cię do pionu. A czasem jednym wielkim wyrzutem sumienia.

– Nie skrzywdziłem cię.

– Jestem uosobieniem wszystkich twoich ofiar. Idealną personifikacją najskrytszych pragnień. – Podniosła się, abym mógł obejrzeć jej sylwetkę. – Przecież tak ją sobie wyobrażałeś, prawda? Tę jedyną. Tę, która cię uszczęśliwi. Której zawsze będziesz pożądał. Którą zawsze będziesz w stanie wydymać. Przy której przestaniesz odczuwać wstyd.

Potrząsnąłem głową.

– Nigdy nie marzyłem o byciu z kobietą. Związki są dla ludzi, którzy boją się starości. A ja...

– ...nigdy nie zakładałem, że dożyję pięćdziesiątki – dokończyła, mówiąc dokładnie to, o czym pomyślałem. – Pragnąłeś żyć tak długo, jak długo będziesz mógł

robić wszystko, na co masz ochotę. Jak jurny dwudziestoparolatek, jakim zawsze chciałeś być. Szybko. Intensywnie. Ekskluzywnie. Ryzykownie. Bo kiedy nadejdzie koniec, nie będziesz pamiętał czasu, jaki spędziłeś w biurze albo kosząc trawę.

Skąd ona to wszystko wie?

– Znam cię lepiej, niż ci się wydaje. Lepiej, niż jesteś w stanie zaakceptować. Wiem na przykład, co się z tobą stanie.

Wyjęła papierośnicę z kopertówki. Sięgnęła po cienkiego szluga. Zapaliła. Wydmuchnęła dym ponad moją głowę. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy widzę ją z papierosem.

– Na początku będziesz się przekonywał, że przez te kilkadziesiąt lat żyłeś lepiej od wszystkich. Tak dobrze, że nawet totalna katastrofa nie może sprawić, byś spadł pod kreskę. Każda niedogodność, każde potknięcie, każda kolejna porażka będzie tylko umacniać twoją wiarę. Do czasu. Któregoś dnia zorientujesz się, że jedyne, co naprawdę czujesz, to ból. Przenikający każdą część twojego ciała. Każdy narząd, mięsień, nerw. Ból zacznie cię wypełniać. A kiedy już nim nasiąkniesz, zrozumiesz, że nie jesteś żadnym wybrańcem, tylko trybikiem w uniwersum, którego nawet nie jesteś w stanie ogarnąć wyobraźnią. Ledwo dostrzegalnym punkcikiem na mapie. Człowieczkiem. Ogryzkiem. Żarcikiem. Aż któregoś dnia doznasz implozji, po której nic z ciebie nie zostanie.

– Bredzisz – burknąłem. – Jeżeli nie zamierzasz po tym bełkocie zrobić mi laski, to lepiej stąd spierdalaj.

– Okej. – Upuściła ledwo rozpalonego peta na podłogę i przygniotła go obcasem. – Skoro tego chcesz.

– Tak po prostu mnie posłuchasz?

– Zawsze cię słuchałam. Tak jak ty słuchałeś swoich instynktów.

– Wiesz, co myślę?

– Wiem.

– Że jesteś marą. Pół człowiekiem, pół koszmarem. Dziwadłem nasłanym przez stowarzyszenie durnych pizd, któremu wyświadczyłem nie lada przysługę, ściągając kilka jego członkiń z tego świata. Czy naprawdę myślałaś, że jeśli tu przyleziesz i zaczniesz opowiadać te dyrdymały, wywołasz u mnie jakąś zmianę? Refleksję nad życiem? Nad sobą? Że dzięki twoim bredniom stanę się innym człowiekiem?

Wolno pokręciła głową.

– Nie zmienię cię. Ale mogę sprawić, że któregoś dnia staniesz się

nieprawdopodobnie smutnym człowiekiem.

Zawsze uważałem, że bycie kompletnie szczęśliwym jest irracjonalne. Że pełna, niczym nieskrępowana radość zarezerwowana jest dla szaleńców. Ale bycie smutnym? Cierpienie dla cierpienia? Po jaką cholere miałbym się zadrezczać, skoro przez większość życia byłem dokładnie takim człowiekiem, jakim chciałem być? Racjonalnym. Byстрыm. Zaradnym. Bogatym. Wysportowanym. Wpływowym. Szanowanym. Onieśmielającym. Podziwianym. Miałbym teraz tego żałować? Tylko dlatego, że raz się potknąłem? Nie. Oczywiście, kurwa, że nie.

Gdybym miał ponownie przejść przez życie, zrobiłbym wszystko dokładnie tak samo.

No, prawie wszystko.

Myśląc o tym, patrzyłem, jak Alicja się oddala. Jak otwiera cełę, wychodzi na korytarz, mija przysypiającego klawisza i kieruje się w stronę wyjścia. Słyszałem stukot jej obcasów. Przez cały czas tak samo intensywny. Jakby równomiernie dreptała w miejscu. Suka. Wiedziałem, że mi nie odpuści. Będzie torturować mnie tym dźwiękiem, dopóki się nie złamię. Dopóki ból nie zacznie się wylewać z każdego otworu w moim ciele.

Jej niedoczekanie.

Być może zna mnie od podszewki. Ale nie zna uniwersalnej prawdy o życiu. Poznałem ją dawno temu, będąc pryszczatym nastolatkiem oglądającym się za dziewczynami, które nie zwracały na mnie uwagi. Ta prawda mówi, że to ja wygrywam. Zawsze. Wszędzie. W każdych, nawet najbardziej popieprzonych okolicznościach.

Choć nie zawsze wygląda to jak zwycięstwo, prawda?